Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Ż 40027

WIEK MŁODY:

dwutygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

R.1900 nr 1-24

LWÓW

IV
Ж 40027/1900

1900.

WIEK MŁODY

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

ROK VIII.

„Jakie dziś dzieci, takim będzie naród!“



92745

WE LWOWIE
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: ulica św. Mikołaja l. 5.
Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“.
1900.

ЖК IV 40027/1900

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ П-

SPIS RZECZY.

Str.

Powieści większe.

W zameczku na kresach. Opowieść historyczna. . 3
9, 17, 26, 33, 43, 50
Koledzy, p. *Irenę Mrozowicką.* 37, 42, 53, 58, 69, 75
89, 92
Ofiara. Obrazek dziejowy z XII-go w. p. *M.-L. Z.* 73
85, 101, 109, 119, 127, 133
Czerwcowe róże, p, *Barbarę i Wandę.* 99, 107, 115
124
Dzienniczek Wandzi, p. *O. K.* 139, 147, 155, 164
172, 179, 187
Złoty posiew, p. *Irenę Mrozowicką.* 166, 174, 181

Obrazki i opowiadania historyczne.

Obrazki z młodości zacnego obywatela, p. *M. Śleczkowską.* 35, 45, 55, 62, 78, 138, 142, 152
160, 167, 176, 183
Nasz pokój środkowy, (*ze wspomnień Poznańczanki*). 18
Królowa korony polskiej. 67
Założenie uniwersytetu w Krakowie, p. *M. Śleczkowską.* 82
Ze wspomnień starej szkoły, p. *A. Świderską.* . 87
111
Echo z Krakowa. 91
Gloria Tibi Alma Mater. 93
Wierny sługa starej szkoły, p. *M. Śleczkowską.* . 105
W szkole mistrza (z francuskiego). . . 132. 144
Kościół na Smoleńsku, p. *Z. M.* . . . 134

Powiastki mniejsze.

Nowy rok u podnóża piramid, p. *Annę Neumanową.* 3
Na własne oczy, p. *H. M. Casenowa.* . 14, 22, 28
To Polska! p. *Tadeusza Czapelskiego.* . . 25
Z legend o św. Franciszku z Asyżu, p. *Gabryelę Zaleską.* 41
Dzwon Zygmuntowski, p. *Tadeusza Czapelskiego.* 57
66
Nasza praca, p. *Karola Hofmana.* . . . 103
Na wakacye! p. *Z. Mrozowicką.* 117
Legenda żniwiarska, p. *Z. M.* 117
Na przekór, p. *J. Chrząszczewską.* . . . 129

Str.

Pogadanki przyrodnicze i opisy geograficzne.

Na co zwierzętom potrzebne są barwy? p. *Dra M. Stefanowską.* 5, 11
Po śniegu i lodzie, p, *Z. M.* 12
Na co owocom potrzebne są barwy? p. *B. D.* . 30
34
Skroplone powietrze, p. *Wł. Umińskiego.* 113, 121
W rzece podzwrotnikowej, p. *Z. M.* . . . 126
Pielgrzymka do Lourdes, p. *Z. M.* . . . 150
Dolina Ojcowska, p. *Z. M.* 158

Obrazki dramatyczne.

Prima-Aprilis, p. *Irenę Mrozowicką.* . . . 49
Żniwa. Komedyjka, p. *Z. Bukowiecką.* . . . 123

Wiersze.

Modlitwa na wstępie wieku. 1
Do młodzi polskiej, p. *M. Dunikowską.* . . 18
Pielgrzymi, p. *Z. Mrozowicką.* 21
Chrystus i Mędrcy, p. *Gabryelę Zaleską.* . . 29
Gwiazdka, p. *Z. Mrozowicką.* 36
O zmroku, p. *M. Dunikowską.* 53
Zmartwychwstał Pan! p. *G. Zaleską.* . . . 61
Pszczółka, p. *H. Strawińską.* 67
Wiosna. 77
W Boże Ciało, p. *Z. Mrozowicką.* . . . 91
Przypomnienie. 114
Pieśń do Najświętszej Panny, p. *Helenę S.* . 125
Do polskiej młodzieży, p. *Maryę B.* . . . 131
Ptaki na odlocie, p. *E. L.* 142
Do panienek, p. *H. Strażyńską.* 152
Serce matczyne, p. *I. Nowickiego.* . . . 157
Nie żałuj! p. *Mar. Win.* 164
Jadwiga, p. *Julię Terpiłowską.* 165
Z jutrzni narodu, p. *J. Terpiłowską.* . . . 171
W rocznicę listopadową, p. *J. Terpiłowską.* . 179
Wigilia, p. *Or-Ota.* 187

Skrzydlaty Listonosz, Konkursa, łamigłówki, Poczta „Wieku Młodego“ wykaz składek — na ostatniej stronie każdego numeru.

W DODATKU DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Str.

Powieści większe.

Jaś królem. Bajka z angielskiego. . 2, 5, 9
Znaleziona chustka, p. *H. Prendowską.* 15, 20, 22, 28
Pisanki, p. *Z. Mrozowicką.* 29, 33
Tylko jabłuszko! p. *Z. Mrozowicką.* 65, 69, 75
Wdzięcznuś, p. *H. Prendowską.* . . 80, 81, 87

Pouczające pogadanki i opowiadania historyczne.

Małym dzieciom o wielkich wynalazkach, p. *Z. Mroz.* 3, 84, 88, 91
Co było w placku bakaliowym? p. *Z. M.* 31, 35, 38
Z życia żaków krakowskich, p. *A. Świderską:* . 41
Księga czarodzieja, p. *M. Śleczkowską.* . . 47
Z przeszłości Kruświcy, p. *M. Łopuszańską.* . 73
Stanisław Konarski, p. *O. K.* 77

Komedyjki i monologi.

Pracowita Jadzia. Monolog. p. *I. Mrozowicką.* . 1
Improwizowane przedst. dramatyczne, p. *Z. M.* . 10
Winowajca. Komedyjka. p. *Irenę Mrozowicką.* 13, 17, 21, 27
Na letniem mieszkaniu. Komedyjka. p. *H. Prendowską.* 53, 57

Powiastki.

Prawdziwa robota, p. *N...a* 7
Wierny przyjaciel, p. *Z. Mrozowicką.* . . . 12
Po klasyfikacyi (trzeci list Władzia Ostrowskiego) 14
Słonie. 19
Ostatni śnieg, p. *Lucyana K.* 25
Wypadek z wodą, p. *H. Prendowską.* . . . 37
Wacio dentystą. 39
Na wakacye. 42
Boże ciało, p. *H. Prendowską.* 45

Str.

Noc świętojańska. Bajka łotyska. p. *B. R.* . . 49
Troska Antosia. p. *Z. Mrozowicką.* 50
Białe kozy, p. *H. Prendowską.* . . . 53, 59
Z wakacyi (list Władzia Ostrowskiego do kolegi). 61
Jak się ciocia bawiła, p. *M. U.* 61
Laseczka wróżki. 62
Mysz drobna. p. *Maryę Weryho.* 67
Z opowiadań cioci, p. *M. U.* 71, 79
Powrót ze szkoły, p. *Z. M.* 78
Potrzebny kotek, p. *I. Mrozowicką.* 83
Przejażdżka do cioci, p. *I. Mrozowicką.* . . . 85
Porządna robota, p. *H. Prendowską.* 89
W suterenie, p. *H. Prendowską.* - 92

Wierszyki.

Konkurs na kaligrafią. 1
Zima, p. *Or-Ota.* 6
Wystarczy, p. *Z. Mrozowicką.* 9
Strojnisia, p. *H. K.* 19
Poprawiona strojnisia, p. *H. K.* 22
Pieśń wielkopostna, p. *H. K.* 25
Modlitwa dziecka, p. *Z. Mrozowicką.* 33
Mała gosposia. p. *Z. M.* 38
Jezus i dzieci, p. *Z. M.* 47
Co mówią kwiaty, p. *Or-Ota.* 50
Co kochać? p. *Władysława Bełzę.* 53
Próżne gniazdko, p. *Irenę Mr.* 59
Smutne przygody dziatek pani Kici, p. *Z. M.* . 63, 67
Mamusina rada, p. *Helenę Bojarską.* . . . 71
Brat i siostrzyczka, p. *Z. M.* 75
Dwóch Leosiów, p. *Irenę Mrozowicką.* . . . 78
Za umarłych, p. *Z. M.* 81
Ojczyzna, p. *I. Nowickiego.* 85
Kocia gospodarka, p. *Z. Mrozowicką.* 87
Błogosławieństwo św. Mikołaja, p. *I. Nowickiego.* 89

Łamigłówki, konkursa, zagadnienia na ostatniej stronie każdego dodatku.

Nr. 1. We Lwowie, dnia 1. Stycznia 1900. Rok VIII.



Wiek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Modlitwa na wstępie wieku.

Boże nasz, Ojcze! przed nami wiek nowy
Złożony z tylu lat, miesięcy, godzin —
Czy naznaczona w nich ta, co okowy
Nasze ma skruszyć chwilą oswobodzin?...

Nie wiemy, Panie! bo to Twoja władza
Rozmierzać przyszłych zdarzeń błyskawice —
Ale nam dałeś tę moc, co sprowadza
Królestwo Twoje w ludzkich serc granice.

Więc nim się z nami Twoja wola stanie
Co darem łaski nas ubłogosławi,
My, z wieszczem naszym, błagamy Cię, Panie,
Dozwól, niech pierwej trud własny nas zbawi:

„Błagamy Ciebie: stwórz w nas serce czyste,
„Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
„Złud świętokradzkich, i daj wiekuiste
„Wśród dóbr Twych dobro, daj nam dobrą wolę!“



Nowy Rok u podnóża piramid.

Były to pierwsze Święta Bożego Narodzenia, które mieliśmy spędzić w Egipcie, w dalekiej obczyźnie, gdzie i ludzie inni i zwyczaje odrębne, nam zupełnie obce. To też pomimo jasnego nieba i ciepłego słońca afrykańskiego, pomimo świeżej zieleni pól i gajów pomarańczowych na wybrzeżach pięknego Nilu, pomimo wszystkich tych czarów południowej krainy, odczuwaliśmy wszyscy, przy zbliżających się Świętach, żywą tęsknotę za naszą rodzinną ziemią, za świerkami opruszonymi śniegiem białym i... za serdecznem ciepłem serc pokrewnych. Dzieci szczególniej chodziły smutne i niespokojne, obawiając się, czy te Święta będą dla nich tak wesołe, jak bywały u nas.

„Czy tylko aniołek pamiętać o nas będzie w tym roku?“ — mówił młodszy mój synek — czy zechce przylecieć tu tak daleko, do Afryki, — przez morze?“

„Dlaczegożby nie miał przylecieć“ — pocieszał go starszy, — „przecież małe ptaszki przylatują tu co

roku z naszych stron, więc pewno i aniołka Bozia tu przyśle".

„Bo przecież i tu są grzeczne dzieci".

— „Tak; — ale to są dzieci arabskie, a Mamusia mówi, że choć oni wierzą w jednego Boga, to przecież nie wierzą w Pana Jezusa, co się w stajence urodził".

— „O! to ich pewno aniołek nie kocha". — „Zresztą skądżeby aniołek wziął tu choinkę, kiedy tu same cyprysy rosną i daktelowe palmy".

Takie rozmowy moich chłopców słyszałam codziennie, a przyznam się, że sama byłam niespokojną, czy też aniołek będzie mógł w Egipcie taką jak u nas ustroić choinkę, dzieci zaś tembardziej były zmartwione, bo nie widziały i nie słyszały żadnych przygotowań do uroczystości. Na ulicach Kairu nie widać było świątecznego ruchu; w sklepach nie sprzedawano świeczek ani cukrów i nigdzie nie było choinek.

W dniu wilii zebrało się u nas małe grono przebywających w Egipcie Polaków; nie brakło też przy wieczerzy ani naszych opłatków, ani polskiego barszczu, ani snopka zboża w rogu pokoju, ani nawet małoruskiej naszej kutyi, w której jednak ziarna pszenicy zastąpione były ryżem. Pomimo tego dzieci humoru odzyskać nie mogły i zdawało mi się, że w oczach ich dostrzegam tłumione łezki.

Nagle, przy deserze, dzwonek odezwał się w kancelaryi, do której zazwyczaj dzieciom wstęp był wzbroniony, służący otworzył drzwi i w pośrodku pokoju ukazał się olbrzymi cyprys, ustrojony w świeczki, złocone pierniki i świecidełka, podobnie jak nasze choinki. Dzieci nie posiadały się z radości i nie zważały na to wcale, że wiotki cyprys uginał trochę gałązki pod ciężarem pierników i cukrów i że śnieg błyszczący, którym drzewko było opruszone, nie tajał wcale od gorąca świeczek.

Największy jednak podziw i zachwyt, obudził widok ślicznego drzewka u naszego małego murzynka, Aschmeda. Było to dziecko ośmioletnie, czarne jak heban, z kruczymi czarnymi włosami; przygarnęliśmy je z litości, gdyż błąkało się bez opieki po ulicach. Trzeba było widzieć jego twarz rozradowaną i błyszczące oczy, gdy patrzył na drzewko, jak gdyby na jakie zjawisko cudowne.

„Kojes ketir! ketir!"*) — powtarzał bez ustanku, „kojes fantazyja".

Radość murzynka wzmogła się jeszcze, gdy pozwoliłam mu jeszcze wybrać coś z podarków przygotowanych dla biednych dzieci kolonii austryackiej. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu naszemu, zamiast przysmaków i fraszek, wybrał on sobie ubior europejski: marynarkę z białym kołnierzem i modny kapelusz dziecinny.

Możecie sobie wyobrazić, jak pociesznie w tym stroju wyglądał; napróżno próbowałam przekonać go, że mu w arabskiej, czerwonym pasem przepasanej galabii (t. j. koszuli) i w pąsowym fezie o wiele więcej do twarzy, nasz murzynek był tak dumny ze swego stroju, z takiem zadowoleniem przypatrywał się sobie w zwierciedle, że musieliśmy pozostawić mu marynarkę i kapelusz.

* * *

Nazajutrz pojechaliśmy wysłuchać Mszy Świętej w kościółku Missyi Afrykańskiej, stojącej pod protekcyą Austryi, jako najwierniejszego kościołowi Rzymskiemu państwa. Wzięliśmy też z sobą i małego murzynka, wyczytawszy w jego oczach błagalną o to prośbę.

Słudzy nasi wzięli go między siebie i jakkolwiek Muzułmanie, przypatrywali się z szacunkiem, stojąc u drzwi kościoła, naszym obrzędom i ceremoniom kościelnym. Ashmeda interesowały one tem bardziej, gdyż jednym z celebrujących księży był murzyn, Padre Antonio, znany w całym Egipcie jako najgorliwszy misyonarz. Do mszy usługiwali chłopcy murzyni, a na chórze małe dzieci murzyńskie spiewały pieśni nabożne po włosku i po niemiecku. Była to wprawdzie niemieczczyzna, której by się każdy 1-szo klasista u nas powstydził, ale od biednych murzynków Sudanu, tak jak i od ich nauczyciela, Włocha z Kalabryi, trudno było żądać dobrej i poprawnej wymowy.

Na Ashmedzie naszym musiały te pieśni i ceremonie silne wywrzeć wrażenie, bo wkrótce potem sam zwrócił się do nas z prośbą, aby go oddać pod opiekę Padra Antonia, a w rok później klęczał w kościele między neofitami, nabożnie powtarzając pacierze.

* * *

Przebywszy wesoło dni świąteczne, postanowiliśmy rok nowy rozpocząć także w sposób oryginalny i zajmujący: oto powzięliśmy zamiar urządzić wycieczkę do piramid i tam, u podnóża lub na szczycie jednego z tych olbrzymich grobowców, doczekać północy w dniu św. Sylwestra.

Wygodny pojazd zawiózł nas w półtory godziny cienistą, sykomorami wysadzaną aleją z Kairu na granicę pustyni Libijskiej kędy prócz trzech głównych piramid, wznosi się cały szereg mniejszych piramid, w gruzy obalonych świątyń i grobowców.

Zapewne wiadomo wam, że piramidy były to grobowce królów egipskich i Faraonów.

Egipcyanie wierząc w zmartwychwstanie ducha i ciała starali się te ciała zachować od zniszczenia, balsamując je i chowając w niedostępne, z olbrzymich wiecznotrwałych głazów zbudowane groby. Trudno istotnie uwierzyć jak mogły ramiona ludzi, biednych niewolników, spiętrzyć w górę do wysokości 450 metrów, bryły tak olbrzymie i ciężkie, a tworzące po dziś dzień niewzruszoną opokę, o którą napróżno uderzały stulecia i zaborczych ludów żelaza.

Nie chcąc brnąć w falach piasku, którym zasypane są dokoła piramidy, wsiedliśmy na czekające już

*) Śliczne, bardzo śliczne, śliczna fantazyja t. j. uroczystość.

na nas rosłe i żwawe osiołki. Dzieci były uszczęśliwione, że mogły galopować na osiołkach i przypatrzeć się cudom świata do jakich zaliczone są egipskie piramidy.

Objechawszy je dokoła i przekonawszy się o olbrzymich rozmiarach tych wiekopomnych grobowców, zeszliśmy w szeroką gruzami i odłamami granitu pokrytą dolinę, aby się z bliska przypatrzeć sławnej w całym świecie kolosalnej postaci egipskiego Sfinxa, nad którą zdumiewały się ludy. Jest to wielka skała zmieniona w rzeźbę, a przedstawiająca olbrzymią głowę ludzką w szerokim, do ramion spadającym zawoju egipskim, na tułowiu lwa leżącego w pustyni i strzegącego grobów królewskich. Między łapami lwa znajduje się dawna egipska świątynia.

„Ja chcę także widzieć *świńsia* — odezwał się głosik mego młodszego synka, którego pozostawiliśmy pod strażą służby. Nie było rady; najroślejszy z naszych przewodników arabskich wziął go na ręce i podniósł w górę, aby się olbrzymiej postaci Sfinxa przypatrzył; nie wiem jednak, czy zrozumiał wówczas, co ma przedstawiać ta postać, u której podnóża wydawaliśmy się wszyscy jak pełzające w pustyni owady.

Po kilkogodzinnej przechadzce wśród ruin starożytnego świata, wróciliśmy do stóp piramidy Cheopsa, aby tam, na platformie tworzącej jakoby podmurowanie gmachu, rozłożyć nasze przybory do wieczerzy.

Z kieliszkiem w jednej, a zegarkiem w drugiej ręce czekaliśmy przy świetle księżyca i smolnych pochodni, godziny dwunastej, patrząc z tęsknotą na północną stronę nieba, kędy gwiazdy ścieżyną złotą się rozsiały. W chwili zaś, gdy wskazówki naszych zegarków stanęły na 12-ej, zaintonowałam naszą staropolską kolędę. I zabrzmiała pieśń nasza rodzinna po nad gruzami starego świata, niosły ją wichry w dal ku północy...

I nad cichą pustynią szłą echem w błękicie
Do serc ludzkich, chat polskich zapukać o świcie!

Anna Neumanowa.

Nowy Rok.

Na sennych zorzach rok nowy dnieje
Chwil przyszłych snując nam przędzę,
I jasne szczęścia niesie nadzieje,
Nad ludzkie troski i nędze.

Lecz złudne marzeń naszych budowy,
Tęcze, co wschodzą i gasną.
Wtedy ci szczęście ześle rok nowy,
Gdy pracą zyskasz je własną,

Anna Neumanowa.

W zameczku na kresach.

(Opowieść historyczna).

Śnieżna zawieja białym tumanem obejmowała świat cały; pusto i cicho było po gościńcach bo w zadymkę taką nikt nie miał odwagi puszczać się w dalszą drogę, nadaremnie też wypatrywano tego wieczora pierwszej gwiazdki, mającej dać hasło do rozpoczęcia wigilijnej wieczerzy: przez biały tuman, nie mogły jej promienie przebić się i dobiegnąć do ziemi.

I w sercach ludzi także brakło w tym roku wigilijnej gwiazdki wesela; kraj po niedawnej klęsce cecorskiej, która tak wiele serc walecznych pogrzebała w mogile, tak wiele rąk dzielnych podała w pęta niewoli bisurmańskiej, na długie lata okrył się żałobą — nie znalazłbyś prawie rodziny, gdzieby u stołu nie było miejsca opustoszałego, gdzieby ze łzą w oku nie oczekiwano z miesiąca na miesiąc i z roku na rok powrotu kogoś drogiego, nie wiedząc nawet, czy go ścigać myślą w dalekich stronach, czy za duszę jego słać modły do nieba.

W zamku starosty Winnickiego, Aleksandra Bałabana smutniej było może niż gdziekolwiek indziej, boć tam zabrakło samego pana Starosty, głowy rodziny — i dziś, małżonka jego, imć. pani Barbara, wziąwszy w rękę opłatek, który przez lat tyle dzieliła przy tym stole z ukochanym mężem swym i towarzyszem, ledwie głośne łkania powstrzymać mogła, gdy zwróciła się do najstarszego syna, Jerzego, z trudnością wymawiając drżącemi usty słowa tradycyonalnych życzeń.

Wszyscy członkowie rodziny i domownicy mieli twarze poważne i smutne, stroje prawie żałobne a skromne wielce, bo nie pora to była na zbytki, gdy kraj cały pogrążony był w niedostatku, spustoszony i wyniszczony najazdami pogan. I w rodzinie Bałabanów mimo całej dawnej jej zamożności, teraz grosz bywał rzadki; przytem, co można było urwać od najkonieczniejszych potrzeb, składano na okup, mający kiedyś wyswobodzić z pęt niewoli i powrócić stęsknionym sercom ukochanego męża i ojca.

Niestety! wśród klęsk wojennych, trapiących kraj, zasób pieniężny wzrastał powoli, a wiadomem było, że po osobę tak ważną jak Imć. pan Starosta, nie warto nawet słać z małym okupem, bo niewierni umieli wyzyskiwać położenie i za znaczniejszych jeńców drogo sobie płacić kazali.

Wśród całego grona osieroconej rodziny jedne tylko usta uśmiechały się radośnie, jeden głosik dzwonił wesołym szczebiotem — bo też sześcioletnia główka małego Oleńka nie mogła jeszcze pojąć grozy nieszczęścia, a serduszko jego, choć chowało pamięć dziadka, podtrzymywaną nieustannemi opowiadaniami matki i babki, nie wyrywało się ku nieobecnemu z bolesną tęsknotą.

To pacholę jasnowłose, szczebiotliwe a słodkie i przymilające się każdemu, jedynym też było teraz promieniem słońca w starym zamku winnickim; dla ma-

łego ulubieńca rodziny nie brakło w wigilijny wieczór łakoci i podarków, strój jego nawet był ozdobny, suto lamowany kosztownem futrem i spinany na złote pętlice, jak gdyby przy nim jednym pozostał cały zbytek, który starszych odbieżał.

W milczeniu zasiedli wszyscy do wigilijnej wieczerzy; pierwsze miejsce u góry stołu pozostało niezajęte: przez pamięć i cześć dla nieobecnego stawiano zawsze nakrycie dla niego, przy wszystkich rodzinnych zebraniach i uroczystościach — choć to miejsce puste, bardziej jeszcze krwawiło niezagojoną ranę w sercach jego żony i dzieci.

Przy niezajętem krześle poręczowem p. Starosty, zasiadała z jednej strony pani Barbara, z drugiej na wysokim, dziecinnym stołeczku wnuk ukochany, Oleńko. Ulubioną zabawką chłopczyny w czasie tych posiłków, był piękny pozłocisty roztruhanik, stawiany zawsze przed nakryciem dziadka, a od lat niezliczonych przechowywany w rodzinie jako cenna pamiątka. Roztruhanik ten odznaczał się kunsztownym kształtem: z jednej strony na pięknej złotej emalii perłami otoczonej, miał wyobrażenie patrona rodu, św. Aleksandra, z drugiej klejnot domu, Korczak, równie bogato wyobrażony. I misy przy nakryciu dziadka i inne naczynia były również kosztowne, tak, iż widząc to bogactwo odbijające od prostoty i skromności innych nakryć, odgadywało się odrazu, że kącik ten był dla serc wszystkich świątynią, strzeżoną z największą czcią i miłością.

Istotnie wszystkich przedmiotów używanych niegdyś przez p. Storostę, dotykano teraz z nabożnem poszanowaniem, jakby relikwi po zmarłym; jeden Oleńko tylko używał i tu nadzwyczajnych przywilejów i ze srebrnego roztruhanika uczynił swoją najulubieńszą zabawkę — ale nie broniono mu tego: pamiętano jak dziadek kochał go i pieścił, jak wyjeżdżając po raz ostatni do Kamieńca, który zbroił się właśnie przeciw spodziewanej, tureckiej napaści — błogosławił ze łzami malutkie pachole, polecając wszystkim pilną pieczę, nad tą najmłodszą, tak jeszcze słabą i wiotką, a tak przytem wdzięczną latoroślą mężnego rodu Bałabanów.

Gdy stary kredencerz obniósł pierwsze danie i ująwszy gąsiorek z miodem, gotował się napełniać wszystkie kubki, Oleńko, nastawiając roztruhanik dziadka, zawołał srebrnym, a jednak nawykłym już do rozkazywania głosikiem:

— Nalejcie pełno, pełno miodu dla dziadunia, bo jak przyjedzie z dalekiej drogi będzie mu się chciało pić i Oleńko mu zaraz poda roztruhanik...

— Że też Oleńko zawsze coś plecie bez zastanowienia — upominała go półgłosem matka — trzy lata już, rokrocznie, to samo powtarzasz i tylko boleść serc naszych rozraniasz — kto wie czy my jeszcze kiedy drogiego dziadzia ujrzymy? Twoje nieopatrzne słowa tylko babci łzy do oczów napędzają.

Chłopczyna przebiegłszy na drugą stronę opróżnionego miejsca zawisł na szyi babki, pieścił ją, jedwabnymi kędziorkami ocierał łzy z pooranego troską oblicza, szepcąc jej przytem do ucha.

— Nie płacz babciu — tego roku dziadzio już naprawdę przyjedzie — ja wiem! siądzie razem z nami przy tym stole, będzie jadł kutię i pił miód i wino, a potem mnie daruje ten roztrahanik — bo przecie obiecał, jak jechał na wojnę, że gdy wróci, daruje mi roztruhanik!



KAMIENIEC

(Do powieści w „Zam



EC PODOLSKI.

„Zameczku na kresach").

— Czy ty to pamiętasz? czy pamiętasz dziadzia? spytała babka, tuląc malca do piersi.

— Nie pamiętam, tylko tak odrobineczkę — ale jak przyjedzie, to dziadzia zaraz poznam! A o roztruchaniku, to mi opowiadał tatuś, że dziadzio go mnie kiedyś daruje, bo jestem najstarszy wnuk.

(C. d. n. *Lucyan K.*

Na co zwierzętom potrzebne są barwy

przez Dr. M. Stefanewską.

Wszyscy wiemy, że zwierzęta rozsiane po całej kuli ziemskiej posiadają najrozmaitsze barwy; niekiedy szaty ich zdumiewają nas swoim przepychem i blaskiem, to znowu są szare, posępne, nawet żałobne. Dlaczego taka rozmaitość barw w przyrodzie? Czy zwierzętom przydać się na co mogą ich stroje różnobarwne? Przyjrzyjmy się nieco bliżej rozmaitym zwierzętom, a znajdziemy odpowiedź na powyższe pytania.

Na dalekiej północy żyją białe niedźwiedzie, niebieskie lisy, białe zające i wiele innych zwierząt porosłych białym włosem, przynajmniej w zimie, tak, iż trudno dojrzeć je na śnieżnych równinach, po których biegają, bądź szukając zdobyczy, bądź kryjąc się przed napastnikiem.

Na palących piaskach Sahary i Arabii inne obrazy: tu szaty mieszkańców są płowe, szaro-żółte, jak sama pustynia i trzeba mieć bardzo wprawne oko, aby dojrzeć z daleka spoczywającego na piasku lwa albo gazellę.

Na naszych ornych gruntach gnieżdżą się kuropatwy, przepiórki, skowronki, a ich piórka rudawo-szare, jak nasza rola, czynią je prawie niewidzialnemi. Ziemistą barwę mają również zające, dzikie króliki, szczury i myszy, kryjące się w norach polnych.

Słyszeliście już może, że różne zwierzęta morskie bywają zupełnie przezroczyste, tak, iż chociaż gromadami pływają po powierzchni morza, niepodobna odróżnić ich od wody. Przeciwnie zwierzęta, żyjące w tak zwanem „morzu sargasowem" mają najczęściej barwę oliwkową, żółtą, dzięki której niepostrzeżenie znikają wśród bujnej roślinności żółtawych wodorostów, nagromadzonych w tej części oceanu Atlantyckiego.

A któż z nas nie wie, jak często zwierzęta lądowe, żyjące w trawie i na liściach, mają barwę tak zieloną jak najświeższa zieleń! Jaszczurki, żaby, mszyce, rozmaite chrząszczyki i gąsienice, tak znikają na zielonem tle roślin, iż nieraz stoimy tuż przy nich, a nie domyślamy się ich obecności i bywamy często zdziwieni, gdy przypadkowo dotkniemy je dłonią, chcąc zerwać roślinę.

Powyższe przykłady świadczą, że zwierzęta często miewają taką samą barwę, jaką ma tło, na którem żyją, dzięki czemu stają się mało widoczne, zupełnie tak, jakby się znajdowały w jakiejś kryjówce. Na śnieżnych równinach zwierzęta są białe, w pustyniach żółtawe, na naszej roli rudawe, na liściach żyjące zwierzęta zielone, a po morzu pływające są przeźroczyste, jak woda.

W naśladownictwie tem niektóre zwierzęta okazują niekiedy wielkie mistrzowstwo, gdyż nie tylko naśladują ogólne tło, ale nawet najdrobniejsze jego szczegóły. Weźmy jeden z przykładów: Kto przyglądał się uważnie ćmom nocnym, ten wie dobrze, że skrzydła ich są często szaro brunatne, okryte żyłkami i prąż-

kami, które doskonale naśladują korę, albo zczerniałe drzewo. Dzień spędzają ćmy nieruchomo na korze drzew, a ponieważ zawsze są podobne do kawałka kory, przeto mało kto je zobaczy.

Tak liczne przykłady podobieństwa istniejącego między barwą zwierzęcia, a barwą jego otoczenia nie powinny być poczytywane za dzieło wypadku.

Uczeni mówią nam, że zwierzęta umieją nawet zmieniać barwę swej skóry i mogą ją uczynić podobną do tego tła, na którem żyją. Tak n. p. rybacy wiedzą o tem dobrze, że tenże sam gatunek ryb, w rozmaitych miejscowościach miewa inaczej nieco zabarwioną skórę; znane są z tego zwłaszcza pstrągi, tak, iż znawcy tych ryb, poznają natychmiast po kolorze z jakich stron one pochodzą.

Między owadami zdarza się nader często, że też same gatunki mają odmienne barwy w rozmaitych miejscowościach. N. p. w Anglii motyle białe, oraz motyle posiadające żywe barwy, napotykają się tam, gdzie gleba ma kolor kredowy, albo też tam, gdzie pokrywa ją jasny żwir, jak to bywa na południu Anglii. Przeciwnie też same gatunki motyli mają w Anglii barwy ciemne, tam, gdzie gleba jest ciemniejsza. Tym sposobem w obu tych wypadkach motyle stają się mało widoczne, gdy spoczywają nieruchomo na ziemi.

Przyrodnicy mówią nam, że jeżeli zwierzę zawędruje do innego kraju, to pod wpływem barwy roli, barwy wody, liści i t. p. w skórze zwierzęcia mogą zajść powolne zmiany, tak, iż wkrótce stanie się ona inaczej zabarwioną niż była pierwotnie, a nawet wytworzyć się mogą na skórze inne desenie niż te, które ją przedtem zdobiły. A te nowe zmiany najczęściej służą na pożytek zwierzęciu, gdyż chronią je lepiej przed okiem napastników. (D. n.)

Skrzydlaty listonosz.

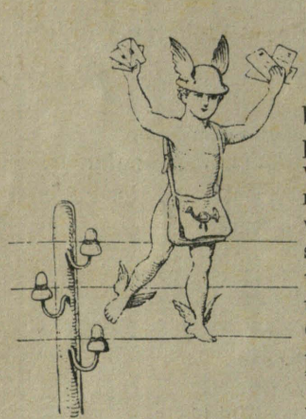

Wucha O. w Stronibabach. Osiągnęłaś w zupełności swój cel, bo sprawiłaś Cioci-redakcyi ogromną przyjemność tak pilnem wzięciem udziału w konkursie. A co ważniejsza jeszcze, to, że aż sześcioro dzieci ubrałaś w sukienki — będą Cię wdzięcznie wspominać przez całą zimę. Miło nam bardzo, że „Wiek“ jest zawsze witany przez Ciebie z taką radością. — Czerwona kokardka we Lwowie. Pomysł Twój śliczny i godzien szczerego uznania, to też i Tobie przyznaną została nagroda, choć przez omyłkę opuszczono Twoje nazwisko w przeszłym numerze. Pewno i te panienki, które zachęciłaś do pracy bardzo są temu rade, że wytrwały w dobrym zamiarze. Szkoda, że nie były obecne przy drzewku. Anulka S. w Przemyślu. Wypracowanie Twoje nadeszło jeszcze na czas, a choć nie otrzymało nagrody wyszczególnione jest jednak między najlepszemi, i Redakcya mogła z niego osądzić o postępach jakie poczyniłaś w stylu i kaligrafii. Tak Tobie jak i rodzeństwu zasyłamy serdeczne uściśnienia wraz z noworocznemi życzeniami.

Pierwiosnek wielkopolski w Chlebowie. Sukienka uszyta była doskonale a dołączone do niej rzeczy uszczęśliwiły kilkoro biednych dzieci. Nagrodę przesyłamy Ci równocześnie — należytość za porto nadeszlesz nam kiedyś w liście. Ancia, Oncia, Adaś i Tadzio B. we Lwowie. Ślicznie! niechby tak każdy objaw nienawiści Niemców ku nam, pobudzał nas do tem gorliwszej pracy i większej ofiarności na cele narodowe, a wtedy moglibyśmy sobie nic nie robić z prześladowania wrogów, bo tam gdzie miłość i nienawiść staną do walki, miłość zawsze zwyciężyć musi. Józia i Marynia F. w Wadowicach. Niemało przyczyniłyście się same do spełnienia tego życzenia, aby „biedne dzieci“ miały wesołe i przyjemne święta. Szanownej Mamunci podziękujcie bardzo w naszem imieniu za nadesłane książki, obrazki i przybory do pisania — ogromna z tego wszystkiego była radość, a składka, do której przyłączyła się Mamusia i Wujcio i p. Adolfina, niejednemu dziecku zapewni na czas dłuższy gorący posiłek. Bardzo radzibyśmy zobaczyć piękne roboty Józi, to pewna, że przy tylu zajęciach brak czasu na częstsze pisywanie listów.

Julisia S. w Szydłowcach. — Na nasz wielki żal Ciocia Luda nie była obecną przy drzewku, więc nie mogliśmy jej doręczyć wstążeczek dla Was; wysyłamy je zatem w tym tygodniu pocztą. Wstęga legii honorowej dla Julci, nie uległa już tym razem żadnemu przypadkowi. Przy drzewku była już jedna z czytelniczek ubrana w taką wstęgę, bardzo to ładnie wyglądało. Sukienki Wasze, jak zawsze tak i tym razem, bardzo ładne, praktyczne i doskonale uszyte. — Polka we Lwowie. Skrzydlaty Listonosz ma dziś wiele listów i powinszowań do rozniesienia, ale nie możemy zakończyć roku bez przesłania kochanej i tak dawnej przyjaciółce serdecznego „Szczęść Boże“ na Nowy Rok. Czy na Święta nie przyjeżdżał do Ciebie Zygmuś — za widzeniem pozdrów go od Redakcyi. — Czytelnicy z Pełkiń. Za pamięć i zapytywanie się o zdrowie p. Ireny, serdecznie dziękujemy — teraz już całkiem dobrze.

Lisia, Marylka i Milka W, we Lwowie. Druga p. Redaktorka żałowała bardzo, że nie będąc obecną przy drzewku, nie widziała tym razem swych młodych przyjaciółeczek. A co tam słychać z Waszą menażeryą, czy istnieje jeszcze? Łamigłówek nie było w ostatnim numerze dla braku miejsca. — Konwalijka w Gorlicach. O tak — biedne dzieci się ucieszyły — wstążeczkę pamiątkową wkładamy w dzisiejszy numer. Okładkę na rok 1898 możemy Ci przesłać — na r. 1899 trzeba je zamawiać wprost w handlu introligatorskim A. Getritza, Lwów, plac Trybunalski. — Polski słowiczek we Lwowie. Nawzajem przesyłamy Tobie i Twoim najszczersze noworoczne życzenia. Przedewszystkiem: daj Boże, aby Tatko był zdrów. Do Małgosi w Londynie napisz przez nas, i owszem! zrobisz jej tem pewno przyjemność, bo ona bardzo kocha swoje polskie siostrzyczki! — Boguś i Jadzia H. w Korsowie. Gazetka spóźniła się wprawdzie, ale było to z góry zapowiedzianem. Za to

„Wiek młody“ dowiedział się, że jest z taką niecierpliwością oczekiwany.

Maniusia M. w Przystani. Wszystkie zaginione kartki wyszukaliśmy dla Ciebie, zapewne już je otrzymałaś. Sukienka Twoja równie ładna jak praktyczna i doskonale uszyta, dostała się bardzo milutkiej, a bardzo biednej dziewczynce. Mamusi, a także i Wam wszystkim przesyłamy najserdeczniejsze noworoczne życzenia. — Antoś R. w Samborze. Wzajem życzymy wszystkiego najlopszego. A czy podobała Ci się nagroda? — A. B. we Lwowie. Łamigłówki z przyjemnością wydrukujemy, ale jeszcze nie zaraz, bo musimy w tym względzie trzymać się pewnej chronologicznej kolei, żeby nikogo nie skrzywdzić. Za uprzejme słowa o naszem piśmie serdecznie dziękujemy.

Jadzia K. w Zakopanem. Sukieneczka Twoja nadeszła zupełnie na czas i sprawiła wielką radość. Żądane numera i okładkę na r. 1898 posłaliśmy Ci, ale okładkę czerwoną, bo niebieskiej już nie było. Okładkę na rocznik ostatni wyszlemy w tych dniach. Dla p. Maryi załączamy najuprzejmiejsze wyrazy — nawał zajęć administracyjnych przy Nowym Roku nie dozwala nam jeszcze do niej napisać. — Ewa D. w Zabłotowie. Naturalnie, że życzeniu tak długoletniej prenumeratorki musimy zadość uczynić. Będziemy się starali o ile możności najprędzej wyszukać wolny kącik w „Wieku“ dla Twej łamigłówki. Lisia, Marylka i Milka W. we Lwowie. Ponieważ należy się Wam odpowiedź na parę miłych liścików, zatem Skrzydlaty Listonosz jeszcze raz powraca do Was, aby Wam powiedzieć, że właśnie w swych nadpowietrznych podróżach spotkał Waszą turkaweczkę — kazała się Wam kłaniać. Wygląda dobrze i jest zadowolona z powróconej wolności, jakkolwiek czasem jest jej trochę i chłodno i głodno. Kanarka mile wspomina.

Gwiazdka nadziei we Lwowie. Nagrodę otrzymałaś niepodpisaną, a to dlatego, że gdy przyszedł Twój posłaniec, w redakcyi była tylko p. Irena, której doktór zabronił jeszcze mieszać się do spraw redakcyjnych. Sądzimy jednak, że treść książki nic na tym braku podpisu nie straciła. — Biały bławatek i Biała lewkonia uczenice pensyonatu Wnej p. Zagórskiej: I owszem, łamigłówki Wasze chętnie z czasem zamieścimy. A w której też klasie jest ta lewkonijka, co już pisze tak poprawnie i sama łamigłówki układa? My pamiętamy z przeszłorocznych odwiedzin pewną bardzo niewielką osóbkę, a jest Was przecież tylko dwie siostrzyczki. — Konik polny we Lwowie. Czy przeczytałeś już pożyczoną książeczkę? — Aninka H. w Wadowicach. To trudno, gdy Cię oczka bolały nie mogłaś szyć — i tak, choć w inny sposób przyszłaś z pomocą biednym dzieciom. Za życzenia przesyłamy Ci wzajemne, wraz z serdecznem uściśnieniem.

Drzewko „Wieku Młodego“.

I oto znowu w tym roku, jak w ubiegłych latach, śliczna, płonąca blaskiem świateł choinka zwabiła do siebie liczny bardzo zastęp biednych dzieci, które odeszły uszczęśliwione, obdarzone ciepłą odzieżą lub bielizną, uszytą przez Was, kochane Czytelniki „Wieku Młodego“ łakociami przygotowanemi przez Redakcyę. Wezwanych i zapisanych do gwiazdki było dzieci 80-cioro — z tych każdo z dodatkiem tradycyjnych, drzewkowych bakalii otrzymało ładny i pożyteczny prezent w odzieży lub bieliznie — prócz tego jeszcze mnóstwo malutkich biedaków, którzy uprosili, aby im wolno było choć patrzeć na drzewko, stanowiące dla nich taki czarodziejski widok — obdzielono jabłkami i piernikami, których olbrzymie paczki ofiarowały w ostatniej chwili na drzewko: Marylka, Lisia i Milka Winiarzówny, Izia Małachowska i Walercia Bednarska.

Drznwko odbyło się dnia 21-go grudnia w szkole im. Staszica, o godzinie 4tej po południu. Mieszkające we Lwowie uczestniczki konkursów szycia, same dopomagały Redakcyi w rozdzielenin darów, i pewno było to dla nich wielką radością, widzieć wiele radości przysporzyły biednej dziatwie swą własną pracę. Sprawozdanie o drugim konkursie szycia zamieściliśmy w ostatnim numerze — poniżej podajemy wyszczególnienie darów nadesłanych na drzewko, poza konkursami robót:

Wni pp. Foltinowie, właściciele księgarni wydawniczej w Wadowicach, 6 ślicznych w złoconej oprawie książek do nabożeństwa, trzydzieści kilka książeczek do czytania, zawierających żywoty świętych, powiastki historyczne i t.p. 20 ślicznych obrazków, 5 tuzinów ołówków i obsadek do piór, pudełko pełne stalówek.

Ola Gorzeńska Ostroróg: bardzo ładną wełnianą sukienkę, doskonały ciepły płaszczyk, berecik i 6 koszul.

Adaś Frenkel: dwie kupione z własnych oszczędności lalki, dla których całkowitą wyprawę uszyła jego siostrzyczka.

Anulka Bilińska: ciepłą, ładną chusteczkę na głowę.

Marynia Milewska: 12 sztuk rozmaitej bielizny.

Flora Szczepanowska: doskonałe, bardzo ciepłe ubranie dla sporego chłopczyka.

Staś Krajewski: parę pudełek gier i książka.

Walercia Bednarska: płaszczyk watowany z peleryną, spory, niezmiernie ciepły i laleczkę.

Zosia i Mania Gwoździckie: paletocik jasny i takąż pelerynkę.

Dora Malinowska; ciemną wełnianą sukienkę.

Andzia Fedakówna: zarękawek, kołnierzyk i czapeczkę z białego baranka.

Wna p. Matzek: od siebie i znajomych dzieci 50 ślicznych świętych obrazków; kołnierz futrzany, ciepłą chusteczkę, 2 metry pąsowego z czarnem barchanu na bluzkę i parę trzewików.

Wna p. Sulimierska: 200 sztuk sporych pierników domowego pieczywa.

Paulinka i Gizella Brattówny: dwa pudełka łamigłówek.

Halcia Korytkówna, kilka sztuk bielizny i ubranie braciszka.

Ofiary pieniężne: Wna p. Gawrońska 2 złr. Jadzia Kronhelmówna 50 ct., Wna p. Matzek od Maniusi Zdobnickiej 50 ct., Staś Milewski 50 ct., Adaś Frenkel 35 ct. Natalia Kukuczówna 50 ct.



Rozstrzygnięcie konkursu historycznego.

Na konkurs historyczny obrazkowy, ogłoszony w numerze 21-szym z r. z. otrzymaliśmy ogółem 36 wypracowań — z tych 33 zupełnie dobrych a 3 dobrze napisanych, ale zmylonych pod względem tematu — widocznie czytelnicy nie odgadli co podany obrazek przedstawia. Nagrodę przysądzono Adamowi Mrożkowi, Sewerynowi Przybylskiemu, Luli Sternównie i Maryi Rodicz.; prócz tego na chlubną wzmiankę zasługują wypracowania: Anulki Sołtysikówny, Stasia Krajewskiego, Zosi Szczepańskiej, Dory Malinowskiej, Mścisława Dobrzyńskiego i Zosi Gwoździckiej. — Następny konkurs ogłaszamy w dzisiejszym numerze.

Na porto nagrody należy nadesłać 20 ct.

Składki.

Na dom opieki: Marylka, Stasinek, i Janinka Milewscy, uproszone zamiast podarków na Św. Mikołaja 5 złr. Aninka Hartmanówna 1 złr. Hela Kostro 50 ct. z życzeniem, aby czytelnicy „Wieku Młodego“ pamiętali o Domu opieki. — Na gimnazyum polskie w Cieszynie: Ańcia, Ońcia, Adaś i Tadzio Bieńkowscy 1 złr. 50 ct. — Na obiady dla głodnych dzieci: Jadzia Kronhelmówna 56 ct., Józia, Maryńcia, Franio, Jaś i Leoś Foltinowie, ich Wujcio, Mamusia i p. Adolfina razem 4 złr. 30 ct. Maruszka Żywicka 50 ct.

Nowości gwiazdkowe.

W ostatnich dniach przed Świętami, pojawiło się za oknami naszych księgarni aż jedenaście nowiuteńkich książeczek, wabiących wzrok świetną kolorową okładką, a wypełnionych ślicznemi rycinami, do których dodano tylko króciutkie, wierszowane objaśnienia. Są to więc książeczki dla najmłodszych czytelników, którzy ledwie zaczynają czytać, lub nawet poprzestają na oglądaniu samych tylko obrazków. Niemniej wierszyki, stanowiące tekst, ułożone zostały przez poetów o niepoślednim talencie literackim i głośnem już nazwisku, gdyż w przeważnej części złożyli się na nie Or-Ot i Józef Jankowski; to też te kilkowierszowe poemata, przy całej swej prostocie, nieraz odznaczają się prawdziwie poetycznym polotem, miłym humorem lub poruszającą małe serduszka rzewnością. Do najlepszych i najpiękniej illustrowanych zaliczamy: *Grzeczna Jadzia* i *Wesoły zwierzyniec* Jankowskiego, *Nasza wioska* i *Zimą i wiosną* Or-Ota (ta ostatnia książeczka może być bardzo miłym podarkiem nawet dla starszych już 8-mio, 10-cioletnich dzieci). Na szczególną uwagę zasługuje, ułożony przez Jankowskiego *Śpiewnik*, w którym podane w nutach łatwe a wdzięczne melodye, pełne prostoty piosenki i ładne, barwne ryciny, składają się na bardzo powabną całość. Zabawnym pomysłem odznacza się książeczka p. t. *Świat czarów*, w której za pociągnięciem tekturki, przymocowanej u dołu każdej kartki, obrazek przemienia się całkowicie, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. — Tytuły innych książeczek są: *Zwierzęta na rowerze*, *Za naszym płotkiem* Jankowskiego, Or-Ota: *Ach, jaka książka*, *Zaklęty świat* i *Mali cykliści*.

Wszystkie te książeczki wydane zostały nakładem księgarni Teodora Paprockiego i Sp. w Warszawie — główny skład dla Galicyi w księgarni L. Zwolińskiego i Sp. w Krakowie.

Serce Amicisa, ta prześliczna, na tyle języków już tłumaczona i tak chciwie przez młodzież czytywana książka, wyszła w drugiem wydaniu.

Zalecać ją, byłoby chyba zbyteczne, każdy prawie z naszych młodych przyjaciół, słyszał o niej, każdy albo zna ją, albo poznać pragnie. I słusznie, mało jest dzieł dla młodzieży, któreby z takiem zajęciem a zarazem prawdziwym pożytkiem moralnym czytywać można. Jest to niby dziennik młodego chłopca, oddanego do szkół. Każdy ustęp stanowi jakby osobny obrazek, wzięty prosto z życia a opowiedziany z pełną talentu prostotą i prawdą. *Serce* jest książką, która przez długi czas zachowa pierwszorzędne miejsce wśród dzieł dla młodzieży.



Łamigłówka zgłoskowa.

Lec — te — ri — dam — sa — nia — i — ni — gie — wid — le — a — mi — zra — by — sma — ge — e — ros — da — el — fi — i.

1. Imię pierwszego człowieka. 2. Miasto we włoskiej prowincyi Marchie. 3. Nazwa ludu wybranego. 4. Tłuszcz. 5. Stolica Beocyi. 6. Córka Agamemnona. 7. Król żydowski który ułożył psalmy. 8. Rodzaj poezyi. 8. Zatoka w morzu Egejskiem.

Litery początkowe dadzą nazwę zwycięzcy pod Platejami, końcowe zaś zwycięzcy z pod Maratonu.

Lisia i Marylka Winiarzówny.

Łamigłówka zgłoskowa.

Kra — ka — ta — a — wan — sfalt — nan — ty — dy — bę — u — e — ba — lew — dzie — ków — ki — dziec.

1. Miasteczko nad Czeremoszem. 2. Inaczej nazwa smoły. 3. Rodzaj pokrycia. 4. Ptaki pływające. 5. Część zwierzyny. 6. Owoc do jedzenia. 7. Uczenice. 8. Miasto w Galicyi.

Początkowe litery powyższych wyrazów czytane z góry na gół, a dalej końcowe czytane z dołu do góry dadzą nazwisko i imię kronikarza polskiego, który żył przy końcu XI. stulecia i na początku XII.

Od Redakcyi.

W miejsce „Dodatku nadzwyczajnego“ dołączony będzie w przyszłym numerze, jak zazwyczaj, dodatek książkowy, w którym rozpoczniemy druk nowej, ślicznej powieści, jednej z najulubieńszych autorek dla młodzieży.

TREŚĆ: Modlitwa na wstępie wieku. — Nowy Rok u podnóża piramid. — Nowy Rok. — W zameczku na kresach. — Na co zwierzętom potrzebne są barwy. — Skrzydlaty listonosz. — Drzewko „Wieku Młodego“. — Rozstrzygnięcie konkursu historycznego. — Składki. — Nowości gwiazdkowe. — Łamigłówki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 2. We Lwowie, dnia 15. Stycznia 1900. Rok VIII.



Lelek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

W zameczku na kresach.

(Opowieść historyczna).

(Ciąg dalszy).

— A poznałbyś dziadunia, gdybyś go zobaczył? pytała jeszcze babka, której słodko było słyszeć z niewinnych ust dziecka te radosne przepowiednie, będące ożywczą rosą dla jej zbolałego serca.

— Poznam! o poznam! jak tylko dziadzio się we drzwiach pokaże, zaraz zawołam: Dziaduniu, siadaj koło Oleńka i jedz kutię, bo zaraz będziemy kolędować!

— Oby to Bóg przemawiał przez twoje usteczka, dziecino moja! — westchnęła ze łzą w oku starościna, odpłacając szczodrze pieszczoty chłopięciu.

I wszystkie serca nagle, nie wiedzieć czemu, wezbrały słodką nadzieją, i wszystkie oczy zwróciły się na złotą główkę Oleńka, to znów na drzwi prowadzące do przedsionka, jakby już w radosnem oczekiwaniu rychłego spełnienia się tych słów, które pragnęli za proroctwo uważać.

Chłopię szczebiotało dalej, starsi milczeli, zbyt rzewnie i uroczyście nastrojeni, aby się zdobyć na podtrzymywanie rozmowy o rzeczach obojętnych; o tem zaś, co wszystkim wyrywało się z serca, usta mówić nie śmiały.

Nawet stary kredencerz, Jan, nieznacznie oczy ocierał, obnosząc dokoła stołu misy z tradycyonalnem jadłem. Skromniejsza tu dziś uczta była niż za dawnych, szczęśliwych czasów, gdy Imć pan Starosta sam się mięszając do dyspozycyi wilii, małżonce swej poddawał rozmaite potrawy, a do stołu swego gromadził liczne grono bliższej i dalszej rodziny — dziś i w doborze i liczbie dań, nie starościńską okazałość, a ledwie że chęć zadośćuczynienia starodawnym zwyczajom, znać było — a i tak niejedna misa schodziła nietknięta ze stołu, bo wzruszenie serca tamowało głód i chęć do jadła.

W tem drzwi od przedsionka skrzypnęły, na progu ukazały się dwie ciemne, w długie, mnisze habity odziane postacie. Z stłumionym okrzykiem zerwali się wszyscy od stołu, po ciemnych sukniach poznano braci zakonnych, którzy zajmowali się wykupem więźni z tureckiej niewoli. O! jakże drogimi sercu byli tacy goście w polskim domu, w czasach, kiedy oczy każdej rodziny niemal, zwracały się z bolesnem utęsknieniem ku Turecczyźnie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! zaczął starszy z braci — o gościnę prosimy na noc i jutrzejszy dzień święty, którego nie godzi się w drodze bez kościoła i modlitwy spędzić, choćby i najpiękniejszy cel krokom przyświecał.

— Witajcie dobrzy Ojcowie! gość w dom, Bóg w dom, a jeszcze też taki gość! — zawołała matka Oleńka, biegnąc z powitaniem ku przybyłym, a pani

Starościna przyciskając ręce zakonników do ust rozpalonych, niespokojnie pytała:

— Czy nie z Turecczyzny wracacie i nie niesiecie nam wieści jakich o nieszczęsnych jeńcach, po których serca nasze już lata całe ciężką noszą żałobę?

— Od Kamieńca teraz idziemy, gdzieśmy odprowadzili zastęp więźniów, których Bóg pozwolił nam z jarzma pogańskiego wykupić. Siła radości ludzkiej napatrzyliśmy się — za co niech chwała będzie Najwyższemu — ale i łez niemało popłynęło za naszem przybyciem, boć Kamieniec to twierdza*), szczególnie ponętna nieprzyjaciołom Krzyża, którzy radziby sobie w pośrodku ziem poiskich tak warowną fortecę przywłaszczyć, toż w licznych napadach na tę pożądaną zdobycz, niezliczone mnóstwo jeńców uprowadzają i nie ma tam prawie rodziny, w którejby stąd dawniejszej lub świeżej straty nie opłakiwano.

— A w pielgrzymce swej po pogańskiej ziemi, nie posłyszeliście święci Ojcowie wieści jakiej o moim nieszczęsnym małżonku, staroście Winnickim, którego trzy wiosen już brak między nami — pytała pani Barbara głosem zdławionym od niepokoju i bolesnego wzruszenia.

— Jako żywo! oglądaliśmy na własne oczy Imćpana Starostę — odparł starszy zakonnik z błyskiem w źrenicach. Zdrów jest, tylko przygnębion bardzo, oczekuje z upragnieniem zmiłowania Bożego i pamięci przezacnej rodziny, aby zań okup poganom posłała.

— Boże, dzięki Ci, żeś go przy życiu zachował! wzniósłszy ręce jak do modlitwy, z twarzą zalaną łzami radości wykrzyknęła Starościna. Ale wnet smutniejąc, dopowiedziała z ciężkiem westchnieniem: Jemu tam w srogiej niewoli dzień każdy wiekiem się wydaje, i może żal mu się w sercu przeciwko nam podnosi, żeśmy dotąd nie zgromadzili funduszów. Ano, Bóg widzi! że nie lekkomyślność, ani obojętność przyczyną tego opóźnienia: ale kraj po ciągłych napadach tureckich wyniszczony gorzej niż młoda ruń zboża po gradobiciu, choć kto i ma posiadłość jaką taką, grosza z niej wycisnąć trudno. — Lecz ja Ichmość Ojców tak trzymam u proga, zapamiętawszy się we własnych żalach — raczcie usiąść i posilić się czem Bóg dał; przecież to dzień tak uroczysty, a Ojcowie pewno zdrożeni.

— Bóg zapłać Jejmości, nie od tego nam, aby się posilić... ale nie sami jesteśmy; przybył z nami jeden z wykupionych więźniów, szlachcic z owruckiego powiatu, który nie zdążył do swoich na wigilią.

— A, mili Ojcowie, wskażcież nam, gdzie się podziewa ten człek — toż gościem nam będzie najmilszym taki, co się nacierpiał za Ojczyznę.

— Za progiem czeka, bo obcym będąc, a świeckim człowiekiem, nie chciał bez zaproszenia wstąpić do komnaty, gdzie rodzina sama zgromadziła się na wigilijną wieczerzę.

*) Patrz rycinę w poprzednim numerze „Wieku Młodego“.

Tu młodszy zakonnik drzwi do przedsionka otworzył i nagle okrzyk radości, stłumiony szlochem kobiet dobył się ze wszystkich piersi. Na progu stanęła wysoka a krzepka jeszcze postać, w której wszyscy, mimo szat zmienionych i niejednej bruzdy, jaką przebyta niewola, poorała jego oblicze, poznali imćpana Starostę Winnickiego, Aleksandra Bałłabana.

Mały Oleńko nawet, choć mówił, że dziadka prawie nie pamięta — i pamiętać nie mógł — jednak pociągnięty nieświadomym porywem dziecięcego serduszka, z głośnym okrzykiem: Dziadunio! ku drzwiom się puścił.

— Oleńku, to ty! ty wnuku mój najukochańszy! — powtarzał przybyły, tuląc chłopczynę ze łzami do piersi.

Radość zapanowała tak wielka, jakiej opisać nikt nie jest w stanie — od nóg odzyskanego tak nagle ojca rodziny, uszczęśliwione jego dzieci czołgały się do kolan pobożnych zakonników, którzy byli sprawcami tej radości i sami też dzielili ją sercem całem.

Nowina lotem błyskawicy gruchnęła po wsi. Zjawili się wnet kolędujący, wśród których i niedźwiedzia i kozy i jasełek z królem Herodem nie brakło. Cała wieś jakby zmartwychwstała na tę wiadomość, że pęta drogiego pana, po kilku latach niewoli, skruszone.

Oleńko już nie opuszczał kolan dziadka i raz po raz sam podawał mu do ust roztruhanik, który stary kredencerz, płacząc z radości, najprzedniejszem winem, jakie tylko miała piwnica, napełniał.

— Pij, dziaduniu, pij! zachęcał wnuk — to przecie nasz roztruhanik, twój i mój, boś mi go obiecał podarować gdy urosnę, a ja już bardzo duży jestem. Ale roztruhanika nie chcę całkiem na własność; wolę, żebyś z niego zawsze pił, przy każdym obiedzie, a mnie pozwól tylko się nim bawić, jak ci wcale a wcale potrzebnym nie będzie.

Starosta, podniósłszy w górę roztruhanik, drżącym od wzruszenia głosem, rzekł: — Piję to za wzrost twój i pomyślność w długie lata, abyś tak rósł jak dotąd w bojaźni Bożej i miłości ludzkiej! A ten roztruhanik, jako od paru wieków nasz rodowy, po twoim ojcu prawem starszeństwa do ciebie należy i daję ci go z błogosławieństwem.

Uradowany z daru malec rozweselił się bardziej jeszcze i wszystkich swoim miłym szczebiotem zabawiał. Nawet zakonni Ojcowie patrzyli na niego z serdecznym uśmiechem. Oni, których duchowne powołanie wiązało raczej z niedolą ludzką, niż z radością, tem bardziej cieszyli się tą chwilą szczęścia, na którą patrzeć im było dano.

Wigilijna uczta przeciągała się w późny wieczór, bo każdemu żal było powstać od stołu i rozerwać tak słodkie rodzinne zebranie. Postanowiono też doczekać tak razem chwili udania się na Pasterkę. — Nagle w oknach zjawił się silny blask niby ognia i jakieś niezwykłe krzyki słyszeć się dały. Pan Starosta, spojrzawszy w szyby, po za któremi migotała różowa łuna, przesłoniona niby obłokiem, śnieżną zadymką, rzekł wesoło:

— Aha! oto i chłopcy kolędnicy witają mnie pochodniami — snać pod moją niebytność nie zmienili starych obyczajów!

Lecz niedługo trwało omamienie; purpurowa łuna szerokim kręgiem roztoczyła się po niebie, aż się widno od niej zrobiło we wszystkich komnatach zamku — nie pochodnie kolędników, a chyba płomienie ogromnego pożaru mogły taką straszną jutrzenkę rozniecić! Stłumione oddaleniem krzyki, zmieniły się nagłe w bliski a złowieszczy pisk, zbyt dobrze niestety znany za owych czasów uchu każdego wojennego człeka.

Starosta zerwał się od stołu ze strasznym okrzykiem; Tatarzy! (C. d. n.).

Na co zwierzętom potrzebne są barwy

przez Dr. M. Stefanowską.

(Dokończenie).

Pozostaje nam teraz powiedzieć o ciekawych zwierzętach, które obdarzone są umiejętnością zmieniania swych barw w każdej chwili. Najznakomitszą pod tym względem jest jaszczurka, zwana kameleonem; skóra jej w mgnieniu oka przybierać może rozmaite kolory, z tego powodu opowiadają o tej nieszkodliwej jaszczurce najrozmaitsze baśnie. Ale znamy prócz tego masę innych zwierząt, obdarzonych taką samą własnością, jak kameleon; do takich zaliczają się liczne ryby, gady, raki i miękczaki głowonogi. Z tego właśnie powodu jednego z raczków morskich nazwano także kameleonem; zwierzątko to bowiem przybiera szarą barwę, gdy siedzi na piasku, ale staje się brunatnem, a nawet zielonem, ile razy kryje się między trawą morską tej barwy.

Tak samo czynią niektóre ryby. Pewien znany przyrodnik francuski, Pouchet, przedsiębrał nader ciekawe doświadczenia nad rybami w stacyi zoologicznej Concarnean we Francyi. Trzymał on młode ryby morskie w naczyniach, mających dno wysłane brunatną trawą morską, a skóra ryb stawała się w tym wypadku ciemną. Potem przenosił nagle ryby do naczynia, w którem dno usypane było białym piaskiem. Ryby wpuszczone do tego naczynia silnie odbijały od jasnego tła i wyglądały na niem, jak wielkie ciemne plamy. Ale szybko bardzo zaczynały blednąć coraz bardziej, a po upływie kilku godzin stawały się tak jasne, że z trudnością dostrzegać się dawały na białym piasku. Pouchet zauważył wszakże, że ryby te (turboty) nie zawsze tak szybko zmieniać mogą swe barwy, a gdy zostaną potem napowrót przeniesione na tło brunatne, to potrzebują 4 lub 5 dni, aby się stać brunatnymi. Ale jeżeli ryby często przekładać z jednego naczynia do drugiego, to zmiana barwy skóry dokonać się może w ciągu dwóch godzin.

Nie będziemy tu szczegółowo tłumaczyli czytelnikom naszym, jakim sposobem dokonywa się u tych zwierząt taka szybka przemiana barw skóry; wystarczy powiedzieć, że zwierzęta jak kameleon ryby i wiele innych okazujących tę własność, mają pod skórą mnóstwo maleńkich woreczków napełnionych płynami zabarwionymi. Woreczki mogą się kurczyć i rozszerzać, wskutek czego płyny w nich zawarte to się skupiają w drobne kropelki, to znowu rozlewają się dokoła, a te zmiany wywołują odmienne zabarwienie skóry.

Wyżej wspomniany przyrodnik Pouchet, odkrył także, że owa gra barw u zwierząt doskonale wykształconych, u kręgowców znajduje się w zależności od mózgu i nerwów. Jeśli bowiem zwierzę ulegnie skaleczeniu, które przerwie niektóre nerwy, to część skóry w miejscu uszkodzonem mienić się przestaje, wówczas gdy reszta skóry w dalszym ciągu zmienia swe barwy. Do odbywania się tych przemian widać potrzebny jest i wzrok, bo gdy zwierzę oślepnie, to skóra jego zmieniać się przestaje i odtąd nie może przystosowywać się do otoczenia t. j. naśladować tła, na którem się znajduje.

Zachodzi teraz pytanie, czy zwierzęta widzą barwy i czy widzą je tak, jak ludzie? Wiedzieć wprawdzie należy, że i między ludźmi nie wszyscy jednakowo widzą rozmaite barwy. Bardzo często zdarza się napotykać takie osoby, które nie widzą czerwonego koloru, nie odróżniają go od szarej albo od zielonej barwy. Opowiadano mi n.p. o jednym panu, który malował krajobrazy szaremi, jak mu się zdawało, farbami, z upodobaniem pokazywał swe prace znajomym i zwracał przy tem uwagę na piękne cieniowania szarych barw. Biedak nie wiedział o tem, że jego malowidła były potworne, gdyż wykonane były jaskrawemi czerwonemi barwami. Taki brak wrażliwości oka na czerwoną barwę nazywa się daltonizmem.

Co się tyczy zwierząt, to robiono już liczne doświadczenia, aby się przekonać, czy zwierzęta widzą rozmaite barwy. Z doświadczeń tych wysnuwa się wniosek, że rozmaite zwierzętą istotnie widzą barwę i jak się zdaje, widzą je tak jak my. Każdy gatunek zwierząt okazuje wyraźno upodobanie do jednego jakiegoś koloru i poszukuje takowego. Tak naprzykład zwierzęta latające i wogóle zwierzęta lubiące światło najczęściej okazują największe upodobanie do barwy niebieskiej i zielonej. Przeciwnie zwierzęta, które przebywają w ciemności, a uciekają od światła, najmniej boją się czerwonej barwy.

Co dziwniejsze, liczne zwierzęta odczuwają nawet takie promienie światła, których nasze oczy dojrzeć nie są w stanie: są to tak zwane promienie pozaczerwone i pozafioletowe w widmie słonecznem, o czem przed dwoma laty była już w „Wieku Młodym“ mowa obszerniej. Dodajemy jeszcze, że niektóre niższego ustroju zwierzęta, z natury ślepe, odróżniać jednak umieją nietylko światło i ciemność, ale prócz tego okazują wyraźne upodobanie, do niektórych promieni światła kolorowego. Zauważono to zwłaszcza u dżdżownicy, znanego wszystkim czerwonego robaka, który żyje w ziemi, a po deszczu ukazuje się na jej powierzchni. Ponieważ dżdżownica oczu nie ma, a jednak okazuje upodobanie

do niektórych barw, przeto przypuścić należy, że ona odczuwa te barwy za pomocą skóry. Dżdżownica przykładem swym zaprzecza rozpowszechnionemu przysłowiu, „że ślepy nie powinien sądzić o kolorach.“

Z całego opowiadania naszego o barwach wysnuwa się wniosek następujący:

Barwy mają w życiu zwierząt nader ważne znaczenie; zwierzęta najczęściej przybierają takie barwy, jakie najlepiej chronią je od nieprzyjaciół i dlatego to zwierzęta przystosowują się do otoczenia t. j. naśladują barwę otaczających je przedmiotów i na tem tle stają się niewidzialne.

Po śniegu i lodzie.

Zima — na szerokich przestrzeniach pól śnieg iskrzy sę brylantowo w dni słoneczne, a pod zachmurzonem niebem ściele się w chłodne, błękitnawe cienie, czarwne kawki i gawrony, kracząc głośno, stadami obsiadają szczyt dzwonicy, albo wierzchołki drzew bli-



skich siedzibom ludzkim — płochliwsza i ostrożniejsza szara wrona, w niezgrabnych podskokach, lub podlatując ciężko, okrąża te siedziby z większej odległości, ale i ona się przybliża, rada upolować jaki kęs wyrzuconej strawy, bo nie ma nadziei, aby jej udać się mogło polowanie na szybkonogiego zająca, który sam jeden białą płachtę pól znaczy szerokim ściegiem swoich skoków.

Pusto też na tych polach i głucho, ale przecież nie smutno wcale; czuje się prawie, że pod tą śniegową pościelą spoczywa, przyszła, bujna ruń młodych zbóż, a tymczasem, to przydrożna jarzębina w półzmarzłym, szklistym koralem jagód swoich rozweseli oko — to przytulona w kotlinie tarń, w siwym kożuszku, przerwie jednostajność bieli — to zamajaczy na horyzoncie lasek, to wioska na wzgórzu wyszle prosto w niebo błękitne smugi dymu swoich kominów... Konie parskają ochoczo, biegnąc po utartej wożeniem sągów drodze, dzwonią dzwonki, śnieg szumi pod płozami sań — jedziemy rączo, nie czując nawet jak mija milka za milką — aż oto, z obu stron drogi migają już słupy telegraficzne, pokazując nam, żeśmy już z polnej drogi zjechali na gościniec. Mijają nas jedni i drudzy, jadący w tę samą stronę — tu wiozą siano, tam drzewo, tu w workach zboże, czy mąkę z młyna — piechotą, przy naładowanym na targ wozie, idzie chłop w kożuchu i długich butach; żyd kiwa się na kałamaszce naładowanej wysoko kojcami z żywym drobiem; pięknym, dzwoniącym brzękadłami zaprzęgiem, szeroko w saniach rozparty minął nas jakiś pan w szubie niedźwiedziej — przed nami i za nami ruch się zwiększa, z daleka widać czerwone dachy zabudowań, to stacya kolei, do której się zbliżamy — już dojeżdżamy — już widzimy ogołocony ze śniegu, uczerniony węglem tor kolejowy, którego szlakiem, błyszczącym do słońca podwójną nicią szyn żelaznych, biegną nasze oczy już naprzód w dal, przez białe przestrzenie, zanim nas po tych szynach w wygodnym, ciepłym wagonie, para uniesie do niezbyt odległego miasta, gdzie zdążamy.

Tak jest u nas.

Ale zima nie wszędzie takie same maluje krajobrazy, nie wszędzie człowiek tak samo podróżuje po śniegu i lodzie. W krajach, gdzie zima sroższa i dłuższa, większe zapasy śniegów wysypuje ze swojej komory i zagrzebuje w ich przepaścistych puchach wszelki ślad życia przyrody, gdzie lodowym pancerzem okuwa ziemię na długie, długie miesiące martwoty — człowiek jeden nie poddaje się jej przemocy: rusza się, żyje, pracuje pod jej mroźnem tchnieniem, a nawet umie wyzyskać jej surowość, dla uciechy swojej lub pożytku. W górzystej, śniegiem zasypanej Norwegii, gdzie zima w większej części kraju trwa przez ośm miesięcy, a osady ludzkie, z powodu ostrości klimatu i górskiego położenia są coraz rzadsze, gdzie utrzymywanie konia należy do zbytku, wymyślili sobie ludzie bardzo łatwy i prosty sposób przebywania po śniegu na własnych nogach, rozległych przestrzeni. Tym sposobem jest jazda na „ski“, olbrzymich łyżwach drewnianych, płaskich, na których sunie się z błyskawiczną szybkością, jakby na płozach sań — tylko, że

płozy te przymocowane są wprost do nóg podróżnego! Szybkość jazdy na „ski“ nie da się porównać z naszą zwykłą ślizgawką; prześciga najszybszy bieg konia, a przedstawia jeszcze tę dogodność, że nie ma dla niej złej drogi; zawiane śniegiem parowy i wądoły przebywa podróżny sunąc lekko po wierzchu zasp, na szczyty wybiega rozpędem, przepaści przebywa śmiałym skokiem, który czyniony w bajecznym prawie rozpędzie, bajecznej też jak dla nas bywa długości. Łyżwiarz w skoku leci, jak ptak rzucony w powietrze, a ledwo nogą dotknął znowu śniegowej powierzchni, umykająca łyżwa i odepchnięcie się kijem od ziemi już znowu porywa go naprzód. Jadąc na „ski“, można nawet bez wielkiej niewygody dźwigać na sobie niewielkie pakunki. Ale jeżeli dalsza podróż i w liczniejszem gronie, wymaga zabrania większej ilości towarów lub zapasów, przemyślność ludzka poradziła sobie inaczej, aby właśnie ostrość tamtejszej zimy, która utrudnia utrzymywanie zwierząt pociągowych, zaprządz do roboty w przewożeniu większych ciężarów. Oto gościńcami stają się wtedy rzeki i jeziora, pokryte grubą skorupą lodu; ciężary ładuje się na oryginalne sanki, opatrzone żaglami, a mroźny wicher zimowy zastępuje bystre rumaki: dmąc w umiejętnie nastawiony żagiel, popycha lekko suwające się sanki po ślizkim gościńcu lodowym, zaś opatrzona w łyżwy i kije drużyna podróżnych, towarzyszy im pieszo po lodzie, czasem pomagając je ruszyć z miejsca przez popchnięcie, czasem przeciwnie, używając w pełnym biegu pewnego rodzaju wypoczynku, przez oparcie się ręką na ich krawędzi.

A cóż, czy taka żaglowa podróż na łyżwach, byle w ochoczej gromadce dzielnych i miłych towarzyszy, pomimo, że mróz smali jak ogniem, nie kusi was i nie pociąga nowością młodzi zwolennicy łyżwiarskich popisów?

Im dalej ku północy, tem dziwniejsze dla nas sposoby podróżowania. Oto jesteśmy już po za dziedziną kolei i koni — chłodnym blaskiem księżyca na białych śniegach rozwidniona, lub zrumieniona łuną zorzy północnej, ogarnia nas długa, nieprzerwana noc arktyczna; zdaje nam się — że tu już chyba bezspornie zwyciężyła żelazna martwota zimy, — że tylko mróz wyiskrzony, stopami olbrzyma przechadza się po tem białem, nieprzejrzanem pustkowiu i śmiertelnie ziębiącą ciszą, obwieszcza: „Ja tu królem“. Ale oto, chwilami jak cień czarny, chwilami jak złota plamka na śniegach posuwając się w świetle księżyca, — mknie przed nami lekki zaprząg Lapończyka, zadając kłam tym przechwałkom zimy; ren tryumfalnie potrząsa rozłożystymi rogami, jak gdyby chciał powiedzieć srogiej władczyni! „Nie zdławisz życia, nie wyziębisz ciepła do do szczętu!“.



A dalej jeszcze, ku biegunowi, pies, wierny stróż i przyjaciel, dzieli twardą dolę człowieka, uwozi go, po przez tundry i pola lodowe, w lekkich, powiązanych z rybich kości saneczkach, a człowiek wobec całej grozy, całej potęgi tamtejszej zimy, wobec jej zwycięstwa nad całą przyrodą, jeszcze się nie poddaje, jeszcze walczy, jeszcze pod całunem grobowym wiecznego śniegu, wytwarza ciepło, nietylko to, w śniegowej chacie, u dymiącego tranem ogniska, ale to stokroć wyższe i świętsze



ciepło uczuć rodzinnych i przywiązania do tej nawet tak niegościnnej ziemi: ciepło serdeczne — wśród całej martwej przyrody najpiękniejszy, najwyłączniejszy przywilej człowieczeństwa! *Z. M.*

„Na własne oczy".

(podług H. M. Casenova.).

— „Mniejsza o to, Joasiu, nie mam czasu dłużej szukać lub czekać. Zresztą niebo się wypogadza, mogę iść bez parasola — ucałuj rączki mamie odemnie; nie mam czasu się żegnać — Boże, to już pół wybiło! okropnie się spóźnię!" — i zbiegłszy prawie pędem z kilku schodów prowadzących z ganku na ładny, krzewami wysadzany dziedziniec, Idzia pospieszyła równie żywo ku ogrodowej furtce, aby przez nią wydostać się na szeroką, topolową ulicę, którędy wypadała jej codzienna droga do szkoły.

Torba z książkami i blok rysunkowy chwiały się jej w ręku, wiatr rozwiewał jej nad czołem jasne włosy, i poruszał szerokiemi skrzydłami kapelusza, usiłując go jej zedrzeć z głowy, ale Idzia nie zważała na to wcale i biegła coraz to prędzej. — Powiatowe miasteczko z sześcioklasową szkołą, do której uczęszczała, odległe było o dobrych dwadzieścia minut drogi od domu doktora; to też w zimie dzieci odbywały tę drogę małemi, jednokonnemi saneczkami — w lecie szły pieszo i przechadzka taka wydawała im się bardzo przyjemną, tylko Idzię wiecznie trapiły obawy, że się spóźni i będzie zapisaną do katalogu.

— Ida! Ida! czemu tak gonisz? nie pali się! — zawołał nagle za nią chropawy a zdyszany głos, który, jak to zwykle bywa u chłopców na wyrastaniu, w zabawny sposób łączył nuty najwyższego dyszkantu z tonami głębokiego basu.

Ida obejrzała się — rosły, czternastoletni chłopiec doganiał ją, dobywając już widocznie ostatniego tchu.

— Na, masz parasol! — to dopiero wygoda i przyjemność mieć taką siostrunię! gdzieżeś ty znowu dzisiaj oczy podziała? parasol stał tuż koło drzwi w przedpokoju.

— Jak masz tak marudzić, to mogłeś za mną nie biegnąć, obeszłabym się — mruknęła Ida odbierając trochę zbyt gwałtownie parasol z rąk brata. — Oczów nigdzie nie podziałam — ale gdy się kto tak spieszy...

— Spieszy czy nie spieszy to dla ciebie wszystko jedno, nigdy nie widzisz co się wkoło ciebie dzieje. Tak jak wczoraj, odwołałaś mnie od śniadania, żeby mi pokazać wiewiórkę na drzewie w ogrodzie, a to był po prostu rudy, angorski kot młynarza.

— Czyż to nie można się pomylić? zobaczyłam przez gałęzie taki rudy, puszysty ogon!

— Pomylić się można, ale gdy się czego nie jest pewnym, to nie trzeba tego utrzymywać z taką stanowczością i upierać się przy swojem zdaniu. Ja już daleko wolę system naszej Joasi: „Mnie się coś widzi, jakby panicz miał dziurę na łokciu..." — mówi flegmatycznie — i „widzi jej się" to dopiero, gdy mi już łokieć całkiem wylazł. To w każdym razie lepszy sposób, niż twoje wieczne „na własne oczy widziałam!" gdy właściwie nic nie widziałaś, boś nawet nie popatrzyła dość uważnie, żeby coś zobaczyć! Ciekawym bardzo czy ty i w szkole taka roztrzepana i tak pleciesz co ci na myśl przyjdzie?

— Daj mi spokój — możesz sobie iść w swoją stronę — tędy krótsza droga do gimnazyum a ja wcale nie potrzebuję twego towarzystwa i twoich niegrzeczności — odrzuciła Ida wielce obrażona tem porównaniem jej z ograniczoną nieco służącą Joasią.

— I owszem; bo i ja wolę pójść krótszą drogą — odparł dobrodusznie Rajmund i skręcił w boczną ulicę miasteczka, prowadzącą do nowo założonego przed dwoma laty gimnazyum.

W tej chwili zerwał się silniejszy jeszcze wiatr i deszcz zaczął padać. Ida otworzyła parasol i pochylając go naprzód, aby się nieco przed wiatrem osłonić, szła dalej żwawym krokiem. Tymczasem na nieosłoniętych plecach złoty jej warkocz zbierał na siebie duże, srebrne krople, a błękitna wstążka, wiążąca go u końca, zmoknięta i opuszczona zwisała na płaszczyku.

Wdzięczne i pociągające to było stworzenie, ta jasnowłosa Idzia. Z rumianej i po dziecinnemu zaokrąglonej twarzyczki patrzyły oczy piwne, zawsze takie figlarne i uśmiechnięte, jakby się w nich odbijał promień słońca. I w tej chwili także zniknął już z nich najlżejszy ślad niezadowolenia; spoglądała z uśmiechem za oddalającym się bratem mówiąc sobie w duchu, że takiego zgrabnego chłopca, jak Mundzio, w całej okolicy drugiego nie ma. A poczciwy jest także — trudno temu zaprzeczyć — choć trochę nagderał, ale przecież przyniósł jej parasol, żeby nie zmokła! inny brat by pewnie tego nie zrobił.

Ida i Rajmund byli jedynemi dziećmi powiatowego lekarza, mieszkającego w ładnym, wiejskim prawie dworku, odległym pół kilometra drogi od miasteczka, w miejscowości górskiej, niezmiernie malowniczo położonej i wyposażonej w pyszne świerkowe lasy. Latem okolica ożywiała się bardzo, wiele rodzin bowiem zjeżdżało tu na letnie mieszkanie. I dom doktora gromadził wtedy pod swym gościnnym dachem liczne grono krewnych ze stolicy, a wtedy przez dzień cały ogród i wszystkie pokoje dworku rozbrzmiewały echem wesołych, młodych głosów.

To były chwile szczęścia i radosnego ożywienia w życiu Idy i Mundzia. Za to, z pierwszymi jesiennymi chłodami, mieszkańcy miasta powracali do siebie, dom doktora uciszał się, okolica pustoszała; drzwi niejednej ładnej willi, postawionej wśród lasu, zamykano na rygle aż do następnoj wiosny — i tylko zgrzyt i świst paru

tartaków przerywał ciszę panującą dokoła. Dla Idy i Mundzia zaczynało się życie spokojniejsze ale niemniej miłe; ciepło rodzinnego ogniska ogarniało ich i łączyło silniej jeszcze wszystkie serca — rodzice mieli więcej czasu zajmować się dziećmi; wspólne czytania wieczorne, długie przechadzki lub przejażdżki z ojcem w pogodne dni, urozmaicały czas. Pozbawione towarzystwa innych rówieśników, rodzeństwo spajało się ze sobą węzłem coraz silniejszego przywiązania — drobne utarczki, ktore zdarzały się od czasu do czasu, nie przeszkadzały temu wcale; po sprzeczce jak i przed sprzeczką Ida i Rajmund gotowi byli pójść za sobą w ogień i wodę.

Ida zwłaszcza, jako dziewczynka, więcej tkliwa i odczuwająca wszystko sercem, lepiej jeszcze oceniała wdzięk tego słodkiego, rodzinnego pożycia. Czuła się dumną i szczęśliwą, gdy rodzice coraz bardziej garnęli ją ku sobie, gawędzili z nią serdecznie i otwarcie jak z osóbką godną zanfania.

Starała się też na to zasłużyć — choć swoją drogą przy najlepszem sercu i tysiącznych miłych zaletach, pozostało jej jeszcze z dzieciństwa parę wad, które zdawały się potęgować z wiekiem i budziły już poważne obawy o przyszły rozwój jej charakteru i tak bardzo zależne od tego szczęście.

O drugiej popołudniu dzwonek szkolny dał hasło zakończeniu nauki — dziewczynki, jak brzęczący rój pszczół wysypały się ze szkoły; Ida na rogu ulicy przystanęła dla pożegnania się ze swą najukochańszą koleżanką i przyjaciółką — pożegnania naturalnie potrwały dobry kwadrans, aż nareszcie posyłając sobie jeszcze ręką od ust całusy — obie dziewczynki rozbiegły się w przeciwne strony.

Niebo przez tych kilka godzin wypogodziło się zupełnie i jaśniało najczystszym błękitem — promienie słońca odbijały się złotym blaskiem w przydrożnych kałużach, purpurowe i żółte liście drzew i krzewów mieniły się żywszemi barwami po deszczowej kąpieli.

Ida lekkim krokiem i z uśmiechem na ustach, rozradowana pogodą, wracała do domu. — Aha, to dziś na obiad kruche ciastka z konfiturami! — pomyślała z zadowoleniem — ciekawam czy Mundzio wie o tem? A co lepsze od ciastek, to, że zaraz po obiedzie tatko każe zaprzęgnąć do tarantasa i zabierze nas ze sobą na swój objazd. Pogoda taka śliczna, będziemy zbierać kasztany w alei, podczas gdy tatko będzie u państwa Janów, a potem może wstąpimy na kawę do leśniczówki — o, co za szczęście!

Na skrzydłach dziecinnej radości Ida spieszyła coraz to prędzej w stronę domu — oto już minęła ulice miasteczka: poza ostatnimi budynkami droga zwracała się na lewo, ponad brzeg niewielkiej ale bystrej rzeczki; na samym zakręcie wznosił się ogromny, świecący jeszcze białemi deskami i otoczony rusztowaniami tartak, który wzrósł tu nagle w ostatnich tygodniach jak grzyb po deszczu.

Ida zawsze z zajęciem przypatrywała się tej, tak szybko podnoszącej się budowie; czasem nawet przystawała chwilę, aby ciekawie zajrzeć do środka — dziś, zdaleka spostrzegła gromadkę ludzi skupionych przed tartakiem, radzących o czemś z widocznem przerażeniem na twarzy — w pośrodku gromadki na pustem miejscu, dokoła którego wszyscy chylili się ze smutkiem i trwogą, spoczywał na ziemi człowiek omdlały czy martwy...

Ubrany był w bluzę robotnika, twarz okolona ciemnym zarostem bieliła się trupią bladością, a z pod głowy, cienki strumień krwi sączył się tworząc coraz to szerszą, purpurową plamę na białej desce, którą towarzysze podsuwali pod niego ostrożnie, usiłując ciężką, bezwładną postać, dźwignąć na te improwizowane nosze.

Objąwszy ten bolesny widok jednym rzutem oka, Ida wzdrygnęła się z przerażenia; tkliwe jej serduszko ścisnął żal szczery, głęboki, nad niedolą bliźniego. Twarz nieszczęsnego robotnika wydała jej się dziwnie znana — chyba nie dawniej jak wczoraj jeszcze, spotkała tego samego człowieka na drodze do szkoły, prowadzącego za rękę małego, jasnowłosego chłopaczka, który szczebiotał tak wesoło, podnosząc na ojca jasne, uśmiechnięte spojrzenie. Czy podobna, żeby to dziecko, wczoraj jeszcze tak szczęśliwe, dziś miało już zostać sierotą?

(C. d. n.)

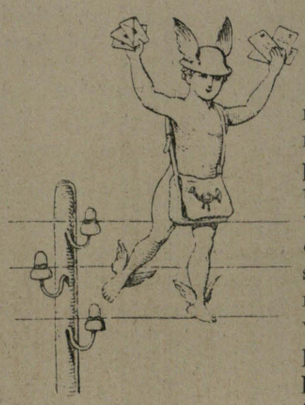

Skrzydlaty listonosz.

Roman D. w Cieszynie: Jeżeli Twój list do nas był dla ciebie „pokrzepieniem“ i dodał Ci siły, to i my o nim musimy powiedzieć to samo: rosną chęci do pracy, rośnie serce, gdy się widzi, że ta praca przynosi plon serdeczny, umiłowany, dla którego została podjętą! Dziękujemy Ci przeto za twoje słowa i życzenia, a życzymy wzajem, żeby ta „jasna od wystrzałów“ reduta twego „idealizmu“ coraz olbrzymiała, świeciła w istocie kiedyś jak głaz bodący morze... — Dora Mal. we Lwowie: Nie, nie odgadłaś, bo nie Białej Babci powieść chcieliśmy Wam zapowiedzieć w książkowym dodatku — a co więcej, zaczynamy dziś druk nie tej samej którąśmy zapowiadali, bo autorka na czas jej nam nie nadesłała. Ale czytelnicy nasi nic na tem nie stracą, że na tamtą trochę poczekają, bo redakcya zawsze ma coś w zapasie — a tym razem nawet coś bardzo ładnego.

Lila T. w Krakowie. W ostatnim numerze nie mogliśmy Ci odpowiedzieć, bo list Twój nadszedł gdy nasz listonosz był się już wybrał w drogę. Przesyłamy wzajem szczere życzenia wszystkiego najlepszego tak stałej Przyjaciółce, która z malutkiej, samemi obrazkami zajmującej się dziewczynki, wyrosła nam na wcale już

poważną (jeśli będziemy sądzić po piśmie i stylu listów) czytelniczkę. Również serdeczne pozdrowienia łączymy dla starszego brata, który już Wiek Młody na Homera zamienił. Prenumerata Twoja uiszczoną jest do 1-go stycznia — nie mogłaby nawet być do marca, gdyż zawsze otrzymywaliśmy od Was albo półroczną, albo całoroczną prenumeratę. — Małgosia z Londynu. A więc mimo twego dłuższego milczenia, Wiek Młody zawsze jeszcze zachował swoje dawne miejsce w Twojem serduszku. Ucieszyło go to bardzo a bardzo, bo choć mu z każdym rokiem przybywa mnóstwo nowych przyjaciół — starych a tak kochanych nikt zastąpić nie zdoła. Twoje polskie siostrzyczki odwiedzając Redakcyę nieraz dopytują się o Ciebie.

Feluś i Maryna Z. w Cieszacinku. Choć na małym skrawku papieru przesłaliście nam dużo miłych słów, za które serdecznie dziękujemy. — Marya Cz. i Marya O. we Lwowie. Skoro razem prenumerujecie „Wiek“, to i chyba nagrodą będziecie się musiały jakoś podzielić, gdy ją Wam kiedyś los przeznaczy. — Cyganka, najwierniejsza przyjaciółka „Wieku Młodego. Oj, jakaś dziwna to cyganeczka co się odznacza taką wyjątkową słałością, a nawet podobno ma niebieskie oczy i ogromny złoty warkocz. Jak jest. tak jest — my się wierną przyjaźnią tego serduszka bardzo cieszymy. P. Irena dziękuje ci serdecznie za pamięć — już jest całkiem zdrowa ale nie wychodzi jeszcze z domu i zupełnie podziela Twoje zdanie, że to bardzo nieprzyjemnie być tak długo zamkniętą. Włodzia S. należała dotąd stale do naszych czytelniczek i sądzimy, że i w tym roku należeć będzie — ale pisuje do „Wieku“ bardzo rzadko.

Alfred R. w Wiedniu. Życzenia Twoje spełniliśmy w miarę możności — okładek na ten tomik biblioteczki nie posiadamy, bo w ogóle z powodu choroby Redaktorki, nie zajmowaliśmy się w tym roku wcale rozsyłaniem okładek — wszystkie więc zamówienia trzeba adresować wprost do pracowni introligatorskiej A. Getritza, Lwów, plac Trybunalski. Za to numera 9-te posłaliśmy Ci aż dwa, z dwóch ostatnich lat, nie wiedząc dokładnie którego potrzebujesz. — Polska dzieweczka z nad Wisły. Miło nam, że powieść „Rodzeństwo“ zadowolniła wszystkie Czytelniczki — dobrze, że zaraz od 1-go numeru zaczynacie nadsełać rozwiązania zagadek; jeśli wytrwacie w pilności, niezawodnie w ciągu roku wylosujecie nagrodę. — Biała lewkonia uczenica pensyonatu Wnej p. Zagórskiej. Widzimy z Twego listu, że dla uczenic V-tej klasy konkurs kaligrafii jest już całkiem zbyteczny, bo i tak piórem znakomicie władają. — Zosia K. w Kołomyi. Żałujemy bardzo, że nie starczyło Ci czasu na odwiedzenie nas — długoletnia przyjaźń byłaby się jeszcze wzmocniła osobistem poznaniem. Obiecanego, dłuższego listu czekamy. — Pszczółka z Kębłowa. „Własnoręczny“ list od pszczółki to rzadkość, nikt nie zaprzeczy. Twój był tem milszy, że taki obszerny i pełen treści. Bogu dzięki, że już teraz zdrowio Twoje nie przynosi zmartwienia Mamuńci i nie przeszkadza Ci w naukach. A wiele lat ma ten braciszek, na którygo Ty patrzysz jak na wieżę? O okładkę upomnieliśmy się w Twojem imieniu — zapewne już Ci została wysłaną. — Halka Sz. we Lwowie. Czekaliśmy Twego listu z odpowiedzią. — Choć powieść o którą prosisz nie wyszła jzszcze w osobnym tomiku, postaramy się zadość uczynić Twemu życzeniu.

Turystka Tatrzańska. I Redakcyi bardzo miło, że Cię poznała osobiście, a Skrzydl. Listonosz będzie teraz tem chętniej pośredniczył między nami. Okładek na Biblioteczkę również nie ma w tym roku do nabycia w redakcyi — jeśli Bóg da zdrowie na przyszły rok będzie znowu wszystko po dawnemu. Na serdeczne uściski godzimy się bardzo chętnie, na nieśmiałe mniej, bo pragniemy właśnie, aby wszystkie czytelniczki miały względem nas zupełnie przyjacielskie zaufanie i śmiałość. Marya E. we Lwowie. Żądaną kartkę jużeśmy Ci raz wysyłali — zapewne zginęła na poczcie; obecnie nie wiemy której kartki Ci brak, bo wszystkie zamówienia i reklamacye niszczymy zaraz po ich załatwieniu — przeto napisz raz jeszcze, numeracyę brakujących Ci stronic — a włożymy kartkę, żeby pewniej doszła, w jakiś zbywający stary numer i tak Ci ją przeszlemy. — Staś D. w Stanisławowie. A czemu nie zaszedłeś do nas będąc we Lwowie? Redakcya bardzo ciekawa czyś bardzo urósł. — Zosia Sz. we Lwowie. Twoje pierwsze łamigłówki ułożone całkiem dobrze, zamieścimy je jak tylko na nie kolej przyjdzie.

Stały przyjaciel w Dublanach. Życzenia, choć spóźnione zawsze równie nam miłe, gdy pochodzą od takiego rzeczywiście stałego przyjaciela. Wypracowanie Twoje odczytamy razem ze wszystkiemi, gdy upłynie termin konkursu — pewno musi być dobre, jak zwykle, tylko pisz mniej ściśle, bo mimo że pismo ładne, Redakcyę oczy bolą po odczytywaniu go. — A. B. C. we Lwowie. Choć list podpisany tylko pseudonimem, coś nam się zdaje, że jego autor już nie z abecadłem ale z greką ma do czynienia i bardzo niedawno był w redakcyi dla zaabonowania po raz pierwszy Wieku — a co, czy zgadliśmy? Rozwiązuj nadal pilnie łamigłówki a z pewnością wylosujesz kiedyś nagrodę.

(Dla braku miejsca dalszy ciąg odpowiedzi w następnym numerze).

Do nagrody wylosowani: Ella Jonaszówna, Błazenek z Krakowa i Zosia Kyszyńska

Składki. Nenio i dolusia Tillowie na gimn. pols. w Cieszynie 13 złr. Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny na Dom opieki 1 złr. 25 ct. Jan Maramarosz na obiady dla głodnych dzieci 50 ct.

Sprostowanie.

W numerze 1szym tegorocznym w dwuwierszu kończącym artykuł: „Nowy rok u podnóża piramid“ wydrukowano przez omyłkę.

„I nad cichą pustynią szlą echem w błękicie“.

Ma być: „I nad cichą pustynią szła echem w błękicie“.

TREŚĆ: W zameczku na kresach. (C. d.). — Na co zwierzętom potrzebne są barwy. (Dok.) — Po śniegu i lodzie. — Na własne oczy. — Skrzydlaty listonosz. — Do nagrody. — Składki. — Sprostowanie.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 3. We Lwowie, dnia 1. Lutego 1900. Rok VIII.



Orlęk młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

W zameczku na kresach.

(Opowieść historyczna).

(Ciąg dalszy).

Szybko jak błysk piorunu rzucił się pan Starosta, znanem sobie przejściem, do swojej dawnej zbrojowni, w której nic zmienionem nie zastał, bo wszystko od lat nietknięte, na jego powrót czekało — a gdy się w mgnieniu oka, zjawił znowu z powrotem w jadalni, nikt w tej chwili nie byłby, w wyniosłej, zbrojnej postaci, poznał owego, niewolą i całoroczną, pieszą podróżą znużonego pielgrzyma, jakim przed paru godzinami stanął na progu swego domu — ani tego łagodnego męża, który pieszcząc i tuląc na kolanach złotowłose wnuczę, z takiem się rozrzewnieniem do dzieciny uśmiechał. W tej chwili był to już tylko znów, jak przed laty, rotmistrz królewski, Aleksander Bałaban, gromkim głosem przywykły dawać rozkazy, a żelazną prawicą bronić kresów tej miłej Rzeczypospolitej, w której jego męstwo szeroko słynęło. — Był to lew zbudzony i rozsrożony gniewem, że wróg zuchwały, śmiał najść jego własne gniazdo. Wypadł za próg, w dziedziniec, młyńcem szabli krzyż znacząc przed sobą, a komenda: „Jezus! Marya! bij!...“ zabrzmiała krótko, dźwięcznie i twardo, jak dźwięk trąbki bojowej.

Już też za ojcem i panem, synowie i czeladź rzucili się hurmą, i nie trzeba im było dwa razy powtarzać rozkazu. Na progu domu, jakby bronić chcąc wstępu, zostali obaj bracia zakonni, podniesionymi krzyżami swoich długich, od pasa wiszących różańców, błogosławiąc walczących, w których szeregi, duchowna szata mięszać im się nie pozwalała. W ustronnym alkierzu, pani Starościna i inne białogłowy, zebrawszy około siebie cały dwór niewieści, rzuciły się na kolana przed oświeconym, zawsze płonącą lampką obrazem Bogarodzicy, i jękliwym, przytłumianym obawą zdradzenia się chórem, odmawiały litanię.

W dziedzińcu bójka zawrzała już nie na żarty; już z jednej i z drugiej strony krew się polała — Tatarstwo, rozwścieczone niespodziewanym oporem (bo wiedząc o nieobecności pana Starosty i o gromadzeniu przez rodzinę okupu za niego, po pewne łupy się tu wybrali) teraz, piszcząc i skowycząc, starało się powiększyć zamięszanie bitwy przez podpalenie gospodarskich budynków starosty. W istocie zgiełk i tumult powstał wnet straszny; napadnięci musieli już nietylko odpierać dzicz, ale i tłumić, szybko szerzący się pożar słomianych dachów — Tatarzy, korzystając z zamięszania, swoim zwykłym złodziejskim zwyczajem plądrowali stajnie i obory, i wdarłszy się nawet do zamku wynosili co tylko dopaść mogli — usiłowali porywać ludzi, ucie-

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ П-

kając zaraz ze zdobyczą w dół, ku rzece, boć po łupy jedynie tu przyszli.

Niewiadomo, jak by się była dla wszystkich mieszkańców winnickiego zameczku zakończyła ta nieszczęśliwa chwila, gdyby bardzo wkrótce po pierwszym gwałcie napaści, nie zatętniła w koło ziemia od dźwięku kopyt hussarskich, i gdyby zbrojna chorągiew pancerna, która już ścigała Tatarów, nie była prawie trop w trop za nimi wpadła im na karki.

Tatarzy, którzy rozwijali zawsze swoje szyki w otwartem polu w ów straszliwy półksiężyc — jednający bitwom z nimi, u naszych ojców, żartobliwą nazwę „tatarskiego tańca“—ściśnięci między budynkami i opłotkami bronić się nie umieli, tak jak nie umieli wytrwać w szturmie przy zdobywaniu twierdz obronnych. To też i teraz, ledwo zastępem całym zaszumiały w koło nich hussarskie skrzydła, ledwo nasi przyparli ich do płotów, dzicz pierzchnęła, jeszcze więcej rącza w ucieczce niż była w napaści. Każdy unosił co mu popadło pod rękę i za wspólną widać poprzednią umową, wszyscy, jak strzała pomknęli ku brzegom Bohu, który, niedostatecznie zamarznięty, duże kry niosąc na swoim grzbiecie, szumiał tuż, blisko, między skalistymi brzegami. Tatarstwo, na swoich małych, rączych konikach, rzuciło się wpław przez rzekę, lub skacząc z kry na krę, w jednej chwili znalazło się na tamtym brzegu. Tu już byli na razie bezpieczni od pogoni i szybko się w dalszy pochód uszykowali, bo choć nasi puścili się w pościg, ale ciężka, w żelazo kuta, jazda pancerna nie mogła się ich śladem przeprawić wpław, w nocy, przez kry niosącą rzekę, i zmuszoną była zawrócić. Mieszkańcy winnickiego zameczku, dziękując tej niespodziewanej, przez Boga zesłanej odsieczy, wyszli wszyscy przed próg, witać powracających od rzeki pancernych. Pan Starosta z radością i wzruszeniem poznawał w nich i witał wielu towarzyszy poprzednich swoich przygód i bojów — zajęto się gaszeniem gorejących budynków — tymczasem pani Starościna, co rychlej kazała zestawiać i nakrywać stoły do wtórej a radosnej wieczerzy wigilijnej, dla strudzonych rycerzy.

Gdy po upływie jakiej godziny, wszyscy znowu do tej wieczerzy zasiedli, dziadek pierwszy, widząc niezajęte obok siebie, wysokie krzesełko dziecinne, zapytał:

— A gdzież to mój wnusio kochany? mój maleńki wróżbita, co mój powrót na dziś wywróżył? Czyżby pani matka już go do snu ułożyła? Dobra to rzecz ład i wczas dla dziatwy — aleć na dzisiaj, możebyś moja córko odstąpiła zwykłego porządku i pozwoliła oczom moim, po takiem wytęsknieniu, dłużej się cieszyć lubym widokiem.

— Jako żywo, Ojcze, nie miałam myśli ani czasu usypiać teraz Oleńka; nie rozumiem czemu nie stawił się razem do stołu — może zabawił się w czeladnej, bo tam chłopaki, w popłochu napaści, swoje „jasełka“ porzucili. Ale go tej chwili przywołam.

— „Oleńku! Oleńku!“ rozległo się wnet wołanie po dalszych izbach — „Oleńku, pójdźże! Dziaduś się pyta o ciebie“.

Ale na to wołanie nie odpowiedział srebrny głosik dziecięcy wesołym szczebiotem.

— Oleńku — powtarzała, już z pewnem niezadowoleniem matka, — pokaż się! wyjdź z kąta! To nie pora teraz bawić się w chowankę, kiedy Dziaduś czeka.

Ale gdy i na to odpowiedziała cisza, nagły niepokój ogarnął czegoś wszystkich. Siedzący porwali się od stołu, rozbiegli po wszystkich kątach domu, zrazu, chcąc łudzić się jeszcze, że to figiel chłopczyny: Oleńku, przyjdź do Dziadzia, dostaniesz słodkiego wina i migdałów, napijesz się z twojego roztruhanika!“ powtarzano jeszcze dla zachęty — ale gdy milczenie się przedłużało, śmiertelna trwoga i rozpacz zabrzmiały wnet w wołaniach: Oleńku! na miłość Boską, odezwij się! gdzie ty?! (c. d. n.)



Do młodzi polskiej.

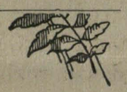

Wiek nowy! — Może on wolności świty
Niesie nam w dani — i dzień już nadchodzi,
Co nas do życia nowego odrodzi,
Pieśnią zwycięstwa uderzy w błękity.

Młodzieży polska! w Was tej mocy zaród,
Która z upadku nas podźwignąć może,
Rozkuć stuletniej niewoli obroże —
Jaką jest młodzież, takim będzie naród!

Marya Dunikowska.

Nasz pokój środkowy.

(Ze wspomnień Poznańczanki).

Nasz pokój zwał się „środkowym“ bo leżał między pokojem Mamy, a pracownią Ojca. Był też zarazem jadalnym. Lat sporo upłynęło od tego czasu, a jednak pokój ten żywo stanął mi przed oczyma, w chwili, gdy w grudniu doszła nas ze Lwowa wieść żałobna, że umarł Franciszek Smolka. Bo imię to w pamięci nas, dzieci, wryło się głęboko, na zawsze. Zdaje mi się, że dziś widzę tę piękną postać mężczyzny w sile wieku, jakim go przedstawiał obraz, wiszący na ścianie naszego pokoju:

W żupanie, kontuszu, przy karabeli u pasa zręcznie przewiązanego, twarz piękna, a wąsy! wąsy polskie, bo tylko polskie wąsy tak pięknymi być mogą. Od tego obrazu oczy moje w dzieciństwie biegły zwykle zaraz na przeciwległą ścianę, skwapliwie szukając portretu Jana Sobieskiego, o którym jeszcze dziadek nauczył nas dwuwiersza Kniaźnina:

„Oto król polski, co Wiedeń zbawił,
Jakże mu pięknie z tymi wąsami!“

A patrząc na trzecią z kolei ścianę, gdzie wisiał dla mnie już wtedy „największy“ z Polaków, Kościuszko po dziecinnemu żałowałam, że on takich dużych wąsów nie ma! Ale i Sobieski takich wąsów jak Smolka nie miał. Nie umiałam jeszcze wtenczas wyczytać podpisu pod portretem, ale te wąsy utkwiły w dziecinnej wyobraźni na zawsze, bo równych im nigdy już potem nie widziałam.

— A kto ten pan z wąsami? spytałam raz Ojca, kiedy po obiedzie piłka braci o obraz na ścianie się odbiła i Ojciec strofował, żeby piłką w pokoju się nie bawić, bo obraz stłuczemy.

— To dzielny i prawy Polak! miał iść na szubienicę, ale go Pan Bóg od tej hańby, a nas od straty zachował.

— A za co na szubienicę?

— Skazali go na śmierć Austryacy, bo Smolka chciał Polskę wyswobodzić. Należał do tych, którzy po upadku naszego powstania z 30go roku, zaczęli w Galicyi gorliwie pracować nad rozbudzeniem patryotyzmu polskiego w ludzie i poprawieniem jego doli; na tej drodze spotkał się z więzieniem, gdzie kilka lat przesiedział i doczekał się wyroku śmierci, ale go cesarz uwolnił.

— To Austryacy niedobrzy, kiedy go chcieli powiesić!

— Byli niedobrymi, tak jak Moskale i Prusacy, ale się teraz już poprawili trochę — choć jeszcze nie ze wszystkiem.

— A czy ten pan Smolka żyje? gdzie mieszka? — pytałam wtedy dalej ojca, z upoczywą, ciekawością dziesięcioletniego dziecka.

— Żyje — odpowiedział — mieszka we Lwowie ale często jeździ do Wiednia, bo tam broni Polaków przed niesprawiedliwością innych narodów.

— A czy teraz już go powiesić nie chcą?

— Są i tacy coby go w łyżce wody utopili, ale się boją, bo teraz nawet sam cesarz austryacki, jest Smolki przyjacielem. On widzi, że Smolka, oprócz tego, iż jest dzielnym Polakiem, ma tyle rozumu, że i jemu samemu w rządzeniu Austryą pomoże, a charakter ma tak prawy, że go i cesarz i każdy cenić i szanować musi. Na tym jego charakterze i rozumie poznał się cesarz Franciszek Józef zaraz od początku swego panowania, bo gdy wstąpiwszy na tron chciał zmienić złe i uciskające poddanych prawa, jakie przed nim były w Austryi, Smolka to w imieniu obywateli przedstawiał mu życzenia wszystkich ludów składających Austryą, układał ów projekt, równych dla wszystkich praw i swobód, który stał się w kilkanaście lat później podstawą całkiem nowego urządzenia państwa austryackiego. To dzisiejsze urządzenie, w którem każdy kraj własnemi sprawami sam zarządza. przez swój własny Sejm, a w sprawach, co i inne kraje w państwie obchodzić mogą, rozporządza za wspólną naradą, przez Radę państwa w Wiedniu — to urządzenie nazywa się: konstytucyjnem. Otóż Smolka, który pracował nad ułożeniem konstytucyi, po zaprowadzeniu jej, stanął na jej straży, bo odrazu wszedł jako poseł do Rady państwa, a po kilku latach został nawet „prezydentem“ t. j. przewodniczącym owej Rady państwa, czyli parlamentu w Wiedniu i czuwa wciąż nad tem, żeby żadne nowe zarządzenie nie przyniosło ujmy swobodom obywateli. A pomimo, że prawość jego charakteru każe mu być równo sprawiedliwym dla wszystkich ludów, jednak z całą odwagą zawsze staje w obronie spraw polskich i trwa niewzruszenie przy słowach, które wyrzekł w parlamencie austryackim, w r. 1861 (gdy w Królestwie, już wszystko wrzało jak na wulkanie w przededniu nowego powstania). „Wierzymy w słowa pieśni: Jeszcze Polska nie zginęła!“

Te słowa jego, młodzież polska spamiętać winna na całe życie! i winna spamiętać, że dla tej świętej sprawy naszej, Smolka, całym charakterem swoim, zachowaniem, nawet samą powagą i dzielnością swej sarmackiej postaci, już z góry jednał u obcych szacunek i nakazywał poszanowanie. Smolka nigdy nie złamał danego słowa. A na tej twardej piersi szczeropolskiej, nie spoczęły nigdy odznaki żadne — nie zabłysła żadna zagraniczna gwiazda, żaden blask pożyczany nie ozdobił odzieży, pod którą biło gorące serce Polaka! W dawnej Rzeczypospolitej naszej, nie wolno było obywatelowi przyjmować tytułów ni orderów — godność obywatela Rzeczypospolitej największym być miała, i długo była, dla Polaka zaszczytem. Otóż Smolka. to taki starodawny Polak prawdziwy, dla którego imię Polaka największą godnością!

Nie od jednego razu, zapewne, kochany Ojciec powiedział mi to wszystko o Smolce — i nie odrazu też spamiętałam jego wyjaśnienie — ale rozmowy takie jak powyższa, powtarzały się bardzo często w naszym „dziecinnym pokoju“ i teraz, gdy pokój ten wspomniałam, i one z całą żywością powstały mi w pamięci i wraz z niemi wszystko, co drogi Ojciec wpoić chciał w młode serca — a czem się ja dziś z Czytelnikami mymi dzielę!

Ale wtedy, w „środkowym pokoju“ pustota i śmiechy gościły równie często przynajmniej, jak poważne wzruszenia:

Oto lato nastało; piłka znowu jest w robocie: Karolowi i Kaziowi nie starczy palant za Bramą Dębińską, próbują go i w pokoju. Naraz bęc! brzdęk! szkło w kawałkach sypie się na podłogę.

— Smolkę stłukli!

Swawolniki zamiast iść w pokorę do Mamy, żeby obraz oszklić kazała, Smolkę z gwoździa zdejmują i buch do „zbrojowni“ to jest — za piec! Biedny prezydent austryackiej Rady państwa takiego doznał despektu! Przesiedział na tem wygnaniu dni kilka jednak, póki bystre oko Ojca nie dostrzegło pustki na ścianie.

— Chłopcy, gdzie Smolka?

Milczenie dokoła, oczy w dół spuszczone, nosy na kwintę; nikt przyznać się nie chce, że Smolka — za piecem.

— Co się z nim stało? — pyta ojciec ponownie.

Milczenie uporczywe.

— Proszę taty, to piłka szkło zbiła — wtrącam nieśmiało — ale jemu nic złego się nie stało!

— Ale gdzie obraz?

Nareszcie Kazio, czując, że to nie przelewki, maszeruje do pieca i corpus delicti z pośród palcatów i tekturowych tarczy dyskretnie wyciąga.

— Dam ja wam chłopcy, Smolkę za piec chować! Cóż to, nie wiecie jeszcze co to: Smolka! nie pamiętacie co wam o nim opowiadałem? — I tu ojciec powtórzył nam raz jeszcze wszystko, co powiedziałam wam powyżej o życiu i zasługach Franciszka Smolki — na zakończenie zaś dodał: — Karol, przynieś waszą historyę polską. Otwórz na panowanie Zygmunta Augusta. Masz? czytaj o Unii Lubelskiej.

Karol donośnym głosem odczytał cały ustęp. Słuchaliśmy z uwagą, choć to były rzeczy nam już znane, gdyż historya polska zawsze zajmowała nas szczególnie.

Gdy skończywszy czytanie, brat zamknął książkę, ojciec rzekł.

— A teraz spamiętać sobie:

Na pamiątkę tej Unii Lubelskiej — na pamiątkę zgody i jedności ludów składających Polskę w najświetniejszej jej dobie—na Górze zamkowej we Lwowie powstał, głównie staraniem Smolki, kopiec wspaniały, usypany rękami narodu, taki sam jak Kościuszki w Krakowie. Franciszek Smolka, gdy wraca z Wiednia, gdzie Austryą całą rządzi, jak prosty robotnik taczkami sam ziemię na kopiec ten wozi, a wy go piłką swawolnie dotknąć śmiecie, a potem jeszcze za piec chowacie! Pocałujcie go za to w rękę!

I skruszeni grzesznicy w pokorze przyłożyli usta do dłoni bohatera, której palce za pas były założone.

Obraz Smolki przywrócony do czci, długo nienaruszony zdobił nasz „pokój środkowy“.

Co się dziś z nim potem stało, nie wiem — żal mi jednak pamiątki, której nigdzie odszukać nie mogę.

Minęły lata — nie stało już zacnego ojca, który dziecinny „środkowy pokój“ ozdobił nam był obrazami, na których nauczył nas poznawać i kochać Polskę w najdzielniejszych jej synach — została jednak głęboka cześć dla tych, których on wielbić nam kazał.

To też, kiedy będąc w r. 1894 w Zakopanem, dowiedziałam się, że sędziwy Franciszek Smolka mieszka tuż obok mnie na Chramcówkach, że go żywego na własne oczy ujrzeć mogę, to serce moje żywiej zabiło i z upragnieniem wyczekiwałam chwili, kiedy tę piękną tak mi z dzieciństwa pamiętną postać, zobaczę. Raz, kiedy siedziałam na ławce przydrożnej, posłyszałam nagle przyspieszony tentent konia i z przestrachem ujrzałam, jak niewielki ale rozbiegany konik góralski ponosił siedzącego na jego grzbiecie chłopczyka. Ręce małego jeźdźca za słabe były aby powstrzymać rozigrane zwierzę — gromadka dzieci, bawiących się na wąskiej drodze, pierzchła z okrzykiem przestrachu przed pędzącymi — w tem nagle, z za świerków wyłania się piękna postać siwowłosa: starzec rów przeskakuje i chwyta za uzdę konika, na miejscu go osadzając.

— To Smolka! wołam bezwiednie na cały głos— poznaję jego brodę i wąsy!

Więc dzielny starzec siwowłosy ciągle na straży? Teraz broni dzieci na drodze i od niebezpieczeństwa je zasłania!

Spotykałam się ze Smolką codziennie, po kilka nawet razy. Dziś żałuję, że się z nim nie zapoznałam — bo znajomość takich ludzi zaszczytu przynosi przynajmniej tyle, co obcowanie z królami czy książęty.

Kiedy w dniu 6go grudnia r. z. doszła mię wieść o zgonie Smolki, wieść ta — mimo że wiek sędziwy i słaby stan zdrowia wielkiego starca kazał się jej już spodziewać—wstrząsnęła mną jednak do głębi duszy. Stanął mi przed oczyma: obraz Smolki, wiszący niegdyś w naszym pokoju — a otoczony przez nas, od owej sceny z piłką, szczególnem poszanowaniem... a z nim cały szereg obrazów innych, równie sercu drogich i szereg chwil, które przeżyłam patrząc na te twarze i słuchając niezapomnianych opowiadań Ojca.

Nasz miły „środkowy pokój!“

A Wy, młodzi Czytelnicy, rozejrzyjcie się też po swoim pokoju i powiedzcie mi, czy na ścianach Waszych — oprócz Znaku Zbawienia — obok wizerunku Królowej Korony Polskiej — jest Tadeusz Kościuszko? czy są tam królowie polscy?—Henryk Dąbrowski, Ks. Józef Poniatowski, Dwernicki? — bitwa w Olszynce pod Grochowem? Czy jest obraz Unitów podlaskich, ginących od kul moskiewskich siepaczy — czy są niewinne ofiary rzezi w Krożach?

A nuż zamiast nich wiszą tam ryciny miejsc i ludzi nam obojętnych albo zgoła obcych?

Jak tam w Waszych pokojach i Waszych sercach wygląda?!

Odpowiedzcie mi na to! *H. R.*



PIELGRZYMI.

(Rysunek Grotgera).

„Pielgrzymie! skwar słońca pobielił ci włosy
I stopy omdlały od trudu —
A jeszcze wciąż z wiarą spoglądasz w niebiosy,
I jeszcze spodziewasz się cudu?!...

„Za tobą ruiny — przed tobą pustkowie,
Pył dzikich rozdroży na szacie —
Na błędnych manowcach gdzieś spocząć twej głowie,
Jak wszystkim, co zwali cię: bracie!

„Już kośćmi pątników usłana ta droga
A cel wasz wciąż jeszcze daleki —
Czyż ciebie, wędrowcze, nie ziębi ta trwoga,
Że zamkniesz przed kresem powieki.

„A jeśli skroń w męce się chyli omdlała,
I pierś twa zawodów zna bole —
Dlaczego w tę drogę, co ciebie złamała,
Ty wiedziesz młodziutkie pachole?

„Czyż nie żal ci dziecka niewinnej pogody
Zasępiać tym bolem nad siłę —
Dróg uczyć, co łudzą mdłą jutrznią swobody,
A niosą dań pewną — mogiłę".

— „O, zamilcz, wróżbito! twe słowa wiatr zwieje,
Nim padną zwątpieniem na duszę.
Choć ciężkie czy błędne mej drogi koleje,
Ja naprzód, wciąż naprzód iść muszę!

„My z rodu pątnicy — za jutrznią, co zgasła,
Iść musim, aż wskrześnie nam z mroku!
I drobna już dziatwa zna u nas te hasła,
I wzrasta, by dotrwać nam w kroku.

„A kiedy nam starcom już pora wydzwoni,
Młódź rześka nasz kostur dziedziczy:
Z zapałem z mdlejącej wyjmuje go dłoni
I idzie wieść żywot pątniczy.

„Tak dojdziem, gdzie gwiazda przewodnia nam świeci
Przez dzikie i puste bezdroża —
Wśród słońca pożarów, wśród śniegów zamieci,
Nas wiedzie, pielgrzymów, moc Boża.

Z. M.

„Na własne oczy“.

(Podług H. M. Casenova).

Z oddechem stłumionym i oczyma łez pełnemi Idzia zbliżyła się do smutnej gromadki. Musiała ją koniecznie wyminąć, bo nie miała innej drogi do domu, ale usiłowała prześliznąć się jak najprędzej między stojącymi, gdyż niewytłumaczony lęk ściskał jej serce.

— Nikt na to już nie poradzi—mówił z głębokim smutkiem głos jakiś w tłumie, właśnie w chwili gdy Idzia mijała stojących.

— Stało się i koniec! żadne tu namysły nie pomogą, odezwał się ktoś drugi — podczas gdy czterej robotnicy, uniósłszy bezwładne ciało na noszach spojonych na prędce z dwóch desek, stali niepewni i wahający, jakby nie wiedząc co zrobić ze swym ciężarem.

Kilka stłumionych głosów udzielało im rad jakichś i wskazówek. — Po pod kościół, do kostnicy prosto!— odezwał się donośniej od innych przedsiębiorca tartaku, wskazując ręką drogę.

Idzia odwracając głowę, aby nie spojrzeć po raz drugi w tę straszną bladą twarz, wydostała się już z tłumu i teraz nie szła, lecz biegła raczej ku domowi, jakby uciekając od wspomnienia tego boleśnego widoku — błękit nieba, zalane słońcem łąki i pola, wszystko zda się poszarzało nagle wokoło niej i przybrało chmurny odcień.

Przed domem stał zaprzężony już tarantas i doktór w kapeluszu i paletocie schodził ze stopni ganku. W ręku trzymał świeżo rozerwaną kopertę i pełnemi namysłu i wahania oczyma spoglądał to na list, to na oddawcę jego, wiejskiego wyrostka stojącego opodal z czapką w ręku.

— Ido, czy przechodziłaś teraz koło nowego tartaku? — zawołał żywo spostrzegłszy córkę.

— Och, ojczulku, przechodziłam! okropność! człowiek się tam zabił.

— Zabił się? powtórzył doktór z przerażeniem— jakto? czyż jesteś pewna, że ten człowiek już nie żyje?

— Ależ ojcze, przecie byłam tam — na własne oczy widziałam! spadł z rusztowania i zabił się na miejscu!

— Ido, zastanów się dobrze nad tem co mówisz kto wie! czy w tej chwili życie człowieka nie zawisło od twoich słów — rzekł doktór, obejmując twarz córki dziwnie poważnem i badawczem spojrzeniem. — Posłuchaj — przed kwadransem dano mi znać że w tartaku człowiek jakiś spadł z dachu, zebrałem się natychmiast, aby pojechać na miejsce wypadku i opatrzeć nieszczęśliwego — ale nim mi konie zaprzęgnięto upłynęła chwila. Tymczasem nadbiegł tu chłopak z listem od Szyrmerów, których matka staruszka ciężko chora na zapalenie płuc. Pogorszyło się jej, stan groźny, zaklinają na wszystkie świętości żebym przybywał bez chwili zwłoki. Muszę więc zdecydować się na jedno i pojechać tam, gdzie pilniej potrzeba mego ratunku: Jeśli ten nieszczęśliwy już skończył, pospieszę wprost do Szyrmerów. Zatem zbierz myśli Ido i odpowiedz mi stanowczo i wyraźnie: na jakiej podstawie twierdzisz, że ten robotnik się *zabił?* może było to tylko omdlenie?

— Ależ tatko, przecie go widziałam sama i wszyscy naokoło mówili, że już po nim, że na to już nikt nie poradzi! nawet przedsiębiorca tartaku nie kazał go nieść do domu tylko „prosto do kostnicy“ to na własne uszy, najwyraźniej słyszałam.

— Ha, jeśli tak, jeśli rzeczywiście złożono go już w kostnicy to obecność moja przy nim zbyteczna. — Do Szyrmerów! co koń wyskoczy! zawołał do furmana doktór wskakując już na wózek.

Niewesołe to było popołudnie dla Idzi, która tyle o niem roiła miłych planów. Teraz myśl jej nie mogła się otrząsnąć z odniesionych tak niespodzianie bolesnych wrażeń. Nawet książka z opisem ciekawych podróży nie zajmowała jej dziś i dopiero gdy Mundzio, rozpaliwszy w sadzie ogień zawezwał ją aby poszła z nim razem ukopać z grządki trochę kartofel do upieczenia na podwieczorek, ulubiona ta przez nich oboje zabawa rozweseliła ją.

Gdy szarym już prawie zmrokiem przybiegła do domu, aby swemu kanarkowi dostarczyć jeszcze przed nocą świeżego siemienia i wody, ujrzała czekającego w sieni jakiegoś bosego i dość obdartego chłopaka.

— Czego chcesz? na kogo tu czekasz? spytała.

— A to matka przysłali zapytać czemu pan dochtor do nas nie przyszedł, bo jeszcze z południa miał być, a my czekamy i matula powiadają, że ojca już krew całkiem uszła.

— Czyj ty? co twemu ojcu? zapytała Ida, a jakiś nagły niepokój zdławił jej głos.

— Ja syn Marcina, cieśli, co dzisiaj spadł z rusztowania w tartaku.

Idzia oparła się o drzwi konwulsyjnie ściskając klamkę — więc się ten człowiek nie zabił — więc można go było jeszcze wtedy uratować? a ona... o Boże! może już teraz za późno! — Straszny krzyk rozpaczy o mało nie wydarł jej się z piersi — w tejże chwili przed gankiem dał się słyszeć turkot — doktór zajechał.

— Tatko! tatko! zawołała Ida wypadając z sieni— czeka tu na ciebie... jakiś chłopiec...

Nie była w stanie wymówić więcej. Chłopak postąpił naprzód i powtórzył swoje poselstwo.

Po pierwszem słowie doktór wskoczył ponownie na wózek i co tchu popędził w stronę miasteczka.

Ida osunęła się na pierwszy schód ganku i z głową wciśniętą w dłonie siedziała nieruchoma.

— Boże! Boże! co ja zrobiłam — powtarzała co chwila wstrząsając się strasznym dreszczem — powiedział, że go „krew uszła bo doktór nie przyszedł!“

Nadaremnie Mundzio nawoływał ją z mrocznych głębin ogrodu, nadaremnie, gdy ją nareszcie odnalazł,

zachęcał aby poszła z nim grać w domino lub szachy— nie odpowiedziała mu ani słowem, potrząsając tylko głową na znak przeczenia.

Matka wzywała ją do powrotu na herbatę i kolacyę, ale Idzia spojrzała na nią z tak gorącem błaganiem, że niepodobna się jej było oprzeć.

— Zostaw mnie mamo! ja nie mogę się stąd ruszyć! muszę, muszę czekać tutaj na powrót tatki! — powtarzała rozpaczliwie, i matka domyślając się przyczyny jej troski ustąpiła wreszcie, zatrwożona tym wyrazem niemego bolu wyrytym na twarzy dziewczątka. Wyniosła tylko z domu ciepły szal i otuliła nim ramiona Idy, która zdawała się już znowu nie czuć i nie słyszeć, co się w koło niej dzieje.

(C. d. n.)

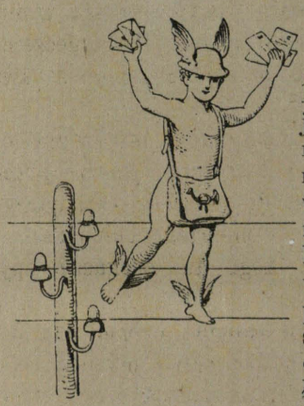

Skrzydlaty listonosz.

Lila T. w Krakowie. Kochana bałamutko, wyłajaliśmy Skrzydlatego listonosza, że Ci w ostatnim numerze nie doręczył odpowiedzi, a on tymczasem tłumaczy się i zapewnia, że liścik do Ciebie umieścił w swoich korespondencyach prawie na pierwszem miejscu — i istotnie list wydrukowany czarno na białem, tylko, widocznie, ominęłaś go czytając. Ale Listonosz nie obraził się wcale, że dostał za Ciebie niesłuszną burę i obiecuje zawsze równie chętnie spieszyć do stałej i gorliwej Czytelniczki. — Biała różyczka w Krakowie, Do konkursu kaligrafii mogą należeć Czytelnicy do lat 12tu. Siostrzyczkom, które nie mają czasu pisywać listów, przesyłamy wzajem serdeczne pozdrowienia. „Zameczek na Kresach“ który Ci się tak podoba, nie jest pisany przez Białą Babcię, bo Biała Babcia chorowała teraz ciężko, więc nie mogła pisać. Ale że Bogu dzięki jest już zdrowa, poprosimy ją bardzo, aby znowu napisała coś ślicznego dla wszystkich swoich wnucząt, czytelników „Wieku Młodego“.

Wila S. w Rzochowie. Adres zmieniliśmy podług Twego życzenia. — Lisia, Maryla i Milka W. we Lwowie. Tak, pieniądze od Waszych przyjaciół na gimn. polskie w Cieszynie otrzymaliśmy i bardzo nam miła nowa znajomość, która się tak dobrze rozpoczęła. Wasz pomysł ściągania kary za niezamykanie drzwi, bardzo praktyczny, dałby się zastosować w niejednym domu. Wieleby to centów przybyło w ten sposób na dobre cele — a równocześnie zaoszczędziłoby się sporo na paliwie. Zagadki Wasze jak zwykle chętnie zamieścimy. — Lolo B. we Lwowie. Przysłałeś nam na karcie tak czarnego kominiarza, że aż Redakcya sama przestraszyła się go w pierwszej chwili. Później dopiero przypomniała sobie, że kominiarzy bać się nie trzeba, bo to są bardzo dobrzy i pożyteczni ludzie. Na konkurs kaligrafii wystarczy przysłać wzór napisany po polsku.

Wandzia T. w Samborze. I owszem. „Wiek Młody„ bardzo chętnie policzy Cię w grono swoich przyjaciół, a Skrzydlaty Listonosz obiecuje wiernie Ci służyć, choćby nawet na noworoczną kolendę miał dostać tylko dobre słowo. — Anulka S. w Przemyślu. Numer noworoczny spóźnił się dla wszystkich, z powodu długiej choroby redaktorki, która wywołała pewne opóźnienie w zwykłych zajęciach. Za życzenia serdecznie dziękujemy i przesyłamy wzajemne. — Jan M. w Brzeżanach. Adres zmieniliemy; biedne, głodne dzieci dziękują Ci za pamięć o nich. — Ella J. uczenica pensyonatu Wnej p. Zagórskiej. Nowy Rok dobrze się dla ciebie zaczął, gdyż zaraz w pierwszym numerze wylosowałaś nagrodę. — Biała różyczka w Pradze. Za pamięć i przesłane z tak daleka serdeczne słowo bardzo dziękujemy. Ponieważ znamy Pragę, z przyjemnością odnowiliśmy sobie jej wspomnienie patrząc na piękną kartkę.

Tadeusz W. w Krakowie. Zapewne abonujesz Wiek przez którąś krakowską księgarnię, bo u nas nie jesteś zapisany między prenumeratorami, ale Skrzydl. Listonosz ma nadzieję, że kiedyś spożytkuje Twój adres odnosząc Ci nagrodę. A czy dawno należysz do grona naszych Czytelników? — Józia F. w Wadowicach. Ciekawi jesteśmy czy będziesz zadowolona z nagrody, jaką Ci wybraliśmy. Chcieliśmy koniecznie ofiarować Ci jakąś pamiątkę za pilność w robotach konkursowych, a sądziliśmy, że książeczek masz zawsze więcej niż przeczytać możesz. — Dolusia T. we Lwowie. Śliczną była myśl Waszej składki na Cieszyn! Widzimy, że będziemy mieć w Tobie równie pilną korespondentkę jak w Lisi, Marylce i Milce W. To dobrze, bo z częstych listów Redakcya poznaje bliżej swoje Czytelniczki i może lepiej dogadzać ich upodobaniom. Litwin w Stanisławowie. Zgoda na Litwina! A czy na nagrodę także zgoda? chyba że tak. — Polski słowiczek we Lwowie. Daj Boże, aby już nie było „raz tak, raz tak“ — ale zawsze już, stale, lepiej. Listy Twoje nie nudzą nigdy Redakcyi, tylko smucą ją często, gdy się z nich dowiaduje o Twoich zmartwieniach lub chorobach. — Turystka Tatrzańska we Lwowie. Oj, nie wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z osóbką tak poważnie już myślącą o przyszłości. Skoro zaś przeszłość tak gorąco Cię zajmuje, będziesz pewnie rada artykułowi „Nasz środkowy pokój“. Napisz do nas po egzaminie, którego rezultatem pewno ucieszymy się razem z Tobą!

Regina I. w Stanisławowie. Czemu tak rzadko pisujesz? ponieważ znamy tak dobrze Twe cioteczne rodzeństwo, mieszkające we Lwowie, zdaje nam się, że i Ty należysz do naszych bliższych przyjaciół.— Marynusia T. w Weryni. Łamigłówkę Twoją wydrukujemy — tylko trochę cierpliwości, bo już dużo łamigłówek czeka swej kolei. Gołąbek i jego niepodpisany braciszek w Bolechowie. Taka to już kolej rzeczy, że „Wiek“ zawiera znajomość z coraz to młodszymi Czytelnikami. To też on sam nie postarzeje się nigdy, będzie zawsze „młody“ bo przecież z kim kto przestaje, takim się staje. — Maryla K. w Bolechowie. Ucieszyliśmy się serdecznie do tak miłych słów dawnej Czytelniczki a zawsze stałej przyjaciółki naszego pisemka. Niektóre z Twoich dawnych listów są u nas schowane na pamiątkę — mają one jedną ogromną zaletę — mianowicie tę, że można sobie przy nich ogrzać serce.

Małgosia z Londynu. Ten ostatni zwrot i do Ciebie da się tak samo zastosować. Twoje słówka, choć

przybywają z tak daleka, nie stygną w drodze i Redakcya „idealnego pisemka“ cieszy się niemi serdecznie. Numer 1. wysłaliśmy Ci natychmiast ponownie po odebraniu Twego listu. Zofia B. w Hołhoczy. Jeżeli Twój numer spóźnia się zawsze, to już musi być winą miejscowej poczty, bo my wszystkie numera wysyłamy równocześnie. Ale tym razem Twoje rozwiązanie nie spóźniło się wcale. — Tuberoza, Primula i Orzeł polski. Czy nagroda już przeczytana? a jak tam idą lekcye tańcu? — Ada J. w Wieliczce. Na łamigłówkę przyjdzie kiedyś kolej, ale już bardzo dużo podobnych mamy w tece — więcej pożądane są takie, w których nietylko pierwsze, ale i ostatnie litery tworzą jakiś wyraz.

Tadeusz Z. w Busku. Numera wysłaliśmy Ci zaraz po odebraniu listu. A czy nie zechcesz należeć do konkursu kaligrafii? — Biała lewkonia. Brakującą kartkę Robinsona wysłano. — Pszczółka w Kębłowie. Pisząc, że własnoręczny list od pszczółki jest prawdziwą rzadkością, mieliśmy na myśli nie tylko tę „Pszczółkę z Kębłowa“ ale i wszystkie inne pszczółki skrzydlate, które podobno, choć są bardzo pracowite, nigdy listów nie piszą, bo rączek nie mają! „Pamiętnik Maryli“ nie zaczął jeszcze wychodzić, bo p. Irena chorując przez całą jesień, nie mogła go dla Was napisać. Ale nic na tem nie tracicie, bo jak sama piszesz, i te powieści, które zaczęły wychodzić są śliczne. „Wiek“ ucieszył się bardzo tem, że jakkolwiek odbierasz i warszawskie pisma, on jest zawsze najmilej witany; ma też do tego pewne prawo, jako Twój najdawniejszy, a bardzo serdeczny przyjaciel.

Bronisława S. w Hleszczawie. Nie, i tym razem jeszcze nie, ale niech Cię to nie zraża, wytrwała pilność zawsze w końcu zwycięży. A może mamy odprawić tę myszkę, która w redakcyi losuje nagrody, skoro się tak źle sprawia, że nie wylosuwuje nagród dla tych, którzy się ich właśnie spodziewają. — Leon P. w Rzeszowie. A w jakim wieku jest nasz nowy prenumerator? Tadzio D. w Cieszynie. Nie wątpimy, że Twoja deklamacya przy „gwiazdce“ musiała się podobać, bo oba te wiersze Wł. Bełzy są prześliczne, a Ty je pewnie wygłosiłeś z prawdziwem uczuciem. Będziemy pamiętać o Twojem upodobaniu, i gdy tylko wylosujesz nagrodę, przeszlemy Ci jakieś opowiadanie historyczne. Wszystkie brakujące numera z obu roczników przesłaliśmy Ci w opasce. Polska dzieweczka z nad Wisły. Dlaczego Twoje życzenie dotychczas nie spełnione, donieśliśmy Ci kartą, którą już musiałaś otrzymać. Wypracowanie historyczne schowaliśmy do konkursowej teki, zagadkę kiedyś zamieścimy — a dlaczego przysłałaś nam przepisany, piękny wiersz Asnyka — czy to na konkurs kaligrafii? Roman D. Oj, w tej fabryce, czy chcą czy nie chcą muszą także szczerych i gorących Polaków fabrykować — wie coś o tem nasza teka redakcyjna, w której chowają się Wasze listy. Prawda, że pracy musisz mieć teraz dużo, ale zato każda godzina, choć ciężko spędzona przy żmudnej pracy niesie Cię lotnem skrzydłem do najbliższego przynajmniej celu Twoich marzeń.

Eleonora M. we Lwowie. Rozwiązanie zagadek wcale nie spóźnione, ale chcąc należeć do konkursu historycznego trzeba nietylko odgadnąć co obrazek przedstawia, ale napisać na ten temat ładne wypracowanie. Maniusia G. uczenica pensyonatu Wnej p. Zagórskiej. Skrzydlaty listonosz podsłuchał jak ktoś, w ubiegły czwartek, śpiewał w chórze, bardzo wysokim i czystym głosikiem „Za Niemen het precz! „Oj, ten Skrzydlaty listonosz! że też to się przed nim nic utaić nie może! Lola T. w Sanoku. Spróbuj tylko, a zobaczysz — zresztą, gdy przeczytasz wszystkie korespondencye zawarte w numerze, przekonasz się, że „Wiek Młody“ ma dużo starszych i młodszych przyjściół, którzy pisują do niego z całem zaufaniem. Łamigłówki przyszlij i owszem; zamieścimy je w pisemku. Wierszyki Twoje także Redakcya chętnie przeczyta, ale drukować ich nie będzie, bo tylko zagadki i łamigłówki układane przez Czytelników bywają drukowane.

Halka D. we Lwowie. Zgadłaś; powieść „W cieniu Wezuwiusza“ jest śliczna i będzie Was ogromnie zajmować. P. Irena ma się już całkiem dobrze i wszystkim Czytelniczkom, które się dowiadywały o jej zdrowie serdecznie dziękuje za pamięć. — A. B. C. Pewnie nagrody chce — choć się o nią nie przymawia, los mu niespodziankę sprawia. — Walercia i Elza M. we Lwowie. Czy to już wiosna, że do redakcyi przyleciało tyle jaskółeczek? Kto jest twórczynią ślicznej powieści: „W zameczku na Kresach“ nie możemy Wam powiedzieć; to sekret, bo jest to pierwsza praca autorki, która jeszcze podpisywać się nie chce.—Leontyna M. we Lwowie. Skoro siedzicie na jednej ławce szkolnej z Elzą, to Listonoszowi będzie po drodze spieszyć od jednej do drugiej; miło nam, że Ci się powieści w „w Wieku“ tak podobają — a czy dopiero pierwszy rok należysz do grona naszych Czytelniczek?

Zosia K. w Wadowicach: Bardzo dobrze, a i postanowienie Twoje pochwalamy. — Zosia W. w Tarnopolu. Życzenie Twoje może być spełnionem aż za parę tygodni; dla przyczyn od Redakcyi niezależnych. — Mania T. w Olesku. Naturalnie; Redakcya odpisuje najregularniej zarówno starym jak i nowym przyjaciołom. Komedyjki bywają zawsze od czasu drukowane w „Wieku“ i to bardzo wesołe, a łatwe do przedstawienia. Na konkurs kaligrafii przyszlij koniecznie próbę pisma; sądząc po liście nie ma obawy, żebyś należała do „najgorszych“. — Młody Żmujdzin i Litwinka zaintrygowali nie na żarty Redakcyę pisząc, że należą do bardzo dawnych Czytelników „Wieku“ a nie podając swego nazwiska. Pismo nie wydaje nam się znane, widzimy tylko, że jest bardzo kaligraficzne. Zagadki zamieścimy chętnie choć nie zaraz w najbliższym numerze, Staś D. w Stanisławowie. Żałujemy, że plan taki nie został wykonany. Zagadka Twoja jak zawsze, bardzo dobra — zamieścimy ją — a kartę o którą prosisz przyszlemy Ci, ale nieco później. — Stały przyjaciel w Dublanach. Dziękujemy za uprzejme zwrócenie numeru; widocznie przez omyłkę dwa Ci posłano.

Do nagrody wylosowani: Tadeusz Wepnik, A. B. D. ze Lwowa, Eleonora Mühlnerówna. Na porto nagrody należy nadesłać 20 c.

Składki: Małgosia Helińska z Londynu na Dom opieki 3 korony — Tadzio Dyboski na głodne dzieci 1 koronę.

TREŚĆ: W zameczku na kresach. (C. d.). — Do młodzi polskiej. — Nasz pokój środkowy. — Pielgrzymi. — Na własne oczy.— Skrzydlaty listonosz. — Do nagrody. — Składki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 4. We Lwowie, dnia 15. Lutego 1900. Rok VIII.



Lud Młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

„To Polska!“

Pociąg kolejowy zatrzymał się nagle...

Świtało. Odchyliłem zasłonę u okna. Stanęliśmy w Ławocznem, zostawiwszy za sobą, w czasie spiesznej jazdy nocnej, Węgry, a oczom naszym odsłonił się teraz potężny obraz gór w mgłę spowitych.

W wagonie było nas osób cztery: opowiadający, obok sędziwy kapłan, który szeptał już zbożnie ranny pacierz i naprzeciw mnie młoda kobieta z dziewczynką, spiącą błogo, dziwnie błogo, jak spią tylko anioły i dzieci. Maleństwo liczyć mogło lat siedm najwyżej; białą jej twarzyczkę objęły jak w ramki ciemno-złote włoski, na koralowych ustach igrał luby uśmiech. Coś się pewno śniło dziewczynce, coś się jej słodko śniło...

Po chwili wszedł do wagonu konduktor i głosem silnym, dźwięcznym zawołał:

— Ławoczne! proszę państwa o bilety!

Już sięgnąć chciałem do kieszeni, gdy wtem uderzył mnie widok dzieweczki... Zerwała się jak spłoszony ptak, zatrzepotała drobnemi rączynami, otworzyła szeroko duże źrenice, a zwracając się gwałtownie ku matce krzyknęła, krzykiem pełnym szczęścia:

— Matusiu! On po polsku mówi! Jesteśmy w Polsce! To Polska!

I rzuciła się matce na piersi, objęła błyskawicznym ruchem jej szyję i wybuchnęła płaczem — poczęła łkać...

— Uspokój się Ado. Tak, to Polska. To Ojczyzna! — dorzuciła matka, nie mogąc sama powstrzymać łez gorących, nie zdolna oprzeć się wzruszeniu, które ogarnęło też wszechwładnie nas obecnych.

Uczyniła się więc cisza, głęboka cisza, a wśród niej słychać było tylko nieutulone łkanie dziecka — Polki.

Wagon zakołysał się raz i drugi, zaczem pociąg pomknął rychło ku naszej drogiej krainie, kąpiącej się już w promieniach słońca...

* * *

Nie wyda się chyba nikomu dziwnem, iż wymieniwszy swoje nazwisko rozpocząłem wnet z matką Ady rozmowę, zapytując ją o powód tak osobliwego, a świętego iście, rozrzewnienia dziecka.

Matka Adrjanny, pieszczotliwie Adą nazywanej, wyjaśniła rzecz po prostu i w krótkości. Powracały z obczyzny, z Serbii, gdzie mąż jej, Ady ojciec, jako inżynier musiał szukać chleba. Dzieweczka wzrosła pomiędzy obcymi, chowana po Bożemu i naszemu przez rodziców, osamotniona wszakże bez rówieśniczek i towarzyszek. Karmiono i pojono ją tylko tęsknotą za Polską, toż kiedy dziś, jakby we śnie, usłyszała po raz

pierwszy język codziennej modlitwy i macierzysty język polski w ustach innych... zbudziła się do Ojczyzny płaczem!

— Błogosławione takie radości oblane najszlachetniejszemi z łez łzami! — ozwał się poważnie milczący dotąd, sędziwy kapłan.

* * *

Było to już dawno, a jednak przypomnienie tego małoznacznego na pozór zdarzenia, wraca mi często na pamięć.

Opowiadam je też rad dziatwie na swojej ziemi zrodzonej, żyjącej w kraju ojczystym jak w gnieździe, i tu kształconej. Zastanów się jeno nad tem, mój ty młody przyjacielu, który każdej dnia godziny, jak rok Boży długi, możesz czytać i słyszeć o Bolesławach, Kaźmierzu, Zygmuntach, o Batorym, Sobieskim, Kościuszce, o Koperniku, Kochanowskim, Skardze, Mickiewiczu, który żyć możesz w Polsce, oddychać Polską, przy swoich i z swoimi, czując, myśląc i mówiąc po polsku! A zaraz potem przedstaw sobie Adę i jej podobne na szerokim świecie tułacze biedactwa, skazane na jedną może, zdartą do połowy książczynę polską, na obcowanie z nieznanymi i obojętnymi, z których żaden, jak powiedział wieszcz: „głosu ludzkiego nie zrozumie!“...

Czyż nie będziesz bolał prawdziwie nad srogą niedolą takiej Ady, a swoje ogromne szczęście czy dobrze ocenić zdołasz?!...

* * *

Co się dziś z Adą dzieje — nie wiem...

Może ją Bóg łaskawy nagrodził stałym w Polsce pobytem; za miłość Ojczyzny bowiem, jak za miłość rodziców, Przedwieczny zawsze płaci hojnie.

Wiem zaś jedno: oto, gdy z większej za granicę podróży zdążam znów do kraju i słyszę pierwsze słowo polskie, przypomina mi się zawsze Ada, jej okrzyk: „to Polska!“ i jej płacz...

Tadeusz Czapelski.

W zameczku na kresach.

(Ciąg dalszy).

Przetrząśnięto wszystkie kąty domu i dziedzińców, co żyło rozsypało się z pochodniami po wsi i po drodze, którą umknęli pohańce — chociaż nie śmiano jeszcze wypowiedzieć sobie okropnego przypuszczenia, że to zapewne Tatarzy, korzystając z zamięszania, dziecko porwali!

Jednak straszna oczywistość nie pozwoliła się łudzić długo! na drodze ku rzece znaleziono zapinkę kontusika, która snadź wypadła, w szamotaniu się dziecka z rabusiem, a nad samym brzegiem Bohu, żółty, safianowy, tak dobrze wszystkim znany i kochany bucik, który tak niedawno jeszcze obuwał drobną nóżkę — a teraz znaleziony nad wodą, budził najstraszniejsze myśli, że Tatarzy nietylko porwali, ale kto wie czy i nie utopili dzieciny aby im nie zawadzała w ucieczce.

Rozpacz całej nieszczęsnej rodziny wypowiedzieć się nie da. Sam Starosta, jakby nie był zaledwo przed paru godzinami powrócił, siadł na koń razem z synami, całą wieś postawił na nogi, i razem z ową przybytą chorągwią hussaryi puścił się w pogoń za dziczą. Jednocześnie wszyscy rybacy z miasta i okolicy spuścili czółna na wodę, nurtując dno rzeki, czy nie znajdą gdzie ciała utopionego chłopczyny.

Tymczasem pani starościna wraz z synową, matką zaginionego, i całym dworem niewieścim klęczały już znowu w najwyższej trwodze i udręce ducha przed obrazem Bogarodzicy i wołały z płaczem:

„O Matko zmiłuj się nad nami! o, Boże! czyliż gniew Twój nawiedził ten dom, że w dniu przyjścia Twojego, w dniu radości, w którym podobało Ci się łaskę nam okazać przez powrót utraconego, oto znowu spada na nas cios, który oczom naszym z łez oschnąć, a sercom w tęsknocie się utulić nie pozwoli?“

Ale widać wyroki Boże, pisane nad domem Bałabanów były już niecofnione — bo daremnemi były łzy i modlitwy, daremnym pospiech i wytrwałość pogoni: Tatarzy zginęli w stepie jakby się w ziemię zapadli i wieści nawet nie pochwycono o tym czambule.

Jakże smutnemi były w Winnickim zameczku te święta, które zrazu taką niespodziewanie promienną gwiazdką zajaśniały — w sam wieczór wigilijny wracając ojczystemu gniazdu, opłakiwanego tułacza ze srogich pęt jassyru!

Teraz oto znów pustem było jedno miejsce przy rodzinnym stole — a choć w losach i położeniu całej rodziny ważniejsze może miał znaczenie powrót ojca i głowy rodu, niż utrata jednej złotowłosej główki dziecięcej, jednak serca rozdarte świeżą żałobą, nie umiały się tak pocieszać. To dziecię ukochane było światłem i życiem całego domu, było jedyną nadzieją — drugi bowiem syn p. Starosty był bezdzietny — jedynem ogniwem wiążącem starszych z przyszłością. Nie obsychały też z łez oczy, nie ustawały błagalne modlitwy, nowenny i wota zanoszone przed obraz Bogarodzicy, w nadziei, że Ona jeszcze cud wyprosi!

Spokojniejszy i chłodniejszy rozmysł powiadał wprawdzie, że wątpliwem było, aby Tatarzy zamordowali dziecię, bo zazwyczaj bardzo chętnie unosili żywcem małych chłopców, aby ich potem wychowywać w wierze muzułmańskiej i sprzedawać Turkom do wojska, zwanego „janczarami“ — ale ta myśl, choć pozwa-

lała spodziewać się, że chłopczyna żył jeszcze, nie wlewała jednak pociechy w serca strapione, owszem, tem sroższą była męką, nasuwając ciągłe obrazy złego obchodzenia się i katowania jakie dziecko mogło znosić w niewoli a co stokroć gorzej, straszną obawę o zgubę małej duszyczki, może nie dość jeszcze hartownej i silnej, aby się mogła oprzeć prześladowaniu i wytrwać w Wierze!

Oleńko, w chwili porwania liczył dopiero pięć latek, w tym wieku tak łatwo jeszcze zacierają się wrażenia i nawet pamięć dzieciństwa. A z iluż to takich chrześcijańskich dzieci, wcześnie w jassyr porwanych, wyrastali nieszczęśliwi zaprzańcy, nie wiedzący nawet o Bogu swoim i Ojczyźnie i potem na własną ziemię prowadzili zastępy dziczy, brodząc w krwi braci i paląc rodzinne sioła — dziksi nawet od rodowitych pohańców, bo umyślnie chowani i kształceni do mordu i grabieży!

Ze zgrozą myśleli o tem rodzice i bogobojna matka wolałaby już mieć niewinnie zamordowanego Oleńka aniołkiem w niebie, niż łudzić się że żyje a drżeć tak straszną obawą o jego poczciwość i zbawienie!

Do najciężej dotkniętych tym nowym ciesem, co jak grom niebieski spadł na cichy i zacny dom Bałabanów, był sam dziadek, któremu dziwne zrządzenie losu kazało jakoby pomieniać się na dolę z ukochanym wnukiem: bo gdy on powrócił ogrzać stęsknione serce u domowego ogniska, wątła dziecina poszła, jakby w zamian za niego, dźwigać pęta dalekiego jassyru!

To też, choć nabożną była dusza p. Starosty, nie mogła jednak zdobyć się na rezygnacyą i poddanie: dziki szał gniewu i rozpaczy opanował go wobec nieszczęścia i ślubował sobie zapamiętale, że „nie spocznie, póki albo nie odnajdzie i nie odbije wnuka, albo choć tyle krwi tatarskiej nie utoczy, żeby w niej, jak w wezbranym potoku, spłynąć mogło porwane pachole!“

Spółczesny kronikarz pisze gdzieś o Imci panu Staroście i Rotmistrzu Bałabanie, że „był to mąż czynu prędkiego a wielkiego serca, nie znający trwogi“ — i zaiste wielkim być musiał animusz jego rycerski a żelaznem też i zdrowie, kiedy ślub dokonany w chwili uniesienia jął pełnić bez folgi i zwłoki, nie pozostawiając sobie nawet czasu do nacieszenia się domem, za którym tęsknił tak długo — nie bacząc na to, że siły miał jakkolwiekbądź stargane niewolą i pieszym powrotem z niewoli, zarówno jak i dawniej odniesionemi ranami, które nie pielęgnowane w jassyrze, na nowo się pootwieraly.

Nawet pierwszych dni świętych owego Bożego Narodzenia, którego krwawą wigilię opowiedzieliśmy, nie pozwolił sobie p. Starosta użyć na wytchnienie — ale wróciwszy z jednego bezowocnego pościgu, za czambułem który uprowadził Oleńka, puścił się zaraz w drugi.

I tak już odtąd miało iść nieustannie — coraz dalej, przez miesiące i lata...

W pierwszej młodości swojej, zaprawiał się niegdyś pan Starosta do harców z Tatarami w rycerskiej służbie dzielnego Wojewody podlaskiego, Jakóba Pretfica, o którym przechowała się nawet u ludu piosenka:

„Za czasów pana Pretfica
Spała od Tatar granica...“

Ale teraz pan Starosta przeszedł jeszcze mistrza swego i stał się takim prawdziwym „biczem bożym“ na pogaństwo, że samo imię jego było postrachem i Tatarzy w pochodach swoich zdaleka omijali Winnicki zameczek, unikając wzniecenia łuny pożaru w okręgu, w którymby wybiegającą na niebiosa dostrzedz mogła orla źrenica p. Starosty. Lecz nie na wiele przydawała się im ta ostrożność: Imci pan Bałaban, jako ślubował, szabli do pochew nie wkładał, jeno ją tępił wciąż na tatarskich i bisurmańskich karkach, zapędzając się za Ordą, aż do Krymu, gdzie nawet zaraz w roku porwania Oleńka, w 1624-tym, niepoślednią wiktoryą zawdzięczyła mu Rzeczpospolita: mnogo nieszczęśliwych jeńców uwolnił nią z pęt tatarskich i do Ojczyzny powrócił — w niejednym domu błogosławiono imię osiwiałego w bojach wojownika, którego smętki osobiste i boleść serdeczna obracały się tym sposobem na korzyść sprawy publicznej. Na sejmie głośno podnoszono wielkie zasługi i waleczność Imci pana Bałabana — król Jegomość, w nagrodę za męstwo, do Winnickiego dodał mu jeszcze Rohatyńskie i Trembowelskie starostwo...

Ale mimo tej miłej sercu poczciwej sławy u ludzi, mimo dostojeństw i zaszczytów, nie rozjaśniło się pogodą, sposępniałe od straty wnuka oblicze starosty: bo choć w istocie — podług słów złożonego ślubu — nie dając nigdy w bitwie pardonu, nie przepuszczając nawet jeńcom bezbronnym, „przelewał takie strumienie pogańskiej posoki, żeby w nich spłynąć mogło porwane pachole“ ale czy to, że Bóg nie błogosławił zemście tak zapamiętałej, czy że Opatrzność w tajnych wyrokach Swoich pewną miarę niedoli obok tych zaszczytów i blasków przeznaczyła do spełnienia domowi Bałabanów — dość, że nie udało się nigdy zasięgnąć nawet wieści żadnej o zaginionem dziecięciu — owszem, z biegiem czasu stawało się pewnem, że choćby nawet chłopak ocalał, w każdym razie był już teraz na zawsze dla domu i Ojczyzny stracony.

To też nie cieszyły coraz to sędziwszego już dziada spływające na dom godności i zaszczyty, bo nie było im komu dziedziczyć — zarówno ojciec Oleńka jak i drugi, bezdzietny syn Starosty, legli już śmiercią rycerską na tych zielonych polach Ukrainy, co się tak słały kwieciem na wiosnę a tak piętrzyły mogiłami poległych, w tym bezustannym harcu i potyczkach, które tam wrzały na kresach.

W zameczku Winnickim pozostały już tylko drżące ze starości biaiogłowy i sędziwy jak siwy dąb stuletni Imci pan Starosta, dawny Rotmistrz królewski, Aleksander Bałaban — dziś już niemocą do krzesła przykuty i z głębokim smutkiem spoglądający w koło na upadające ściany domu, których nie było komu podeprzeć...

I oto znów, jak przed laty, zaświeciła nad zamkiem Winnickim wigilijna gwiazda — znowu sianem pod białym obrusem nakryto duży stół w izbie jadalnej, choć tylko garstka starców zebrać się w koło niego miała, aby zadość uczynić uświęconemu obyczajowi — a jak niegdyś, przy tym stole uderzało pustką i żałobą niezajęte miejsce pana domu, tak i dziś jedno nakrycie, poświęcone pamięci nieobecnych, obraz ich miało przywoływać i tym sposobem uzupełniać rodzinne koło: przed tem nakryciem, podobnie jak już od lat wielu, stało wysokie, dziecinne krzesełko.. (Dok. nast.)

„Na własne oczy“.

(Podług H. M. Casenova).

(Dokończenie).

Coraz to ciemniej robiło się na dworze, a oczy Idy utkwione w mroczną topolową aleję nadaremnie wypatrywały w niej błysku latarni, którą stary Jan zapalał u wózka, aby sobie drogę oświetlić.

Nareszcie! coś niby robaczek świętojański zamigotało w oddali między drzewami — coraz bliżej i bliżej — oto słychać już trzask bicza i odgłos kopyt końskich połączony z turkotem wózka — już przebyli bramę i okrążają trawnik — już zajechali.

Jak huragan zbiegła Ida ze schodów ganku i rzuciła się w ramiona ojca.

— Tatko, czy on żyje?! spytała szeptem pełnym śmiertelnej trwogi.

Ojciec ujął obie jej drobne rączki, takie zziębłe ze wzruszenia i z nocnego chłodu, i odczuwając co się w niej dziać musiało, przygarnął do swej piersi całą tę dziecinną postać, w której serce uderzało najstraszniejszem tętnem strachu i wyrzutów sumienia.

— *Jeszcze żyje*, Ido — odparł poważnym, wzruszonym głosem — ale nie mogę ci utaić, że mam bardzo mało nadziei ocalenia go. Gdybym był przybył do niego przed dwoma godzinami, może moje starania odniosłyby były lepszy skutek — teraz z powodu utraty krwi, niezatamowanej w porę, osłabł tak, że ostatnia iskra życia zdaje się w nim gasnąć.

Z rozpaczliwem łkaniem osunęła się Ida na ziemię — ojciec objął ją ramieniem i poniósł prawie do pokoju, w którym przy jasno oświetlonym stole matka czekała na nich z herbatą.

Mundzia nie było jeszcze — Ida rzuciła się na mały stołeczek u nóg matki i ukrywszy głowę w jej kolana płakała pierwszy raz w życiu takim gorżkim rozrywającym serce płaczem. Rodzice rozumiejąc jej ból i trwogę milczeli — ciszę panującą dokoła przerywało tylko syczenie samowara i stłumiony szloch dziewczynki.

— Ido — odezwał się nareszcie ojciec — bądź pewną dziecko moje, że w tak gorżkiej godzinie twego życia nie chciałbym ci jednem ostrzejszem słowem dorzucać jeszcze na serce ciężaru — pragnę cię tylko objaśnić jak się to wszystko stało, i wykazać ci jak, brak uwagi, niedokładność w słuchaniu i patrzeniu na to co się w koło nas dzieje, a uzupełnianie tych przelotnie pochwytanych wiadomości grą własnej wyobraźni może przy najlepszych chęciach, stać się powodem największego nieszczęścia: Gdy przechodziłaś obok tartaku w parę minut po zajściu smutnego wypadku, ludzie zebrani w koło biednego Marcina podnosili go z ziemi radząc nad jego losem — nie wiedziano jak ratować go i cucić, ubolewano iż w najlepszym nawet razie „nikt na to nie poradzi“, że będzie na kilka miesięcy pozbawionym możności pracy i zarobku. — Nareszcie postanowiono co prędzej odnieść go do domu i oddać staraniom żony. Gdy przedsiębiorca tartaku mówił tym co dźwignęli nosze: „do kostnicy prosto“ — znaczyło to: idźcie do kostnicy p r o s t o, a potem na lewo, wązką uliczką po za kościół do małego domku, w którym mieszka kilka rodzin robotników, a wśród nich także biedny Marcin z żoną i dziećmi. Ty popatrzyłaś tylko przelotnie, pochwyciłaś pierwsze lepsze słowo, z tego co było mówione, a potem dowodziłaś z taką stanowczością faktu opartego tylko na twoich własnych domysłach! Ja nie mogłem przypuścić abyś tak lekkomyślnie wyrokowała o tak ważnej sprawie: uwierzyłem twoim zapewnieniom, „że na własne oczy widziałaś“ i przez to, niestety, pozbawiłem przez kilka godzin tego biedaka wszelkiego ratunku.

Późno w noc siedziała dziś Ida na swojem biało zasłanem łóżeczku, spłakana, drżąca, z policzkami rozpalonemi gorączką, pomimo zimnego dreszczu jaki nią wstrząsał co chwila.

Matka siedząc obok niej, trzymała jej rękę w dłoni i łagodnemi słowy usiłowała wlać trochę otuchy w to biedne, udręczone serduszko.

— Módl się Ido, Pan Bóg jest Wszechmogący, a równie Dobry jak Mocny, więc wszystko u niego uprosić możemy. On każdą winę maże, każdy żal widzi, skruchę przyjmuje jako zadośćuczynienie za błąd i dla samej już tylko szczerej chęci poprawy nieraz darowuje nam pokutę — Jemu poleć twoją troskę, moje dziecko.

I cicho, słodko, podpowiadała słowa modlitwy, którą usta dziewczynki powtarzały za nią z tak gorącem błaganiem.

Nazajutrz, zbudziwszy się dość późno, Ida nie mogła na razie zebrać myśli i przypomnieć sobie co to się wczoraj stało? czy rodzice się na nią pogniewali, czy z Mundziem pokłóciła się tak bardzo, że dotąd czuła na sercu niby sto funtowy ciężar?.. Z trudnością podnosząc nabrzmiałe od płaczu powieki, spoglądała wkoło siebie, po zalanym blaskami słońca pokoju,— a niebo uśmiechało się do niej taką cudną pogodą! Nagle widok tego błękitu odnowił w niej wszystkie wspomnienia dnia wczorajszego: Boże! Boże! jakie to było straszne! o ileż straszniejsze od wszystkich większych i mniejszych smutków jakie przeżyła dotąd; —



CHRYSTUS I MĘDRCY.

Młodziutki Chrystus stanął w sędziwych mędrców gronie
I wzrok miłości pełen w ich zimne wpoił oczy:
Chciałby im płomień wiary w zastygłem zbudzić łonie,
Wzruszyć egoizm, pychę, która im serce toczy.
Wszak miłość cudów zdrojem! wszak ona świat podbije
I w niebo ziemię wznosi, złego potęgę skruszy:
Gdy czarem tej miłości przemówi Pan do duszy
To choćby krzepła w grzechu, w płomieniach jej ożyje!
— Choć mędrcy wielcy pyszni, to jednak jacyż mali,
Gdy wobec nich przemawia cudowne dziecię Boże...
Oni, co rozum z wiarą na jednej kładą szali
A dążąc drogą wiedzy, trafiają na bezdroże.

Teraz zdziwieni patrzą z pod obwiśniętych powiek
Skąd w dziecku taki płomień, a w słowie ta potęga?
Nie widzą, że przed nimi Bóg stoi, a nie człowiek,
Co ziemię tylko depcze, lecz duchem w niebo sięga!
Ach, gdyby poszli z wiarą za Bożych ócz spojrzeniem
Doszliby takich wyżyn, którym już nie ma granic:
Lecz oni w siebie patrzą, za własnym idą cieniem...
Więc też jak cień przeminą — ich wiedza będzie na nic.
A z czystych ust dziecinnych wypłyną takie słowa
Co świat poruszą z posad, umarłych z grobu wskrzeszą:
Gdzie milknie wszelka mądrość ponad cierpiącą rzeszą
Brzmieć będzie w nieskończoności: nauka Chrystusowa!

Gabryela Zaleska.

Ona, ona sama stała się powodem takiego okropnego nieszczęścia — a przecie któżby mógł powiedzieć, że choć trochę, odrobineczkę zawiniła tu jaką złą wolą, ona, co tak radaby zawsze wszystkim ludziom tylko dobrze czynić! Jej tak żal było tego nieszczęśliwego, którego widziała na noszach tam, pod tartakiem — tak byłaby rada, gdyby sama mogła była, mu przyjść w czem kolwiek z pomocą — a jednak zawiniła! zawiniła ciężko przez tę swoją zwykłą nieuwagę i roztrzepanie przez które wczoraj w kocie dopatrzyła się wiewiórki, a kiedyś tu znów jagody jarzębiny wzięła za wiśnie i upierała się, że wiśnie po raz drugi dojrzały w tym roku...

Tak, podobne zdarzenia trafiały się jej często bardzo... prawie codzień... ale któż mógł przypuścić, że się stanie coś tak okropnego, że kilka słów nieopatrznie przez nią wyrzeczonych stanie się powodem...

Nie mogła nawet w myśli dokończyć tych okropnych słów: ukryła twarz w poduszki i zaciągnęła kołdrę na głowę, bo nie chciała, aby ktoś posłyszał jej płacz, a nie mogła się od niego powstrzymać.

Nagle uczuła, że ktoś usuwa jej kołdrę z twarzy i odciąga od niej ręce, któremi zaciskała usta, aby tem lepiej jeszcze stłumić łkanie — podniosła powieki: pochylony nad nią w promieniach słońca stał jej ojciec, z jasnym uśmiechem na twarzy.

— Córeczko, otrzyj oczy, rozpogódź serduszko! przynoszę ci na dzieńdobry radośną nowinę: Bóg wysłuchał twoich modłów, nasz chory dziś ma się lepiej powracam właśnie od niego. Zastosowane przezemnie wczoraj środki odniosły najszczęśliwszy skutek i dziś można mieć już prawie pewną nadzieję, że się go utrzyma przy życiu.

Ida chwilkę dużemi, rozszerzonemi oczyma patrzyła w twarz ojca, jakby nie rozumiała dobrze jego słów—nagle z głośnym okrzykiem radości rzuciła mu się na szyję.

— Och, tatko, tatko! czy to naprawdę? Mnie się nie chce wierzyć takiemu szczęściu! — ja od wczoraj myślałam, że już nigdy, nigdy w życiu nie będę mogła się niczem cieszyć, ani zapomnieć... szeptała, tuląc się do ojca coraz silniej i ocierając o jego czarny surdut i brodę swoje mokre od łez policzki. — O! zobaczysz jaka ja już teraz będę — już nigdy, nigdy nie będziesz potrzebował mnie nawet przestrzedz, stanę się taka uważna i tak się będę liczyć ze słowami, jak ty sam tatusiu!

— Wierzę twoim dobrym postanowieniom Ido ale przygotuj się do tego, że będziesz musiała, wytrwale pracować nad sobą chcąc je w czyn sprowadzić! — a teraz, kochanie, ubieraj się żwawo: przyprowadziłem ci najmłodszego synka cieśli Marcina, bo matka oddana pielęgnowaniu chorego przez dni kilkanaście nie będzie mogła wcale zająć się dzieckiem. Na ten czas oddaję tego malca wyłącznie pod twoją opiekę.

Jak myślicie czytelnicy: czy kiedykolwiek dziecko powierzone pieczy najtroskliwszej dozorczyni, mogło być tak pieszczonem i tkliwie doglądanem, jak mały Franuś oddany staraniom Idy?

Na co owocom potrzebne są barwy.

Z poprzednich numerów „Wieku Młodego“ dowiedzieli się nasi Czytelnicy, że rozmaite barwy skóry, upierzenia lub futra u zwierząt, przyczyniają się do ochraniania ich przed napaścią niebezpiecznych wrogów, a to w ten mianowicie sposób, że często czynią je dla oka tych wrogów niedostrzegalnemi. Ale podczas kiedy dla osiągnięcia tego cudownie obmyślanego celu, kret żyjący w ziemi jest okryty szarem futerkiem, a majowa żabka skacząca po trawnikach, jednoczy się barwą z zielenią świeżej murawy — owoce, wręcz przeciwnie, w pełnej dojrzałości swojej odbijają jak najjaskrawiej od tła liści, stanowiących ich najbliższe otoczenie. I tak n. p. poziomki, maliny, wiśnie i wogóle jagody dojrzewające w lecie, bywają jaskrawo czerwone, tak, że je zdaleka dostrzedz można wśród gałęzi okrytych bujnym, zielonym liściem — czerwonemi także są owoce jesienne takich roślin, których liście dłużej zachowują zieloność, jak n. p. jarzębina, malina, dzika róża (czyli głóg), cis, borówki, bez koralowy. Niebieskie natomiast owoce, spotykamy zawsze na tle liści już pożółkłych, lub też mających z natury odcień żółtawy, albo różowy. Jest to więc kolor przedewszystkiem jesienny. Takie owoce ciemno-niebieskie lub prawie czarne, mają: tarki i śliwy, jałowiec, jeżyna, czernice. — Te ostatnie wprawdzie należą do jagód letnich i to wcześniejszych — ale liście czernic mają odcień z lekka różowawy i dlatego barwa ciemno-niebieska jest dla ich owocu najodpowiedniejsza.

Określenie to zastanowi niejednego z Czytelników, wydaje się bowiem dziwnem, aby dla owoców pożądaną była koniecznie jak największa jaskrawość barwy, i odmienność jej od liściastego tła, gdy przeciwnie u zwierząt, jednolitość ich barwy z barwą otoczenia, stanowi ochronę przed wielu niebezpieczeństwami. A przecież to jeden i ten sam cel utrwalenia bytu, uchronienia przed zaginięciem, przyświeca całej tej rozumnej gospodarce przyrody, natchnionej i kierowanej Nieograniczoną i Wszechmocną Mądrością Bożą — tylko, że to co gubiłoby zwierzęta, przyspiesza właśnie odradzanie i rozmnażanie się owoców, a właściwie — co na jedno wyjdzie — roślin owoce wydających.

W głębi owocu ukryte jest ziarno czyli nasienie, z którego roślina się odradza — chodzi więc właśnie o to, aby owoc we właściwej epoce dojrzałości został spożytkowanym, a nasienie wydobyte z ukrycia i rzucone w ziemię mogło kiełkować i odrodzić sią w nowej roślince.

Przypuszczacie zapewne, że takie zasiewanie drzew i krzewów, jest przedewszystkiem dziełem rąk ludzkich — a człowiek obdarzony rozumem i znajomością

rzeczy, mógłby obejść się bez tak wyraźnej wskazówki barw jaskrawych, uderzających z daleka swą odrębnością. Niewątpliwie — ale udział pracy człowieka, jest w tym wypadku niesłychanie mały; stokroć dzielniejszymi od niego siewcami są zwierzęta i ptaki.

Gdy tylko owoce barwą i wonią swoją zaczynają zdradzać, że doszły już do zupełnej dojrzałości, naraz, jakby na zaproszenie, zlatują się ku nim lub zbiegają tak czworonożni, jak i skrzydlaci goście.

Rośliny mające owoc mięsisty a twardą pestkę, bywają w ten sposób rozsiewane najobficiej — zwierzę bowiem zjadłszy owoc, nie łakomi się już na pestkę, porzuca ją na ziemi i tak, ukryte w niej nasienie nie ulega zniszczeniu — w mniej pomyślnych warunkach odbywa się zasiewanie orzechów i wszelkich roślin szyszkowych, tu bowiem zwierzę zjada właśnie samo nasienie, a więc tylko pewna niewielka część nasion, upuszczonych przypadkiem na ziemię i przez to ocalonych od zniszczenia, przy pomyślnych warunkach może się odrodzić i rozplenić. Zwinna wiewiórka, gromadząca tak obfite na zimę zapasy, jest w tym wypadku jedną z najzasłużeńszych pracownic, ona bowiem w swych rączych skokach nie mało uzbieranych przez siebie orzeszków rozsiewa po ziemi, a że przytem nie zadawalnia się jedną spiżarnią, ale miewa liczne i rozmaicie po lesie rozmieszczone składy, więc nieraz zdarzy się, że o której ze swych kryjówek zupełnie zapomni — z zapomnianych zaś nasion wyrastają potem drzewa.

Droga do nory borsuka wysadzana jest zawsze krzewami bzu leśnego, jeżyny, kaliny, dzikiej róży, krzaczkami czernic, borówek i innych roślinek. Skąd się tam to wszystko wzięło? Przedewszystkiem z nasion jagód, które ten tajemniczy zwierz zajadał w czasie swych nocnych wędrówek.

Korzystnym więc jest ten sposób rozsiewania — ale trzeba, żeby owoc zwracał na siebie uwagę zwierzęcia wtedy dopiero, kiedy nasiona w nim są zupełnie dojrzałe. Inaczej zwierzę mogłoby zjadać owoce zielone i rozrzucać nasiona niedojrzałe, któreby marnie zginęły. Otóż co do tego udziela odpowiedniej wskazówki przedewszystkiem barwa owocu — bo w porze niedojrzałości, wszystkie owoce są jednostajnie prawie zielone.

Widzicie jak to cudownie został przez Boga stworzonym ten świat — że każdy najdrobniejszy w nim szczegół ma właściwą sobie poważną przyczynę — każdy stanowi nieodzowne ogniwo w łańcuchu ogólnego istnienia wszystkich tworów przyrody.

Ale nietylko zwierzęta i ptaki są siewcami lasu. Niemałe zadanie mają tu także do spełnienia wiatr i woda, a praca ich rozpoczyna się wtedy właśnie, kiedy las przed zimą przybiera tak ponury wygląd: liście niedawno jeszcze świeże i zielone wiszą w części zwiędłe i pożółkłe, w części zaś okrywają grubą warstwą ziemię, a wicher jesienny żałośnie szumi wśród ogołoconych gałęzi, pod niebem zaciągniętem szarą firanką chmur.

Ten żałośny, ponury wiatr jesienny, te chmury ołowiane z nieustanną i przykrą słotą — na które nieraz na wsi tak narzekamy, nie mogąc dzięki im tygodniami ruszyć się z domu — to są właśnie dzielni i niestrudzeni pracownicy, którym pokolenia ludzi co po nas nastąpią zawdzięczać będą cienisty chłód lasów w skwary letnie, a opał zimą. — Oto każde drzewo wydało przez ubiegłe letnie miesiące setki i tysiące nasion, dla których trzeba znaleść miejsce. Gdyby wszystkie upadły razem, zaciasnoby im było i żadne nie mogłoby wykiełkować; muszą więc ruszać w świat. A któż je łatwiej i dalej rozniesie jak potężny wicher jesienny? Któż im spulchni grunt spieczony i stwardniały przez lato, jeśli nie długie słoty październikowe?

(Dok. nast.).

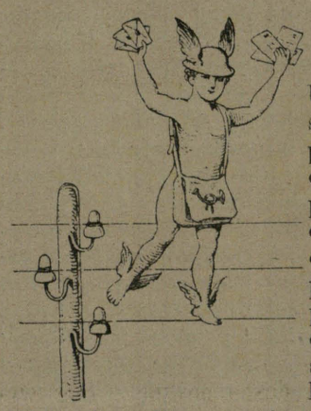

Skrzydlaty listonosz.

Lola T. w Sanoku. Ucieszyło nas, że Ci się „Nasz środkowy pokój“ tak bardzo podobał. — Twój długi i serdeczny list, był nam najlepszą odpowiedzią na zwrócone w końcu tego artykułu do wszystkich Czytelników pytanie: „jak tam w waszych pokojach i w waszych sercach wygląda?“ — W Twoje serduszko jużeśmy przez ten list jak przez okienko zajrzeli i zobaczyliśmy w niem z radością, że mówiąc twojemi słowami „kochamy jedno i dążymy do jednego celu!“ Nie chcąc abyś długo czekała na komedyjkę, kiedy przedstawienie ma przynieść dochód na szkołę polską w Białej, dziś zaraz druk jej rozpoczynamy. — Łamigłówka bardzo dobrze ułożona, ale do druku trzeba pisać tak zupełnie, jak ma być drukowana: więc na osobnej kartce i podając najpierw rozrzucone sylaby i znaczenie wyrazów, a wyrazy już ułożone dopiero osobno w rozwiązaniu. — Moryś F. w Krakowie: A więc w parku Dr. Jordana? szkoda, że nas tam nie będzie. aby uwieńczyć zwycięskich rycerzy.

Stefan B. w Stanisławowie: Śliczny to zamiar „być zawsze celującym“! Nie wątpimy, że go doprowadzisz do skutku, kiedy dotąd tak dobrze Ci idzie i miło nam, że tacy celujący uczniowie są takimi stałymi przyjaciółmi „Wieku“. Dziękujemy Ci za przysłany ładny widoczek szkoły realnej, w której jesteś IV-klasistą — ale karta byłaby jeszcze ładniejsza, gdyby na niej były same polskie napisy. — Dolusia i Nenio T. we Lwowie: Ucieszą się Wasze przyjaciółki, że ich dobra myśl zaraz znalazła naśladowanie! wartoby, aby między wszystkiemi polskiemi dziećmi rozpowszechnił się ten dobry zwyczaj ustanowienia jakiejś składki na Cieszyn za drobne przestępstwa w rodzaju nie zamykania drzwi lub zamykanie ich zbyt hałaśliwie, nie wycierania nóg w zimie, nie poskładania książek po nauce i t. p. — Mała skarbonka wisząca w dziecinnym pokoju z napisem: „Dla polskich dzieci, które się uczyć nie mogą polsku“, mogłaby przyłożyć drobną cegiełkę do wielkiego gmachu przyszłości. — Jaskółka ze Lwowa: Cieszymy się, że Ci się „Wiek Młody“ tak podoba — wytrwaj we wspomnianym zamiarze

kosa z czerwoną zaplotką spadała. Ona jedna jak zwinna jaskółka, wciąż uwijając się koło starców, tu coś podając, tam poprawiając w siedzeniu, ciepłym, serdecznym uśmiechem a czasem i słodkim, choć nieśmiałym szczebiotem, próbowała przerywać ciszę, rozchmurzać zasępione czoła...

Gdy już stracono nadzieję odzyskania porwanego Oleńka, żałośni rodzice przyjęli w dom swój tę oto sierotę, córkę dalekiego a ubogiego krewniaka, który zginął od strzały tatarskiej — a przyjęli w tej myśli pobożnej, aby ich litość nad sierotą, uprosiła wzajem u Boga opiekę nad ich własną, w obcy, wrogi, świat rzuconą dzieciną: „Niech tam nasze biedactwo trafi bodaj na jakiego dobrego człeka! niech mu ręka życzliwa poda choć chleba kawałek, jako my sercem nic nie pożałujemy tej chudzinie.

I „chudzina“ rosła, otoczona troskliwością i dostatkiem w osierocenych ścianach starego domu i rozweselała je, jak promyk słońca wkradający się w mroki. Z biegiem lat, opiekunowie, zrazu zajmujący się nią tylko z poczucia obowiązku i przez poczciwość, przywiązali się szczerze do wdzięcznego dziewczęcia, które płaciło za dobroć dla siebie całym porywem uczuć młodych i gorących. Chowana w pracowitości i bojaźni Bożej, starała się każdemu usłużną być i miłą. Z panią Matką gospodarzyła w dziedzińcach, ogrodach, spiżarni, i apteczce — suszyła zioła lecznicze i przyprawiała nalewki. — Jejmość pannie ciotce, zwijała len na motki, tkała z nią i dzierżgała w krosienkach, słuchała cierpliwie jej nieskończenie długich a zawsze się powtarzających opowieści — Dziadusia w krześle suwała i laskę za nim nosiła, czytywała mu Officyum z Modlitewnika i psalmy nabożnego Jana z Czarnolasu. Gdyby nie ona, dom Bałabanów ogłuszałby w swym smutku i żałobie i niebyłoby się w nim nigdy komu roześmiać ani zaspiewać.

I teraz Hanka to, pamiętała o wszystkich przygotowaniach wigilijnych: ona dozorowała sporządzenia potraw, ona zajęła się nakryciem stołu i ubraniem sali, a teraz, widząc że p. Starosta nie podnosi smutnie opuszczonej głowy i odmówieniem modlitwy nie daje zwykłego hasła rozpoczęcia wieczerzy, zwróciła się sama do stojącego w jednym rogu izby dużego gdańskiego kredensu, wydobyła z niego z pod zamknięcia z dziwną starannością przechowywaną misę, wpółpełną kutii już tak wyschłej i szczerniałej, że prawie w proch się rozsypującej i stawiając ją przed dziadkiem, jakby dla opamiętania zadumanego starca z rzewnym uśmiechem szepnęła:

— Dziadusiu! Oleńkowa kutia czeka!

Starzec spojrzał na mówiącą, drżącą ręką przeżegnał kutię i leżący obok opłatek, i z trudem przy pomocy Hanki dźwignąwszy się z krzesła, wyrzekł, na podziw jeszcze silnym i dźwięcznym głosem, zwykłą wigilijną formułkę:

— Dosiego roku, nam wszystkim tu obecnym — a nieobecnemu, powrotu do gniazda!

Kiedy zaś białogłowy, ocierając łzę mimowolną, jęły się w kolej łamać opłatkiem, on zwrócił się do opróżnionego miejsca obok siebie i owej wyschłej kutii z przed lat wielu nałożywszy nieco na dziecinną miseczkę, mówił dalej rzewnym, proszącym głosem, jakby do kogoś słuchającego przemawiał:

— Wróć mi się, wnusiu! wróć, starości mojej nadziejo i podporo, domu naszego dziedzicu! Nie straciliśmy nadziei i nie zwątpili, wróć! oto cię czekamy z kutią której nie dokończyłeś i z opłatkiem — a jako ty dla mnie, przed laty, nalać kazałeś czarę powitalną i wywróżyłeś że wrócę, tak i ja, dziś przypijam do ciebie, wołam do ciebie i zaklinam ciebie, wróć się! staw się w naszem kole, w jakiejkolwiek losów odmianie, w jakiejkolwiek świata stronie przebywasz — wołam ciebie, piję do ciebie: na zdrowie twoje — dziecino!

I wyciągając rękę z kubkiem nalanym ku niezajętemu miejscu, trącił o brzeg roztruchanika, aż srebro czysto i przeciągle oddźwiękło.

Co roku w ten sam mniej więcej sposób rozpoczynano wieczerzę wigilijną w Winnickim zameczku — ale tym razem głos starca miał tak dziwnie przejmujące brzmienie, że słuchający mimowoli spojrzeli wszyscy na niezajęte miejsce, doznając tajemniczego wrażenia jakby tam na niem rzeczywiście był ktoś, obecny a niewidzialny... I wszystkim nagle przypomniała się niewytłumaczona czasem doniosłość przeczuć, wszyscy przenieśli się myślą w tę niezapomnianą chwilę, kiedy niewinny dziecięcy głosik przy tym samym stole, jakby w jasnowidzeniu przepowiedział powrót oczekiwanego.

Od pustego miejsca, oczy pociągnięte jakąś dziwną siłą, pobiegły z nagłym wyrazem oczekiwania ku drzwiom i oknom zapartym — a oto, jakby na powiększenie złudzenia, że chwile raz przeżyte, tajemniczo ponawiać się mogą, w oknach tych jak przed laty grała w tej chwili łuna różowa i dał się słyszeć gwar głosów dalekich...

— Pochodnie kolędników na śniegu — czy wschód księżyca?... zapytały i teraz czyjeś, mimowoli blednące usta — a nieludzki wrzask, pisk i skowyt napełniający już dziedzińce, dały i dziś tę samą co niegdyś odpowiedź: Tatarzy!... (Dok. nast.)

Na co owocom potrzebne są barwy.

(Dokończenie).

Jesień, to główna pora siewu leśnego, ale nie jedyna. Gdyby bowiem na wszystkich drzewach dojrzały nasiona jednocześnie, zebrałoby się ich za dużo i wówczas najpotężniejszy nawet wicher nie podołałby takiej pracy. To też dojrzewanie nasion, tak samo jak kwitnięcie drzew, odbywa się stopniowo i kolejno.

Ten siew natury, rozpoczynają najpierw drzewa, które pierwsze kwitnąć zaczęły — a więc: różne gatunki wierzb, topole, osiki. Nasiona ich dojrzewają już i wysypują się, zanim się najopieszalsza z drzew leśnych, lipa, kwiatem okryje.

Po tych przodownikach ruszają najpierw w świat nasiona wiązów — dalej brzóz — jesionów, klonów i t. p. Lipy i graby, drzewa, które tak bardzo z kwitnięciem marudziły, nie spieszą się też i z rozsianiem nasion. Godnem uwagi jest to, że nasiona letnie, jakby przez wzgląd na to, że w tej porze roku nie ma zbyt silnych wiatrów, są przeważnie drobne i lekkie; nasiona zaś dojrzewające później, które mogą mieć na swe usługi wichry jesienne, bywają cięższe i większe.

Przytem wszystkie nasiona zaopatrzone są jak gdyby w skrzydełka, odpowiednie do owej nadpowietrznej żeglugi, i tak n. p. nasiona wierzby, osiki, topoli, pokryte są całe drobnymi włoskami, które na wietrze rozpościerają się i pozwalają najlżejszym nawet podmuchom czerwcowego wietrzyka unosić je z lekkością w dalekie nieraz strony.

Podłużne nasionka wiązu, są już obwiedzione szeroką błonką, rozciętą u góry, zastępującą im wcale nieźle żagle — a już najformalniejsze skrzydełka, mają nasionka klonów i jesionów, zrośnięte zawsze po dwa razem i przypominające zupełnie kształtem swoim skrzydlate owady.

Im skrzydełko takie jest tęższe i lepszy opór stawiające wiatrowi, tem cięższe nasienie może z jego pomocą bujać po przestworzach, ale też tem silniejszego wichru potrzeba, aby je nieść po nad ziemią.

Z końcem jesieni, z nadejściem śniegów i mrozów, siew lasu nie jest jeszcze skończony; ustaje on wprawdzie na razie, gdyż cały las układa się do zimowego spoczynku, ale po to tylko, aby na wiosnę wznowić się w dalszym ciągu. Wiele jeszcze drzew nie rozrzuciło dotąd swych nasion; wszystkie te mianowicie, których nasionka ukryte są w szyszkach, zachowują je przez zimę bezpieczne, że mróz przez twardą łuskę się do nich nie dostanie.

Nasiona sosen, świerków, jodeł, modrzewi i olch, dojrzewają w jesieni, w październiku a najdalej w listopadzie, ale szyszki ich przez zimę pozostają zamknięte. Dopiero, kiedy w powietrzu czuć już trochę wiosnę, kiedy słońce zaczyna grzać nieco cieplej, pękają najpierw nieduże, czarne szyszeczki olchy i wysypują na śnieg swe drobniutkie nasionka. Nie bez przyczyny olchy tak się spieszą, nie czekając zupełnej wiosny: nasionka ich nie mają ani włosków ani skrzydełek, a raczej skrzydełka ich są tak wązkie, że fruwać na nich nie sposób. Nicby im więc nie przyszło z wiatru, ale za to korzystają one ze śniegu, który jeszcze w lesie leży; śnieg bowiem topniejąc spływa i unosi je ze sobą.

Co innego drzewa iglaste — nasionka ich są wprawdzie większe, ale za to każde opatrzone jest sporem skrzydełkiem i zdatne do unoszenia się w powietrzu. To też szyszki ich otwierają się dopiero na wiosnę, gdy już śniegi zupełnie stopnieją i ziemia jest przygotowana na przyjęcie nasion.

W porządnem gospodarstwie przed zasianiem należy spulchnić i użyźnić rolę. Ma i las swoich oraczy, którzy spulchniają mu grunt wyśmienicie, chociaż bez pługa i brony. Koło leśnej orki pracuje niejedno stworzenie: jelenie i sarny, których ostre kopyta ścierają wszelkie nierówności gruntu; dziki, które swym ryjem bruździą ziemię głęboko i dokładnie; borsuki, krety, lisy i inni podziemni kopacze, a zwłaszcza niepozorne glisty ziemne — dżdżownice, które w ukryciu i powoli, ale niezmordowanie, wzruszają całą wierzchnią warstwą gruntu. Użyźniają zaś ziemię same drzewa leśne, i liście, które na niej gniją.

Istnieje więc w lesie rodzaj bezwiednej spółki między roślinami i zwierzętami; las daje zwierzętom schronienie i żywność, ale i one wyświadczają mu nie mniejsze przysługi. I dzięki takiej spółce wszystkim się dobrze powodzi; las się rozsiewa, wzrasta i zieleni, strzela w górę konarami, błyszczy kwieciem u dołu, a zwierzęta krzątają się w nim żwawo, syte i wesołe; bo gdzie jest wspólna praca, wspólna pomoc i obrona, tam nigdy źle nie będzie.

B. D.

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

I.

Przyjaciel Juljanka w dybach.

W Skokach, na Litwie, o milę od Bruścia litewskiego, mieszkali przed stupięćdziesięciu laty zacni obywatele, Marcelostwo Niemcewiczowie. Ród ich, aczkolwiek majętny, nie szczycił się wysokiemi w kraju dostojeństwami, godnościami senatorskiemi, ale odznaczał się bogobojnością, uczciwością i cnotą obywatelską i cieszył się ogólnym szacunkiem.

W domu tym rosło kilkoro dzieci, z których najstarszym był chłopczyk Juljanek, od wczesnego już dzieciństwa objawiający umysł zdolny do zastanowienia i skłonne do głębszych uczuć serduszko.

Juljanek miał w domu rodziców przyjaciela, którego pokochał, tym szczerym porywem dziecinnego serduszka, tak miłym i wdzięcznym właśnie przez to, że nie ogląda się na żadne różnice stanu ani wieku:

Przyjacielem tym, był Jan, kucharz, cały dzień zajęty w kuchni w oficynie, albo majstrujący jakieś przybory łowieckie, lub chodzący czasem z flintą na łowy, których był wielkim miłośnikiem. Matka niebardzo pozwalała Juljankowi zabiegać do kuchni i przestawać ze służbą, od której mógł się może uczyć jakich mniej odpowiednich rzeczy — ale sympatya chłopczyny do Jana była tak wielką, że nieraz nie mógł oprzeć się pokusie.

Oto właśnie wymyka się niepostrzeżenie ze dworu i ostrożnie, oglądając się czy go kto nie widzi,

spieszy ku oficynom, przebiega szybko jak strzała sień izbę czeladnią, i wpada do kuchni.

— Jestem! — woła przyciszonym, zadyszanym od prędkiego biegu głosikiem, rozglądając się z zajęciem dokoła i wpatrując radośnie w Jana, który w białej szlafmicy i opasany białym fartuchem skrapia właśnie obficie, roztopionem masłem, dopiekające się, rumiane prosie, obracane na różnie przez kuchcika.

— A widzę że jesteś! — odpowiada z poczciwym uśmiechem Jan, spoglądając z przyjemnością na rozpromienioną twarzyczkę malca. Ale Juljanek tak się już zapatrzył w strzelające wesoło płomyki ogromnego ognia na kominie, że w tej chwili ledwo słyszy co mówią do niego — bezwiednie nawet przysuwa się do ognia coraz bliżej.

— Hej, hola! paniczu! cóż to, nie boisz się ognia? woła Jan, chcąc go wyrwać z tego zamyślenia, grożącego osmaleniem sukienki. — Może chcesz spróbować jak to ci w piekle będzie? — dodaje jeszcze żartem, o! bo Jan jest bardzo wesoły i zawsze go się jakieś żarty trzymają.

Ale oczy dziecka z prawdziwem zaniepokojeniem zwracają się na dużego przyjaciela: — Za cóż to ja miałbym pójść do piekła? — pyta niepewnym głosem.

— A cóż to, Juljanek nie zna swoich grzechów — mówi Jan z figlarnym spojrzeniem — mnie się zdaje że nieposłuszeństwo to chyba do nieba nie zaprowadzi,

— Prawda! ja czasem troszkę nie słucham... tutaj przychodzę — mówi poważnie skruszonym głosem sześcioletni winowajca i zastanawia się głęboko, ale Jan, który nie chce mu psuć chwili uciechy, a wie, że Pani nie tak bardzo znów surowo zabrania tych wycieczek do kuchni — nie daje mu trapić się długo: zdejmuje z bocznej półki śliczny, miodem pachnący, świeżo upieczony pierniczek i przerywa nim poważne zdumanie chłopczyny.

— Poprawisz się jeszcze, Juljanku! a tymczasem zjedz oto pierniczek.

I zaduma pierzcha ze śmiejących się oczu dziecka, a po chwili Juljanek dogryzając trzymany w jednem ręku pierniczek harcuje na dużej miotle, jakby na koniu po całej kuchni, zaś oczy poczciwego Jana chodzą za nim z upodobaniem.

— Hej, hej! teraz to jeszcze moja miotła doskonałym jest konikiem — ale za kilka lat, gdy Tatuś Juljankowi daruje prawdziwego konika, to Juljanek już i nie zajrzy do kuchni!

— A czemu bym zajrzeć nie miał? ja przecież Jana zawsze, zawsze kochać będę! mówi malec i wygramoliwszy się na ławkę pod ścianą obejmuje za szyję kucharza.

— A ty mały pochlebco! patrzcie go! Jana będziesz kochać, ale gdy na żywym koniku pojedziesz z tatulem w pole, do orki, to do żniwa, albo i na łowy, to już Jan będzie musiał ustąpić.

— Ach, łowy! mój Janie, mój złocisty! opowiedzcie mi co o jakich łowach! takeśmy sobie dawno nie rozmawiali.

I rozpieszczony malec sadowi się wygodnie na kolanach Jana, który nie dając się długo prosić rozpoczyna jakąś ciekawą myśliwską opowieść, przy której obu i słudze i dziecku, aż oczy się błyszczą zajęciem i uciechą, a Juljanek co chwila przegryza to słodki biszkopcik, to obwarzanek ptysiowy, grubo obsypany cukrem i tłuczonymi migdałami — bo Jan ma zawsze jakiż przysmaczki w zapasie dla swego ulubieńca.

Nareszcie, gdzieś w pobliżu, daje się przez okno słyszeć głos matki, wołający: Juljanku! Juljanku! a gdzie ty?

Spiesznie żegnają się obaj przyjaciele, a Juljanek tuż za progiem spotyka idącą już po niego Matkę. Znowu w kuchni, Juljanku? pyta ona głosem nie brzmiącym bardzo surowo, wie bowiem, że co do Jana może być spokojną, iż nic niestosownego dziecku nie powie, a mimowoli ujmuje ją i wzrusza to wzajemne przywiązanie poczciwego sługi i dziecka.

— Jan mi opowiadał, jak się poluje na wilki, Matusiu — i dał mi takiego doskonałego pierniczka! — opowiada z zupełną szczerością Juljanek i po chwili już, w dziecinnym pokoju rozlega się wesoły głos jego przewodniczący w jakiejś zabawie — a donośna wrzawa, w której rozróżnić można udawane gęganie gęsi, kwiczenie prosiaka, wycie wilków i huk niby wystrzałów, świadczy wyraźnie, że polowanie w którem rolę zwierzyny, przynęty i strzelców odgrywa młodsze rodzeństwo Julianka, pod jego przewodnictwem idzie doskonale! (C. d. n.).

Gwiazdka.

Błysła gwiazdka stupromienna,
Srebrna gwiazdka mała:
Jeszcze blada, jeszcze senna
Na obłoku drżała.

Zahuczały wichry w górze,
Śniegowe tumany —
Znikł i zagasł na lazurze
Promień gwiazd świetlany.

Długo, długo w wichrów łodzi
Mknęły chmury czarne
Nim z deszczowych się powodzi
Mgły rozpierzchły marne.

Na obłoku gwiazdka blada
Znowu znaczy drogę,
Promykami z ziemią gada,
Rozpowiada trwogę.

Jak aniołów łezka biała
Znowu błyszczy w górze...
Taka drobna, taka mała
A przetrwała burzę?!

W czem tej siły tajemnica
Co jej wsparcie niosła,
Że nie ścmiła sreber lica,
Gdy w krąg ciemność rosła?

O, bo gwiazki w złej kolei
Znają prawdę błogą:
Że dni gromów i zawiei
Wiecznie trwać nie mogą.

— Obyż zawsze, gdy tęczowy
Szlak przesłonią chmury,
Pomnieć, w chwili tej przejściowej,
Gwiazd naukę z góry:

Choć świat w koło się zamroczy
Trzeba ufać w nieba,
I ku gwiazdom niosąc oczy,
Śmiało kroczyć trzeba! *Z. M.*

KOLEDZY.

przez

Irenę Mrozowicką.



Nie lubili się od pierwszej gimnazyalnej klasy — a jednak sąsiadowali z sobą i na ławce szkolnej i w katalogu, bo nazwiska ich ta sama rozpoczynała litera. Opinia profesorów i kolegów również łączyła ich z sobą, obejmując nieraz jednem wspólnem mianem: premiantów. Istotnie byli premiantami od chwili pierwszego przestąpienia progu gimnazyum; w całej klasie tylko Władek Korewicz przodował im jeszcze, a oni obaj otrzymywali po każdem półroczu świadectwa tak równo ustopniowane, iż jedyna w nich różnica polegała na tem, że Jaś Waniewski miewał względnie najsłabszą klasę z niemieckiego, a Kazik Wydera z matematyki.

Już to Wydera, zwany Wydrą, nie cieszył się w ogóle sympatyą kolegów — mówiono o nim, że jest chytry i złośliwy; twarz jego drobna, piegowata, raziła jakimś wyrazem niby pokornym, lękliwym a przebiegłym — ale może były to tylko mylne pozory, bo począwszy od I-szej aż do IV-tej klasy — w której był obecnie — Wydra ani razu nie splamił się żadnym czynem niekoleżeńskim; zarzucano mu wprawdzie donosicielstwo i lizusostwo, ale na poparcie tych zarzutów nie można było przytoczyć ani jednego faktu — same tylko gołosłowne, na niczem nieoparte przypuszczenia.

Bądź co bądź, z pomiędzy wszystkich kolegów jeden tylko Władek Korewicz, przyjaźnił się z nim szczerze — a to właśnie, było zapewne głównym powodem zaostrzającej się coraz ku niemu niechęci Jasia Waniewskiego. Władek, to był ideał całej klasy, szczęśliwy wybraniec losu, do którego lgnęły wszystkie młode serca, a już żadne pewnie tak gorąco, jak porywcze, skłonne z natury do gwałtownych uniesień serce Janka. Trzebaż było dziwnego trafu, żeby pomiędzy nich dwóch, tak dobrze sobie odpowiadających charakterem, inteligencyą, nawet postacią dzielną i ruchami zamaszystymi, świadczącymi o równie energicznej i szczerej naturze, wciskała się marna figurka takiego Wydry, z głosem wiecznie przytłumionym, cienkim jak głos dziewczyny i z temi wstrętnie biegającemi oczyma! Co sobie właściwie Władek mógł do niego upatrzeć, żeby go przypuszczać do takiej poufałości, do wspólnych wycieczek za miasto, do nieskończenia długich pogadanek na wszystkich przerwach w szkole? Wszyscy koledzy się tem gorszyli, a Władek zaczepiany nieraz i wypytywany o powód tej dziwnej przyjaźni, z tak ogólnie

nielubianym chłopcem, wzruszając ramionami, mówił głosem szczerego przekonania:

— Czego wy chcecie od niego? to bardzo dobry chłopiec — że nie jest bardzo miły, a raczej że nie ma miłej powierzchowności, to przecież nie jego wina a poza tem, cóż mu możecie mieć do zarzucenia?

Na taką interpelacyę najrozmaitsze zarzuty sypały się gradem, ale wszystkie, Władek obalał spokojnem pytaniem:

— Czemże mu to udowodnicie? na zasadzie jakiego postępku opieracie te wasze oskarżenia?

Postępków, faktów, które byłyby mogły świadczyć przeciw Wydrze, istotnie nikt przytoczyć nie umiał. Nielubiany i pogardzany prawie chłopiec, zachowywał się bez zarzutu. Z obyczajów miał zawsze wzorowe stopnie — z przedmiotów szkolnych również, chociaż nie odznaczał się szczególnemi zdolnościami, ale kuł, kuł zapamiętale a w czasie lekcyi, nawet te jego niespokojne, biegające oczy unieruchomiały się, z takiem natężeniem wpatrzone były w twarz profesora, jakby usiłując każde słowo odczytać mu w myśli, nim jeszcze wymówione zostanie.

Waniewski uczył się równie dobrze, ale ze znacznie mniejszym nakładem pilności; pamięć miał taką, że ledwie raz co przeczytał już umiał doskonale; gdyby nie język niemiecki, byłby w stopniach mógł dorównać samemu Władkowi. Z niemiecczyzną nie szło mu tak dobrze — No trudno — do takiego przedmiotu chyba nie każdy może mieć zdolności — pocieszał się w duchu Janek patryota. Zresztą nie bardzo go to martwiło, że Władek go wyprzedzał — znacznie więcej dolegała mu myśl, że Wydra trzymał się z nim równomiernie i nie zanosiło się jakoś na to, aby mu kiedykolwiek z drogi ustąpił.

W czwartej klasie, Wydra, zgłosił się do profesora matematyki z prośbą, aby mu pozwolił zdawać „z własnej pilności". Przez tego profesora właśnie był mniej lubiony niż przez innych, co się łatwo tłumaczyło tem, że z matematyki uczył się zawsze najsłabiej i nieraz nawet wyrwał się z taką odpowiedzią, jakby zupełnie nie uważał na wykład. A profesor, ogromnie zamiłowany w swoim przedmiocie, zwykł był mówić uczniom, że kto nie umie porządnie rachować, ten też nie potrafi i porządnie myśleć, a kto nieporządnie myśli... no, ten w najlepszym nawet razie, niejedno głupstwo palnie przez życie.

Gdy się Wydra zgłosił ze swoją prośbą, profesor najpierw popatrzył na niego z pewnem zdziwieniem a następnie zajrzał do katalogu.

— Hm, chcesz sobie klasę poprawić — no, to dobrze, to mnie cieszy — ale wiesz, że ty i tak wcale nieźle stoisz teraz; z wypracowań piśmiennych masz chwalebne — tylko te ustne, te ustne odpowiedzi! — zwłaszcza jak cię wyrwać tak, wpośród wykładu — czemu ty masz zawsze taką minę, jakbyś spadł z księżyca?

— Bo ja... proszę pana profesora... ja sam niewiem jak to jest — ale jak pan profesor czeka na odpowiedź i wszyscy słuchają, to mnie zaraz czegoś wszystko tak się w głowie splącze, że całkiem nie mogę rachować.

— Hm, widzicie go! splącze mu się zaraz — a z historyi, z geografii, to ci się nie plącze?

— Nie — tylko czegoś z matematyki.

— No, zobaczymy jak to będzie — dam ci kilka zadań do wyrobienia w domu, a potem mi to samo przerobisz na tablicy. — Pamiętajże sobie, żeby ci nikt w domu nie pomagał, bo ja to zaraz z twoich odpowiedzi wymiarkuję, czy ty nie jesteś z tych, co to lubią: pieczone gołąbki...

— Nie, proszę pana profesora, ja całkiem sam wyrobię — mnie nawet nie ma kto pomagać w domu.

Na następnej lekcyi profesor doręczył mu kartkę, na której wypisał kilka zadań dość trudnych i zawikłanych; na wyrobienie ich wyznaczył mu dwa tygodnie czasu.

Rzuciwszy okiem na tę kartkę, przez ramię Wydry, Janek Waniewski osądził, że Wydra nigdy w świecie sam sobie z temi zadaniami nie da rady. Nawet Korewicz, co tak rachuje jak błyskawica, musiałby się nad niemi dobrze pomozolić — a tu taki „tępogłówek" jak Wydra, co się tylko tem trzyma w pierwszym szeregu, że kuie każdą lekcyę na pamięć od A do Z — porywa się na takie rzeczy, w których kucie już nic nie pomoże. Tu trzeba umieć pomyśleć, wysnuć coś z własnej głowy a kto ma taki ptasi mózg jak ten Kazik, to nie powinien nawet brać się do tego.

Zresztą, ciekawa rzecz, na co mu koniecznie jeszcze lepszy stopień z matematyki? niby „zadawala" to nie dosyć dla takiego luminarza! (C. d. n.).

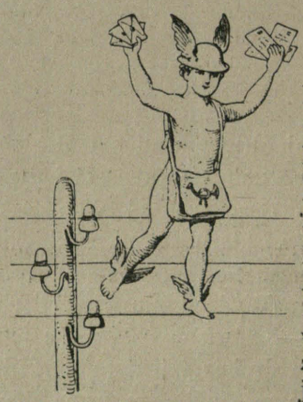

Skrzydlaty listonosz.

„Kolibr" we Lwowie: I owszem, milutki ptaszku! chętnie przyjmujemy twoją pomoc i dziękujemy Ci za obietnicę jednania nam przyjaciół! — Turystka Tatrzańska we Lwowie: I my domyśliliśmy się, że Ada w ślicznym obrazku „To Polska" była rzeczywistą Adą L., i to prawda, że Bóg nagrodził jej kochające serduszko stałym odtąd w Polsce pobytem. Miło nam, że Ci się wszystkie powieści w „Wieku Młodym" tak podobają — co do historycznych, redakcya sama Twój gust podziela. Nie Ty jedna, ale wiele bardzo z naszych czytelniczek, dopomina się o dawno obiecany „Dziennik Maryli" — wszystkie jednak muszą do czasu poprzestać na „Kolegach", tej samej autorki. Winszujemy Ci świadectwa. —

Staś D. w Stanisławowie: Łamigłówka zgłoskowa i zagadka rozwiązane doskonale, ale geograficzna brzmi inaczej, bo polegała na żartobliwej grze słów m e n, j e m e n i i l - m e n. Nic dziwnego, że jej nie odgadłeś, bo to samo wydarzyło się tym razem bardzo wielu czytelnikom. — P o l s k a D z i e w e c z k a z n a d W i s ł y: I Tobie także, między innemi — Autorka zagadki może się cieszyć, że jej się udało tak zaintrygować wszystkich czytelników. Dziewczę polskie z Bolechowa dawno już do nas nie pisało — teraz koresponduje z nami młodsze rodzeństwo, więc tą drogą chyba Twoje uściśnienie poszlemy. Pochwalamy bardzo, że „Wiek“ tak porządnie składasz i dajesz oprawiać.

R ó ż i a W. w B o r y s ł a w i u: Donieś nam czy od dawna jesteś czytelniczką „Wieku“ i przez którą księgarnię abonujesz, bo Twój adres nie jest u nas zapisany. Łamigłówki wolimy takie, jak w dzisiejszym numerze, których zarówno ostatnie jak i pierwsze głoski stanowią wyraz do odczytania. — M o r y ś F. w K r a k o w i e: Śniegi znikły, cóż będzie z okopami w których walka się miała rozgrywać. — J a n i n a P. we L w o w i e: Wstąp kiedy do redakcyi odebrać nagrodę, którą wylosowałaś. — H e n r y k M. w K o ł o m y i; Ho, ho! już czytujesz Sienkiewicza a „Wiek Młody“ jeszcze jest w łaskach! To dla nas zaszczyt nielada. — P s z c z ó ł k a z K ę b ł o w a: Z Niemiec, do Arabii i do Rosyi, to doprawdy na skrzydełka „pszczółki“ za daleka droga — nie dziwimy się też, że tam nie trafiła i nie znalazła rozwiązania zagadki! Najpiękniejsze ukłony łaskawej Korespondentce. — W a n d a W. we L w o w i e: Jak na pierwszy raz, bardzo dobrze, ale w przyszłości wypisuj kolejno wszystkie wyrazy, których głoski pierwsze lub ostatnie stanowią rozwiązanie łamigłówki zgłoskowej. — Ucieszymy się dłuższym listem od Ciebie. — M a c z e k z e S k o l e g o we L w o w i e: Dobrze, więc „Wiek Młody“ będzie Cię oczekiwał tu we Lwowie a Ciocie bardzo się cieszą, że Cię teraz będą mogły częściej widywać. Cieszą się także, że Ci się tak podobała powieść „Rodzeństwo“ — i w tym roku będą równie ładne. Egzamin z VIII. klasy pewno Ci pójdzie wyśmienicie, a że zdawać będziesz w szkole królowej Jadwigi. więc się przy nim zobaczymy.

T a d z i u ś G. we L w o w i e: Twoje wypracowanie jest jednem z najlepszych w tym konkursie pomiędzy pracami młodszych czytelników, to też i Tobie przysądzamy nagrodę. — F e l i k s B. we L w o w i e: Należysz do nowych abonentów, prawda? Donieś nam więc czy posiadasz jakie tomiki naszej Biblioteczki. — L i l a T. w K r a k o w i e: Ucieszy Cię wynik konkursu historycznego i nam bardzo miło, że właśnie Tobie możemy z całą słusznością przysądzić nagrodę. W u c h a O. w S t r o n i b a b a c h: Wybraliśmy Ci książkę która nam samym bardzo się podobała. — W a l e r c i a i E l z a M. we L w o w i e: I owszem, próbujcie układać łamigłówki ale takie, w których zarówno pierwsze jak i ostatnie głoski wyrazów stanowią słowo do odczytania; takie najchętniej drukujemy. Donieście czy Sydzia T. jest także naszą abonentką? bo u nas nie zapisana, więc może trzyma przez księgarnię — to, że jest waszą przyjaciółką daje jej już pewne prawo i do naszej przyjaźni. — J u l i s i a S. w S z y d ł o w c a c h: Że Twoja wstęga Legii Honorowej jest właśnie w kolorze, który najlepiej lubisz, i że Ci ta pamiątka pilnej pracy w konkursach dobroczynnych taka miła, to i nas bardzo cieszy. A Wandzia jaki ma kolor ulubiony? Z Twojego sprawozdania widzimy, że czytujesz prześliczne rzeczy, a że to z Ciocią Ludą, to tem milej być musi. Uściskaj od nas siostrzyczki, Marylę, Ciocię i Mamusię. — T a d z i o D. w C i e s z y n i e: Nagroda! nagroda! nagroda! ale jeżeli ona ucieszy Ciebie, to z pewnością nie więcej jak redakcyą Twój list, donoszący o waszych tak doskonałych postępach w naukach! Ty masz same jedynki, a Roman najlepsze świadectwo z całego gimnazyum — to już redakcya nie powstydzi się za swoich Czytelników!... A już dla samego honoru imienia polskiego najbardziej cieszyć nas musi, gdy taka jak Wy i w Waszych warunkach rosnąca młodzież, tak się nie da innym wyprzedzić! Wy tam wszyscy przyszli „S t r a ż n i c y n a k r e s a c h“ — jak się zawsze w listach swoich do nas podpisywał jeden z naszych także bardzo kochanych Czytelników, którego może i znacie!

P o l k a we L w o w i e: Dziękujemy Ci, że zaraz po swoim egzaminie doniosłaś nam o jego wyniku, bo każda dobra wiadomość o Tobie, tak nas serdecznie cieszy: wprawdzie z góry nie wątpiliśmy, że Ci się uda doskonale, ale w każdym razie państwowy egzamin z buchalteryi to już rzecz poważna i dobrze go już mieć poza sobą — czy myślisz zaraz robić z niego jaki praktyczny użytek? Miło nam, żeś tak oceniła prześliczny wiersz pani Zaleskiej w przeszłym numerze; masz słuszność, że musimy treść dobierać odpowiednio nietylko dla młodszych ale i dla naszych starszych przyjaciół — których mamy między Wami tak wielu — i że ostatnie nasze artykuły przyrodnicze, o barwach u zwierząt i owoców, zajmujące są i przystępne i dla jednych i dla drugich. Trzeci numer wysłaliśmy Ci ponownie. — L i t w i n w S t a n i s ł a w o w i e: Nie, to nie „Dunaj“, choć większość czytelników tak tę zagadkę rozwiązała. Czy nie znałeś przedtem powieści, która Ci przypadła w nagrodę — B u k o w i a n k a w S a n o k u: Zgoda na pseudonim, zgoda na urządzenie przedstawienia aż w lecie, a zwłaszcza zgoda na poczciwe pragnienia twego serduszka! Czy koleżanki o których wspominasz czytują także „Wiek Młody?“ Łyknęliśmy sobie trochę tego kakao, coś nam przysłała, ale musimy Ci powiedzieć, że mało pożywne. — Na „dłuższy list“ już miejsca nie wystarcza, ale ucałowanie, choć jedno za tyle milionów, jeszcze się zmieści! — K o n w a l i j k a z G o r l i c: Cieszy nas, że Ci się nagroda tak podobała. Naturalnie, że nauka pierwsza od korespondencyi i łamigłówek — w czasie Świąt wielkanocnych będzie więcej czasu. —

M a r y a H. w K o ł o m y i: Nieporozumienie z Twoją prenumeratą już wyjaśnione, wysłaliśmy Ci wszystkie zaległe numera i nadal już my sami wysyłać Ci „Wiek Młody“ będziemy. — Szanowna Twoja Babunia zapewniła nas, że będziemy mieć w Tobie pilną Czytelniczkę i korespondentkę, H a l k a S z. we L w o w i e: Łamigłówka rozwiązana doskonale, a zagadki czy były za trudne? — L i l a T. w K r a k o w i e: Drugi raz słówko do Ciebie w tym „Listonoszu“, bo w tej chwili dostaliśmy znowu Twój list z rozwiązaniami i ładną próbę kaligrafii; podobał nam się także bardzo wybór przepisanego wiersza. — R o g a c z y k w B o j a n o w i e: Na przyszły rok ogłosimy znów taki konkurs, choćby umyślnie dla tego, aby Stach mógł do niego należeć! dzisiejszy list, po tygodniu nauki pisania atramentem, świadczy o wielkich właśnie zdolnościach do kaligrafii! Andzia i Tosio lubią „Krasnoludków“ — przepadają za nimi i siostrzeńcy redakcyi, Wacio i Cześ — a tak pięknego pisma jak to, którego próby doszły nas z Bojanowa, nie powstydziłby się sam uczony Koszałek-Opałek! — Zapytujemy w końcu jakim sposobem groźny „Lampart“ może żyć w zgodzie z „Sarenką“ i „Rogaczykiem“, i czy ten drapieżny pseudonim mamy w istocie łączyć w myśli ze wspomnieniem wcale nie strasznej twarzyczki chłop-

czyka, którego widzieliśmy raz we Lwowie? — Stefania N. w Wiedniu: Witamy Cię w gronie Czytelniczek i mamy nadzieję, że wkrótce zawrzemy przez listy bliższą znajomość. — Zosia Sz. we Lwowie: Jedno tylko słówko było trochę pomylone. Bardzo żałowała druga pani redaktorka, Twoja imienniczka, że jej nie zastałaś będąc w redakcyi.

Marynusia i Jerzy w Weryni: Termin konkursu kaligraficznego przedłużony, na prośby wielu czytelników — ale to ślicznie żeście Wy się pospieszyli — wypracowanie Marynusi chętnie przyjmujemy do obu konkursów. — Przyjaciółka Wieku Młodego z Oleska: Kaligrafia śliczna a wiersz treścią także bardzo piękny — widać że siostra Jadzia doskonałą jest nauczycielką, a ma też bardzo pilne uczenice! Wszyscy „którzy starają o to, żeby w „Wieku Młodym“ były takie ładne powiastki“ w zamian za „ucałowanie rączek“ przesyłają Wam serdeczne uściśnienie. Przy łamigłówce Waszej nie przysłałyście rozwiązania. — Marylka, Lisia i Milka we Lwowie: Zajmujący opis wycieczki do Stryja i całej uroczystości rodzinnej, przeczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością. A na jaki cel przysłałyście nam pocztowymi markami 1 kor. i 10 h.? bo w liście wzmianki o tem niema. — Wna Pani J. W. Kierowniczka szkoły w G. Łaskawy dowód uznania dla naszego pisma polegający na stałem prenumerowaniu go dla uczenic, cenimy sobie bardzo wysoko. Dziękujemy za uprzejme wyrazy. Zaległe numera wysłaliśmy — jeżeli który nie doszedł, prosimy uprzejmie reklamować przez otwartą nieopłaconą kartkę. — Polski Słowiczek we Lwowie: Wobec ciosu który Cię dotknął, niepokoimy się o Twoje zdrowie — jeżeli możesz, napisz do nas słów kilka.

Trafne rozwiązania zagadnień z 4-go numeru nadesłali: Lila Turska, Halka Szulisławska, Staś Dobrucki, „Konwalijka z Gorlic, „Litwin“ ze Stanisławowa, „Bukowianka“ z Sanoka, Zosia Szczepańską, Henryk Milhawer, Henryk Narbutowski, Janina Promińska, Lisia, Marylka i Milka ze Lwowa, Moryś Flippner, Turystka Tatrzańska, Poldzio Sauer, Staś Chudzik, Wanda Zastaniecka, Wanda Więckowska, Henia i Locia Milińskie, Adaś Mrożek, Dora Malinowska, Kolibr ze Lwowa, „Polska Dzieweczka“ z nad Wisły, „Pszczółka“ z Kębłowa, Feliks Blaut, Stasia i Zosia B. z Tarnowa, Rózia Waldinger, Tadzio Dyboski, Walercia i Elza Maxówny, Anna Zawiejska, Tadziuś Gulajewicz, Miś i Wiś ze Stanisławowa, Marcia Durska, Staś Zerowicz, Mania i Zosia Gwoździckie, Adzio Żelewski, Franio Silesiński, „Turkaweczka“ ze Lwowa, Józinka Kłódecka, Kazia Maliszówna, Lolo M.

Rozstrzygnięcie konkursu historycznego.

Na ogłoszony w Nrze 1-szym „Wieku Młodego“ konkurs historyczny otrzymaliśmy aż 62 wypracowań, a między tymi tak wiele zupełnie dobrych, że Redakcya była w prawdziwym kłopocie którym przysądzić nagrodę. Nareszcie, biorąc w rachubę także skalę wieku i względnie do tego okazanej pilności naszych młodziutkich przyjaciół, przeznaczyliśmy nagrody: Tadeuszowi Gulajewiczowi, Lili Turskiej, Karolce Nikorowiczównie, Anulce Sołtysikównie, Heli Kostro, Elli Jonaszównie, uczenicy pensyonatu Wnej p. Zagórskiej, Romanowi Pollakowi i Maryi Lewajównie. Poza nagrodzonymi, na chlubne wyszczególnienie zasługują wypracowania: Maryi Frenklówny, Marynusi Tyszkiewiczówny, Antosia Składeckiego, Jańci Promińskiej, Jana Maramarosza, Zosi Gwoździckiej, Szymona Tauba, Henryka Milhawera i malutkiego Wisia Broniewskiego. — Wszystkie inne wypracowania, tak co do treści, stylu, jakoteż i ortografii były zupełnie dobre.

Na prośby wielu ćwiczących się jeszcze w kaligrafii malutkich Czytelników i Czytelniczek, przedłużamy termin konkursu kaligraficznego do dnia 1-go kwietnia r. b.

Rozwiązania łamigłówek z 4-go numeru.

Łamigłówka zgłoskowa: 1. **Kair.** 2. **Attyla.** 3. **Memnon.** 4. **Indya.** 5. **Eufrat.** 6. **Nestor.** 7. **Ibrahim.** 8. **Eurotas.** 9. **Cyrus.** 10. **Pompejusz.** 11. **Olesko.** 12. **Demostenes.** 13. **Orchowski.** 14. **Leonidas.** 15. **Saturn.** 16. **Karliński.** 17 **Ispahan.** — **Kamiemiec Podolski.**

Zagadka: **Oko.**

Zagadka geograficzna: **Men**, Je - **men**, Il - **men.**

Dawniejsza zagadka z 3-go numeru: **Ha des.**

Łamigłówka zgłoskowa.

A — fu — fet — eu — na — ber — li — zar — le — y — bra — i — ja — sty — no — ka — nu — der — el — chim — lat — ry — ksan — kry — ce — des — rym — ren — bor — in — pi — ga.

1. Jeden z synów Noego. 2. Imię męskie. 3. Miasto w Bawaryi. 4. Kraj w Afryce. 5. Dygnitarz kościelny. 6. Dramaturg grecki. 7. Zbiór lirycznych poezyi Lenartowicza. 8. Pseudonim poety polskiego. 9. Sławny Rzymianin. 10. Tytuł powieści Hofmanowej. 11. Imię męskie tureckie.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwę powieści poetycznej, zaś końcowe czytane z dołu do góry nazwę dramatu Słowackiego. *Szarotka.*

Łamigłówka zgłoskowa.

Kon — or — dya — — ur — rzeł — se — za — ty — wa — la — tka — o — cza — ir — la — cze stan — sa — kam — pol — sza — no — sław — o — wil — si — szu — lan.

1. Stolica Turcyi. 2. Tam zwyciężył Jan Tarnowski Moskali. 3. Dopływ Dunaju. 4. Imię męskie. 5. Część Wielkiej Brytanii. 6. Imię żeńskie, 7. Miasto w Hiszpanii. 8. Miejsce urodzenia Mickiewicza. 9. Półwysep w Azyi. 10. Król ptaków.

Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół dadzą nazwisko bohatera polskiego.

Janina Rylska.

TREŚĆ: W zameczku na kresach (C. d.). — Na co owocom potrzebne są barwy. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. — Gwiazdka. — Koledzy. — Skrzydlaty listonosz. — Łamigłówki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 6. We Lwowie, dnia 15. Marca 1900. Rok VIII.



Lelek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Z legend o św. Franciszku z Asyżu.

Święty Franciszek anielski, przed laty, po świecie całym nauczając chodził; sprowadzał dusze z grzesznego bezdroża, smutne pocieszał, powaśnione godził, i składał czyste na Jezusa łonie!

Kochał przyrodę, zwierzątka i kwiaty; często lud zbierał na obszerne błonie, i tam wśród szumu spienionego morza w nadprzyrodzone wprowadzał go światy.....

Razu pewnego, pono wczesną wiosną, Święty nad morzem stanął z braćmi swymi. W koło nich tłumy wiernych ciągle rosną, a roje ptasząt spiewają nad nimi. Stado mew białych, jak obłoczek śniegu majaczy srebrem, lot je przyniósł szybki do stóp Świętego. — Patrzcie — a u brzegu, tęczową łuską oczy wabią rybki. I jaskółeczki przybyły też w gości, spocząć na bladych oliwek gałęzi, a skrzydełkami trzepocząc z radości usiadły rzędem, jakby na uwięzi. Gołębi rzesza rozkładła się w koło, a dwa nad Świętym zawisnęło w locie, nimbem skrzydlatym ocieniając czoło, rozgrzane wiarą, znojne w trudów pocie!

Wzrokiem miłości pełnym, po ludu licznem gronie, powiódł Franciszek święty; oni żyjąc w boleści po słowo Boże przyszli, teraz spragnieni, stoją żądni pociechy z nieba! Słów trzeba, które koją i Boga uczą znaleść w wędrówce tej bez treści.... Spojrzał więc w niebo Święty i zaczął: „Bracia moi!“... Lecz zaledwie te słowa przemówił do tłumu, ptaszki, ot, tak jak ptaszki nieraz, bez rozumu, poczęły sobie spiewać i świegotać gwarno. Daremnie głos wysila, aby zasiać ziarno Bożej pociechy w serca, cały trud stracony! on swoje — ptaszki swoje. — Po nad drzew korony istny koncert z tych drobnych gardziołek rozbrzmiewa. Grucha gołębi grono — w głos dzwonią skowronki — jaskółki wiodąc swoje powietrzne igraszki, zdradzają mewom, leśne szmery tajemnicze; morze wtóruje szumem, szeptem wtórzą drzewa, a tłum stoi i czeka. Pełne gwarów głowy! słów nie słychać! Świętego zagłuszyły ptaszki! W tem Franciszek wzniósł w niebo natchnione oblicze i temi do spiewaków odezwał się słowy:

„Ptaszęta Boże — braciszkowie mili!
Wy co w przyrodzie najpierwsi, o świcie,
Drzewa i kwiaty świegotem budzicie
Czyż nie możecie jednej małej chwili
Wytrwać w milczeniu? wszak z promykiem słonka
Pierwszym wschodzącym, już brzmi spiew skowronka.
My spiemy jeszcze, kiedy wy już Bogu
Dzień dobry szlecie do rajskiego progu.
A w noc majową, choć ziemia w uspieniu
Słowik zawodzi w wonnych krzewów cieniu!

Pan mu pozwala by świegocąc piosnki
Do snu kołysał fiołki i pierwiosnki.
Choć nie siejecie i choć nie zbieracie,
W bród ziarnek wszelkich i owoców macie
I czasu dosyć też na rozhowory:
Ranki wiosenne i letnie wieczory.
Ptaszęta polne i wy ptacy leśni —
Wszak całe życie schodzi wam na pieśni!...

Nasze dnie inne: my w troskach i bolu
Wybierać musim ziarno od kąkolu.
Pan daje ziarno! ja w śród ludzi krzewię
Miłości Bożej przecudne zarzewie —
Choć rola nieraz i twarda i pusta,
Chcę, Boży siewca, zebrać plon obfity.
Choć ziarno sieję przez niegodne usta,
To ziarno kłosem zakwitnie w błękity.

Lecz jakżeż dojdę z tym Bożym zasiewem
Do serc mych braci? skoro każde ziarnko,
Które Bóg sypie niepoślednią miarką,
Wy w lot chwytacie — głusząc Waszym spiewem!
Zmilknijcież proszę i nadstawcie uszka,
Teraz przemówi brat wasz — Boży służka.

. . . . . .

Ledwo to wyrzekł, a oto anieli
Na białych skrzydłach znieśli ciszę nieba;
Drugi raz ptaszków uciszać nie trzeba!
Zamknęły dzióbki — a ludzie zdumieli,
Bo oto stał się cud — cud niepojęty:
Umilkły ptaszki, gdy przemówił Święty.

* * *

A wszak i teraz cud ten trwa, o dzieci!
Że na głos z nieba niemieje przyroda —
Wszak ile razy, w duszy waszej głębi
Zabrzmi głos Pański i miłość roznieci,
Znika z niej niechęć a zakwita zgoda —
Wszelka myśl brzydka, co się na dnie kłębi,
Jak pył z łąk kwietnych zwiany — w otchłań leci
Z barwnego cnotą waszych dusz kobierca,
A tylko czyste, jak stado gołębi,
Stają na straży ust waszych i serca.

Na głos Franciszka zcichły ptasząt chóry
Posłuszne mocy słów świętego męża:
Gdy Bóg przemawia, milknie głos natury,
Nadprzyrodzony — przyrodę zwycięża.

Gabriela Zaleska.

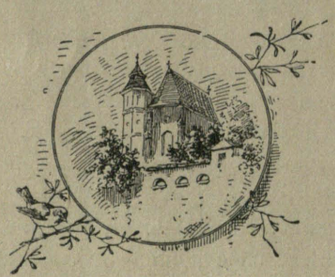

Koledzy.

przez

Irenę Mrozowicką.

(Ciąg dalszy).

A gdyby tak ten „egzamin z własnej pilności“ powiódł mu się, jakim trafem, i wysunął go na czoło całej klasy?... Waniewski aż się wstrząsnął na tę myśl — nie, naprawdę on by tego nie ścierpiał! w takim razie on by się zaraz od drugiego kursu przeniósł do innego oddziału. Znosić pierwszeństwo Korewicza, no! z tem się jeszcze można pogodzić — ale takiego Wydry... za nic!

Wydra jednak najwidoczniej zabrał się nie żartem do pracy — już teraz nie widywano go nigdzie, nawet na koleżeńskich podwieczorkach u Korewicza, którego matka, wdowa, ubóstwiająca swego jedynaka, z prawdziwie macierzyńskiem sercem garnęła do swego domu wszystkich przyjaciół syna. — Wszystkich — to znaczy wiele, bo Korewicz był ogólnie kochany przez kolegów i gdy on kogoś zapraszał do siebie, szły w kąt wszelkie inne projekta i zabawy, jego zaproszeniu nikt nie odmawiał, musiał więc dzielić klasę i zapraszać kolegów kolejno, a że Wydra należał dotąd zawsze do każdej partyi zaproszonych, to też wkrótce zauważono jego teraźniejsze uchylanie się i nieobecność, ale nikt nie żałował za nim — owszem znajdowano, że podwieczorki u Korewicza bywały teraz tem milsze i weselsze.

Przytem Wydra zmizerniał bardzo i w czasie lekcyi często chwytał się za głowę, jakby w niej uczuwał ból dotkliwy. Jednego dnia nie przyszedł wcale do klasy. — Pewnie ma migrenę — pomyśleli koledzy, którzy wiedzieli, że Wydra cierpiał czasem na gwałtowne, prawie przytomności go pozbawiające bole głowy.

Nazajutrz wypadała właśnie lekcya matematyki; wywoławszy go do tablicy, profesor zauważył jego bladą twarz i podkrążone oczy.

— Zdaje mi się, mój chłopcze, że zanadto pracujesz, a to nie doprowadzi cię do dobrego rezultatu — rzekł, przerywając, pełne jak zwykle wahania i dosyć bałamutne, matematyczne wywody Kazika. — Nie jesteś bardzo zdrów i silny, powinieneś się zatem oszczędzać i nie porywać się na zadania przewyższające twe siły. Pochwalam bardzo szlachetną ambicyę przodowania kolegom w pilności, ale wzgląd na zdrowie jest niemniej ważnym. Zresztą musimy się z tem pogodzić, że nie wszyscy możemy mieć jednakowe zdolności do wszystkiego — ty do matematyki nie masz ich widocznie, więc powinieneś się zadowolnić tem, że nie jesteś jednym z ostatnich, a niekoniecznie ubiegać się o to, aby być pierwszym. Zgodziłem się wprawdzie na twój „egzamin z własnej pilności“ ale teraz radzę ci szczerze: odstąp od tego zamiaru.

Na te słowa blada twarz Wydry oblała się szkarłatem.

— O nie, panie profesorze! ja nie mogę... naprawdę nie mogę — ja muszę sobie przed klasyfikacyą poprawić klasę z matematyki.

— Cóż ci tak na tem zależy? wszak i tak będziesz zapewne, jak zwykle, jednym z pierwszych.

Wydra zawahał się — niespokojne jego oczy obiegły klasę jakiemś lękliwem, nieufnem spojrzeniem.

— Ja... podaję się o stypendyum imienia Marszałkiewicza.

W całej klasie podniósł się głuchy szmer — twarz profesora, przybrała wyraz zdziwienia.

— Podajesz się o to stypendyum? ty, o stypendyum?

— Tak.

— Ha! rób jak uważasz — jeżeli zdasz z matematyki, to w istocie będziesz miał kwalifikacye oznaczone w konkursie — tylko że... Profesor przerwał sobie w pół słowa, krótkim giestem wskazał Kazikowi powrót na miejsce i prowadził dalej lekcyą, podniósłszy nieco głos, aby przytłumić szmer szeptów szerzących się po klasie.

Na pauzie wybuchło wszystko — oburzenie kolegów nie miało granic: teraz to dopiero fakt jasny i namacalny stwierdził najgorsze przypuszczenia co do charakteru Wydry — już go chyba i Korewicz nie będzie śmiał bronić!

Korewicz nie bronił go rzeczywiście, a to tem więcej, że nie słyszał wcale co o jego przyjacielu mówiono — jak gdyby przeczuwając burzę, natychmiast po dzwonku wynieśli się obaj z Wydrą na korytarz, i tam chodzili, widocznie bardzo zaaferowani, szepcząc coś do siebie i roztrącając przez nieuwagę grupy starszych sąsiadów, piątoklasistów, z którymi w ogóle unikali zetknięcia, nie chcąc być pomiatani przez „złotopasków“.

O czem mówili obaj w tej poufnej naradzie trudno było odgadnąć, ale Korewicz rozkładał rękami, jakby coś tłumaczył lub na coś namawiał — a Wydra wciąż przecząco potrząsał głową. Gdy jeden z kolegów w przechodzie przez korytarz przesunął się tuż koło nich, posłyszał te słowa Wydry.

— Wiesz dobrze, że nie powinienem, to by mogło....

— Prawda — potwierdził Korewicz — ale i tak jest źle...

Oburzenie kolegów na Wydrę było tym razem trochę więcej usprawiedliwione niż wszystkie dotychczasowe zarzuty — to podawanie się jego o stypendyum było conajmniej krokiem dziwnym, tylu bowiem kolegów było więcej potrzebujących od niego! Choć sierota bez ojca i matki, Wydra wychowywany w zamożnym domu rodzonego wuja i opiekuna, nie cierpiał żadnego braku. Mundurek jego był zawsze elegancki, książki porządnie oprawne, zapas ołówków, scyzoryków, piór i wszelkich naukowych przyborów nie tylko dostateczny, ale nawet obfity. Wujostwo po stracie jedynej córeczki, nie mieli już własnych dzieci i widocznie przyjęli go zupełnie za syna, zaopatrując chętnie wszystkie jego potrzeby. W lecie wyjeżdżał z nimi zawsze Wydra do dalekich krewnych na wieś lub też do jakichś wód krajowych. Wprawdzie wuj nie był człowiekiem majętnym, ale praca jego przynosiła mu znaczne dochody. Był artystą; malował obrazy, niewielkie wprawdzie ale niezmiernie wdzięczne, które ogromnie łatwo znajdowały nabywców — przytem udzielał lekcyi rysunków, doskonale płatnych, bo był nauczycielem zdolnym i bardzo wziętym w najbogatszych sferach w mieście,

Wiedziano tedy, że pod względem materyalnym życie Wydry ściele się jak po aksamicie — i takiemu to zachciało się stypendyum! Żeby to jeszcze było jakieś zwykłe, studenckie stypendyum, wynoszące 10 do 12 złr. miesięcznie, prędzej by mu to wybaczono. Może, wbrew pozorom, wuj skąpił mu trochę na drobne, osobiste wydatki i chłopiec nie chciał tak we wszystkiem być zależnym od jego łaski — zawszeć wuj, to nie to co rodzony ojciec. Ale stypendyum im. Marszałkiewicza! stypendyum wynoszące 360 złr. rocznie — toż to suma, która nieledwie mogła stanowić podstawę bytu dla jakiej biednej rodziny. A Wydra zagarnąć sobie to chciał na swoje drobne kieszonkowe wydatki — chciwiec obrzydły! —

Bliższe zastrzeżenia, warunkujące uzyskanie tego stypendyum, czyniły je wprawdzie dosyć dla Wydry dostępnem — fundator przeznaczał swoje stypendyum dla ucznia tegoż właśnie gimnazyum, uczącego się dobrze, prowadzącego wzorowo — pierwszeństwo mieli mieć synowie zmarłych profesorów — widocznie szlachetny ofiarodawca zachował w sercu wdzięczną pamięć dla tych, którzy niegdyś pracowali nad wykształceniem jego umysłu, i zapragnął w ten sposób dać wyraz swojej wdzięczności. Otóż, wszystkie wymienione kwalifikacye posiadał właśnie Wydra, którego wcześnie zmarły na suchoty ojciec, był profesorem gimnazyalnym. (C. d. n.)

W zameczku na kresach.

(Ciąg dalszy).

Tylko że dzisiaj nikt z gromkim okrzykiem „Jezus! Marya!“ nie porwał się do korda — nikt nie zorganizował obrony: biały jak gołąb starzec, dźwignął się z trudem z krzesła i zamglone źrenice wytężył ku drzwiom, w stronę, skąd dochodził gwar i krzyki — do piersi jego i do kolan, zarówno może żądne bronić jak i szukając obrony, przypadły obie sędziwe niewiasty i tuliły się drżące do niego — stary sługa niepewną dłonią próbował nacisnąć ukryte drzwi-

czki, któreby otworzyły tajne przejście do małej, domowej zbrojowni i choć na chwilę ukryły napadniętych przed okrutną źrenicą wroga.

Jedna tylko dzieweczka, zdawała się nie tracić ducha w ogólnem zamięszaniu i popłochu: bez namysłu chwyciła z rozwieszonej na ścianie broni, jakąś szabelkę i w rycerskiej postawie stanęła na pół drogi między progiem a krzesłem poręczowem dziada — a jej gorejące w bladej twarzyczce oczy i purpurą drgające usta, zdawały się mówić wyraźnie, że po jej trupie chyba zuchwały pohaniec targnie się na bezbronne głowy jej ukochanych.

W tej chwili z trzaskiem pękły wyparte podwoje i przez próg wtłoczyła się do sali garść Tatarów, nie tyle liczna, co straszna dzikim wyglądem swoim — wywróconymi na wierzch korzuchami, okopconemi twarzami, chciwym, okrótnym błyskiem skośnych oczu — i wrzaskiem z jakim wpadli. Krew mogła się już od tego samego ściąć w żyłach, tak znienacka napadniętym — ale cokolwiek czuli, nikt nie okazał przestrachu przez jęki, płacze, giesta błagające o litość: widna w pełnem świetle za stołem grupa, złożona z wyniosłej, szlachetnej postaci starca i kurczowo obejmujących go w ramiona, dwóch, już także siwiejących niewiast, mogła się na pierwszy rzut oka zdawać wykutą z kamienia, tak znieruchomiała w powadze i grozie oblekającej bladością oblicza — za to lica stojącej przed niemi z szablą w ręku dziewczyny, spłonęły ogniem wzruszenia i pierś jej falowała szybko, od gwałtownych uderzeń serca.

Na czele Tatarów leciał z szablą wzniesioną do cięcia młody wojownik, widocznie wódz tej gromadki — różnił się od niej bogatszym strojem, bo wprawdzie czapkę szpiczastą, tatarską miał jak i drudzy, ale świeciła przy niej zapinka brylantowa, i kaftan na nim skórzany, pokryty był siecią delikatnych ogniwek lekkiej, srebrzystej kolczugi — ale nietylko ta odrębność i niezwykłe u Tatarów bogactwo stroju wyróżniały młodego wodza, bardziej jeszcze uderzającą była dziwna różnica jego rysów i całej postaci od zwykłego typu tatarskiego: smagłą twarz, opaloną na wichrach stepowych, krasił mu zdrowy rumieniec, siła i zręczność biły z całej jego, jak topola smukłej postawy, a czarne oko patrzyło bystro i śmiało z pod brwi sokolej. Towarzysze jego, zająwszy tylko drzwi, jakby z pewnem dla niego poszanowaniem, wstrzymali się u progu, gdy on sam, jednym skokiem, znalazł się w pośrodku izby jadalnej, wzniesioną szablą zwarłszy się prawie, z jedyną tu wojowniczo przeciw niemu podniesioną bronią —



Nieraz Tatarzy, napadnięci w powrocie przez polskie hufce, woleli mordować branki...

w drżącem nieco ręku dziewczęcia.

Zwykle najpożądańszym dla Tatarów łupem, na sam widok którego zapalała się ich chciwość, było brać w jassyr niewiasty i dzieci — zdarzało się, że uprowadzali setkami i tysiącami branek — nieraz w powrocie, napadnięci przez polskie rycerstwo, aby nie dać odbić sobie „jassyru“, woleli mordować branki — nie mieli więc serca czułego ani przystępnego litości — ale czy to, że młody wódz jeszcze mało miał obycia w wojennych wyprawach i serce mało zahartowane, czy też że niespodzianość widoku, który go tu uderzył, zaskoczyła go zbyt nagle, dość że na mgnienie oka stanął przed śmiałą rycerką z szablą gotową do cięcia i ze zdumieniem malującem się w oku.

Ale trwało to tylko chwilę — wyraz dzikości wnet rozchylił mu usta — ręka drgnęła zda się nieznacznym tylko ruchem, ale od błyskawicznego dotknięcia

tatarskiej klingi, szabla furknęła z dłoni dziewczyny, jak patyczek wytrącony z ręki dziecka i szorstka dłoń Tatara już miała, jak rzecz zdobytą, pchnąć ją brutalnie ku swoim — gdy nagle z piersi starca, co jak skamieniały w strasznem oczekiwaniu, z podaną naprzód postacią i wytężoną źrenicą wpatrywał się w napastnika, wypadł nagły, głuchy okrzyk:

— Oleńko!

(Dokończenie nastąpi).

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy).

Pewnego razu, przed dwór państwa Niemcewiczów zajechał wóz, z którego wysiadł szlachcic szaraczkowy, zapytał o pana i z listem w ręku udał się do dworu. Pan Niemcewicz, czytając przywieziony mu list, zmieszał się i zasępił. Właśnie w tej chwili weszła do pokoju męża pani Niemcewiczowa.

— No, moja panno — rzekł p. Niemcewicz do żony — mamy kłopot nielada! Rozchodzi się tu o naszego poczciwego kucharza. Pisze mi pan starosta Warecki, że Jan jest jego zbiegłym poddanym, żąda abym go odesłał natychmiast, w przeciwnym razie grozi procesem. Co tu robić? Człowieka mi żal! ale procesów nie lubię.

— A mój Boże! zawołała pani Niemcewiczowa. To prawdziwe zmartwienie! Mniejsza z tem, że Jana kto inny nie łatwo nam zastąpi, nie chodzi mi o moją niewygodę, ale obawiam się, że Jana karać będą srogo za zbiegostwo!

Oboje państwo posmutnieli; naradzali się czas jakiś, co począć? wreszcie uznali, że trzeba Jana, upominającemu się o niego panu, odesłać. Poczem pan Niemcewicz zabrał się do pisania listu, pani zaś poszła zawiadomić kucharza o tem co zaszło. Jan posłyszawszy o co chodzi, pomarkotniał, ale bez zwłoki zabrał się do pakowania swoich rzeczy. Po chwili był już gotów do odjazdu.

Pan Niemcewicz w liście do pana Starosty wytłómaczył się, iż przyjmując Jana nie wiedział o jego zbiegostwie; teraz, na żądanie, z bólem serca odsyła właścicielowi poczciwego sługę, ale uprasza pana P. o litościwe i chrześcijańskie obchodzenie się z Janem.

Wesoły zazwyczaj Jan posmutniał żegnając zacnych chlebodawców, lecz przy pożegnaniu z małym swoim przyjacielem Juliankiem, zdobył się nawet na jakiś żarcik, to też chłopczyk spokojnie rozłączył się z Janem kochanym. Stojąc na ganku przypatrywał się odjeżdżającemu; naraz, z przerażeniem spostrzegł, że ludzie, którzy po kucharza przyjechali, zakuwają go w dyby*). Na ten widok chłopczyk wybuchnął głośnym płaczem. Daremnie ojciec i matka starali się go uspokoić. Krzywda, wyrządzona dobremu Janowi zabolała go tak dotkliwie, że się nie mógł utulić.

— Wszak Jan nie złodziej, ani rabuś — powtarzał wciąż szlochając. — Dlaczego obchodzą się z nim jak ze złoczyńcą?

— Jan jest uczciwym człowiekiem, tłumaczyła mu matka, ale widzisz, źle zrobił, że od swego pana uciekł.

— Przecie Jan jest dorosłym nie dzieckiem, a dorosłym wolno chodzić, gdzie im się podoba, mówiło dziecko wciąż łkając.

— Jan jest poddanym, a poddanemu nie wolno pana swego opuszczać; w razie gdy to zrobi, pan ma prawo upominać się o zbiega i odebrać go jako swoją własność.

— To tak wygląda, jak gdyby człowiek był bydlęciem lub sprzętem — szlochał Julianek a nie otrzymawszy odpowiedzi, mówił dalej: — To może pan wybije Jana? i przy tych słowach wybuchnął głośniejszym jeszcze płaczem.

— Nie bój się — rzekła matka — ojciec pisał i prosił, żeby obchodził się z Janem po ludzku, po chrześcijańsku.

— Mamo! czy chłopi nie są naszymi bliźnimi?

— Ależ są! wszak wszyscy ludzie są naszymi bliźnimi.

— No, ale pan Starosta, nie uważa chyba Jana za bliźniego.

Dobry chłopczyk, długo po odjeździe Jana, w dybach, nie mógł się uspokoić. Poszedł spać bez kolacyi, bo przez ściśnięte bólem gardło, żadna potrawa przejść nie chciała i leżąc w łóżeczku jeszcze rozmyślał nad smutną przygodą ukochanego przyjaciela. Gorące serduszko dziecięce nie mogło pogodzić tego, co widział, z nakazaną przez Chrystusa, miłością bliźniego i w prostocie swej oburzało się na postępowanie z uczciwym człowiekiem, jakby ze zbrodniarzem, za to tylko, że to nie był człowiek wolny.

Julianek, chociaż urodzony i żyjący w czasach, gdy istniało poddaństwo, pierwszy raz spotkał się z przykładem czegoś podobnego; bowiem Rodzice Julianka byli zacnymi ludźmi, poddanych swoich uważali za bliźnich i obchodzili się z nimi nie tylko po bratersku ale po ojcowsku. Takich panów było u nas w Polsce najwięcej; przykłady złego obchodzenia się, krzywdy wychodzącej poza granice prawa, były u nas rzadsze niż gdziekolwiek indziej — ale ciężką krzywdą było już samo w sobie to, w całym świecie wtenczas przyjęte i rozpowszechnione prawo, urządzające stosunki ludzkie w ten sposób, że byli panowie i poddani! Poddani zupełnie zależeli od swoich panów; byli jak gdyby własnością i w zamian za rolę z której żyli

*) Dyby, drąg sosnowy, przewiercony, który za karę wkładano winowajcom na ręce lub nogi.

i chaty w których mieszkali, odrabiali robociznę, na pańskiem i składali daniny, a co najgorsza pozbawieni byli wolności osobistej.

Jeżeli zdarzyło się, że pan był srogim — a częściej bywał nim jego zastępca w majątkach, które oddawano rządowi lub dzierżawcom — to wtedy nieraz poddany, któremu nie wolno było porzucać uprawianej roli, uciekał pokryjomu, ale się musiał pilnować aby napowrót nie wpaść w ręce pana, bo za zbiegostwo czekała go kara. Takie zbiegostwo pan uważał za swoją krzywdę, bo poddany przedstawiał dla niego siłę roboczą, potrzebną do obrabiania pola, razem z koniem i wołem. Nie wolno też było zatrzymywać u siebie cudzych poddanych: przekonanego o zbiegostwie, był każdy zobowiązany wrócić prawemu właścicielowi.

To nam tłumaczy przygodę Jana, którego jednak list p. Niemcewicza niezawodnie zasłonił od srogiej kary — to zaś, że Julianek tak odczuł krzywdę i niesprawiedliwość, jest bardzo znamiennem, bo w dziecku już, daje nam przeczuwać przyszłego, szlachetnego obrońcę wolności, jakim z czasem miał się stać Julian Niemcewicz, pracując w Sejmie Czteroletnim nad Konstytucyą 3go maja i z bronią w ręku walcząc u boku Kościuszki. Kto wie, czy nie wspomnienie tej przygody z dzieciństwa, rzuciło pierwszy posiew myśli i uczuć, które w dojrzałym wieku tak piękny plon wydać miały?

W domu Rodziców kochał Julianek nietylko poczciwego Jana, ale wszystkich domowników, wszystkich poddanych swego ojca. Z dziaduniem odwiedzał żniwiarzy, zaglądał do stodół podczas wożenia zboża i tu zaznajamiał się z wieśniakami. Ulubioną rozrywką Julianka było „okrężne“ które państwo Niemcewiczowie sprawiali gdy zboże sprzątnięto z pola. Na dziedzińcu dworskim brzmiała wtedy wesoła muzyka, przy której pląsali wieśniacy, a gdy umęczeni tańcem odpoczywali, roznoszono im kołacze i pieniące się piwo. Traktowaniem ich zajmowała się sama pani, panicze, i panienki. Trudno było wyprowadzić Julianka z pomiędzy rozbawionej gromadki, a nawet, gdy już po skończonej zabawie leżał w łóżeczku, jeszcze brzmiała mu w uszach ochocza wiejska muzyka, a przed zamkniętemi oczyma snuły mu się różne pląsy i malownicze stroje wieśniaków, do których szczerym porywem, lgnęło jego gorące serduszko.

II.

Święta i uroczystości.

Julianek ze swojem licznem rodzeństwem wyczekiwał niecierpliwie większych świąt i wszelkich uroczystości rodzinnych, które obchodzono w domu pp. Niemcewiczów, licznym zjazdem i wesołą zabawą. Najmilej wryły się w pamięć dzieci święta Bożego Narodzenia. W dzień przed wigilią, już służba dworska wychodziła na połów ryb, potrzebnych na wigilijną wieczerzę. Dzieci niecierpliwie wyglądały powrotu rybaków! a następnie z ciekawością obskakiwały ceber, w którym pluskały się, złapane niewodem ryby.

Nazajutrz dzień cały obfitował w miłe i niezwykłe wrażenia. Uświęcone zwyczajem, powstrzymanie się w tym dniu od obiadu, przygotowania do wigilijnej wieczerzy, cztery snopy zboża, stawiane po kątach stołowego pokoju, zaścielanie stołu sianem popod śnieżny obrus, wszystko to przemawiało do wyobraźni dzieci, wszystko było dla nich źródłem szczerej uciechy.

Największa jednak radość zapanowywała wtedy, gdy po obfitej, z tradycyjnych potraw złożonej wieczerzy oznajmiano, że przyszli z Brześcia Litewskiego studenci z jasełkami lub gwiazdą. Studenci pokazywali jasełka, śpiewali kolędy, a dzieci słuchały i patrzyły i o mało im oczka nie powyskakiwały do lalek poprzebieranych za Dzieciątko Jezus, Maryę i Józefa, Heroda, pastuszków i aniołów. Gdy się przedstawienie kończyło, ugoszczano studentów, a dzieci żywo rozmawiały między sobą o jasełkach.

Pewnego razu Julianek zapytał: Dlaczego to w wigilią Bożego Narodzenia odprawiają mszę Pasterską w nocy?

A że między gośćmi państwa Niemcewiczów znajdował się wtedy właśnie ksiądz prowincyał Jezuicki z Brześcia, ten więc na pytanie chłopczyny tak odpowiedział.

— Kościół, radosną pamiątkę Narodzin Chrystusa obchodzi nocnem nabożeństwem, o tej bowiem właśnie porze, urodził się Chrystus w stajence betleemskiej, a ubodzy pasterze pierwsi przywitali Nowo Narodzonego, niosąc mu ubogie, ale z serca płynące dary; dlatego ta msza, odprawiana w nocy, nazywa się „Pasterką“. Zwyczaj obchodzenia mszy pasterskiej w nocy, zaprowadził na początku XIII. wieku św. Franciszek z Assyżu, założyciel zakonu Franciszkańskiego*).

Święty Franciszek ukochał najbardziej ubogich i pragnął biedakom przychylić nieba. Dla nich właśnie urządził poraz pierwszy, w noc Bożego Narodzenia, mszę pasterską. Ażeby prostaczkowie zrozumieli łatwiej znaczenie nocnego nabożeństwa, Mąż Święty urządził je w sposób, dotąd niepraktykowany:

Oto w leśnem ustroniu, w grocie kamiennej, umieścił żłobek z siankiem, przy żłobie postawił wołu i osła. Wieczorem zajaśniała grota potokami światła, a Święty Franciszek odprawił mszę przy ołtarzu przenośnym, w obec licznie zgromadzonego okolicznego ludu. Po mszy bracia zakonni śpiewali nabożne pieśni, którym wtórował świergot ptasząt, przebudzonych jasnością i niezwykłym gwarem w lesie.

Nabożeństwo sprawiło silne i głębokie wrażenie na pobożnej gromadce, zachwyciło prostaczków. Chcąc szerzyć ducha pobożności, zaczęto wszędzie naśladować św. Franciszka. Nie urządzano jednak mszy pasterskiej w lesie, pod gołem niebem, bo na to pozwalał jedynie

*) Ten sam, o którym macie w dzisiejszym numerze, śliczną legendę Gabryeli Zaleskiej.

łagodny klimat włoski. W krajach, w których o tej porze roku panują silne mrozy i śnieżne zawieje, odprawiano mszę Pasterską po kościołach. Naśladując jednak św. Franciszka, przedstawiano i w kościołach, w czasie Bożego Narodzenia, żłóbek z dzieciątkiem Jezus. Żłóbek otaczały osoby żywe, mające przedstawiać Najświętszą Pannę, Józefa staruszka, aniołów, pastuszków i Trzech Króli.

Z rozmowy i śpiewów tych osób, dowiadywały się zebrane tłumy o rozmaitych szczegółach odnoszących się do życia Najświętszej Rodziny. To też te uroczyste, niby przedstawienia religijne, podobały się, rozrzewniały, a co najważniejsze, rozbudzały ducha pobożności. Nazywano je w cudzych krajach Misteryami, a u nas Jasełkami. Nazwa ta pochodzi stąd, że w niektórych miejscowościach Rzeczypospolitej nazywają żłoby jasełkami.

W księgach starych pozostał opis pamiętnych Misteryów, które odprawiano z wielką uroczystością w dalekim od nas kraju: w Niederlandach, jeszcze w XIII. wieku.

Oto podczas mszy pasterskiej, wśród pobożnych tłumów, zjawił się kogut; ale byłto kogut niezwykle wielki, bo większy od Julianka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skrzydlaty listonosz.

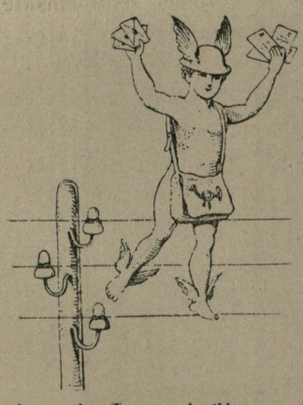

Szlązaczka w Krakowie. Bardzo miłym był nam Twój długi i serdeczny list. Za kwiaty ze szląskiej ziemi, które zbierałaś myśląc o nas, dziękujemy Ci najserdeczniej. Odwiedzinami Twemi lub kogokolwiek z Twojej Rodziny ucieszylibyśmy się bardzo — redakcya jest otwartą prawie zawsze przez dzień cały, a już bez wyjątku w godzinach popołudniowych. I my, jeśli nam kiedy znowu wypadnie przejeżdżać przez Cieszyn, najchętniej skorzystamy z miłej sposobności zapoznania się z naszymi młodymi Przyjaciółmi, z któremi łączy nas już długoletnia wymiana myśli w listach, a co ważniejsza zupełna jedność i wspólność uczuć w tem co człowiekowi jest najdroższe. — Lolo M. w Stanisławowie. Oj, coś nam się zdaje, że ten Lolo, co nie umie jeszcze dobrze wymawiać słów, umie już doskonale figlować, i radby w pole wyprowadzić Redakcyę — ale to *„tłudno“*. — Lila T. w Krakowie. Nagrodę musiałaś już otrzymać — łamigłówkę przyszlij, jeśli tylko dobrze ułożona — o czem nie wątpimy — postaramy się ją zamieścić. Kiedyś, przy sposobności, odeszlij nam także marki za przesyłkę nagrody. — Tadzio D. w Cieszynie. Naturalnie że polska redakcya musi uznawać i cieszyć się serdecznie tem, co nawet Niemcy uznają, choć może z mniejszą radością. Książkę wybraliśmy Ci historyczną, ponieważ wiemy, że takie najchętniej czytujesz. Łamigłówkę Twoją zamieścimy, gdy tylko na nią kolej przyjdzie. —

Herbert F. w Stanisławowie. Czy należysz do nowych, czy też do dawnych czytelników „Wieku“? Łamigłówki zdradzają, że masz już w rozwiązywaniu i układaniu ich pewną wprawę. — Litwin w Stanisławowie. Masz słuszność, że ładną książkę miło jest posiadać na własność, bo można ją kilka razy przeczytać — ale na przyszły raz, gdy Ci znowu kiedyś los poszczęści, wybierzemy coś zupełnie Ci jeszcze nieznanego. — Stefan N. we Lwowie. Dawno niemieliśmy o Tobie wiadomości, a nieraz wspominamy Cię. Donieś nam jak się teraz miewasz. Dla Szanownych Rodziców załączamy ukłony. — Delusia B. we Lwowie. Czy doprawdy potrzeba było na to aż tak wielkiej odwagi? Liścik tak miły, ładnie napisany, że go Redakcya przeczytała z prawdziwa przyjemnością — a Skrzydlaty Listonosz obiecuje, że Ci na każdy najchętniej doręczy odpowiedź. — bez różnicy czy abonujesz w księgarni, czy też wprost w redakcyi. Łamigłówkę przyszlij, a jeśli taka bardzo ładna, to ją nawet prędko zamieścimy.

Anulka S. w Przemyślu. Więc nagroda za wypracowanie tak Cię ucieszyła, że się aż przyczyniła do uzdrowienia Cię? bardzo nas to cieszy. „Wiek Młody“ gotów robić niebezpieczną konkurencyę doktorom, jeśli jego pochwały i nagrody będą mieć taką moc uzdrawiającą. — Eleonora M. we Lwowie. Wytłumaczyć by Ci to mogła tylko poczta, która nie doręczyła Ci numeru, pomimo iż był wysłany. Obecnie wysłaliśmy go już powtórnie. Łamigłówkę Twoją zamieścimy. — Zosia K. w Wadowicach. Naturalnie — gdy tylko list nie jest wysłany zbyt późno, nadzieja taka zawiedzioną być nie może. — A czy dawno należysz do grona naszych czytelniczek? — A kto to? nadesłał rozwiązanie zagadek i ułożoną przez siebie łamigłówkę a nie podpisał się wcale. List nadany był ze Lwowa. — Kolibr we Lwowie. Oj niejeden z Czytelników zgodziłby się na Twój wniosek, żeby „Wiek Młody“ mógł wychodzić codziennie — tylko nie zgodziłaby się na to Redakcya, która nie mogłaby sobie dać rady z robotą — a i Skrzydlaty listonosz bardzo prędko zerwałby skrzydełka, gdyby codziennie musiał odbywać takie kursa. Czemu Twoje numera spaźniają się, doprawdy niewiemy, bo my wszystkie równocześnie nadajemy na pocztę.

Hela K. we Lwowie. Nasze najgorętsze współczucie dla Ciebie i całej Twej Rodziny, nie da się nawet wyrazić słowami. Staraj się krzepić moralnie tą myślą, że Twoje zdrowie, Twoja moc i pogoda ducha, to podpora i osłoda dla Twej Mamuńci, która w życiu przeszła już tyle ciosów, że siły jej muszą już być więcej wyczerpane. Ucieszymy się całem sercem, gdy nam doniesiesz, że już zdrowa jesteś — ale nie wyjdź przedwcześnie, bo po takiej chorobie długo szanować się trzeba, zwłaszcza przy wiosennem niestałem powietrzu. — Nieznany we Lwowie. Przysłany nam w liście fiołek, jak również Twój pseudonim, zdają się być godłem skromności, ale redakcya zaciekawiona, czy też poza „Nieznanym“ nie ukrywa się jaki dawny przyjaciel. Gdy się skończy „W zameczku na kresach“ zaczniemy drugą, równie ładna powieść. — Stały przyjaciel w Dublanach. Nagroda już wysłana — jeśli tej książki dotąd nie znałeś, powinna Ci się bardzo podobać. — Ludwik B. w Krakowie. A więc należycie zawsze jeszcze do grona naszych Czytelników? dowiedzieliśmy się o tem z przyjemnością. Dodatki już wysłane — kosztują po 10 ct. — Walercia i Elza M.

we Lwowie. Pannie Irenie miło bardzo, że jesteście tak korzystnie uprzedzone do wszystkich jej powieści. Może i „Koledzy“ nie zawiodą Waszych oczekiwań. Jeżeli macie do Sydzi T. taką sympatyą — to i ona pewnie się Wam odwzajemnia, bo serce sercem się płaci. — Uczenice szkoły w Gorlicach. Nie wiemy czy to tylko jednej z Was, czy też zbiorowo całej klasie, należy się nagroda za rozwiązanie zagadki. W każdym razie będziecie pewnie czytać ją wspólnie. — Polska dzieweczka z nad Wisły. Zastosowaliśmy się do Waszej prośby i mamy nadzieję, że się Wam ta powieść podobać będzie. Kiedyś przy sposobności, odeszlijcie nam marki za porto nagrody.

Pszczółka z Kębłowa. Przysłana przez Ciebie karta, tak ładna jak się rzadko zdarza. Redakcya wprawdzie sama nie składa takich kart, ale ma jedną kuzyneczkę, która je zbiera i bardzo się cieszy, gdy się jej zbiór powiększa. — Lisia Marylka i Milka W. we Lwowie. Odpowiedzi zamieszczamy, przynajmniej mniej więcej, w tym samym chronologicznym porządku, w jakim odbieramy listy — a że Wasz i tym i ostatnim razem doszedł nas jeden z ostatnich, więc i odpowiedź nie mogła być na pierwszem miejscu i musiała być krótsza, bo w torbie listonosza brakło już miejsca — zresztą nie wiecie czy i inni Czytelnicy równie długiemi listami, nie starają się zasłużyć na długie odpowiedzi. Wyobrażamy sobie, że malutka Elza będzie doskonale pielęgnowana, mając takie opiekunki; pewno jej za ten miesiąc, przybędzie i wzrostu i piękności i rozumu. A nie wątpimy także, że i Wasze nauki nie ucierpią nic na tem — przy dobrej woli, można wszystkim obowiązkom poradzić. — Marynusia z Weryni. I na Twoję łamigłówkę przyjdzie kolej — miło nam, że „Wiek Młody“ sprawia Ci przyjemność. — Maczek ze Skolego we Lwowie. Numera zapewne Cię już doszły — pozdrowienia wiewiórce. — Czarna perełka we Lwowie. Niech się więc już pierwszy wniosek utrzyma, bo i Iskierkę mamy także — a dwie perełki, to się jeszcze jakoś pomieszczą. Zagadki w krzyżu lub gwieździe, chętnie przyjmiemy, bo takich mniej mamy w tece — a Ty, czy równie chętnie przyjmiesz nagrodę, którą Ci los przeznaczył? — Józef Ch. w Poznaniu. I Tobie los sprzyjał tym razem. Donieś nam, które tomiki Biblioteczki „Wieku Młodego“ posiadasz.

Trafne rozwiązania zagadnień zawartych w numerze 5-tym nadesłali: Janinka Sochaniewiczówna, Józef Chosłowski, Konwalijka z Gorlic, Litwin ze Stanisławowa, Herbert Feuerstein, Lila Turska, Pszczółka z Kębłowa, Stały przyjaciel w Dublanach, Walercia i Elza Maxówny, Polski słowiczek, Adzio Żelewski, Zosia Kurowska, Kolibr ze Lwown, Eleonora Mühlnerówna, Anulka Sołtysikówna, Szarotka ze Lwowa, Ktoś niepodpisany, Zosia Endersówna, Polska dzieweczka z nad Wisły, Uczenice szkoły z Gorlic, Józef Kwiatkowski, Staś Dobrucki, Wincenty Składziej, Wera, Wanda Więckowska, Emil i Bronisława Sommersteinowie, Zofia Loegler, August Machowicz, Nieznany ze Lwowa, Leon Płoszewski, Tadeusz Dyboski, Delusia Błochówna, Stefan Narzymski, Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny, Lolo M. ze Stanisławowa, Marynusia z Weryni, Turystka tatrzańska, Maniusia Cz. i Marya O., Halka Szulisławska, Aniulka Hartmannówna, Henryk Milhawer, Anna Zawiejska, Miś i Wiś ze Stanisławowa, Staś Zerowicz, Biała myszka z Sambora, Kazia Maliszówna, Zosia Tarczyńska, Turkaweczka, Marcia Durska, Polka i Rózia Waldinger, Halka Szulisławska i Zosia Szczepańska.

Do nagrody wylosowani: Janinka Sochaniewiczówna, Uczenice szkoły z Gorlic, Anulka Hartmannówna, i Staś Zerowicz.

Łamigłówka zgłoskowa

ułożona dla Steli St. we Lwowie.

Mon — go — nar — o — lo — [illegible] — thel — in — lo — [illegible] — wa — sa — dy — [illegible].

1. Król grecki. 2. Roślina. 3. Żyje w oceanie Lodowatym. 4. Opera Verdi'ego. 5. Król Żydowski.

Początkowe litery, tąk jak i końcowe, dadzą, czytane z góry na dół, imiona dwóch prawodawców w starożytności. *Marylka i Lisia Winiarzówny.*

Łamigłówka zgłoskowa.

Na — a — par — on — le — e — o — na — bu — lo — es — nas — ta — o — bro — [illegible] — ri — ta — cho — ni — no — lia — do — das — no — ko — zor.

1. Król assyryjski. 2. Drzew kolczasty, który tylko raz na sto lat zakwita. 3. Góra w Grecyi. 4. Jezioro w północnej Ameryce. 5. Wódz grecki wsławiony w wojnach perskich. 6. Rzeka w Hiszpanii. 7. Rzeka w południowej Ameryce. 8. Imię żeńskie.

Początkowe litery tych wyrazów dadzą imię największego cesarza Francuzów. *Fela Geppert.*

Z powodu braku miejsca, odpowiedzieliśmy w dzisiejszym numerze, tylko na najdłuższe listy.

Składki:

Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny. na „Dom opieki 1 koronę, Polka na głodne dzieci 10 h.

Sprostowanie: Przez omyłkę druku, nie wymieniono w zeszłym numerze, między nagrodzonymi wypracowania Żmujdzina i Litwinki.

Numer dzisiejszy jest ostatni w bieżącym kwartale — upraszamy przeto, o wczesne odnowienie kwartalnej przedpłaty.

Nowi abonenci, przystępujący od kwartału, otrzymają bezpłatnie początek powieści: „W cieniu Wezuwiusza“ (dodatek książkowy) i „Koledzy“.

Można również abonować jeszcze wstecz od Nowego Roku.

TREŚĆ: Z legend o św. Franciszku z Asyżu. — Koledzy. (C. d.) — W zameczku na kresach (C. d.). — Obrazki z młodości zacnego obywatela. (C. d.) — Skrzydlaty listonosz. — Łamigłówki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 7. We Lwowie, dnia 1. Kwietnia 1900. Rok VIII.



Lud Kmlody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Prima-aprilis!

Monolog.

Edzio (*wchodzi i kłania się publiczności*). Myślicie państwo, że ja was zwieść nie potrafię? ho, ho! to dopiero zobaczymy. Ja przecież zwiodłem już dzisiaj sześć osób. Właściwie mówiąc, nie były to zupełne osoby, bo do kompletu doliczam także naszego „Nerona“, którego doskonale wyprowadziłem w pole: Zawołałem go, pokazałem mu kawałek cukru, a potem sam go zjadłem. Zosia, która tak się roztkliwia nad wszystkiemi psami i kotami, że powinna koniecznie zapisać się do „Towarzystwa ochrony zwierząt“, powiedziała mi, że ja nie *zwiodłem* ale *zawiodłem* Nerona, i że to szkaradnie z mojej strony — ale ja myślę, że to był koncept wcale dobry. Inne osoby, równie dowcipnie zwieść mi się udało — aha, znowu zaliczyłem Nerona do osób — no, cóż dziwnego? gdy ktoś się nazywa tak jak cesarz grecki, można się pomylić. (*po pauzie*) Jakto? powiadacie państwo, że Neron, to nie był cesarz grecki tylko rzymski? eh, czyż to nie wszystko jedno? Grecya i Rzym tak blisko siebie leżały za dawnych czasów, że ja tam między niemi nie robię wielkiej różnicy. A zresztą, to już wszystko tak dawno przeszło, minęło, skończyło się, czy to warto przeciążać sobie umysł, takiemi wiadomościami, z których już teraz, nic nikomu nie przyjdzie? Bo nie mówię, jak kto ciekawy, to i owszem, niech się uczy — ale ja n. p. nic a nic takich rzeczy ciekawy nie jestem, a wszyscy profesorowie, biorą mi to za złe, jakby to już była nie wiem jaka zbrodnia. W domu znowu przeciwnie, wiecznie łają mnie za to, że jestem zanadto ciekawy — oj, trudno to ludziom dogodzić! Raz nawet zrobiła się straszna awantura z tego, że mnie wujcio zobaczył stojącego za blisko drzwi, po za któremi rodzice, dziadzio i ciocia, mieli jakąś ważną rozmowę. Mnie, to nie było wcale za blisko, bo ledwie, że piąte przez dziesiąte słyszałem jakieś słowa, a właśnie te słowa odnosiły się do mnie i do ostatniej konferencyi szkolnej, na której byłem podany z trzech przedmiotów. No, proszę państwa, czy taka rozmowa mogła kogoś obchodzić więcej niż mnie? — czy to dziwne, że jej się choć z daleka przysłuchiwałem? — A wujcio podniósł zaraz wielką wrzawę — przerwał rodzicom pogadankę, mnie narobił nieprzyjemności i jeszcze był przekonany, że spełnił szczytny obowiązek. Powiedział mi przecież (*naśladując ton wujcia*): „Pamiętaj chłopcze, że choć dziś masz żal do mnie, kiedyś będziesz mi prawdziwie wdzięczny za to, że zwróciłem uwagę na szkaradę twego postępku“ — (*naturalnym głosem*) No, ja nie wiem, co będzie kiedyś, bo któż przyszłość przewidzi — ale w każdym razie, gdy sobie przypomnę zakończenie całej tej sprawy, to widzę, że do tego „kiedyś“ jeszcze bardzo daleko.

Zresztą, z tej rozmowy rodziców nie mogłem się dowiedzieć nic nowego — nawet te trzy dwójki, które mi się dostały na konferencyi, nie były dla mnie żadną nowiną. Ja odrazu, jak mnie tylko profesor wywoła, domyślam się, na czem się to skończy. Tuman nie jestem — owszem orjentuję się dość szybko w sytuacyi, a zresztą, praktykuję już w tej klasie drugi rok; pierwszą wystudyowałem gruntownie — bo to i tu, i na prowincyi się rok było — to już przecie człowiek mógł nabrać trochę doświadczenia. Ja nawet nie potrzebuję zaglądać do katalogu, co mi tam profesor zapisuje; poznam z samego ruchu ręki. Jak trochę dłużej piórem rusza, to: niedostatecznie — a jak trochę krócej, to naturalnie: dostatecznie — cóżby było innego? Ale w moich stopniach, owe „krócej“ dosyć rzadko się zdarza. Wielkiej rozmaitości nie ma dla mnie w katalogu, to też szkoła jużby mi się była strasznie uprzykrzyła, gdyby nie to, że siedzę w ostatniej ławce i mogę sobie z tego stanowiska wygodnie przepatrywać, co robią wszyscy studenci. Niektórzy — a nawet większość — to nie robi nic ciekawego; notują wykład profesora, rysują mapy, piszą wypracowania — z takich to nie mam żadnej rozrywki. — Ale niektórzy, to są bardzo sprytni chłopcy i miewają wcale dobre pomysły. N. p. Antoś Wyszyński, to za jednem pociągnięciem ołówka lnb pióra, nie odrywając go wcale od papieru, umie wyrysować doskonale: psa, kota i siebie samego — wszystko ogromnie podobne! — A Jaś Dajewicz znowu, nie rysuje ale wygina z papieru pyszne świnki: jedne ze spuszczonemi ogonkami — te są niby smutne — a drugie z podniesionemi, to znowu wesołe, rozbrykane. Te smutne zwłaszcza, to taką mają kapitalną minę, takie jakieś rozpaczliwe, że to pękać ze śmiechu. — Ot zdaje mi się, że nawet mam jedną taką w kieszeni, zaraz pokażę. (*szuka po kieszeniach i wydobywa złożone świadectwo*) Aj, to nie świnka — to moje świadectwo. Może państwo zechcecie przeczytać? przekonacie się, żem nic nie blagował. Już to wszystko można mi zarzucić, ale żebym się przechwalał — to już nie. Ot, zajrzyjmy do świadectwa — jak tam miało być? niedostatecznie — dostatecznie, prawda? (*śmiejąc się, pokazuje świadectwo*) Aha! prima-aprilis! w mojem świadectwie, na szczęście, same „bardzo dobre“ — a widzicie państwo, że mi się udało was zwieść! Wszystko nieprawda: i o podsłuchiwaniu i o dwójkach i o repetowaniu. (*z żartobliwą wymówką*) A państwo zaraz mi uwierzyli! czy to ładnie? czy to ja już wyglądam na takiego, co same dwójki bierze i pod drzwiami podsłuchuje? Żebym był taki ostatni, to bym nikomu nie śmiał w oczy popatrzeć, a nie dopiero występować z humorystycznemi monologami! — No, teraz sam już nie wiem, czy mam być dumny, że potrafiłem, tak poważne grono, wyprowadzić w pole, czy też się tem martwić. Bo swoją drogą, to takie bardzo pochlebne dla mnie nie jest, że mi się moje prima-aprilis tak nadzwyczajnie udało — wielkiej chwały w tem dla mnie nie ma. Na przyszły rok, już sobie coś lepszego obmyślę. A tymczasem: moje uszanowanie państwu! (*kłania się i wychodzi*).

UWAGA: Monolog ten, może być z bardzo małemi zmianami deklamowany, zarówno przez dziewczynki, jak przez chłopczyków — jedynym warunkiem powodzenia jest: mieć naprawdę dobre świadectwo — inaczej cały dowcip przepada. Ale nie wątpimy, że nasi czytelnicy, wszyscy bez wyjątku, mogą zadość uczynić temu warunkowi

W zameczku na kresach.

(Dokończenie).

Na ten głos, na dźwięk tego imienia, młody Tatar drgnął i cofnął się nagle, jak rażony piorunem — rumieniec uciekł mu z ogorzałej twarzy, wodził wkoło bezprzytomnemi, zdumionemi oczyma, nad któremi brwi zbiegły mu się od natężającego wysiłku myśli... pierś dyszała ciężko, z trudnością chwytając oddech, zdławiony wzruszeniem. — Powoli oczy jego, wpółprzytomnie błądzące po ścianach, utkwiły w obliczu starca, dziwnie w tej chwili jaśniejącem i jakby odmłodniałem w radosnem uniesieniu — spocząwszy na niem, oczy młodego wojownika, jak urzeczone, odwrócić się już nie chciały — błyski dziwnych zmięszanych wzruszeń, jęły mu przelatywać po twarzy — wyciągnięte przed siebie dłonie, zacisnęły się złożone jakby w jakiejś bezsłownej modlitwie — postąpił niepewnym krokiem... Wtedy dziadek, nagłą myślą tknięty, chcąc dopomódz ciężkiej pracy pamięci, która się widocznie odbywała, pod tem młodem czołem, pochwycił z przed dziecinnego nakrycia srebrny roztruhanik rodowy, i wyciągając ku słaniającemu się prawie, czarkę nalaną rubinowym płynem, zawołał głosem, któremu drgająca w nim radość, jeszcze z niepewnością jakąś zmięszana, wróciły niemal dawne, głębokie dźwięki:

— W ręce twoje mój wnuku, wychylam czaszę powitalną, z którą czekałem cię lat tyle! którą ty mnie niegdyś przyjąłeś. Oby św. Patron rodu naszego stał ci na straży! ja oto, odejść już mogę, gdyś ty domowi Bałabanów wrócony!

Jednym haustem wychylił roztruhanik i z brzękiem srebra rzucił go przybyłemu pod nogi — a młodzian teraz ruchem jak błyskawica, drapieżnym prawie, pochwycił porzuconą czarkę i do ust przyciskać jął raz po raz i całował wizerunek wyrzeźbionego na niej św. Patrona, i niezrozumiałe jakieś bełkotał wyrazy, a łzy jak groch, leciały mu twarzy.

Snadź widok i dotknięcie ulubionej w dzieciństwie zabawki, poruszyły ostatnią strunę wspomnień, zamierzchłych tak w sercu i pamięci, że dusza budziła się do nich powoli, jak ze snu głuchego — bo oto teraz dopiero, młody wódz tatarski runął do nóg starcowi, z płaczem obejmując stopy jego i kolana, i próbując

odwykłym językiem dźwięku dawno zapomnianej mowy, jąkał to jedno, echem przeszłości przypływające mu słowo: „Dzia-dzio!“...

Pozostali u drzwi Tatarzy, widząc że się dzieje coś niezwykłego, sądzili zapewne, że jakaś krzywda spotyka ich wodza, bo ruszyli się nagle, z groźnym pomrukiem i chrzęstem szabel, jakby gotowi rzucić się ku obronie. Ale już to posłyszał młody Mirza-Oli (tatarskie miano Oleńka) i wściekle, jak dzik raniony, obrócił się na swoich podwładnych. Uderzał wprawdzie tylko płazem klingi, ale ciosy były potężne i popłoch zaskoczonych tą niespodzianką Tatarów tak wielki, że w mgnieniu oka, młody junak wymiótł ich wszystkich za próg sali, i tu jeszcze aż do połowy dziedzińca zapędził się za nimi, nim wreszcie ustał, głosem tylko wzburzonym, łając jeszcze i szykując ich w jakiś ordynek.

W sali tymczasem obie matrony płakały słodkiemi, niespodziewanemi łzami szczęścia i zaraz już ducha wznosiły w dziękczynnej modlitwie — sędziwy dziadek zacierał dłonie z radości, wołając: „Prawdziwy Bałaban! jak mi Bóg miły, prawdziwy — bo bije Tatarów, jako ja ich bijałem“ — a dziewczyna, na razie przez innych zapomniana w zamięszaniu chwili, wtuliwszy się w kącik pod ścianę, ździwionemi i jeszcze nieufnemi oczyma, wpatrywała się w mrok drzwi otwartych, na tle których zniknął i znowu miał się pojawić, ten dziwny, srebrną kolczugą błyskający przybysz, który podniósłszy już na nią zbrojną rękę, dziwnem losu zrządzeniem, z napastnika i wroga przemienił się nagle w kogoś, co choć obcy dotąd, miał jej od dziś być bliskim i w codziennem kółku jej ukochanych zająć miał to miejsce, tylu dotąd wypełnione myślami, tylu tęsknotami opłakane — miejsce Oleńka! Z lękiem i ciekawością zarazem wpatrywała się w mroki dziedzińca, skąd dochodził młody głos jego, grzmiący gniewnem uniesieniem i burzą — a choć minęło już niebezpieczeństwo, aby ta burza przeciwko niej, lub komukolwiek z mieszkańców Winnickiego zameczku, zwrócić się mogła, w niej, serce tłukło się dopiero teraz, jak ptak spłoszony...

W dzisiejszych czasach, trudno nam nawet przenieść się zupełnie myślą w położenie rodziny, tak dla nas wyjątkowe, jak położenie rodziny Oleńka — ale za owych wieków, sceny takie jak opisana powyżej w Winnickim zameczku — nagłe zbliżenie i poznanie się swoich, po latach rozłąki — cudowne odnalezienie utraconych i już opłakanych — niespodziewane ocknięcie się głosu krwi, w wypadkach w których zdawało się już niepodobieństwem liczyć na niego — nie należały wcale do takich rzadkości: częste napady tatarskie i długoletnie jassyry, wszelkie, nawet na pozór najnieprawdopodobniejsze historye tego rodzaju, czyniły możliwemi i wiarogodnemi.

W tym wypadku, wyjątkowem było chyba położenie Oleńka, któremu cudowne odnalezienie rodziny nie przyszło jako wybawienie z nędz i niedoli jassyru — tych bowiem nie zaznał wcale — ale jako dobro, które okupić musiał, wyrzeczeniem się władzy i zaszczytów, jakie go wśród Tatarów czekały. Szczęśliwe losy, najpewniej łzami matki wyproszone, sprawiły, że przed laty, w chwili porwania, wpadł w rękę, możnego tatarskiego wodza, który za klątwę bożą ponad sobą uważał to, że sam nie miał syna. Stary Tatar, przywiązał się bałwochwalczo do ślicznego chłopięcia — i chował go na dziedzica swoich skarbów i następcę w plemieniu. Wprawdzie twarde życie i obyczaj tatarski, nieprzyzwyczajonemu, były zrazu ciężkie do zniesienia, ale powoli, w miarę jak w miękkiej pamięci dziecka, zacierały się — jakby obrazy z innego świata — wspomnienia pieszczot i domu, przywykało ono coraz bardziej, do szorstkiego opiekuna swego, do szerokiego oddechu koczowniczego życia na stepie: przybrany ojciec, choć chował go na końskiem mleku i nawet nahaja mu nie szczędził, otoczył go jednak całym dostatkiem, całym przepychem Wschodu na jaki stać go było i uczył go wszystkiego, co sam umiał, wszystkiego co władcy tatarskich plemion przystoi: chłopak mógł perły i drogie kamienie, przesypywać garściami, mógł stroić się w błyskotliwą broń zdobyczną i wybierać sobie najszlachetniejsze, wiatrem nieścigłe rumaki — umiał strzałą doścignąć orła w błękicie i prowadząc *komunik* (czyli oddział wojska) przepaść z nim w stepie tak, żeby go w jarach i burzanach, nawet lis nie wytropił.

Dziś, młody Mirza-Oli ulubieńcem był w całem plemieniu: choć despotyczny nieco z usposobienia, od podwładnych sobie wymagał ślepego posłuchu i umiał być srogim gdy karał — dzicz wojownicza, za przymiot mu raczej, niż za wadę tę właściwość liczyła — i słała mu się tym sposobem droga do największych między Tatarstwem zaszczytów, gdy oto nagle, dzięki dziwnemu zrządzeniu Opatrzności, w sercu tem młodem i przez wpół tylko ździczałem, zbudziło się, niby zapomniane, echo pierwszych słodkich wrażeń dzieciństwa — a zbudziło z taką pierwotną siłą, powrót do dawnych uczuć i wierzeń, narzucił się taką jakby przemocą, że harde serce, nie próbowało nawet bronić się temu głosowi krwi, i za odzyskany skarb tych uczuć, płaciło chętnie ofiarą wszystkiego, co dotąd wypełniało jego życie.

Nie byłaby mogła odrazu, porozumieć się cudownie zjednoczona rodzina, gdyby nie to, że stary pan Rotmistrz z dawnych lat swoich, z wojennych wypraw i jassyru, zachował dostateczną znajomość tureckiego i tatarskiego języka, aby się bez tłumacza z wnukiem rozmówić, Oleńko bowiem, oprócz imienia swego i dziada, ledwie słów parę ojczystej mowy poznawał i przypominał sobie o tyle, że za drugimi powtórzyć je mógł z dziecinną uciechą. Dziadek więc pośredniczył w udzielaniu chciwym wiadomości, skupionym wokoło jego krzesła kobietom, głównych szczegółów, dziwnej historyi Oleńka. — Tak dowiedziały się między innemi, że pierwszy to raz młody wojownik, brał udział w wyprawie na polskie ziemie. Czy to, że stary Bukczy-Bej jego pan i opiekun, w słusznem przeczuciu, obawiał się

wpływu wrażeń ziemi ojczystej, na swego ulubieńca, czy przypadkowe tylko złożenie rzeczy, dość że wszystkie zbrojne wycieczki, w których szkole ćwiczył się dotąd Oleńko, zawsze skierowane były ku wschodowi lub północy — pierwszy raz powierzono mu oto komunik w wyprawie na Ukrainę i Podole. I w istocie, już od początku tej drogi przez rodzinne okolice, coś dziwnego działo z młodym Mirzą: jakieś wonie płynęły od tych pól, jakieś szumy od Bohu, jakieś blaski od śniegów iskrzących, które dziwnie zapadały w duszę i poruszały ją, gdzieś aż do głębi, jak pług wiosenny kraje skamieniałą rolę i przewraca skiby pod zasiew —

Bożego posiewu dokonało tu nareszcie niespodziane znalezienie się w ścianach rodzinnego domu, widok ukochanych niegdyś twarzy i ulubionych przedmiotów — i wybujało cudowne kwiecie świętej miłości rodzinnej, i przepełniło szczęściem serca od dawna tęskniące.

Mirza-Oli wiódł ze sobą, garść tylko Tatarów, z którą odbił się od głównego szlaku, na własną rękę chcąc spróbować wyprawy — wystarczało teraz, odesłać ich z rozkazem, aby nie śmieli plądrować, ani niszczyć po drodze, a z pewnością byliby usłuchali swego młodego wodza, tak przywykli już byli ulegać ślepo jego rozkazom. Ale Oleńko obawiał się, że stary Bukczy-Bej, jeżeli wrócą bez niego, gotów myśleć, iż go tu ujęto przemocą i zatrzymano w niewoli, gotów mścić się na Lachach, naprowadzając na nich całą Ordę — postanowił więc sam swój oddział odprowadzić. Chciał zarazem, sam pożegnać jeszcze tego, co na swój sposób, był dla niego dobrym jak ojciec przybrany, i wytłumaczyć mu, że z własnej i nieprzymuszonej woli, zostaje na lackiej ziemi! że żadna siła nie zmusi go już do dalszego przebywania wśród Tatarów, bowiem odnalazł swoich i czuje się nie dzikim koczownikiem stepowym, ale polskim, urodzonym szlachcicem i wolnym obywatelem, potężnej Rzeczypospolitej!

Nadaremnie matka i nawet dziadek starali się wyperswadować mu tę drogę — napróżno mu przedstawiali, że go z powrotem puścić nie zechcą — że się naraża, na pochwycenie w prawdziwy jassyr tatarski — młody junak tylko z uśmiechem potrząsał głową a butne spojrzenie dowodziło, że on żadnej niema obawy, co do tego, czy potrafi innym narzucić swą wolę.

I pojechał — a w Winnickim zameczku zaczęły się znowu pełne niepokojów, troski i tęsknoty dni oczekiwania: czy też powróci?...

Wrócił — i poczciwe poruszenie jego serca, które kazało mu pomyśleć o pożegnaniu się z ojcem przybranym, zostało wynagrodzone, bo stary Tatar, może przez szczere przywiązanie do ulubieńca, wyrozumiał co się w duszy jego działo i nie stawił mu żadnej przeszkody w powrocie do swoich. O jedno tylko prosił i zastrzegał, a to, aby go młody Mirza-Oli — teraz już Aleksander Bałłaban — czasem przecie odwiedził i nawzajem przyjął go w gościnę.

Jak najchętniej przystała na ten układ cała rodzina — i mury Winnickiego zameczku, które były świadkami tylu tatarskich napaści, niepomiernie zdziwić się musiały, gdy w istocie przyszło im po paru latach otworzyć gościnnie bramy, na przyjęcie oryginalnego, pstrego wschodniem bogactwem stroju, turecko-tatarskiego orszaku: to stary Bukczi-Bej zatęsknił za swoim wychowankiem i przyjechał go po przyjacielsku odwiedzić na „laszej“ ziemi: odwzajemniał się za dwukrotną już bytność Oleńka w Krymie — a takie utrzymywanie osobistych stosunków przyjaznych między nimi, na czas jakiś przynajmniej, osłaniało bliższe okolice od najść i grabieży Ordy.

Gdy Oleńko przyjmował u siebie starego Tatara, pomagała mu gościć go szczerze cała rodzina, zawsze zachowująca dla Bukczy Beja, uczucie pewnego rodzaju wdzięczności, za to, że porwanemu niegdyś dziecięciu, nie dał zaznać nędz i cierpień jassyru, ale dał mu tyle serca i taką opiekę na jaką go stać było, a w końcu nie krępował jego woli.

Stary, nie dźwigający się już z krzesła, p. Rotmistrz, ruszał wprawdzie siwemi brwiami i szarpnął czasem mleczny wąs, gdy dla dziwnego gościa, rozbijano w dziedzińcu namiocik, który miał mu służyć za sypialną komnatę — niemniej jednak i ten dawniej srogi wojak, który ślubował przelać „morze tatarskiej posoki“ — w obec świętych praw gościnności, tak opanował swoje uczucia, że bez wzdrygnięcia przełamał się z Bukczim, umyślnie dla niego pieczonym podpłomykiem kukurudzianym i do jednej misy sięgał po tłusty „pilaw“ barani. Tylko wina nie mógł przypić do niego, srebrnym roztruhanem rodowym — bo Tatarzy wina nie pijają a nawet się niem brzydzą.

Najbardziej czynną w przygotowaniu przyjęcia dla tak rzadkich gości, w sporządzaniu dla nich szczególnych potraw, podług dyspozycyi samego dawnego Mirzy-Oli, była młoda kobieta, owego niegdyś Mirzy a dzisiejszego dziedzica rodu Bałabanów, najmilsza towarzyszka życia, ukochana małżonka, pani jego domu i — jak Pismo św. wyraża się o mężnej niewieście — „głowy jego korona“.

W urodziwej postaci Hanny Bałabanowej, uderzającej wdziękiem okraszonym powagą, nie trudno nam poznać ową z przed lat kilku, czarnobrewą Hankę, co jak jaskółka uwijała się w koło wigilijnego stołu, i o mało co w jassyr, wziętą nie została przez wojowniczego Mirzę, zaraz na wstępie jego w niepoznane progi rodzinnego domu.

Gdy wrócony swoim Oleńko, powoli przywykać dopiero musiał na nowo do polskiego obyczaju, do życia w innych warunkach, niż w szerokim oddechu stepów, uczyć się na nowo zapomnianej wiary i mowy, ona to, jak anioł strzechy ojczystej, przewodniczyła mu w tej nauce i ułatwiła niejedno, w czem trudno mu było przełamać się i nawyknąć. A czego nie douczył się jako jej, przez dziada i matkę postanowiony „przyszły“, tego douczał się teraz, w latach wspólnego pożycia.

patrząc jak do pierwszego paciorka składała drobne ręczyny, trzymanego na kolanach złotowłosego chłopięcia — nowego Oleńka — ukochanego skarbu i pociechy ich obojga!

Koledzy.

przez

Irenę Mrozowicką.

(Ciąg dalszy).

Ale w tejże samej klasie był drugi, wprawdzie mniej zdolny i w wielu przedmiotach słabiej stojący, ale stosunkami familijnymi równie — a raczej zdaniem kolegów więcej daleko — uprawniony do otrzymania tego stypendyum, kandydat: Stach Blesiński; także sierota po profesorze, którego matka utrzymywała siebie i syna ze skromnej pensyjki, dopomagając sobie przytem przyjmowaniem studentów na stancyą.

Stach, niewielki, łagodny chłopczyna, był ze względu na swoje ciche usposobienie, miłą twarzyczkę i serdeczną uprzejmość w obejściu, lubiony i protegowany zwłaszcza przez starszych i zamożniejszych kolegów — jego mundurek, dobrze wyszarzany na łokciach i postnykawałek chleba, który wydobywał z kieszeni na drugie śniadanie, obudzały współczucie. —To też w klasie udecydowano, że nikt inny, tylko Stach powinien otrzymać owo upragnione stypendyum, na które konkurs ogłoszony został właśnie przed kilku tygodniami. Wprawdzie Stach celującym nie był, z łaciny i greki miał nawet stopnie dość słabe, ale za to, we wszystkich naukach przyrodniczych celował — a dziwnym trafem, w ogłoszonym konkursie, którego odpis kursował po całem gimnazyum, czytano właśnie następujące zastrzeżenie: Z pomiędzy równo ukwalifikowanych i uprawnionych do otrzymania tego stypendyum kandydatów, przyznaje się pierwszeństwo tym, którzy wykażą wyższe uzdolnienie w matematyce, fizyce i wogóle we wszystkich naukach przyrodniczych.

To zastrzeżenie, wysuwało do pierwszego szeregu kandydatów, Stacha Blesińskiego, który rachował jak błyskawica i pod tym względem nie wielu mógł mieć niebezpiecznych rywali — zresztą, gdy w całej klasie zostało już wiadomem, że on się podaje, żaden z kolegów nie myślał nawet z nim się współubiegać. — Taki poczciwy chłopiec — mówili jedni — a drudzy dodawali w tym samym tonie: takie biedne chłopczysko — i sierota po profesorze — należy mu się to bezsprzecznie. To stypendyum jakby umyślnie stworzone dla niego — do końca gimnazyum już się matka jego utrzymaniem kłopotać nie będzie.

Aż tu raptem, takiemu Wydrze zachciewa się tego stypendyum, i panicz, wyrywa się z chęcią poprawienia sobie stopnia z matematyki, który w istocie mógł być jedyną przeszkodą w jego kwalifikacyach. Jemu stypendyum! Paniczyk! elegancik! codzień kołnierzyk świeży bierze, mundur sprawia dwa razy do roku, a będzie odbierał chleb takiemu, którego matka dobrze napracować się musi, żeby syna i siebie wyżywić.

Z pomiędzy całej klasy — nie mówiąc tu naturalnie o samym Wydrze i jego przyjacielu Korewiczu — Stach najmniej wydawał się tą chciwością oburzony, a przynajmniej pozornie, najspokojniej przyjął tę oburzającą wiadomość. Poczerwieniał tylko, aż po sam ciemny zarost włosów, popatrzył z przerażeniem w stronę kolegi, którego współzawodnictwo mogło zachwiać i zwalić śliczny gmach jego marzeń, wznoszony szarą godziną w długich rozmowach z mateczką — ale nie rzekł nic, i choć potem tysiąc razy obijały się o jego uszy

O ZMROKU.



W srebrno-błękitnym mroku cały pokój tonie,
A stary obraz, w wizyę nadziemską mi rośnie,
Patrzą oczy bezmiernie smutno i litośnie,
Ciemnieje twarz Chrystusa, w cierniowej koronie.
A w sercu mem, przed chwilą, pełnem buntu, skargi
Nastaje wielka cisza, uroczysta, błoga,
I kolana bezwiedna ugina mi trwoga:
„Fiat voluntas Tua“ szepcą moje wargi.

M. Dunikowska.

wykrzykniki oburzenia i ostre docinki zwracające się przeciw Wydrze, nie dorzucił do nich nigdy ani słówka. Posmutniał, to prawda — i wogóle starał się teraz, jak najmniej mieć z Wydrą do czynienia — ale w tem zachowaniu się jego nie było wyzywającej niechęci lub pogardy, nic tylko proste usuwanie się z drogi, oszczędzające im obu niepotrzebnej przykrości.

Janek Waniewski zato rezonował najgłośniej; nawet przez pół dnia nosił się z zamiarem zerwania z Korewiczem, który „takiego“ proteguje i uważa na równi z porządnymi chłopcami. — „Gdzie jest Wydra, tam ja się czuję całkiem niepotrzebny“ — oświadczył z godnością na przerwie, przesuwając się tuż obok Korewicza, choć nie patrząc niby w jego stronę — ale gdy w chwilę potem Korewicz ujął się energicznie a taktownie za jednym „czwartakiem“ z drugiego oddziału, potrąconym pogardliwie przez „złotopaska“ — Janek nie wytrzymał, i przystąpił do szlachetnego obrońcy uciśnionych, jako jego wierny druh i sojusznik. To trudno, Korewicz miał już w sobie coś takiego, że na niego niepodobna się było gniewać lub sprzeciwiać mu się w czemkolwiek. Nawet studenci z najwyższych klas nie zaczepiali go nigdy, nie okazywali mu najlżejszego lekceważenia, a już w klasie, to wszyscy bez wyjątku, panicze i demokraci, „repetniki“ i celujący, wszyscy garnęli się do niego. Żeby mając taki wybór, obdarzyć godnością swego oficyalnego przyjaciela, takiego Wydrę — żeby się do niego nie zrazić, nawet teraz, po takim jego postępku, to już trzeba było szczególnego zaślepienia! ale jakaż na to mogła być rada?...

Co do Wydry, zdawał się on zupełnie nie uważać i nie rozumieć, co się w koło niego działo i jaka fala pogardliwej niechęci biegła ku niemu, ze wszystkich tych młodych serc — do Stacha w pierwszych dniach po wyjściu na jaw sprawy stypendyum, zwracał się kilkakrotnie, jakby szukając zbliżenia. Ale gdy Stach wymknął się raz i drugi od poufalszej gawędki, Wydra także stracił do niej ochotę i po dawnemu zaskorupił się w sobie, schodząc z drogi wszystkim kolegom. Zapewne doszedł do przekonania, że bezpieczniej nie szukać guza. A zresztą kto tam może zgadnąć, co myśli i czuje taki lis, chytry a bojaźliwy, taka ślimacza dusza i głowa, która się opycha wiadomościami ze szkolnych książek, ale zresztą o Bożym świecie nie wie.

Jedyną pociechą Waniewskiego, była nadzieja, że zamiast poprawić sobie stopień, Wydra skompromituje się tylko wobec całej klasy i na nic mu się to nie przyda — taki hebes do matematyki miałby rozwiązać takie trudne zadania i potem przeprowadzić je na tablicy! wprawdzie w domu mógłby ktoś dopomódz mu, w wyrobieniu ćwiczeń — ale nie! bałby się przecież, że się potem przy tablicy jesze gorzej splącze i na śmiech narazi — a zresztą, co jak co, ale tego nie można było Wydrze zarzucić, żeby próbował coś szachrować z nauką i profesorów w błąd wprowadzać. Kuł uczciwie — cóż z tego kiedy był taki nieznośny!

Zbliżał się koniec pierwszego kursu a wraz z nim termin owej poprawki, oznaczony Wydrze przez profesora matematyki. Termin ten wypadał właśnie przed ostatnią klasyfikacyjną konferencyą, w wilią rozdania półrocznych świadectw. Widać profesor ujęty pilnością Wydry, chciał mu zostawić jak najwięcej czasu do należytego przygotowania się.

Termin ostateczny, podawania się o stypendyum Marszałkiewicza i paru innych jeszcze, opróżnionych równocześnie, wypadał zaraz w kilka dni później — chłopcy ociągali się z podaniami, czekając na półroczne świadectwa, mające stanowić o ich kwalifikacyi.

Zdarzyło się, że na tydzień mniej więcej przed rozstrzygającą chwilą, wuj Wydery zaszedł do kancelaryi dyrektora, po jakieś sprawozdania, czy plany szkolne, i płacąc za takowe kilkadziesiąt centów, wsunął kilka koron do puszki „dla ubogich uczniów“.

Jeden z czwartoklasistów, repetant i swawolnik, a szczególny przeciwnik Wydery, był właśnie wówczas w kancelaryi, zawołany przez dyrektora, dla otrzymania dobrej bury, za dokazywanie po ulicy. Naturalnie rzucenie datku do puszki przez obcego pana, choć stał w pierwszym pokoju, nie uszło jego uwagi, a gdy z za słyszanych kilku słów rozmowy, domyślił się, że tym obcym panem, był właśnie wuj Wydery, nie omieszkał opowiedzieć tego, zdarzenia całej klasie, z odpowiedniemi komentarzami.

Umysły wszystkich uczniów, tak były wzburzone przeciw „Wydrze“, że i ten fakt, w którym chłopiec nie odegrał przecie żadnej roli, ściągnął na niego mnóstwo docinków i przymówek.

Słowo „magnaci!“ i „dobroczyńcy!“ krążyło z ust do ust, przez całą przerwę — aż jeden z najbardziej dokuczających Wydrze kolegów, dorzucił:

— To pewnie miał być procent od owego stypendyum, które Wydra zagarnąć zamierza, wydzierając go prawdziwym biedakom.

— Jałmużna z cudzej kieszeni — mruknął drugi.

Na te słowa, ognie uderzyły na piegowatą twarzyczkę Wydry — biegające, wypełzłe jego oczka sypnęły nagle iskrami.

— Cicho! — krzyknął głosem takim, jakiego nikt jeszcze z piersi jego nie słyszał — o mnie możecie sobie mówić co chcecie, ale o moim wuju wara! niech nie słyszę imienia jego w waszych ustach!

Napadnięty tak niespodzianie student, który nie spodziewał się żadnego energiczniejszego wystąpienia ze strony Wydry, na razie zmieszał się i stracił rezon.

— Otóż to! bąknął sztukując się — o wszystkich wolno mówić a o twoim wuju nie! święty, czy co?

— Chyba turecki święty — podszepnął jakiś dowcipniś — skoro się jego siostrzeńczyk, musi ubiegać o stypendya.

(C. d. n.)

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy).

— Kogut ów — mówił dalej ksiądz prowincyał — nie tylko wielkością zadziwił wszystkich, ale dźwięcznym głosem, który choć podobny do piania, zamiast rozdzierać uszy słuchaczów, zrobił im przyjemną niespodziankę, wyspiewując wyraźnie kolędę poczynającą się od słów: „Dziecię się nam narodziło“.

— Czy to prawda? Czy to być może? zawołały naraz wszystkie dzieci. Przecie takich wielkich kogutów niema! koguty nie umieją śpiewać!

Ksiądz prowincyał uśmiechał się, zażywając tabakę, widocznie rozweselony zaciekawieniem malców, aż wytrzymawszy ich chwilkę w zawieszeniu, objaśnił: — Takich olbrzymich kogutów w istocie niema na świecie, to też ten o którym wam opowiadam, był zrobiony z tektury, ale tak dobrze, że wyglądał jak żywy. Siedział zaś w nim ukryty chłopczyk, i on to głosem podobnym do piania, odśpiewał ślicznie kolędę. —

— Oj! to byśmy takiego koguta widzieć i słyszeć chcieli! wołały dzieci.

— Nie przerywajcie tak ciągle, a opowiem wam co dalej było ciekawego — rzekł ksiądz prowincyał — Gdy ów cudowny kogut oznajmił, że Chrystus się narodził, spiewak siedzący w sztucznym wole, zaryczał: „Gdzie? gdzie? gdzie?“ — A wtedy cztery owieczki, odpowiadając na pytanie wołu, beknęły: „W Betleem! w Betleem!“ A spiewak siedzący w sztucznym ośle, zarżał: „Chodźmy tam! chodźmy tam“ — Po tych słowach, wszyscy obecni, ruszyli długą procesyą, w koło kościoła, i tak dopiero zbliżyli się do Żłóbka, aby uczcić Dzieciątko Nowo-Narodzone.

— Ach jak to musiało być ślicznie! zawołały zachwycone dzieci, i chciały zaraz stawiać tysiące pytań, jak wszystko było urządzone? czy sztuczny wół i osiołek miały sierć, czy były z tektury? czy mali byli ci chłopcy co w nich siedzieli? i. t. p. — Ale ksiądz prowincyał, pomijając te wszystkie pytania, mówił dalej:

— W Jasełkach urządzanych po kościołach, przedstawiano później już nie tylko Boże Narodzenie, ale i rozmaite inne chwile z życia Zbawiciela. Urządzaniem Jasełek zajmowali się bakałarze*) i organiści, a dla urozmaicenia tych widowisk, zaczęli układać różne wesołe, a czasem nawet rubaszne kolendy. Takie przedstawienia, przywabiały tłumy ludzi, którzy ubawiali się niemi tak, że zapominali, iż są w kościele i śmieli się z całego gardła. Czasami znów bywał tłok tak wielki, że służba kościelna, przy pomocy szturchańców, wypraszała widzów z kościoła. Przy takiej okazyi, przychodziło często do bójki. Sceny takie nieprzyzwoite i gorszące w kościele, były obrazą przybytku Pańskiego, to też z czasem biskupi, zaczęli zakazywać podobnych widowisk w kościele. — Dziś jeśli urządzają w przybytkach Pańskich Jasełka, to tylko z figur nieruchomych, przedstawiających św. Rodzinę w szopce; ludziska jednak, tak przywykli do ruchomych, wesołych Jasełek, że trudno im było, bez nich się obejść, to też zaczęli je urządzać paupry, lub ubodzy studenci, którzy po dziś dzień, dogadzając upodobaniom starszych i młodszych, chodzą ze swemi Jasełkami od domu do domu i spiewają kolędy. — W kollegiach, w zakładach wychowawczych, żacy wyuczają się nieraz różnych scen, których pobożne i pouczające dyskursa, układane są przez profesorów, i odgrywają je, dla uczczenia różnych uroczystości: takie przedstawienia nazywają się „*Dyalogami*“. —

Zakończenie całej tej pouczającej rozmowy, przyniosło dzieciom wielką radość, bowiem ksiądz prowincyał zaprosił gościnnie wszystkich do Brześcia, na „Dyalogi“, które właśnie uczniowie, księży Jezuitów, odegrać mieli w szkole.

W owych czasach, nie było u nas, takich jak dzisiejsze, przedstawień teatralnych — jedyną znaną rozrywką w tym rodzaju, były dyalogi, odgrywane przez starszych uczniów po szkołach. To też dzieci pp. Niemcewiczów cieszyły się całą duszą, na niezwykłą rozrywkę, i ledwo doczekać mogły, dnia wyjazdu do Brześcia.

W dniu tym, przeznaczonym na Dyalogi, ruch był niezwykły w szkole XX. Jezuitów: księża profesorowie dopomagali sami w urządzeniu sceny, starsi uczniowie powtarzali jeszcze na gwałt swoje role, młodsi niecierpliwie wyczekiwali chwili przedstawienia. Nareszcie pozwolono chłopcom wejść do sali, w której znajdowali się już liczni goście, przybyli z okolicy, rodzice z malcami nie uczęszczającymi jeszcze do szkoły, a między nimi także i Julianek z swojem rodzeństwem. Podniesiono zasłonę. Widzowie ujrzeli na scenie, jakieś obronne miasto, otoczone murami, najeżone basztami. Na to miasto napadają dzicy poganie, przypuszczają gwałtowny szturm — pod pociskami wrogów, walą się obronne mury, druzgocą wieże i baszty a nie widać nawet, aby kto bronił pięknego miasta.... Nareszcie śród gruzów, jawi się jakiś człowiek — ale czyż to obrońca? czyż potrafi miasto ocalić? patrzącym, wydaje się on sam zupełnie bezbronnym. Ma on jednak broń potężną, chociaż niezwykłą — bo modlitwę na ustach! Jest nim Św. Franciszek Ksawery! Na słowa jego modlitwy cudem dźwigają się zdruzgotane już mury i rozburzone wieże. I oto w oczach widzów, powstaje znowu miasto całuteńkie, obronne i nienaruszone jak przed chwilą. Dzicz napastująca, zdumiona dźwignięciem się miasta, staje na chwilę bezczynnie, poczem przypuszcza drugi gwałtowny atak. Miasto leży znowu w gruzach. Niebawem dźwiga się powtórnie, ku wielkiemu zdziwieniu napastników i widzów. Wreszcie poganie spostrzegają Świętego Cudotwórcę, i nie śmiejąc powtórzyć napaści, słuchają w skupieniu ducha, słów płynących z ust Świętego Męża, aż w końcu przyjmują sami naukę Chrystusa.

*) Bakałarzami nazywano dawniej nauczycieli.

Julianek patrząc na cudem dźwigające się miasto, zapomniał, że jest na widowisku, że dzicy a następnie nawróceni poganie, są to poprzebierani studenci, że nawet sam św. Franciszek, był także przebranym uczniem XX. Jezuitów, i nie cudem, lecz sznurkiem, dobrze ukrytym przed oczami widzów, dźwigał rozwalone miasto. Przy tej pozornie olbrzymiej pracy, nie umęczył się nawet: mury i baszty, były bowiem z tektury!

Nim Julianek ochłonął z podziwu, już nowy widok ukazał się jego zdumionym oczom. Święty, poganie i miasto zniknęło w jednej chwili, a na tem samem miejscu, ukazało się piękne wybrzeże morskie, po którem przechadzał się św. Antoni Padewski. Mąż święty, zapewne przygotowywał się do kazania, z ust jego płynęły bowiem potoki słów, któremi sławił dobroć Boga, lub zachęcał do cnoty i dobrych uczynków — choć w tej chwili nie było na wybrzeżu żadnych słuchaczy. Naraz zaczęli się pojawiać! Ale jacy to byli słuchacze? Oto z pośród fal morskich, zaczęły wysuwać kościste, dziwaczne głowy, szczupaki, łososie, śledzie, sardele i inne, nieznane Juliankowi, srebrno lub złoto-łuskie ryby. Słowa świętego musiały być bardzo wymowne, skoro nawet te bezduszne stworzenia wysunąwszy głowy, zwracały na niego oczy i otwierając pyszczki słuchały słów jego z natężoną uwagą.

Malcy patrzący na ten drugi cud, dokonywający się przed ich oczyma, otwierali podobnie jak rybki, małe buzie i chwytali słowo Boże, tem bardziej niem przejęci i wzruszeni, że widzieli jak go słuchają niemi mieszkańcy morza.

Z żalem widzów skończyło się wreszcie widowisko. Wszyscy chwalą grę uczniów, którzy tak pięknie odegrali swoje role świętych, pogan lub ryb, to też na twarzach chłopców jaśnieje uradowanie. Widzowie także zachowają na długo pamięć pięknych i miłych wrażeń z tego przedstawienia.

W ostatki zjeżdżało do państwa Niemcewiczów więcej jeszcze gości niż na Boże Narodzenie. Byli to bliżsi i dalsi krewni, przyjaciele lub sąsiedzi.

Jakkolwiek dwór był obszerny, jednakowoż nie łatwo było pomieścić na dni kilka, kilkanaście rodzin, złożonych z kilkudziesięciu osób. W lecie nie byłoby z tem trudności, bo w stodołach było dosyć przestrono i nie brakowało w nich woniejącego siana, na którem można było przespać się wybornie. W zimie jednak mróz na nocleg w stodole nie pozwalał, musiano zatem nocować we dworze. Jakim sposobem w naszych dworach i dworkach przy tak częstych, w dawnych czasach zjazdach, pomieścić się mogli tak liczni goście, wyjaśnia nam Wincenty Pol słowami:

„Zda się, że pan domu sobie ścian i miejsca przysporzył — a on tylko w domu tobie, drzwi i serce swe otworzył!“

(C. d. n.)

Sprawozdanie z konkursu kaligrafii

ogłoszonego dla najmłodszych w numerze 1-ym b. r.

Skrzydlaty nasz Listonosz, który lata po szerokim świecie, zagląda do wszystkich okienek i wie co porabiają wszyscy Czytelnicy „Wieku Młodego“, od chwili ogłoszenia powyższego konkursu donosił nam ciągle o różnych naszych małych przyjaciołach i przyjaciółkach. „Piszą! piszą! bardzo pilnie i cierpliwie piszą!“ — a Redakcya cieszyła się tymi wiadomościami, bo właśnie w tym celu ogłosiła ów konkurs, aby dzieci czytujące „Wiek młody“ zachęcić do mozolnej nauki pisania. Miała też w końcu, wielką przyjemność Redakcya, widząc już nieraz z samych listów znaczne postępy, świadczące o wytrwałej pilności jej Czytelników. — Ostateczne zamknięcie konkursu przyniosło 72 potwierdzonych przez Wychowawców, prób pisma, w których staranność i uwaga są wszędzie pochwały godne, bo nie zdarzyło nam się znaleść w tych 72 próbach ani jednej plamy ani omyłki. Rozdzieliliśmy wszystkie te próby stosownie do wieku piszących i wynik porównania ich jest następujący: nagrodę przyznaliśmy: Olesiowi Ślączce (lat 6, parę miesięcy nauki), Tosiowi Komorowskiemu (lat 7, półtora roku nauki) Andzi Komorowskiej (lat 9), Mani Tuchowskiej (lat 10), Jadzi Horodyńskiej (lat 10), Marynusi Tyszkiewiczównie (lat 11) i Wandzi Strawińskiej (lat 11). — Na odznaczenie w pierwszym rzędzie zasłużyli: Jerzy Tyszkiewicz, Kazia Maliszówna, Anielcia Strawińska, Zosia Szczepańska, Miś i Wiś ze Stanisławowa, Marcia Durska, Anna Zawiejska, Tadziuś Gulajewicz, Lila Turska, Emmi Fallbemerówna, Staś Zerewicz, Franio Silesinski i Jania Głuska. — Wszystkie pozostałe próby pisma, (z tych trzy, ołówkiem), choć jeszcze nie wzorowe, są przecież dowodem wytrwałej pilności małych Czytelników i szczerze zasługują na pochwałę.

Dla braku miejsca z powodu zbytniego nagromadzenia materyału, Skrzydlaty Listonosz zmuszony jest dziś zrobić prima-aprilis swoim kochanym Korespondentom! Ma nadzieję, że mu to będzie przebaczonem, i w przyszłym numerze, na same Święta, rozniesie zarówno odpowiedzi jak i nagrody za oba razem numery!

Łamigłówka zgłoskowa.

Jó — na — so — i — e — nil — lon — buk — gipt — sza — limp — bis — bla — ca — o — i — zef — an — ni — wa — kry.

1. Imię męskie. 2. Imię żeńskie. 3. Rzeka w Afryce. 4. Prawodawca w Atenach przed Chr. 5. Mieszkanie bogów w starożytności. 6. Drzewo. 7. Ptak czczony przez Egipcyan. 8. Kraj w Afryce. 9. Rodzaj broni. 10. Miej scekąpielowe. 11. Gatunek wierzby.

Litery początkowe tych wyrazów czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko króla polskiego.

Ewa Dobek.

Do czytelników.

Przypominamy uregulowanie przedpłaty — numer dzisiejszy rozpoczyna II-gi kwartał!

TREŚĆ: Prima-aprilis (monolog). — W zameczku na kresach (Dokończenie). — Koledzy. (C. d.) — O zmroku, wiersz M. Dunikowskiej. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. (C. d.). — Sprawozdanie z konkursu na kaligrafię. — Łamigłówki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 8. We Lwowie, dnia 15. Kwietnia 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów ul. św. Mikołaja l. 5.



Ktokolwiek łzami witał mrok zimowy —
Komu na serce, jak śmierci zwiastunem
Upadły szronu srebrzyste okowy —
Kto drżał od chłodu pod śniegów całunem —
Komu w czekaniu pierś martwotą skrzepła:
Zbudź się! i odtaj tchem nowego ciepła
Bo oto dzwon już woła: Alleluja!

Z. M.

Dzwon Zygmuntowski.

Mówiło się wczoraj o bliskich Świętach Pańskich, obchodzonych tak uroczyście w Chrześciaństwie, a zwłaszcza w Polsce.

— Przypominają mi one — rzekł mój przyjaciel Bolesław — jedno z dziwnych zaiste, bardzo dziwnych zdarzeń.

A że opowiadać umiał i lubiał Bolesław i rad słuchałem go godzinami, przeto nie wymknął mi się i tym razem.

— Wiesz dobrze — zaczął — iż rodziców miałem względnie zamożnych, matkę-anioła i ojca, człowieka surowego, ale kochającego nas czworo najgoręcej. Skończyłem gimnazyum i potrzeba było postanowić coś o dalszej uniwersyteckiej nauce, gdy nagle opanowała mnie niepowstrzymana niczem chęć wyrwania się z rodzicielskiego domu; dręczyła dniami i nocami, o niczem innem myśleć nie pozwalając, tak, iż pewnego, jesiennego wieczoru wymknąłem się nie mówiąc nic nikomu na dworzec kolejowy! Widzieć jak najwięcej świata, przebiedz Polskę z krańca w kraniec, torować sobie drogę wśród tłumów własnemi siłami i sobie samemu tylko zawdzięczać wykształcenie wyższe i los przyszły, — oto, co było mojem marzeniem. Pieściłem je w głębi duszy od lat niemal dziecięcych, teraz stać się ono miało rzeczywistością... Z uzbieranych kilkunastu złotych mniejsza część starczyła na przejazd do Krakowa. A kiedy pociąg dążący do starej stolicy Jagiellonów kołysać się począł, opuszczałem Lwów tak lekkiem sercem, jakbym wybierał się na zwykłą przejażdżkę do Brzuchowic lub Janowa.

Nocą obudziłem się w Rzeszowie. Byłem sam... Przetarłszy oczy począłem zwolna zastanawiać się nad tem, co uczyniłem; uczułem gorzkie wyrzuty sumienia; postacie matki-anioła zapłakanej i kłopocącej się teraz o najstarszego syna, gniewnego ojca i zalęknionego rodzeństwa — wszystko to tak wyraźnie stanęło mi przed oczyma, że zadrżałem. Co robię, co zamyślam, czy mi tak postąpić wolno? czy uczciwą i piękną rzeczą opuszczenie dobrowolne rodzicielskiego gniazda? Toż prosta to awantura i jaki jej koniec? Ale... stało się! Nie cofnę się przecież, o nie, nigdy! ja silny, ja bohater!

Świtało. W mgle rysowały się blado szczyty świątyń krakowskich, szarzał Wawel i mogiła Kościuszki, tak nam wszystkim drogie, a tak dobrze dzieciom nawet z obrazków znane. Byłem cały pod ich wrażeniem a odzywające się wciąż sumienie uspokoiłem rychło: powiem szczerą prawdę — myślałem — dam o sobie do

domu telegraficzną wiadomość, przeproszę, reszta w ręku Boga. Modlitwa też gorąca w kościele Maryackim, którą w godzinę później przed ołtarzem Wita Stwosza odmówiłem, uspokoiła mnie nareszcie.

Nie będę cię chyba nudził, mój kochany, szczegółami z moich pierwszych dni pobytu w Krakowie. Wszakżeż to ty, Maryan i Tytus, spotkani trafem na plantach, starzy koledzy gimnazyalni, podaliście mi przyjacielską rękę, podzieliliście ze mną swoje mieszkanko, wprowadziliście mnie w pełne powabu studenckie życie. Pamiętasz pewno, iż zapisałem się na uniwersytet, iż znalazłem lekcyę korzystną jedną, drugą i tak, spychając dzień za dniem, ucząc się przytem gorliwie, wśród śpiewu i śmiechu w waszem gronie, dalsze układałem plany nowych podróży, a przedewszystkiem dobicia się do stolicy naszej, do Warszawy!

— Mój Bolku — powtarzał mi nieraz Maryan — tobie chyba maszynistą kolejowym być, wciąż w drodze i ruchu, a nie spokojnym człowiekiem. Toż przecie i ja kocham Polskę, lecz oszalałbym chyba, gdyby mi się po nocach jak tobie śniły wciąż Warszawy, Poznanie, Kijowy, Wilna, Tatry i Bałtyki! Ot, siedziałbyś na miejscu; jeszcze nie wiesz jak się skończy ta twoja pierwsza wycieczka!

W grudniu, — i to pomnisz zapewne — już was wszystkich w Krakowie nie było. Tyś podążyć musiał na Litwę, Maryana wezwano do Lwowa, do chorującego ciężko ojca, Tytus, biedny Tytus uległ zapaleniu płuc i jeszcze dziś słyszę go szepcącego na dzień przed zgonem.

— Malec — tak mnie zwykle nazywał — mój Malec, nie tęgo ze mną, oj, nie tęgo! Poczciwyś bardzo, że mnie nie opuszczasz. To tak źle umierać zdala od swoich, samemu. Wróć lepiej do domu, Malec, wróć do matki!

Kiedy w kilkanaście dni później zaszumiał karnawał i moi koleżkowie w pierwszych fraczkach posunęli na pierwsze bale, moje położenie stało się bardzo przykrem. Straciłem lekcyę, w dwa tygodnie drugą, nowych zaś, pomimo wszelkich starań, znaleść było niepodobieństwem. Przepadły obiady u Florczyka, kawy u Zaremby, żyłem tylko filiżanką mleka i bułką, dzięki kredytowi u poczciwej Marcinowej. Mieszkało się na Grodzkiej, pod niebem, na poddaszu: łóżko, stolik, krzesło, na ścianach Matka Boska Częstochowska, fotografia Matki, Kościuszko i Mickiewicz w starych drzeworytach — oto wszystkie bogactwa moje. Na opał nie starczyło, mróz wypijał wodę z dzbana.

Kuso już było koło mnie; wtem, w lutym dostałem przypadkiem przepisywanie. Dniem pisałem w kancelaryi, nocami u siebie przy skąpej w światło świeczce, w izdebce zimnej, ponurej, po której wiatr hulał jak po ukraińskim stepie. Wówczas to zatęskniona, udręczona zgryzotą z mojego powodu Matuś święta, szturmowała do mnie coraz częstszemi listami, wzywając do powrotu, ale ja donosiłem jej wciąż — Boże przebacz mi to kłamstwo! — żem zdrów jak ryba, wesół jak student po maturze, że mi się świetnie powodzi, że z jej syna będzie jeszcze kiedyś wielki człowiek!

Ku końcowi marca zauważyłem, iż oczy łzawić mi się poczynają i że mi robota staje się coraz trudniejszą. Znajomy słuchacz medycyny oglądnąwszy mnie zawyrokował krótko: ani pisać, ani czytać, najmniej przez miesiąc, leczyć się, inaczej ślepota!

I choćbym chciał nawet pracować, nie mogłem; łzy mi wszystko przesłaniały, a ból doskwierał bez przerwy. Rzuciłem tedy przepisywanie. Parę złotych, zebranych z trudem topniały jednak przerażająco szybko; już tylko pozostały mi szóstaki, krajcary; wreszcie Marcinowa, choć z żalem, wypowiedziała dalszy kredyt, przyszedł głód!

Tyś nie był nigdy głodny i nie wiesz co to znaczy... Posłuchaj... (D. n.).

Tadeusz Czapelski.

Koledzy.

Przez

Irenę Mrozowicką.

(Ciąg dalszy).

Wydera słuchał tych słów, blady już teraz, z zaciśniętemi ustami i oczyma wbitemi w ziemię. W pierwszym wybuchu wypalił się snać cały poryw jego odwagi i teraz każdy z kolegów mógł go zaczepiać bezkarnie — on nie potrafiłby się już zdobyć na jedno słowo obrony. Ale od czegoż Korewicz był jego przyjacielem!

— Wstydźcie się — rzekł, bez uniesienia ale z dziwną powagą — dokuczać komuś w ten sposób, aby podnosić głos przeciw jego ojcu lub opiekunowi, to już jest zupełnie nieszlachetnie. — Prześladujecie jego samego — mniejsza o to — gdy mu już tego będzie za wiele, wolno mu ująć się za sobą — ale wam nie wolno, bez najmniejszej ku temu racyi, obrzucać drwinami kogoś, kogo on kocha i czci. Tak nie postępują szlachetni chłopcy.

W klasie ucichło — spokojne słowa Korewicza opamiętały kolegów, którzy poczuli sami, że tym razem niechęć przeciw „temu nieznośnemu Wydrze“ za daleko ich uniosła. Waniewski bąknął coś wprawdzie o tem, że „z ludźmi nieszlachetnymi nie ma obowiązku postępować szlachetnie“, ale zaledwie najbliżsi jego sąsiedzi dosłyszeli te słowa, bo na szczęście nie zdobył się na wypowiedzenie ich głośno.

Bądź, co bądź zajście to uspokoiło nieco wzburzone przeciw Wydrze umysły — wprawdzie w mniemaniu kolegów pozostał on zawsze „wyrzutkiem klasy“

ale na razie pozostawiono go trochę w spokoju. Niemniej jego podanie się o stypendyum bardziej jeszcze teraz zaciekawiało i irytowało wszystkich; gwałtowny a tak rzadki u Wydry wybuch oburzenia, gdy ostrą przymówką zaczepiono osobę jego wuja, był aż nadto jawnym dowodem, że z wujem tym łączyły go najlepsze, a może nawet najtkliwsze stosunki — wnj był zamożny, hojny, czemuż pozwalał swemu wychowankowi zabijać się pracą i narażać w opinii wszystkich kolegów, dla otrzymania tego stypendyum, które jemu miało się stać zbytkownym dodatkiem, gdy dla innego mogło być kwestyą bytu i jedyną może szansą ukończenia szkół.

Dnie za dniami mijały — oto pojutrze już klasyfikacya — jutro Wydera ma zdawać z matematyki — wraz z nim i kilku innych chłopców, którzy uprosili sobie u profesorów pozwolenie zdawania z przedmiotów w których czują się słabszymi, z upragnieniem i niepokojem oczekują tego dnia; po południu już klasyfikacyjna konferencya i — klamka zapadła.

Wydera trzyma się dobrze; pomizerniał wprawdzie bardzo i pod żółtością piegów, skronie jego i policzki zdają się przybierać jakiś prawie zielonawy odcień, ale przez ostatni tydzień ani razu nie miał swojej migreny i dziś rano przyszedł do szkoły z dziwnie spokojną, prawie rozjaśnioną twarzą.

— Musiał się już uporać z zadaniami — mruknął Waniewskiemu któryś z kolegów, a twarz Janka na te słowa spłonęła rumieńcem. — Tak, niezawodnie, uporał się już, gotów zdać celująco, i będzie teraz nawspół z Korewiczem przodował całej klasie. To ich zjednoczy jeszcze silniej, a Janek pozostanie usunięty od nich, wmięszany w szary tłum przeciętnie uczących się studentów: jego świadectwo będzie gorszem od świadectwa takiego marnego Wydry! I to nic innego tylko wstrętna chciwość popchnęła Wydrę na tę drogę powodzeń i zaszczytów — chęć karygodna spotykała się z taką nagrodą! — i jestże na tym świecie jaka sprawiedliwość?!

Jak studenci studentami nie pamiętano aby czyjaś „poprawka z jednego przedmiotu“ obudzała wśród całej klasy takie zainteresowanie: zda! nie zda! zakładali się chłopcy między sobą i choć wielu twierdziło, że Wydra zda, każdy w głębi duszy pragnął serdecznie się omylić.

Stach był w tym dniu ostatnim, poprzedzającym jego klęskę lub tryumf, tak widocznie już poruszony, że kilka razy prawie łzy skręciły mu się w oczach. Dotąd jako tako panował nad sobą, ale teraz w serdeczności z jaką koledzy zwracali się ku niemu odgadywał współczucie, będące potwierdzeniem wszystkich jego obaw. On przed kilku tygodniami, dopóki nie wiedział jeszcze o zamiarach Wydery liczył tak na pewno, że to stypendyum otrzyma — że będzie odtąd podporą swojej mateczki i niejeden brak ciężki, niejedną troskę pod której brzemieniem jej wiotka postać pochylała się ku ziemi, usunie z jej drogi już na zawsze — a teraz wszystko przepadło! O tak, z pewnością wszystko! Koledzy mają takie serdeczne, współubolewające miny — Janek Waniewski chmurny jak noc — Wydera sam dziwnie rozpromieniony, chociaż w stronę Stacha nie patrzy wcale, a gdy przypadkiem spotka się z jego oczyma, czerwieni się jak winowajca. To są wszystko dla biednego Stacha nieomylne znaki przegranej. Z twarzy jednego Korewicza tylko nie można właściwie nic wyczytać; on zawsze jednako życzliwy dla wszystkich kolegów — jednako spokojny i w klasie zajęty głównie książką i wykładem profesora — niby to i on Stachowi okazywał kiedyś, a może okazuje i dziś jeszcze, dużo przychylności — ale co to warte, kiedy jest przyjacielem jego współzawodnika. Taka malowana przychylność to... Naprawdę, Janek i Stach osądzili razem, że już woleliby otwartą wojnę — przynajmniej byłaby jakaś satysfakcya, jakieś ujście dla tych wszystkich uczuć, które rozpierają im piersi.

Zresztą Janek i tak postanowił sobie, że raz już przecie wypowie Korewiczowi jasno i otwarcie wszystko co myśli o jego przyjaźni z Wydrą i o protegowaniu tegoż do stypendyum, które przecież najsłuszniej należy się innemu. Wprawdzie to „protegowanie Wydry“ przez Korewicza jest dla Stacha dosyć nieszkodliwe — bo nie może ono wpłynąć ani na stopień jaki Wydra otrzyma od profesora matematyki, ani na wniosek Rady Szkolnej, ani też na zdanie Wydziału Krajowego, który ostatecznie rozstrzygnie całą sprawę, przysądzając upragnione stypendyum jednemu z poleconych przez Radę szkolną kandydatów — no, ale zawsze Korewicz bardzo źle robi, że w takiej sprawie, rozgorączkowującej wszystkich kolegów, on, premiant i chluba klasy, nie staje pod sztandarem sprawiedliwości.

Chcąc wypowiedzieć takie *verba veritatis* przyjacielowi (bo mimo wszystkiego, w głębi duszy czuł się przyjacielem Korewicza) Janek wybrał się do niego zaraz po obiedzie; była to równocześnie wizyta pożegnalna, gdyż Korewicz tegoż dnia wieczorem wyjeżdżał na wieś do dziadka swego, którego imieniny wypadały właśnie nazajutrz. Otrzymał uwolnienie od ostatniego dnia nauki i nie czekał nawet na rozdanie świadectw — ale bo też jemu świadectwo nie mogło przecież przynieść ani miłej ani przykrej niespodzianki, wszyscy byli pewni, że będzie jak zwykle celujące od góry do dołu — nie potrzebował czekać na nie, aby się o tem przekonać. Korewicz zwykle z ogromną radością wybierał się do swego dziadka — nic dziwnego, Janek który raz jeden w życiu zobaczył na krótką chwilę wyniosłą postać starego pana Korewicza, z tą głęboką, surową bruzdą na rozumnem czole, a oczyma błękitnemi jak niebo w najpogodniejszy letni poranek — postać starego żołnierza uosabiającą niejako wszystkie wspomnienia nasze o przeszłości i najbujniejsze wzloty marzeń w przyszłość — zachował go już na wieki w pamięci, i pojmował doskonale jak twarz taka musiała być głęboko wrytą w sercu

wnuka. — Chciałbym być podobnym do dziadka! powtarzał zawsze Korewicz z błyskiem rozmarzenia w oczach — a Janek patrząc w chwilach takich na niego i przywodząc sobie wspomnienie marsowej postaci starego żołnierza, spieszył z upewnieniem: — Będziesz podobny, chociaż... będziesz inny.

I dziwnie trafnym był rzeczywiście ten sąd młodego, niedoświadczonego chłopca; Zygmunt Korewicz wyrastał na innego człowieka niż był niegdyś jego dziadek, bo inne otaczały go warunki życia — ale oczy jego zawieszone były u promieni tej samej gwiazdy, która świeciła krokom dziadka, i blaski jej prowadziły go odmienną drogą do tego samego jasnego i wysokiego celu.

Kiedy Waniewski wchodził do mieszkania swego przyjaciela, posłyszał w sąsiednim pokoju głosy, z których poznał z niechęcią, że Wydera już go tu uprzedził. Widocznie dźwięk dzwonka nie doszedł do uszu obu chłopców, bo prowadzili dalej rozpoczętą, ożywioną rozmowę, w czasie gdy Janek rozbierał się w przedpokoju.

— . . . Nieuchronne — mówił głos Wydery — i nic, nic nie może wpłynąć na opóźnienie katastrofy! przyspieszyć zaś ją może każda, najlżejsza nawet alteracya.

— Skąd się to wzięło, z pracy?

— Nie — także z trosk.

Janek stanął w progu pokoju — rozmowa urwała się.

— Może przeszkadzam? — zapytał, mimowoli dotknięty tem milczeniem, które wywołało jego zjawienie się.

— Nie, nie przeszkadzasz wcale — odrzucił Korewicz serdecznie, ściskając go za rękę — poczciwie zrobiłeś że zaszedłeś do mnie. Ja się już po trochu pakuję, bo o godzinie siódmej wieczorem jadę na kolej.

— Szczęśliwy!

— O tak, bardzo szczęśliwy! najmilsze chwile mego życia są te, które spędzam w domu dziadka.

— Bo też pod tym względem należysz do wybrańców losu. To musi być szczęście prawdziwe znać tak blisko, kochać człowieka, który krew przelewał za ojczyznę — jak ja ci tego zazdroszczę! Zdaje mi się, że gdybym miał dziadka żołnierza, ubóstwiałbym go — ale ja swoich dziadostwa wcale nie znałem.

— A ja pamiętam jeszcze mojego dziadka — wtrącił Wydera — kochałem go nad życie! nie był wprawdzie żołnierzem, tylko nauczycielem wiejskim, ale gdy mi opowiadał historyę polską i uczył o obowiązkach jakie się ma względem rodzinnego kraju, to mi się zdawało, że nikt tych obowiązków szczytniej od niego nie pojmuje — nikt nie może być większym od niego patryotą.

— Oh, to już zupełnie co innego — odrzucił Janek z pogardliwą miną — nawet nie wiem jak to można ze sobą zestawiać! Mówić pięknie o miłości ojczyzny, to nie jest taka wielka sztuka.

— Mój dziadek słowa swoje stwierdzał czynem, bo pracował uczciwie dla ojczyzny do ostatniej godziny życia — odrzucił Wydera, a blade oczka jego zamigotały.

Janka, rozmowa ta coraz bardziej drażniła — zdawało mu się, że Wydra przybiera wobec niego jakiś ton kaznodziejski wcale nieodpowiedni. Jeszcze klasyfikacyi nie było, a jemu już rogi zaczynały wyrastać!

— Dajmy już spokój tej dyskusyi — przerwał niechętnie — przyszedłem tu dla pożegnania się z Zygmuntem a nie dla przetrząsania zasług ludzi, których nigdy nie znałem i znać nie będę. — Nie cierpię dysput na wiatr!

Mówiąc to rzucił swoją czapeczkę na biórko Korewicza a rzucił ją ruchem tak gwałtownym, że stojący na pułeczce biórka kałamarz przewrócił się i wylał strugę atramentu na zielone sukno i rozłożone na niem papiery.

— Zeszyt! — zawołał w tejże chwili z przerażeniem Wyra, a twarz jego pobladła nagle jak ściana.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zabawne doświadczenie.

Słyszeliście może o takich dzieciach, co to boją się mydła i uciekają, gdy Mama woła do miednicy — osobiście, czytelnicy „Wieku Młodego“ nie mają oczywiście nic wspólnego z takiemi dziećmi — ale czy uwierzylibyście, że i małe drewienka, które wcale na kapryśne nie wyglądają, potrafią tak samo uciekać przed mydłem a zbiegać się do cukru? Możecie się o tem z łatwością przekonać; macie w święta dość czasu wolnego na figle, zróbcie sobie następujące zabawne doświadczenie: Weźcie kilkanaście lub kilka zapałek z upalonemi główkami i salaterkę lub miednicę wody — zapałki, ułóżcie na powierzchni wody jakby w gwiazdę, wszystkie jednym końcem zwrócone do środka, a potem wetknijcie w ten środek kawałeczek ostro zastruganego mydła a wnet ujrzycie, że się zapałki rozbiegną, uciekając przed mydłem jakby niegrzeczne dzieci. Chcecie je znowu przywabić w gromadkę? weźcie to, do czego lgną i dzieci t. j. kawałek cukru i przytknijcie z lekka do powierzchni wody — ujrzycie, że po chwili zbiegną się do niego i drewienka!

— Niech nasi Czytelnicy zastanowią się, jakby to zjawisko dało się fizycznie wytłumaczyć i niech nam doniosą co im się zda.



Zmartwychwstał Pan.

A odpowiadając Anioł rzekł niewiastom: Nie masz Go tu, zmartwychwstał jako był powiedział.

Noc! noc zapadła — głucha noc martwoty —
Walki wstrząśnieniem ogłuszoną ziemię,
Cieniami śmierci pokrył Krzyż Golgoty —
I u stóp Jego wyczerpana drzemie . . . . . .

A Krzyż samotny, sterczy po nad światem
I w głąb wyciąga skrwawione ramiona
Do tego ludu, który dziś był katem!
Gęsta, wilgotnych obłoków zasłona,
Kiru ciężarem ku ziemi opada,
Mgłami, niebiosa nad tym Krzyżem płaczą!
A z poza mgieł tych smutna zalzawiona
Pruchnem przyświeca księżyca twarz blada
I gwiazdy martwym odblyskiem majaczą...

A tam na dole jak hufiec szatański
Straż rzymska stoi. Najemni żołnierze
Szańcem przemocy oblegli grób Pański
Broń mają w dłoniach, na piersiach puklerze;
Ufni w żelaza moc i w śmierci siły,
Bronią przystępu życia, do mogiły!
„Wszak mówił uczniom, że i śmierć zwycięży". —
Gdy więc złożono w grób skrwawione zwłoki
Głaz wielki, straszny, stoczyli ze skały:
I pod ciężarem jego, drgnął świat cały
Śmiertelnym dreszczem zbrodni! która cięży
Gorzej sumieniu, niż grobom opoki.

. . . . . .

Biją godziny — płynie noc złowroga
A ludzkość trzyma straż, nad grobem Boga!

. . . . . .

Nagle, o świcie, jako błyskawica
Co niebo pruje od końca do końca
Nadleciał Anioł! a cudne miał lica
I szatę tkaną z złotej przędzy słońca,
I moc miał taką we wzroku bez skazy
Że straże martwe padły, jako głazy!
A po nad grobem, w pełni Bożej chwały
Pan stanął! Chrystus! Baranek bez Zmazy!
Jaśniał jak słońce! szaty miał godowe
Śnieżnej białości! Ducha żywot nowy
W piersi człowieczej — żywot, który siły
W wieczności źródle czerpie — Jaśniał cały!

* * *

I tchnął w ludzkość tem życiem, które śmierć zwycięża:
Które rozkwita w cnwili, gdy wolne już duchy
Siłą Pańskich obietnic i wiary oręża
Zerwą grzechów i ciała wiążące łańcuchy!

Podobnie pęka plewa, która ziarno kryje
W chwili, gdy wolne wreszcie z zgniłego spowicia,
W pełni szczęścia, że chwila narodzin już bije,
Pędzi kwiatem ku słońcu całą krasą życia.
Duch, to olbrzym, co światła pożąda bez skazy
A spętany na ziemi w ciała żywot karli
Radby zbyć go czemprędzej, bo cięższy niż głazy
Bielejące na grobach, kędy śpią umarli!

Ach śpią tylko! i kiedyś trąba Archanioła
Wzbudzi prochy cmentarne! nastanie dzień chwały
A tych co szli za głosem, który z Krzyża woła
Zawiedzie w Nieśmiertelność Bóg Zmartwychpowstały.

Gabryela Zaleska.

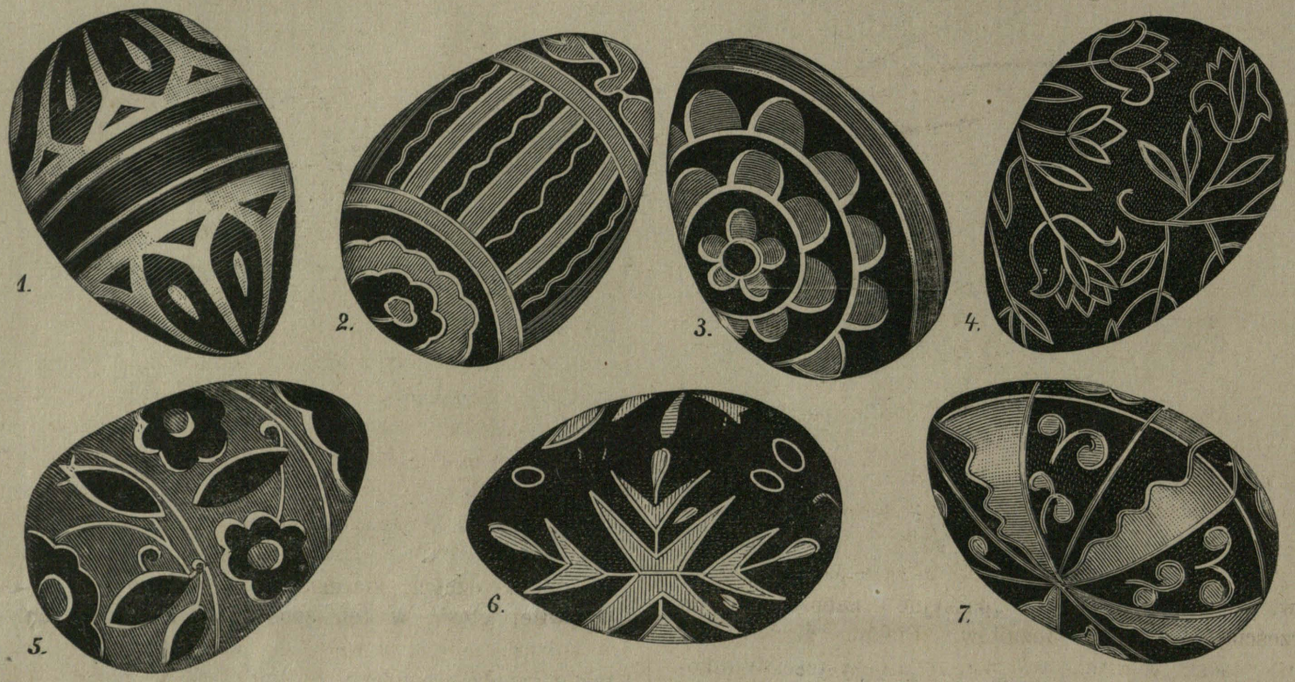

WZORY PISANEK.

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy).

Gościnność naszych ojców na wszystko znajdowała radę; spojrzyjmy oto, jak radzili sobie pp. Niemcewicze: Właśnie zegar kurantowy bije głośno dziewiątą godzinę. O tej porze, mieszkańcy wiejskich dworów udawali się podówczas na spoczynek, to też dla gości starszych wiekiem lub urzędem, przygotowano już przedtem, osobne pokoje — młodsi, pomieszczą się wszyscy w wielkim pokoju stołowym, służba zaczyna więc robić odpowiednie przygotowania. Znoszą grubsze i cieńsze druty żelazne, zakręcają grubsze w podłogę pionowo, i łączą je w górze cieńszemi poziomemi, a na nich rozpinają kitajkową karmazynową zasłonę. W ten sposób tworzą się w sali jadalnej maleńkie, niby cele, pokoiki o kitajkowych ścianach. Goście przyjechali z tłómokami a w nich przywieźli własną pościel, którą teraz zaścielano w owych celkach na ziemi. Malutkie pokoiki o wiotkich ścianach, sprawiały wielką uciechę dzieciom, które też kręciły się nieustannie po sali jadalnej, i przechodziły przez szereg tych celek, ciesząc się tem, że ruchome ściany uchylały się pod ręką i pozwalały przechodzić z pokoiku do pokoiku. Nieraz jednak przy tej wesołej zabawie, figlarze obrywali burę, bo zdarzało się, że nieuważnem potrąceniem wywracali słabo umocowane druty, lub rozrzucili pościel — przez co przyczyniali służbie roboty. Kończyło się na tem, że pani Niemcewiczowa całą rozswywoloną gromadkę, wyprowadzała do dziecinnego pokoju.

Nazajutrz, na śniadanie podawano zazwyczaj paniom kawę, panom zaś najpierw wódkę i na zakąskę pierniki i smażone w cukrze tatarskie ziele, a potem ogromne półmiski, hultajskiego bigosu, którego woń mile rozchodziła się po pokoju. Ojcowie nasi odznaczali się wogóle doskonałym apetytem, to też bigos i wódka, wkrótce znikały ze stołów. Po śniadaniu goście zabawiali się rozmową, a czasem niewinną grą w karty, na czem czas szybko schodził do południa — o której to porze, podawano obiad. Pomimo pożywnego śniadania, goście z apetytem zajadali obiad złożony z kilkunastu potraw. Po obiedzie znowu rozmowa, czy to poważna o sprawach kraju, czy weselsza o łowach

i przygodach myśliwskich; z gier w karty, ulubione były, gra w maryasza, lub w tryszka.

Dzieci w osobnym pokoju, zabawiały się w gąskę lub ciuciubabkę. Wieczorem zapalano woskowe świece i rozpoczynano tańce. Z Brześcia sprowadzano muzykantów żydów. Jeden przygrywał na basach, drugi na skrzypcach, trzeci na cymbałach. Cymbały odzywały się najgłośniej, przygłuszały dudnienie basetli a nawet piskliwe skrzypki. Dzieci podziwiały tańczących lub muzykantów. Najwyższe w nich wzbudzał zajęcie, żyd grający na cymbałach. Wybijał tak silnie pałeczkami, że długie jego pejsy, niby wiatrem wzdęte, unosiły się nad cymbałkami. Popielec kończył zapustne zabawy. Robiło się we dworze ciszej, lecz na Wielkanoc robiło się tu znowu gwarno, wesoło.

A święta Wielkanocne obchodzono w owych czasach z większą niż dziś uroczystością, wiele bowiem dawnych zwyczajów, gdy nie było w nich religijnego obrzędu a tylko przyjęta tradycya, z czasem ustało. Do nich należało n. p. obchodzenie Wielkiego Czwartku, podobnie jak Wigilii, całodziennym postem, zakończonym wieczór, na pamiątkę Wieczerzy Pańskiej, sutą choć postną wieczerzą z ryb. W ogóle posty obchodzono daleko ściślej i surowiej niż dziś — w wielu domach przez cały Wielki Tydzień, a w niektórych i przez wszystkie czwartki, piątki i soboty całego Postu, jadano tylko na oleju.

W Wielki Piątek jeździli zwykle państwo Niemcewiczowie z dziećmi na „passyjne“ nabożeństwo do Brześcia, do Ojców Jezuitów. Pięknie przystrojony Grób Pański wzruszał, ale ponure uroczystości Wielkopiątkowe przerażały Julianka: gdy się rozpoczynało nabożeństwo, wchodzili do kościoła, parami, tak zwani „bracia biczownicy“. Okryci oni byli białemi kapami. Na głowie mieli kaptury, z długiemi pelerynami spadającemi na plecy; kaptury zakrywały im nietylko głowę, ale i całą twarz, oprócz oczu i ust, na które były w nich otwory. Biczownik idący przodem miał na głowie cierniową koronę i dźwigał krzyż drewniany na ramionach — miał on przypominać obecnym Chrystusa. Co kilka kroków przypadał na jedno kolano, a wtedy idący za nim biczownik uderzał go łańcuchem, mówiąc „Postępuj, Jezu!“ — Wszyscy biczownicy spiewali pieśni o Męce Pańskiej (Gorzkie żale) i mieli w ręku dyscypliny: dwaj idący na samym końcu mieli czarne laski niemi dawali znaki towarzyszom, gdy laski stuknęły o kamienną podłogę, wszyscy biczownicy stawali, podnosili peleryny przysłaniające ich nagie plecy i zaczynali się biczować, a biczowali się tak zapamiętale, że krew tryskała.

Na znak dany laskami przerywano biczowanie, jednak tylko na chwilę, poczem rozpoczynało się na nowo. Chłostę z przerwami powtarzano pięć razy, na pamiątkę pięciu ran Chrystusa.

Julianek ze zgrozą spoglądał na biczowników, wymierzających sobie tak okrutną karę za popełnione grzechy — a wrażenie było tem silniejsze, gdy mimo kapturów przysłaniających twarze, rozpoznał w nich, wielu znanych sobie i bywających u jego Rodziców najpierwszych obywateli całego województwa. Z dobrej woli karali się tak dotkliwie za swoje grzechy, bo przecież grzechy ma każdy człowiek, a skoro tak cierpiał niewinny Zbawiciel, mniemali, że tem bardziej oni, grzesznicy, powinni pokutować.

Dziś te zwyczaje pasyjne ustały, a nawet Kościół nie zaleca kar tak surowych; grzesznicy nie karzą się biczowaniem, ale powinni dobrymi uczynkami nagradzać złe zrobione — i szczerze żałując za nie nadal go unikać.

Po nabożeństwie ksiądz prowincyał zapraszał do siebie państwa Niemcewiczów, aby ich ugościć — ale przyjęcie było takie, jakie by dziś także może zadziwiło. Oto podawano jedynie piwo i suche grzanki z chleba, przyprawione solą, kminkiem i oliwą. Nasi bowiem przodkowie byli w postach bardzo skrupulatni a już zwłaszcza w Wielki Piątek nie pozwalali sobie zbytków w jedzeniu i piciu.

Zwykle wesoły Julianek posmutniał, przejęty widokiem biczowników. To też dobry ksiądz prowincyał chcąc swego ulubieńca zabawić, rozpowiadał mu o różnych znów studenckich zwyczajach, związanych z Wielkim Tygodniem; o procesyi żaków z palmami w kwietnią Niedzielę — o ogłuszającym hałasie kołatek z któremi od Wielkiego Czwartku do Soboty przebiegali miasto w różnych kierunkach, uważając to za swój przywilej głosić w ten sposób żałobę dni świętych, w których milkną dzwony po kościołach. Wspomniał także ksiądz prowincyał o „karze na Judasza“ — barbarzyńskim zwyczaju, który polegał na tem, że studenci, biednego kota, mającego niby wyobrażać Judasza, ścigali kijami i jeżeli mu się nie udało uciec, zabijali.

Julianek słuchając opowiadania z wielkiem zajęciem, na ten ostatni szczegół zachmurzył się jeszcze bardziej, co spostrzegłszy ksiądz prowincyał, chcąc poznać charakter dziecka, zapytał: Nie podoba ci się kara wymierzona „Judaszowi?“

— Nie podoba — rzekł chłopiec krótko.

— Dlaczego? zapytał ksiądz.

— Piękna mi sprawiedliwość! — wybuchnął Julianek. Znęcać się nad niewinnym kotem, za winy Judasza!

— Ślicznie chłopcze! zawołał uradowany ksiądz. Jesteś już dziś rozważniejszy i sprawiedliwszy od twoich rówieśników: dajże Bóg, aby te przymioty rosły w tobie, na pożytek ludzi i Ojczyzny!

U państwa Niemcewiczów, przepędzano same święta Wielkanocne podobnie jak my dzisiaj — tylko zjazdy bywały może liczniejsze, „Święcone“ sutsze i po tak ścisłym poście z większą witane uciechą. — Zastawiano obfite stoły nietylko dla siebie i gości ale i dla czeladzi, i znalazło się jeszcze dosyć w zapasie dla ubogich „żaków“ z Brześcia lub dzieci włościań-

skich, które do dworu przychodziły w „oblewany poniedziałek“ po swój śmigus czyli „*dżyngus*“. Śpiewali przytem pieśni obrzędowe, przypominające „jasełka“ i występowali z żartobliwemi oracyami i powinszowaniami. Dla dzieci we dworze „śmigus“ polegał na pełnem psot i uciechy oblewaniu się nawzajem.

Tak obchodzono przed stu laty święta wielkanocne. (C. d. n.).



Trafne rozwiązania zagadnień zawartych w Nrze 6-tym i 7-mym nadesłali: Konwalijka z Gorlic, Leon Płoszewski, Zosia Szczepańska, Adolfina Tillówna, Marylka, Lisia i Milka Winiarzówny, Lilla Turska, Polka ze Lwowa, Herbert Feuerstein, Halka Szulisławska, Wera, Wanda Więckowska, Litwin ze Stanisławowa, Nieznany ze Lwowa, Tadeusz Zaorski, Staś Dobrucki, Zofia Wszelaczyńska, August Machowicz, Hucułka z nad Prutu, Tadeusz Dyboski, Czarna perełka, Stefcio Sochaniewicz, Józef Kwiatkowski, Kazimierz Ślączka, Szarotka ze Lwowa, Stanisław Fedorowicz, Turystka Tatrzańska, Ukrainka z nad Dniepru, Zosia Stachiewiczówna, Szymon Taub, Antonina Smetankówna, Uczenice klasy VI-tej w Gorlicach, Sarenka z Bojanowa, Stella Starklówna, Władysław Starkel, Marynusia z Weryni, Zosia Endersówna, Marya Żywicka, Wincenty Składziej, Polska dzieweczka z nad Wisły, Oleś i Majusia Köller z Wiednia, Delusia Błochówna, Marta Schuberth, Tadeusz Woliński, Józia Dobrowolska, Zofia Wilczek, Lola Tebinkówna, Zosia i Mania Gwoździckie, Adzio Żelewski, Henryk Milenhawer, Kazio Stelicz, Jańcia Promińka, Sroczka z okolic Sanu, Jania Nowakowska, Miś i Wiś ze Stanisławowa, Hela Zalutyńska, Jan Borowski i Julek Beerman.

Do nagrody wylosowani: Lola Tebinkówna, Staś Dobrucki, Zosia Stachiewiczówna, Leon Płoszewski, Zosia Wszelaczyńska, Wincenty Składziej, August Machowicz, Turystka Tatrzańska i Józia Dobrowolska.

Prosimy o uprzejme zwrócenie nam po otrzymaniu nagrody tylu marków, wiele ich będzie nalepionych na opasce.

Od Redakcyi.

Otrzymaliśmy od naszych kochanych Czytelników tyle listów z życzeniami świątecznemi, że niepodobna nam na wszystkie osobno odpowiadać — tembardziej, że nasz Skrzydlaty Listonosz otrzymał urlop na Święta i stawi się dopiero na 1-go maja. Zatem tylko wszystkim razem, młodym Przyjaciołom naszym, zasyłamy najserdeczniejsze życzenia wesołego Alleluja! — a pragnąc Was ucieszyć i wynagrodzić brak korespondencyi w numerze dajemy Wam dziś podwójny dodatek książkowy, abyście mieli więcej do czytania w czasie wakacyj świątecznych.

Szczerze Wam oddana

Redakcya.

Składki:

Aleksandra hr. Dzieduszycka, na obiady dla głodnycg dzieci 5 złr. — Wanda Dolańska, na obiady dla głodnych dzieci 5 złr.

Łamigłówka zgłoskowa.

O — fi — he — ma — — a — naf — o — wy — a — la — ko — ga — czu — dam — ta — sieł — jec — men — na — ga.

1. Imię żeńskie. 2. Część twarzy. 3. Owoc południowy. 4. Przyrząd gimnastyczny. 5. Imię męskie. 6. Płyn służący nam do oświetlania naszych mieszkań. 7. Zwierzę domowe. 8. Gatunek małp. 9. Tem kończymy pacierz.

Początkowe litery tych wyrazów dają nazwisko bardzo zasłużonej autorki polskiej.

Dolusia Tillówna.

Łamigłówka zgłoskowa.

Em — mo — a — ni — tysz — ty — war — ha — tes — ma — li — dry — na — i — gi — ir — mor — fi — ko — da — lon — kra — na — ty — lulf — mo — an — ma — ni.

1. Miejsce pamiętne historyi polskiej. 2. Filozof grecki. 3. Rodzaj knotu służący do podpalania prochu. 4. Cesarz rzymski. 5. Imię żeńskie. 6. Napój. 7. Sekta żydów. 8. Rzeka w Azyi. 9. Środek narkotyczny. 10. Imię króla lombardzkiego.

Pierwsze litery czytane z góry na dół dadzą imię współczesnej królowej. *Julisia Strawińska.*

TREŚĆ: Dzwon Zygmuntowski. — Koledzy. (C. d.) — Zabawne Doświadczenie. — Zmartwychwstał Pan. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. (C. d.). — Łamigłówki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 9. We Lwowie, dnia 1. Maja 1900. Rok VIII.



Kwiatek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Dzwon Zygmuntowski.

(Dokończenie).

Pierwszego dnia czułem szalony apetyt. Myślałem, że przechodząc koło piekarza rzucę się na bułki, że porwę w masarni kawał wędliny. Na widok przysmaków za szybą sklepu korzennego, chciało mi się krzyczeć i rozbić tę szybę i jeść, jeść! Rozdrażnienie nie miało granic. Aby się uchronić od pokus wpadałem do kościołów — było to już w połowie Wielkiego Tygodnia... Nazajutrz, niespodzianie poczułem się lekki, trochę senny, spokojny, cichy, jakby na najgorsze przygotowany. Piłem wodę; tej jednej nie żałował mi nikt! Dnia trzeciego, zdaje mi się, już miałem gorączkę. Teraz pytałem wciąż sam siebie: dla czego tak się dzieje? czy nie ma już dla mnie ratunku? a może wypocząwszy po Świętach, będę znów zdolny do pracy? zresztą koledzy powrócą, ale czy do tej chwili dotrzymam i czy wstydem jest i hańbą zniżyć się i prosić kolegów, a choćby nawet mniej znanych ludzi o pomoc, o chleb? czy byłbym ogromnie podły, gdybym uległ w tej pierwszej zaraz walce z losem i zrezygnowawszy od razu z wszelkich marzeń o samodzielności, dał znać o wszystkiem co się ze mną dzieje do domu, dziś, gdy mnie głód przymusza, skoro nie popchnęło mnie do tego wprzód serce i tęsknota za swoimi?... Czy wreszcie, nie mając ani dwóch centów na korespondentkę w kieszeni, znalazłbym jaki sposób uwiadomienia swoich....

Czwartego dnia — o! nie zapomnę go nigdy! — w Wielką Sobotę, wydobyłem się z mojej izdebki, z poblizkiej studni zaczerpnąłem wody i jak pijany zacząłem sunąć się po ulicach, nieraz o mur się opierając. Nogi, jak to mówią, same niosły mnie ku Zamkowi. Dzień był przyjemnie ciepły, godzina popołudniowa, wkoło ruch przedświąteczny, najbardziej ożywiony. Zdało mi się, że ludzie nie chodzą, ale tańczą z szczęścia i uciechy! I ogarniała mnie jakaś bezwładność. a potem żal, ogromny żal rozpierał mi piersi... Więc wszyscy, wszyscy, najubożsi nawet, nędzarze obchodzić mają za chwilę wielkie Święto, wszyscy syci będą i weseli — tylko ja, ja jeden wykluczony z ogólnej radości, ja tak samotny i łaknący i taki złamany.... taki słaby... I dlaczego? Cożem właściwie zawinił? Czyżem taki występny? Wszak opuszczenie domu rodzicielskiego nie jest jeszcze zbrodnią? Młodzieńczy to wybryk, nic więcej! Przecież pracowałem, w pocie czoła zdobywałem każdy grosz na życie, nie mam sobie nic lichego, nic złego do wyrzucenia, a jednak ginę dziś i to tak mizernie ginę....

Przed oczyma poczęły mi latać jakieś płatki, w ustach czułem nieznośną gorycz, język mi usychał. Wreszcie ulice, domy, ludzie, wszystko mięszało mi się

w jasne lub czarne plamy... I sam niewiem jak stanąłem nad Wisłą... Od fal dochodził chłód i szmer, a toczyły się one szybko, prawie szare. Jąłem się w nie wpatrywać, z początku bezmyślnie i obojętnie, potem pociągany jakąś dziwną, urzekającą siłą, wzroku odwrócić już od nich nie mogłem. Tentniło mi w uszach i skroniach... ćmiło się i błyskało w oczach, a fale zdawały się przyzywać, nęcić szemrząc: „pójdź! popłyniesz z nami, nie będziesz już głodny, zaśniesz, zapomnisz, pójdź biedny chłopcze, pójdź!“....

A gdyby tak rzeczywiście?

Wiesz, stary już jestem, ale mam dotąd wrażenie, iż byłem w tej chwili od szatana kuszony!

W mgnieniu oka znikły wszelkie skrupuły: nie pytałem, czy mam prawo odebrać sobie życie, skoro go sam nie dałem; zapomniałem, żem stworzenie Boże i Bogu posłuszeństwo winne; wspomnienie matki, ojca, rodziny zagłuszyłem jakby przelotne; odpadł mnie lęk, wstyd i srom, a gnało mnie tylko tajemnicze pragnienie ciszy i nieprzerwanego snu... I tak zbliżyłem się, zataczając się prawie do brzegu... Sam nie wiem jak postąpiłem parę kroków, jeszcze krok jeden, w tem.....

W tem rozległ się huk i tuż, tuż nademną ozwał się jakby przepotężny głos Boga! Zadrżałem... Co to? co to?

Tak, to Bóg! To Bóg Wielki, Miłościwy przemówił do nędznego grzesznika Zygmuntowskim dzwonem, który w tej chwili Krakowowi, Polsce zwiastował Zmartwychwstanie Chrystusowe!

Rozkołysany Zygmunt bił i bił...

I szedł dźwięk, zrazu głośny, potem słodki, słodszy, krzepiący, jakby moc i balsam do duszy zbłąkanej lał, a wciąż tak poważny, uroczysty, całe powietrze sobą tylko napełniający, przez wszystką Polskę, zda się, słyszany i z czcią a rozrzewnieniem chwytany w ucho i serce...

O! to jego błogosławione brzmienie, które wykołysało tyle pokoleń Polaków, radowało ich po zwycięstwach tylu, przy koronacyach królów wielkich, przy najświetniejszych dobach i wydarzeniach w życiu Narodu!

I ja, ja jeden tylko nie miałżebym w dniu takiego Święta dać mu się pocieszyć, podźwignąć, wzmocnić? Nie! Już teraz nie upaść mi tak nisko, gdym oto poczuł dłoń Bożą na sobie, gdym oto jakby cudem odrodzony, ocalony?...

Tak, byłem ocalony choć podnieść się z kolan nie mogłem jęcząc tylko: — Jezu! Maryo! Matko! pomocy!

Przechodził właśnie w tej chwili z kobiałką na plecach rosły chłop spieszący widno na Czarną Wieś, do swoich. Spostrzegł mnie i zatrzymał się nagle. Posłyszał mój jęk i płacz i zagadnął:

— A co wam to paniczu? Aj, jaka to marna chudzina! Dyć Chrystus Pan wstaje z grobu, a wy tak przy ziemi w błocie leżący. Cie! Wy się na nogach utrzymać nie możecie?... Poczekajta, pomogę.

I ujął mnie silną dłonią a zaczął rozpytywać. Dowiedziawszy się, iż jestem „chory student“, że mieszkam nie daleko, na Grodzkiej, ofiarował się podprowadzić mnie do mojej izdebki. Bo dokądże i po co miałem iść tułacz i rozbitek?

U bramy domu pożegnał mnie serdecznie.

— Chrystus Zmartwychwstał! — zawołał uchylając krakuski. — Alleluja! Obaczycie, iż i Wam nie pożałuje Świąt wesołych.

Świąt wesołych?! Jakżeż to dziwne w mojem położeniu życzenie! Ale bez skargi już, bez szemrania z poddaniem się Bogu i Jego świętej woli, cudem przecież od śmiertelnego grzechu wybawiony wlokłem się po schodach do siebie. Szło mi to zrazu nie sporo, osłabienie i przebyte dopiero co wrażenia podcięły mnie do reszty. Im bardziej jednak piąłem się w górę, tem dziwniejsza wstępowała we mnie otucha: jakieś nad rozum silniejsze zaufanie w miłosierdzie Boże, jakiś słodki spokój z odnalezienia nad sobą Jego opieki, ogarniały mnie całego... Godziło się to zupełnie z mocnem przekonaniem, że ostateczna chwila dla mnie już się zbliża; ale teraz nie buntowałem się w goryczy, nie szarpałem z sobą i zdany na wolę Bożą, w zgodzie z sumieniem przyjmowałem los swój, chociaż żal mi było nadmiernie zmarnowanego życia, matki, rodziny, żal tej Polski, której myślałem, że już nie obaczę! Przecież główną moją myślą w tej chwili było: aby wyżej, aby jeszcze o kilka schodów wyżej... tam, pod niebo,.. do mojej izdebki... tam Bóg dobry da znużonemu sen długi, nieprzespany, sen wieczny, ocalenie od męki głodowej!

Miałem już tylko zaledwie parę schodów do przebycia, gdy w ciemnościach spostrzedz zdołałem, iż izba moja otwarta, że z niej bije światło. Kto ją otworzył? Klucz wprawdzie u stróża, ale tam nikt nigdy nie wchodził. Ciekawość, dziecinna ciekawość, rzecz przecież osobliwa na krótko niemal, przed głodową śmiercią przyspieszyła moje kroki.

Wchodzę, patrzę i z krzykiem: — Matuś moja, Boże! — padam na progu zemdlony...

Kiedym wrócił do przytomności ujrzałem nad sobą matkę spłakaną i obok niej nieznanego mi człowieka. Trzymał rękę na moim pulsie i głowie. Słyszałem wyraźnie jego słowa:

— Bogu dzięki, wszystko jak najlepiej! Za minutę co potrzeba sam przyniosę z apteki. Organizm młody, a choć trochę wycieńczony, minie to jednak jak sen przykry. Może go pani zabrać dziś jeszcze ze sobą.

A potem, jak muzyka nieziemska, rozległ się głos mojej matki:

— Ojciec i rodzeństwo czekają nas jutro z Świeconem, moje ty najdroższe dziecię!.....

Wszak prawda, że osobliwsze to całe zdarzenie? — kończył Bolesław ocierając pot z czoła.

— Nie dodałeś jednak — wtrąciłem gorączkowo, — jakim sposobem znalazła się tam ku wybawieniu twojemu matka?

— Znowu cudowne zrządzenie Boże! Maryan we Lwowie spotkał przypadkiem w Wielki Piątek na Bożych Grobach moją matkę, a zapytany, przez nią czy nie ma odemnie wiadomości zaczął się mięszać i wymijającą dał odpowiedź. Nie mógł postąpić inaczej, dniem poprzód bowiem od wspomnianego słuchacza medycyny otrzymał list z doniesieniem, iż jestem chory na oczy, i że widocznie coś bardzo koło mnie krucho. Zaniepokojona matka, i, jak mnie zapewniała, złem przeczuciem tknięta, porozumiała się z ojcem, wsiadła na najbliższy pociąg i przybyła do Krakowa. Odnalazłszy moje nędzne mieszkanie, a nie zastawszy mnie w domu, postanowiła czekać.....

— Jednakże, gdyby nie dzwon Zygmuntowski! — dodałem z cicha...

— Zatraciłbym duszę — rzekł Bolesław — o! dziwnie pięknie wytłomaczył mi to potem mój spowiednik...

Skończył.

— A ku pokucie — szepnął — i prawdziwemu teraz szczęściu mojemu, każdej Wielkiej Soboty obliczam moje całoroczne oszczędności i rozdaję co mogę biednym i potrzebującym, aby jak najmniej ludzi było w tym dniu głodnych!....

Tadeusz Czapelski.

Pszczółka.

Gdy wśród majowej gajów zieleni,
Barwistem kwieciem jaśnieje błoń,
Pośród porannych słońca promieni,
Miła się w koło rozchodzi woń —
Spiewa ptaszyna, radośnie nuci,
Świegotem swoim uwielbia maj,
I mrówka gniazdo swoje porzuci,
I pszczółka z pracą, pospiesza w gaj.

Przebiega pszczółka lasy i wzgórza,
Ponosi codzień i znój, i trud,
Na szczycie skały, u gór podnóża,
I nad brzegami wstrzyma się wód —
A wszędzie szuka, zbiera, pracuje,
Dla dobra grona siostrzyczek swych,
Pracę i kwiatki swoje miłuje,
I całe życie spędza wśród nich.

O dziatwo! pomnij twe przeznaczenie,
Twe posłannictwo na ziemi tu!
A naśladując drobne stworzenie,
Wśród pracy — niech ci nie braknie tchu.
Dla dobra kraju, dobra Ojczyzny,
Dla społeczeństwa, poświęć twój trud, —
Prawość, twym czynom grunt niech da żyzny,
Miłością swoją otaczaj lud.

Niechaj nauka co nam otwiera,
Drogę do wiedzy, światłości bram,
Prawdą, cne czucia w sercu wam wspiera —
Żądza zasługi przyświeca wam!
A gdy modlitwy świętemi słowy,
Poprzecie życia waszego plan,
Bóg wam oświeci serca i głowy,
I jak zbożowy użyźni łan.

A gdy w późniejsze wstąpiwszy lata,
Na upłyniony spojrzycie czas,
Niech się wam wieniec wspomnień uplata,
Że nie zmarnował nikt życia — z was.
I jako pszczółka, nikłe stworzenie,
W tak dobrym celu ponosi trud,
Oby i młode dziś pokolenie,
Nauki, cnoty, zbierało miód!

Henryka Strawińska.

Królowa Korony Polskiej.

Kto w XVII-tym wieku, we Lwowie o którejkolwiek porze nocy szedł z rynku ku halickiemu przedmieściu, lub w kierunku przeciwnym, tego uderzył mistyczny blask z wiecznie oświetlonej przy Katedrze małej kapliczki, i dochodził odgłos hymnów bo w kaplicy dniem i nocą odbywały się nabożeństwa. Kapliczka była przechodnia i nikt jej nie minął aby się nie zatrzymać choć na chwilę w skupieniu ducha lub modlitwie: Kto wyjeżdżał w daleką podróż, tu spieszył polecić się opiece niebieskiej; Kupiec wyprawiający się zbrojnie z karawaną w niebezpieczną drogę między pogan, oddawał tu siebie i swoją fortunkę protekcyi Bogarodzicy; tu żegnał się z rodzinnem miastem i drogiemi osobami które w domu zostawiał. Kapliczka była jakby skarbniczką, wypełnioną złotem, srebrem i klejnotami, tak ją ozdobiły z biegiem czasu wota proszących i wysłuchanych. Nazywano ją *„klejnotem miasta“* i rzeczywiście, nawet pod względem materyalnym zasługiwała na tę nazwę, bo nagromadzone w niej srebra, hafty i kosztowności miały wartość niemal krociową.

Przedmiotem tej serdecznej adoracyi całego Lwowa, był słynący już wówczas cudami obraz Najświętszej Panny Domagaliczowskiej. Nazwa obrazu pochodzi stąd, że gdy zacną a zamożną rodzinę mieszczan lwowDomagaliczów, Bóg dotknął ciężko, zabierając Wojciechowi Domagaliczowi ukochaną, młodziutką córkę — dziadek zmarłej dzieweczki, w wielkiej za wnuczką

tęsknocie, wymalował (chociaż nię malarz z zawodu) na drewnianej tablicy obraz Matki Boskiej, i umieścił go na zewnętrznej stronie kościoła archikatedralnego, niby jako wskazówkę dla wszystkich strapionych gdzie i do kogo po pociechę w smutkach uciekać się mają.

Wkrótce obraz ten namalowany z taką pobożną intencyą a tak głęboką wiarą zaczął słynąć cudami — w dniach trwogi obnoszono go po ulicach miasta. Niedługo z zewnętrznego muru kościoła przeniesiono go do owej zbudowanej umyślnie przez Domagaliczów malutkiej kapliczki, po jej zburzeniu umieszczono go w samej katedrze, gdzie, do tej chwili znajduje się w wielkim ołtarzu.

Przed tym to właśnie cudownym obrazem Najśw. Panny Domagaliczowskiej król Jan Kazimierz powróciwszy z chwilowego tułactwa po obczyźnie, słał do nieba modły o uwolnienie biednego kraju polskiego od plagi szwedzkiego najazdu. Działo się to dnia 1. kwietnia r. 1656, w obecności całego świeckiego i zakonnego duchowieństwa i przy niezliczonym udziale bractw, cechów i wszelkiego stanu ludzi. Uroczystą wotywę odprawiał ksiądz Piotr Vido, nuncyusz papieski w Polsce. Jan Kazimierz siedział na wspaniałym tronie przed wielkim ołtarzem, modląc się z gorącą pobożnością i skruchą. Po skończonej wotywie powstał król z tronu a upadłszy na kolana na ostatnim schodzie ołtarza, w głos modlić się zaczął:

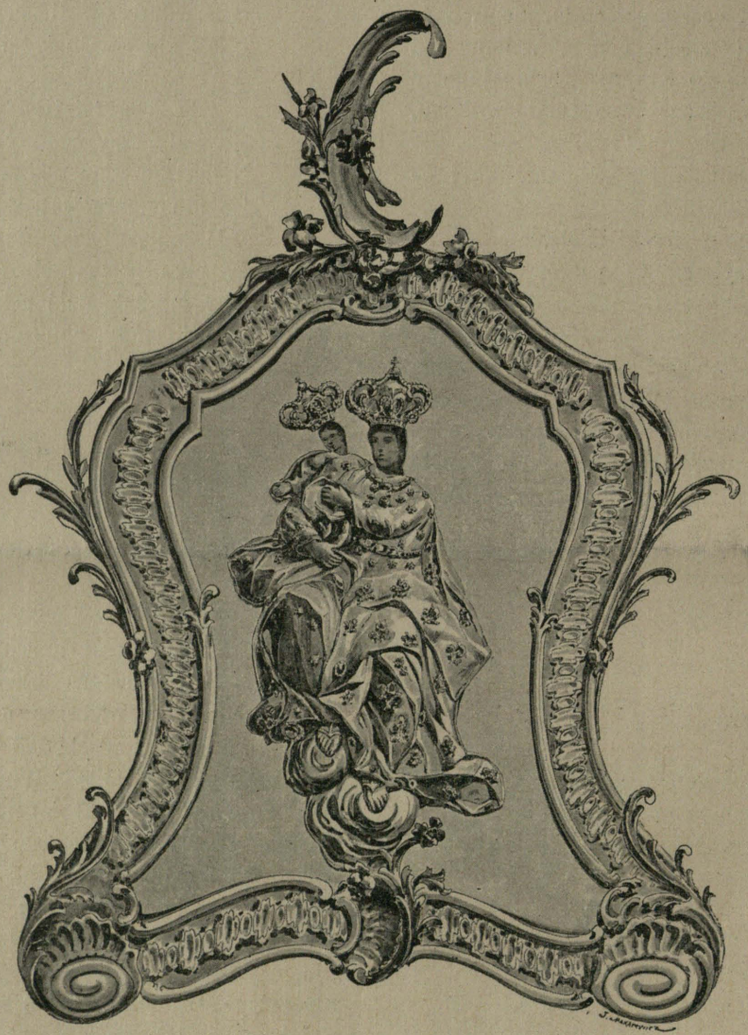

Matka Boska Domagaliczowska w Archikatedrze Lwowskiej.

— Wielka Boga Człowieka Matko, Najświętsza Panno! wołał nabrzmiałym od łez głosem — ja Jan Kazimierz, z Twojego Syna, Króla królów, i Twojej łaski król, do najświętszych nóg Twoich upadłszy, Ciebie dziś na patronkę moją i Królowę królestw moich obieram; tudzież mnie samego i królestwo moje polskie, księstwo litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie, czernichowskie, wojska obojga narodów i lud wszystek, Twojej szczególnej opiece i obronie polecam, Twojej pomocy i litości, w tym nieszczęśliwym i niepewnym królestwa mojego stanie, przeciwko nieprzyjaciołom świętego Kościoła rzymskiego, pokornie wzywam. Że zaś z wielkim serca mojego żalem oczywiście widzę, iż dla płaczu i uciśnienia ludu wiejskiego stanu, Syn Twój, sprawiedliwy sędzia, plagi powietrza, wojen i innych klęsk przez te siedem lat nieszczęśliwości na królestwo moje przypuszcza; obiecuję odtąd i ślubuję, że pilnego ze wszystkimi stanami po ustanowionym pokoju starania przyłożę, abym to złe oddalił i lud królestwa mojego od uciemiężenia i niesłusznych ciężarów oswobodził. Spraw to, o Najświętsza Pani i Królowo! abyś jakoś mnie i stanom moim, tę, do uczynienia takowych ślubów chęć dała, tak też u Syna Twojego łaskę nam do wykonania ich uprosiła. Amen.

Skończył król a łzy jak grad spadały po dostojnem jego obliczu. Płakał lud wszystek, mężowie i niewiasty, starcy i dzieci. A snać miłą była Najświętszej Pannie, z tak wielką skruchą i pobożnością złożona u stóp jej polska korona, bo już siódmego dnia po owem ślubowaniu nadeszła radosna wieść do Lwowa, że wojska szwedzkie pobite zostały na głowę pod Zborowem...

Rycerstwo polskie, które od najdawniejszych wieków szło w bój z pieśnią o Bogarodzicy na ustach, żywiło w sercach najgorętszą cześć i miłość dla Łaskawej Opiekunki i Obrońcielki naszej Ojczyzny. Istniało w Polsce bractwo „Sodalisów“ czyli sług Maryi, które tak się rozwinęło, że nie było rycerza, ziemianina, lub zamożniejszego mieszczanina, któryby do niego nie należał. Zbroje polskie ozdobione bywały wizerunkiem Maryi, kto zaś z rycerzy takiej zbroi nie posiadał, nosił zawieszony na piersiach ryngraf, czyli malowany na blasze obraz Najświętszej Panny. Wieki mijały, ale pobożność i uwielbienie dla Matki Bożej nie wygasało w sercach Jej polskich poddanych. Konfederaci barscy, broniący pod wodzą Kazimierza Pulaskiego wiary i wolności przed najazdem moskiewskim, jako hasło bojowe słali w niebo pieśń:

Nigdy z wrogami nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach:
Słudzy Maryi!

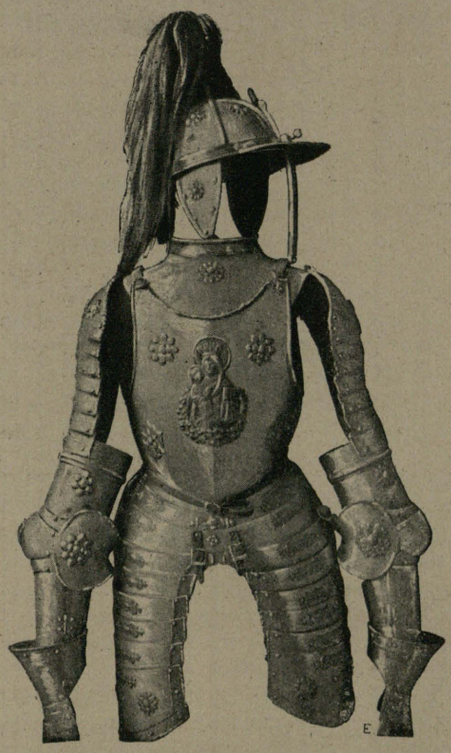

Zbroja dawnego rycerza polskiego
z wizerunkiem Bogarodzicy.

Papież pozwolił w litanii Loretańskiej nazywać Najświętszą Pannę, Królową korony Polskiej. — Ale jednak mimo tak prawdziwej i gorącej pobożności całego narodu, śluby Jana Kazimierza nie zostały w całej swojej rozciągłości i istotnem znaczeniu spełnione a mianowicie, dola ludu pozostała i nadal taką samą i „lud ubogi“ długo jeszcze znosił ciężary najrozmaitszych ucisków, wynikających z „poddaństwa“. Prawda, że było to wynikiem urządzeń panujących wówczas na całym świecie — ale z pewnością „Królowa Korony Polskiej“, tak gorąco u nas czczona, byłaby jako najmilszy wyraz tej czci przyjęła lepsze i wcześniejsze zrozumienie przez cały naród wspaniałej myśli króla, gdy składał swoje śluby.

Pamiętajmyż o tem i my, co jesteśmy dziedzicami wielkiej chwały i wielkich nieszczęść Ojczyzny naszej, że przysięgi złożonej w imieniu całego narodu ani wieki ani zmienione okoliczności zerwać i unicestwić nie są w stanie! Kochać lud ubogi, nieść mu światło nauki, starać się o polepszenie jego bytu, opromienić jego dolę i ciężką pracę serdeczną, braterską miłością, jest i dziś obowiązkiem każdego, kto czuje się Polakiem, kto pragnie być zaliczonym między poddanych Królowej Korony Polskiej, Najświętszej Maryi Panny — którą czcimy nabożeństwem majowem.

Koledzy.

Przez

Irenę Mrozowicką.

(Ciąg dalszy).

Janek instynktownie wyciągnął rękę po świeżo oprawny, dość gruby zeszyt, leżący na biórku — ale ostrzeżenie Wydry przyszło zapóźno — struga atramentu spłynęła właśnie pomiędzy kartki, i gdy Janek uniósł zeszyt w górę, czarne krople poczęły z niego kapać na ziemię.

— Splamiony! zniszczony całkiem! wykrzyknęli równocześnie Korewicz i Wydra załamując ręce.

— A cóż to za zeszyt taki ważny, że nad nim tak rozpaczacie? zapytał Janek — i nagle, spojrzawszy na okładkę z podpisem, zaczerwienił się, jakby mu ogień uderzył na policzki.

Zeszyt podpisany był nazwiskiem Kazimierza Wydery.

— To jego wypracowania matematyczne, przygotowane do jutrzejszego egzaminu — odezwał się Korewicz, w którego głosie znać było wielkie podrażnienie. Napracował się nad niemi niemało, ale wszystkie wyrobił doskonale, choć wiesz jak były trudne. — Cóż za nieszczęsny przypadek z tym atramentem!

Nieszczęsny — to prawda. Janek czuł w tej chwili, że byłby wolał odrazu za jednym zamachem zniszczyć wszystkie swoje zeszyty i książki, aniżeli poplamić Wyderze ten jeden zeszyt. Wprawdzie na rezultat egzaminu wpłynąć to nie mogło, bo zeszyt, choć splamiony, mógł być ostatecznie przedstawionym profesorowi, a Wydera rozwiązawszy raz zadania powinien był już równie dobrze módz je przeprowadzić na tablicy, w obec profesora — ale w każdym razie była to dla niego ogromna nieprzyjemość, która w równej a może jeszcze większej mierze spadała na Janka.

I żeby to jeszcze zaszło z którymkolwiek innym kolegą, a nie właśnie z tym Wydrą, z którym się tak nie lubili i rywalizowali ze sobą o stopnie!.. Wprawdzie nikt chyba nie może przypuścić, żeby Janek coś podobnego zrobił umyślnie — nie, takie podłe oskarżenie stanowczo nikomu nie przyjdzie do głowy — ale zawsze... Stokroć to przykrzej wyrządzić mimowolną krzywdę komuś kogo się nie lubi, aniżeli najlepszemu nawet przyjacielowi. — Janek nie wierzył nigdy aby tak być mogło, ale teraz przekonał się o tem, bo chociaż w sprawie wylania kałamarza, czuje się istotnie zupełnie niewinnym i wie, że za nic w świecie nie zrobiłby nic podobnego umyślnie — jednak wie równie dobrze, że w głębi serca nie życzył nigdy Wydrze wielkich powodzeń — a to przeświadczenie kłuje go teraz jak ostry cierń.

Przytem, jak tu zakończyć tę głupią historyę? innemu koledze byłby się już dawno rzucił na szyję, ale Wydrze ani śmie, aniby chciał. A nuż odsunie się

od niego i odpowie szorstkiem słowem na jego krok pojednawczy? Kłócić się z człowiekiem któremu się już i tak wyrządziło taką przykrość, trudno — a znosić od niego jakieś upokarzające wymówki? na to Janek nie ma najmniejszej ochoty.

Z twarzy Wydry trudno wyczytać co myśli — jest tylko najwidoczniej ogromnie zmięszany i przerażony — ale co po za tem?

— Sądzę, że najlepiej opowiedzieć profesorowi szczerze cały wypadek — odezwał się nareszcie Korewicz, przerywając niesłychanie przykre dla wszystkich milczenie. Niektóre kartki są wprawdzie bardzo poplamione, ale na innych można mimo drobniejszych plamek przejrzeć dokładnie ćwiczenie i widzieć jak zostało wyrobionem. Zresztą niezawodnie, przynajmniej niektóre z nich, profesor każe ci przerobić na tablicy, to się przekona, że wiesz o co chodzi.

— Naturalnie, że w wypracowaniach matematycznych nie chodzi o elegancyę ani nawet o czystość zeszytu, tylko o zrozumienie rzeczy — potwierdził skwapliwie Janek, który byłby rad wmówić nie tylko w drugich ale i w siebie, że cały wypadek z kałamarzem był ostatecznie drobnostką bez znaczenia.

Wydera milczał chwilę.

— Takiego zeszytu nie pokażę profesorowi — przemówił wreszcie głosem trochę zmienionym ale bardzo stanowczym. — Wyglądałoby to na lekceważenie i niezawodnie popsułoby mi, jeżeli nie stopień z matematyki to przynajmniej dobrą opinię u profesora, Idę do domu i będę usiłował przepisać lub przerobić powtórnie te ćwiczenia — za drugim razem nie powinno mi to już iść tak ciężko i powoli jak za pierwszym.

— I tak do jutra nie zdążysz.

— Kto to wie? noc długa.

— Ej Kazik, szkoda oczów i zdrowia.

Wydera machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: — O to mi nie idzie.

— Jakże mi przykro, że ci nawet w niczem nie mogę być pomocnym — zakończył Korewicz. — Ale cóż, muszę już jechać. Konie wyjdą po mnie o trzy mile do stacyi — a przytem Dziadzio zmartwiłby się i zaniepokoił bardzo, gdybym nie przyjechał.

— Ależ ma się rozumieć — jedź — a zresztą w tem mi nikt pomódz nie może. — Stało się i już się nie odstanie. Idę już, bo robota czeka — bądź zdrów.

Wyciągnął do Korewicza rękę i uścisnął ją silnie na pożegnanie. Potem jakimś raptownym, niezręcznym ruchem zwrócił się do Janka.

— Servus! — rzekł czerwieniąc się, jakby to on sam czuł się winowajcą i nie wiedział jak pożegnanie jego przyjętem będzie.

— Servus! — odpowiedział niemniej zaczerwieniony Waniewski, dotykając lekko jego dłoni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

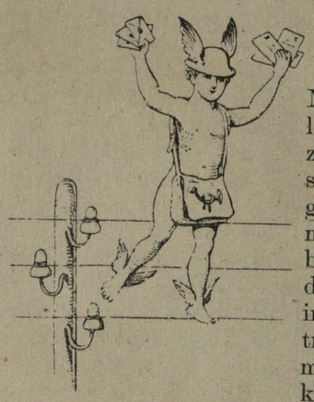

Skrzydlaty listonosz.

Polka we Lwowie. Na trzy długie, serdeczne listy odpowiadamy Ci odrazu! Wierzaj nam, że takie słowa jak Twoje, są nam nagrodą za pracę, niczego też nie pragniemy więcej, jak żeby wszyscy nasi Czytelnicy dotrzymali tego, co Ty w ich imieniu przyrzekasz. Nie potrzebujesz żałować, że nie masz młodszego rodzeństwa, którebyś mogła uczyć miłości Ojczyzny, bo kto tak jak Ty sam kocha Ją „nie połową ale całą duszą“, ten zawsze znajdzie sposób i sposobność służenia Jej wedle sił, i zawsze napotka na swej drodze dość takich, których swoim zapałem może ożywić i zaciągnąć w szeregi pracowników z wiarą dla przyszłości! Powieść Wazowa „Pod jarzmem tureckiem“ posiadamy w istocie, nawet z dedykacyą od Tłumacza, i przyznajemy słuszność Twoim o niej uwagom a nawet dodajemy, że ta to właśnie analogia doli narodowej była pobudką do spolszczenia pięknego dzieła. — Feliks Z. w Cieszacinku. Jedno tylko rozwiązanie z Twoim podpisem. ale szczęśliwą dla Ciebie ręką rzucone do urny, bo zaraz wylosowane! Ucieszyliśmy się do listu dawnego przyjaciela — a kiedy z Ciebie już taki skończony fotograf, ucieszylibyśmy się bardzo fotografią siostrzyczek i Twoją, własnej roboty. — Małgosia Polka w Londynie. Jeżeli marzenie Twoje teraz ziścić się nie da, nie jest przecież rzeczą niepodobną abyś kiedyś nie miała zawitać do kraju, i z gromadką ludu uklęknąć pod drzewem, przed obrazem Najświętszej Panny, tak jak na posłanym Ci obrazku! Skoro Cię ta karta doszła i tak bardzo Cię ucieszyła, to Ci jeszcze jaką, równie ładną i swojską wybierzemy. — A może i które z Czytelniczek naszych zechcą, na nasze ręce, pozdrowić w ten sposób daleką siostrzyczkę w Londynie?

Marynia i Staś M. w Krakowie. A kto to malował na Waszem „Wesołego Alleluja“ dla Redakcyi, te, tak ślicznie rozrzucone pierwiosnki? prawdziwie wiosenna karta — to też i wywróżyła już nareszcie wiosnę! Rozwiązanie łamigłówki dobre — przysyłajcie częściej a pewno i nagrodę kiedyś wylosujecie. — Natalcia Dz. w Zaleszczykach. Na imię tego poety już podawaliśmy łamigłówki — zresztą, wolimy układane tak, żeby i pierwsze i ostatnie głoski wyrazów stanowiły wyraz do odczytania. W kwadracie zapomniałaś wypisać nam wyrazy wypełniające wszystkie kratki. — Delusia B. we Lwowie. Twoja łamigłówka zupełnie poprawnie ułożona — zamieścimy ją, ale musi także zaczekać swojej kolei. — Nieznany we Lwowie. Intrygujesz Redakcyą! wszystkie określenia że „byłeś raz u nas przed dwoma laty, widziałeś pannę Irenę, że jesteś w 3-ciej klasie gimnazyalnej i że znamy twoją siostrę“, nie wystarczają, bo dałyby się tak samo zostosować do bardzo wielu naszych Czytelników! Twoja próba pisma, rozminęła się z konkursem, bo napisana na tym samym półarkuszku co i list, więc przez nieporozumienie zaliczoną została do korespondencyi, na które dziś dopiero odpowiadamy.

Sarenka z Bojanowa. Ta śliczna para ptasząt co głóg dziobią na Waszej karcie, czy to może wizerunek „sarenki“ i „rogaczyka“ w jakiem nowem przebraniu? a może to „Duszki pióropuszki“ przysłane nam przez Krasnoludków? A Krasnoludki bojanowskie, jak

spędziły Święta? miło nam, że im zrobiły przyjemność nagrody. Jak się mają kurczątka? bardzo jesteśmy ciekawi pamiętników tego, co czarne jak Murzynek. Zwrócone marki otrzymaliśmy z podziękowaniem. — Mania Walera i Stefa T. w Olesku. Choć Walerci zdawało się, że nie ma o czem pisać, dosyć się w końcu znalazło, i Wasze listy bardzo nam były miłe, bo swobodna pogawędka i wymiana myśli o tem co czytają, czego się uczą nasi Czytelnicy, zawsze nas zajmuje. Cieszymy się, że się Wam tak podobają wszystkie nasze powieści. — „W cieniu Wezuwiusza“ potrwa zapewne do końca roku — szkoda, że nie możemy widzieć tego przedstawienia „Winowajcy“ do którego się już role rozpisują ani przeczytać tych Waszych zadań stylowych, w których streszczałyście powiastkę „Na własne oczy“ — takie zużytkowywanie tego co dla Was pomieszczamy w „Wieku“, robi nam wielką przyjemność. Nagroda wysłana — za serdeczne Wasze życzenia i za widok Oleska, dziękujemy! —

August M. w Jaśle. Nagrody staramy się zawsze dobierać stosownie do upodobań naszych Czytelników: cieszymy się, że nam się to i z Tobą udało — marki za opłatę pocztową otrzymaliśmy — w łamigłówce Twojej tylko pierwsze litery tworzą wyraz do odgadnięcia — a co więcej nie napisałeś rozwiązania. Jeżeli chcesz ułóż inną. — Stanisław D. w Stanisławowie. Choć odwiedziłeś Redakcyą w ciągu Świąt, jest i dla Ciebie słówko w Listonoszu, a mianowicie, że Twoją zagadkę żartobliwą wkrótce zamieścimy. — Lola T. w Sanoku. A cóż, czy podwójny dodatek powieściowy i nagroda, wynagrodziły Ci dostatecznie brak korespondencyi? Z babami i plackami miał „Wiek“ przedewszystkiem to do czynienia, że pisał dla Was powiastkę o Święconem i pogadankę o bakaliach w placku — poza tem obchodził Święcone tradycyjnie, jak każdy nasz dom polski. Napisz nam jak się uda przedstawienie.

A. B. C. we Lwowie. Twoje wyjaśnienie zabawnego doświadczenia było najtrafniejsze. — Anulka S. w Przemyślu. To ślicznie, że Tatuś dał zaraz do oprawy nagrodę, bo taką książkę warto schować i odczytać jeszcze choćby i po paru latach! Za „ucałowanie rączek“ przesyłamy „całemu pół tuzinowi“ serdeczne uściśnienie. — Herbert F. w Stanisławowie. Dzisiaj na Ciebie kolej się ucieszyć, bo los szczęśliwy, uwieńczył Twoją pilność w nadsyłaniu rozwiązań, nagrodą. — Zosia Piotr. we Lwowie. Czy masz już teraz przeszłe roczniki w zupełnym komplecie? Dla czego nie rozwiązujesz łamigłówek — należałabyś do losowań o nagrodę. — Turystka Tatrzańska. Twoja, czeka na Ciebie w Redakcyi, bo z dwóch książek nie wiemy którą byś wolała — czy przyjdziesz sama, czy też można zdać za Ciebie wybór na Twoją kochaną ciocię Helę Cz.? — Tadeusz W. w Krakowie. Szarada dobra: nie będziecie więc z kolegą długo czekać na jej umieszczenie. A czy tylko układacie razem szarady, czy może i „Wiek“ razem czytujecie? im szersze koło kolegów naszych Czytelników z „Wieku“ korzysta, tem więcej nas to cieszy.

Ukrainka z nad Dniepru w Zakopanem. Wprawdzie tylko pierwsze litery w Twojej łamigłówce stanowią wyraz do odgadnięcia, ale że nazwisko tego wodza mniej często się w łamigłówkach powtarza, i że zresztą, o ile pamiętamy, jeszcześmy żadnej Twojej nie drukowali, tę więc z czasem z pewnością zamieścimy, tylko jeszcze nie w najbliższych numerach. — Lisia i Marylka W. we Lwowie. Na Waszych papierach listowych już „bzy kwitną“ — a tam gdzie bawi Milka, pewno kwitną już w rzeczywistości: ale za to nie cieszy się ona tak jak Wy, towarzystwem siostrzeniczek! Emci za kaligrafię posyłamy obrazek i choć jej nie znamy, całujemy jej buziaka za to, że taka duża panna już lubi czytać, pisać i rachować! Postaramy się dać wkrótce dla niej zagadnienie rachunkowe. Wasze szarady i łamigłówki, wszystkie dobre ale trzymamy je jeszcze trochę w zapasie, bo i tak już wiele Waszych było drukowanych, a inni Czytelnicy czekają. — Lila T. w Krakowie. Bardzo to pochlebia Redakcyi, gdy Czytelnikom zawsze się zdaje, że stronic w numerze za mało — a pochlebnie znów nawzajem świadczy o Czytelnikach gdy z tych stronic, które są, nie brakuje im żadnej, tak że mogą, oprawić sobie wszystkie roczniki i dodatki i z wszystkich lat istnienia „Wieku“, jak Ty, utworzyć sobie „piękną biblioteczkę“ z której jeszcze kiedyś i młodsze rodzeństwo korzystać będzie. Ciocię Twoją M. O. bardzo mile chowamy w pamięci i przesyłamy Jej nawzajem serdeczne wyrazy. W tak bliskim już dniu Twego największego święta, sercem i myślą towarzyszyć Ci będziemy i ze wzruszeniem przeczytamy przyszły Twój list, który nam zapowiedziałaś.

Stella St. we Lwowie. Zamiary rekolekcyjne były śliczne: mówimy to zupełnie seryo, bo jeżeli Ty nie dla żartu wspomniałaś o braku wytrwałości i postanowieniu nabycia tej cnoty, to my możemy Cię tylko zachęcić do nie pomijania żadnej nawet drobnostki mogącej prowadzić do tego celu, bez wytrwałości bowiem nic na świecie zbudować nie można. „Wiek“ będzie się cieszyć jeśli korespondencya z nim dowiedzie właśnie, że jesteś wytrwałą. W Twojej łamigłówce tylko pierwsze litery stanowią wyraz do odczytania. — Władek S. we Lwowie. Trójkąt Twój dobry — szkoda, że nie odpowiedziałeś podług swojego rozumienia na zagadnienie fizyczne — pewno byłoby dobrze. Czy to Twój stryjeczny braciszek, syn pana J. S. który jest teraz chory? Konwalijka z Gorlic. O nie! nie zapomnieliśmy o naszej Konwalijce! i pytamy się siebie nieraz co też tam ona, w taką zimną wiosnę porabia? A dowiedziawszy się z Twego listu, że czytuje „Wiek Młody“, zachwyca się wszystkiemi powiastkami, które w nim wychodzą i zachęca innych do czytania go — powiedzieliśmy sobie: To dopiero jakiś dzielny i poczciwy kwiatuszek, kiedy się chłodu nie boi i wie czem sobie ogrzewać serduszko! — Po okładki na „Robinsona pod północną zorzą“ trzeba się zgłaszać wprost do introligatorni p. Getritza, we Lwowie, pl. Trybunalski.

Czarna perełka we Lwowie. Czy doszedł Was numer, w Święta Wam na prowincyę posłany? Zagadka kryształowa dobra — z czasem zamieścimy. — Stefcio S. we Lwowie. Toż samo, co do kwadratu. A czy Ty oblałeś siostrzyczkę w „oblewany poniedziałek“, czy też ona Ciebie? — Dolusia T. we Lwowie. Kwadrat z tych samych wyrazów był już nieraz układany — zadanie bez samogłosek lepsze, bo oryginalniejsze. A czy się często widujesz z przyjaciółkami? — Józia D. w Krakowie. Otrzymawszy Twój adres, zaraz wysyłamy Ci nagrodę. Łamigłówkę może z czasem zamieścimy, ale takich właśnie mamy w tece bardzo wiele. — Wna J. J. w Podgórzu. Obietnicą przysłania czegoś ucieszyłyśmy się bardzo — a Czytelnicy ucieszą się ziszczeniem! — Wandzia i Anielcia S. w Szydłowcach. Cieszymy się Waszą radością z otrzymanych nagród! odgadliśmy więc, że Anielcia będzie lubiła rysować? U Was już ciepło i fiołki — to więc wiosna wcześniejsza niż w innych stronach kraju. Ciocia Luda z Marylą dopiero to użyją czarodziejskiej wiosny i podniosłych wrażeń w swojej prześlicznej piel-

grzymce do Rzymu. Niech nam potem Julisia opisze co będą opowiadały. Mamuńci ślicznie od nas podziękujcie za wierszyk!

Tadeusz Z. w Busku. Przysyłaj tylko nadal równie pilnie rozwiązania, a z czasem nie minie Cię nagroda! — Martha Sch. w Wiedniu. Twoje koleżanki w Gorlicach, radeby pewno mieć wiadomości o Tobie, czy im może co każesz powiedzieć? My Tobie zwiastujemy nowinę, że wylosowałaś nagrodę. — Józef Ch. w Poznaniu. Twoje kartki zawsze nam za krótkie: od dziatwy i młodzi ze stron Twoich, radzibyśmy jak najdłuższe listy dostawać! — Marynusia z Weryni. Napisz nam, które to miejsca tak Cię wzruszyło w przysłanej książeczce, żeś się aż rozpłakała? Oczka wesołe wprawdzie łzawić szkoda — ale Redakcya jeszcze pamięta z własnego doświadczenia, że w Twoim wieku najwięcej zawsze podobały się te książki nad któremi się aż płakało! W łamigłówkach muszą się zdarzać omyłki, bo korekta bardzo jest utrudniona, tem zwłaszcza, że sami Czytelnicy układający łamigłówki, często nie dość dokładnie wypisują rozwiązania.

Antoś R. w Samborze. Widok Sambora i Serajewa zeszły się w tece naszych korespondencyi, choć w geografii dość daleko leżą od siebie. A czy sam mieszkasz może przy tej linii A. R., oznaczonej na karcie? — Józef Z. we Lwowie. Tak bliski sąsiad Redakcyi, pisuje tak króciutko! Czy to nauka greki wyrabia taki lakonizm. — Zofia W. w Dołżance. Donieś nam czy posiadasz wszystkie tomiki naszej biblioteczki? — Wanda T. w Przemyślu. I owszem, przyszlij zagadki, byle dobre i dokładnie wypisane, a milion całusków przyjmij z powrotem, bo my nie mamy czasu na tak wiele! — Pszczółka w Kębłowie znajdzie swój obraz w dzisiejszym wierszyku, bo kochana Mamusia sercem swojem prowadzi ją sama tą drogą! Choć się skończył „Zameczek“ a „Dziennik Maryli“ teraz się nie zacznie, nie zabraknie w „Wieku“ ślicznych powieści. — Kazio Śl. w Sanoku. Czy Oleś kontent z nagrody? czy lubi ładne obrazki? Starszy, poważny braciszek potrafi mu pewno niejedno opowiedzieć o różnych zwierzątkach.

Polska Dzieweczka w Krakowie. Bardzo prędko czytasz, kiedy w jednym dniu przeczytałaś nagrodę — musiała Ci się chyba „okropnie“ podobać, tak jak „Rodzeństwo“. — Zdaje nam się, że i tego roku będziesz równie zadowolona. — Helena M. w Rohatynie. Dziękujemy Ci za śliczną kartę: ani myśleliśmy, że Rohatyn ma tak piękne gmachy. Do, grona przyjaciółek przyjmujemy Cię całem sercem! — Wanda, i Wera W. we Lwowie. Numer ten niesie Wam miłą niespodziankę! — Olga i Józia A. we Lwowie. Zdaje nam się, że już odnawiamy naszą znajomość, czy tak? — Majusia i Oleś w Wiedniu. Musieliście ogromnie powyrastać, od czasu gdyśmy się widzieli, bo w pisaniu postępy ogromne! — Zosia Sz. we Lwowie. Przejrzyj kartki dzisiejszego numeru, znajdziesz coś dla siebie.

Trafne rozwiązania zagadnień z Nru 8-go nadesłali: Zosia Szczepańska, Herman Feuerstein, Antoś Reiner, Franio Silesiński. Lila Turska, Włodek i Stella Starklowie, Józef Zborowski, Jańcia Milińska, Marysia Milewska, Marynusia z Weryni, Henryk Ruebenbauer, Kazia Maliszówna, Józia i Olga Appermannówny, Wanda Więckowska, Józef Kwiatkowski, Szymon Taub, Wanda Trauczyńska, Zofia Wilczek, Staś Zerowicz, Mania i Zosia Gwoździckie, Zosia Kyszyńska, Halka Szulisławska, August Machowicz, Delusia Błochówna, Tadeusz Zaorski, Józef Chosławski, Kazio Chudzik, Feluś Zalasiński, Marta Schuberth, Jancia Promińska, A. Zott, Kazio Stelicz, Julek Beerman.

Do nagrody wylosowani: Feliks Zalusiński, Herman Feuerstein, Wanda Więckowska i Marta Schuberth.

Wyjaśnienie zabawnego doświadczenia z Nru 8-go.

Cukier wsiąka wodę: gdy więc przytkniemy go lekko do jej powierzchni, prąd wody zwraca się ku niemu i pociąga ze sobą drewienka. Mydło, przeciwnie, nie wsiąka wody, tylko się samo kręgiem po jej powierzchni rozchodzi, co wywołuje prąd przeciwny, odpychający zapałki. Stąd zdaje się, że drewienka, jak kapryśne dzieci, biegną do cukru a przed mydłem uciekają.

A. B. C. we Lwowie.

Zagadka głoskowa w krzyżu.

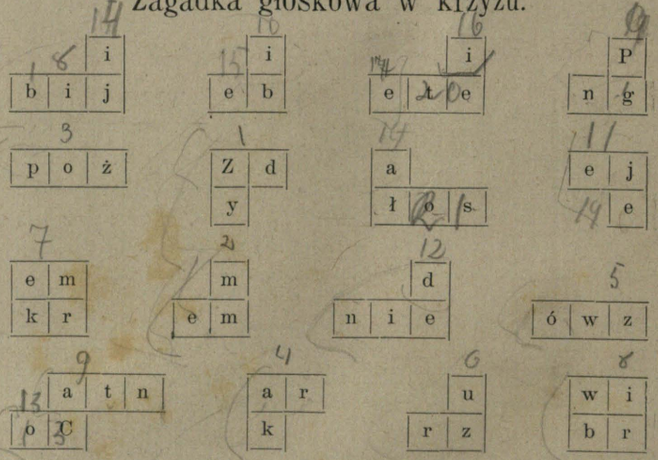

Figury powyższe należy narysować, wyciąć i złożyć tak, żeby utworzyły krzyż. Cząstki te trzeba tak zestawić ze sobą aby litery czytane od góry w kierunku poziomym, z lewej strony ku prawej, dały początek znanego hymnu narodowego.

Pieszczoszka.

TREŚĆ: Dzwon Zygmuntowski. (Dokończenie). — Pszczółka. — Królowa Korony Polskiej. — Koledzy. (C. d.) — Skrzydlaty Listonosz. — Wyjaśnienie zabawnego doświadczenia. — Łamigłówki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 10. We Lwowie, dnia 15. Maja 1900. Rok VIII.



Kwiatek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Ofiara.

Obrazek dziejowy z XII. wieku.

Przez M-L. Z.

Na zielonem wzgórzu, nad modrymi falami Nissy, wiła się dość stroma ale starannie utrzymana ścieżyna. Wokoło niej znać także było rękę ludzką: parę zagonów kapusty — dalej mały łan żyta, ogródek roślinami lekarskiemi obsadzony — wysoki krzyż dębowy i parę niewykończonych stacyj męki Pańskiej. Te wyraźne ślady pracy ludzkiej, wśród mało zaludnionych, głównie lasami zarosłych obszarów, dziwiłyby tu samotnego podróżnika w XII-tym wieku, gdyby nie chatka pustelnicza, która kryjąc się na wpół w zieleni, świadczyła o płynącym tu w ciszy i zapomnieniu, jakimś ludzkim żywocie. Mała, drewniana kapliczka spoglądała z wierzchołka góry, jakby rzadkiego w tem pustkowiu wędrowca wzywała do modlitwy, a zarazem do miłego wypoczynku i braterskiego przyjęcia w imię Chrystusowe.

Ku tej kapliczce kierował się pewnego dnia nad wieczorem, w 5-tym roku rządów Bolesława Krzywoustego, młody chłopak, w którym łatwo było z pozoru poznać czeladnika wędrownego, jakich wielu wówczas przeciągało po kraju, szukając w większych miastach wydoskonalenia w obranem rzemiośle.

Słońce chyliło się ku zachodowi, wsi żadnej nie było blisko, chłopak zboczył z głównego szlaku, nie godziło się w owe czasy ominąć domu Bożego nie wstąpiwszy doń choć na chwil kilka — zresztą, po rozrzewnieniu z jakiem chłopiec spoglądał wokoło, poznać można było, że nie jest obcym w tych stronach — że wraca do miejsc miłych a dawno niewidzianych. Był on młody, wysmukły, choć silnie zbudowany, odzież na nim była prosta, ale pomimo pyłu podróży, z widocznem staraniem utrzymana. — Na kiju niósł buty i niewielki węzełek, a przez ramię przepasaną miał torebkę, którą od czasu do czasu przyciskał dłonią radośnie, a niespokojnie zarazem, jak gdyby chciał się upewnić, że jej nie zgubił, że skarb swój w całości do domu doniesie. Gdy doszedł na szczyt pagórka, drzwi od kaplicy zastał uchylone — pustelnik o tej godzinie odmawiał wieczorne pacierze. — Wędrowiec ukląkł, ucałował z pokorą próg świątyńki i półgłosem zaczął powtarzać za pustelnikiem słowa modlitwy. — Dziwna rzecz! pustelnik nie modlił się po łacinie, jak większa część duchowieństwa ówczesnego — ale swojskim, krajowym językiem. — Czeladnika jednak to nie dziwiło, bo najpierw, pomimo kilkuletniej wędrówki, nie był znowu tak dalece obznajomiony ze zwyczajami codziennymi kapłanów — powtóre, kiedy opuszczał rodzinne strony, pustelnia już była zamieszkana od lat kilku przez tegoż

samego pustelnika. Zresztą brat Benedykt nie był nawet kapłanem. Pobożność, a może burze żywota, zaprowadziły go, jak w owych czasach prowadziły wielu, w to odległe od osad ludzkich ustronie, w którem za pozwoleniem księdza biskupa Wrocławskiego, założył sobie pustelnię. Czas trawił w pracy, umartwieniach i pobożnem rozmyślaniu — czasem zdarzało mu się naprowadzić na dobrą drogę zbłąkanych podróżnych, dla których kapliczka jego wnet stała się, przy ówczesnym braku gościńców, ważnym drogoskazem — niekiedy wstępował do otwartej kapliczki wędrowiec, by na współ ze świętym mężem odmówić pacierze — czasem nawet — ale to parę razy tylko mu się zdarzyło — jaki kapłan udający się do odległego miasta Mszę świętą w jego kapliczce odprawił. — Zwykle brat Benedykt (bo tak ludzie nazywali pustelnika), na nabożeństwo wychodził przed świtem do parafialnego kościółka, odległego o dwie mile stamtąd. Teraz, odmówiwszy pacierze wyszedł powoli z kaplicy, a gdy za nim wysunął się podróżny, brat Benedykt spojrzał na swego gościa i zawołał radośnie:

— To ty, Dańko?! nareszcie!... a toż całe trzy lata ciebie tutaj nie było! zmężniałeś, powiedziałbym prawie, że wyrosłeś jeszcze. — Chodź do chaty, pewnobyś rad się dowiedział, co się tam dzieje w Głogowie.

— Och, Ojcze dobrodzieju! — ozwał się całując go w ramię Dańko, — mówcież coprędzej, jakże tam ojciec stary dawał sobie radę bezemnie? co Leszek? a jak się miewa siostrzyczka Dobromira, nieboga?

— Zdrowić oni, Bogu dzięki wszyscy — tylko oczy wypatrują z tęsknicy za tobą — chwała Bogu, że wracasz.

— A rodzic, czy zawsze tak hołubią małego Leszka? Czy zawsze on mu z dzieci najmilszy, przez to podobieństwo do nieboszczki matki? Niosę dla chłopca ucieszne cacka w torebce, com się ich tyle napatrzył na jarmarkach, między ludźmi — a zawsze przy tem o Leszku myślałem.

— Ho! wyrósł ci Leszek i może już na cacka nie taki będzie ciekawy — za to do matki jeszcze się teraz podobniejszy staje — i prawda, że stary Sędziwoj, oczy by sobie dał za tego chłopca wyłupić — aleć i wam z Dobromirą nie krzywda: zacnego Rodzica dały wam nieba, córka u niego jak słonko — ciebie na naukę słał w dalekie miasta. Najsławetniejszy z mieszczan Głogowa — a bogobojny człek, na przykład drugim!

— Och, ojcze — toć mi ledwo serce z piersi nie wyskoczy, gdy myślę, że ich już tak wnet obaczę! — Co ja się przez te trzy lata namartwił i nadumał — świat taki. Stąd do Krakowa, toć jabłkiem nie dorzuci — ptak chybaby przeleciał — ani to wieści żadnej ani sposobu przekazać co o sobie! Wśród obcych ludzi, tyle się dziwów napatrzyłem różnych, tyle cudności w tym Krakowie; będzie to o czem gadać, przy szerokim kominie, gdy zejdą się sąsiedzi! W Krakowie byłem przez dwa lata u majstra, Niemca, z tych co to jeszcze za zeszłego księcia przyciągnąwszy, osiedlili się w gościnnem polskiem mieście, które ich przygarnęło i wzbogaciło. Chciał Rodzic, abym się wyuczył wszystkich nowości ślusarskiego rzemiosła i warstat jego, gdy wrócę prowadził — to też potrafię już wszystkie sztuczne i piękne zamki wyrabiać; mam tutaj w torbie kłódkę własnego pomysłu i roboty, com ją majstrowi musiał przedstawiać, gdym się wyzwalał na czeladnika. — A przy mnie Leszek będzie czeladnikiem i jeszcze inni. — Wyuczę ich jakby i w Niemczech lepiej nie wyuczyli. — Zobaczycie Ojcze, że jeszcze do nas chłopaki z innych miast na naukę przychodzić będą — zasłynie jeszcze Głogów! A wszystko sprawią Sędziwojów Dańko i Leszek — staremu ojcu na pociechę, a siostrze Dobromirze na wiano!

Oby już ich prędzej uścisnąć... Takim radosny, Ojcze, taki szczęśliwy, że mi o mało serce z piersi nie wyskoczy! I tak myślę, że nie ma coby mnie mogło zasmucić, teraz, kiedy ich już tak wnet oglądać będę!

Brat Benedykt siedział zamyślony i jakaś chmura wyszła mu na czoło wobec radosnych marzeń młodzieńca.

— Słuchaj chłopcze! nie radbym zaciemniał ci radosną chwilę — ale coś mnie prze ku temu, abym cię ostrzegł, że nie ma nic trwałego, ani żadnej pewnej radości pod słońcem! Dosyć często w tych wojennych dniach naszych, w chwili ugaszenia pragnienia, kubek z wodą uznojonemu podróżnikowi od ust się usuwa, a szemrać nam nie wolno, ani się buntować, bo Boża wola nad nami! — Dańku! gdyby Bóg żądał od ciebie jakiej ciężkiej ofiary, czy byłbyś gotów ją spełnić?

— Ojcze Benedykcie! zawołał chłopak pobladłszy strasznie — tam może, Rodzic już w grobie? albo z moim Leszkiem czy z Mirą co złego?!...

— Nie, nie! uspokój się chłopcze — w tej chwili nie ma nic złego, mnie tylko starego zawsze jakaś smętność ogarnia, gdy słyszę taką pewną rachubę na przyszłe szczęście — tyle się już w życiu przeszło, tyle napatrzyło! — Nie frasuj się jednak, Dańku — tyś młody to i nie dziw, że ci się świat śmieje. Bogu się zdaj i ciesz się sercem wesołem, tylko pamiętaj na zawsze, że Bóg i Ziemia twoja, pierwszą twoją miłością być powinny i że dla Tego Dwojga człowiek wszystko powinien poświęcić! Ale od ciebie może nie zażądają ofiary...

Skąd przychodziły pustelnikowi tak smutne myśli? Przeczucie to, czyli też przezorność zwykła ludziom żyjącym w skupieniu ducha, kazały mu ostrzegać Dańka przed zbyt ślepem oddaniem się szczęściu chwili obecnej? A może jakie osobiste wspomnienia wywołały w nim takie myśli?

— Słuchaj Dańku, nikt z okolicy mnie nie zna, nikt nie wie, co mnie przypędziło na tę pustelnię, tak daleko od rodzinnej okolicy mojej — ale tobie rozpowiem moje dzieje: niech one ci będą ku przestrodze, bo to młody i zapalczywością i zaślepieniem nieraz

zgrzeszyć może — a Pan Bóg czyny ludzkie rachuje i tylko zaparciu się siebie błogosławi.

Z północy jestem rodem, z Wielkopolski. Po trudach wojennych, po latach spędzonych na usłudze króla i kraju, wracałem do dworku swego, gdzie mieszkały matka moja i siostra — cały skarb mój i szczęście moje na świecie. Kochałem te dwie istoty nad życie własne i dziś jeszcze zdaje mi się, że czuję jak radośnie biło mi serce, gdy po tych sześciu latach spędzonych w obozie wracałem wreszcie do domu.

Liczyłem na długie chwile szczęścia i spokoju. Dwóch dni pod swoją nie przebyłem strzechą — gdy gwałt i lament wyrwał mnie z błogiego ukojenia: Pomorzanie palili wieś sąsiednią!

Pamiętaj, nikt nie ma prawa bezczynnym zostać w razie napaści wroga:

Uczyniłem to, co każdy inny szlachcic, każdy uczciwy człowiek na mojem miejscu by był uczynił. Pobiegłem na ratunek z częścią czeladki... Pomorzan przepłoszyliśmy... tak nam się przynajmniej zdawało. W ucieczce poszli inną niż przyszli drogą! — Wróciwszy do siebie zastałem dwór spalony, a w nim moja matka... Miłosława moja, obie już... dwa straszliwie pokaleczone trupy! (C. d. n.).

Koledzy.

Przez

Irenę Mrozowicką.

(Ciąg dalszy).

Oczy ich uniknęły wzajemnego spotkania i rozstali, się nie wymieniwszy ani słowa więcej. Korewicz odprowadzając Wyderę do przedpokoju prosił:

— Kazik, gdy tylko zdasz, napisz mi na korespondentce jak ci poszło! Wiesz, że mnie ojciec uwolnił ze szkoły na cały tydzień, ale nie miałbym na wsi najmniejszej przyjemności, gdybym się wciąż o ciebie niepokoił.

— Dobrze, doniosę ci — ale nie niepokój się; jakoś to pójdzie.

— Oczywiście, i ja mam tę nadzieję; tylko się nie zmęcz zanadto dzisiaj.

— Nie, nie; jak nie będę mógł, to dam spokój.

Odprowadziwszy gościa, Korewicz zabrał się już do pakowania tłumoczka, bo zbliżała się godzina wyjazdu. Janek posiedział jeszcze z pół godziny, ale rozmowa nie bardzo kleiła się między nimi. Korewicz był nie w humorze i jakiś roztargniony — Janek oczywiście nadrabiał tylko miną, zagadując to o tem, to o owem, a nie śmiąc dotknąć jedynego przedmiotu, który widocznie zaprzątał ich obu.

Nareszcie, gdy już pora była ostatecznie się pożegnać, zdobył się na odwagę i zagadnął:

— Nie uwierzysz Zygmuncie, jak mi przykro, że bez mojej winy wprawdzie, ale zawsze za moją przyczyną, Wydra ma taką nieprzyjemność.

— I owszem, wierzę ci najzupełniej — potwierdził Zygmunt, a wygłosił to z taką jakąś powagą i znaczeniem, jakby doprawdy chodziło o rzecz największej wagi.

Janek uczuł się tym tonem trochę dotknięty i chłodniej niż zwykle pożegnał przyjaciela. Cóż to znowu za wielkie historye, ten Korewicz robił zaraz ze wszystkiego, gdy szło o jego ukochanego gagatka, Wydrę! — Prawda, zeszyt się poplamił, a raczej prawie całkiem zniszczył — ale to chyba jeszcze nie jest skończenie świata — matematyka powinna siedzieć u studenta w głowie a nie na papierze, i piśmienne ćwiczenia, które lada kto mógłby przecie podyktować mu w domu, nie stanowią jeszcze o egzaminie. A zresztą, jeśli Wydera dopnie swego i przerobi do jutra wszystko powtórnie, to dopiero zda daleko świetniej i wyjdzie doskonale na całej tej awanturze; taki, to jak kot: choć spadnie z dachu, to zawsze jeszcze na cztery nogi. A w ostatecznym razie, gdyby nawet powtórna edycya wypracowań nie udała się i profesor skrzywił się trochę na poplamiony zeszyt, czyż byłoby to choćby najmniejszą winą Janka? Broń Boże, już daleko prędzej samego Korewicza, który odetkane, pełne atramentu kałamarze, rozstawia w pobliżu tak drogocennych zeszytów. — Odetkane?... no, to chyba nie — Janek przypomina sobie doskonale, że już poprzednio zauważył był na pułeczce ów kałamarz, zatkany jasno-żółtym, owiniętym w angielską bibułkę koreczkiem — musiał w irytacyi zamachnąć tak mocno czapką, że nietylko przewrócił kałamarz ale i korek z niego wyrzucił — w tem jednak również nie ma jego winy, bo rozmawiając z Wydrą zawsze zirytować się trzeba — to już jest reguła bez wyjątku.

Pomimo tylu uspokajających argumentów, Janek nie tylko stracił na cały wieczór humor, tak że się dwa razy o byle co pokłócił z siostrami i w końcu oberwał burę od ojca, ale nawet w nocy spał gorzej niż zwykle, przewracał się z boku na bok, wzdychał i dziwił się, że mu Katarzyna dziś jakoś tak niewygodnie łóżko posłała — poprostu trudno uleżeć. Im bliżej było do rana tem bardziej odczuwał wszystkie te niedogodności; myśl o pójściu do szkoły, nieuniknionem tam spotkaniu się z Wydrą, o wszystkich komentarzach, które gotowo wywołać między kolegami wczorajsze zajście, jeśliby doszło do ich wiadomości — przejmowała go formalnym strachem. Byłby dał wiele, żeby módz przespać tych kilka dni i obudzić się aż w drugiem półroczu, gdy już cała sprawa świadectw, poprawek z matematyki i stypendyów, pójdzie „ad acta".

Nad samem ranem wreszcie zasnął snem ciężkim i niespokojnym, ale twardym.

Gdy w biały dzień otworzył oczy, matka, która go zwykle sama co rano budziła, stała nad jego łóżkiem.

— Już po siódmej, wstawaj spiochu — mówiła ze swym miłym uśmiechem — ale czemu to stękałeś tak w nocy? czy ci co jest?

— Mnie? nie — odparł Janek — ale w tejże chwili poczuł, że istotnie trochę bolało go gardło — widocznie, wychodząc rozgrzany od Korewicza przeziębił się nieco. Trudno to było uważać za chorobę, ale jakże uśmiechnęła mu się myśl, aby tego użyć za pretekst do pozostania dziś w domu! Niewyspane oczy kleiły mu się do snu, głowa ciężyła. — Nie wiele myśląc przyznał się do bolu gardła, a matka zaniepokojona jego całonocnem stękaniem, kazała mu się napowrót położyć i powiedziała, że go dziś do szkoły nie puści — tem bardziej, że na dworze mróz 15-stopniowy.

. . . . . .

Do następnego dnia mróz zelżał, ból gardła przeszedł całkowicie, trzeba było zebrać się i iść do szkoły.

Z tem zebraniem jednak, Janek marudził jakoś tak długo, że wszedł do klasy już po dzwonku, właśnie w chwili, gdy profesor zaczynał odczytywać katalog. Zobaczył też odrazu, że ławka którą zajmowali we trzech, z Wydrą i Korewiczem, świeciła dziś zupełną pustką. Na ten widok doznał dziwnego wrażenia: trochę mu się niby zelżyło na myśl, że nie będzie potrzebował dziś spojrzeć w oczy Wydrze, że nie dowie się w tej chwili o, niepomyślnym może, rezultacie egzaminu — ale równocześnie ogarnął go wielki niepokój. Cóż się to stało, że Wydra, któremu tak niesłychanie zależeć musiało na wyniku klasyfikacyi, nie stawił się dziś, gdy losy wszystkich studentów miały się właśnie rozstrzygnąć?

Ech, mój Boże, cóż się zaraz stać miało? poprostu musiał wczoraj zdać doskonale i pewny już swego, zamiast przychodzić po świadectwo, które bądź co bądź nie ucieknie mu, lata może po mieście zbierając swoje papiery, potrzebne jako załączniki do podania o stypendyum. A zresztą może się tylko spóźnił? może lada chwila wejdzie do klasy i z miną tryumfatora zasiądzie obok Janka, którego zepchnie dziś, z zajmowanego już od trzech lat miejsca, drugiego ucznia w klasie.

Na tę myśl, budzi się na nowo w Janku cała niechęć, uspiona, czy też jak gdyby zatamowana chwilowo, owem poplamieniem zeszytu Wydry — uczucie przykrości, graniczące z wyrzutem sumienia, które go od chwili owego zajścia prześladowało, rozwiewa się bez śladu. Nie ma przecież czego rozpaczać, skoro i tak z pewnością Wydra dał sobie radę — a że się trochę więcej pomęczył, to jeszcze owszem! Kiedy taka zakuta głowa chce zbierać naukowe laury, a paniczyk, opływający w dostatki, wydziera stypendyum biedakowi, któremu brak czasem na suchy kawałek chleba, to niechże choć dla samej sprawiedliwości napoci się wpierw porządnie. Umyślnie nikt nie byłby w stanie zrobić czegoś podobnego — ale gdy los tak zrządził, mniejsza o to.

Ze swego miejsca mógł Janek od czasu do czasu rzucać ukradkowe spojrzenia w stronę Stacha Blesińskiego — widział, że drobna twarzyczka chłopca wyrażała wielkie poruszenie a oczy jego tkwiły prawie nieustannie w pustej ławce, opróżnionej dziś przez nieobecność Korewicza i Wydery. A może Stach wiedział już, jak się udał egzamin rozstrzygający ich losy? na przerwie trzeba się go będzie zapytać. Chociaż nie — Janek poczuł, że pytać się o to nie potrafi ani Stacha ani nikogo. Jakieś poczucie delikatności wstrzymywało słowa na jego ustach. Gdyby był nic Wydrze nie zawinił, nie rzucił mu, choć mimowolnie kamienia pod nogi, byłby mógł o nim, o jego sprawach i usiłowaniach mówić swobodnie — ale tak... to co innego. Stanowczo nie poruszy tej kwestyi z żadnym z kolegów. Zresztą wiadomość ta, prędzej czy później dojdzie do niego sama z siebie — a że teraz już, tak czy tak, klamka zapadła, więc na rychlejszem zaspokojeniu ciekawości nic właściwie nie zależy.

Przerwy w dniu tym nie było jakoś wcale, może dlatego, że były tylko dwie godziny lekcyi, które zakończyła klasyfikacya. Gdy gospodarz klasy wszedł w towarzystwie pana Dyrektora, z pliką świadectw w ręku, Jankowi serce zabiło jak młotem: teraz nareszcie dowie się wszystkiego. Nie dowiedział się jednak, bo świadectwo Wydery jako nieobecnego w klasie, pozostało u profesora, a z ogólnej klasyfikacyi trudno było odgadnąć jaki mu tam stopień wypadł z matematyki. Korewicz, Janek i on pozostali zawsze najlepszymi uczniami w klasie, ale to „*status quo*“ nie rozstrzygało jeszcze sprawy stypendyum.

Olbrzymi rój studentów wysypał się na kurytarze i dziedziniec szkolnego gmachu. Wszyscy gestykulowali żywo, mówili głośno, odczytując sobie wzajem świadectwa, roztrząsali i obrabiali na wszystkie strony tę najważniejszą sprawę studenckiego życia: klasyfikacyą.

Janek przystąpił do Stacha Blesińskiego.

— Podajesz się? — zapytał prawie nieśmiało, jakby to była sprawa dotycząca go osobiście.

— Spodziewam się! rozśmiał się Stach, z rzadką u niego brawurą.

— Jakto: „spodziewam się?“ czy... co zaszło?

— Zaszło coś, co ogromnie podniosło moje szanse: zdaje się, że Wydera w ostatniej chwili odstąpił od zamiaru zdawania owej poprawki z matematyki. Może stchórzył, a może poprostu opamiętał się, że jemu brać stypendyum, toć prawie grzech. Czy on to bez tej pomocy nie może ukończyć szkół, i Bóg wie jakich, zagranicznych uniwersytetów?

(Ciąg dalszy nastąpi).



„Wraca wiosna... wiosna... wiosna!...“

Wiosna.

Pierwszy podmuch młodej wiosny
Falą woni od łąk bije,
Wszystko śpiewa hymn radosny,
Wszystko czuje, wszystko żyje!

Wstały z ziemi pierwsze kwiaty,
Blaski słonka piją chciwie,
Przelatuje duch skrzydlaty
Po zapachem tchnącej niwie.

Duch skrzydlaty przelatuje:
Budzi pola, budzi gaje,
Odrodzenia dzień zwiastuje —
I świat cały zmartwychwstaje.

Zmartwychwstaje, jak co roku,
Po letargu zimy długiej —
I ponurą otchłań mroku
Wyzłociły słońca strugi.

Gdzieś z obłoczków, jak z obsłonek,
Lazur nieba błękitnieje,
Niby dzwonek, gra skowronek
I wiosenna pieśń się leje.

Nad oraczem brzmi ptaszyna
Na cześć pracy, na cześć wiary —
Łono ziemi pług przecina,
Idą siwych wołów pary.

Idą woły, a za niemi
Chłop w siermiędze połatanej,
Chłonie zapach matki ziemi,
Dobrej ziemi ukochanej!

W młodej wiosny złoty dzionek
Znów powraca sen prześniony,
Na otuchę gra skowronek:
Będą plony... będą plony!

Po zieleni świeżej trawki,
Po rozkwitłym w pąkach gaju,
Płynie z wiatrem pieśń ligawki,
Aż utonie gdzieś w ruczaju.

Wierzbinowe fujareczki
Wykręcają pacholęta,
Ot, i rodzą się piosneczki
Na doroczne wiosny święta.

Po bagniskach bocian brodzi,
Powróciwszy z poza morza,
A w oddali gdzieś zachodzi
Nad kościółkiem jasna zorza.

W srebrnych gwiazdach, w modrym cieniu
Idzie nocka cicha, rosna,
Wszystko szepce w zachwyceniu:
Znowu wiosna... wiosna... wiosna...

Or-ot.

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy — Patrz numer 8-my).

III.

Czerwony kalendarzyk. Elekcya.

W okolicy zamieszkiwanej przez rodziców Julianka, był słynący cudami obraz Matki Boskiej, w opactwie Wistyckiem. Do tego to obrazu rodzice odbyli z Juliankiem dziękczynną pieszą pielgrzymkę gdy chłopczyna, złożony śmiertelną już, jak się zdawało, chorobą, za ofiarowaniem go pod opiekę Najświętszej Panny Wistyckiej powrócił do zdrowia. W pielgrzymce tej wzięła udział i służba — w drodze odmawiano wspólnie koronkę i spiewano nabożne pieśni — a podczas całej uroczystej wotywy dziękczynnej, oboje państwo Niemcewiczowie leżeli krzyżem, na rozesłanych na kamiennej posadzce kościoła kobiercach. Trzeci, mały kobierczyk, położono dla samego Julianka. Po skończonem zaś nabożeństwie zawieszono u cudownego obrazu srebrne „votum“, mające przypominać uzyskaną łaskę.

Ksiądz Opat Rogaliński z Wistycy, który owe dziękczynne nabożeństwo odprawiał, był przyjacielem państwa Niemcewiczów i częstym też gościem w Skokach. Odwiedziny szanownego kapłana uważano tu sobie za zaszczyt i dom cały przybierał na jego przyjęcie świąteczną postać. Julianka strojono w najpiękniejsze sukienki i przyprowadzano do dostojnego gościa, którego witał ucałowaniem nóg, nawzajem serdecznie zawsze całowany w rumiane policzki.

Państwo Niemcewiczowie oddawali wizyty Opatowi w Wistycy, gościnnie przez niego zawsze przyjmowani.

Razu pewnego, dowiedziawszy się, że ksiądz Rogaliński właśnie powrócił z Warszawy, wybrali się zaraz do niego, ciekawi bowiem byli co słychać w stolicy, a w owych czasach przy braku łatwej komunikacyi i braku dzienników, rzadkością były zawsze świeże nowiny z szerokiego świata.

Julianka wzięli ze sobą rodzice, a podczas kiedy starsi zabawiali się poważną rozmową, ksiądz Opat, chcąc zająć chłopczynę, pozwolił mu przy bocznym stoliku bawić się małym kalendarzykiem, który sobie przywiózł z Warszawy. A cudny był ów kalendarzyk! malutki, w ponsowej okładce ze złoconymi brzegami, a w dodatku z obrazkami, co wtenczas było rzadkością. Tak ślicznej książeczki Julianek jeszcze jak żyje nie widział! Gdyby to taką mieć na własność — nie dosyć że śliczna, ale taka malutka, że zmieściłaby się doskonale do kieszonki. Możnaby ją nosić przy sobie i wyjąć w każdej chwili gdy przyjdzie ochota się nią pobawić — a jakby to się młodsze rodzeństwo, jakby się wszyscy domownicy dziwili i cieszyli gdyby im ją pokazać. Najważniejsze, że taka malutka!...

Chcąc spróbować czy doprawdy schowałaby się zupełnie w kieszonce, Julianek wsunął ją tam, gdy w tejże chwili rozległ się głos matki, wołającej:

— Julianku! chodź pożegnać się z księdzem Opatem: jedziemy!

Przyzwyczajony do natychmiastowego posłuszeństwa Julianek pobiegł uczynić co mu kazano i w tym pospiechu zapomniał wyjąć książeczkę z kieszeni. Zapomniał o niej tak zupełnie, że przypomniał sobie dopiero w domu, gdy matka, rozbierając go do snu spostrzegła, co miał w kieszonce.

— A to co?! — zawołała z przerażeniem — Dlaczego zabrałeś rzecz cudzą?!...

Nim przelękniony Julianek zdołał cośkolwiek odpowiedzieć, nadszedł ojciec a ujrzawszy kalendarzyk księdza Opata, zawołał z najwyższem oburzeniem i gniewem:

— Kraść rzecz cudzą, jest to największy grzech przed Bogiem i wstyd przed ludźmi! Za czyn tak szkaradny zasłużyłeś na surową karę: dostaniesz zaraz rózgą!

Matka uprosiła zagniewanego ojca o chwilkę zwłoki, chciała bowiem pierwej rozmówić się z małym winowajcą; a gdy chłopczyk, głosem przerywanym przez łkanie wyznał, że wprawdzie miał wielką ochotę na kalendarzyk ale wziął go tylko przypadkiem, przez zapomnienie — matka znając swojego synka, że nigdy nie kłamie, podjęła się dalszego pośrednictwa w obec ojca i udało się go jej przebłagać: Pan Niemcewicz, jakkolwiek był bardzo rozgniewany, darował w końcu Juliankowi karę cielesną. Nieszczęsny kalendarzyk odesłano natychmiast, umyślnym posłańcem, do księdza Opata.

Przerażenie matki i gniewne oburzenie ojca więcej jeszcze niż lęk kary, tak silne wrażenie zrobiły na Julianku i tak go przejęły ohydą kradzieży, że na całe

życie zachował strach przed wszelkiem, choćby mimowolnem naruszeniem cudzej własności, przed każdą krzywdą cudzą.

W jakiś czas po powyżej opisanej przygodzie, we dworze państwa Niemcewiczów panował ruch niezwykły: W pokojach porozstawiano kufry i tłomoczki, porozkładano bieliznę, przewietrzano suknie i pościel, zdjęto nawet i czyszczono rynsztunek gospodarza. W kuchni pieką, gotują, siekają — ze spiżarni wynoszą wędliny, masło, ser, grzyby, suszone owoce, z apteczki wódki i nalewki — te wszystkie zapasy spiżarniane pakują w kosze, wory lub skrzynie. Ruch niezwykły dostrzedz można także w stajni i wozowni.

Niezwykła też przyczyna powoduje ten ruch i przygotowania: pan Niemcewicz wybiera się na Elekcyę do Warszawy! umarł Król Jegomość August III. — trzeba wybierać nowego Pana, a to droga i sprawa nielada!

W owych czasach, wybierając się w podróż choćby tylko kilkunasto-milową, trzeba było wielu przygotowań i dłuższego czasu — nie było bowiem jeszcze wtedy kolei — nie napotykano w drodze restauracyi i hotelów — to też trzeba było wozić ze sobą pościel, kuchnię i spiżarnię. Na popasy i noclegi zatrzymywano się w karczmach; tu służba rozścielała łóżka, rozstawiała stoły, przygotowywała posiłki — a nim ruszono w dalszą drogę, znowu pakowała wszystko, zwijała, składała, aby rozkładać znów na następującym popasie.

Pan Niemcewicz, jako urzędnik wojewódzki i do tego towarzysz pancerny, musiał, jadąc do stolicy, wybrać się okazale, jak tego wymagał urząd cywilny i wojskowy — tem bardziej, że jadąc w takiej okazyi nie wiedział jak długo mu przyjdzie zabawić, a tam na miejscu musiał mieć w pogotowiu z sobą wszystko od potrzeby i od występu, bo na elekcyi mogło być różnie a przy licznym zjeździe trudno o wszystko.

Nareszcie przygotowania wszystkie już ukończono: pan Niemcewicz w pełnym rynsztunku wyszedł na ganek, pożegnał żonę, kreśli krzyż święty nad główkami dzieci i dosiada pięknego kasztanka — towarzyszy mu dwoch dworzan. Nie całą drogę jednak ma odbyć konno: rumaka dosiada tylko gdy mu przyjdzie ochota, lub gdy chce większej okazałości dodać orszakowi — gdy się znuży jazdą konno, przesiada się do czterokonnej kolasy, która ruszyła za jezdnymi; za kolasą wlecze się powoli pakowny wóz, wiozący suknie, pościel, przybory spiżarniane i kuchenne — na tym wozie obok furmana usiadł też i kucharz.

Po wyjeździe pana Niemcewicza na elekcyą, zaczęło się zaraz, z wielką radością Julianka, ponowne pakowanie: matka wybrała się z nim do swojej matki, w Podlaskie i tu oczekiwać miała na powrót męża ze stolicy.

Powrót ten nastąpił po upływie trzech tygodni a razem z p. Niemcewiczem przyjechał także z Warszawy p. Suchodolski, rodzony wuj Julianka. Gwarno więc i wesoło zrobiło się u babuni: panowie przyjechali z elekcyi w doskonałych humorach, i zaraz przy powitaniach oznajmili radośnie: „No, dzięki Bogu, mamy króla Piasta!

Te słowa zdziwiły Julianka: jakkolwiek miał dopiero lat sześć, wiedział że to już temu dawno, bardzo dawno, kiedy w Polsce panował „Król Piast“ — jakże mogli go teraz znowu wybrać?!

Ta myśl tak zaciekawiła chłopczyka, że nie mógł się powstrzymać od zapytania ojca o wyjaśnienie. Pan Niemcewicz, rad z takiego dowodu roztropności u dziecka, chętnie mu wytłumaczył, że, chociaż Piast Kołodziej i jego następcy dawno już z naszej polskiej ziemi przeszli do chwały niebieskiej, ale weszło u nas w zwyczaj nazywać „Piastem“ każdego króla wybranego podobnie jak Piast, z pomiędzy ziomków. „Bo miewaliśmy na tronie — zakończył p. Niemcewicz — królów cudzoziemców, którzy nie rozumieli ni mowy naszej ni naszych obyczajów. To też sprzykrzyli się nam obcy na tronie i dlatego wybraliśmy teraz kość z kości naszej, Stanisława Poniatowskiego, mądrego i uczciwego pana. Zna on swój naród, zna potrzeby kraju, więc cieszymy się, że dobrze będzie w naszej miłej Ojczyźnie!“

— Dałby to Bóg! — ozwał się ktoś z towarzystwa.

W czasie gdy tak toczyła się rozmowa o nowoobranym królu, zaturkotało coś naraz przed gankiem — widocznie nowy gość przyjechał. Ciekawy Julianek podbiegł do okna, i osłupiał na widok osoby wysiadającej z kolasy — dotąd bowiem widywał panów tylko w strojach polskich, jakie wszyscy wtenczas dokoła nosili — a tu, jegomość nowo przybyły, ubrany był zupełnie inaczej i jak się wydało Juliankowi, bardzo dziwacznie: była to niewielkiego wzrostu figurka, z zaokrąglonym brzuszkiem, przybrana w trzewiki ze sprzączkami i w pończochy, w pluderki ponsowe ze złotą tasiemką u kolan, w białą lamową kamizelkę, w kusy zielony frak z pętlicami złotemi, i w upudrowaną perukę, od której czarna, morowa wstążka spadała mu na plecy.

Gdy gość ów wszedł do pokoju, mały Julianek patrząc na niego jak na dziwo, nie mógł się powstrzymać od pokazania go palcem i zapytania na głos: „Co to, *to*?!“

I ojciec i obecni zakłopotali się niewłaściwem zachowaniem dziecka, bowiem gość to był wcale poważny choć tak dziwacznie ubrany: był nim pan Ossoliński, podkomorzy podlaski, który pierwszy w tych stronach kraju przywdział strój francuski, zaczynający już wówczas wchodzić w modę w stolicy. W sposobniejszej chwili wytłumaczył to ojciec później Juliankowi — ale tymczasem, podczas kiedy starsi panowie zajęli się znowu ożywioną rozmową o Elekcyi — bo i p. Ossoliński przyjechał głównie dla nagadania się o ważnych nowinach — Julianek, zatopił się tak dalece w podziwianiu szczególnego stroju nowego gościa, że nie

słuchał już dalej i nie uważał co mówiono o nadziejach na przyszłość i nowym Królu.

Wkrótce po powrocie z tej podróży w Podlaskie do domu, zaczął się Julianek uczyć. Rodzice sprowadzili mu z Brześcia nauczyciela — a choć i na zabawę jeszcze dość czasu pozostało, pilnemu i pojętnemu chłopczykowi nauka szła tak łatwo, i robił tak szybkie postępy, że mając zaledwo lat siedm już czytywał ojcu na głos gazetę.

Ta gazeta była wielką na owe czasy nowością: zaczęła wychodzić w Warszawie już po wstąpieniu na tron Stanisława Poniatowskiego — wydawał ją ksiądz Bohomolec, a oprócz niego samego, pisywali do niej różni uczeni i rozumni ludzie jak Łojko, Chreptowicz, Albertrandy i t. d. — Pismo to, noszące tytuł „Monitor“ podawało nietylko wiadomości z kraju i ze świata, ale i rozmaite rozprawy w celu poprawienia obyczajów; wyszydzano w niem złe i szkodliwe przywary naszego narodu i starano się oświecać umysły tak, aby zdolne były uznać potrzebę zmian i reform koniecznych. (Ciąg dalszy nastąpi).

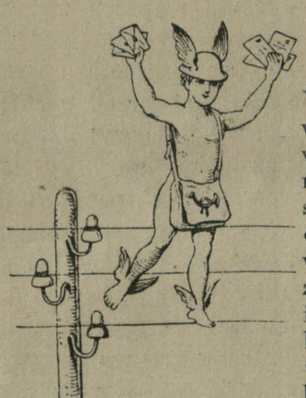

Skrzydlaty listonosz.

Dola T. we Lwowie. Wasza składka na szkołę w Białej, zebrana z dobrowolnie nałożonej, grzywny za niezamykanie drzwi, nie doszła wprawdzie do wysokiej cyfry, ale na ten, jak i na wszystkie publiczne cele, pożądane są datki choćby i najmniejsze — bo nie wielkość ale ilość tych datków, wytwarza zazwyczaj największe sumy — za Waszym przykładem, może pójdą i inni Czytelnicy. — Co do osobistej sprawy poruszonej w liście, zdaje nam się, że Wasza obawa jest zupełnie bezpodstawna. — Józef Z. we Lwowie. Można posłać na nasze ręce — odpowiedź, jeśli będzie, siostrze doręczymy. — Zosia P. we Lwowie. Ponieważ pierwsza wysyłka numerów nie doszedłszy Cię, zaginęła na poczcie, więc za powtórną nic nam się od Ciebie nie należy: za pocztę zawsze Redakcya odpowiada. Na liście, do podpisu „stara“ mogłaś z całą słusznością dodać i „kochana“ Czytelniczka.

Etka W. w Borysławiu jest „nową“, którą witamy z przyjemnością! Drukujemy zawsze nazwiska wszystkich, którzy na czas przyszlą rozwiązania. — Staś D. w Stanisławowie. Szarada będzie dobra, gdy słowo „zmysłowy“ zastąpimy przez „wzrokowy“ — bo bez tego trudnoby ją odgadnąć. — Wincenty S. w Stanisławowie. A która z osób w książce najwięcej Ci się podobała? — Tadeusz T. w Cieszynie. Poczta płata nam figle nieznośne: nagrodę byliśmy Ci już raz wysłali, teraz, skoro Cię nie doszła wysyłamy ją ponownie i rekomendujemy. Wiadomość o samych jedynkach w świadectwie, bardzo nas ucieszyła. — A. B. C. we Lwowie. Choć krzywo ale trafnie! Nie wątpimy o powodzeniu na końcu kursu. — Zosia E. w pensyonacie Wnej Pani Zagórskiej, we Lwowie. Jaka to radość, że Wasza kochana Przełożona już przyszła do zdrowia!

Oleś Śl. w Sanoku. Szkoda, że nie słyszymy jak deklamujesz wierszyki z otrzymanej w nagrodę za kaligrafię książeczki. Czy lepiej już Tatusiowi? Bardzośmy się zmartwili wiadomością o jego chorobie. — Marynia M. w Krakowie. O, i owszem! bardzo chętnie zamawiamy sobie karty z waszej fabryki, tem bardziej, że zawsze najgorącej popieramy przemysł krajowy! Niezapominajki nie zostały przez los zapomniane, bo im właśnie przeznaczył nagrodę. — Henryk Ż. w Tarnowie. I Ciebie ten numer ucieszy. — Eleonora M. we Lwowie. Możesz przysłać swoje zagadki, bo prędzej się doczekasz umieszczenia której, jeżeli będziemy mieć rozmaitość w wyborze. Cieszy nas, że Ci się tak „Dzwon Zygmuntowski“ i „W cieniu Wezuwiusza“ podobają. — Delusia B. we Lwowie. O przysłanej nam dziś łamigłówce, to samo musimy powiedzieć co o poprzednich, że bardzo dobrze ułożone. Jedną damy w przyszłym numerze.

Pszczółka z Kębłowa. Nie, tym razem nie było żadnej pomyłki, jak tego dowodzi wydrukowane rozwiązanie. Cieszy nas, że „nasza pszczółka“ oceniła myśl wierszyka. — Łączymy serdeczne wyrazy. — Krakowianka w Samborze. Dziękujemy Ci za śliczny widoczek. — Zosia K. w Wadowicach. Napisz nam jak Ci się podoba nagroda? — Józef K. w Stanisławowie. Czy to Mickiewicza pomnik stoi przed Gimnazyum? i które są okna Twojej klasy? — Polska Dzieweczka w Krakowie. Nietylko „Koledzy“ ale i zaczynająca się dziś „Ofiara“ i „W cieniu Wezuwiusza“ i wszystkie. — Józia D. w Krakowie. I nam to „przyjemnie“ że „przyjemność była wielka“. Krzyż trochę inaczej był złożony. — Uczenice klasy VI. szkoły w G. Wszystkie zagadki rozwiązane bardzo dobrze. — X. Y. Z. w Drohobyczu. I owszem, możesz przysłać „zagadkę“ i możesz, obok „zagadkowego“ podpisu X. Y. Z. na swoich listach do nas dodawać i nazwisko. — Litwin w Stanisławowie. Bardzo dobrze!

Krzyż magiczny.

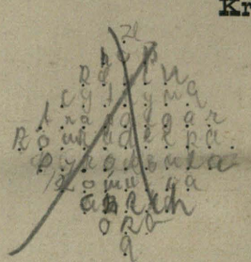

Spółgłoska.
Wykrzyknik góralski.
Półwysep w półn. wschodniej Azyi
Owoc sprowadzany do nas z kr. poł.
Przylądek w poł. kończynie Hiszpanii.
Nazwisko sławnej polsk. bohaterki.
Nazwisko poety polskiego.
Dopływ Dniestru z lewego brzegu
Nazwa człow. z pokrewnej nam narod.
Narzędzie wzroku.
Samogłoska.

Turystka Tatrzańska.

Rozwiązanie łamigłówek z 9-go Nru.

Trójkąt: Czacki, Zakon, Adam, Cel, Ku, I.

Zadanie bez samogłosek tworzy:

Boże Ojcze Twoje dzieci, płaczą żebrzą lepszej doli.

TREŚĆ: Ofiara. — Koledzy. (C. d.) — Wiosna. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. (Ciąg dalszy). — Skrzydlaty Listonosz. — Łamigłówki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 11. We Lwowie, dnia 1. Czerwca 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

numer jubileuszowy

ku uczczeniu pięćsetnej rocznicy założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

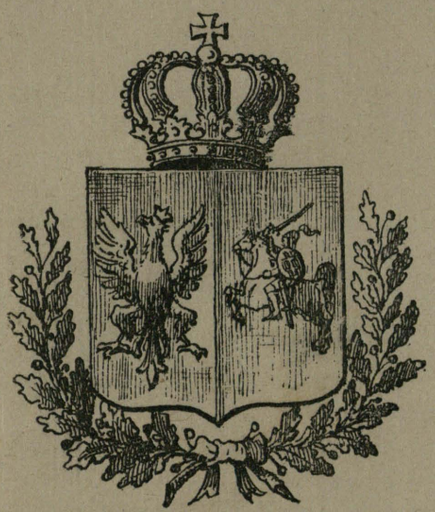

Pięćset lat mija właśnie od chwili kiedy Władysław Jagiełło, wznowił w stolicy Polski, Krakowie, wszechnicę, czyli uniwersytet. Od tej pory istniała ta wszechnica bez przerwy, przez pięć wieków, aż do czasów dzisiejszych, a w roku obecnym święci cały naród polski pięćsetną rocznicę jej powstania. Ta wszechnica krakowska była jakby słońcem, skąd jasne promienie padały na całą naszą kochaną Ojczyznę i oświecały mnóstwo ludzi pogrążonych przedtem w ciemnocie. Ta wszechnica dawała o nas znać innym narodom i była dowodem, że i my, Polacy, kochamy oświatę, że i my uczymy się i idziemy naprzód, i że dla nauki i wiedzy umiemy ponosić ofiary. Między nazwiskami jej profesorów i jej wychowanków, znajdujemy takie, które jaśnieją sławą nie tylko na naszą ziemię, ale na świat cały.

Nazywamy ją „alma mater“ t. j. matką żywicielką, bo też powiedzieć można, że wykarmiła ona ducha narodu ożywczą swoją krynicą. Oto w najkrótszem streszczeniu dzieje tego zakładu od pierwszej chwili jego powstania do dni dzisiejszych:

Stan oświaty u nas aż do wieku XIV. był jeszcze wogóle w całym kraju bardzo niski. Duchowieństwo zakładało wprawdzie szkółki klasztorne, katedralne i parafialne, ale w tych szkołach uczono jeszcze bardzo mało, bez żadnych podręczników czyli książek szkolnych a tylko z wykładu nauczyciela i to po łacinie. Profesorami byli wyłącznie sami księża a uczniami, ci co się sposobili do stanu duchownego — dla świeckich, uważano naukę za rzecz zupełnie niepotrzebną. Ale i duchowni musieli po gruntowniejszą i głębszą naukę wyjeżdżać za granicę, do szkół wyższych, zwanych wszechnicami — co przy ówczesnym braku dróg i środków komunikacyi połączone było z wielu trudnościami i niebezpieczeństwami. Chcąc temu złemu zaradzić, założył Kazimierz W. r. 1364 za upoważnieniem Papieża pierwszą u nas szkołę wyższą, „akademią“ w Krakowie. Ale umarł nie dokończywszy dzieła, a wskutek zamieszek po jego śmierci, nowy ten zakład wkrótce zupełnie upada. Jadwiga, na podźwignienie akademii zapisuje swoje klejnoty i dzieła odnowienia uniwersytetu dokonuje Jagiełło roku 1400.

W piętnastem stuleciu jaśnieje wszechnica krakowska największym blaskiem, ściąga do swych murów wielu studentów i uczonych zagranicznych, przez profesorów swoich i uczniów słynie po obszarach całej Europy. Ale gdy w Europie rozpowszechnił się wtedy zapał dla świata starożytnego i poezyi starożytnej, uniwersytet krakowski nie poszedł za tym ogólnym prądem, który nazywano „humanistycznym; a ponieważ wszystkie dalsze nauki na tej podstawie rozwijać się



Biblioteka Jagiellońska.

zaczęły, zatem nasz uniwersytet pozostał po za niemi, jakby na uboczu i chwilowo stracił tę rolę przodownictwa w oświecie w której już tak pięknie się zaznaczył. W wieku XVI. utrzymuje się jeszcze mniej więcej na równi — w XVII. i XVIII. wskutek nieszczęśliwych wojen, zubożenia majątku akademii i ogólnego zastoju w naszem społeczeństwie, przechodzi nasza „alma mater“ najsmutniejsze chwile — niemniej i wtedy poczuwa się do obowiązku pracy nad oświatą kraju, utrzymując wciąż i zakładając szkoły niższe, średnie, zwane „koloniami akademickiemi“.

Nareszcie przychodzi chwila odrodzenia, gdy za Stanisława Poniatowskiego u steru oświaty staje nasza wiekopomna Komisya Edukacyjna: z jej rozporządzenia dokonuje Hugo Kołłątaj zupełnej reformy krakowskiego uniwersytetu, podnosi go, rozwija i stawia na stanowisku godnem polskiej nauki. Niestety! upadek Ojczyzny musiał znowu odbić się smutno na losach starej szkoły: W r. 1795. Kraków dostaje się pod panowanie Austryi i wszechnica Jagiellońska ulega przymusowemu, zupełnemu zniemczeniu! Za pierwszym błyskiem wolności, pod chwilowymi rządami księstwa warszawskiego i Rzeczypospolitej krakowskiej otrząsa się zaraz z tego wpływu, ale po r. 1846, gdy Kraków wcielony ponownie do Austryi, mury gmachu Jagiellońskiego zmuszone są znów brzmieć echem niemieckich wykładów. Dopiero po ogłoszeniu w Austryi konstytucyi r. 1861 odzyskuje język polski swoje prawa. Odtąd wzrost i rozwój wszechnicy są świetne i znowu stoi ona na czele polskiej oświaty a w pierwszorzędnym szeregu uniwersytetów europejskich. Koronę jej jakoby stanowi, z jej łona wyrosła i z nią na współ działająca „Akademia Umiejętności“, towarzystwo uczonych — najwyższa instytucya naukowa polska.

Pięćset lat! łatwo to wymówić i napisać — ale warto zastanowić się nad tem, co to za przeciąg czasu. Pół tysiąca lat zapadło w otchłań przeszłości — zmienił się prawie wygląd świata: cywilizacya, zwyczaje — państwa jedne upadły drugie powstały — upadła i pełna niegdyś wielkości i chwały Ojczyzna nasza — a ta nasza po najświetniejszych czasach odziedziczona Skarbnica Wiedzy stoi niezachwianie, owszem jaśnieje blaskiem świeżości jakby dopiero co powstała, rozwija się coraz świetniej, coraz potężniej — jest tą latarnią na morskiem pustkowiu do której zwracamy oczy, rozmieceni wichrem przeciwnym po świecie — jest strażnicą ojczystego języka i sztandarem naszego naukowego stanowiska w obec całej Europy.

Cześć więc tej naszej „Matce żywicielce!“ cześć tej olbrzymiej, niegasnącej pochodni oświaty!

Założenie uniwersytetu w Krakowie.

Przenieśmy się myślą do czasów Kazimierza Wielkiego. Pójdziemy przypatrzyć się i pomodlić na wielkiem nabożeństwie, które odbyło się w dzień Zielonych Świąt w roku 1364. Lecz po za świętem kościelnem musi tu jeszcze być obchodzoną niemała uroczystość, skoro aż zjechał na nią Jarosław Skotnicki arcybiskup Gnieźnieński... Niezmierne tłumy ludzi zalegają kościół, w którym modli się także sam Wielki król. A dziwnie radosne ma on w tej chwili oblicze! Szczęście jakieś podniosłe przejmuje całą jego istotę, i promienieje z pięknego oblicza.

Król Kazimierz oto, korząc się na kolanach przed Bogiem, dziękuje Mu za szczęście swego narodu; dziękuje Bogu, że tej niedawno poćwiartowanej Ojczyźnie pozwolił zrość się i stać się znowu potężną i szczęśliwą. Tę szczęśliwą, tę potężną poleca Jego miłościwej opiece i prosi, aby błogosławił nowemu dziełu, które on, król rozpoczął budować ku chwale Bożej i ku szczęściu swoich poddanych. Bo oto wznósł dla nich szkołę wyższą, uniwersytet, aby naród wzbogacając się nauką mógł przez to przybliżać się do swego Stwórcy, będącego najwyższą mądrością.

Po to właśnie przybył arcybiskup Skotnicki, aby w imieniu Ojca Świętego poświęcić i otworzyć ten przybytek nauki, — jeden z pierwszych w Europie środkowej — najdalej ku wschodowi i północy wysuniętą krynicę światła.

Dziś darmobyśmy szukali owego gmachu, — miał on stać na dzisiejszem przedmieściu Kazimierzu, które podówczas było wioską, zwaną Bawołem.

W dniu uroczystym, wyżej opisanym, gmach przeznaczony na pomieszczenie najwyższej szkoły nie był jeszcze skończony: lecz królowi tak pilno było, aby promienie światła i nauki, zaczęły rozchodzić się po kraju, że nie czekając wykończenia obszernych gmachów, otwiera uniwersytet w kilku wykończonych już salach, w których też zaczęła się zaraz gromadzić młodzież chciwa wiedzy.

Chcąc godnie pomieścić przybytek nauki król Kazimierz rozkazał budować gmachy wspaniałe i obszerne, lecz choć pilnie doglądał wznoszącego się dzieła, to przecież nie wykończył budowy. Śmierć, przerywając życie króla, tak drogie dla całego narodu, przerwała tem samem i dalszą pracę koło gmachów uniwersytetu, które też po śmierci Założyciela powoli zaczęły niszczeć. Nie znalazł się nikt z gorącem pragnieniem wykończenia rozpoczętego dzieła, następca bowiem Kazimierza Wielkiego, Ludwik, nie wiele troszczył się o dobro powierzonego mu kraju. Dopiero wnuka Wielkiego króla, Jadwiga, kochająca kraj swój i pragnąca jego dobra, zaczęła troszczyć się o dzieło rozpoczęte przez dziadka. Jednakże i ona nie dokończyła budowy uniwersytetu, w początkach bowiem panowania, działalność jej pochłaniało nawrócenie Litwy, a gdy następnie zabrała się do dźwigania zaniedbanej szkoły, śmierć przed-

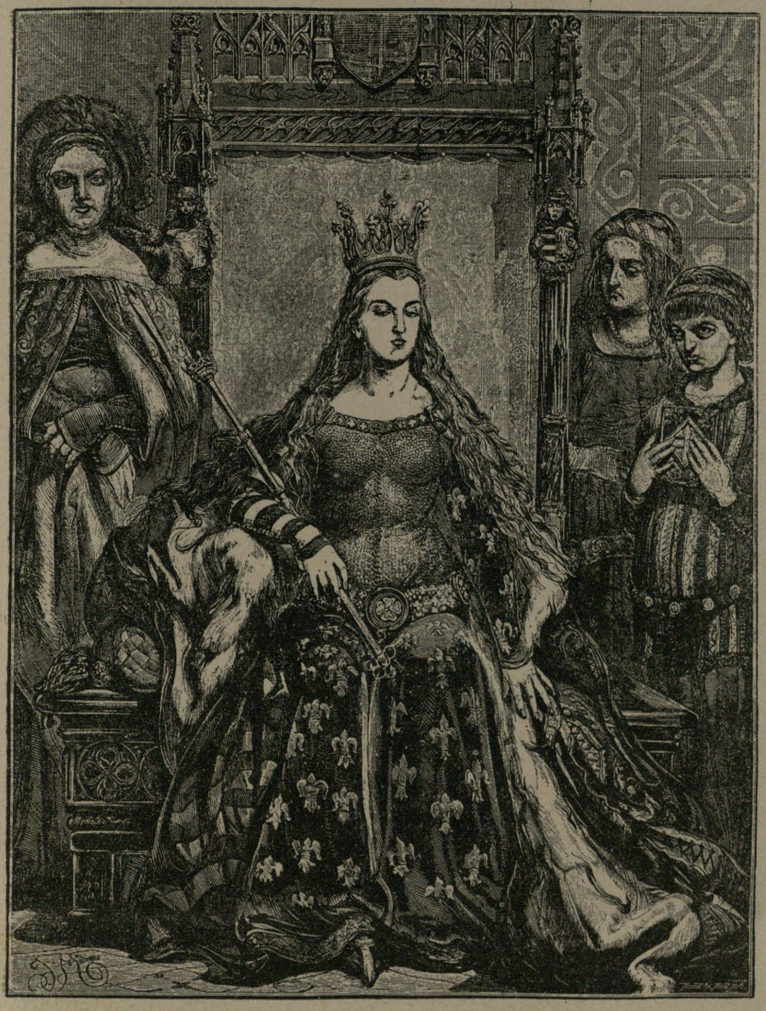

Królowa Jadwiga.

wczesna wydarła ją narodowi. Lecz młoda, piękna królowa, leżąc na łożu śmiertelnem, nie zapomniała o wielkiem dziele, szerzenia światła wśród swego narodu: ostatnie jej myśli tu na ziemi zwracały się ku szkole, mającej darzyć kraj skarbami wiedzy. W testamencie poleca mężowi tę wyższą szkołę, a na jej wzniesienie daje swoje perły i kosztowności.

Król Władysław Jagiełło zajął się gorliwie ostatnią wolą swej małżonki i już w pierwszą zaraz rocznicę śmierci nieodżałowanej Jadwigi, t. j. w roku 1400 otwiera uroczyście, odnowiony uniwersytet. Jednakże nie umieszczono go już w dawniej zaczętych gmachach na Bawole, te bowiem były bardzo zniszczone, a przytem nie dogodną była zbyt wielka odległość ich od miasta. Dla tych przyczyn odnowiony uniwersytet, umieszczono w gmachu przy ulicy Św. Anny, który nazwano Kollegium Jagiellońskiem. Dziś w gmachu tym mieści się biblioteka Jagiellońska. Uroczystość powtórnego otwarcia uniwersytetu odbyła się z wielką a poważną wspaniałością. Po nabożeństwie odprawionem w katedrze na Wawelu, ruszył uroczysty pochód do nowego kollegium. Król, otoczony duchowieństwem i dostojnikami państwa, obecnością swoją uświetnił uroczystość.

Dzień ten pamiętny w następujący sposób opisuje nam Michał Wiszniewski, autor „Historyi literatury polskiej“: „Tego więc dnia król, z przepysznym i długo ciągnącym się orszakiem udał „się z zamku na ulicę Św. Anny. Najprzód postępował dwór królewski konno i w świetnej zbroi, „potem konne i piesze wojsko na pięknych koniach i świetnie odziane. Potem szedł rektor „w todze purpurowej aksamitnej, z takimże mucetem złotym galonem obwiedzionym, dalej profesorowie teologii w togach aksamitnych fioletowych, galonem złotym obszytych. Dalej dziekan „filozofów w todze szkarłatnej galonowanej z takimże mucetem i dalmatyką, po nich szli profesorowie, gęstym orszakiem królewskich halabardników otoczeni; za nimi szedł senat, biskupi, „wojewodowie i kasztelani w złocistych deliach „i w czerwonych butach o nosach wysoko w górę „zagiętych, niektórzy mieli kołnierzyk perłami „wykładany i rękawy długie wiszące, za pas „pozatykane, żeby się nie wlokły po ziemi. Przed „nimi szedł marszałek koronny. Potem ciągnął się „długi szereg książąt, nadwornych urzędników, „konsulowie krakowscy z całym urzędem miejskim i smutna kazimierskich mieszczan garstka. „We wszystkich oknach, po gankach, nawet na „dachach mnóstwo zebranych ludzi radosnymi „oklaski witało wchodzącą do miasta akademią „z królem. Lesiste postaci Litwinów zwracały „oczy mieszczek krakowskich w złotych na głowie czułkach z rąbkiem na plecy spadającym. „Nietylko niektórzy z tych dumnie przed Jagiełłą „stąpających panów, ale i lud z natchnienia „i przeczucia wiedział: iż tu wprowadzają do miasta „wieczystą pochodnię, z której jak z żywego źródła „dobroczynne światło rozchodzić się będzie po całej „Polsce, wraz z religią chrześciańską, ludzi cnotliwszemi „a więc szczęśliwszemi czyniąc: że ta szkoła wychowując ludzi światłych i cnotliwych, dostarczy mężów „do rady i oręża zdatnych, a stąd nie mało do sławy „i świetności kraju się przyczyni. Tak piękne nadzieje „ożywiały serca wszystkich, i tych co rozumieli na co „patrzą i tych co tylko przeczuwać mogli. Tymczasem „tego orszaku nietylko Collegium Jagiellońskie ani ulica „Św. Anny ale nawet ogromny rynek krakowski ogarnąć nie mógł; wszędzie widziałeś natłok różnobarwnej „ludności, a między niemi przewijali się żydzi, których „łapcie z żółtego sukna na plecach od innych odróżniały „mieszkańców.

„Tylko więc króla i senat profesorowie do nowego „kollegium wprowadzili, gdzie zaraz Piotr Wysz biskup „krakowski „Veni Creator Spiritus“ zaśpiewał. Poczem „nieutulony jeszcze w żalu po śmierci Jadwigi król Jagiełło, zasiadł na tronie, a brodaci senatorowie na ławach; był to wieniec najznakomitszych wówczas mężów“.

Król wysłuchał także pierwszego wykładu, który miał Piotr Wysz, biskup krakowski a zarazem kanclerz

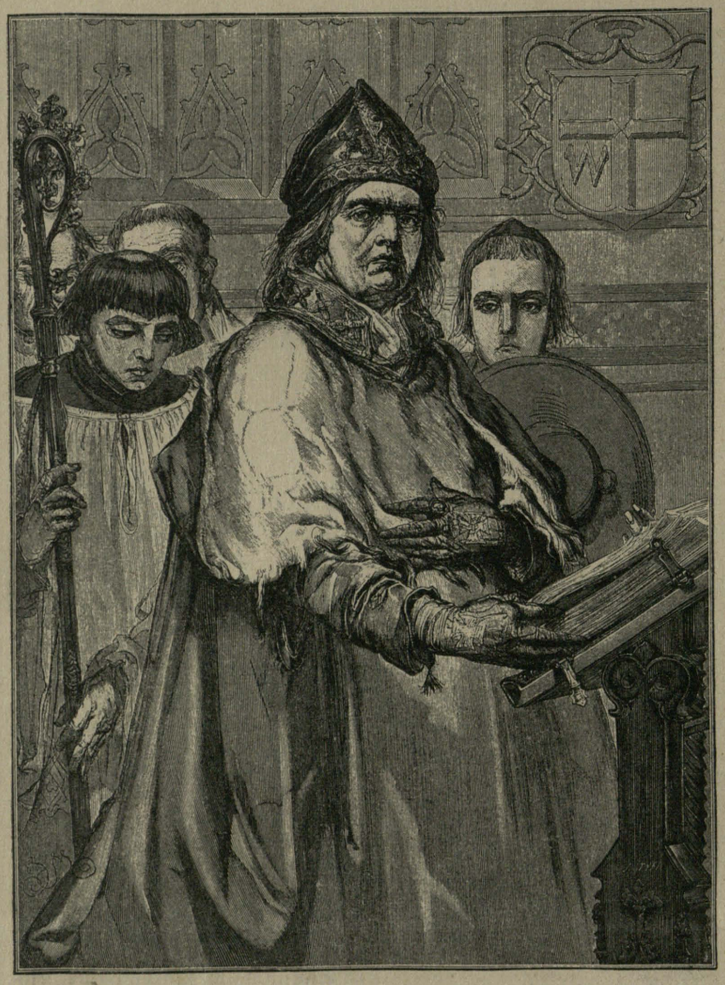

Kardynał Zbigniew Oleśnicki.

odnowionej akademii*). Po wykładzie przemawiał Stanisław ze Skarbimierza, dawny spowiednik królowej Jadwigi a pierwszy rektor uniwersytetu Jagiellońskiego. Jako słowo wstępne do swojej przemowy wziął mały wyjątek z Apokalipsy t. j. księgi objawienia spisanej przez Św. Jana i rozwijał zaczerpnięte stąd porównanie stylem zastosowanym do ówczesnych upodobań ale, który nas dzisiaj razi jako zawiły i napuszysty. W przemowie tej starał się jednak wykazać cel i znaczenie odnowionej szkoły, w końcu zwrócił się do króla z podzięką za doprowadzenie do skutku kazimierzowskiego dzieła. I wykład i przemowa odbyły się oczywiście po łacinie.

Nowo otworzone Kollegium Jagiellońskie, składało się z kilku sal wykładowych, z kilku małych pokoików przeznaczonych na mieszkania profesorów i ze wspólnej sali jadalnej.

Niech was to nie dziwi, że profesorowie mieli wspólnie zamieszkać w przybytku nauki, jakby w klasztorze, i tryb życia urządzono im klasztornie, albowiem wszyscy profesorowie odnowionego uniwersytetu byli duchownymi, i jako takim, tryb klasztorny był im najdogodniejszy.

W owych czasach wogóle ludźmi uczonymi byli niemal sami duchowni; inni nie mieli czasu na naukę, zajęci prawie od dzieciństwa albo rycerskiem rzemiosłem, albo ciężką pracą fizyczną. Tylko w cichych celach klasztornych zajmowali się mnisi pracą umysłową, dzieląc się następnie nabytą wiedzą z tłumami ludu zebranego w przybytkach pańskich, w których z ambon rozchodziło się światło, między ciemne rzesze.

Teraz jednakże, gdy w Krakowie otworzono na nowo przybytek wyższej nauki, zaczęły się garnąć tłumy młodzieży, nie tylko do uniwersytetu lecz i do szkół niższych, z których można było przejść do szkoły wyższej t. j. do kollegium Jagiellońskiego, a stamtąd na najwyższe dostojeństwa w kraju.

Umiano u nas cenić ludzi oddających się nauce, która nierównych urodzeniem i majątkiem równała.

Zygmunt I. wydał ustawę, mocą której syn mieszczański lub włościański pełniący urząd profesora w Jagiellońskiej szkole stawał się szlachcicem. Szlachectwo takie przechodziło na potomstwo. W tem dowód, że ceniono naukę wysoko, uważano ją za skarb uszlachetniający każdego, kto zrobił sobie z niej uszlachetniającą własność.

Ludzie zacni uważali sobie za obowiązek, wspieranie ubogiej młodzieży, garnącej się z całego kraju do murów Krakowa. To też postarano się najpierw o dach dla uczącej się młodzieży. W tym celu wznoszono gmachy mogące pomieścić młodszych i starszych uczniów. Gmachy takie nazywają się po dziś dzień bursami. Do najstarszych należała bursa zwana Jerozolimską, a wzniósł ją swoim kosztem Zbigniew Oleśnicki. Bursa ta dlatego nazywała się Jerozolimską, iż biskup Oleśnicki uczynił ślub odbycia pielgrzymki do Jerozolimy, gdy jednakże sprawy państwa wymagały ciągłej w kraju obecności wielkiego męża, postanowił ślub swój zamienić na dobry uczynek. I czyż mógł zrobić lepszy, jak wystawić gmach, w którym stu uczniów znalazło przytułek. Ponieważ bursa stanęła zamiast odbyć się mającej pielgrzymki do Jerozolimy, nazwano ją Jerozolimską. Dziś niema już śladów bursy Jerozolimskiej, lecz na miejscu, gdzie dawniej stała, zbudowano obecnie gmach na użytek uniwersytetu.

Młodzież pomieszczona w bursach otrzymywała tam całe utrzymanie; później jednakże, gdy wobec napływu tej młodzieży nie wystarczało funduszów, cała ludność miejska przychodziła w pomoc ubogim „żakom“. W każdym domu trochę zamożniejszym, gotowano większą ilość posiłku, niż było potrzeba dla domowników. A gdy zadzwoniono w południe na Anioł Pański, młodzież zamieszkująca bursy, odmówiwszy pacierz, zabierała garnuszki z łyżkami i wychodziła w miasto. Mieszkańcy gościnnie zapraszali biedaków do siebie i napełniali ich próżne garnuszki posilnym pokarmem, aby dziatwie nie zabrakło sił do pracy, mającej w przyszłości wydać bujne owoce dla kraju. Rzeczywiście: z biednych żaków wy-

*) Według woli Ojca świętego, biskup krakowski był opiekunem akademii i nosił tytuł kanclerza akademi.

rastali często pierwsi dostojnicy państwa, którzy przecież w pomyślności o biedniejszych nie zapominali, lecz sypali hojnie grosz na nowe bursy, lub uposażali dawniejsze.

Chęć do nauki była wówczas ogólną a to nietylko u chłopców lecz i u dziewcząt, dla których przecie podwoje nauki były zamknięte i trzeba się było wciskać do nich podstępem. Jako dowód posłuży wam następujące zdarzenie:

Wkrótce po odnowieniu uniwersytetu przez Jagiełłę, stawiono przed sądem, młodą dziewczynę oskarżoną o wielką zbrodnię, bo o ukrywanie się pod męskiem przebraniem!

— Co cię skłoniło do tego nagannego i karygodnego czynu? zapytał oskarżonej, sędzia.

— Miłość nauki! odpowiedziała zapłoniona dziewczyna.

Miłość nauki kazała jej przywdziać męskie ubranie, aby w niem dostać się na ławy uniwersyteckie, z których mogła się przysłuchiwać słowom mądrości, słowom prawdy!

Sędziowie wzruszeni do głębi szlachetnym zapałem, prawdą i prostotą uderzającą w odpowiedziach oskarżonej zapytali biedaczkę, jakie ma zamiary na przyszłość? a dowiedziawszy się, że pragnęła zostać mniszką, aby kształcąc dalej swój umysł lepiej służyć Bogu, zacni sędziowie postarali się o spełnienie tego życzenia. Wkrótce też żądna nauki dziewczyna została mniszką i kształcąc się dalej sama, dzieliła się nabytą wiedzą ze swemi siostrami zakonnemi; zakonnice kochały i szanowały swoją siostrę nauczycielkę, którą wkrótce obrały Przełożoną.

W miarę postępu nauki, mury kollegium Jagiellońskiego, nie mogły pomieścić w sobie sal wykładowych i potrzebnych przyborów naukowych. To też musiano wkrótce powznosić nowe gmachy, w których nauka szerzyć się mogła. Część tych gmachów znajduje się przy ulicy św. Anny, część przy ulicy Grodzkiej i na Wesołej. Gdy przybytki nauki rozmieściły się w rozmaitych punktach miasta, stare kollegium Jagiellońskie przekształciło się powoli w bibliotekę, noszącą po dziś dzień nazwę „Biblioteki Jagiellońskiej“, lub uniwersyteckiej. Ogromne zbiory książek, znajdujące się w starym gmachu, są przeznaczone do publicznego użytku.

Uniwersytetowi, wzniesionemu dla dobra kraju, dano jako godło dwa na krzyż złożone berła. Berła są znakiem panowania: bo też nauka to potęga której władzy tym sposobem hołd złożyć chciano i chciano wyrazić, że uniwersytet ma nauką panować nad całym krajem. Nietylko z naszej ziemicy ale i z sąsiednich krajów zbiegano się do niego po światło wiedzy; roznoszono je stamtąd po wszystkich zakątkach naszej krainy.

Mieczysława Śleczkowska.



Jan Długosz w pracowni.

Ofiara.

Obrazek dziejowy z XII. wieku.

Przez M-L. Z.

(Ciąg dalszy).

Tu pustelnik zatrzymał się, jak gdyby sił mu zbrakło do mówienia o strasznej chwili, która złamała jego życie. Wstał i przeszedł się gorączkowo po swej ciasnej izdebce, przyklęknął chwilę przed drewnianym krucyfiksem wiszącym nad łożem, i dopiero uspokojony nieco, niepewnym jeszcze i częstemi westchnieniami przerywanym głosem ciągnął dalej:

— Chcesz zapewnie wiedzieć, co mnie na tę tu pustelnię zagoniło? Rycerza zwykle takie nieszczęście popycha do zemsty i do czynu — ja, wiele tygodni przeleżałem nieprzytomny — poczciwy giermek i stary sługa jeszcze mojego ojca, którzy mnie nigdy nie opuszczali, czuwali nademną. Wyzdrowiawszy, myślałem tylko o zemście: jak wilczyca wściekła po wydarciu jej szczeniąt, rzuciłem się na Pomorzan, walki i utar-

czki z nimi wrzały tam u nas ciągle na pograniczu, nie trudno było o okazyę — zebrałem sobie drużynę i prowadziłem wojnę na własną rękę. Za wzór dzielności mię uważano, między wyborem najdzielniejszych rycerzy. — Niestety: znano mię także jako wzór szalonego okrucieństwa. Jak tam Miłosława droga, jak matka moja, z niewiast wszystkich najsłodsze, patrzały z nieba na mnie, w zbója bez litości przedzierzgniętego?...

Raz, po bitwie stoczonej w wiosce jakiejś pogranicznej zapędziłem się w pogoni, daleko od towarzyszy — aż nad moczar, który uciekającym przecinał drogę. Ścigani przezemnie stanęli, i ja także stanąłem, ale w jednej chwili reszta Pomorzan rozpierzchła się w różne strony, przedemną stał tylko młody chłopiec — pacholę jeszcze prawie, w objęciu trzymający na pół omdlałą ze zmęczenia i przestrachu dziewczynę. Rzuciłem się ku nim z obnażonym, krwią świeżą ociekłym mieczem. Młodzieńczyk dłoń błagalną wyciągnął do mnie.

— Rycerzu! jam ranny, siły moje osłabły... dobij mnie, ale zlituj się nad siostrą moją — ją rodzice umierając powierzyli mojej opiece: słuszna nam mężom krew za krew przelewać i ginąć — ale dziewczyna, słaba jak gołębiątko, nigdy krzywdy nie wyrządziła nikomu! zlituj się — może i na ciebie w domu także wyczekuje siostra złotowłosa...

Te słowa jak rozpalone żelazo zakipiały w ranie mojej serdecznej.

— Masz, Pomorczyku swoją siostrę za moją!... — zawołałem oszalały, przebijając niewinną dzieweczkę i trupa jej rzucając w ramiona skamieniałego z bolu pacholęcia. — Rzucił się na mnie po chwili z odwagą rozpaczy, jednem ramieniem tylko nie wypuszczając ciała siostry z objęcia, — na jego nieszczęście, nie byłem jeszcze wytrzeźwiony z wściekłości... Gdy książę nasz, dziecko jeszcze prawie, z ochmistrzem swoim Wojsławem i z resztą rycerstwa, po ukończonej bitwie nadjechali, zastali mnie, osłupiałego, nad dwoma trupami tych niewinnych dzieci...

Szlachetny pan nasz brzydził się okrucieństwem: dla rycerza hańbą jest krew niewinna — choćby wroga! Wstyd i ból i obawa kary Boskiej, więcej jeszcze niż gniew i wyrok królewski, zapędziły mnie na tę pustelnię: złożyłem uroczystą przysięgę, że ręka moja nie dotknie już miecza, który dla zemsty za własną krzywdę krwią niewinną skalała.

Zaszedłem aż tak daleko, od moich stron rodzinnych, bo nie mogłem już patrzeć na te miejsca, świadki moich nieszczęść i zbrodni. —

Dańko słuchał przejęty współczuciem — i nawet jasna pierwej radością twarz, pobladła mu przy powieści pustelnika.

Starzec zauważył tę zmianę — i żal mu się zrobiło chłopaka: — Nie przypuszczaj znów sobie smutnych myśli do głowy mój chłopcze, może Bóg łaskaw wszystko złe odwróci. — A przynajmniej dopóki cię darzy radością, ciesz się nią i płać Mu wdzięcznem sercem. — Opowiedziałem ci moje dzieje pchnięty głosem wewnętrznym, który mi kazał przypomnieć ci, że człowiek nigdy nie pewnym jest dnia ani godziny i zawsze czuć się powinien w ręku Bożem. Bądź gotów do ofiary, ale ciesz się póki jej Bóg nie żąda.

Idź Dańku, spiesz do swoich i ciesz się nimi. Ja dziś noc całą spędzę na modlitwie w kaplicy... zbudziłem burzę w mojej duszy... Ty Dańku, idź! noc księżycowa — nie zwlekaj, nie trać chwil drogich na szczęście ci przeznaczonych. Wypocząłeś już trochę. Znam dobrze tę boczną drogę do gościńca, przeprowadzę cię do wsi następnej, najmiesz tam wózek jaki — o świcie będziesz w Głogowie. Ojciec i Leszek i Dobromira zdrowi — bądź spokojny! Pomnij jednak, że celem życia nie jest szczęście...

Tu zachwiał się głos pustelnika: Oby Bóg ci je dał!... oby ci je dał, moje dziecko: oby ci nie zbyt ciernistą była droga obowiązku i cnoty.

II.

Po cichu odsunęły się z wewnątrz wrzeciądze i otworzyły się drzwi zamożnie choć skromnie wyglądającego mieszczańskiego domku w Głogowie. Wybiegła z nich śliczna, jasnowłosa dziewczyna — promiennym uśmiechem witała wschodzące słońce, a zarazem spoglądała bacznie w ulicę od głównej bramy wiodącą, jak to codziennie od tylu już miesięcy czynić była przywykła! Tym razem wydała okrzyk radośny, i krzykiem tym wywołała ojca i brata małego z głębi domu. „Jedzie, jedzie! Dańko, nasz Dańko powraca! Ojcze — Leszku! a spieszcie tu żywo, Dańko przyjechał!“

Kmiecy wózek zatrzymał się przed nimi. Wysmukły chłopak wyskoczył z niego i do nóg ojca stojącego w progu się rzucił.

Trudno opisać radość i gwar takiej chwili: powitania po latach, przez które prawie wieści o dalekim nie było — a w owych czasach niespokojnych tyle się mu złego mogło wydarzyć! — Dobromira płakała z radości, krzątając się żywo około śniadania dla ukochanego gościa. Dańko co chwila słaniał się do nóg starego Sędziwoja, do stóp mu kładąc swój skarb, dowód że niestraconymi były lata rozłąki: torbę z uzbieranymi pieniędzmi i próbami umiejętności swojej! — Mały Lech ciekawie dotykał wszyskiego i z błyszczącymi oczyma przysłuchiwał się opowiadaniom starszego brata — a ojciec równie często na tego najmłodszego, jak i na nowoprzybyłego spoglądał i jakby się pochlubić chciał swoim pieszczochem, co chwila powtarzał: „A co Leszek? jak wyrósł, jak zmężniał! nie byłbyś go poznał może, Dańku?...“ Dańko rozpowiadał ojcu swoje zamiary na przyszłość — stary Sędziwoj cieszył się z nim razem. Tak zwykła w owych czasach surowa powaga rodzicielska, znikła bez śladu w owej pierwszej chwili połączenia i razem układali jak warstat podnieść i rozwinąć, jak Dańko przedstawić się ma burmistrzowi i pa-

nom rajcom, jako stały już odtąd nowy mieszkaniec królewskiego miasta Głogowa, towarzysz cechu ślusarskiego.

— A wiesz ty Dańko, że Leszek także ślusarzem chce być koniecznie — weź go odrazu na naukę. — Wszak mu czternasty rok już idzie. A Mirze pono ośmnaście! — No, dobrze, że już mam was wszystkich razem — lżej będzie oczy zamknąć staremu, gdy ty Dańku młodszemu rodzeństwu za opiekuna zostaniesz. A dobrze mi wyucz Lecha naszego rzemiosła — tam pewno mądrze to robią w Krakowie. — Leszek chłop tęgi, krew z mlekiem — i siły i rozumu mu Pan Bóg nie poskąpił. — To za tych dwóch, co mi ich zabrał w czasie zarazy. — Oj, płakałaż wtedy wasza biedna matka płakała! Zawsze mi się zdawało, że to śmierć jej przyspieszyło. Mira o mało także nie poszła za matką i za braćmi, ale jakoś już przecie Bóg się zmiłował nademną i was troje przy zdrowiu mi zachował — a w naszym Leszku odbił wdzięczne matki oblicze, jakby sercu na pociechę i przypomnienie!

Rozgadał się i rozrzewnił Sędziwoj — i on był zazwyczaj, obyczajem ówczesnych ojców, dla dziatwy swojej więcej surowym niż tkliwym — ale dziś rozrzewnienie przemogło nad powagą i szłodsza poułałość zbliżyła ku sobie ojca i dzieci. Leszek głaskany ręką starca po jasnych włosach, do kolan mu się garnął z uściskiem — dorodny Dańko, bez trwogi ze łzami dłoń Rodzica całował — a modrooka Dobromira nieśmiało się tuląc do ojca, jedną ręką jego, a drugą brata przybyłego objęła za szyję.

Wkrótce, przez czeladkę majstra Sędziwoja o przybyciu Dańka uwiadomieni, zaczęli się schodzić sąsiedzi, by oglądać gościa.

Podróżnik wtedy, była to rzecz tak rzadka, tak pożądana!

I musiał opowiadać Dańko o Krakowie, o zamku księcia, o domach ozdobnych, o bogactwach wielkiego miasta, o obyczajach tamtejszych. Wszyscy słuchali zachwyceni. Mało który z tych ludzi zawędrował choćby tak daleko jak Wrocław — jeden z nich po wojaczce zajrzał tam kiedyś do Poznania — ale to już tak dawno było, a przytem Kraków! Kraków, to złote jabłko tych krain, kędy się polska rozlegała mowa.

Pamiętano jeszcze, że nad Krakowem królewska błyszczała korona, zanim jej zbyt śmiały w chuciach swoich Bolesław II. w krwi Świętego Stanisława nie utopił.

O dawniejszych dziejach, o dniach, poprzedzających powrót Kazimierza Odnowiciela z Niemiec, lud ówczesny nie wiele wiedział.

Opowiadania ojców, stanowiły jedyne źródło wiadomości synów o przeszłości; dość było osierocenia za lat dziecinnych, żeby się nić tych wiadomości przerwała — a i w najlepszym razie do trzeciego lub czwartego pokolenia, ledwo zamglone, zmienione nieraz do niepoznania, dochodziło wspomnienie. Wspomnienia te w lot czasem chwytali gądźbiarze — czyli śpiewacy wioskowi, rzucając między ludzi piosnki, legendy i baśnie.

Czasem które z tych podań dostało się do rękopisu kronikarza i dzisiaj rzuca nam światło, może nie zupełnie dokładne, na pojedyncze wypadki, zaszłe za praojców naszych, na ich sposób myślenia i czucia, na obyczaje ich...

I pieśni te, podania i legendy stanowią jakby nić złotą, idącą z serca narodu, i łączącą wszystkie wieki jego istnienia, wszystkie pokolenia jego dziatek. Wątpię, by któremu z słuchaczy Dańka przychodziły dodobne myśli — siali oni, w cichości codziennego zajęcia, te kwiaty i ziarna pracy wytrwałej a ciężkiej, której owoce my dzisiaj zbieramy.

Nie mieli czasu, zamieniając nieprzybyte lasy na kwitnące pola, zapełniając pustki wsiami i miastami, zastanawiać się nad tem, co następcy o nich myśleć będą.

Zresztą nie brakło im i trosk wielkich. Te wsi, ten owoc ich pracy, zewsząd zagrożone były. Oborom groziły niewytępione jeszcze wilki i niedźwiedzie — krajowi całemu, nigdy nienasyceni, chciwi łupów i siedzib obszerniejszych sąsiedzi... Oj, ci sąsiedzi!... Nie było prawie roku, żeby spokojnym mieszkańcom wzgórz nad Odrą i Nissą nie zaciężyła żelazna ich ręka.

To też stary Sędziwoj, smutnem nauczony doświadczeniem, ochłonąwszy trochę z pierwszego zachwytu zadowolonej ciekawości, pierwszy zapytał:

— A co tam słychać u dworu? Nie zbierają wojska? Podobnoć tu się Niemcy ruszają...

Ze wspomnień starej szkoły.

Szereg obrazków.

Każdy ktokolwiek zwiedza w Krakowie Bibliotekę Jagiellońską, zatrzymać się musi przechodząc przez obszerną sień gotycką i zrobić znak krzyża u zakratowanej furty kapliczki, w której na ołtarzu zawsze światło płonie. Wszyscy wiedzą że tu była niegdyś izdebka, gdzie mieszkał św. Jan Kanty gdy był profesorem uniwersytetu w Krakowie. Oto jak go nam opisuje Kraszewski, przez usta jednego ze swych bohaterów powieściowych:

„Stał nieopodal odedrzwi mężczyzna w samej wieku sile, z piękną, pogodną aż niemal promienistą, dobrocią uśmiechającą się a rozumną twarzą. Od pierwszego wejrzenia nań nie można się było powstrzymać aby ku niemu jakiejś czci nie powziąć.... Siłą jakąś wielką ciągnął ku sobie, a każde jego spojrzenie było jakby lekarstwo uspokajające duszę.... Nigdy w ciągu długiego później życia mojego nikt na mnie nie uczynił takiego wrażenia, a gdym dojrzawszy zastanawiał się nad tem, nie mogłem go porównać z niczem, chyba z tą potęgą Chrystusa Pana, który też

jednem wejrzeniem i słowem za sobą ciągnął tłumy. Ten też mocą Chrystusową na ludzi działał. Mąż to był uczony wielce, pracowity niesłychanie, a cały żyjący w Bogu; ale nad wszystkiemi jego cnoty górowała niezrównana dobroć, łagodność i wyrozumiałość dla ludzi. Dla siebie samego katem był, bo postami, umartwieniami, biczowaniem, czuwaniem ciało swe dręczył nieustannie; względem drugich zaś anielską miał dobrotliwość i miłosierdzie. Szanowany przez wszystkich, bo swojego czasu akademia nie miała nad niego uczeńszego męża, pokorę miał dziecięcą. Nigdym go nie widział ani zniecierpliwionym ani gniewnym — widok nieprawości zasmucał go, do łez rozbolewał, ale nie burzył. Tuż w bramie kollegium mieliśmy izdebek parę szczupłych, w których ks. Jan się umieścił z książkami

tak mówić umiał, iż go każdy zrozumiał, a słowo jego szło prosto do serca".

Nieziemska postać Św. Jana Kantego ukazuje się nam na czele całego korowodu innych, na które rzucał blask świetlany swojej aureoli. Teraz z kolei nasuwa się nam na pamięć mąż zupełnie do tamtego niepodobny, choć również (jak zresztą wszyscy prawie ówcześni uczeni) był księdzem.

Komuż nie jest znana poważna postać księdza Jana Długosza, nauczyciela synów Kazimierza Jagiellończyka? Czy jest dziecko polskie, któreby nie słyszało nazwiska tego ojca historyków naszych? On także był uczniem akademii Jagiellońskiej. Ten Długosz, którego zawsze przywykliśmy sobie wyobrażać już w podeszłym wieku, z miną surową i uczoną, przybył w mury

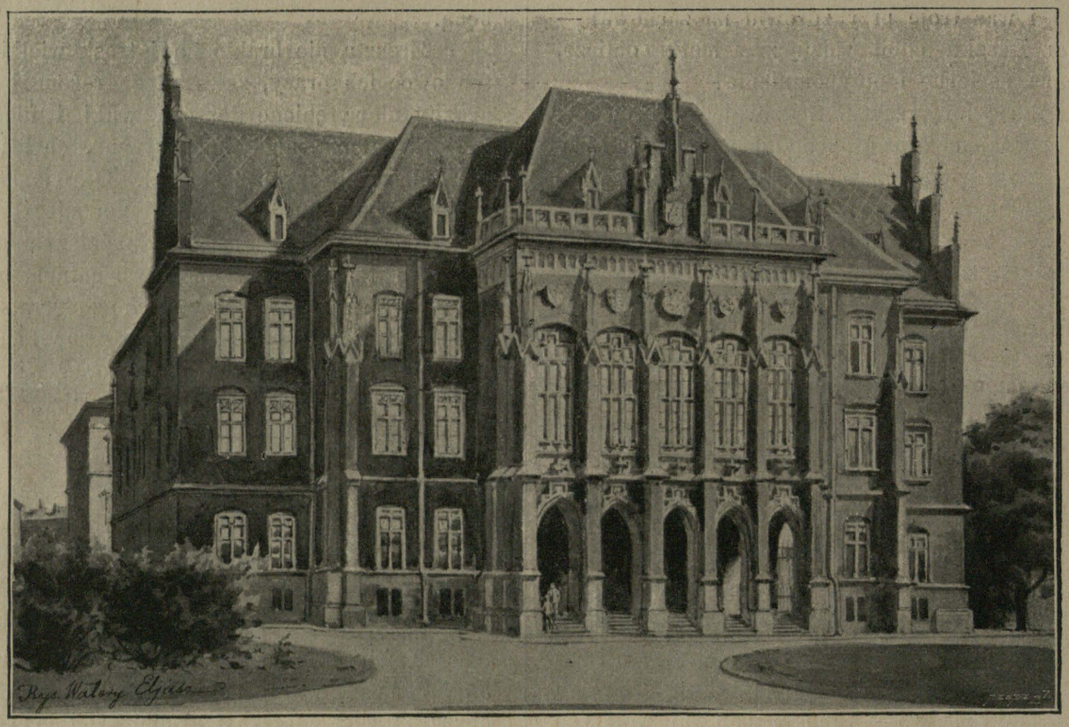

Collegium Nevum.

swemi i sprzętem ubogim, bo można było powiedzieć, że dla siebie nic prawie nie potrzebował. Służba przy nim nie była ciężką, prawie żadną, bo on sam, modląc się, sobie służył, i często do studni w podwórzu kollegium ze dzbankiem chodził, aby mnie snu nie przerwać. Jednej chwili spoczynku w życiu jego nie było. Czytał, pisał, albo klęcząc się modlił. Wzywano go też często na poradę i przychodzono do niego aby jej zasięgnąć. Cisnęli się oprócz tego ubodzy, którym nieraz od ust odjęte jedzenie i ostatni płaszcz oddawał, jeśli nic innego nie miał. Grosz też u niego nie przeleżał jednego dnia — mówił, że go nie potrzebował. A co najważniejsza, przy ciągłych umartwieniach, pracy, znużeniu nie widziałem go nigdy zmęczonym, nigdy smutnym ani chmurnym. Twarz wypogodzona uśmiechała się, dodawał otuchy i męstwa drugim, a sam mądry z prostaczkami

Krakowa jako trzynastoletnie pacholę, trwożne i onieśmielone (jeden z czternastu synów ubogiego szlachcica Długosza, herbu Wieniawa) i tutaj mieszkał w bursie, z książkami chadzał do szkoły i wśród gwaru i swawoli kolegów przepowiadał sobie lekcye, zawsze cichy, spokojny, w nauce zatopiony, unikający wszelkich bójek i kłótni. Stąd, nieskończywszy nauk dla braku funduszów, dostał się do kancelaryi biskupa Zbigniewa Oleśnickiego i pod jego czujnem okiem i opieką rozumną wchodził w dalsze życie.

Ale dość już o młodości uczonego kanonika. Nie wszyscy znakomici później mężowie rozpoczynali życie swe tak spokojnie i bogobojnie. (C. d. n.).

Alina Świderska.

Koledzy.

Przez

Irenę Mrozowicką.

(Ciąg dalszy).

— Ale skąd wiesz że odstąpił od egzaminu?

— No, to przynajmniej się nie zgłosił: Mówili mi koledzy, którzy byli wczoraj popołudniu w szkole dla zdawania poprawek, że Wydera nie przyszedł wcale.

Tłum studentów wypłynąwszy na ulicę, począł rozpraszać się w różne strony — Stach Blesiński przyspieszył kroku: pilno mu było do domu, bo tam matka z niepokojem oczekiwała jego powrotu ze świadectwem. To się dopiero ucieszy, gdy je przeczyta! Wprawdzie z językami zawsze jeszcze dosyć słabo idzie, ale zato matematyka, fizyka, celujące! w ogóle, we wszystkich naukach przyrodniczych Stach stoi bardzo dobrze, a to dla niego z matką przecież na tę chwilę najważniejsze.

Janek Waniewski powracał do siebie krokiem powolnym, jakby dźwigał na ramionach wielki ciężar — i istotnie dźwigał go tylko nie na ramionach ale w sercu. Wiadomość, że Wydera w ostatniej chwili nie zgłosił się do zdawania poprawki z matematyki, uderzyła go jak gromem. Odrazu poczuł z całą pewnością, że jedynym powodem tego niespodziewanego obrotu rzeczy był splamiony zeszyt — choć nie rozumiał czemu się tak stało? czemu Wydera nie przepisał swych wypracowań? lub w ostatecznym razie nie oddał i splamionego zeszytu profesorowi.... Chyba że... istotnie w ostatniej chwili opamiętał się, iż to stypendyum nie jemu się dostać powinno, i że iść tak przebojem na zdobycie go nie warto i nie należy się. Janek z całą usilnością starał się wmówić w siebie, że to ostatnie przypuszczenie musi być prawdą — choć rozumiał, że właściwie było ono zupełnie bezpodstawne, ale dla niego najmniej przykre i niepokojące. — Dla rozstrzygnięcia tych wszystkich wątpliwości, najłatwiejszą rzeczą było zabiegnąć do Wydery i szczerze, jak kolega, kolegę zapytać go, co zaszło właściwie — ale na taki krok Janek nie zdobyłby się nigdy. W głębi duszy czuł, że zawinił ciężko względem Wydery, nie tem, że przypadkowo zniszczył mu zeszyt, ale tem, że przez lata całe żywił ciągle względem niego niechęć, nieusprawiedliwioną dostatecznie (a może nawet i wcale) postępowaniem kolegi.

Teraz niepowodzenie jakie za jego mimowolną przyczyną spotkało Wydrę, było dla niego karą bardzo surową — nadaremnie usiłował wmówić w siebie, że jeżeli Stach Blesiński otrzyma stypendyum, będzie to faktem nader pożądanym, którym on na równi ze wszystkimi kolegami szczerze cieszyć się będzie — sumienie szeptało mu, że on jeden właśnie cieszyć się tem nie potrafi dlatego, że jest nieprzyjacielem Wydry, że mu zawsze zazdrościł dobrych stopni i przyjaźni Korewicza i że wreszcie sam, choć mimowoli zniweczył jego zabiegi o stypendyum.

Małe wakacye smutno tym razem upłynęły Jankowi — był tak skwaszony wszystkimi swymi kłopotami, że nie miał ochoty nawet widywać żadnego z kolegów ani chodzić na ślizgawkę; siedział w domu odczytując książki, które już znał dawno. Tymczasem z powodu wyjątkowych w tym roku mrozów i panujących w mieście epidemicznie chorób gardła, przedłużono na całych dziesięć dni zwykłą dwudniową przerwę w naukach — ale Janek nie użył wcale tych wakacyi; z niepokojem i upragnieniem zarazem oczekiwał chwili pójścia do szkoły — tam nareszcie dowie się już raz dokładnie jak rzeczy stoją,

W wilią właśnie tego ważnego dnia, wyszedłszy na miasto po jakiś mały sprawunek, zobaczył z daleka na ulicy Wydrę, prowadzącego pod ramię swego wuja.

Miał ochotę uniknąć spotkania z nimi i w tym celu chciał przejść na drugą stronę ulicy, ale parę sanek przejeżdżających właśnie całym pędem, wstrzymało go u brzegu trotuaru, i już było zapóźno.

I tak jednak minęli się, nie skinąwszy sobie nawet głową — może Wydra nie spostrzegł go, bo oczy miał utkwione w ziemi, jakby prowadząc wuja szukał dla niego jak najwygodniejszej drogi — przytem zdawał się przytrzymywać jego ramię ze szczególną troskliwością a siłą.

— Wiekuisty lizus! musi się zawsze komuś przypochlebiać! — powiedział sobie z pogardliwem skrzywieniem Janek — równocześnie jednak zauważył, że twarz Wydery była dziś wyjątkowo mizerną, i to spostrzeżenie zaniepokoiło go.

Wieczorem tego dnia, gdy właśnie układał książki i zeszyty, aby je mieć w pogotowiu na dzień jutrzejszy — do pokoju wszedł Korewicz.

Janek porwał się ku niemu z okrzykiem radości ale zaraz z uścisku ręki i spojrzenia Korewicza poznał że coś zaszło niepomyślnego.

— Wiesz już wszystko? — zapytał krótko Zygmunt.

— Jakto?... nie rozumiem właściwie dokładnie o co mię pytasz?

— Ach, naturalnie o sprawę stypendyum!

— To wiem... to jest... słyszałem... że Wydra nie stawił się na egzamin z matematyki, więc zapewne odstąpił od zamiaru...

— Tak — nie stawił się, bo przesiedziawszy całuteńką noc nad powtórnem przerabianiem matematycznych ćwiczeń dostał swojej migreny! tak szalonego bolu głowy, że cztery dni przeleżał jak w malignie a żaden z was nawet nie zdobył się na to, aby pójść do niego zapytać co się z nim stało? czemu nie zgłosił się ani do egzaminu ani po świadectwo? Ty nawet nie poczułeś się do tego obowiązku, choć wiedziałeś, że jeśli Wyderę ominie celujący stopień z matematyki a wraz z nim i stypendyum, to będzie jedynie z twojej winy.

Na takie oskarżenie Jankowi wszystka krew uderzyła do twarzy.

— Z mojej winy?! — odrzucił głosem drżącym z oburzenia — czy winą można nazwać taki ślepy przypadek, jak to wywrócenie kałamarza? Czyż ja kiedykolwiek usiłowałem zaszkodzić w czem Wydrze? czy kopałem pod nim dołki podstępnie? Nie lubiłem go, to prawda — ale moja niesympatya, nie mogła wpłynąć na jego stopnie z matematyki — a zeszyt poplamić przypadkowo mogłem tak samo największemu nawet przyjacielowi — nawet... tobie samemu!

— To wszystko prawda — potwierdził z poważnym spokojem Zygmunt — ale, gdybyś mnie był zniszczył zeszyt, stanowiący niejako o całym moim losie, byłbyś się niezawodnie zainteresował moją nieobecnością w szkole po takiem zajściu, byłbyś opowiedział profesorowi całe zdarzenie i usiłował zapobiedz skutkom twej nieuwagi. Jestem pewien, że dla mnie byłbyś to wszystko uczynił, a dla uratowania Wydry nie ruszyłeś nawet palcem — przez dziesięć dni nie spytałeś co się z nim dzieje! — I to jest właśnie bardzo źle — bo jeżeli mamy jakieś szlachetne zobowiązania względem naszych przyjaciół, mamy je tem więcej względem tych, których nie lubimy.

Janek stał zmięszany i przygnębiony wymownymi dowodami Korewicza, którym nie umiał już przeciwstawić żadnej obrony. Cóż mógł powiedzieć, skoro te zarzuty były słuszne — zupełnie słuszne.

— Widzisz.... zaczął nareszcie z wahaniem — ja doprawdy miałem chęć zgłosić się do Wydry ale... nie śmiałem. On naturalnie wie dobrze, że go nie lubię, więc z tym kałamarzem... mógł pomyśleć, Bóg wie co! było mi przykro iść.

— Wydera jest sam za szlachetny, aby drugich o nieszlachetność posądzać. — A czyż mniej ci będzie przykro spotkać się z nim teraz, gdy już wszystko przepadło?

— Przepadło?... wyjąknął Janek — przecież stypendyum nie może jeszcze być nadane?

— Tak, ale termin wnoszenia podań zapadł onegdaj, a Wydera swego podania nie wniósł, bo gdy pokazał świadectwo z pierwszego półrocza Kuratorowi stypendyjnego funduszu, ten powiedział mu, że z takim stopniem z matematyki, nie ma szansy otrzymania stypendyum — tembardziej, że jest drugi kandydat, uczeń tego samego gimnazyum, który we wszystkich naukach matematycznych i przyrodniczych wykazał stopień celujący.

— Ten kandydat, to oczywiście Blesiński?

— Tak...

Długą chwilę obaj chłopcy milczeli.

— A zatem stało się i już klamka zapadła! — zawołał wreszcie Janek — Bóg widzi, jak mi to jest niemiłe, że to ja, choć całkiem mimowoli, przeważyłem tę szalę na niekorzyść Wydry — ale czy nie można uznać, że przeważyła ją zarazem sprawiedliwość? Wszak Blesiński razem z całą swoją rodziną jest w kompletnej biedzie — Wydera ma u opiekuna dostatnie, prawie zbytkowne utrzymanie.

— Tak, ma utrzymanie — powtórzył Zygmunt jakimś dziwnym tonem — ma, rzeczywiście, dostatnie zaspokojenie wszystkich potrzeb, dopóki...

— Dopóki co?... podjął z gorączkową prawie niecierpliwością Janek.

— Dopóki ten wuj będzie malował — dopóki będzie w stanie pracować na utrzymanie swoje i swej rodziny — dopóki... nie ociemnieje!... a to stać się może równie dobrze dziś, jak za rok lub parę miesięcy czasu, ale kiedyś stać się musi nieodwołalnie.

— Wielki Boże! wykrzyknął Janek blednąc — dlaczego ma ociemnieć? skąd ci takie straszne przypuszczenie przyszło do głowy?

— To nie przypuszczenie — to fakt uznany przez doktorów i któremu, ich zdaniem, nic na świecie zapobiedz nie może. Janek i jego wujenka już od roku wiedzą o grożącej strasznej katastrofie — sam chory nie wie jeszcze nic, i daj Boże, aby się dowiedział jak najpóźniej, bo każde najlżejsze wzruszenie przyspieszyć a nawet spowodować wprost może utratę wzroku.

— Ale... jakżeż on może malować, dawać lekcye rysunków, skoro jest zagrożony ślepotą?

— Może — do czasu może wszystko i nawet nie szkodzi sobie tem wcale, bo źródłem grożącej mu ślepoty jest nie jakaś organiczna wada wzroku, lecz przedewszystkiem cierpienie mózgowe którego początek datuje jeszcze od chwili gdy utracił swą ukochaną, jedyną córeczkę. Od tej pory każde, najlżejsze nawet wzruszenie pogarsza jego stan — dlatego to Wydera i jego wujenka tak drżą z obawy, aby ktoś nieostrożnem słowem nie wydał przed nim strasznej tajemnicy, i nie zwierzają się z niej nikomu, nikomu na świecie. Ja jeden, spotkawszy raz Wyderę powracającego właśnie od słynnego Dra G. który potwierdził wyrok wydany przez innych lekarzy, prawie przypadkiem dowiedziałem się o wszystkiem. Każdy szlachetny i rozumny chłopak na miejscu Wydery, tak samo jak on poczuwałby się do obowiązku wypłacenia długu wdzięczności, i zawczasu starałby się własną pracą zdobyć środki, którymi by mógł przed nędzą zasłonić ukochanego dobroczyńcę i opiekuna!

— Czemuż nie powiedziałeś mi wcześniej?... szepnął z rozpaczą Janek. (C. d. n.)

TREŚĆ: Uczczenie pięćsetnej rocznicy założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego. — Założenie uniwersytetu w Krakowie. — Ofiara. — Ze wspomnień starej szkoły. Szereg obrazków. — Koledzy. (C. d.)

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 12. We Lwowie, dnia 15. Czerwca 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów ul. św. Mikołaja l. 5.

W Boże Ciało.

Dziś Boże Ciało! Spieszcie się dzieci,
Rwijcie jaśminy, róże, bławaty;
Kto Jezusowi drogę ukwieci,
W swej duszy rajskie posieje kwiaty.

Tędy iść będzie! pod baldachimem,
W woni ziół polnych, w pieśniach prostoty,
Owian błękitnym kadzideł dymem,
Promieniejący z Monstrancyi złotej —

Tędy iść będzie! ten sam Bóg świata,
Zbawca, co niegdyś, goszcząc na ziemi,
W biednym i nędznym każdym miał brata,
Rad się otaczał dziećmi małemi.

O, zabiegnijmyż Mu drogę, dzieci!
Prośmy, niech przejdzie po naszej miedzy:
Nasz mrok i smutek niechaj rozświeci!
Szept ziół niw polskich przyjmie do wiedzy!

Z. M.

Echo z Krakowa.

Przed tygodniem, dnia 7. czerwca, odbyła się w Krakowie wspaniała uroczystość pięćsetnego jubileuszu Akademii, o którym pisaliśmy Wam w poprzednim numerze.

Cały ten świetny obchód prawdziwą pociechą napełnić może serce każdego Polaka. Oprócz tysięcy, tysięcy gości ze wszystkich stron Polski — których ledwo pomieścić mogły przystrojone świątecznie w chorągwie, makaty i wieńce, mury starego Krakowa — zjechali się także przedstawiciele niemal wszystkich akademii obcych, wszystkich uniwersytetów w Europie i poza Europą, aby, bez różnicy narodowości i z pominięciem niechęci plemiennych, wziąć gorący udział w tym hołdzie, składanym naszej prastarej świątyni nauki.

I to właśnie nadaje całemu obchodowi tak wielkie, nie przemijające znaczenie! Choćby najnieżyczliwsi nam chcieli zamykać oczy, choćby wmówić chcieli w świat zapomnienie o nas, o przeszłości naszej i o obecnej doli — taka uroczystość jest jak gdyby pokazaniem zwierciadła w którem duchy narodów przeglądać się muszą i obliczając się z przeszłością, nie mogą nam zaprzeczyć miejsca które nam należy. Przypomniała ona światu najświetniejsze chwile i postaci naszych dziejów — przypomniała wiekopomne zasługi Ojczyzny naszej wobec cywilizacyi całej ludzkości — a odbyła się ze wspaniałością i powagą niczem nie zamąconą.

Pierwszy punkt programu uroczystości, stanowiły wspaniałe pochody przez miasto, do Maryackiego kościoła i na Wawel, do grobów Kazimierza W., Jadwigi i Jagiełły. W pochodach tych brali udział: cały senat akademicki z profesorami i doktorami Uniwersytetu Jagiellońskiego, młodzież, cechy rzemieślnicze, najwyższe duchowieństwo, dostojni goście przedstawiciele innych uniwersytetów i ciał uczonych, dygnitarze i naczelnicy władz — konne banderye Krakusów, grupy ludowe, dziatwa szkolna, obywatelstwo wiejskie, mieszczaństwo miasta Krakowa — deputacye różnych towarzystw i związków — a wyglądało to razem przepysznie i olśniewało barwną rozmaitością strojów i godeł. — Drugim ważnym momentem uroczystości, było nabożeństwo odprawione w kościele N. P. Maryi przez księcia biskupa krakowskiego — a trzecim, najgłówniejszy obchód jubileuszowy w przemienionym chwilowo na salę posiedzeń i wspaniale w średniowiecznym stylu przybranym kościele św. Anny. Tu wygłoszono do 80 mów ku uczczeniu Akademii Jagiellońskiej — z tych niektóre — jak druga część przemowy teraźniejszego rektora Akademii, dr. Stanisława Tarnowskiego i mowa przybyłego umyślnie z Wiednia Ministra Oświaty, dr. Hartla, po łacinie — inne, we wszystkich cywilizowanych językach, bo oprócz polskich uczonych i dostojników, przemawiali tu goście obcy w imieniu swoich uniwersytetów. Wszystkie te mowy, nawet wygłaszane w niemieckim lub rossyjskim języku, wyrażały serdeczny, braterski hołd dla polskiej „Alma Mater". — Wszystkie deputacye wręczały tu Wszechnicy Jagiellońskiej swoje dary lub adresa a nawzajem ta wszechnica rozdzielała niektórym wybranym i najzasłużeńszym, dyplomy na tytuł „honorowych doktorów" Akademii krakowskiej — do odznaczonych tym zaszczytem należał i Henryk Sienkiewicz. — Cała ta uroczystość skończyła się dopiero o 3-ciej godzinie z południa, a podniosły i pełen zapału jej nastrój nie osłabł ani na chwilę. Wieczorem odbyła się illuminacya miasta, jubileuszowe przedstawienie w teatrze i wspaniały bankiet dla gości jubileuszowych, na którym znów wygłoszono szereg mów i toastów pełnych zapału. — W ogóle podczas tych kilku dni, od Zielonych Świąt, był Kraków ciągle ożywiony rozmaitymi zjazdami i obradami, jak zjazd Towarzystwa historyków polskich, Tow. Pedagogicznego, Tow. nauczycieli szkół wyższych, wiec kobiet, i t. d. które wszystkie chciały tym sposobem podnieść i uświetnić jubileusz starej szkoły Jagiellońskiej. Obchodowi sprzyjała najpiękniejsza pogoda — a jasny promień pogody tych dni, ogrzał nam serca na długo!

Koledzy.

Przez

Irenę Mrozowicką.

(Dokończenie).

— Dałem Kazikowi słowo, że mu dochowam tajemnicy, więc musiałem dotrzymać. Gdy sprawa stypendyum po raz pierwszy została poruszona wobec całej klasy chciałem już ostrzedz ciebie i Blesińskiego jak rzeczy stoją — ale mię Wydera zaklął, żebym tego nie robił. Powiedział mi: I wujenka i ja wolimy żyć z myślą o czekającej nas w przyszłości nędzy, niż o jednę godzinę przyspieszyć utratę wzroku biednego wuja — a któż wie czy „tajemnica“ powierzona tylu osobom nie zamieniłaby się w pogłoskę kursującą z ust do ust, mogącą trafić tam, gdzie jej najsłabsze echo spowodować może nieszczęście. — Uznałem słuszność jego słów i milczałem. Teraz jednak myśl, że będziecie nadal gnębić Wyderę waszą niechęcią, że nikt prócz mnie nie ujmie się nigdy za nim, zmusiła mnie do odsłonięcia ci prawdy. — Mam nadzieję, że tego nie pożałuję.

— Zygmuncie! dlaczego tak mówisz do mnie? — wykrzyknął Janek z żalem — mogłem być nierozważnym, a wskutek tego wydawać się nawet złym — ale nie byłem nigdy podłym!

— Wiem o tem i dlatego właśnie odwołuje się do twojej szlachetności — odparł serdecznie Korewicz ściskając rękę kolegi.

— Jestem gotów zrobić wszystko czem mógłbym choć w części wynagrodzić to co się stało — och, gdybyż to jeszcze nie było zapóźno!...

— Tego co się już stało, nie cofnie nikt, więc na razie możesz to chyba tylko zrobić, żeby Wyderze okazywać trochę więcej życzliwości, na którą jak sądzę, teraz nie będzie ci już tak trudno się zdobyć. On nie jest miły, przyznaję — ale jest z gruntu dobry i prawy, a przytem ma bardzo ciężkie życie, mimo przeciwnie świadczących pozorów — więc my, koledzy, co jesteśmy obowiązani łączyć się i wspierać w potrzebie, nie powinniśmy mu jeszcze utrudniać walki z losem.

— Moja życzliwość nie zastąpi mu stypendyum, w razie gdyby... pozostali wszyscy bez kawałka chleba — westchnął rozpaczliwie Janek.

— To pewna — ale nie samym chlebem człowiek żyje — wierz mi, że Wydera i ciepły uścisk ręki bardzo ocenić potrafi — on przy swojem nieśmiałem, lękliwem usposobieniu, ma dziwną potrzebę i pragnienie ludzkiej przyjaźni, choć jej zdobywać nie umie. A co do chleba, może Bóg da że nie zabraknie go im jeszcze tak prędko — może tymczasem Wydera zmężnieje, wzmocni się fizycznie i moralnie, nabierze sił na opiekuna i podporę całej rodziny.

— Jakie to dziwne... gdybym był wiedział... zamyślił się znowu Janek. — Och, Zygmuncie, daję ci słowo, że już nigdy w życiu nie będę nikogo „nie lubił — to potem tak ciężko!

— Prawda — stokroć to ciężej przekonać się żeśmy kogoś niesłusznie obarczali naszą niechęcią, niż gdybyśmy go po nad zasługę obdarzali przyjaźnią — bo nie tylko w sprawach pieniężnych, ale również i w sprawach uczucia zawsze milej jest *nadpłacić* niż *niedopłacić*.

. . . . . .

Nazajutrz, przy pierwszem spotkaniu z Wyderą, Janek blady był jak ściana i nie śmiał prawie podnieść wzroku na spotkanie z oczyma kolegi, w którego losie przez obojętność i niechęć swoją zaważył tak wiele a w taki ujemny sposób. Ale uścisk dłoni Kazika nie zdradzał żadnej urazy — Korewicz musiał mu już coś wspomnieć o wczorajszej rozmowie, bo w ciągu lekcyi kilkakrotnie niespokojne, żywe spojrzenie Wydry zatrzymywało się na twarzy sąsiada, jakby pragnęło a lękało się o coś zapytać. Janek na takie pytające spojrzenie odpowiadał dziś zawsze życzliwym uśmiechem, wogóle usiłował o ile mógł bez zwrócenia zbytnio na tę zmianę uwagi całej klasy, okazywać Wyderze uczucia serdecznej przyjaźni i szacunku, jakie zajęły w jego sercu miejsce poprzedniej niechęci i pogardy.

Od dnia tego miał już Wydera dwóch gotowych go zawsze bronić i popierać przyjaciół, a że i Stach Blesiński, zwyciężywszy go w zabiegach o stypendyum, usiłował mu przykrość przegranej łagodzić jak największą uprzejmością i dobrocią, więc za tym przykładem i wszyscy inni przestali zwolna dokuczać prześladowanemu niegdyś koledze.

I, jak to często w takich razach bywa, Wydera, pod wpływem ogólnej życzliwości rozweselił się, ośmielił i zaczął uchodzić za wcale miłego towarzysza. Z Jankiem i Korewiczem stanowili teraz już nierozerwalną, ściśle zaprzyjaźnioną trójkę.

Nieraz godzinami całemi gawędzili o planach przyszłości, która dla wszystkich trzech, różną rozwijać się miała drogą: Janek postanawiał być profesorem — Korewicz natychmiast po zdaniu matury wybierał się do szkoły agronomicznej, aby coprędzej stać się podporą i wyręką ukochanemu Dziaduniowi — Wydera pragnął zostać doktorem medycyny, okulistą.

Co go popychało na tę drogę nie mówił; słowami nawet nie śmiałby dotknąć tych najsłodszych swoich marzeń i najstraszniejszych trwóg zarazem — ale obu przyjaciołom nie potrzeba było wyjaśnień, ściskali go za rękę, szepcząc: Będziesz doktorem i... będziesz leczył! Pan Bóg taki dobry...

Gloria tibi Alma Mater!

Na uroczystości jubileuszowe Wszechnicy krakowskiej napisała poetka Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) piękny obraz sceniczny, do którego muzykę skomponował Władysław Żeleński. Utwór ten był w dniu jubileuszu przedstawiony w teatrze krakowskim — że zaś jest bardzo pięknym, przeto podajemy go wam tu w skróceniu:

Rzecz dzieje się w Krakowie w r. 1400. Przy podniesieniu kortyny, gdzieś za sceną brzmi hejnał krakowski, a oczom widzów ukazuje się malutka, ale bardzo wysoka średniowieczna komnata, zupełnie pusta, bez żadnych sprzętów. Po chwili wchodzi stary pokojowiec królewski, z dwoma pacholikami, którym każe wynosić ze skarbczyka i ustawiać sprzęty i tłómaczy im, że się znajdują w komnacie nieboszczki królowej Hedwigi: Tam oto za kotarą, w miejscu gdzie stało jej łoże śmiertelne, ołtarz postawiono — a sprzęty wszystkie których używała, rozżalony po jej zgonie król, rozkazał złożyć do skarbczyka, aby ich widok serca mu nie rozdzierał.

„By nikt nie siadał, gdzie Ona siadała,
By nikt nie deptał tej krasnej poduszki,
Gdzie ona wdzięczne opierała nóżki,
By nikt nie czytał tych kart, gdzie Jej oczy
Rzucały promień, ach nieraz proroczy!“

I dopiero dzisiaj rano Król, powróciwszy z Katedry, rozkazał wszystko znowu tak ustawić jak było za życia Jadwigi: dziś chce się otoczyć pozostałymi po niej pamiątkami, chce ją sobie uprzytomnić, chce się łudzić że ona gdzieś w pobliżu, bo oto dziś dzień wielki, dzień uroczysty — dzień w którym Król, dopełniając ostatniej woli Królowej, kończy rozpoczęte przez nią dzieło, bowiem otwiera Akademią.

Stary pokojowiec, Małdrzyk, rozpowiadając to wszystko pacholikom, ustawia przy ich pomocy pulpit, na którym kładzie modlitewnik królowej, przy nim koszyk złoty zawierający przybory do robót kobiecych, a między niemi igły, nici i buncik pereł „któremi szyła ornat częstochowski“. Przy pulpicie krzesło, podnóżek i ławeczka na której kładła klucze, nożyce i chusty. Ledwo wszystko uporządkowane należycie, wchodzi sam Jagiełło z Jaśkiem z Tęczyna, kasztelanem krakowskim, — Małdrzyk się usuwa — a król, we wzniosłej, rzewnej i pięknej rozmowie z Tęczyńskim, rozpamiętuje przymioty nieodżałowanej Hedwigi. Pokazując Jaśkowi igły, jedwab i perły w złotym koszyku, powiada:

„Ach! jak te perły mi ją przypomniały
Blaskiem swej tęczy i czystości białej!
To była perła: i najczystszej wody!
Tęcza przymierza pomiędzy narody!“

A Jaśko na to:

„A tu przy igłach i księga się mieści!
Niebo jej dało wszelki wdzięk niewieści,
Ale jej głowę po męsku wykuło.
Zwykle niewiasty mają duszę czułą
Na głody serca i na głody ciała..,
Ona i głodnych dusz się litowała.
Ona to, chciwa pisma i psalmisty,
Chciała je pierwsza mieć w mowie ojczystej,
A też kollegja: rusińskie we Lwowie,
Litewskie w Pradze? A Kraków cóż powie?“

Jagiełło biada, że Jej już nie ma przy nim, a gdy Jaśko pociesza go, że Ona przecież żyje w wieczności, odpowiada:

„Tak, duch jej wzleciał na wieczne siedlisko,
„Lecz duch daleko, a ból i żal blisko!

i wspomina z żalem, że Ona tu na ziemi nie była szczęśliwa

„Choć miłowałem ją przecie bez miary
„I za nią samą i za te trzy dary
„Co mi przyniosła nad wszystko cenione;
„Zbawienie duszy — pierścień i koronę!

chciałby przynajmniej, by w niebie widziała „jak go na ziemi obchodzi Jej chwała“, więc zanim mu się — jak ma nadzieję — uda, przeprowadzić w Rzymie ogłoszenie świętości Jadwigi*) spodziewa się, że jej duszę ucieszy dzisiejszą uroczystością: „Niczemu bowiem tak nie była rada, jak podźwignieniu tej budowy dziada“ na której ufundowanie ofiarowała hebanową szkatułę pełną najrzadszych i najdroższych klejnotów. Król tak kończy:

Oto nas troje biało się do dzieła,
Jedno po drugiem: jak ona pragnęła
Cześć Kaźmierzowej wyświadczyć pamięci,
Tak ja pragnąłem wypełnić jej chęci.
No, i Bóg pomógł! Obaczył dwa groby
I czas przyśpieszył. Jeszcze tej żałoby
Rok się nie skończył, a my już skończyli.
Ach, czemuż ona nie widzi tej chwili?

Jaśko z Tęczyna znów go pociesza, że Jadwiga patrzy na nich z nieba, a na to Król Władysław, z boleścią, w której znać nie tak dawnego jeszcze poganina:

Może... Lecz cóż mi po takiej Hedwidze,
Z którą nie gadam i której nie widzę!

Jaśko gromi go: „A wiara? Mości królu, wiara! Wszakże jest w *Credo* „Świętych obcowanie!“

Władysław Jagiełło się opamiętuje: to słodkie słowo przynosi mu prawdziwą pociechę — prawda! on modląc się nawet, sam czuje wyraźnie jakby bliską obecność Jadwigi. I teraz chce się pomodlić tu, u ołtarzyka za kotarą, gdzie było łoże Jadwigi: chce zebrać siły do mającej się odbyć uroczystości „bo przy ludziach płakać się nie godzi!“

„Zostaw mnie z Bogiem, tu, aż do tej pory
„Kiedy się zejdą te wszystkie doktory.
„Naprzód ich zaproś do sklepionej sali —

*) Akt kanonizacyi.

Jaśko wychodzi — król Władysław uchyla kotarę, klęka na ołtarzowym stopniu i zapuszcza za sobą zasłonę. Przez dłuższą chwilę scena pusta — za kotarą tylko słychać łkanie westchnienia i szeptane modły Jagiełły — potem daje się słyszeć w powietrzu jakaś cichuteńka, kwiląca muzyka... Król wychodzi z za kotary, jest tak wzruszony, że prawie się słania, ogląda się i pyta: Czy to spiew słowika, czy to jej głos? Żono! moja ty Królowo! Czy ty naprawdę przychodzisz z rozmową?! — Upada w krzesło Jadwigi i modli się głosem wzruszonym:

Jeśli Bóg takich nie zabrania znaków,
Daj mi znak! Powiedz: czy ty widzisz Kraków?
Czy na ten obrzęd Ci patrzeć przyjemnie?
Czy Ci tam dobrze i czyś rada ze mnie?

Opiera się łokciem na pulpicie, skroń opiera na dłoni i zwrócony ku głębi komnaty pozostaje tak bez ruchu. Tymczasem, w komnacie nagle ciemność zapada, a w głębi jej, na wewnętrznej pustej ścianie, ukazuje się nagle ogromny obraz świetlany, w kształcie gotyckiego tryptyku*). Oba jego skrzydła są prawie zupełnie otwarte, a w nich, jakby w dwóch niszach kamiennych ukazują się świetlane postaci Kazimierza Wielkiego i Jadwigi. Kazimierz z berłem w ręku, na drugiej dłoni trzyma wzniesiony modelik gmachu Akademii pierwotnej — Jadwiga w lazurowej sukni, w płaszczu ze złotogłowia i w koronie ze złotych róż i lilii, w ręku trzyma czarną, złotem wysadzaną szkatułkę. Środkowy, największy obraz, stanowi jakby jakąś świetlaną, w nieskończoność idącą, ale jeszcze pustą drogę, ponad którą, u samego szczytu obrazu unosi się podobłoczny chór aniołów, przygrywający na różnyh instrumentach muzycznych i spiewający radosne hymny. Całemu zjawisku towarzyszy ciągle uroczysty dźwięk organów. Jadwiga i Kazimierz wskazują sobie uspionego Jagiełłę, i aby mu przynieść pociechę jakiej godzien chcą mu w widzeniu ukazać ile dobra, ile chluby, i blasku przyniesie Ojczyźnie dokonane przez niego dzieło odnowionej Akademii. Jadwiga wyjaśnia Jagielle że klejnoty ofiarowane przez nią na szkołę krakowską Bóg przyjął, jakby je Jemu samemu ofiarowała i orzekł że ile dała drogich kamieni, na tyle „dusz drogich dla Polski je zmieni".

Chcąc tych dusz choć kilka na próbę ukazać Jagielle, bierze Jadwiga ze swej szkatuły garść dyamentów i rzuca je na podobłoczną drogę w środkowym obrazie, a dyamenty rozpalają się w iskry białe i zamieniają w szereg postaci przesuwających się długim świetlanym korowodem. Jadwiga tłumaczy, że to są wszystko „święci i prorocy" narodu, związani z Akademią, jako jej profesorowie lub uczniowie — więc przedewszystkiem widnieje tu na czele św. Jan Kanty, profesor i rektor Akademii, św. Jan z Dukli, jej uczeń — bł. Izajasz Boner, bł. Szymon z Lipnicy, bł. Stanisław Kazimierczyk, bł. Władysław z Gielniowa, biskup Samuel Maciejowski, ksiądz Piotr Skarga, ks. Fabian Birkowski, ksiądz Dąbrowski, prof. który przepowiedział koronę Sobieskiemu. I dalej, dalej ciągnie się w nieskończoność orszak świątobliwych, wstępujących coraz wyżej po drodze podobłocznej, gdzie się ustawia w półkręgu najbliższym podniebnego chóru aniołów.

Tymczasem Jadwiga, rzuca drugą garść klejnotów, mówiąc: Ta garść topazów, niech ci opowie, co złotych świateł jest w ludzkiej głowie: oto nadchodzą polscy mędrcowie.

I z rozpromienionych w światło topazów występuje orszak poważnych mężów, których wiedzie arcybiskup



Historyk Józef Szujski, w stroju rektora Akademii.

Grzegorz z Sanoka — dalej Wojciech z Brudzewa, matematyk i astronom — jaśniejący chwałą jak słońce, któremu wytknął miejsce we wszechświecie, najznakomitszy uczeń akademii krakowskiej Mikołaj Kopernik — dziejopisowie jak Bielski, Kromer, Stryjkowski — znakomity pisarz, autor „Dworzanina" Łukasz Górnicki — Syreński, lekarz i botanik — uczony ksiądz i autor, Starowolski — skromny Jacek Pruszcz, prosty bedel czyli sługa akademii a jednak rozmiłowany w swojej „alma mater" i w grodzie rodzinnym autor bardzo cenionych dzieł, „Fortecy monarchów" i „Klejnotów miasta Krakowa" — wreszcie z późniejszych zastępów Jerzy, Samuel Bandke, Jan i Jędrzej Śniadeccy — Szujski. — Cały ten orszak ustawia się poniżej pierwszego — chóry anielskie brzmią

*) Tryptyk, obraz, złożony z trzech części, w ten sposób że z obu stron głównego, środkowego, znajdują się dwa drugie, o połowę węższe i stanowiące jakby skrzydła drzwi, które się na środkowym obrazie zamykać mogą. Takim tryptykiem jest rzeźba Wita Stwosza, w kościele Maryackim, w Krakowie.

nieustannie, a Jadwiga rzuca trzecią garść klejnotów, szafiry, z których zapalają się iskry błękitne — i oto wchodzą „polscy poeci“ „północniebiański ród“ — a więc Mikołaj Rej z Nagłowic, Jan Kochanowski z Urszulką, Szymon Szymonowicz, Sebastyan Klonowicz — Trembecki — biskup J. P. Woronicz i t. d. — wybrani z grona tych, których wspomnienie wiąże się z murami Akademii krakowskiej.

Nagle odzywają się bębny i wojenne fanfary i Jadwiga rzuca garść rubinów, które przepromieniają się w łunę pąsową i w tej łunie jawi się poczet dzielnych orężem lub rozumem politycznym — tych którzy państwową nawą Rzeczypospolitej sterowali — a zatem: Kardynał Zbigniew Oleśnicki — Filip Kallimach — Jan Łaski — Frycz Modrzewski — kardynał Hozyusz — hetman Jan Zamojski — hetman Stanisław Koniecpolski. Dalej poprzedzany przez skrzydlate uosobienie zwycięstwa, wśród tryumfalnej fanfary i grzmotu dział ukazuje się król Jan III., za nim zastęp skrzydlatej hussaryi i gwardya z nawróconych janczarów. Z pó-

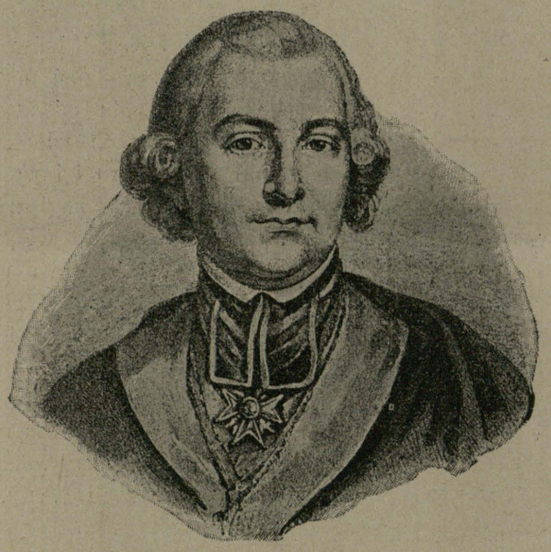

Hugo Kołłątaj.

źniejszej jeszcze doby, biskup Kajetan Sołtyk i Hugo Kołłątaj, rektor i reformator Akademii, a twórca Konstytucyi Trzeciego Maja.

I ten ostatni zastęp ustawia się w blasku środkowego obrazu, amfiteatralnie pod poprzednimi chórami — brzmi jedna potężna pieśń chwały spiewana przez tę całą rzeszę w połączeniu z niebieskim chórem aniołów — aż na słowa Kazimierza, na skinienie Jadwigi, że już pora zbudzić z zachwycenia Jagiełłę, aby rozpoczął „wiek złoty“ — środkowy obraz w tryptyku zaczyna blednąć — odzywają się dzwony krakowskie — muzyka cichnie — cały obraz nagle gaśnie — komnata się rozwidnia i wchodzi Jaśko z Tęczyna, oznajmując królowi, że już cała Akademia z Panami Rady oczekuje na niego w sali.

Jagiełło jakby ze snu zbudzony, długą chwilę do siebie przyjść nie może — ogląda się — pyta: gdzie Ona? gdzie oni wszyscy? Wreszcie spostrzega się, składa ręce jak do dziękczynnej modlitwy i ze słowami: „Jakie pocieszenie, ach, jakie pocieszenie!“ wychodzi z Jaśkiem, aby wziąć udział w pochodzie do gmachu Akademii.

Do pustej przez chwilę komnaty wchodzi znów pokojowiec Małdrzyk z pacholikami, aby sprzęty „Hedwigi“ napowrót złożyć do skarbczyka, ale pacholęta przedewszystkiem rzucają się do okna i wspinają na kamienną ławeczkę, aby przypatrzeć się wspaniałemu orszakowi, który u ich stóp szykuje się w dziedzińcach zamkowych: Patrząc udzielają sobie uwag o tem co widzą, o wybitnych osobistościach, o strojach, o grupach całych pochodu, jak przesuwają się przed ich oczyma — Małdrzyk im wszystko objaśnia — a z uwag tych i widzowie patrzący na scenę odnoszą złudzenie, że tam na dole orszak się zbiera. — Orszak wyglądający tak barwnie i uroczyście, jak go opisał historyk literatury, Wiszniewski *), „Jeszcze jadą?! pókiż tego, póki. Tu strusie pióra — ówdzie jakieś łuki!“ „To są książęta litewscy i obcy!“ objaśnia Małdrzyk. Głośne okrzyki i wiwaty podnoszące się z dziedzińca ogłaszają, że tam już król się ukazał i stanął na czele orszaku — daje się słyszeć marsz Jagielloński, zrazu głośniejszy, potem coraz cichszy, jakby orkiestra oddalała się wraz z orszakiem. Pacholiki zrywają się biedz na miasto ale Małdrzyk każe im najpierw poznosić rzeczy do skarbczyka a potem dopiero mówi:

„No, teraz lećcie i pilnie a skromnie
Przepatrzcie wszystko co dziś zajdzie w mieście,
Bo wam powiadam, że za lat i dwieście
Może i tysiąc, jeszcze ludzie o tem
Na pergaminach pisać będą złotem!“

Scena pozostaje pusta — jak najlżejszy szmer z oddali dochodzi jeszcze echo marsza jagiellońskiego — i nagle cała głąb rozszerza się i rozsuwa, aby nam ukazać wnętrze auli Akademii w chwili gdy ma wejść orszak królewski. W świątecznie przybranej sali stoi tron królewski, katedra profesorska, krzesło biskupie i ławy dla senatorów. Po sali kręcą się jeszcze żacy, zajęci rozpinaniem wieńców, z zieleni i kwiecia, i wesołą rozmową, o wspaniałości obchodu — o dzieciach, które jak aniołkowie sypią przed królem kwiatuszki — o miejskich paniach, które złote naczubiły czepce — gdy oto słychać coraz głośniejsze, jakby zbliżające się dźwięki marsza i wchodzi „bedel“, z laską, wołając: „Hej, do szeregu, senjory, studenty! Już tylko patrzeć! już weszli na rynek.“ — Słychać okrzyki ludu, muzyka grzmi już pod samemi drzwiami — te się otwierają, wchodzą dwaj halabardnicy i stają po obu stronach. Przy dźwięku marsza wstępują do sali profesorowie i dziekani fakultetów, wszyscy w swoich uroczystych togach i odznakach, Rektor Akademii, Stanisław ze Skarbimierza — cały Senat duchowny i świecki, a wreszcie król w aksamitnym popielatym żupanie,

*) Patrz przeszły 11-ty numer „Wieku Młodego“.

w płaszczu ciemno-szkarłatnym podbitym gronostajami, z szeroko-listną koroną na głowie, z berłem w ręku*). Brzegi jego płaszcza niosą paziowie, a inni niosą szkarłatne poduszki, na których leżą berła akademickie i złoty łańcuch z pieczęcią kanclerską. Gdy wszyscy już zajęli przynależne miejsca, muzyka ustaje, rektor wchodzi na katedrę i przemawia. Ta mowa była w rzeczywistości wygłoszona ciężkim i napuszystym stylem scholastycznym. Deotyma, zachowując wszystkie główne myśli i porównania, tak pięknie ją przełożyła:

Niegdyś, na Syon, pod świętą zasłoną
Arka przymierza szła w pustyni głuchej;
Dzisiaj w Krakowie Arkę postawiono!
Wstań, Akademijo, i sprzymierzaj duchy.
A jak nad Arką, sześcioskrzydłe twory,
Modłom służące klęczały Cheruby;
Tak tu krakowskie świecą profesory,
Bogu dla służby, Ojczyźnie dla chluby.
A jak Cheruby przeróżnej zalety
Czterma twarzami wokół się patrzyły,
Tak w Akademii cztery fakultety
Patrzą się w ziemskie i zaziemskie siły.
Te, złotą prawdę i srebrną wymowę
Znajdą, a przy nich pokorę, jak ołów,
Żelazne męstwo, cnoty bursztynowe,
I sól dowcipu, i ambrę aniołów.
A to się stało za Pana a Pana
Miłościwego króla Władysława.
Skrzynia mądrości została nam dana.
Oby Pan zechciał potwierdzić jej prawa.

Tu następuje uroczyste wręczenie przez króla przywilejów i berel rektorowi oraz pieczęci kanclerzowi Akademii, który składa podziękowanie Jagielle, mówiąc między innemi:

Dziękuję Tobie za wierny Twój Kraków,
Gdzie zbudowałeś dom świętej nauki,
Dziękuję tobie za wszystkich Polaków,
Których tu przyjdą wnuki i prawnuki.
Dziękuję tobie za wszystkie narody,
Co z tej wylewnej pić będą krynicy.
Wiara i mądrość obchodzą tu gody —
Dziękujem tobie my, ich godownicy!

Potem wszystkich obecnych i króla wzywa do złożenia podzięki Królowi królów. Jagiełło, biskupi i senatorowie składają ręce i pochylają głowy, profesorowie przyklękują na jedno kolano, żacy na oba, i wszyscy obecni wznoszą hymn chóralny:

Którzy w Bogu poczną dzieło,
Tym z pomocą Pan nie chybi;
Nasze w Bogu się poczęło,
Alma Mater, gloria Tibi!

Na ścianie tworzącej głąb auli (poza Jagiełłą) ukazuje się ten sam, co na początku obraz: Kazimierz i Jadwiga wyciągają ręce i błogosławią zgromadzenie. Podczas ostatniego chóru odzywa się znowu hejnał; wielkie różowe światło oblewa całą scenę zasłona spada.

*) Autentyczny strój Jagiełły.

Ofiara.

Obrazek dziejowy z XII. wieku.

Przez M-L. Z.

(Ciąg dalszy).

Dańkowi oczy się zaświeciły. — On także słyszał o bliskiej wojnie, tylko myśl o niej od siebie oddalał. Jakżeż tu nie iść choćby za góry i rzeki walczyć, kiedy kraj tego potrzebuje, i książę wezwie do broni — a on chciałby się jeszcze przecie nacieszyć domem, rodziną! Ale tak, jeżeli Niemcy tu przyjdą, to będzie najlepiej! Książę Bolesław nadciągnie — o zwycięstwie nie ma wątpliwości, a tymczasem Głogów bronić się będzie i wypadnie mu, nie porzucając domu ni swoich, walczyć tu właśnie przed ich oczami, i w ich obronie... okryć się sławą!

Młody był — smutne przewidywania brata Benedykta szybko zatarły się w jego pamięci i Dańko był w tej chwili zupełnie szczęśliwy, bez żadnego lęku ani trwogi o przyszłość.

Błogi spokój połączonej rodziny trwał ledwo tydzień cały — potem coraz częściej, codzień niemal, przychodziły wieści ze wschodu i zachodu od których starszym sen z powiek uciekał i poważne wiedli narady, a młodym serca biły, paliły się wzroki i ręka się rwała do łuku i kuszy niecierpliwa. Lud ubogi z rozrzuconych po lasach wiosek, ściągał się do Głogowa, szukając ochrony poza jego warownymi murami przed tym nieprzyjacielem, którego zbliżanie się od zachodu, zdawały się oznajmiać tłumy spłoszonego ptactwa i leśnej zwierzyny, ciągnące w gąszczach ku wschodowi.

Od Krakowa, choć o pewne wieści było trudno, dochodziły jednak dalekie słuchy, że i książę Bolesław już porzucił swój gród na Wawelu i z rycerstwem zapadł w lasy, ciągnące się po lewym brzegu Wisły.

III.

Wiadomości o ruszeniu się Niemców, które nad ciche brzegi Nissy niepewnymi głosami dochodziły, niestety, zbyt wcześnie okazały się prawdziwymi. Cesarzem był wtenczas niespokojnego ducha Henryk V., człowiek bez sumienia i wiary, bez żadnej szlachetności umysłu, który kolejno to z kościołem, to z ojcem własnym wojował.

Tego ruchliwego a słabej woli człowieka, podmówił Zbigniew (brat przyrodni naszego Bolesława) by mu dopomógł do wydarcia bratu korony, twierdząc, że ludność cała dawnego pana odbieży i garnąć się będzie pod jego chorągwie.

Cesarze niemieccy z dawna rościli sobie pretensye do lennego zwierzchnictwa nad książętami polskimi. Ambitny Henryk umyślił korzystać ze sposobności.

Współczesny kronikarz, mnich, zakonnik Św. Idziego, Marcin Gallus, w następujący sposób wypowiedzenie wojny przez cesarza i odpowiedź nań naszego

księcia opisuje: — Nie godzi się zaprawdę cesarzowi i ma to prawami Rzymian zawarowanem, pierwej w granice nieprzyjaciela, zwłaszcza lennika swego, po nieprzyjacielsku wkraczać, bez ofiarowania mu pokoju, jeśliby chciał być posłusznym, lub wojny, gdyby się opierał, ażeby ku potrzebie miał się zbrojno. Owóż się ci zapowiada, ażebyś brata do połowy w dziale swych rządów dopuścił, a mnie 300 grzywien corocznej składał daniny i tyleż rycerstwa na wyprawę zagraniczną postąpił, lub ze mną, gdybyś się na to odważył, rozprawił się szablą polską o podział twej dziedziny. —

Na co książę północny, nasz Bolesław — którego potomność raczej Dzielnym lub Szlachetnym, niżeli Krzywoustym nazwać była powinna — wręcz odpowiedział: „Jeśli pieniędzy naszych się domagasz, oraz rycerzy polskich w hołdzie danniczym, mielibyśmy się, nie broniąc wolności naszej, za niewiasty przy kądzieli, a nie za mężów, stawić czoło gotowych! Zaś buntownika przyjąć na nowo i z nim się królestwem podzielić jednowładnem, nie zniewoli mnie do tego żadnej potęgi przemoc, chyba rodaków powszechna uchwała i własnej mojej woli w tem zdanie. Gdybyś w istocie dobrocią a nie surowością, w potrzebie będąc, żądał od nas piemiędzy lub rycerzy w posiłek rzymskiemu Kościołowi, niemniej byś może posiłku lub rady u nas, jak twoi u naszych poprzedników wyjednał. Zważ tedy pilnie komu to grozisz, bo wojnę znajdziesz, gdy pragniesz wojować“.

Kiedy te poselstwa przechodziły pomiędzy dwoma monarchami, wojska niemieckie nie czekając wypowiedzenia wojny, w niezliczonej liczbie stały już na ziemi polskiej. Prowadzili je głównie Czesi; zbłąkani żądzą łupów i rabunku, zdradzali słowiańskich swych braci, wydając ich w ręce odwiecznych nieprzyjaciół — prowadząc tych wspólnych wrogów po znanych im jako braciom, mieszkańcom bliskiej krainy, manowcach górskich lub leśnych ścieżynach. O, jakże ciężko w późniejszych wiekach odpokutował nieszczęsny naród to odsuwanie się od naturalnych sprzymierzeńców, to łączenie się z niemcami!

Cesarz posuwał się prędko, ufny w liczbę swojego wojska i przechwałki butnego Zbigniewa. Myślał, że Polska cała za pierwszem ukazaniem do stóp jego się rzuci.

Silnie obwarowany gród Bytom, nad Odrą leżący, pierwszy wzbudził jego zdziwienie:

— Tak to Polacy uznają ciebie za pana Zbigniewie? zapyta. — „Tak to im się niesłuszne wydaje brata twego panowanie?“

Bytom minęli Niemcy — warownia była zbyt silną, a nie chciał cesarz zaraz na początku wojny, tracić czasu u wrót jednego miasta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

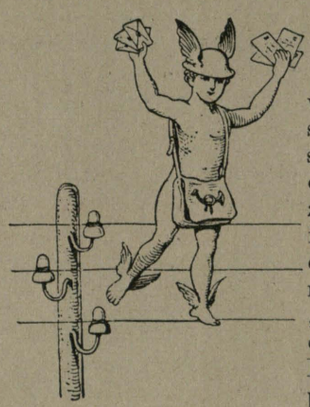

Skrzydlaty listonosz.

Delusia Bł. we Lwowie. Doczekałaś się nareszcie umieszczenia jednej ze swoich łamigłówek. Wprawdzie „Wiek Młody“ nie może, stosownie do życzeń swoich Czytelniczek stawać się coraz obszerniejszym — ale mu bardzo miło, że go tak „kochają“ i że go „nigdy dosyć“. — Lola W. we Lwowie. Tym razem nie przysłałaś rozwiązań — czy Cię może zniechęciło to, że po pierwszym swoim liście nie zostałaś wymienioną? Był to jednak los wspólny wszystkim Czytelnikom w przeszłym numerze. Za to dzisiaj masz odpowiedź. — Tadeusz D. w Cieszynie. Chętnie byśmy posłuchali jak wygrywasz polskie pieśni na swoich skrzypeczkach! A czy był może kto z Was na obchodzie jubileuszu Akademji w Krakowie? — Zofia L. w Tryeście. Adres zmieniliśmy — czy Cię dobrze dochodzą numera? ale za zmianę, przyszlij nam znaczkiem pocztowym 20 centów, na gimnazyum polskie w Cieszynie, Twoja łamigłówka musi poczekać na swoją kolej. Prenumerata Twoja na ten rok wcale nieuiszczona.

Tadeusz Z. w Busku. W ostatnim numerze wylosowałeś nagrodę: czy Ci do niej nie pilno, że nie przysyłasz nam znaczków pocztowych (20 ct.) na przesyłkę. — Konwalijka w Gorlicach. Każdy z Czytelników nie może przecież co roku wylosowywać nagrody! pomyśl tylko, że w takim razie redakcya by zbankrutowała, i jużby nietylko nagród, ale i samego „Wieku Młodego“ nie było — cóżby dopiero wtedy powiedzieli ci co piszą, że go „tak kochają“?! — Wandula T. w Samborze. I Tobie zwracamy uwagę na to samo: zagadki bardzo gładko ułożone, ale za to nikt nie dostaje nagrody; najlepszą nagrodą chyba będzie, jeżeli je wydrukujemy. — Józef Z. we Lwowie i Józef K. w Stanisławowie. A cóż? czy teraz po odwiedzinach w Redakcyi, łatwiej sobie wyobrażacie jak cały numer powstaje? Trzebaby tylko jeszcze pójść kiedy do drukarni. My sobie wasze odwiedziny przypominamy z przyjemnością. — Litwin w Stanisławowie. Szkoda że i Ciebie nie było razem z kolegą! Kiedyś, przy sposobności, bardzo będziemy radzi poznać Cię osobiście. — A. B. C. we Lwowie. Staś D. Stefan B. i Herbert F. w Stanisławowie. Który z kolegów w naszej powiastce „Koledzy“ był każdemu z Was najsympatyczniejszy, i czy Wam się podobało zakończenie? — Czarna Perełka we Lwowie. Widzisz że przyszła kolej i na pierwszą z Twoich łamigłówek — dalsze z czasem także umieścimy

Antoś R. w Samborze. Zielona kropka jest doskonałym drogowskazem: trafiliśmy po niej od razu do Twego mieszkania (na karcie) — ale czy będziesz tam mieszkał i nadal? bo zdaje nam się żeśmy czytali w gazecie urzędowej iż Tatuś Twój został przeniesiony do Lwowa. — Polka we Lwowie. Zupełnie się zgadzamy na Twoją filozofię: szkoda życia na kłopotanie się temi osobistemi rozporządzeniami losu na które wpłynąć nie możemy! A nie wątpimy, że Twój czas będzie zajęty użytecznie, bo umieć cieszyć się każdą miłą chwilą i oceniać, co nam Bóg zsyła dobrego, jest to także wielka i cenna umiejętność, którą w sobie wyrabiać potrzeba. Cieszymy się dla Ciebie, że w Sannikach

będziesz miała miłą praktykę w tym względzie. — Stefa D. we Lwowie a teraz w Strutynie. Adres chętnie zmienimy, ale przyszlij 20 ct. na gimnazyum Cieszyńskie. — Olga, Józefa i Melita A. we Lwowie. Posyłamy Wam „Wiek Młody“ na zamówienie — ale prenumerata Wasza nie została jeszcze na ten rok uiszczoną. — Marta Sch. w Wiedniu. Nie ma bardziej polskich kwiatów jak bławaty, maki, rumianki i t. p. ozdoby naszych pól. Niemcy nie mają żadnego monopolu nad ślicznemi bławatami! to rzecz zupełnie świeża, i nie jest żadnem godłem, tylko przypadkowym trafem, że poczciwe bławatki były właśnie ulubionymi kwiatami Bismarka a stąd stały się u Niemców modne. Jako godło, w herbie ma z państw europejskich dawna, burbońska Francya lilje, Irlandya koniczynę, a Szkocya wrzosy. Nagroda była rekomendowana — będziemy pytać na poczcie — Ty uczyń to samo — bo szkoda powinna być zwrócona.

Marylka i Lisia W. Więc już wyjazd na lato! i to w tak śliczne okolice. Będziecie prawdziwie używać — ale bardzo nas cieszy, że zabieracie z sobą roboty na nasz konkurs szycia dla biednych. Chcielibyśmy żeby wszystkie Czytelniczki tak o tem pamiętały. Uściskajcie od nas Milkę. Marki na „domy opieki“ otrzymaliśmy — ale czy przez lato wysyłać „Wiek“ pod innym adresem, niż Zarząd Drukarni? Za zmianę należałoby się na Cieszyn 20 ct. — Stella St. we Lwowie. To ostatnie odpowiadamy i Tobie na Twoje pytanie. Że Wam się z Władkiem Zakopane uśmiecha nie dziwimy się wcale. A ów stryjeczny braciszek, co chorował, czy może także z Wami będzie? Szarada dobra. Pszczółka z Kębłowa czy może będzie drużką na owem weselu? a może z wesołym brzękiem wpadnie przez okno do redakcyi — jak to nieraz „pszczółki“ umieją. Bylibyśmy jej z pewnością radzi. — Zochna K. w Wadowicach. Cieszymy się, że Ci się nagroda podobała i że przyszła tak w porę — znaczków przyszlij tyle, ile ich było na przesyłce. Żal nam Cię, że chorowałaś. — „Roztrzepaniec“ z Podhajec. Bardzo nam miło, że Tobie i koleżance Twej, Halci N., tak się podobają nasze powieści — ale dla czego obok pseudonimu nie podałaś i swego nazwiska? sam pseudonim nie wystarcza, abyśmy wiedzieli z którą z naszych czytelniczek mamy do czynienia, bo takich kochanych „roztrzepańców“ możemy mieć wiele. — Polska Dzieweczka z nad Wisły. Miłe będą wakacye kiedy się połączą i uciechy wsi i przyjemność czytania ładnych rzeczy. Co „Dzewczę polskie z Bolechowa“ w tym roku porabia, nie wiemy — bo ustąpiło korespondencyi z nami młodszemu rodzeństwu. — Zosia K. w Horodence. Egzamin pójdzie dobrze z pewnością i z przyjemnością się zobaczymy, byleś tylko nas zastała w redakcyi. Prenumerata na II. kwartał doszła — numer i tak był wysłany — przepadł na poczcie — wysyłamy powtórny. — Etka W. w Borysławiu. Z 11-go numeru nie przysłałaś rozwiązań, szkoda! — Janek K. w Przemyślu. Szczęście, że Ty nie pominąłeś okazyi, bo właśnie wylosowałeś nagrodę! — Józinka K. w Bóbrce. I Ciebie dziś ta przyjemność spotkała: przyszlij znaczki pocztowe, lub zwróć nam tyle, ile znajdziesz nalepionych. — Tadzio R. we Lwowie. Jako niedawny abonent, napisz czy masz jakie tomiki naszej „Biblioteczki“ — bo i Tobie szczęśliwy los przysądził nagrodę — a nie wiemy co by Ci posłać.

W przyszłym numerze ogłosimy wakacyjny konkurs szycia.

Trafne rozwiązania łamigłówek 10-go i 11-go numeru nadesłali: Henryk Żuławski, Henryk Mildenhawer, Helena Winnicka, Dora Malinowska, „Polska Dzieweczka z nad Wisły“, Etka Wilf, Tadeusz Zaorski, Lisia i Marylka Winiarzówny, Józef Zborowski, Tadzio Rybicki, Zochna Kurowska, Józef Kwiatkowski, „Pszczółka“ z Kębłowa, Arnold Zott, Stella Starklówna, Marta Schuberth, Janek Koretyński, Olga, Józefa i Melita Apermannówny, A. B. C. ze Lwowa, Antoś Reiner, Polka ze Lwowa, „Czarna Perełka“, Staś Dobrucki, Lula Sternówna, „Litwin“ ze Stanisławowa, Franio Silesiński, Zofia Loegler, Tadeusz Dyboski, Lola Weinrebówna, Zosia Kyszyńska, Kazio Chudzik, Staś i Marynia Milewscy, Zonia Dorniakowska, Józinka Kłodecka, Stach Stanek, Moryś Flippner, Romana Wolińska, Jadziula Kawska, Kazio Materni, i Wincenty Składziej.

Do nagrody za numer 10-ty wylosowani: Janek Koretyński, Tadzio Rybicki i Józinka Kłodecka.

Rozwiązania z numeru 11-go.

Łamigłówka zgłoskowa: 1. **Memfis.** 2. **Irtysz.** 3. **Kartagina.** 4. **Odoaker.** 5. **Łazarz.** 6. **Alpy.** 7. **Jeleń.** 8. **Sos.** 9. **Emeryk.** 10. **Pecci**; **Mikołaj Sęp Szarzyński.**

Szarada: Jezo, Roje, Lima Lilije, Roma; **Jerozolima.**

Łamigłówka zgłoskowa

Ne — ra — to — ło — a — bu — bert — ka — o — tusk — bro — chen — nas — bra — ko — me — pe — dra — ry — bos — juez — ran — jou — i — lif — puł — e — rei — sau — i — rab — lik — im — kon — old — ro — hall — chim — tor — wicz.

1. Król Abisynii. 2. Inaczej panujący. 3. Polski pieśniarz ludowy z XIX. wieku. 4. Miasto w Anglii w hrabstwie Wolcester. 5. Niedawno zmarły biskup galicyjski. 6. Miasto koło Madrytu. 7. Jeden z jenerałów południowo-afrykańskich. 8. Główne miasto w Egipcie. 9. Król norwegski, który zaprowwadził wiarę chrześcijańską w Norwegii. 10. Miasto w królestwie Polskiem, znane z bitwy Francuzów z Moskalami. 11. Rzeka w Hiszpanii. 12. Miejsce klimatyczne. 13. Prowincya pruska. 14. Imię męskie u Turków. 15. Schronienie Noego podczas potopu.

Początkowe litery czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko najznakomitszego wychowanka Akademii Jagiellońskiej, polskiego wielkiego astronoma — zaś końcowe czytane z góry na dół dadzą imię nazwisko wielkiego żeglarza hiszpańskiego, chociaż nie Hiszpana rodem. *Delusia Błochówna.*

Przypominamy przedpłatę!

Numer dzisiejszy kończy I. półrocze — prosimy o wczesne wyrównanie należytości.

W przyszłym numerze zaczynamy nową śliczną powieść.

TREŚĆ: Echo z Krakowa. —Koledzy. (Dokończenie). — Gloria tibi Alma Mater. — Ofiara. — Skrzydlaty Listonosz — Rozwiązania. — Łamigłówki.

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 13. We Lwowie, dnia 1. Lipca 1900. Rok VIII.



Lekmłody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Czerwcowe róże.

Korzystając z pierwszego ładnego dnia, pani N. zarządziła ogólne porządki domowe; więc wyniesiono na gazon dywany i makaty, przytem trzepano futra i nieużywane suknie, a pani N. przeglądała każdą sztukę starannie, aby kosztowniejsze rzeczy ochronić od moli, a znowu inne, już niepotrzebne, odłożyć dla biednych.

Wśród zajętych tą pracą służących, kręciła się młoda panienka, wesoła, szczebiotliwa — dopiero przed chwilą wyrwała się z pokoju, gdzie z kolei braciszek młodszy odrabia swe lekcye, a ona, z całą żywością wrodzoną swemu wiekowi, zaczyna pomagać matce w układaniu rzeczy w kufrze. Opowiada równocześnie, że umiała dziś lekcye, że panna Aniela zadała strasznie dużo do uczenia się, a to teraz już tak ciepło, że ani usiedzieć w pokoju i zaraz od lekcyi przeskakując do innego przedmiotu szczebioce dalej.

„A ja tu muszę coś z tych starzyzn wybrać na „aplikacye do serwetki, którą robię do saloniku — „Mamusia wie jak ja lubię hafty i roboty — ot, ten „szal Mamusiu, proszę mi darować! wynaprawiam sta„rannie wszystkie dziury i powieszę według ostatnich „wymagań mody na ścianie. O jest! znalazłam. O tę „szmateczkę proszę Mamusi: wcale niezłe sukienko „spełznięte, brudne, co nadaje mu właśnie kolor *pastelle*, „taki jakiego potrzeba na aplikacye *secession*“: mówiąc to Wandzia potrząsała w obu rękach starą bluzkę, zwaną „kościuszkowską“.

— Ach nie ruszaj tego — zawołała pani N. to pamiątka! zostaw ten kwiatek, obłamiesz!

— Co ten chwastek zeschnięty, wraz z tą zardzewiałą szpilką, tak Mamę wzrusza?

— Oddaj no to, oddaj, mała! Widzisz te dziury? kule to podarły bluzkę, a twego ojca ominęły.

— A! krzyknęła Wandzia i ucałowała z uszanowaniem bluzkę, jak relikwię.

— A ten kwiatek był ojcu dany przez dziecko w wilją bitwy i ojciec wierzy, że ta róża była mu amuletem i tarczą!

— Czyjeż to dziecko było Mamusiu?

— Ojciec twój niepamięta, gdzie to było i czyje to dziecko ofiarowało mu te róże, opowiadał mi tylko, że gdy szesnastoletnim będąc chłopcem poszedł z innymi do powstania, do kompanii Trauguta, popasali raz w jednym pałacu, w polskiem miasteczku, i tam dostał tę różę, od czteroletniej może dziewczynki. Ale nie mam teraz, Wandusiu, czasu na opowiadanie: spytaj kiedy ojca, on ci to rozpowie dokładniej, a teraz złóżmy tę drogocenną bluzkę i tę oto konfederatkę razem. — Widzisz i w konfederadce jest krągła dziureczka: pawie piórko osmalone, a kochana głowa twego ojca wyszła cało wśród ognia!

Pan Józef N., ojciec Wandzi, jest wzorowym rolnikiem: prowadzi tak zwane, postępowe gospodarstwo, więc też chętnie oddają mu rodzice swych synów na praktykę gospodarstwa; a uczniowie dublańskiej szkoły często robią naukowe wycieczki do jego majątku.

Właśnie w niedługim czasie po tym dniu, kiedy Wańdzia odkryła pamiątkową bluzkę, kilkunastu młodych Dublańczyków, pod wodzą profesora, przyjechało do pana Józefa, aby oglądnąć motor benzynowy w zastosowaniu praktycznem, jaki pan Józef pierwszy w Galicyi wprowadził. Po obiedzie całe towarzystwo zabawiało się rozmową w salonie. Jeden z młodych ludzi oglądał album.

— Skąd tu w Galicyi znajduje się fotografia Trauguta? zagadnął panią domu.

— Mąż mój będąc w jego kompanii zachował tę fotografię na pamiątkę.

— To Pan Józef nie jest Galicyaninem?

— Urodził się i wychował na Wołyniu, brał udział w powstaniu na Polesiu wołyńskiem, skąd potem gdy oddział jego poszedł w rozsypkę, udało mu się uciec do krewnych w Galicyi, tu osiadł i kupił następnie ten majątek.

— Chciałbym choć raz w życiu, wtrącił się do rozmowy pan Józef — wrócić w tamte strony i odnaleść ten dwór na Polesiu, który nas powstańców tak gościnnie podejmował, i chciałbym wiedzieć, co się stało z tą malutką wtedy dziewczynką, która mi dała w wilją bitwy w rękę róże.

— Nie pamięta pan jak ten dwór wyglądał?

— Owszem: był to dom jak pałacyk, z dużym dziedzińcem pełnym klombów i róż; z boku rozciągał się duży sad, w którym powstańcy rozłożyli się obozem i przy ogniskach gotowali sobie obiad. Trauguta, wtedy lekko rannego w nogę, i kilku starszych, podejmowali gospodarstwo we dworze; mnie kazano pilnować porządku i stałem z kolegą u wejścia do sadu. Przed domem, wśród klombów, bawiła się pod okiem babki mała dziewczynka w żałobie — jak wiecie noszono wtedy żałobę narodową. Był to koniec czerwca i róże kwitły obficie, poprosiłem malutką aby mi urwała parę róż — Mamusia nie pozwala mi samej rwać. — — To poproś dziecinko babci. — Pobiegło maleństwo i za chwilę podało mi swoimi drobnemi rączętami cały pęk najwonniejszych róż. Wtedy towarzysz mój wyciągnął też rękę po kwiaty i przypinając je sobie rzekł: „Może te kwiaty z rąk niewinnego dziecka uchronią nas od kul“. I widać w dobrą chwilę to powiedział, bo on i ja żyjemy do dzisiaj.

— Powiem to Mamie, rzekł z uśmiechem pełnym wzruszenia Dublańczyk Tadeusz, który oglądaniem albumu dał początek tej rozmowie. To się moja złota ucieszy, że ci dwaj powstańcy, którzy jej się w pamięć wrazili, cieszą się zdrowiem.

— Jakto! zawołał zrywając się z siedzenia pan Józef, to ta luba dziewczynka....

— Jest od 23-ch lat moją matką, dokończył Tadeusz, i chciał dalej mówić, ale przerwał mu ojcowski uścisk, w jaki go objął pan Józef, odsuwając go potem, aby się mu przyjrzeć, pytał dalej.... Dziadkowie pana żyją?

— Dzięki Bogu żyją, zamieszkują zawsze S... tylko już pałacu niema spalił się. Majątek ocalał konfiskacie, a Babcia jeszcze z całą energją gospodaruje.

— Czy to możliwe, aby Mama pańska pamiętała te smutne czasy?

— Owszem, te dni pełne grozy odbiły się, jak na kliszy fotograficznej w pamięci dziecinnej: owo opowiadanie o różach, od Mamy samej słyszałem, a zresztą mogę panu przeczytać, co Mama sama, w roku 1873 pisała — wspomnienia w swoim panieńskim dzienniczku. Wożę zawsze ze sobą ten zeszycik, bo gdy muszę być daleko od Mamy, to przynajmniej listy i ten dzienniczek odczytuję i mam wrażenie, że z nią rozmawiam.

— Proszę pana mi pożyczyć choć na dzień ten zeszycik, prosiła Wańdzia składając błagalnie ręce.

— O nie, tego uczynić nie mogę, ale odpiszę pani te ustępy, w których są wspomnienia o powstaniu: to te pewno panią najbardziej zaciekawiają.

— O, bardzo panu wdzięczną będę.

— Niepotrzebne romanse! wtrącił profesor, cały nasz byt polityczny, te powstania do reszty zniszczyły.

— Pan profesor, jak widzę, należy do chłodnych polityków — zauważył pan N. — co do mnie brałem czynny udział w zaburzeniach krajowych i na własnej skórze doświadczyłem, jakeśmy lekkomyślnie i nieopatrznie postępowali, jednak przyzna mi pan, że działaliśmy pod wpływem szlachetnych pobudek, i niech smutną historyą tych czasów dzieci nasze znają na pamięć!

— Prawdziwie, przez usta pana, przemawia nasz, Poleszuk! wykrzyknął z zapałem Tadeusz.

— Ach, panie Tadeuszu! bądźmy przedewszystkiem Polakami i niech Poleszuk kocha Galicyanina, i przebaczy mu jego wady, Galicyanin nawzajem Poleszukowi. Nie dzielmy się prowincyami, nas już inni podzielili! Niech Warszawianin kocha Lwowianina, a ten Krakowiaka.

— A przedewszystkiem pracujmy, przerwał profesor pracujmy na roli i z ludem, to nasz dzisiejszy oręż.

— O, jedno drugiemu nie przeszkadza! owszem i miłość braterska i tamte wspomnienia, budzą w naszej młodzieży potrzebne im zastanowienie, co dla dobra kraju dziś czynić należy.

— To też i mnie przyszło zastanowienie, i doszedłem do wniosku, zakończył wesoło profesor, że już nam czas wracać! moi panowie, żegnajmy panie! dziękujemy za gościnę. Pan gospodarz będzie łaskaw pokazać nam jeszcze swoją sławną chmielarnię — a panno Wando, ja na drugi rok wrócę tu, oglądnąć specyalnie ogród warzywny, uprawiony i utrzymany przez panią!

(C. d. n.)

Barbara i Wanda.

Ofiara.

Obrazek dziejowy z XII. wieku.

Przez M-L. Z.

(Ciąg dalszy).

Głogów za to wydawał mu się wyborną zdobyczą na początek. Spokojne, dość na uboczu od głównych szlaków stojące miasteczko, mury miało poniszczone, i od dawna przezorną ręką nie tknięte, mieszkańcy w ciszy domowego pożycia oddawali się rzemiosłom, zapas broni zapewne był nie wielki... Zresztą pod Głogowem właśnie bród niestrzeżony przez Odrę wynaleziono...

Uroczyście obchodzony w Głogowie dzień Św. Bartłomieja ludność całą zgromadził w kościele. Niewielka ilość żołnierzy stała w namiotach za murami, wyczekując zapewne sprawdzenia się głuchych wieści o jakiejś niemieckiej napaści... Krążyły pogłoski, że jakaś garstka niemieckich rycerzy błąkała się już w okolicy.

— Garstka rycerzy! — Wojska niezliczone niespodzianie się na rozpierzchniętych rzuciły i opasując żelaznym pierścieniem całe miasto, owę straż w namiotach w pień wycięły... kilku tylko ujść zdołało, by ponieść wieść groźną Bolesławowi, i błagać odsieczy dla braci...

Oblężenie trwało kilka tygodni:

Dańko pełen zapału i niezłomnego męstwa, w początkach zwłaszcza czuł się zupełnie szczęśliwy: Wojna, słuszna i sprawiedliwa... wojna w obronie tego, co się najwyższem poszanowaniem ukochało, toć żywioł młodego junaka!

Dańko walczył dzielnie i wierzył w dzielność współobywateli.

Z ufnością oczekiwał przybycia księcia, a tymczasem sława jego siły i nieustraszonego męstwa, coraz bardziej głośną się stawała między obrońcami Głogowa i szlachetną dumą opromieniała czoło młodego bohatera.

Dobromira także bezczynną nie była, wszystkie niewiasty Głogowa, godne córy, siostry i małżonki rycerzy, nietylko już pielęgnowały rannych i gotowały strawę walczącym, ale same znosiły na wały kamienie, garnki ze smołą i wrzącą wodę, które w braku już innych pocisków rzucano na oblęgających — a słabe kobiece ręce nie dały się wyprzedzić w tej rozpaczliwej obronie, zahartowanym w trudach wojennych męskim ramieniom.

Pomimo tych cudów męstwa, w miarę jak szturm się przedłużał, szczuplała coraz garstka dzielnych Głogowa obrońców — już wreszcie i głód w mieście szerzyć się począł — wyczerpano wszystkie zapasy, a przez obóz niemiecki wieńcem opasujący miasto, ptak chybaby przeleciał!

Pobladłymi twarzami witali się teraz nieustraszeni mieszczanie — z każdem wschodzącem słońcem spodziewali się, że na wzgórzach od wschodniej strony powieją im po za szańcami Niemców, przybywające im na pomoc chorągwie Bolesława: ale słońce schylało się ku zachodowi, dłonie mdlały od walki nad siłę, a zbawczych znaków nie było nigdzie widać na widnokręgu.

— Wieści naonczas wolno ciągnęły przez źle utorowane szlaki — drogi leśne, bagniste, ciężkie były do przebycia z rycerstwem, a tu jeszcze zaczajony nieprzyjaciel zatrzymywał co chwila spieszącego na odsiecz swemu wiernemu miastu księcia Bolesława. Tymczasem obrona wyczerpywała się z dniem każdym, choć nikt w Głogowie nawet nie myślał o poddaniu się.

Nakoniec nadszedł dzień bardzo smutny. Trzeba było koniecznie uzyskać choć parę dni wypoczynku, trzeba było naprawić podstarzałe i nadniszczone mury, a właściwie liczono po cichu na to, że przez uzyskany czas zwłoki nadciągnie książę Bolesław.

Cesarz nibyto przystał na rozejm, ale pod warunkiem, że po upływie owych trzech dni Głogów mu bramy roztworzy — a dla większej pewności zażądał zakładników. W Głogowie, podług otrzymanych wieści, spodziewano się już księcia lada godzinę — koniecznością było tylko zyskać na czasie.

Oddano więc w zakład pacholęta zbyt młode jeszcze do broni, a w wieku dość dojrzałym, by umieli się stawić, jeźli ich wypytywać będą o szczegóły otoczenia miasta i liczbę obrońców.

Sędziwojów Leszko był w ich liczbie.

Nie mógł Sędziwoj odmówić miastu tego, co dlań czynili inni ojcowie, ale straszny to był dzień niego, gdy to naukochańsze swoje dziecię przyszło mu wydać wrogom.

Była wszelka pewność, że zakładnikom nic się złego nie stanie — w ciszy serca spodziewali się ojcowie, że już za kilka godzin może, z okrzykiem tryumfu na ustach roztworzą bramy własnemu już księciu, który w objęcia rodziców odprowadzi ukochaną dziatwę — a jednak wszystkie twarze były zasępione i tłumiony szloch kobiet dawał się słyszeć, gdy popoprzedzana przez posła z białą chorągwią, garstka pacholąt wyszła za mury.

— Pobłogosławcie mi ojcze — aby Duch św. był ze mną, żebym się prawdziwym mężem okazać mógł wśród tych „psubratów“ — mówił Leszek, klękając na pożegnanie przed ojcem, którego twarda od pracy ręka, drżąc, spoczęła na jego pacholęcej główce. Dobromira bladła i zalewała się łzami — mimo wszelkiego na pozór bezpieczeństwa, jakieś straszne przeczucie ściskało jej serce i zdawało się mówić, że nigdy już pod dach rodzinny ukochany braciszek nie wróci...

Dańko teraz dopiero przypomniał sobie słowa O. Benedykta, i chmura zasępiła czoło młodego junaka — dalekim był już od swobodnego wesela pierwszych dni po powrocie — wyrzucał sobie, że lekkomyślnie cieszył się wojną, która mu sławę przynosiła — ale spokój

i wesele wyganiała — kto wie, czy nie na zawsze — z progów ojczystego domu.

Stary Sędziwoj, stał na murach i jak skamieniały spoglądał ciągle w stronę niemieckiego obozu, w którą mu jego Leszka uprowadzono...

Pierwszy dzień minął bez wieści o księciu i posępna cisza oczekiwania zawisła nad Głogowem.

* * *

Rumiany świt złocił zaledwo najwyższe krzyże wieżyc kościelnych w Głogowie i zaróżowił kilka rozsianych po niebie obłoków — w dole, miasto pogrążone jeszcze było w cieniu, a jednak wrzało już ruchem i gwarem, który zdaje się i przez noc całą tu nie ustawał. Ale gwar to był niewesoły i ponurymi były twarze rajców (t. j. radców) miasta i majstrów cechowych, gdy wydawali rozporządzenia rojącej się na murach czeladzi; tu jeszcze furtę w jednej z bram trzeba było umocnić i z zewnątrz, dla większego oporu, zawalić ją kłodami — tutaj wydzierano głazy z bruku i starano się załatać nimi, choć jakkolwiek, wyłom w murze zrobiony przez tarany niemieckie, tutaj znoszono na stosy wszystko, co tylko jeszcze dało się jako pociski zużytkować — ale choć ręce pracowały żwawo, na usta nie wybiegała tak rzeźwiąca przy pracy piosenka, w oczach, zamiast zapału, widać było tylko niepokój lub uczucie zawodu, graniczące ze zniechęceniem.

Bo też to już trzeci dzień uzyskanego rozejmu się podnosi — a czy przyniesie on nareszcie uciśnionemu miastu upragnionego wybawcę? Głód, brak sił i broni coraz w sercach osłabiają otuchę; gdyby cesarz po upływie tego dnia ostatniego chciał znowu szturm ponowić, kto wie, czyby i rąk nie zbrakło już do obrony, a tu zmieniający się co godzina strażnik na wieży, daremnie wypatruje oczy w stronę, z której pojawić się mają spodziewane zastępy Bolesława. I wszyscy pracujący na murach, co chwila ku owej stronie zwracają niespokojne, wyczekujące wejrzenie... ale w coraz jaśniejszych już blaskach dnia na wschodzie, nic dotąd nie widać, prócz tumanów białej mgły na błoniach, tak gęstej, że skryła prawie zupełnie namioty i szańce niemieckie... — Niebo w górze coraz błękitnieje — mgła nie wznosi się ku niemu; nim chłodną, sierpniową rosą zleje obficie trawy i zioła na łące, przylgnęła do ziemi jakby płaszcz, jakby całun jakiś nieprzenikniony, a gdy słońce z góry coraz ją mocniej przygrzewa, zamieniać się zdaje w białe, zbałwanione morze, w którem utonął cały obóz niemiecki i którego pełzające fale podpływają aż pod same bramy i mury Głogowa...

Krzyk przerażenia i grozy rozległ się między stojącymi na tych murach; tam! prawie tuż pod murami, nagle jakby cudem wyrosłe, zjawiły się we mgle oblężnicze machiny Niemców — które pod osłoną tej mgły zdradzieckiej, bezkarnie aż tu się posunęły! Jak jakieś duchy złowrogie, jak potwory uzbrojone w sto ramion, rysują się w tumanach olbrzymie głowy taranów i wysokie szkielety wież oblężniczych, niosących łuczników i rycerzy. Ale jakkolwiek znużone miasto liczyło jeszcze na ostatni dzień spokoju, jakkolwiek straszną mogła być walka o tak nierównych siłach, nie sam to jednak widok błyszczących już teraz w słońcu niemieckich hełmów i puklerzy wywołał ten tak pełen najwyższej rozpaczy krzyk na murach i wałach Głogowa: tam, w przednich szeregach niemców, i tam na szczycie najgroźniejszych wież oblężniczych, kogoż tu widzą nieszczęśni mieszczanie, że im tak serce w mężnej piersi zastyga z przerażenia i dłonie z napiętym już łukiem lub kuszą opadają w dół jak złamane?

Nie mylą się oczy ojców i braci — tam — ich lniane płótnianki lub siwe kapoty — ich niczem nieokryte główki wśród błyszczących hełmów żelaznych, zdradzają ich niezaprzeczenie — to ich synowie i bracia! to dziatwa głogowska!.. niewinni zakładnicy, których wiarołomny cesarz prowadzić kazał w pierwszych szeregach lub poprzywiązywać do wież oblężniczych, licząc na to, że tym piekielnym podstępem rozbroi dzielne dłonie, które dotąd tak wytrwały stawiały mu opór. Jakżeby ojce odważyli się rzucać strzały i pociski, gdy grot każdy, ręką ojca rzucony — mógł trafić najdroższą głowę?

Ten iście szatański pomysł oburzył nawet własnych rycerzy Henryka — szmer powstał między jego przyboczną drużyną — ale czyż on dbał o to, że go chcieli odstąpić szlachetni, kiedy na rozkazy swoje miał zawsze zgrają dzikiego, najemnego żołdactwa, składającego się ze steku najgorszych, najnikczemniejszych rabusi, którzy we własnym kraju, za różne zbrodnie i gwałty byliby się pod miecz sądu dostali, gdyby ich nie osłaniało to, że weszli w służbę Henryka. Tych zbirów nie trzeba było do żadnej podłości zachęcać: szli jak na uciechę — i tak też teraz pędzili przed sobą garstkę pacholąt Głogowa. — Oni równie jak ich władca, pewni byli, że teraz miasto roztworzy im bramy bez żadnego dalszego oporu.

Szmer przeleciał między stojącymi na murach, jak w odrętwieniu, mieszczanami: „Im się poddać! Nikczemnym, co się przed taką szkaradą nie cofnęli? Im, co się zawczasu już cieszą tryumfem odniesionym podłością?

Oddać to piękne królewskie miasto, gniazdo swoje, groby swoje, na pastwę oręża niemieckiego? „Do broni, bracia!“ ryknął jak lew, głos Dańka — „niech ginie zdrada nikczemna! niech ani jedna noga niemiecka nie ujdzie żywa z pod naszych murów!“

— „Mój syn — tam oto! w pierwszych rzędach... — woła burmistrz, złamanym, ale silnym głosem. — Zbiszku mój! Zbiszku! do widzenia... u Boga! Niech żyje król! Brońmy się bracia!“

(Ciąg dalszy nastąpi).

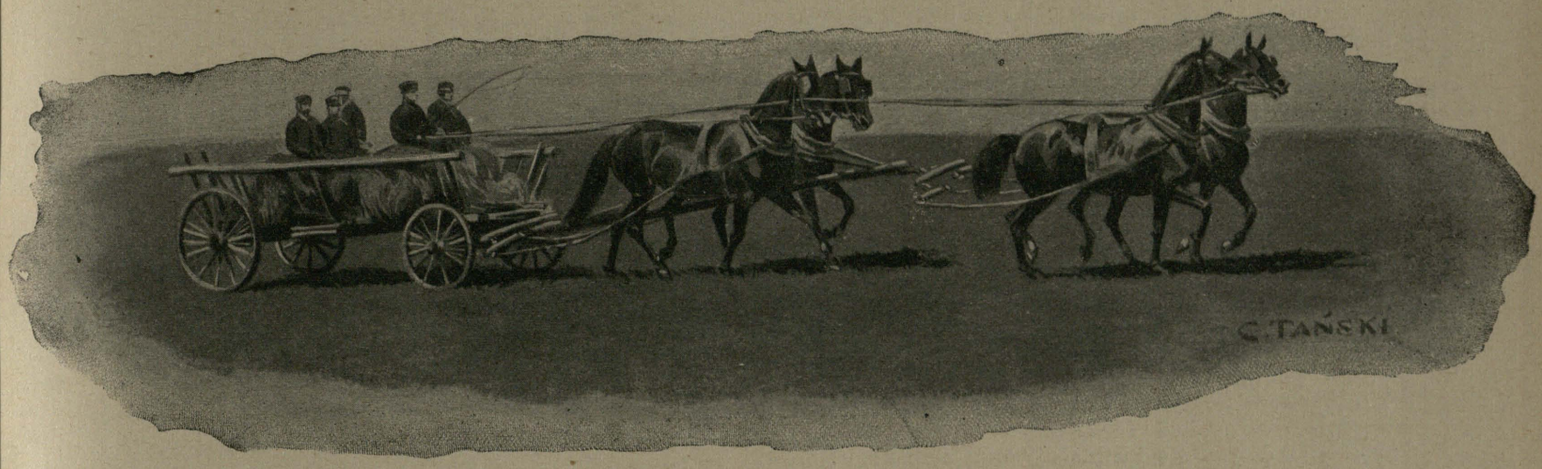

Na wakacyach!

Nasza praca.

Z opowiadań przyjaciela.

Egzamina z matury już się rozpoczynały. Gdyśmy wychodzili z kaplicy po Mszy św., ukochany przez wszystkich ksiądz katecheta rzekł do nas:

— A przystrojcie mi ładnie ołtarz na Boże Ciało, wszak to już ostatni raz.

W istocie ostatni raz, bośmy kończyli gimnazyum. Postanowiliśmy, że zdać musimy wszyscy, co do jednego, i tak się braliśmy na pazury, iż wątpić nie można było o pomyślnym skutku. Ksiądz katecheta, po wypuszczeniu nas z pod swych skrzydeł, zamierzał osiąść na parafii, między mazurami „ślepymi“. Za ciężko mu już było.

Słowa jego zelektryzowały nas; przystroić ołtarz, nasz własny, uczniowski, ten który na uroczystą, całe nasze miasteczko wzruszającą processyą Bożego Ciała ubierany był zawsze w bramie naszego gimnazyum, toż to było marzenie od lat wielu, od pobytu w pierwszej klasie. Przywilej ten zagarniali „ósmaki“, młodszym pozwalając tylko spełniać czynności podrzędne. Nareszcie przyszła i na nas kolej, tego roku myśmy maturzyści, my zbudujemy ołtarz przed gimnazyum, a musi być najpiękniejszym. Nie damy się zawstydzić!

Jest o czem myśleć; ołtarz urządza się w głównem wejściu do gimnazyum; schodki kamienne trzeba zasłać dywanami, a dwie, wysokie i szerokie połowy drzwi najokazalszymi. Wreszcie olbrzymio długi dywan spływać powinien z okna bibliotecznego, na pierwszem piętrze, do wierzchołka ołtarza, bo w oknie stanie chór uczniowski. A kwiaty doniczkowe i wieńce, a obraz święty, a lichtarze — wszystko to na głowach naszych! Ale było tych głów dwadzieścia, tyleż par rąk do roboty, tyleż ust do przekonywania właścicieli pożądanych ozdób; w dodatku na posługi, na posyłki cały sztab pomocników z klas niższych. Zrobi się! W wigilią Bożego Ciała, chociaż w piątek przypadał pierwszy dzień egzaminów — pisemne zadanie z łaciny, nikt z nas nie pomyślał o „kuciu“, wszyscyśmy, zjadłszy obiad łapu capu, biegali po mieście jak oparzeni.

Ja rozpocząłem szturm o pomoc od rodziców.

— Mateczko! potrzebuję wszystkich kwiatów z bawialnego pokoju do ubrania naszego ołtarza — i nie czekając na pozwolenie, zacząłem pospiesznie zestawiać z okien doniczki.

— Ależ, Stasiu, jutro będzie jeszcze dość czasu na to.

— Jutro? jakto jutro? co mateczka mówi?... Jutro, skoro świt, musi już być ołtarz. Dziś musimy wszystko przygotować; mateczka chce chyba, żeby się z nas szóstaki i siódmaki wyśmieli.

— Ależ nie chcę, nie chcę, bierz dzisiaj, zaraz!

— Mateczka jest złota; całuję mamie rączki, tylko proszę mi dać do pomocy Kasię.

— I owszem niech idzie.

— Dywan z przed kanapy to już ja sam wezmę.

— Jakto? i dywan? — odezwał się bez zachwytu, z drugiego pokoju ojciec. — Wieczorem będą goście, zaprosiłem kolegów na preferansa....

— Proszę ojca, czy to w preferansa nie można grać i bez dywana? — Ojciec rozśmiał się, sprawa była wygrana. Zwinąłem dywan, łamiąc go niemiłosiernie w tutkę, i wybiegłem z nim do gimnazyum. W sali bibliotecznej panował rejwach; koledzy już poznosili z domów rodzicielskich kwitnące pelargonie, azalie, portulaki i t. p. okazy botaniczne. Na ziemi leżały stosy dywanów, po których przeskakiwaliśmy; w godzinę po mojem przybyciu stawiła się i reszta kolegów, z resztą upiększeń ołtarzowych.

Zrobiwszy pobieżny przegląd rzeczy, stwierdziliśmy z zadowoleniem, że jest wszystkiego nadzwyczajna obfitość. Rozpoczęło się wtedy gatunkowanie dywanów na lepsze, mające zająć miejsce widoczniejsze, i gorsze, które pójdą na schodki i część chodnika.

— Niech pamięta miasto całe, jak to my przybraliśmy ołtarz, i jak żegnaliśmy naszego katechetę!

Ogrodnik obiecał nam przysłać jeszcze o świcie kosz kwiatów ciętych i girlandę. Drzewka z lasu do wszystkich czterech ołtarzy także będą o świcie.

Gdyśmy, dumni ze swego dzieła, mieli już się rozejść do domów, aby wrócić przed świtem, jeden z kolegów wykrzyknął: — „Na nic! wszystko za nic! A oleandry? duże oleandry, jak to co roku było? Wiecie — stoją po bokach ołtarza, to ubiera, to ogromnie ubiera!“

— Jeszcze nic straconego! Dobrze, żeś przypomniał, „grdulo!“

— Oleandrów nie brak w mieście....

— Przydałyby się kwitnące. To dopiero ubiera!...

— Jest.... jest!... są i kwitnące — wykrzyknął kolega, zwany „ślepym Homerem“.

— Powiadam wam, kwiat przy kwiecie, pąk przy pąku....

— Gdzie? gdzie? gadaj....

— U Łazickiej, widziałem wczoraj, byłem u szóstaków na stancyi....

— Łazicka? — to na nic.... będzie się bała, żebyśmy ich nie połamali, nie da....

— Chyba, że Stach ją poprosi.... On ma łaski....

— Skądże znowu ja? — przestraszony misyą z rezultatem niepewnym, zagadnąłem kolegów.

— Masz łaski, masz, „głowaczu“, u Łazickiej! A nie pamiętasz to, jakeśmy cię zemdlonego przenieśli do niej na stancyę. Poczciwa Łazisia sama łóżko rozebrała, sama ci wodą głowę skropiła; myśmy poszli na lekcyę, a ona cię pielęgnowała niewdzięczniku!

— Pamiętam, pamiętam, a jak przyszedłem zupełnie do siebie i uczułem głód, to dała mi czubaty talerz naleśników z konfiturami....

— A widzisz! widzisz! o konfiturach to jeszcze nie wiedzieliśmy dotychczas! Rżnij więc do Łazickiej z prośbą o oleandry. Rżnij z miejsca, natychmiast! My czekamy....

— Ha, niema co, rżnę.

Zastałem staruszkę, zajętą podlewaniem kwiatów w ogródku.

— A cóż to pana Stacha do mnie sprowadza? Jak tam zdrowie? nie mdleje kawaler? nie?...

— Nie proszę pani, a zresztą, proszę pani, choćby i zemdleć to nie żal, byle potem dostać naleśników z konfiturami takich smacznych...

Staruszka się roześmiała.

— Naleśników nie ma, ale mogę pana Stacha zaprosić na kwaśne mleko... Chodźmy.

— Nie mam czasu, ja tylko na minutkę.... My proszę pani, ołtarz ubieramy....

— Wiem, wiem, jak co roku maturzyści, to chwalebnie....

— Mamy już wszystko....

— To dobrze....

— Tylko brak nam — oleandrów....

— Aha!

— A pani ma kwitnące, śliczne....

— Mam...

— Przyszedłem więc z prośbą od wszystkich kolegów, aby pani nam wypożyczyła...

— Nie dam.

— Pani się obawia, że ludzie połamią? — staniemy murem przy nich, słowo honoru, jak mamcię kocham.

— Kwiatów nie pożyczam nigdy, nikomu; wolę dać ofiarę pieniężną...

Gorąco mi się zrobiło, Koledzy wierzyli, że rzecz załatwię pomyślnie, a tu taki zawód!...

— Proszę pani, ja... ja... mógłbym się obrazić.... Ja... my.... pieniędzy nie potrzebujemy... My nie dziady... Pani nie pożycza kwiatów nikomu.... to dobrze, to bardzo dobrze.,. Ale te kwiaty to dla ołtarza, budowanego na cześć Boga! To będzie raz ostatni.... My żegnamy gimnazyum... żegnamy katechetę... I pani już go na drugi rok nie zobaczy... on nas kocha.... ołtarz musi być wspaniały. Koledzy mówili, że ja mam u pani łaski....

Jąkałem się, dławiłem, łzy w oczach czułem....

Staruszkę wybuch mój rozrzewnił.

— Daję.... daję.... oleandry.... wam, katechecie, Bogu na chwałę. Bierzcie, wynoście, tylko pilnujcie, moje złote chłopaki, bo i to żyje, czuje, chwałę Bożą głosi, swem kwieciem i wonią....

Z tryumfem stanąłem przed kolegami: ołtarzowi naszemu niczego już nie brakowało!

Nazajutrz słoneczny zabłysnął poranek; ołtarz nasz w powodzi zieleni i kwiecia, z obrazem Najświętszej Panny w girlandzie z niezapominajek sztucznych i białych róż żywych, lubo obuumierających pod skwarem słonecznym, przykuwał oczy przechodniów, wywołując zachwyty: „Najpiękniejszy!“ — Nie odstępowaliśmy go ani na chwilę.

Nareszcie dźwięk dzwonów rozległ się donośnie, potem umilkł, a fala ludu, z duchowieństwem po środku, wypłynęła na plac przed gimnazyum. Uklękliśmy wszyscy. Z góry, z okna bibliotecznego, rozległ się chór młodzieńczy, potem nastała cisza, a po niej do uszu naszych dobiegł głos księdza katechety; śpiewającego Ewangelię. Ileż wspomnień ten głos ukochany budził w mem sercu, w sercach całej naszej gromadki. On to zaopatrzył nas na drogę życia w posiłek moralny, on czuwał nad utrzymaniem tego, co rodzice zaszczepili w sercach dziecinnych, to gromił to chwalił, ale zawsze dobro nasze miał na celu. Wkrótce wybiegniemy z pod skrzydeł tego kapłana-stróża na zawsze. Boże pobłogosław mu i strzeż nas!...

Zadźwięczały dzwonki, niżej pochyliły się głowy, kapłan celebrans udzielił ludowi błogosławieństwa. Fale ludu podążyły w stronę następnego ołtarza.

W tym czasie odepchnięto nas od oleandrów, a któryś z niezręcznych wieśniaków, zrywając z ołtarza gałązkę brzozy na pamiątkę, jak to jest w zwyczaju

między ludem, zaczepił o kiść oleandrową i obłamał całą koronę!

Struchlałem na ten widok.

— Co to będzie? co Łazicka powie? co się stanie z mojem słowem honoru? Krew mi uderzyła do głowy — ja zaręczyłem! jak powiedzieć — mój Boże! W tej chwili uczułem dotknięcie czyjejś dłoni na ramieniu. Odwróciłem się i ujrzałem panią Łazicką ze łzami rozrzewnienia w poczciwych bladych, rozmodlonych oczach.

— Ślicznieście ubrali wasz ołtarz! Długo mi zostanie w pamięci. Że tam chłopisko jakieś, niedźwiedź niezgrabny, złamał oleander, nie martw się tem panie Stachu. Na Bożą chwałę! na Bożą chwałę!... No, no, nie taka ja straszna jak mnie sobie wyobrażasz!...

Corocznie w uroczystość Bożego Ciała przypomina mi się ten ołtarz „uczniowski“, zdaje mi się, że widzę obraz Ostrobramskiej w girlandzie z niezapominajek i róż białych, że słyszę głos mego katechety, czuję obok siebie bicia serc kolegów, że od ołtarza płynie na mnie woń młodości i wiary.... *Karol Hofman.*

Wierny sługa starej szkoły.

Jagiellońska szkoła dobrze zasłużyła się krajowi. Wydała ona świętych, wielkich i zacnych ludzi, którzy naukę swoją zużytkowali dla dobra kraju. O tych wielkich i zacnych uczyliście się już w historyi, ja dziś wspomnę tutaj o człowieku, który wprawdzie nie był uczniem Jagiellońskiej szkoły i zajmował w niej podrzędne stanowisko, niemniej kochając całą duszą ziemię ojczystą pracował dla niej z pożytkiem. Człowiek z którym chcę was zaznajomić nazywał się Piotr Jacek Pruszcz, a urodził się w miasteczku Tucholi w 1605 r.

Otóż Pruszcz piastował urząd „bedela“ t. j. woźnego, jakby sługi, w kollegium Jagiellońskiem. Było to stanowisko bardzo podrzędne, jednak nie przeszkadzało mu ono ukochać zakładu, w którym służył, jak również miasta, w którem przepędził większą część życia swego.

Pruszcz żywo się zajmował sprawami szkoły i sprawami miasta. Zauważył on, że bardzo wielu ludzi przechodzi przez Kraków udając się do rozmaitych miejsc świętych lub pamiątkowych. Kiwał głową za odchodzącymi i myślał: dlaczego ci pielgrzymi chodzą tak daleko, kiedy w Krakowie niemal każdy kamień, każda cegiełka to pamiątka, to miejsce święte! Pomyślał sobie, że oni zapewne o tych skarbach drogich nie wiedzą i sam znając je dokładnie, postanowił opisać skarby ukryte w murach Krakowa. Gdy raz ta myśl opanowała głowę biednego „bedela“ Jagiellońskiej szkoły, nie dała mu spokoju tak długo, dopóki nie opisał dokładnie skarbów nagromadzonych obficie w kościołach i innych gmachach krakowskich. W chwilach wolnych od obowiązkowych zajęć napisał trzy książki: w pierwszej pod tytułem „Forteca monarchów“ opisuje świętych i wielkich synów Polski, w drugiej, pod tytułem „Morze łaski“, opisuje cudowne obrazy kościołów krakowskich, w trzeciej, nazwanej „Klejnotami“ opisał kościoły krakowskie.

O książkach napisanych przez Pruszcza mówi nam uczony archeolog, Łepkowski: „Książki te, poczciwie, po prostu i z wiarą pisane, szanowne a znakomite autorowi swemu zyskują imię. Jeżeli prócz ich literackiego znaczenia zważymy, że przez dwa z górą stulecia pouczały ludzi o pamiątkach starej stolicy, a miłość Ojczyzny szerzyły, więc o tym „bedlu“ bez przesady powiedzieć można, że Pruszcz, sługa Jagiellońskiej szkoły, co u jej wrót stawał, jest po Długoszu i Starowolskim (ze względu na opis Krakowa) ojcem archeologów*) naszych. *M. Śleczkowska.*

Ogłoszenie konkursu szycia.

Podobnie, jak w ubiegłych latach ogłaszamy i w tym roku dla naszych czytelniczek **konkurs szycia** na następujących warunkach:

Trzeba uszyć przynajmniej jednę sztukę odzieży lub bielizny dla dziecka od lat siedmiu do dwunastu. Miarę lepiej brać za dużą, niż za małą. Materyały wybierać trzeba praktyczne, t. j. trwałe a niezbyt drogie — na sukienki najodpowiedniejsze są barchany lub flanelki, na bieliznę schirtingi, na fartuszki płótna lub perkale. **Krój** sukienek ma być jak najprostszy; spodniczka z bluzką lub jednostajna sukienka, z tyłu lub przodu zapinana. Bielizna jest bardzo pożądaną. Termin nadsyłania robót konkursowych od piętnastego września do pierwszego października r. b. Do każdej roboty ma być koniecznie przyszyta kartka z imieniem i nazwiskiem przysyłającej czytelniczki — oraz trzeba dołączyć poświadczenie Matki lub Nauczycielki, o ile robota jest zupełnie własną — skrojoną być może przez kogoś starszego. Małym, niewprawnym rączkom i w trudniejszych szwach może pomagać ktoś starszy, byle wyszczególnionem było jak daleko ta pomoc sięgała. Można szyć na konkurs zarówno w ręku jak na maszynie. Należy do przesyłki dołączyć większe skrawki i resztki materyi, w przewidywaniu, że sukienkę trzeba będzie z czasem naprawiać. Pierwszeństwo do nagrody daje większa pilność i staranność w robocie. Nagród przysądzimy pięć i stanowią je duże i piękne książki. Wszystkim innym uczestniczkom konkursu rozeszlemy na pamiątkę chlubne odznaki, a przysłane roboty wyszczególnimy w osobnem sprawozdaniu.

Z nadesłanej odzieży urządzimy jak zwykle tak i w tym roku, przed Bożem Narodzeniem, **drzewko dla biednej dziatwy,** którąby bez tego żadnej kolędy nie miała, a tylu doświadcza niedostatków. Cel ten jest śliczny, to też mamy nadzieję, **że i tym razem nie napróżno odzywamy się do dobrych serc i pracowitych rączek naszych drogich Czytelniczek!** i że wszystkie zechcecie wziąść udział w tym konkursie, który Wam daje sposobność wydoskonalenia się w tak potrzebnej dla panienek umiejętności szycia, a biednym dzieciom przyniesie chwilę tak rzadkiej w ich życiu, serdecznej uciechy.

---

*) Archeologami nazywamy badaczy starożytności,

W przeszłym roku Czytelniczki „Wieku Młodego“ obdarzyły własnoręcznie uszytą, ciepłą odzieżą lub bielizną, około 100 biednych dzieci — daj Boże aby plon tegorocznego konkursu był jeszcze obfitszy.

Redakcya „Wieku Młodego“.

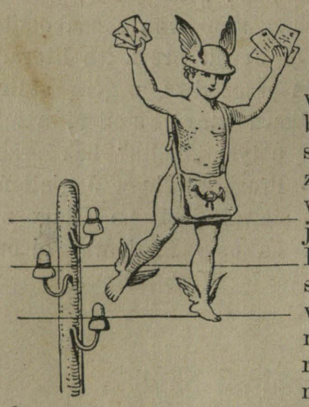

Skrzydlaty listonosz.

Staś D. w Stanisławowie. Dobry zrobiłeś wybór bo Korewicz jest najsympatyczniejszym. To jeden z tych szczęśliwych, których wszyscy kochają, ale bo mają za co. — Lola W. we Lwowie. „Skrzydlaty Listonosz“ bardzo jest zadowolony, że przed odlotem na wakacye może jeszcze doręczyć nagrodę nowej znajomej i przyjaciółce! jak to dobrze, że swój adres przysłałaś! — Wandula T. w Samborze. Twoja szarada już w drukarni, nie wiadomo jednak czy się zmieści w tym numerze. — Kazio Śl. w Sanoku. A cóż, czy dobrze już strzelasz z flobertu przysłanego Ci przez siostrzyczkę i czy dużo już wróbli upolowałeś? — Lila T. w Zakopanem. Adres na lato zmieniliśmy — łamigłówki zamieścimy — prenumeraty zapowiedzianej równocześnie z listem, nie otrzymaliśmy — jeżeli wysłałaś, to reklamuj na poczcie. Baw się dobrze w Zakopanem. — Norman M. w Jaśle. Łamigłówka dobra, ale wolimy takie, których i pierwsze i ostatnie głoski stanowią wyraz do odczytania — takie jak Twoja muszą dłużej czekać na swoją kolej. — Małgosia w Londynie. Zajeżdżamy po Ciebie czwórką krakowską (oczywiście na karcie)! szkoda, że nie możesz wsiąść z nami na ten wóz drabiniasty i pojechać „po snopki“ na pole, jak to nasi Czytelnicy często robią na wakacyach. — Zosia z Tryestu. Łamigłówka czeka na swoją kolej — damy ją w ciągu lata. Na pytanie, odpowiadamy Ci, że „Wiek Młody“ był na ten rok dla Ciebie tylko zamówiony, ale prenumerata od 1-go stycznia nieuiszczona. — Bronisława S. w Hleszczawie. Przysyła serdeczne pozdrowienie wszystkim współczytelniczkom i czytelnikom „Wieku Młodego“. — Lisia, Marylka i Milka W. w Seewalchen. Cieszy nas, że wśród cudów obcej przyrody tak po polsku biją Wasze serduszka, iż nawet, z malutką, kilkumiesięczną siostrzyczką „która jeszcze jednakowo wszystkie języki rozumie“ chcecie się bawić tylko „po polsku“. — Stella St. we Lwowie czy Reichenhall. Trzy przyjaciółki przesyłają Ci przez nas serdeczne pozdrowienie. — Lesio G. w Krakowie. Winszujemy Ci pierwszego paska złotego! u was wcześniej koniec kursu, więc już się nim cieszysz. — Konwalijka z Gorlic. Ślicznie żeś tak rozsądna, a miło nam że „Wiek“ kochasz prawdziwie — życzymy Ci wesołych wakacyi. — „Pszczółka“ z Kębłowa. Numer już zamykamy ale przecież jeszcze wsuwamy słówko, żeby Ci powiedzieć jak ogromnie żałujemy, że nas Panie nie zastały w sobotę! Tak cieszyłyśmy się na poznanie Łaskawej, Szanownej Mamuńci i Twoje. — Marta Sch. w Wiedniu. I Twój list nadszedł w ostatniej chwili, więc odpowiadamy króciutko, że adres chętnie zmienimy, a za przesyłkę nagrody odeszlij nam tyle marek ile ich było nalepionych na opasce.

Przypominamy naszym kochanym Czytelnikom, że za zmianę adresu na czas wakacyi prosimy o 20 centów na Gimnazyum polskie w Cieszynie.

Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom życzy Skrzydlaty Listonosz wesołych wakacyi i żegna się tu ze wszystkimi aż do września! Pisujcie pod tym samym co zawsze adresem Redakcyi — wszystkie reklamacye, zażądania numerów, przesyłki pieniężne itp. interesa do Redakcyi załatwiajcie przez pocztę — każde takie zgłoszenie uwzględnione będzie bezzwłocznie — rozwiązania łamigłówek przysyłajcie stale — my podawać będziemy nowe w każdym numerze — a po wakacyach, wymienimy wszystkie nazwiska i odbędziemy od razu wielkie losowanie nagród. — Rozeszlemy także wtedy nagrody za wypracowania i roboty konkursowe — które bardzo gorąco Waszej pilności i serduszkom polecamy. — Do widzenia w jesieni!

Skrzydlaty służka Redakcyi i Czytelników.

Trafne rozwiązania z numeru 12-go nadesłali: Lesio Gałecki, Romana Wolińska, Eleonora Mühlnerówna, Staś Dobrucki, Wanda Więckowska, „Litwin“ ze Stanisławowa, Anna Zawiejska, Józef Kwiatkowski, Arnold Zott, Moryś Flippner, Zosia z Tryestu, Lola Weinrebówna, Konwalijka z Gorlic, Stach Stanek, Mania i Zosia Gwoździckie, Jania Głuska, Zosia Koretyńska, Lisia, Milka i Marylka Winiarzówny, Tadziuś Gulajewicz, Lila Turska, Tadzio Rybicki, Henryk Żuławski, Kazio Materni, Pszczółka z Kębłowa, Marta Schubertówna, Kazio Chudzik, Zosia Kyszyńska, Henryk Mildenhawer, Jadziula Kawska, Franio Silesiński.

Do nagrody wylosowani: Lola Weinrebówna, Jadziula Kawska i Kazio Chudzik.

Rozwiązania z numeru 12-go.

Łamigłówka zgłoskowa: Menelik, Imperator, Kondratowicz, Oldbury, Łobos, Aranjuez, Joubert, Kairo, Oloaf, Pułtusk, Ebro, Reichenhall, Nassau, Ibrahim, Korab. „Mikołaj Kopernik“, „Krzysztof Kolumb“.

Łamigłówka zgłoskowa w „Dodatku“: **Hellenowie, Elektron, Lód, Ebro, Nów, Artemis, Podatek, Róża. „Helena Prendowska“.**

Krzyż magigzny: K, sad, balon, królowa, Kallimach, Niemiec, wiara, ach, **h.**

Kwadrat magiczny: rak, osa, kat.

Składki: Nenio i Dola Tillowie, z dobrowolnie nałożonej grzywny za niezamykanie drzwi, na szkołę polską w Białej 60 centów — Marylka, Lisia i Milka Winiarzówny, na „Domy opieki“, znaczkami pocztowymi 1 złr. 50 ct.

Do Czytelników!

Dzisiejszy numer rozpoczyna drugie półrocze — przypominamy odnowienie półrocznej i kwartalnej przedpłaty a wyrównanie zaległej.

TREŚĆ: Czerwcowe róże. — Ofiara. — Na wakacyach! — Nasza praca. — Wierny sługa starej szkoły. — Ogłoszenie konkursu szycia. — Skrzydlaty Listonosz — Rozwiązania. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 14. We Lwowie, dnia 15. Lipca 1900. Rok VII.



Kwiat młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Czerwcowe róże.

(Ciąg dalszy).

Od tej chwili posłaniec z poczty, był przyjmowany na progu werandy przez niecierpliwą Wańdzię. Zaledwie mógł czapkę zdjąć, a już rzemień od torby tylko mu mignął przez głowę i torba z rąk jego wychwycona przez Wandzię padała na stół, wytrzymując jakoś cudem gwałtowne otwieranie. — Następowało pospieszne przerzucanie dzienników i listów, ale tego czego Wańdzia szukała nie było, i panienka z kwaśną minką wracała do pokoju, zapominając o porozrzucanych na werandzie papierach — za co zdarzało jej się dostać burę — ale niecierpliwość jej do przeczytania wspomnień o powstaniu skreślonych przez tę małą niegdyś dziewczynkę, która z owych czasów zapamiętała jej Ojczulka, była tak wielka, nazajutrz znowu z równą niecierpliwością posłaniec był oczekiwany, i torba w tym samym porządku wypróżniana.

Już trzeci tydzień mijał od wizyty Dublańczyków i Wańdzia zaczęła wątpić czy też pan Tadeusz rzeczywiście przyszle jej odpis wspomnień swej Matki, gdy nareszcie, w sam dzień swoich imienin 23 czerwca, wśród stosu różnych listów zastała na stole swego pokoiku większą i grubszą kopertę. Był to oczekiwany pamiętnik. Kilkanaście kartek gęsto zapisanych wysypało się z koperty. Biedne koleżanki i przyjaciółki Wandzi, które tak spieszyły z przysłaniem życzeń swoich solenizantce, gdyby wiedziały, że listy ich, zawierające tyle uścisków, tyle słów serdecznych i zapewnień „wiecznej przyjaźni“, pozostaną nietknięte a Wandzia najpierw pochwyci za list obcą ręką pisany, pewno by tak tej daty 23-go czerwca nie podkreślały sobie czerwonym ołówkiem w kalendarzu!

Nie dano jednak Wandzi długo czytać. Wcześnie się zjechało sąsiedztwo, podwieczorek dla wiejskich dzieci, wydawany corocznie w dzień imienin panienki, zajął jej dużo czasu, dość, że dopiero wieczorem, gdy już goście się rozjechali, widzimy naszą znajomą dziewczynkę pochyloną nad stolikiem i tak zatopioną w czytaniu, że nie spostrzeże jak i my z nią też czytać te kartki pamiętnika będziemy:

Czerwiec 1873.

„Róże dziś tak rozkwitły, że zdaje mi się że wszystkie inne kwiaty się pochowały, bo się boją porównania, zapach mnie wprost odurza, jest go tak pełno w mym pokoju, ale bo też za każdym najlżejszym wietrzykiem róże uderzają o szyby mego okna. Jak się macie królowe? kwitniecie tak co roku, więc mnie to nie dziwi, cieszy mnie tylko, że zaglądacie, bo chcecie się pewnie przekonać co się ze mną dzieje.

Wyrosłam, rok mi życia przybył, ale w tym pokoju nic się nie zmienia, nieprawdaż? tak samo piszę przy tym samym stoliku i witam was królowe kwiatów, witam! Czy wy myślicie? i czy pamiętacie? zapewne tak, bo przytakujecie główkami — czyście westchnęły? może wy wiecie więcej odemnie i tęsknicie jeszcze bardziej....

Dziesięć lat minęło! całe dziesięć lat, a ja tak ten dzień pamiętam jakbym go przeżyła wczoraj, tylko że z oddalenia widzę siebie czteroletnią jak kogoś drugiego, i to wszystko co się działo, więcej mi się przedstawia jak widziany obraz, który by się poruszał, lub sen.

Dziedziniec przed naszym pałacykiem był również jak dziś cały jak ogromny bukiet róż; wczesnym rankiem rodzice, z babcią czekali przy bramie, jakby na dostojnych gości. Ja, jak zwykle z Babcią, trzymając się jej ręki, stałam tam także. Goście nasi niebawem przybyli: zdziwionym moim oczom przedstawił się oddział konnego wojska — ale nie w mundurach, rozmaicie byli poubierani. Ci co jechali na przedzie stanęli przed bramą i pieszo zbliżyli się do rodziców; jeden z nich mocno kulał. Żal mi było tego pana i pytałam Babci czy go nóżka boli? „Boli go, Basiu, to mu ją Moskale postrzelili. Znałam już wtedy Moskali, bo Kozacy parę razy u nas przeprowadzali rewizyę.

Potem pamiętam, że ci panowie starsi z rodzicami zostali w pokoju; pozamykano drzwi i spuszczono story. Babcia mnie wyprowadziła do ogrodu i bawiłam się, już nie myśląc o kulejącym panu, bo zajęli mnie dwaj młodzi panowie, ale tak młodzi jakich teraz widuję jeszcze noszących szkolne mundurki; stali obaj u wejścia do sadu, gdzie inni przy ogniskach gotowali sobie śniadanie; ci dwaj pilnowali porządku. Jeden z nich bawił się ze mną, i poprosił mnie o róże, gdy mi Babcia pozwoliła i zerwała mi parę, dałam bukiet, wtedy drugi wyciągnął też rękę mówiąc: „Daj mi, dziecinko, też kwiatek“, a potem przypinając je sobie, tak poważnie, jakimś dziwnym głosem powiedział. „Może te róże z rąk niewinnego dziecka ochronią nas od kul“.

Boże! mój Boże, czy oni żyją? prawie co roku, co mówię? częściej, przychodzą mi na myśl: za każdym razem gdy róże widzę, gdy ten nasz dziedziniec tak rozkwitnie, to cała ta scena staje mi przed oczami jak żywy obraz, słyszę ten głos, i tak mi tęskno, że tyle ofiar poszło, minęło, a nam cośmy pozostali jeszcze gorzej niż było, jeszcze trudniej zdobyć niepodległość! Babcia mówi, że wątpić nie trzeba i nie opuszczać rąk, że nawet ja, taka drobna, nic nie znacząca osóbka, mogę dużo zrobić, abym tylko teraz pilnowała czystości języka i kształciła się, a starała się być wzorem cnót i pobożności, to już i teraz mam zasługę, nawet wobec Ojczyzny — a co dla Niej więcej, kiedy i jak robić, to już mi w swoim czasie samo serce podyktuje.

Moja złota, kochana, Babcia! tak mało odemnie wymaga.

Tego pamiętnego dnia Babcia kazała mi się modlić przed obrazem Matki Boskiej; mówiłyśmy razem litanię i „Pod Twoją obronę“, a tymczasem ze sadu wszyscy aleją kasztanową wyruszali dalej — pogaszono ogniska, pozasypywano ich ślady, a równocześnie, drugą stroną, przez bramę wjazdową i rodzice wyjeżdżali! Było to może już południe, a gdy mrok zapadał usłyszeliśmy nagle tentent szybkiej jazdy i nasz wierny stary Wojtek wpadł do pokoju, krzyknął „Kozacy!“ i znikł.

Wtedy moja siwiejąca już Babcia szybko, jak młoda dziewczynka, poskoczyła do swego łóżka, wyciągnęła stamtąd jakieś papiery, wsunęła w dwie poszeweczki od jasków i w mgnieniu oka przywiązała mi jedną z nich na plecach, drugą na piersiach; nasunęła na to luźną sukienkę ściąganą u szyi jaką nosiłam, przeżegnała mnie znakiem krzyża świętego i nakazawszy mi abym ust nie otworzyła o tem co mam na sobie, sama, zupełnie znów spokojna i poważna wyszła na ganek.

Już naokoło domu z bagnetami, z nahajkami stali kozacy; kilkunastu weszło do pokoi i zaczął się straszny zamęt: rozbijano szafy i szuflady, przewracano krzesła, zaglądano w sprężyny kanap, wysypywano sienniki, widocznie szkając czegoś uparcie, a pomiędzy tem żołdactwem krzątała się Babcia uprzejma, uśmiechnięta, zastawiła stół przekąskami, poustawiała kieliszki, kilkanaście butelek wina, a na dziedziniec kazała wytoczyć dwie kufy z wódką. Och, jaka to różnica była popasów: rannego i wieczornego!

O coś i mnie ci ludzie pytali ale nie rozumiałam nic, a że Babcia mnie przestrzegła żebym nie mówiła, więc milczałam — przez w pół zaledwo zdając sobie sprawę, że to przy mnie schowane to czego właśnie szukają i że gdy nie znajdą, tośmy tym nieznośnym Moskalom obie z Babcią doskonałego figla wypłatały!

Gdy rewizya do niczego nie doprowadziła zaczęła się pijatyka, okropna: skulona na łóżeczku nie spałam nic tej nocy. Babcia przesiedziała cały czas przy mnie odmawiając różaniec, a charakterystyczne moskiewskie podgwizdywanie przy pieśniach takich dzikich, strasznych, dolatywało do nas mimo zamkniętych szczelnie okiennic.

Na pożegnanie i podziękowanie zapalili kozacy puste beczki z wódki na dziedzińcu a rano gdyśmy wyszły z Babcią, aby kazać sprzątnąć ślady tych gości, smutny przedstawił nam się widok: Gazon skopany kopytami końskimi — róże, nasze prześliczne krzaki róż, w znacznej części połamane, lub osmalone od palących się beczek.

— Poco Babcia im pić pozwoliła? pytałam żałośnie.

— Bo widzisz, Basiuniu, przy wódce oni przemarnowali całą noc, a nasi tymczasem uszli daleko i już ich kozacy nie dopędzą! To szczęście, że Rodziców twoich już nie zastali w domu, bo może by ich byli zaraz aresztowali.

Rodzice tego dnia w południe wrócili: smutni, zgnębieni i zmęczeni. Babcia z Mamą co chwila odmawiały modlitwy, gdy w tem doleciał nas jakiś huk urywany, jakby grzmoty dalekie... Były to pierwsze strzały toczącej się niedaleko bitwy. Wszyscy domownicy zebrali się na litanię. Głuche wystrzały z za lasu dolatywały nas coraz częstsze i straszniejsze — trwało to bardzo długo, szczególnie długo mnie się to zdawało — a gdy mi Babcia wytłumaczyła, że tam za lasem wre bitwa, że to ci panowie co u nas wczoraj byli, narażeni są właśnie w tej chwili na śmierć z rąk Moskali, mnie się serce tak ścisnęło za tym kulejącym panem i za tymi, którzy róże odemnie wzięli że, pamiętam, uderzyłam w płacz rozpaczliwy, z którego ani Babcia ani Mama uspokoić mnie nie mogły. Wreszcie zmęczona usnęłam.

W nocy zbudził mnie przez wpół jakiś cichy turkot, chodzenie ciężkie po schodach — ale po dziecinnemu nie oprzytomniawszy jeszcze usnęłam znowu, dopiero jasny blask jakiś uderzający wprost w moje oczy ocknął mnie zupełnie: otworzyłam oczy, to Mama stała w chustce na głowie, z latarką w ręku i patrzyła na mnie, a spostrzegłszy że nie śpię, ucałowała mnie i nakazała zasnąć znowu — ale mnie to już w głowie nie było. Widziałam, że Ojciec też wyszedł z Mamą i sam dźwigał ciężki kosz w ręku. (C. d. n.)

Barbara i Wanda.

Ofiara.

Obrazek dziejowy z XII. wieku.

Przez M-L. Z.

(Ciąg dalszy).

Między szeregi bohaterów na murach wpadają nagle kobiety — ich tkliwe serca zamierają jeszcze przerażeniem wobec tego, co się tu gotuje — radeby pohamować zapał obrońców Ojczyzny — czepiają się ich szat jak nieprzytomne.... Dobromira wiesza się Dańkowi na szyi...

Ale ze stałością prawdziwym mężom właściwą, usuwają je i podnoszą na duchu waleczni:

„Kobiety! czyż wy nie wiecie, co znaczy słowo Ojczyzna?! Jeśli my dzisiaj niemcom się poddamy, pójdą w głąb kraju, w sam środek Polski otworzymy im drogę! I kląć nas będzie każda piędź ziemi przytłoczona niewolą!“

— Mienie nasze — krew nasza — dzieci nasze — wszystko Ojczyźnie!

Pośród niemieckich szeregów spostrzeżono już także ruch, jaki zapanował wśród Głogowian, i zdają się dorozumiewać jego przyczyny.

Oto z wiedzionych przodem pacholąt jedno wyrywa się z rąk żołdactwa — wybiega naprzód — podąża ku murom — Dobromirze dech w piersi zamiera i Dańkowi w oczach coś pociemniało: to Leszek! Poznają dobrze jego jasne długie włosy i białą lnianą kapotę z szafirowym pasem — a choć odległość jeszcze zbyt wielka, aby można posłyszeć słowa, widzą jednak, że mówi, że znaki jakieś im daje rękoma, jakby nie mogąc głosem, gestami chciał im jasno myśl swoją wytłumaczyć.

Oto przybliżył się jeszcze — już teraz omylić się niepodobna na tem, co słowa i ruchy jego znaczą: rozrywa na dziecięcej piersi koszulę — wystawia tę pierś obnażoną naprzeciw łukom i grotom, sterczącym z murów Głogowa — szerokim gestem drobnej ręki od nich do serca swego drogę wskazuje — a cała ta postawa chłopięcia tak pełna jest bohaterskiego zapału, że patrzącym, mimo oddalenia zdaje się, iż widzą iskry, sypiące się z jego błękitnych oczu, Dobromira nie mdleje już — nie rozpacza, zdaje się jej, że ogień jakiś nowy wlał się w jej żyły i świat jakiś cały nowych uczuć i myśli odsłonił się przed jej duszą. — Dańkowi zadrżały usta i łza jedna spłynęła po młodzieńczej twarzy.

Oto wojsko napastników już tak blisko, że mimo panującego w niem szczęku i gwaru, dolatują na wały donośnym chłopięcym głosem krzyczane wyrazy:

„My nic! brońcie murów!“

Już też i słów tych nie potrzeba... — Dańko odwrócił tylko głowę, aby nie widzieć, „My nic — wszystkiem Ojczyzna!“ powtórzył zbladłymi wargami, zmieniając nieco słowa pacholęcia. — W tejże chwili warknęła cięciwa i pierwsza jego strzała, godząca na oślep, wpadła w zbite szeregi niemieckiego żołdactwa...

„My nic! brońcie murów!“

Te słowa, które wydarły się z przepełnionego miłością Ojczyzny i męstwem serca chłopczyny, stały się nagle jakby umówionem hasłem, jakby pobudką, przypominającą każdemu świętą powinność. Zdało się, jakby te słowa błyskawicą obiegły mury dokoła, tak nagle zabrzmiało na wszystkich basztach i blankach, przy każdej bramie: „Bronić murów! wszystkiem wolność i Ojczyzna, nie dać murów!“

Szał jakiś opanował Głogowian, szał zarówno z zapału jak i z rozpaczy złożony: niepatrzyli już — nie słuchali — nie widzieli, co się w koło nich dzieje — jedno wiedzieli tylko: Niemcy byli przed nimi! Niemcy, mordercy ich dziatek — i trzeba było wszystkiem, co tylko rękami chwycić się dało, odpychać, tłuc, miażdżyć tego wroga!

Furczały głucho w powietrzu dzidy i ciskane z proc kamienie — gwizdały strzały łuków — wściekłością do siły olbrzymiej pobudzane ramiona, wyrywały z bruków, głazy zdzierały dachówki z dachów, kruszyły zębate blanki samych murów, aby cegły z nich ciskać na oblęgających. Kobiety nawet jak szalone, biegały do domów i wynosiły stamtąd kociołki i garnki z wrzącą wodą, które spychały w dół, zalewając ukropem oczy wdzierających się na szkarpy. Tak samo

rzucano na nich garnki z płonącą smołą i zapalone szmaty odzieży, którą porywano ze skrzyni lub zdzierano z siebie i nurzano przed zapaleniem w smole lub oleju. — Godziny mijały — słońce chyliło się ku zachodowi — szał walki zamiast ostygać, wzmagał się coraz — piersiom nie stawało już oddechu — gardła zapiekłe nie wydawały głosu — w oczach się ćmiło. Nie widziano, kto tam padał w pierwszych szeregach — ale ramiona nie ustawały ani na chwilę. Nie było już nawet żadnej komendy, nikt nie wydawał rozkazów: każdy walczył własnym przemysłem i wściekłością jak zwierz dziki broniący swojej nory!

Oto na wieczornem już niebie, jak gdyby łuna zajaśniała nad Głogowem: to wszystkie najcenniejsze sprzęty domowe i skrzynie, powynoszone i porzucane na stosy, gorą już na murach oblężonego miasta: ogień sam broni przystępu, a zresztą łatwiej tu teraz pod ręką, na samych murach, grzać kipiątek i utrzymywać war oleju. — Niektórzy, niecierpliwsi, nie czekając na te środki obrony, wprost chwytają zapalone głownie z ogniska i tymi płonącymi żagwiami ciskają na Niemców, lub spuszczając się z nimi z murów, jak z orężem, nacierają nawet w ręcznym boju.

Ale wszystkiego tego za mało. — Dańko pierwszy wpada na myśl nieużytych jeszcze, niewyczerpanych pocisków: wprawdzie i to ciężka ofiara — najdroższym klejnotem prawego rzemieślnika, jest jego warstat, jego narzędzia po ojcach oddziedziczone! Ale niech i to idzie „na pohybel“ (na zgubę) wrogom.... Głogów, miasto królewskimi przywilejami bogato uposażone, kwitł przemysłem i liczył wiele cechów rzemieślniczych — niemal każdy z jego mieszkańców uprawiał „kunszt“ jakiś, jak to wówczas mawiano. — To też w jednej chwili, gdy czeladź skoczyła do domów, zadźwiękło aż na murach od młotów, pił, hybli, kielni i obcęgów — porywano nawet pociągle, kopyta i tkackie warstaty — wszystko zdawało się dobre, czem tylko grzmocić można było „psubratów“ — nawet poświęcane drzewca chorągwi cechowych.

Wszystkie przyniesione z lat nauki i wędrówki po świecie próby sztuki Dańkowej, jego tak pięknie wyrabiane zamki i gwoździe, śruby i klucze i owe kłódki co mu sławę przynieść miały — wszystkie arcydzieła, w które włożył całą umiejętność swoją, roztrzaskiwały się teraz o twarde przyłbice Niemców, ale też i nierzadko, silną dłonią rzucone, roztrzaskiwały te przyłbice i łby, kryjące się pod nimi. Dańko sam, czarny od dymu i brudu, nie ustając w walce ani na chwilę, z płonącymi dziko oczyma, zdawał się być wcieleniem bohaterskiego męstwa — przykład jego innych porywał — a młodzieńcza siła, zdwojona zapałem, dokonywała cudów prawdziwych. Wśród Niemców nawet zauważano, że on to głównie rozsiewał zniszczenie — jego pociski nie chybiały nigdy, a w braku pocisków, żelazna pięść druzgotała najbliższe karki, lub silne dłonie chwytały w pół wdzierającego się po drabinie żołdaka i zakręcały nim takiego młyńca w powietrzu, że lecąc w dół powalał i gniótł swoim upadkiem szereg towarzyszy, jak spadająca z gór lawina. To też wkrótce już w pobliżu niego Niemców zaczęło nie stawać — iść już musiał za nimi, sam szukać miejsc, gdzie się tłoczyli najnatarczywiej, lub gdzie nadwyrężone mury stawiały opór najsłabszy, i tam jego zjawienie się wnet rozpraszało napastników, a widok jego czynów wlewał nowy zapał i otuchę w serca oblęganych. Niemcy, z początku tak ufni w swoje zwycięstwo, teraz w niejednem już miejscu ze znaczną stratą odparci, mięszać się zaczęli i tłumić bezładnie. Najlepsza, najszlachetniejsza garstka rycerzy Henryka, odrazu, jak wiemy, szmer podniosła przeciw swemu wodzowi, gdy tylko na jaw wyszedł barbarzyński plan jego podstępu.



Grzegorz z Sanoka arcyb. lwowski.

On, nie dbał zrazu o szemranie rycerzy, bo dość miał najemnych żołdaków i ciurów obozowych — ale teraz, wobec rozpaczliwej obrony własnego gniazda, z jaką się całkiem niespodziewanie spotkali, nawet w tych duszach w pół dzikich, obudziło się jakieś przecie szlachetniejsze poczucie. Wobec bohaterów, którzy najdroższej krwi swojej — dzieci swoich — nie zawahali się poświęcić dla wolności, coś jakby wstyd, poruszać się zaczęło w sercach tych nędznych służalców, którzy jak bydło szli za rozkazem pana, choćby na zbrodnie lub podłości. Poświęcenie i męstwo nawet tę dziką zgrają czcią mimowolną przejęło, a gdy jeszcze odwaga i rozpacz Głogowian tak dzielny stawiły im opór, gdy trupy po ich stronie coraz częściej padać zaczęły, tak że aż wypełniły się nimi fosy naokoło Głogowa, szmer niezadowolenia i buntu coraz głośniej przelatywać zaczął w niemieckich szeregach:

„Cóż my tu, na rzeź wszyscy wysłani? wytłuc się damy, jak muchy u stóp tej mieściny, z której nam

mały pożytek a tym ludziom chyba ją wraz z duszą ostatniego z mieszkańców wydrzeć zdołamy".

Henryk spostrzegł, co się dzieje, i kazał innym, zapasowym pułkom, cofające się już pierwsze szeregi pędzić przemocą, znowu na mury — ale spotkał się nareszcie z głośnym oporem: oburzenie na jego wiarołomstwo i litość nad nieszczęsnymi bohaterami Głogowa nie próbowały się już utaić — a gdy w dodatku, niepojętem się zdawało, jakim sposobem ta garść bladych, znękanych rozpaczą i prawie bezbronnych mieszczan, przez tyle godzin zwycięsko stawić mogło czoło tysiącom, między ciemnem i zabobonnem żołda-



Mikołaj Kopernik.

ctwem Henryka, rozszedł się skądś głos o czarach Głogowian, o tem, że ich nikt nie przemoże, bo krew niewinna stoi za nimi! I nie pomogły już żadne rozkazy ani nawet napędzanie pierwszych szeregów mieczami przez tylne straże Henryka: żołnierze zaczęli się wszędzie cofać w największym nieładzie i popłochu:

„Nie chcemy iść, nie pójdziemy, aby wyginąć marnie!" wołali wszyscy.

Na murach spostrzeżono zaraz to zamięszanie w wojsku Henryka — serca uderzyły zdwojoną nadzieją, że straszna, spełniona ofiara nie będzie przynajmniej daremną. — Gdy Niemcy zaczęli ustępować w nieładzie, Dańko gromkim głosem zwoławszy garść towarzyszy, z gołymi niemal rękoma, spuścił się z murów i poszedł w pościg za uciekającymi.

Dobromiry już dawno nie było na murach wśród walczących. Ona, wśród zgiełku bitwy, wśród przesłaniającego świat dymu i kurzawy, sercem siostry przeczuła, poznała nie widząc, chwilę w której Leszek, braciszek jej ukochany, najmilsze dziecię u Ojca, padł z młodą skronią zalaną krwią od pocisku, przeznaczonego któremuś z wrogich najeźdźców. (C. d. n.).

Ze wspomnień starej szkoły.

Szereg obrazków.

(Ciąg dalszy — patrz numer 11).

Oto w piękny dzień letni, brzegami Sanu, bujną pokrytemi zielenią idzie sobie dwunastoletnie chłopię i wesoło pogwizduje. Za cały majątek ma węzełek niewielki zarzucony przez ramię, a przecie oczy mu się śmieją i raźnie w świat rusza, pewien, że mu się wszystko w życiu udać musi. Ten chłopaczek, co tak sobie rezolutnie idzie w świat szeroki, to Grześ, ubożuchne pacholę z pod Sanoka, syn pana Piotra, szlachcica herbu Strzemię — znanego zarówno ze skąpstwa jak ze srogości. Dokuczał brak w domu ojcowskim — zaciężyła nieraz sroga surowość Rodzica — nie to jednak wygnało Grzesia z pod ojczystej strzechy: nauczył się chłopak czytać i nieco po łacinie od miejscowego bakałarza parafialnej szkółki, zapragnął gorąco światła i oto szukać go poszedł w świat, gdzie oczy poniosą...

Inne jednak były czasy wówczas, inni ludzie, i nawet malcy w tym wieku, w którym dzisiaj bez opieki na żadnym kroku dać sobie rady nie umieją, wtedy, własnym siłom zostawieni, wychodzili na porządnych ludzi. Nielada charakter i rozsądek musiał mieć ów mały Grześ, skoro sam jeden między obcymi nie zginął, ale przeciwnie, pokierował się doskonale. Najprzód przywędrował do Krakowa; tutaj ulokował się wzorem żaków w jakimś domu mieszczańskim, gdzie za usługę dawano mu mieszkanie i utrzymanie. Był to dom niemiecki, jak wówczas niejeden u nas mieszczański dom w Krakowie; rozważny Grześ skorzystał z tego trafu i oprócz nauk którym przysłuchiwał się w szkole, pilnie się uczył po niemiecku od swoich gospodarstwa. Sprytny był, łatwość miał do języków, to też w parę miesięcy już porzucił brzegi naszej Wisły i powędrował na zachód, do Niemiec. I tam dawał sobie radę. Przez pięć lat widzimy go pracującego ciężko, żyjącego w twardych bardzo warunkach, a kształcącego się poprostu namiętnie. Rwał się do wiedzy tak, jak inni rwą się do zabawy, do koni lub wojska, Do kraju powrócił już młodzieńcem dwudziestoletnim rozumnym, wykształconym, a wolnym od wszelkiej zarozumiałości. Uniwersytet Jagielloński słynął wówczas jako jedno z najświetniejszych ognisk oświaty w całej Europie,

to też Grzegorz z Sanoka, choć kształcony za granicą, skwapliwie się zapisał w poczet słuchaczy w tymże samym roku (1428), kiedy mały Długoszek świeżo przybyły z rodzinnej swej Brzeznicy, wstępował do najniższych klas tejże akademii. Młody Grzegorz z Sanoka szybko zdobywał najwyższe stopnie naukowe, i dzięki niezwykłym zaletom umysłu, serca i charakteru dochodził do godności coraz większych.

Był on jednym z pierwszych który wśród polskiego społeczeństwa szerzył znajomość świata starożytnego — kierunek który pod nazwą humanizmu rozpowszechniał się wtedy coraz bardziej za granicą i wszędzie wywoływał bujny rozkwit nauk i piśmiennictwa. Grzegorz z Sanoka, ogólnie zwany „naszym pierwszym humanistą“ nie został jednak stałym profesorem Akademii Jagiellońskiej, bo mu Jan Tarnowski powierzył wychowanie swoich pięciu synów. Mając teraz na wsi więcej wolnego czasu niż w Krakowie zaczął młody uczony pisać piękne poezye na wzór pisarzy starożytnych i innym dawał tem przykład do naśladowania. Później wyświęcił się na księdza i został wreszcie arcybiskupem lwowskim, a sprawując wzorowo rządy swojej dyecezyi, uczynił dla niej wiele dobrego.

Ale zajrzyjmy raz jeszcze do akademii Jagiellońskiej. Przed jej murami, w wązkiej uliczce św. Anny, roi się mnóstwo młodzieży śpieszącej na wykłady. Pełno więc żaków w szarych i burych kapotach, z myckami lub kapuzami na głowie, bo tnie suchy mrozik; pełno i butnej młodzieży szlacheckiej, która z fantazyą pokręca ledwo rodzący się wąsik i na szpetną mundurową kapotę zarzuca fałdy delji atłasowych; z hałasem idzie paru Węgrów wymachując rękami i głośno rozprawiając coś w swej twardej, zabawnej mowie, a tuż pod murem, ostrożnie schodząc Węgrom z drogi, przeciska się rudy Niemiec z książkami pod pachą. Na widok *magistra* w fałdzistej czarnej todze i krągłym birecie na głowie, wszyscy kłaniają się z uszanowaniem, ale obojętnie. Gdy wtem szmer się robi, każdy się usuwa mimowoli i wszystkie oczy z ciekawością i pewnym podziwem biegną ku słuchaczowi, który również śpieszy, do progów uniwersyteckich. On zaś — smukły, wykwintny, w obcisłym stroju z czarnego aksamitu i aksamitnej czapce na puklach kruczych włosów, okalających twarz smagłą o pięknych rysach i przepysznych czarnych oczach — kroczy lekko, z gracyą skłaniając głową w odpowiedzi na powitania, przechodzi niby zjawisko z innego świata w ten mroźny białawy poranek zimowy. Choć zapisany w poczet słuchaczy, przyjaźni on się raczej z profesorami, którzy sobie za najwyższą przyjemność poczytują znajomość z tym wykwintnym młodzieńcem; bywa i na dworze króla Kazimierza Jagiellończyka, gdzie zaćmiewa wszystkich nietylko piękną powierzchownością, nietylko ogładą i elegancyą obejścia, ale i wykształceniem niepospolitem, i niezwykłemi zdolnościami. Bo to słynny poeta i literat, a przytem dworak niezrównany, signor Filip Kallimach Buonacorsi. Przybył on do Polski już jako mężczyzna trzydziestoletni, zwiedziwszy przedtem połowę świata, przybył wprawdzie dręczony różnemi zmartwieniami, które go na zawsze wygnały z cudnej ojczystej Florencyi, z tej stolicy kwiatów — ale posiadając coś, czego nie zastąpi największy nawet majątek: wielki rozum i świetne wychowanie. Zrazu znalazł schronienie na dworze niemłodego już wówczas arcybiskupa lwowskiego, Grzegorza z Sanoka, w Dunajowie. Na wyrażenie dobroci swego opiekuna słów poprostu znaleźć nie umiał.

„Grzegorz — pisze o nim później — uprzedzał myśli moje, starając się ulżyć nieszczęściu; obcował też chętniej ze mną, aniżeli się tego można było spodziewać po jego wieku i stanowisku“. Ze słów tych widzimy jednak nietylko wielką istotnie dobroć arcybiskupa, ale i skromność utalentowanego Kallimacha, który nie przypisuje swemu towarzystwu żadnego uroku. Ponieważ zaś w owych czasach każdy, komukolwiek losy pozwoliły znaleźć się niedaleko Krakowa, uważał sobie za chlubę uczęszczać do sławnej na całą Europę akademii, więc i Kallimach, przepędziwszy czas jakiś w cichym Dunajowie, pospieszył do Krakowa aby tam wiedzę czerpać u źródła. Najprzód sekretarz Kazimierza Jagiellończyka, potem nauczyciel synów jego, Olbrachta i Aleksandra, wreszcie doradca najzaufańszy Olbrachta gdy tenże wstąpił na tron, Kallimach nie opuszczał już Krakowa, gdzie mu się tak dobrze wiodło; tutaj żył, pracował — tu wydał jedno z najznakomitszych dzieł swych, żywot dobroczyńcy swego i przyjaciela, Grzegorza z Sanoka — tu wreszcie umarł (1496 r.) a piękna tablica nagrobkowa z portretem jego w kościele OO. Dominikanów na zawsze pamięć jego przechowuje.

Nie byłto jedyny cudzoziemiec, który pobytem swoim uświetnił uniwersytet Jagielloński.

Zapada już wieczór majowy, mrok zwolna upowija brzegi Wisły pokryte świeżą, szmaragdową zielenią, na niebie zawisł sierp młodziutkiego księżyca, a w gąszczu krzewów pnących się na stoki wawelskiej góry, wyśpiewuje słowik. W ten poetyczny piękny wieczór przechadza się brzegami Wisły młodzieniec o twarzy bladej, zadumanej. Marzy, czy też wiersze układa? Nie można o nim wprawdzie powiedzieć żartobliwie, ze Słowackim,

że miał na twarzy taki wyraz boski
jak ten, co wiersze pisząc, liczy zgłoski,

ale często oczy podnosi w górę tak, jakby szukał natchnienia. Istotnie jestto młody poeta, Konrad Celtes, który opuściwszy rodzinne Niemcy i zwiedziwszy różne włoskie nniwersytety, przybył teraz do szkoły Jagiellońskiej. Ale nie przybył nieznany; poprzedziła go już sława wydanych przedtem poezyi (łacińskich naturalnie, bo innych wówczas nie pisano). To też, choć zapisał się jako słuchacz akademii, jednocześnie został i profesorem. Słuchał znakomitszych i mędrszych od siebie, sam zaś wykładał sztukę rymotwórczą i sztukę pisania listów (takie wykłady i dziśby się bardzo przydały!!).

Chętnie też odwiedzał niemłodego już wtedy Kallimacha i poszukiwał towarzystwa wszystkich ludzi rozumnych, wykształconych, a zarazem pięknie wychowanych. Interesowało go zresztą wszystko; z zajęciem podróżował po ziemiach polskich i jemu to zawdzięczamy pierwsze opisy Karpat, Wieliczki, polowań na żubry i t. d. i t. p. Ale żywe, niespokojne usposobienie nie dało mu długo siedzieć na miejscu. Po dwuletnim zaledwo pobycie w Polsce, pożegnał mury Krakowa, aby znowu gdzieś dalej pociągnąć, przez czas jakiś korespondował jeszcze z uniwersyteckimi swymi przyjaciółmi, potem zapomniał o nich i o Polsce, prędzej niż Polska o nim.

Tak mija wiek piętnasty. Akademia Jagiellońska z każdym rokiem się rozwija. Coraz to więcej napływa do niej ze wszech stron słuchaczy, coraz liczniejsze grono profesorów. Umarł już wprawdzie Długosz, ale Kallimach jeszcze żyje, wykłada także na uniwersytecie słynny matematyk, Wojciech z Brudzewa a niebrak i innych mężów uczonych.

W pewien ranek jesienny gromadzą się oni wszyscy z wielkiem zajęciem w największej z sal wykładowych; do drzwi wciska się również niejeden ciekawy młodzieniaszek, a wszystkie głowy zwracają się w stronę ogromnej skrzyni ustawionej na środku sali, a której wieko kończą właśnie odbijać służący. Otwiera się wreszcie skrzynia i cóż się przedstawia tym wszystkim oczom z takiem wytężeniem na nią skierowanym? Oto ogromny globus spiżowy, podtrzymany metalowemi obręczami, „machina“ według której — jak szepczą sobie niebardzo jeszcze snać wykształceni młodzi chłopcy — „można przyszłość przepowiadać!“ Globus ten, wraz ze wszystkiemi narzędziami astronomicznemi należał do wielkiego uczonego Marcina z Olkusza, wychowańca akademii Jagiellońskiej, a który będąc potem przez długie lata profesorem różnych uniwersytetów zagranicznych, nie zapomniał nigdy o Ojczyźnie i wdzięcznem sercem zapisał jej w testamencie wszystkie swe przyrządy naukowe. Właśnie teraz po śmierci jego wyprawiono z Węgier do Krakowa cenną ową przesyłkę dla oglądania której zeszli się wszyscy na uniwersytet. Najdłużej wszakże i najbaczniej oglądał ów globus młody, dwudziestoletni chłopiec, któremu oczy patrzały dziwnie rozumnie i promiennie z twarzy okolonej bujnymi pierścieniami włosów. Patrzył i coraz głębsze zamyślenie osiadało mu na rysach wpół jeszcze dziecinnych. Nic dziwnego; nad czołem tem miały niebawem zajaśnieć blaski geniuszu, młodemu temu, nieznanemu jeszcze chłopcu miało być danem w przyszłości „wstrzymać słońce, wzruszyć ziemię“. Byłto bowiem Mikołaj Kopernik. . . . . .

. . . . . .

Na tej postaci największej, najpromienniejszej ze wszystkich, jakie się tu przed nami przesunęły, zatrzymajmy przez chwilę wzrok nasz zanim powrócimy do teraźniejszości. Oto minęło pięć wieków od kiedy, dzięki wspaniałomyślnemu zapisowi królowej Jadwigi, Jagiełło w rok po jej śmierci otworzył na nowo starą szkołę Kazimierzowską. Czwarty wiek mija od kiedy w murach tej szkoły przechadzali się znakomici mężowie, którzy sławę Polski roznosili daleko po świecie. Gdzież ci potężni Jagiellonowie, do których garnęły się niegdyś państwa i narody okoliczne? Śpią cicho w marmurowych grobowcach na Wawelu. Gdzie sława oręża polskiego? Dawno niestety, przebrzmiała razem z szumem skrzydeł hussaryi lecącej na wroga. Gdzież jedność Litwy, Polski i Rusi? Każda dziś pod innym rządem.

Ale szkoła Jagiellońska do dziś dnia stoi i posyła w świat zastępy młodzieży, która dowodzić powinna, że duch Polski jeszcze żyje!

Alina Świderska.

Skroplone powietrze.

Istnieje bardzo dużo gazów, które dają się łatwo skraplać, t. j. zamieniać na płyn. Do rzędu takich gazów należy amoniak, ten sam, którego roztwór wodny kupujemy w aptekach; dalej chlor zielonawo-żółty, posiadający własności odbarwiające, kwas węglany, nadający ostrość wodzie sodowej, piwu i szampanowi i t. d.

Ażeby powyższe gazy zamienić na płyny, dość jest poddać je w zwykłej temperaturze ciśnieniu w zamkniętych naczyniach. Ciśnienie to dla kwasu węglanego nie przekracza czterdziestu kilku atmosfer*); dla chloru zaś i amoniaku wystarcza jeszcze mniejsze.

Do niedawna dzielono wszystkie znane gazy na dwie kategorye: do jednej zaliczano te, które się dają skraplać, do drugiej włączano t. z. stałe, nie pozwalające się zamienić w płyn, ani za pomocą ciśnienia ani oziębiania; należał tutaj tlen, azot, wodor, gaz błotny i kilka innych, mniej znanych, jak heljum.

Opierały się one skutecznie przez długi czas wszelkim usiłowaniom fizyków, którzy chcieli je podciągnąć pod ogólne prawo. Poddawano je bezowocnie ciśnieniu stu, dwustu i trzystu atmosfer, oziębiając przytem do kilkudziesięciu stopni. Dopiero jednak nasi uczeni krakowscy, mianowicie ś. p. Wróblewski i żyjący jego współpracownik p. Franciszek Olszewski, zdołali pokonać trudności, o które rozbijała się energia francuskich, angielskich i niemieckich badaczy! Polska nauka odniosła tryumf, zapisany dużemi zgłoskami na kartach historyi wiedzy i tylko ignorancya francuska i zła wola niemiecka pozwalają sobie pomijać milczeniem ten fakt i wkładać niezasłużenie wieniec laurowy na czoła naśladowców Wróblewskiego, takich jak Caille-

*) Ciśnienie atmosferyczne odpowiada ciśnieniu $16^1/_2$ funta na cal kwadratowy albo około 1 kg. na 1 centymetr kwadratowy.

tet i Gietel, Linde, Dewer. O tem młodzież polska winna pamiętać! Dwaj ostatni uczeni ulepszyli tylko sposoby wynalezione przez naszych rodaków i zbudowali przyrządy, pozwalające otrzymać płynne powietrze, lub jego części składowe na dużą skalę.

Dziś więc niema już gazów stałych, czyli trwałych, bo wszystkie, nie wyłączając nawet najoporniejszego z pomiędzy nich wodorodu, potrafimy dziś skraplać. Przypatrzmy się teraz własnościom tak dziwnego płynu, jak powietrze płynne. W tym stanie powietrze zajmuje objętość ośmset razy mniejszą, aniżeli wtedy, gdy jest gazem i przedstawia się, jako płyn ruchliwy, niebieskawy, albowiem wchodzący w skład mieszaniny tlen, odznacza się tą barwą. Płyn ten posiada zastraszająco niską, nigdzie na kuli ziemskiej nie spotykaną temperaturę 194 stopni Celsyusza poniżej zera! Przy 191° C. płynne powietrze zaczyna już wrzeć, zamieniając się w parę, czyli w zwyczajne powietrze które ciężką chmurą wypełza z naczynia na stół lub podłogę.

Pokój jest więc dlań niejako wielkim piecem w którym mu strasznie gorąco.

Chcąc tedy przechowywać płynne powietrze przez dłuższy czas, należy je trzymać w naczyniu szklanem obwiniętem w grubą warstwę wełny i składającem się z dwóch flaszek, oddzielonych przestrzenią, pozbawioną zupełnie powietrza, czyli próżnią barometryczną, która nie przepuszcza ciepła.

W naczyniu z białej blachy, owiniętem w wojłok, płynne powietrze utrzymuje się także dość długo i porcya dziesięcio-litrowa może stać przez dziesięć godzin, zanim się zupełnie ulotni.

Ponieważ szklanka czy butelka, zawierająca skroplone powietrze, jest bardzo zimną, więc na jej powierzchni niebawem osadza się wilgoć atmosferyczna, tworząc grubą powłokę lodu.

Niebaczny, któryby dotknął płynnego powietrza: dozna oparzenia daleko boleśniejszego aniżeli od rozpalonego żelaza; Gietelowi raz upadła na rękę kropla tej cieczy i spowodowała rankę, która przez pół roku nie chciała się zagoić.

A teraz zróbmy kilka nadzwyczaj ciekawych doświadczeń.

Jeżeli w miedzianą rurkę, nalejemy łyżkę skroplonego powietrza i zabijemy niezwłocznie kołkiem drewnianym, zaledwie to uczynimy, zatyczka wyskakuje z głośnym hukiem i uderza silnie o sufit.

Co się stało? oto w zetknięciu z cieplejszemi od niego ścianami rurki powietrze w jednej chwili zamieniło się na gaz, zajmujący ośmset razy większą objętość i nie mogąc się pomieścić w ciasnej przestrzeni, wyrzuciło zatyczkę, tak jak spalony proch wysadza z lufy kulę. To nas uczy, że niepodobna prawie zbudować tak mocnych naczyń, aby te mogły opierać się ciśnieniu powietrza płynnego, zamkniętego w nich szczelnie przy temperaturze zwykłej. Zostałyby one rozerwanemi, jak granaty napełnione dynamitem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Władysław Umiński.



Przypomnienie!

Jadą dzieci na kolonię —
Jaki gwar i śmiechy!
Co radości, co wesela
I szczerej uciechy!

Lecz niestety! sporo dziatek
Smutnie płakać będzie:
Brak funduszów!... więc zostaną
W pominiętych rzędzie.

Ej, serduszka Wy ofiarne,
Rzućcie wdowie grosze:
Niechże mają wszystkie dzieci
Wioskowe roskosze!



Łamigłówka zgłoskowa

Try — les — du — ni — cy — a — nan — te — a — pa — kord — usz — chi — tri.

1. Nazwa uprzywilejowanej kasty w dawnem państwie rzymskiem. 2. Bohater z pod Troi. 3. Ptak biegun żyjący w południowej Ameryce. 4. Miasto na Martynice. 5. Wyraz znany w muzyce.

Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół i końcowe czytane z dołu do góry dadzą tytuł arcydzieła Mickiewicza. *Delusia Błochówna.*

Szarada

ułożona dla Lisi, Marylki i Milci W.

Pierwsze z trzeciem to powozy zwłaszcza w Anglii znane,
Trzecie, drugie w wielu sklepach bywa używane.
Drugie, trzecie zdobi głowę panny lub poety,
Całość wisi u łańcuszka lub u bransolety. *Wiochna.*

Rozwiązania z numeru 13-go.

Łamigłówka: Tran. Rzeszów. Ametyst. Neron. Samochód. Wezuwiusz. Aron. Alpy. Ladysmith. Całość: **Transwaal.**

Zagadka: litera **r.**

Składka: Nenio i Dola Tillowie, po przeczytaniu artykułu „Troska Antosia“ na kolonię leczniczą w Rymanowie 6 złr. 68 ct.

TREŚĆ: Czerwcowe róże. Ciąg dalszy. — Ofiara. Ciąg dalszy. — Ze wspomnień starej szkoły. Ciąg dalszy. — Skroplone powietrze. — Przypomnienie! — Łamigłówki. — Rozwiązania. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 15. We Lwowie. dnia 1. Sierpnia 1900. Rok VII.



Kwiatek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.
Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Czerwcowe róże.

(Ciąg dalszy).

Wydrapałam się z łóżeczka i wygramoliwszy się na okno patrzyłam gdzie też rodzice idą. Widziałam wśród ciemności migającą latarkę i poznałam że rodzice, przeszedłszy dziedziniec cicho zeszli do piwnic z winem, a stary Wojtek zamknął ciężkie okute drzwi za niemi i sam się ukrył gdzieś w pobliżu w krzakach...

Oczywiście, że cała ta tajemnicza wyprawa zaciekawiła mnie bardzo — tem bardziej, że odtąd takie wycieczki nocne powtarzały się codziennie — raz nareszcie ciekawość moja przemogła: przyznałam się Mamie, że ją widuję i spytałam gdzie tak Rodzice chodzą?

— Powiem ci, skoro już widziałaś, ale pamiętaj Basiu, że to ważna tajemnica i nikomu o tem mówić nie trzeba. Pamiętasz, córeczko tych panów, co tu raz popasali? i pamiętasz że była potem bitwa za lasem. Otóż widzisz, Moskale zwyciężyli! dużo ludzi zginęło, wielu udało się uratować ucieczką, ale ci których ujęto, dostali się do okropnej moskiewskiej niewoli. To też kto mógł z okolicy starał się ułatwić biedakom ucieczkę lub ukrycie się. My tu, Basieńko, mamy u siebie schowanych blizko pięćdziesięciu: są to ranni i chorzy, którzy dalej jechać nie mogą póki się im rany nie zagoją. Co nocy więc schodzę opatrywać im rany i zanieść żywność.

— Ach, Mamuńciu, ja dzisiaj pójdę z Mamą!

— Nie dziecko, w nocy cię nie wezmę — ale kiedy moja córeczka ma takie gorące serduszko, a już dosyć rozwagi i można liczyć na nią, że dochowa sekretu, — to pójdziemy do innych, gdzieindziej poukrywanych; im Basiu, ty sama będziesz pomocą.

Pilnowałam dotrzymania obietnicy i rzeczywiście rano poszliśmy na gumno: to jest, szłam ja, Wojtek i stara moja niania; w ogromnej krenolinie jakie do niedawna panie nosiły, szła wolno suwając nogami.

Weszliśmy pomiędzy ogromne sterty słomy i oczeretów*) dalej, zaraz za płotem, była droga, gdzie dużo ludzi się uwijało.

Nie rozumiałam poco mnie tam prowadzą, gdzie nigdy nie było mi wolno chodzić, ale Wojtek bardzo głośno zawołał „Tu panieneczko bawić się będziemy". Niania usiadła na ziemi zasłonięta od drogi płotem, i jakieś ogromne dwa worki wysunęła z pod krenoliny.

Wtedy Wojtek mnie podrzucił na stertę i wsuwając mi nieznacznie, dobyte z worka małe jakieś zawiniątko do ręki, pokazał dziurę, do której mam je rzucić w głąb sterty. To samo powtarzało się wielokrotnie: siedząc na wierzchu sterty, gdy Wojtek wołał

*) Oczerety, gatunek trzciny używanej w niektórych okolicach do pokrywania dachów.

hop! ja zawiniątko wpuszczałam w otwór, a sama zesuwałam się z istotną uciechą i przyjemnością, w dół po słomie, aż na ziemię.

Zabawa ta trwała tak długo, aż zawartość obu worków z pod krenoliny niani, przez moje ręce nie przeszła w tajemniczy otwór w stercie.

W domu dowiedziałam się, że i tam siedzą ukryci ranni powstańcy: odtąd codziennie tak samo zanosiłam im żywność. Nie widziałam żadnego ani nie słyszałam ich głosu.

Gdy nastały ciemne nocy bez księżyca, albo gdy przesłaniały go deszczowe chmury, po jednym po dwóch ludzi wysuwało się cichaczem to z piwnic to ze stert, a Wojtek ogrodem cichutko ich przeprowadzał, i w Imię Boże uciekali biedacy. Ja tego już nie widziałam — bo starano się aby ich wogóle nikt wtedy nie widział — ale gdy po niejakim czasie już rodzice przestali nocami schodzić do piwnic a mnie już do stert nie posyłano, spytałam o tych naszych więźniów, a że Babcia przekonała się już że można mnie w te rzeczy wtajemniczać, bo umiem milczeć, opowiedziała mi więc z jakiemi ostrożnościami ułatwiano im przedostanie się w inną okolicę i jak się to szczęśliwie udało.

Parę dni tęskniłam za temi zabawami na stercie oczeretu, ale potem, jak zwykle dziecko, zajęto mnie czem innem i zapomniałam.

Lipiec 1873.

Wyjechała dziś pani Anna, z powrotem do domu. Żal mi, że dłużej z Jadwisią zatrzymać się nie mogła. Tak nam dobrze razem było. Jadwisia jest moją rówieśnicą i bardzo miłą dziewczynką. Biedna, całe trzy lata, od czwartego do siódmego roku życia, chowała się bez matki, w Galicyi, u obcych sobie ludzi. Wprawdzie w tym samym czasie i moja Mama była pod nadzorem policyi, często wzywana do śledztwa a nawet jakiś czas uwięziona, ale ja przynajmniej zostawałam wtedy w domu z Babcią.

Za tą dopiero bytnością u nas pani Anny dowiedziałam się, czegobym nigdy nie była przypuściła, że pani Anna to ta sama osoba, co była u nas w czasie powstania i uchodziła za córkę dzierżawczyni kępy, czyli wyspy, na naszym stawie — widocznie już tej tajemnicy rodzice bali się mi powierzyć. Jeździliśmy razem teraz na wyspę: pani Anna opowiadała Jadwini swoje życie trzyletnie z jej ojcem na tej kępie, skorzystałam z tego opowiadania i zaraz wszystko sobie zapiszę.

Mąż pani Anny, a ojciec Jadwini był poszukiwany przez policyę po wypadkach 63-go roku; naznaczono cenę na jego głowę, więc pani Anna wymyśliła mu kryjówkę, w której by był bezpieczny. Uprosiła starą wdowę, Kalinowską, dawną pannę służącą swej matki. aby niby wydzierżawiła wyspę u mych rodziców a pani Anna z mężem mieli uchodzić za jej dorosłe dzieci.

Słysząc to opowiadanie przypomniałam sobie zaraz, że w istocie wkrótce potem gdy od nas wyszli powstańcy, jakaś stara mieszczka, z synem i córką, przyjechała do nas i zamieszkali w opustoszałej oddawna chałupie na wyspie — że tam o zmroku mama przeprawiała się łódką i zwykle brała ze sobą książki i dzienniki. Czasem, w dzień świąteczny, mniemany syn Kalinowskiej, w kapocie, długich butach, przychodził do dworu. Niby płacił ratę dzierżawną i w tym celu zamykał się z ojcem w kancelaryi — ale potem zasiadał z nami do stołu i uważany był jak miły gość. Tylko gdy raz nadjechali jacyś obcijsi goście, to usunął się od towarzystwa i skromnie siedział na ganku, ot, jak zwyczajny biedny dzierżawca dwóch dziesięcin *) łąki.

(Dok. nast.).

Do polskiej dzieweczki!

Dzieweczko polska! Ukochaj szczerze
Prababek twoich święte pacierze;
Czcij pamięć ojców — bo ojce twoi,
Dzielni rycerze w skrzydlatej zbroi,
To męczennicy ojczystej sprawy,
Lub bohaterzy z szańców Warszawy.

A potem kmiece ukochaj chaty
Boś córą ludu, dziewcze liliowe;
Bo pod ich niską strzechą przed laty
Król, ojciec chłopków, pochylał głowę.

Kochaj wrzeciono, bo przy wrzecionie
Siedziała nieraz pani w koronie,
I lnu pasemka składała w motki
By nimi okryć biedne sierotki.

A nadewszystko, miłością czystą,
Kochaj, ach kochaj, ziemię ojczystą.
I gdy nadejdzie godzina czarna
Dla niej jak gołąb stań się ofiarna.

Dziś jeszcze małe dziewczątko z ciebie,
Co tylko lalki swoje kolebie
Lecz gdy na wielkich łask swych zadatki
Bóg ci da nosić nazwisko matki.

Wtedy, miast cacek, niech twój maleńki
Ojcowską szablę weźmie do ręki;
Rycerską zbroję, włóż mu pod głowę,
Do snu mu pieśni śpiewaj bojowe:
Niech już w kołysce marzy zuchwale,
O dawnej sławie, o przyszłej chwale.

Władysław Bełza.
(„Katechizm polskiego dziecka").

*) Około czterech morgów.

Legenda żniwiarska

o Zbawicielu i Najświętszej Pannie, o małych kłosach, o psie i o kocie.

Onego czasu — a było to w lecie — chodził Pan Jezus z Matuchną po świecie, i kornie żebrał u każdego proga — a z ludzi, nikt w Nim nie poznawał Boga. Prosił o grosik lub o łyżkę strawy — o chleba kęsek — zwyczajnie biedota! a ludzkie serca przeglądał — i sprawy — czyli w nich na dnie mieszka litość złota.

Zaś ludzie wtedy nie mieli się marno — nie tak jak dzisiaj, gdzie to nikłe kłoski na źdźble u góry wiąże wyrok boski — wtedy od ziemi, kiść bogata w ziarno, od samej ziemi, szła w górę jednaka, żywiąc i człeka i zwierzę i ptaka. Lecz rzadkie były serca litościwe — niejeden fuknął na Maryi Syna — więc szedł se Jezus smętniący przez niwę, a ono późna już była godzina.

I widzi zdala — wieś jak ogród w kwiecie, sady owocem się płonią, a łany, jak złotym pendzlem obraz malowany, tak się pszenicznych kłosów fala gniecie.

Więc Jezus wskazał pierwszą chatę z brzegu: „Tutaj na dzisiaj poprosim noclegu. — Chata jak dwór zasobna — brak wymówki; znajdziesz spoczynek, Matko, dla swej główki!“

Przystaną tedy i wejdą we wrota — pies się im jeno oszczekał z za płota, lecz czując Pana, ogon wziął po sobie, skomląc Mu lizał bose nogi obie. A z progu wyjrzy sama gospodyni — Na widok obcych, w pyłem krytej szacie, co rychlej drzwi im zatrzasnęła w chacie i przykrym głosem wielki zgiełk uczyni czerwona złością:

„A pójdziesz, holota! nędza, że w domu nie utrzymam kota — będą mnie jeszcze nachodzić żebraki?!...“ a kot ze wstydu, aż się schował w krzaki...

Więc Jezus myśląc, że ją tem rozczuli rzecze: „Kobieto, dym wali z komina — choć łyżkę strawy daj dla mej Matuli...“

„Nie warzę strawy!... odwrzaśnie gaździna! — „Kiedyśta taki naród uprzykrzony, na wam kawałek pszenicznego chleba, lecz precz od proga!“ — I z gniewem rzucony padł u nóg Pana tej ziemi i nieba, spleśniały kawał zczerniałego chleba...

A Jezus cicho, oczy wzniósł w niebiosy i odszedł ścieżką między złote kłosy — między bławaty, maki i kąkole... gdy szedł, kłaniało Mu się całe pole.

Zaś Boże ręce, po kłosach sunące, zsuwały ziarno jak paciorki z nici: „Nie trudź się, ziemio, płodzić ziarn tysiące — nie wart ich człowiek: niech nagie źdźbło świeci!“

— Wtedy Marya, jak to zwykle, matka śmielsza do syna, jnż u Bożej Męki Pan-Jezusowej chwyciła się ręki: „Mój Jezusiczku! nie karz do ostatka! Niech nie przepada ze wszystkiem biedota! Ostaw choć tyle co dla psa i kota!“

A Jezus spojrzał na Matkę łaskawie: „Dobrze, niewiasto! gdy prosisz zostawię“.

— I odtąd niema ciężkich ziarnem kiści, na złotych łanach i w krwawym się pocie człek namozoli nad trochą korzyści, bo źdźbło wysoko buja słomą w złocie, na czubku tylko nikłym kłoskiem zgięte, gdzie wtedy ręce puściły je święte.

— A zaś pies z kotem, marni gospodarze, chociaż przywilej mieli w słowach Pana, jako ta reszta im miała być dana, dokument na to zatracili w swarze.

Jak się rzecz stała, powiedzieć nie długo: pies miał stróżować przy tym dokumencie, lecz się zbuntował: „Czym ja kocim sługą?! gdy ja straż trzymam, on próżnuje święcie! Niechże i on się z kolei pomęczy!“ — i legł spać w budzie. Kot, cyrograf boży wziął, myśląc cnytrze, kim się znów wyręczy: zaniósł go na strych — schował w bodni na dnie i mruczy, kontent, że się spać położy: „Stąd mi go pewno nikt już nie ukradnie“.

I tak się stało, że wśród nocnej ciszy, cenny dokument w wióry zgryzły myszy!

Zrana, Bryś zaraz o cyrograf pyta — „Miau-miał“ kot miauczy — lecz niema i kwita!

— „Z tego co *miau* kto, a niema — Bryś warczy, — nawet na budę dla psa nie wystarczy!“ — i capnął kota za kark....

— Od tej pory psy wciąż z kotami wojują, a myszy pod koci pazur idą z każdej nory, bo wciąż ród koci zemstą na nie dyszy.

Każdy dar boży na marne przepada, gdzie żyją chciwość, lenistwo i zwada!

Z. M.



Na wakacye!

Rodzice Staszka mieszkali o 12 mil od miasta gimnazyalnego. Byli to ubodzy włościanie, których nie było stać na utrzymanie syna w szkołach — ale Staszko taką miał ochotę do nauki, tak mu się oczy śmiały do książki, że kiedy celująco ukończył cztery klasy w miasteczku, sam pan nauczyciel pomówił o nim z właścicielelem wioski w której mieszkali Staszka rodzice.

Zacny pan N., który właśnie także miał doskonale uczącego się synka w tym samym wieku, zabrał obu chłopców, na swój koszt razem do T. gdzie było

najbliższe gimnazyum — i tam wynalazł dla Staszka odpowiednie umieszczenie, a dzielny chłopczyna, nie chcąc być zupełnym ciężarem swemu dobroczyńcy, zaraz w pierwszym roku znalazł sobie parę, choć marnie płatnych, lekcyi u młodszych od siebie malców — w drugim, udało mu się jako wzorowemu uczniowi, uzyskać niewielkie stypendyum i odtąd utrzymywał się już zupełnie o własnych siłach a uczył coraz zapamiętalej. Swoją drogą tęsknił bardzo za swoją wsią i chatą, za rodzeństwem i rodzicami i gdy już blisko były wakacye po nocach nie sypiał z radości, że już wnet to wszystko i wszystkich zobaczy — a jeśli usnął, to śniły mu się tylko siana i łąki, i wozy pełne złotych snopków, które pomagał ojcu zwozić do pańskiej stodoły, i las szumiący na wzgórzu i swój sad koło chaty.

Świadectwa z trzeciej klasy spodziewał się równie celującego jak z lat poprzednich, a na koszta drogi koleją, z największą uciechą składał i oszczędzał już od kilku miesięcy, choć przy swoich skromnych dochodach, każdy cent prawdziwie od ust odejmować sobie musiał. Dzieciom zamożniejszych rodziców wydać się może bagatelą jakaś sumka paru czy kilku złotych reńskich — ale niejeden ubogi koleżka, lekcyami i z pomocą stypendyum zarabia ledwie tyle co na najskromniejsze wyżywienie, mieszkanie i ubranie potrzeba — a dopieroż jeszcze książki, zeszyty, pióra, ołówki — te ciągłe drobne wydatki studenckie, nad którymi nawet nie zastanawiają się chłopcy, przyzwyczajeni do tego że rodzice zaspokajają ich wszystkie potrzeby, a dla zdobycia których chłopak ubogi, pracujący sam na siebie, musi nieraz wyrzec się dwucentowej bułki na śniadanie, lub pary kiełbasek, stanowiącej cały obiad.

Trzeba wielkiej wytrwałości i mocy nad sobą aby w takich warunkach uskładać choćby marną sumkę kilku złotych, potrzebną na kolej do domu!

Stach, po dwadzieścia razy udawał przed sobą, że nie czuje i nie słyszy, choć głód pukał do jego studenckiego pularesiku — aż nareszcie, dzięki tylu drobnym a jednak wypływającym z prawdziwego hartu woli, zwycięstwom odniesionym nad sobą, w wilią rozdania świadectw, szczęśliwy Stach był posiadaczem potrzebnej mu sumki i karty na zniżkę kolejową, o którą podanie wniósł on pierwszy w całem gimnazyum, tak mu pilno było rozpocząć już przygotowania do drogi. Wielkich pakunków składać nie potrzebował, mając swój jedyny mundurek i buty na sobie, a ponadto w małym tłomoczku już tylko parę sztuk bielizny i swoje proste ubranie wieśniacze, w którem zawsze wracając z wakacyi aż do miasta dojeżdżał.

Wszystko więc było już w zupełnem pogotowiu, gdy naraz Stach przypomniał sobie coś, co mu żywym rumieńcem oblało twarzyczkę i przyspieszyło bicie serca chwilowem zaniepokojeniem, ale wnet odbiło się w oczach jasnym uśmiechem radości i wyrazem silnego postanowienia:

Nie kupi biletu: nie pojedzie koleją! — to bagatela przejść tych dwanaście mil piechotą — butów nie zedrze, o nie! bo je poniesie w węzełku na plecach — mają przecież jeszcze służyć w jesieni. — A może go tak spotka który z jadących na wieś kolegów i wyśmieje? Niech się śmieje zdrów! Stach także zdrowo i wesoło dojdzie do domu — nogi rozbolą to i odbolą, gdy się wyspi w domu na sianie, a że iść będzie trzeba dwa albo i trzy dni może, że się przytem nie doje i nie dospi w tej drodze — bo przecież Stach o gościnę żebrać u nikogo nie będzie — to czyż nie dosyć śliczny ten świat naokoło, te pola i te lasy, żeby o wszystkiem co dolega zapomnieć? a zwłaszcza czyż to nie droga domu?! Z każdym krokiem bliżej, skrzydła mu będą rosły!...

Tak Stach rozważa w myśli swoje postanowienie, którego nic już nie zachwieje, nawet niezupełna znajomość drogi, nawet konieczność spędzania nocy sam na sam w polu lub lesie.

Bo i jakże tu przyjechać a nie przywieść nic z miasta ojcu, matuli, Antośce i małemu Walkowi który taki śmieszny w swojej koszulinie, kiedy do Stacha rączki wyciąga i biegnie, zataczając się na niebardzo jeszcze pewnych nóżkach nóżkach i wołając: „*Tach! Tach!*“ — Choć tego roku to może Waluś już i chodzi i mówi lepiej — przecie to rok już jak „*Tach*“ go nie widział! Na święta żadne do domu nie jeździł bo nie miał na drogę, a potem zawsze między swoimi uczniami miał jakiegoś z którym w święta, gdy więcej czasu najbardziej „kuć“ musiał...

To też za to, że go tak długo nie widział, przywiezie Walusiowi ślicznego bąka, który furczy i gwiżdże gdy go puścić na podłogę. Dla Antosi nabierze czegoś takiego białego z niebieskiem na sukienkę; on się tam na gałgankach nie rozumie, ale wie, że dla dziewczyny to największa uciecha, a poradzi mu już sama kupcowa ile tego ma być, i jak się nazywa żeby było tanie a ładne — dla Ojca kupi nowy „*kapciuch*“ na tytoń, i tytoniu wsypie od razu choć za dwadzieścia centów — a Matce... och dla Matki — żebyż mu wystarczyło! — tak by rad kupił chustkę do niedzielnego przyodziewku! Chustka to już przecież coś znaczy; i grzeje gdy chłodno i ładnie wygląda — wszystkie znajome sąsiadki miały śliczne chusty zeszłego roku, tylko Matusia jedna w takiej starej wypełzłej chodziła — i pewno tam dotąd jeszcze nie ma nowej... Ile też to taka chustka kosztuje?...

Poradził sobie Stach aby się dowiedzieć: bystry chłopak już dawno zauważył, że w niektórych sklepach piszą wyraźnie cenę towaru wystawionego za oknem — przez dwie godziny więc obchodził teraz Rynek i boczne ulice, upatrując wszędzie chustek i odczytując wypisane na nich ceny. Bał się wejść wprost do sklepu i zapytać o coś, na co by mu nie wystarczyło — aż nareszcie, ku najwyższej swojej radości, znalazł to czego pragnął: śliczną chustę, z frendzlami, w kwiaty barwne, jak żywe, a nie przechodzącą jego funduszów!

Trzeba było widzieć jak ją pożerał oczyma, jak mu się ręce trzęsły z radości i pospiechu, gdy od progu już wydobywał pieniądze i wskazywał upragniony przedmiot właścicielowi sklepu, w obawie aby go kto jeszcze w tej ostatniej chwili nie podkupił. Kupiec ciekawie się przypatywał temu trzecio-klasiście, który z takiem zajęciem załatwiał czysto kobiece sprawunki (bo i perkal na sukienkę Antośki, tu został wybrany) ale co tam Stacha podziw kupca obchodził!

On widział przed sobą tylko jedno: radość i zdumienie swoich ukochanych, gdy im wręczać będzie tak wspaniałe prezenta!

O świcie dnia następnego, smukły chłopaczek w prostym stroju włościańskim, z węzełkiem na plecach przechodził miejskie rogatki. Był to Stach. Mundurek od razu spakował do tobołka, bo piesza wędrówka na nic by go zniszczyła, a choć przyszło mu na myśl, że w mieście może jeszcze spotkać kogo z kolegów lub profesorów, nic sobie nie robił ze swojej chłopskiej sukmanki — o, bo Stach, to była harda i czysta dusza: wstydził się jeno gdy zrobił co złego, ale uczciwego stanu swojego nigdy się nie zapierał, nawet wobec „pańskich“ kolegów.

Za miastem zrzucił i buty, a choć teraz wcale ciężkim był węzełek, zawierający wszystkie jego skarby, niósł go z tak lekkiem sercem jakby mu doprawdy skrzydła rosły, — i wyspiewywał też jak ptak, weseląc się słońcem i swobodą.

Nie prędko jednak mijała milka za milką — niejednokrotnie nogi omdlały Stachowi, tak że już zupełnie ustawał — w lesie w nocy zaskoczyła go burza, przed którą tylko swój tłumoczek zdołał szczęśliwie ukryć w pniu spróchniałym, a sam zmókł doszczętnie i napatrzył się błyskawic — po dniu nieraz drogi pytać musiał, raz nawet trochę zabłądził — ale nareszcie trzeciego dnia zamajaczyły mu na widnokręgu dobrze znajome wzgórza, i las i krzyż, z Bożą Męką...

Kto z młodem, gorącem sercem spieszył tak kiedy do swoich, wiedząc że im radość niesie swojem przybyciem, łatwo pojmie uczucia Stacha i oceni jaką mu ta chwila była nagrodą za trud i wytrwałość!

Z. M.

Ofiara.

Obrazek dziejowy z XII. wieku.

Przez M-L. Z

(Ciąg dalszy).

Dobromira dłużej już patrzeć ani pomagać walczącym nie mogła. — Łkając, uciekała prawie nieprzytomna, daleko od tej strasznej wrzawy i krwawego widoku, aż dopadłszy farnego w mieście kościoła, upa-



„Po dniu, nieraz drogi pytać musiał...“

dła na zieloną darń cmentarza i tam kryjąc twarz w dłoniach i murawie leżała, wstrząsana konwulsyjnym dreszczem, boleścią swoją, raczej niż słowami, modląc się do Boga.

Do domu wracać nie śmiała; nie miała serca spojrzeć ojcu w oczy, bo bała się że straszliwą prawdę zaraz z jej twarzy wyczyta.

Stary Sędziwoj zdawał się nie wiedzieć wcale, co się na murach dzieje. Odkąd mu jego ukochanego Leszka wzięto do niemieckiego obozu, starzec zdawał się na wszystko jak skamieniały — siedział, nie wychodząc wcale ze swojej małej izdebki, z tej samej, w której niegdyś umierała mu nigdy niezapomniana żona, i w której podając mu małe wtedy niemowlę, mówiła już gasnącym głosem: „On cię będzie po mnie i po tamtych pocieszał“.

Dzisiaj gwar i zgiełk jaki od świtu w mieście panował, stłumionem wprawdzie echem, dolatywał prze-

tycznej, zaczyna gwałtownie wrzeć, i z powodu tego oziębia się niesłychanie, bo do dwustu przeszło stopni. Otaczająca rurkę atmosfera w tak niskiej temperaturze znowu się skrapla i ścieka kropelkami z sopli lodu, okrywającego rurkę, na ziemię. Podłoga jest dla takich kropel tem, czem rozpalona płyta żelaza dla zwyczajnej wody... ulatniają się więc one z sykiem, nie zostawiając żadnych śladów po sobie. Jeżeli wylejemy odrazu znaczniejszą ilość skroplonego powietrza, to ulatnia się ono odrazu, zamieniając się na ciężką parę, unoszącą się nad podłogą w postaci gęstej mgły.

Powietrze, jak wiadomo może niektórym z pomiędzy naszych czytelników, składa się przeważnie z dwóch gazów: azotu (79 części na 100) i tlenu (21 na 100). Tlen podtrzymuje palenie się ciał i oddzielnie wzięty, daje się także skraplać, potrzeba do tego przynajmniej 119 stopni zimna i 50 atmosfer ciśnienia. W postaci płynu pierwiastek ten posiada godne uwagi własności, pomieszany bowiem z palnemi substancyami, takiemi jak drzewo, węgiel i t. p. daje nadzwyczaj silnie wybuchające materyały. Oto nasyciliśmy kawałek zwyczajnej gąbki płynnym tlenem i zbliżamy do niej ogień, następuje silna eksplozya, która w kawałki rozrywa gąbkę. Zwilżony skroplonem powietrzem zwitek papieru, płonie jasno, chociaż bez wybuchu.

Przy pomocy skroplonego tlenu można otrzymać światło oślepiającej jasności; w tym celu dość jest zanurzyć w nim łaseczkę grafitu lub twardego koksu, używanegodo lamp elektrycznych, na końcu rozpaloną do czerwoności. Węgiel łącząc się z tlenem, czyli paląc się, wydaje rażący blask. Tworzący się przytem kwas węglowy ścina się, i w formie kryształków opada na dno naczynia.

Tak samo płonie w skroplonym tlenie obsadka, lub sprężyna od zegarka, z warunkiem, że przedtem rozgrzejemy do czerwoności jej koniec.

Jak olbrzymią siłę wybuchową przedstawia tlen płynny w połączeniu z palnemi ciałami, niechaj czytelnik osądzi z następującego doświadczenia:

Do mocnej, o grubych ścianach rury stalowej, kładziemy trochę waty, nasyconej tą cieczą, następnie zapalamy ją przez dotknięcie rozżarzonym drutem, lub hubką. Następuje straszna eksplozya, która rozrywa rurę na szmaty, jakby ta była nie stalową, lecz papierową.

Skroplony tlen da się prawdopodobnie spożytkować do rozsadzania skał w kopalniach, podobnie jak dynamit, i ma on tę zaletę nad zwykłemi substancyami wybuchowemi, że po upływie paru godzin, założony a nie zapalony nabój, przestaje być niebezpiecznym, gdyż gaz ulotni się i pozostaje niewinna wata lub węgiel.

Nasi przodkowie nie marzyli nawet o tych cudach, jakie stawia przed naszemi oczyma współczesna wiedza; znali oni powietrze tylko w postaci gazu i nie przypuszczali, że my będziemy je przelewali z naczynia do naczynia, jak wodę.

Skraplanie gazów najoporniejszych przestało być doświadczeniem naukowem, a wkracza w dziedzinę przemysłu. Dziś już możemy otrzymywać płynne powietrze w wielkich ilościach, po sto kwart na godzinę. Znajdzie ono niezawodnie liczne zastosowania w praktycznem życiu, mianowicie jako środek oziębiający, wybuchowy i t. d.

Ciekawemi są też najnowsze badania nad składem powietrza, w którem odkryto niespodzianie nieznane przedtem gazy, o czem pomówimy innym razem.

Władysław Umiński.



Szarada.

Pierwsze ze skóry zrobione
Stanowi ciała ochronę
Przed zimnem (niektórzy zatem
Noszą go zimą — nie latem)
Potem zaś drugie i trzecie
Litery dwie w alfabecie;
Rzeczy te trzy powiązane
Naczynie nam dadzą szklane
Na wino — znajdziesz go wszędzie,
Zgadnąć mozołu nie będzie.

Wandula T.

Łamigłówka zgłoskowa.

Ru — le — fa — e — san — kra — a — za — ki — in — ko — bisz — moj — wiel — dye — lis — ków — sza — der — ściół — sa — ski — ksan.

1. Miasto w Galicyi. 2. Drogi kamień. 3. Król macedoński. 4. Sprzęt domowy. 5. Hetman polski. 6. Założycielka Kartaginy. 7. Inaczej duży. 8. Dopływ Wisły. 9. Miejsce zgromadzenia pobożnych. 10. Kraj w Azyi.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwisko powieściopisarza polskiego. *Biała lewkonia.*

Za zmianę adresu, na Gimnazyum polskie w Cieszynie, złożyli:

Zosia Szczepańska 20 ct., Terenia Kraińska 10 ct., Zosia Loegler 20 ct., Franciszek Jaegermann 20 ct., Szymon Taub 20 ct., Adaś Skwarczyński 20 ct., Hala Kniaziołucka 20 ct.

TREŚĆ: Czerwcowe róże Ciąg dalszy. — Do polskiej dziewecki! — Legenda żniwiarska. — Ofiara. Ciąg dalszy. — Na wakacye! — Skroplone powietrze. — Łamigłówki. — Rozwiązania. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 16. We Lwowie, dnia 15. Sierpnia 1900. Rok VII.



Wiek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.
Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Żniwa.

Obrazek do przedstawienia w strojach krakowskich.

OSOBY: Kasia, Stach, Wicuś — rodzeństwo. Józia — córka wdowy Marcinowej.

SCENA I.

(Teatr przedstawia izbę w chacie wiejskiej. Dzieci przebrane są po krakowsku).

Kasia (porządkując śpiewa).

Pójdźcie żąć! przepióreczka
Na żeńców wołała,
Oj, będzie się Kasieczka
Przy żniwie zwijała.

(staje we drzwiach i woła) Stachu!

SCENA II.

STACH, KASIA.

Staś (wbiega śpiewając).

Parobeczek ci ja,
Parobeczek ostry,
Gotów zawsze w służbę
Lecz ino do siostry.

Kasia. Ho! ho! jaki mi galant, cóż ty dziś taki wesoły?

Stach. A czemuż ty sama śpiewasz?

Kasia. Ja tak sobie z radości, że będziemy obie z Józią żęły na jednym zagonie we dworze, a potem kupimy sobie jednakusieńskie korale.

Staś. Ja też śpiewam z radości, bo i mnie aż ręka porywa do sierpa. Gdzie Wicek?

Kasia. Dopiero co wyszedł (śpiewa).

Korale czerwone
Kasia będzie miała
I nikt jej nie powie,
Że źle pracowała.

SCENA III.

Ciż sami i JÓZIA.

(Józia wchodzi zapłakana, ociera oczy fartuszkiem).

Kasia. Dla Boga! co ci się stało, Józiu?

Józia (szlochając). Ma-tu-sia ska-le-czy-li rękę przy żniwie, nie mogą żąć, nie pójdą z tobą na zarobek do dworu, bo na naszem polu jeszcze dużo roboty.

Kasia. I nie będziesz miała korali?

Józia. Nie będę miała, nie będę żęła u dziedziczki, biedna ja, biedna!

Kasia (całuje Józię). No, nie płacz, nie, już my coś na to poradzimy. Prawda Stachu?

Stach Juści, że prawda, co zaradziwa to zaradziwa, a nie płacz Józka, bo mnie aż coś w sercu kole.

Kasia (stoi zamyślona, nagle z radością). Już wiem, już wiem! Najświętsza Panienka dała mi taką myśl! Słuchaj Stach, przecie ty, ja i Wicek to troje, prawda?

Stach. Juści niby tak wypada. A bo co?

Kasia. I nic nie miarkujesz?

Stach. Cóż ja mogę zmiarkować, kiedy nie wiem co chcesz.

Kasia. Jakie te chłopcy nie domyślni, zawdy kobieta prędzej skalkuluje. Otóż to chcę, że zamiast do dworu, pójdziemy na pole Marcinowej...

Stach (przerywając, macha rękami, jak gdyby żął). Pójdziemy i ciach, ciach zmieciemy wszystko zboże, a potem dopiero dalej do dworu na zarobek.

Kasia. O widzisz! to właśnie myślałam, braciszku.

Józia (przestaje płakać i ściska Kasię). O, moja Kasieńko złota! jaka ty dobra, jaka dobra, to od tej dobroci, aż mi serce topnieje.

Stach. A ja to zły? a mnie to Józia żadnego słówka nie rzeknie?

SCENA IV.

KASIA, JÓZIA, STACH, WICEK.

Wicek (wbiegając). Wielka nowina! wielka nowina! Co dacie to powiem.

Józia i **Kasia.** Powiedz, powiedz, bośmy okrutnie ciekawe.

Wicek. No to słuchajcie: we dworze będą dożynki, będziemy tańczyli aż się iskry posypią z podkówek! (śpiewa i tańczy).

Orze pole parobeczek,
W siwe wółki orze,
Będziem tańczyć na dożynku
U pani we dworze.

Kasia i **Józia** (razem). Prawdę mówisz, Wicek?

Wicek. Juści, że nie cyganię! sama dziedziczka mówiła.

Wszyscy. Kiej dziedziczka tak mówiła
To już prawda świętą,
Bo dziedziczka dane słowo,
Uczciwie pamięta.

Kasia. Ale teraz nie o dożynkach myśleć, tylko sierpy brać i na Marcinowej pole.

Wicek. Po co na Marcinowej?

Józia. Prawda, on nic nie wie.

Stach. Nie będzie tam z nim żadnej turbacyi, bierz sierp i idziewa na Marcinowe pole, bo Józina matka skaleczyła rękę i sama żąć nie może.

Wicek. A Józia idzie z nami?

Stach. Juści, że idzie, a bo co?

Wicek. Ej nic, tylko okrutnie lubię jak się żnie gromadą, a dziewuchy przyśpiewują. Będziesz śpiewała Józiu?

Kasia. Nie bałamuć po próżnicy i dalej za sierpy. (Bierze swój i śpiewa).

Na tom cię sierpeczku
Oselką ostrzyła,
Żeby się swej pracy
Kasia nie wstydziła.

Józia. Jakże ja ci Kasiu
Teraz podziękuję,
Chyba, że jak siostrę
Z serca ucałuję.

Wicek i **Stach** (razem).
Nie dziękuj Józieńko
Jeszcze nie masz za co,
A przez te całusy
Żeńcy czas swój tracą.

Wszyscy. Dalej wiara do roboty
Czas do żniwa, czas,
Przepiórka doda ochoty
Nie wyprzedzą nas.

Kasia. Poratować biedną wdowę
Miła to robota,
Więc do pracy aż się zrywa
W mem sercu ochota.

Józia. A ja biedna sierotenka,
Cóż wam rzeknę za to?
Że za dobry czyn na ziemi
Bóg w niebie zapłatą.

Wszyscy. Dzwonią sierpy, dzwonią kosy,
Na pszenicznym łanie,
Biją w niebo żeńców głosy:
Błogosław nam Panie!

Z. Bukowiecka.

Czerwcowe róże.

(Dokończenie).

Przez całe trzy lata byli u nas na wyspie ci niby dzierżawcy — przez cały ten czas życie ojca Jadwisi było zagrożone — a ona wtedy to właśnie wychowywała się u jakichś państwa w Galicyi.

W zimie, gdy razem do nas do dworu rodzice jej wieczorami z kępy przychodzili, to mama okienice sama zamykała wszędzie, i wtedy pani Anna zdejmowała chustkę z głowy i swoimi zczerniałemi od ciężkiej pracy rękami ślicznie grała. Mnie zawsze pieściła ze łzami w oczach — pewnie pewnie przypominała się jej wtedy Jadwinia. Mnie się ci dzierżawcy wydawali trochę dziwnymi, ale jak dziecko, nie bardzo sobie nad tem łamałam głowę.

Gdy później, w szczęśliwszych latach, przyjeżdżali nas odwiedzić już od siebie, gdy się poznałam z Jadwinią, nie byłabym się nigdy domyśliła, że jej rodzice to ci nasi tajemniczy mieszkańcy kępy. Dzięki Bogu teraz już nie potrzebują się ukrywać!

A co dziwne, to że im się udało tak dobrze przed rządem rossyjskim wytłumaczyć, że nietylko wolność, ale i zagrabione mienie odzyskali: Chyba sam Pan Bóg czuwa nad rodzinami polskiemi i nie da ich wyniszczyć, choć nasi nieprzyjaciele o to się starają.

Po tem nieszczęsnem powstaniu, kiedy to nikt za nas się nie ujął, żadne państwo europejskie posiłków zbrojnych nie nadesłało, mimo przyznania słuszności naszych żądań, a nawet za pokonanymi nikt się nie wstawił — Rosya tem bardziej pewności siebie nabrała i dręczyła nas i prześladuje ciągle, jednak mimo tylu ofiar wysłanych na Sybir, my przecież żyjemy i to życie narodowe zaznaczamy! W całej naszej okolicy mało się nawet zmieniło, jakie nazwiska po wsiach były takie i są. Pani Anna, która mieszka stąd o kilkanaście mil, wychowuje oprócz Jadwini dwóch synów na dzielnych Polaków, chodzą obaj do gimnazyum rosyjskiego i kształcą się w obcym języku, ale za to na wakacyach, nie zużywają całego swego czasu na zabawę, tylko uczą się literatury i historyi polskiej i naprawdę lepiej tę historyę mają w pamięci, niż moi kuzynkowie, którzy w Galicyi do polskich szkół chodzą... Ja sama dobrze pilnować się muszę, aby mnie nie przegonili.

Boję się czy nie za dużo czasu tracę na pisanie niepotrzebne, lepiej uczyć się z notatek Babci, — bo oprócz lekcyi z guwernantką, ja mam lekcye z Babcią, a te lekcye są znacznie milsze i piękniejsze! Babcia mówi wszystko z pamięci, z własnej nauki, własnego doświadczenia a jak prześlicznie wykłada, jak żywo się wszystkiem zajmuje!

Czy ja kiedy będę także taką rozumną, dobrą jak Babcia? Chyba że nigdy! za nadto dużo mówię, a mało słucham. Jadwinia będzie prędzej dojrzałą kobietą, pożyteczną krajowi. Ona teraz, czternastoletnia dziewczynka, umie porzucić najprzyjemniejszą zabawę aby usłużyć starszym lub zająć się pożytecznie; nie uważa tego za poświęcenie, owszem jej to robi przyjemność gdy coś zrobi miłego drugim. A jak ślicznie czyta. Czytała nam powieść Bolesławity. „Dziecię starego miasta“. Znałam już tę powieść, jednak czytana przez Jadwinię, zdawała mi się stokroć piękniejszą.

Czerwiec 1874.

„Pierwszy raz witam rozkwit naszych róż ze łzami w oczach: zawsze tamtych lat, cieszyłam się razem z Babcią pierwszymi rozwitymi pączkami — dziś już tej mojej najdroższej Babci niema koło mnie, i sama spieszę z pierwszemi różami na jej grób! Ostatniego dnia życia Babcia mnie prosiła abym o niej nie zapomniała (to by chyba nigdy być nie mogło!) i codziennie odmawiała Anioł Pański na Jej intencyę — kazała mi zaraz po Bogu kochać Polskę. — Spełnię Twój rozkaz Babuniu! spełniłabym zawsze — choćby sam przez się nie był tak słodką koniecznością serca mojego.

Jadwisia i jej bracia przyjeżdżają do nas na wakacye“.

. . . . . .

— Krótka noc czerwcowa ustępowała już przed dniem, a Wandzia jeszcze usnąć nie mogła, pod wrażeniem przeczytanych kartek pamiętnika. Roiły jej się w myśli obrazy bitw i prześladowań, serce wzbierało porywami poświęcenia i zapału do pracy, nauki. — Dopiero w chwili gdy już szarość ranna rozwidniała, znużenie przemogło — i Wandzia przymknęła powieki. — Zdawało jej się, że ledwie to uczyniła, drzwi jej pokoiku uchyliły się lekko, i nad jej łóżeczkiem stanęła staruszka o jasnej, pogodnej twarzy a kreśląc nad nią krzyżyk, szeptała „Zmów za mnie Anioł Pański, moje dziecię, i pomódl się też za tych wszystkich rodaków co na polu bitwy lub w niewoli, bez pociechy religijnej zeszli z tego świata“.

Zrywa się Wandzia — dzień już jasny, ruch w domu... z pola dolatuje miarowy świst i pobrzęk kosy siekącej łąkę. Wandzia klęka na swojem łóżeczku i wysyła przed tron Boży prawdziwą modlitwę polskiego dziewczęcia: modli się za zmarłych na ołtarzu Ojczyzny!

W miarę modlitwy, twarzyczka jej się rozjaśnia i znów zapałem promienieje:

„Za ocalenie mego Tatusia, wśród tych strasznych burz, niewiem czem Ci podziękować mogę i potrafię, mój Boże! Chyba, że ofiaruję Ci całe moje życie, pracę, i wdzięczne serce, na większą chwałę Twoją a pożytek bliźnich moich“. *Barbara i Wanda.*

Pieśń do Najświętszej Panny

(na nutę „Chorału“).

Z nieszczęsnej Polski, z tej łez doliny
Do Ciebie, Matko, płynie ta pieśń;
Na całej ziemi kraj to jedyny,
Który grobowa pokrywa pleśń:
Ale nasz naród nie traci wiary,
Że dlań zbawieniem Chrystusa Krzyż,
Więc uproś Boga, by zdjął z nas kary,
I odrodzenia chwilę nam zbliż!

Tyś naszą Panią, o Panno Święta!
Więc nam nadzieja, wciąż jeszcze lśni,
Że choć wróg srogi, okuł nas w pęta
I przelał morze niewinnej krwi,
Lecz Polski, wiernej córki Kościoła,
Pomimo ciężkich nieszczęść i burz
Pchnąć w toń niewiary, nigdy nie zdoła,
Bo Ty nam świecisz, o Gwiazdo mórz!

Krzyż stał się tronem Twojego Syna,
Na którym życia, dlań nadszedł kres,
I Tyś Królową, Matko Jedyna,
Krainy krzyżów, grobów i łez.
Lecz jak swe dzieło, Zbawca nasz miły
Zmartwychpowstaniem uwieńczył swem,
Tak Ty nasz naród, wywiedź z mogiły
I daj zwycięstwo dobra nad złem!

Helena S.

W rzece podzwrotnikowej.

Nie jest pięknem zwierzę, które wam przedstawia dzisiejsza nasza rycina — można powiedzieć nawet, że to jedno z najbrzydszych stworzeń kuli ziemskiej. Ciężki, niezgrabny hipopotam, przy ogromnych rozmiarach cielska uposażony jest w krótkie, z gruba ociosane łapy i w bardzo małe oczka i uszy, osadzone na potwornie niezgrabnej głowie, która łącząc się prawie bez żadnej szyi z walcowatym korpusem, stanowi jakby dalsze jego przedłużenie, a opatrzona jest w silną, szeroko otwierającą się paszczękę i w dwoje do góry obróconych nozdrzy. Ogona prawie nie posiada, ale szczytem jego brzydoty jest przedewszystkiem jego gruba, naga, tarczowato fałdująca się skóra, szara jak namuł rzeczny i wiecznie oślizła od siedzenia w tym namule.

Hipopotam bowiem jest zwierzęciem ziemnowodnem, t. j. żyje prawie przeważnie w wodzie, siedząc w trzcinach i sitowiu u brzegu rzek, ale pod wodą długo wytrzymać nie może i dawszy nura, wkrótce znów wypływać musi na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza. Ciekawą jest rzeczą jak ten niezgrabny i ociężały potwór zwinnym się i sprawnym staje w swoim żywiole: rybacy dobrze pospieszać muszą z łodzią jeżeli uniknąć chcą jego pogoni, bo pływa on bardzo szybko i wytrwale, a chociaż jest roślinożernym — więc nie poluje dla zdobyczy — jednak spotkanie z nim jest bardzo niebezpieczne, bo ponury i drażliwy, zapamiętały jest w gniewie: rzuca się na ludzi i na spotkane statki, miażdży brzeg łodzi swemi niezwykle silnemi szczękami, a opierając oń łapy i unosząc się do pół ciała nad wodą, zatapia łódź swoim ciężarem.

To też wioślarze w rzekach podzwrotnikowych z wielką bacznością omijają miejsca w których, przy brzegu, często gromadnie, przebywać zwykły hipopotamy: nic łatwiejszego jak skrzydłem sieci lub końcem długiej tyki, których w Afryce krajowcy używają w żegludze rzecznej dla odpychania się od dna, trącić przypadkiem spiącego potwora, którego cielsko mało się różni od namułu rzeki — a wtenczas biada niebacznym wioślarzom: takiej obrazy wystarcza aby obudzić niepohamowaną wściekłość spokojnego zwykle zwierzęcia. Ponieważ najniebezpieczniej jest znajdować się wtedy w łodzi, więc murzyni, ścigani przez hipopotama najczęściej łódź porzucają mu na pastwę a sami rzucają się wpław, osłaniając się tylko wyrwanymi na prędce pękami trzcin przed złośliwym wzrokiem potworu, który jest przy swojej brzydocie i sile tak pozbawiony zmyślności, że nie pozna się na żadnym podstępie i zwieść go bardzo łatwo.

Tego braku zmyślności nie można tylko zarzucić hipopotamom w niczem, co się odnosi do opieki matek nad małemi: powiedzieć prawie można, że objawy instynktu macierzyńskiego są prawdziwie wzruszające, w tych ociężałych, na pozór tak bezmyślnych stworzeniach, które jednak najczulej zajmują się swojem małem; samica nosi je zwykle na grzbiecie i oprócz zapamiętałej wściekłości w obronie przed każdą napaścią, okazuje w staraniach około niego czułość i zmyślność godną podziwu.

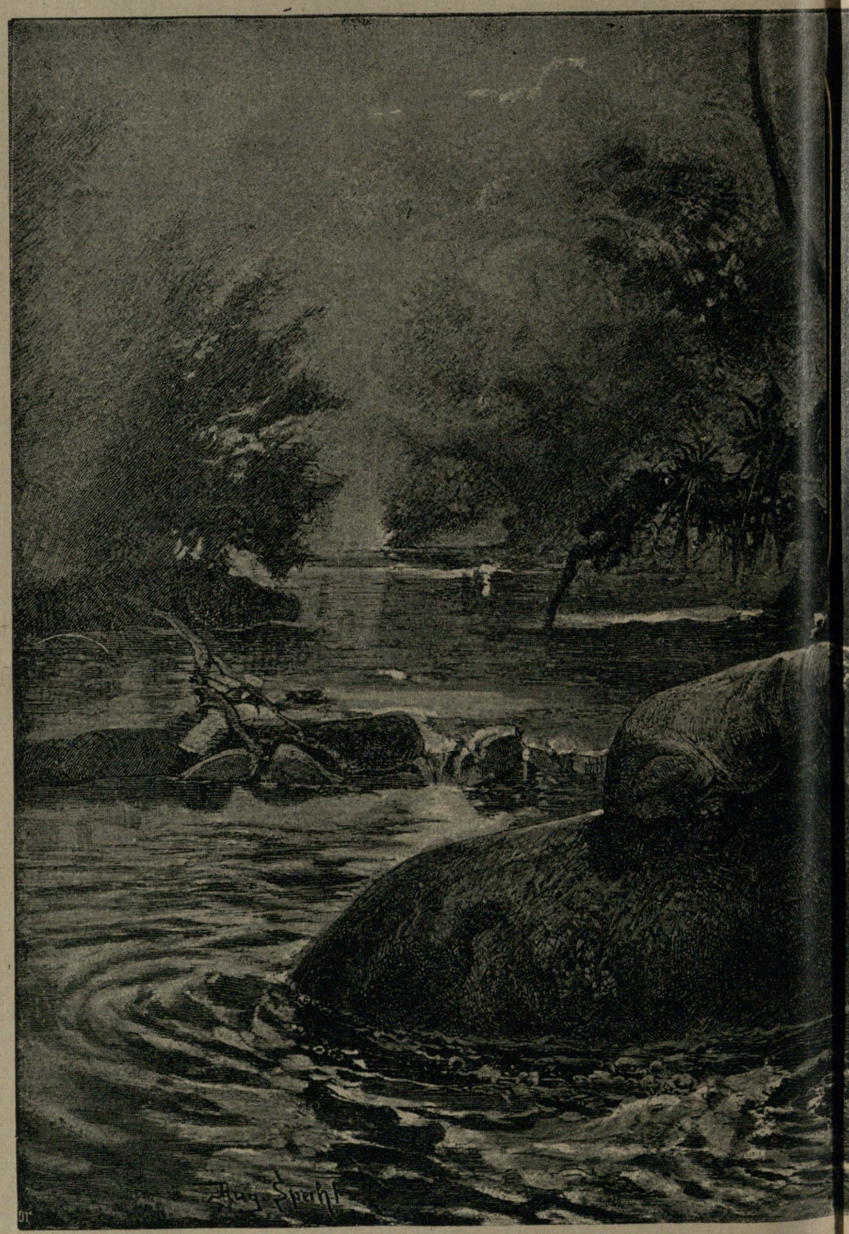

Hipop

Niemałą rozrywką dla piastowanych na grzbiecie hipopotamiątek musi być pewien gatunek małych ptaszków, które zwykle towarzyszą hipopotamom i z oślizłej ich skóry zbierają różne drobne skorupiaki i owady wodne, jakie z namułu do niej przylegają. Zgoda między tymi gośćmi a gospodarzem, którego skóra za stół im służy, jest najzupełniejsza — tylko gdy hipopotam

zanurza się w wodę, ptaszek ulatuje, oczekując znów chwili ukazania się oślizłego grzbietu, nad powierzchnią.

Hipopotamy są roślinożerne, na żer wychodzą w nocy na brzegi, a łatwo wyobrazić sobie możecie jakiego spustoszenia w soczystych liściach i trawach

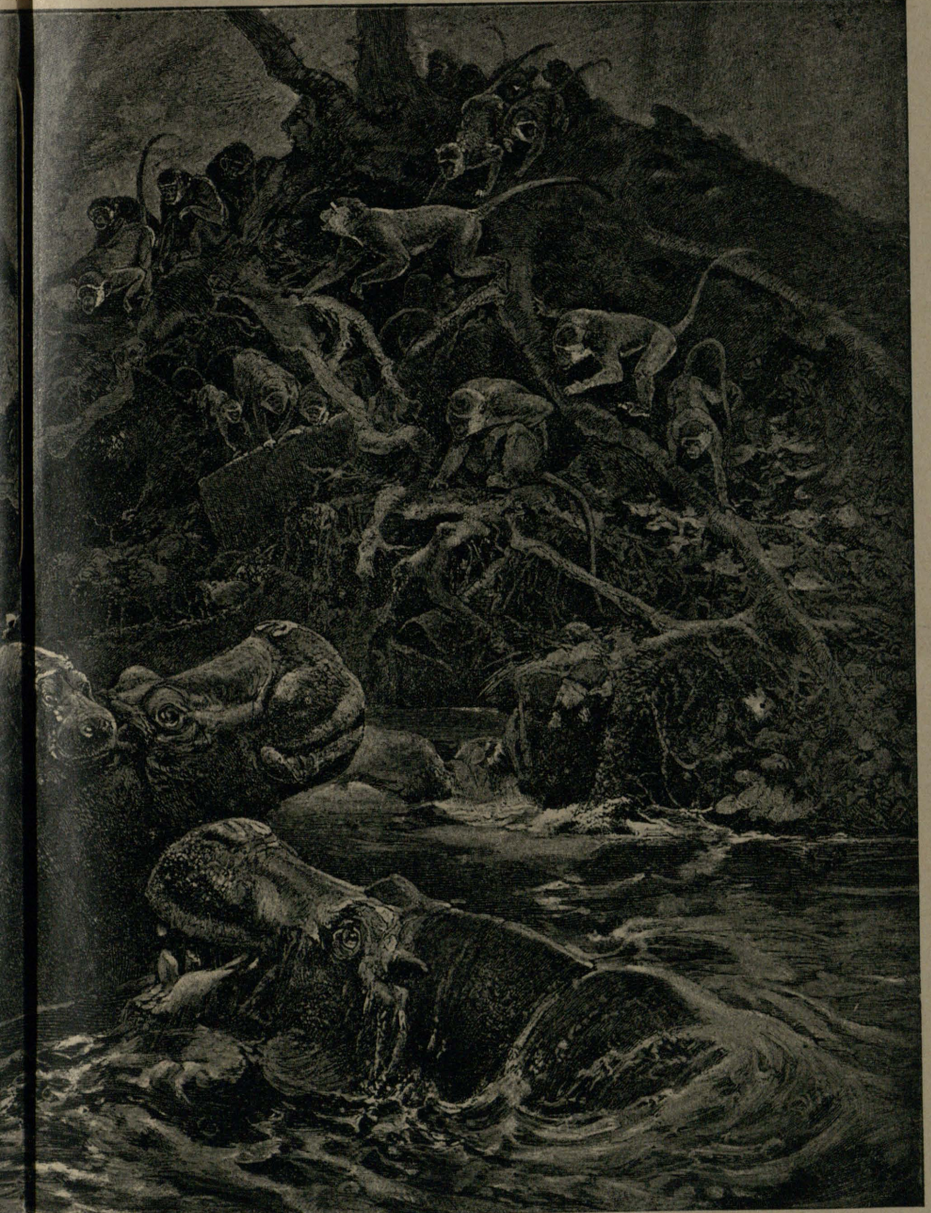

popotamy.

dokonują olbrzymie szczęki zwierza. Szczęście, że ojczyzną tych wszystkich gruboskórnych olbrzymów roślinożernych jak słoń, nosorożec, hipopotam, są okolice podzwrotnikowe, gdzie upały i nadmiar wilgoci w porze deszczowej wywołują takie nieprzebrane bogactwo dziewiczej roślinności. Na naszych ubogich polach, tacy goście byliby klęską prawdziwą — ale też ich, chwała Bogu nie mamy. Inaczej niż na obrazku możemy poznać się z niemi chyba w menażeryi.

Mięso hipopotamów niesmaczne jest i niezdrowe więc też i polują na nie bardzo mało, chyba tylko dla grubej skóry, którą jednak bardzo trudno wyprawić.

Z. M.

Ofiara.

Obrazek dziejowy z XII. wieku.

Przez M-L. Z.

(Ciąg dalszy).

Książę Bolesław w istocie był już w pobliżu Głogowa — dowiedzieli się o tem Niemcy przez swoje straże, i przyczyniło się to bardzo do zaciekłości, z jaką Henryk szturm ostatni przypuścił. Chciał koniecznie jeszcze w ostatniej chwili uścignąć przybycie tak upragnionych przez Głogowian posiłków — za to teraz, gdy mu się to nie powiodło, zwijał obóz w największym pospiechu, wynosił się pokryjomu nocą, bo wstyd mu było w jasny dzień zabierać się do odwrotu od bram miasta, a doczekać się tu Bolesława, nie miał ochoty.

Ale teraz zmieniły się losy — do niedawna oblegające, teraz jego wojsko znalazło się jakby w oblężeniu. Bolesław, z umysłu nie spiesząc się do stanowczej bitwy, rozrzucił siły swoje, swoich Polan, Mazowszan, Chrobatów i Szlązaków, szerokim pierścieniem w krąg po okolicy zajętej przez cesarza i nie dopuszczał do niemieckiego obozu żadnego dowozu żywności.

Wkrótce głód zaczął dokuczać wypieszczonym na włoskich*) przysmakach towarzyszom cesarza, a prosty żołnierz wymierał setkami, tak z głodu, jak i od chorób różnych zaraźliwych, które powstawały z powietrza zepsutego nagromadzeniem niegrzebanych trupów i z wilgoci lasów i moczarów, wśród których, nie znając drogi, błąkać się musiały niemieckie zastępy.

Cesarz zżymał się i gniewał na Zbigniewa, że go na tę wyprawę zaciągnął, ale uparty i pełen pychy powiedział sobie, że nie ustąpi, póki przecież choć jednego zwycięstwa nad Polakami nie odniesie. Tymczasem nietylko o zwycięstwo, ale o samo zetknięcie się z polskimi hufcami było trudno, bo mądry a pragnący oszczędzać krew swoich poddanych Bolesław, nieustannymi tylko drobnymi zaczepkami, chwytaniem przednich lub tylnych straży niemieckich, rozbijaniem wozów z żywnością, dawał wciąż znać o sobie, że czuwa i jest niedaleko — ale do rozprawy w otwartem polu nie

*) Cesarze niemieccy, Ottonowie z domu Saskiego, wszyscy kolejno kusili się o ujarzmienie Włoch i ciągle do nich odbywali wyprawy. *(Przypisek aut.).*

stawał. Ledwo cesarz, przez szpiegów swoich wywiedział się w której stronie lasów obóz książęcy, ledwie tam kroki swoje obrócił, już Bolesław z wojskiem przepadał gdzieś jak kamień w wodę, po to, aby z błyskawiczną szybkością wypłynąć znów zaraz z innej strony i znowu Niemcom następować na pięty.

Dopomagała mu w tych uciążliwych nieraz pochodach, doskonała znajomość przyrody własnego kraju, której oczywiście posiadać nie mógł obcy najezdca — przytem miał Bolesław doskonałych, miejscowych przewodników, którzy znali każdą ścieżynę, każdy dąb w swoich lasach.

Między przewodnikami tymi odznaczał się przedewszystkiem młody chłopak, który pewnego rana przybył do kiążęcego obozu w towarzystwie starego pustelnika i sam zgłosił się do księcia, ofiarując mu swoje usługi. Kim on był, nikt bliżej nie wiedział w obozie, bo chłopak jakby brzemieniem jakiegoś smutku przytłoczony, z nikim się nie przyjaźnił, niczyjego towarzystwa nie szukał, tylko wszystkie chwile wolne od służby książęcej, spędzał na modlitwie, rozmowie lub śpiewaniu psalmów pokutnych z owym starcem, wyglądającym na pustelnika, z którym razem przybył do obozu. Nikt go się też nie pytał, kto on i co mu dolega? W owych czasach niespokojnych i pozbawionych dozoru prawa, nieraz zdarzało się, że człowiek, mający nawet ciężką jakąś rzecz na sumieniu, obcował dalej swobodnie z innymi ludźmi i sam tylko dobrowolną pokutą wobec Boga z winy się swojej obmywał — wglądać w przeszłość niczyją nie było w zwyczaju.

To też jeżeli nawet inni pachołcy obozowi, pozwalali sobie na jakieś przypuszczenia co do młodego przewodnika, nikt tymi przypuszczeniami nie zajmował się ciekawie. Wystarczało najzupełniej, że nowy przybysz znał doskonale okoliczne lasy i moczary, że nie było takiego gąszczu, takiej zapadłej ścieżyny przez którą by on wojska nie potrafił przeprowadzić i że wreszcie jego nieustraszone męstwo, dało się chyba porównać z jego nienawiścią ku Niemcom, którą wybuchał przy każdej sposobności.

I teraz właśnie książę Bolesław potrzebował kogoś, komuby mógł powierzyć bardzo ważne i chociaż pełne niebezpieczeństw, ale zaszczytne zadanie: szło o przeprowadzenie posła przez wszystkie czaty niemieckie aż przed samo oblicze Henryka. Słusznie sądził nasz książę, że cesarz miał już dosyć tej utrapionej dla siebie wojny; posyłał więc do niego z oznajmieniem, że ofiaruje mu pokój i otworzy mu wolną drogę z Polski, byle się cesarz co najrychlej z ziem polskich wynosił i odtąd, miast niesłusznie zaczepiać chrześcijańskiego księcia, raczej myślał, jakby z nim razem obrócić oręż na pogan, których tyle jeszcze było na ziemi.

Posłem był Skarbek z Góry, pan możny i zacny, a w młodym nieustraszonym przewodniku, czytelnicy nasi niezawodnie dawno już domyślili się Dańka z Głogowa.

Gdy poselstwo to stanęło przed cesarzem, siedział on na wspaniałym, chociaż dopiero na prędce, dla olśnienia posłów polskich wzniesionym tronie — dla pokrycia swojego wstydu z nieudanej wyprawy, otaczał się jeszcze większym blaskiem i przepychem. Przyodziany był w szkarłatny płaszcz cesarski i złotą koronę; w około niego stali dostojni dworzanie i rycerze, a przed nim skrzynie pełne złota i klejnotów. Skarbek sprawił się ze swego poselstwa — ale dumny cesarz, nadrabiając pychą, wzgardliwie przyjął pojednawcze słowa Bolesława i wskazując na skrzynie pełne złota, rzekł wyzywająco:

„Oto oręż, którym pokonam Polaków!“ dając do zrozumienia, że ich złotem przekupi!

Zawrzała krew w Skarbku. Dańko ledwo się pohamował, aby na zniewagę nie odpowiedzieć zniewagą, ale jego rolą było ani ust nie otworzyć, gdy poseł książęcy przemawiał. Ten spojrzał hardo cesarzowi w oczy i powoli ściągając pierścień kosztowny, wspaniałym gestem cisnął go w otwartą szkatułę, mówiąc niedbale:

— Masz złoto — do złota! — a uderzając się po szabli, dodał: My wolimy żelazo!

Gdy w skrzyni ozwał się brzęk wzgardliwie rzuconego daru, płomień uderzył na twarz cesarza — nie spodziewał się tak śmiałej nauczki i w pierwszej chwili, nie umiejąc pokryć zamieszania, bąknął coś tylko niewyraźnie „Habe Dank!“ przyjmując nibyto w dobrej wierze za przyjacielski podarek to, co mu z wyzwaniem rzuconem zostało.

Posłowie wrócili więc z niczem do Bolesława, ale wkrótce gorżko pożałował cesarz, że nie skorzystał ze wspaniałomyślnie ofiarowanego mu pokoju; wojsko jego dziesiątkowane przez ciągłe utarczki, głód i choroby, buntowało się coraz jawniej.

— Bolesław nie dozwalał Niemcom wytchnąć w spokoju ani na chwilę, aż nareszcie Henryk, nie posiadając się ze złości i wstydu uznał, że musi jak niepyszny, co rychlej z Polski uchodzić. Chciał przynajmniej, aby nikt jego sromu nie widział: przebrany sam dla niepoznaki w suknie prostego chłopa, uciekał nocą po kryjomu, otoczony odartem, wynędzniałem rycerstwem. Ale nie udało mu się wymknąć potajemnie z pierścienia, którym opasał go Bolesław: pewnej dżdżystej, ciemnej nocy, Dańko, który należał do straży przy namiocie księcia, posłyszał gwałtowny tentent wielu kopyt końskich, pędzących od strony cesarskiego obozu. — W mgnieniu oka zaalarmował całe wojsko — Bolesław puścił się w pogoń i dopadł uciekających na odkrytych równinach pod Wrocławiem...

Wkrótce kraj cały spiewał pieśni o „Psiem Polu“, które nazwanem tak zostało czy, że na niem tylu znienawidzonych Niemców poległo, czy że w istocie po bitwie pod Wrocławiem psy karmiły się trupami na pobojowisku.

Cesarz, zmarnowawszy wspaniałą armię, ledwo z życiem uciekał do Niemiec i stamtąd sam teraz słać

musiał prośby o pokój, który też Bolesław zawarł z nim wreszcie w mieście Bambergu, na korzystnych i zaszczytnych dla Polski warunkach. Wpierw jednak, dzielny nasz książę odwiedził swoje wierne i bohaterskie miasto Głogów, które pierwsze tak chlubnie oparło się nieprzyjacielowi. (Dok. nast.).

Na przekór.

Trzebiono, trzebiono las bez litości. Ciach!... ciach!!... słychać było od świtu do zmroku stuk siekiery. Ubywało drzew, ale za to żółte, ociekające żywicą sągi rosły prawie w oczach.

Z początku podobno był zamiar rozdzielenia lasu na poręby — mieli wycinać jedną część a zasiewać drugą.

Tymczasem skończyło się na zamiarze tylko.

Jacyś dwaj panowie, leśniczy i handlarz w zatłuszczonym surducie, pokręcili się po lesie, co smuklejsze i roślejsze drzewo poznaczyli szeroką pręgą ze smoły i poszli sobie — a za nimi w dni parę zjawiło się kikunastu drwali z siekierami za pasem, z piłami na ramionach. Istny hufiec katów.

Stukały siekiery, zgrzytała piła, a biedne przeznaczone na rzeź ofiary, z jękiem głuchym kładły się na ziemi, by nie powstać więcej. Ledwie tu i ówdzie zostawili drwale po jednej sosence, jakby na urągowisko. Zostawili, bo im kazano.

— Z jesienią naspada dużo szyszek i pomału nowy las się zasieje — mówili panowie.

Akurat! nie miały też sosny nic innego do roboty — tylko ludziom dogadzać, tylko im sypać szyszki, by znowu mieli las do trzebienia... One sieroty, aż schły z żalu i smutku.

— Oj, żeby też i nas ścięli... żeby ścięli — szeptała jedna do drugiej. Rozbitki my, co nam po życiu! Wicher na pył wysuszy teraz ziemię, słońce nas spali. Ni chłodu, ni cieniu żadna nie zazna już wcale!

— A jaka teraz u nas pustka! Gdzie się to podziali nasi goście: puszyste lisy, chyże zające, wesołe wiewiórki? Gdzie nasza kapela? Gdzie nasze kwiaty?

Bo i prawda. Wszystko to z pierwszym odgłosem siekiery, z pierwszym słupem dymu, rozbiegło się na cztery świata końce.

Smutno, pusto, i głucho było sosnom wśród stuku siekier, wśród krzyków i spiewów drwali.

Zrozpaczone opuściły w dół gałęzie i igliwiem uschniętem, jak łzami sypać zaczęły.

— Niech się tam z nami co chce stanie! Gińmy, kiedy nam tak sądzono!

Działo się to właśnie pod koniec lata. Susza tak ścisnęła ziemię, że to nie ziemia już była, a kamień i żelazo. Kropli deszczu ziemia od całych nie widziała tygodni.

Skoro tylko sosny straciły energią, zaraz i gałęzie i korzenie wypowiedziały im służbę. Zwyczajnie, gdy pan domu chory, wszystko się opuszcza. Korzeniom nie chciało się przebijać stwardniałej ziemi, by choć odrobinę pożywienia przynieść drzewom, gałęzie schły potrochu, a zżółkłe igliwie to, jak już mówiłam, leciało na ziemię.

Sosny zamierały, zguba była nieuchronna.

Aż tu jednego poranku zjawili się znów na porębie leśnym dwaj panowie. Starszego już sosny znały. Właśnie to on wybierał z handlarzem i znaczył żałobnie co najpiękniejsze drzewa.

Teraz przyszedł, popatrzył przez okulary dokoła i mówi do swego towarzysza:

— Ha, omyliłem się, te sosny nic a nic nie warte. Sterczą na polu jak laski cynamonu. Trzeba je pościnać.

— A cóż zrobisz z ziemią? — spytał młodszy.

— E, nie ma kłopotu, wykorczuję, zasieję, przynajmniej jakiś użytek będzie. Albo wiesz co, ten kupiec przyjezdny o kawał ziemi dawno do mnie kołace. Sprzedam mu tę wydmę i basta!

— A na cóż mu ziemia potrzebna?

— Co mnie to obchodzi? Podobno hutę czy tam inną fabrykę myśli stawiać. To już nie moja rzecz. Wiem tylko, że mi dobrze za ziemię zapłaci. Lasu czekałbym i nie doczekałbym się, bo te sosny pewnie robaki toczą — a tak wezmę pieniądze zaraz na poczekaniu.

Drzewa drgnęły.

A może to wiatr zaszumiał wśród gałęzi? Ależ nie, na polu cisza.

Pod chropowatą korą sośniny coś kołace. Jakiś prąd przebiega drzewa i wstrząsa wpół uschłymi konarami.

A tymczasem ów pan dalej prawi.

— Jabym ci inaczej poradził — rzecze młodszy. — Drzew szkoda, a już ziemi szczególniej. Pieniądze rozejdą się, ziemia zostanie. Lepiej poczekać jeszcze trochę. Teraz taka susza, zobaczysz, spadną deszcze to i sosny się wzmocnią.

— Oho! wzmocnią, a jak je robaki do szczętu stoczą?

— E, co ty tam mówisz? Robaki! Posłuchaj no. Pień zdrów jak orzech. Że schną to prawda, ale kto tam wie dla czego. Może z tęsknoty. Ja radzę poczekaj jeszcze trochę, choć do wiosny. Cóż, zgoda?

Starszy pan roześmiał się głośno.

— Niech będzie zgoda. A to dopiero znalazły te suche badyle w tobie obrońcę.

. . . Cha, cha, cha!

Poszli ku domowi i nikt już, ani tej jesieni, ani tej zimy na wydmę nie przyszedł ni razu.

Drzewa zostały same.

Niezupełnie same. Zostały z usłyszanemi słowami, z groźbą smutnej przyszłości, jaka nad ich kątem zawisła.

Nie radziły się jedna drugiej, nie pytały, nie traciły czasu na bezowocne najczęściej narady.

Tylko każda przyrzekła sobie: nie dam gruntu z pod siebie!..

Oj, miały się korzenie z pyszna, po takim długim wypoczynku, oj miały!

Od czubów drzew szły wciąż rozkazy.

— Pracujcie, siłę nam dajcie!

Szczęściem, że właśnie w tym samym czasie chmury na niebie zbierać się zaczęły i deszcz padł rzęsisty, inaczej nie wiem, jakby tam sobie korzenie radę dały.

— To niebo płacze nad naszą niedolą — szemrały sosny.

Płakało niebo, a z tych łez szło dla ziemi życie i szła siła....

Wzmocniły się sosny doskonale przed zimą, wyspały pod śniegiem, co im gałęzie, jak srebrną korą obciągnął, i zaraz z wiosną — het, het, gdy inne drzewa spały sobie jeszcze w najlepsze, gałązki naszych sosen zaczęły płonąć po końcach, a świeże majowe igliwie, sypnęło się niby puch na nowe pędy.

— Niech sobie teraz zły pan przyjdzie, niech nas nazwie łaskami cynamonu i uschłymi badylami — szeptały sosny jedna do drugiej.

Przyszedł pan i aż krzyknął zdumiony.

— Ożyły sosny! A to dziw dopiero! Ożyły! Jakim sposobem to się stało?

Jakim sposobem?.., Bardzo prostym, najprostszym w świecie.

Sosny trzymały się ziemi, nie chciały rzucić jej na pastwę trajkocącym maszynom jakichś przybyszy.

Nie chciały i wzięły się do pracy.

Czy zaś praca szła porządnie, o to pytać nawet nie trzeba.

Sosny ciągnęły soki z ziemi, ile sił starczyło, aż z tego umęczenia żywica, niby pot złoty wystąpiła im na korę.

Cóż dopiero potem działo się w jesieni, gdy się szyszki posypały z gałęzi, kiedy pękać zaczęły!

Wyskoczyły z pod łuszczynek ziarna i dalejże hulać po wydmie, dalej zagrzebać się w ziemię!

A ziemia matka zabrała sobie zaraz rozpierzchłe nasiona, przygarnęła i nuż karmić sokami, poić rosą, ciepłem swych objęć rozgrzewać.

No, i wychodowała sobie pociechę.

Stało to z początku na wydmie, niby szczecina, nikłe, niepewne życia, ale proste, ale czupurne, ale żyć pragnące i z każdą wiosną coraz wyżej strzelało w górę, iście jakby tam kto drożdży dolewał od spodu.

Wśród powalonych kłód drzewa, wśród żółtych sągów, wśród pni sterczących ostro, wśród butwiejących wrzosów i mchu, wśród zgnilizny i spustoszenia, rosła ruń młoda — zaczynało się młode życie, zabliźniały szczerby. Omijały sosenki przeszkody: tu wślizgnęły się w szczelinę, tam podkopały, ówdzie przeskoczyły zaporę, i rosły... wciąż rosły... Przygotowane siągi, niby mogiły, ginąć poczęły wśród młodej zieleni.

I na przekór ludzkiej chciwości i ludzkiemu nierozumowi, na opustoszałej wydmie zaszumiał las młody!

Jadwiga Chrząszczewska.

Zagadka geograficzna.

Gwadalkwiwir. Tamiza. Nil. Tajo. Wisła. Jang-tsekiang. Seret. Missouri. Dunajec. Ren. Łaba. Morawa. Odra. Izara. Wołga. Ligiera. Irtysz. Dunaj. Rodan.

Obok każdej z powyżej wymienionych rzek, należy wypisać miasto nad nią leżące lub kraj przez który przepływa, a początkowe litery tak otrzymanych wyrazów dadzą imię i nazwisko sławnej powieściopisarki.

Czarna Perełka.

Kryptogram.

1.	a	A	a	n	a	w	Hetman kozacki.
2.	m	a	L	a	g	a	Miasto w południ. Hiszpanii.
3.	a	h	a	h	a	S	Najsmaczniejszy owoc egzotyczny.
4.	R	a	h	a	f	a	Wróżenie z kart.
5.	a	p	a	r	a	t	Inaczej „przyrząd“.
6.	d	a	S	a	L	a	Jarzyna.

Wandula T.

Łamigłówka zgłoskowa.

Bie — ce — cha — di — dy — dzi — e — ef — fen — gie — i — i — i — ka — le — lo — me — miec — nie — nik — no — re — ria — sie — ski — ski — slam — sław — so — tyń — wicz — wiec — wła — za.

1. Król polski. 2. Wyznanie religijne. 3. Godność turecka. 4. Narodowość. 5. Godność kapłańska. 6. Imię męskie. 7. Poezye pewnego rodzaju. 8. Imię męskie. 9. Gubernator warszawski. 10. Miasto w Karyntyi. 11. Powieściopisarz polski.

Początkowe i końcowe litery tych wyrazów, czytane z góry na dół dadzą nazwiska dwóch słynnych polskich autorów żyjącego powieściopisarza i zmarłego poety.

Staś D.

TREŚĆ: Żniwa. (Obrazek do przedstawienia). — Czerwcowe róże (Dokończenie). — Pieśń do Najświętszej Panny. — W rzece podzwrotnikowej. — Ofiara. Ciąg dalszy. — Na przekór. — Łamigłówki. — Rozwiązania. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 17. We Lwowie, dnia 1. Września 1900. Rok VII.



Lek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.
Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Do polskiej młodzieży

prześladowanej za język ojczysty *).

Polska młodzieży! polska młodzieży,
W was ufność lepszej przyszłości leży,
W was nowe siły i prądy nowe,
Zdolne całuny zerwać grobowe
Matki, po trzykroć zabitej.
Kiedy nas łamie brzemię frasunku,
A grzechem cofnąć się z posterunku,
To serce troską zewsząd tłoczone
Bezwiednie w waszą zwraca się stronę,
Czy tam zabłysną nam świty?
O nie zawiedzcie nadziei naszej!
Niech was potęga darmo nie straszy,
Niech przywiązanie do polskiej ziemi
Włada siłami serca wszystkiemi,
Niech wśród ucisku się szerzy.
Nie zapomnijcie, żeście Polacy!
Więc wytrwałością i trudem pracy,
Wypiszcie wszędzie drogie nazwisko!
A odrodzenie będzie już blisko:
W to wierzcie! polska młodzieży.

Choć teraz oto nowe okowy
Ojczystej, świętej bronią wam mowy,
Chociaz wam we łzach rok szkolny wschodzi,
W to wierzcie, polska dziatwo i młodzi
Że przyszłość w waszem jest ręku!
Przemoc w głąb serca zajrzeć nie zdoła,
Dumy Polaka nie zetrze z czoła,
Nie może wzbronić kochać goręcej
— Im przez nią będzie gnębiony więcej —
Rodzinnej mowy dźwięku!
Tylko wierzajcie: nie to hart woli,
Co umie jęknąć kiedy zaboli,
Co demonstracyą — formą bez duszy,
Czujność ciemięzców tylko poruszy
Rozjękiem: „żyjemy jeszcze“.
Lichy bohater, kto szkolną ławkę
Uważa sobie za czczą zabawkę,
Co się przed pracą powszednią wzdraga,
A tylko głosi, że „w tem odwaga
Śmiało pod każde iść kleszcze!“
Zły to kierunek — szych i krzywizna!
Bo komu miłą matka - Ojczyzna,
Kto chce prawdziwym jej zostać synem,
Niech jej nie kocha słowem — lecz czynem.
A w każdej życia minucie!
Niechaj unika próżności, zwady,
Bo narodowe to nasze wady —
Niech obowiązków nie lekceważy,
Stojąc idei wielkiej na straży:
Bo to prawdziwe uczucie.
Niech sieje polskie ziarno po ziarnie,
Chociaż niejedno zaginie marnie —

*) Jakkolwiek piękny ten wiersz w całości odnosi się właściwie do stosunków istniejących poza Galicyą, niemniej daje on wyraz uczuciom, które wspólne są wszystkim sercom polskim — a wykazuje tak gorąco młodzieży naszej jej święte obowiązki i cele, że sądzimy iż podanie go na wstępie roku szkolnego, znajdzie w sercach młodzieży oddźwięk żywszy i silniejszy, niż zwyczajowe w tym czasie wiersze na cześć powrotu do szkoły. *(przyp. Red.)*

Ojczysty język, ojczyste dzieje —
Swoje dążenia — swoje nadzieje
Niech ze współbraćmi podziela.
Niech w każdym kroku swoim pamięta,
Że Bóg nam zdolen rozerwać pęta,
Więc niech religia nie śpi odłogiem,
Więc wszędy z wiarą, więc wszędy z Bogiem,
A on nam zeszle Mściciela!
Tak! nam potrzeba w Was, o młodzieży,
Rozumu, co prąd jasności szerzy —
Trzeba koniecznie wyższości ducha,
Co ogniem ponad ucisk wybucha,
Wzlatuje ponad zwątpienie.
Trzeba energii i wielkiej siły —
Bo was rachunek czeka zawiły:
Ciężkie kłopoty i ciężkie troski,
Co wytrącają z rąk naszych wioski
Byt — niezależność — istnienie....
O, nie zawiedzcie nadziei naszej!
Niech Was potęga darmo nie straszy,
Niech Wasze czyny, Niech Wasze dzieła
Świadczą wymownie, że „Nie zginęła“,
Choć milczy odgłos moździeży.
Pracujcie cicho, ale wytrwale:
Niech się rozbiją nam wrogie fale
O hart serc Waszych, jak od opoki!...
I choć upadek nasz tak głęboki,
Ufajcie jeszcze, młodzieży!...

Marya B.

W szkole mistrza

(z francuskiego).

— Kochany, drogi Jakóbie, otwórz nam pracownię mistrza, błagamy cię!

Z temi słowy kilkunastu młodzieńców otoczyło starego sługę, który zajęty był mieszaniem farb w przedpokoju jednej z najwspanialszych kamienic Antwerpii.

— Dałem sobie słowo, że nie otworzę moi panowie — odpowiedział Jakób — a com sobie przyrzekł to dotrzymam.

— Lepiej dotrzymujesz sobie słowa, niż drugim! — odpowiedział jeden z chłopców z ironią — mówią, że codzień przysięgasz twojej matce, że już nie będziesz pił piwa, a co wieczór wracasz podchmielony do domu.

— Pst, to wszystko plotki, panie Diepenbeke; a zresztą choćby to była prawda, to czegoż to dowodzi? Co mają wspólnego piwo, i pracownia mistrza Rubensa.

— Nie marudź Jakóbku — krzyknął inny — otwieraj drzwi, czego się boisz?

— Boisz się! panie Van Dyck, ja miałbym się bać! — odpowiedział starzec, prostując się. — Za młodu służyłem w marynarce, a żaden marynarz nie jest tchórzem. Człowiek, który codzień patrzy śmierci w oczy, który codzień zawiera z nią znajomość....

— Nie zazdroszczę ci tej znajomości — odparł Van Dyck — ale my chcielibyśmy poznać sposób malowania mistrza Rubensa, i dlatego trzeba nam widzieć rozpoczęte obrazy; widzisz więc, Jakóbie, że powinienbyś otworzyć nam pracownię.

— Ma pan słuszność — odparł stary sługa — i gdybyście wszyscy, moi panowie, mieli takie chwalebne pobudki, tobym spełnił waszą prośbę, ale.... znam was dobrze, otworzę wam drzwi, a wy zamiast malować, zaczniecie się bawić i przewracać wszystko, nic nie uszanujecie. Wczoraj dopiero stłukliście tę małą figurkę z gipsu, jakąś Wenus grecką czy rzymską. Musiałem powiedzieć memu panu, że wiatr ją przewrócił. Nie uwierzył, śmiał się ze mnie i powiedział: „Wiatr — to niemożliwe, wczoraj było tak duszno i gorąco, że oddychać było trudno“.

I myśli naturalnie, że to ja ją stłukłem. Nie, moi panowie, nadużywacie mojej dobroci.... ani myślę otwierać drzwi.

Wtenczas podniósł się krzyk ogólny.

— O Jakóbie! Nie bądź taki srogi, daj się wzruszyć!

Potem wśród ogłuszającego hałasu i gwaru słychać było tylko jedno słowo: — klucz, klucz, klucz!

I podczas gdy Jakób podniósł ręce w górę, by sobie uszy zatkać, chłopcy spostrzegli kawałek klucza, wystającego z jego kieszeni.

Wyjęli go i otworzyli drzwi pracowni. Stało się to tak prędko, że Jakób jeszcze rąk od uszu nie odjął, a oni już byli w pokoju.

— Moi drodzy panowie — wołał biedak zwracając się do każdego z nich po kolei — zaklinam was, miejcie litość nademną i uszanujcie tu wszystko; patrzcie, ale nic nie ruszajcie... Obiecujecie mi to, wszak prawda?

Ale oni nie odpowiadali. Jeden oglądał obraz, drugi szkic. Inny badał farby na palecie, jeszcze świeże. — Cała gromadka stała przed sztalugami i podziwiała obraz rozpoczęty, przedstawiający Matkę Boską i św. Magdalenę u stóp krzyża.

Wszędzie panowała głęboka cisza.

Widząc tę powagę i to skupienie, Jakób przestał gderać! Nim wyszedł, zwrócił się do chłopca o ciemnych włosach. Był on młodszy od innych, dziecko prawie, ale na twarzy jego malował się zapał młodzieńczy i geniusz.

— Panie Van Dyck — rzekł mu na ucho — liczę na pana. Jesteś najpilniejszy i najrozsądniejszy z całej szkoły, uważaj na nich. Przyrzekasz mi?

I kiedy Van Dyck z przyjaznym uśmiechem odpowiedział „dobrze“, staruszek wyszedł z pokoju.

Trzeba im przyznać, że przez chwilę zachowali się wzorowo. Dysputowali poważnie nad kolorytem twarzy, nad wrażeniem, jakie wywoła ta lub owa draperya, nad odcieniami kolorów.

— Co to za mistrz niezrównany! rzekł jeden z nich.

— A jaką sławę ma na całym świecie — dodał drugi.

— Wiecie panowie — odezwał się trzeci — że to się rzadko zdarza, aby w jednej osobie łączył się artysta i wielki pan!

— Ojciec moj — rzekł Van Dyck — opowiadał mi kiedyś, że gdy Rubens był ambasadorem w Wiedniu, to pewnego dnia, przy obiedzie u księcia Casanowy, rzekł jakiś magnat do swego sąsiada, gdy chwalono obrazy Rubensa: „Więc ten Rubens, to ambasador, który się bawi w malarza?“ Casanowa odpowiedział: „Jego Dostojność się myli, to jest malarz, który się bawi w ambasadora“.

Podczas tej rozmowy. Ryszard zobaczył, w kącie ogromną piłkę, którą tu jeden z nich kiedyś zostawił. Podniósł ją i zaczął się bawić. Inni przyłączyli się do gry. Każdy chciał wziąść w niej udział. Szczególniej Diepenbeka odznaczał się zręcznością. Chłopcy zapomnieli wkrótce gdzie się znajdują. Poczęli się gonić, mocować, i żaden nie wiedział jak się to stało, dosyć, że Diepenbeke popchnięty przez kogoś, potoczył się i upadł na stalugi. Obraz spadł i Diepenbeke upadł jak długi na niego. Wstaje, a tu krzyk zgrozy wyrwał się z ust wszystkich: ramię św. Magdaleny i całość twarzy Matki Boskiej zatarte! (Dok. nast.).

Ofiara.

Obrazek dziejowy z XII. wieku.

Przez M-L. Z.

(Dokończenie).

IV.

Biją dzwony w Głogowie. Przez bramy miasta szeroko otwarte, lud wysypuje się na drogę naprzeciw ukochanego księcia i pana.

Na widok tych tłumów, trąby grające wesoły hejnał w wojsku książęcem, za znakiem danym przez Bolesława, umilkły nagle i barwne chorągwie wszystkich pułków opuściły się ku ziemi: to hołd powitalny oddany przez pana żałobie tych wiernych sług, którzy z krwawiącą się w sercach tak świeżą raną, wybiegają wprowadzić go do jego prawej własności, do okupionego najdroższą ofiarą grodu.

Burmistrz, przyklękając w pośrodku drogi, podaje księciu na szkarłatnej zazwyczaj, ale dziś czarnym kirem przykrytej poduszce, klucze od bram, wyszczerbionych i nadwyrężonych szturmem, ale nie zdobytych. — Bolesław bierze te klucze z widocznem uszanowaniem i w uroczystem, poważnem milczeniu, cisną się wszyscy mieszczanie do ucałowania ręki ukochanego pana.

Następnie cały orszak, wciąż ze spuszczonymi jeszcze chorągwiami, wjeżdża powoli w te mury, zdające się pytać: „Czemu wśród nas tak cicho teraz zawsze i pusto? gdzie się podziały wesołe pacholęce głosy i rozbrzmiewające tu niegdyś głośne zabawy i gonitwy?“

W pośrodku rynku, przed bramą ratusza wzniesione było podwyższenie, całe kryte suknem szkarłatnem i podobnemże suknem wysłano w około nierówny bruk rynku: na podwyższeniu, na krześle złocistem, pod baldachimem spuszczających się sztandarów zasiadł książę Bolesław, i kolejno przyzywa przed siebie tych, którzy najwięcej się odznaczyli przy obronie Głogowa. Było to już wtedy weszło w zwyczaj u nas, że w nagrodę jakiegoś nadzwyczajnego, szlachetnego czynu monarcha pamięć jego utrwalał, pozwalając sprawcy tytułować się „szlachetnym“. Tytuł ten wyróżniał go, jego dzieci, i potomków, aby w najdalsze pokolenia uznanie i sława u ludzi, były zapłatą zacnego czynu. Tu jednak nie ma komu osobno nadawać szlachectwa: tu wszyscy równie wielcy się okazali! Nazwa Głogowianina sama w sobie chlubą będzie — nie potrzeba tu innych tytułów. — O Głogowie śnić będą w całym kraju pacholęta, żądne chwały — Głogów będzie kochanym przez dziatki swego narodu w najdalsze wieki!

Książę Bolesław skinął ręką i szepnął coś stojącemu za jego krzesłem starcowi, przybranemu w poważny na pół kapłański strój, jakiego używali ówcześni pielgrzymi do miejsc świętych i pustelnicy. Starzec, w którym poznajemy O. Benedykta, oddalił się na chwilę, ale wkrótce znowu powrócił, prowadząc za sobą, z tłumu zalewającego rynek i sąsiednie ulice dwoje ludzi, którzy wnet wszystkich oczy zwrócili na siebie:

Śliczna jasnowłosa dziewczyna, z wyrazem rzewnego smutku i słodyczy rozlanym na twarzyczce, wspierała chwiejne i drżące kroki siwobrodego starca, w stroju bogatych mieszczan Głogowa. Rysy starca napiętnowane były cierpieniem, ale jaśniał z nich wyraz pokory i poddania się woli Bożej. — Powieki miał spuszczone i zdawał się nie widzieć wspaniałego otoczenia, wśród którego się znalazł, dozwalając krokami swymi zupełnie kierować, rumieniącemu się wobec tylu obcych spojrzeń dziewczęciu.

„Ojcze, szepnęła dziewczyna, stoimy przed miłościwym księciem!“

Ale starzec uczynił ręką ruch, jak gdyby chciał oznaczyć, że wobec Władcy, którego prawica go dotknęła, niczem są już dla niego wszelkie ziemskie zaszczyty i dostojeństwa.

— Sławetny nasz Sędziwoju — zabrzmiał łagodnie głos Bolesława — wiemy o strasznym ciosie, jaki dotknął twoją starość — tam gdzie inni składali ofiarę, złożyłeś i ty, co miałeś najdroższego i może to ta ofiara przechyliła szalę sądu Bożego nad nami, dlatego właśnie, że była tak ciężką! Ta myśl z czasem stanie ci się pociechą, nieszczęśliwy starcze. A teraz pozwól, że My, twój książę, sami zaniesiemy prośbę do ciebie, abyś się sam dobrowolnie nie pozbawiał tych jeszcze radości, tego szczęścia, które ci skąd innąd zostało. Chcemy tu mianowicie, wstawić się do ciebie za jednym z naszych najdzielniejszych wojowników, który męstwem i roztropnością oddał nam w tej nieszczęsnej wojnie nieocenione przysługi. Niech ojciec surowo nie wydala

z serca swojego i domu tego, za którym prosi wdzięczny wasz książę! Miasto potępiać takiego syna, błogosław niebu, Sędziwoju, że ci go tak wychować dozwoliło — w zaślepieniu nie pozbawiaj się ostatnich uciech, jakimi jego miłość i słuszna sława, starość twoją opromieni, ani też gniewem swoim nie rozdzieraj dłużej serc dzieci twoich — bo oto i siostra, widzę, cierpi za bratem.

Dobromirze w istocie podczas słów księcia łzy płynęły z oczu, ale tuląc się tem tkliwiej do ojca, jakby go przed mogącymi nastąpić wymówkami Bolesława osłonić chciała, zawołała serdecznie: „On to już dawno zrozumiał panie! On zapamiętał się tylko w uniesieniu pierwszego bolu, ale już dawno czuje, że jego syn rodzony nie mógł postąpić inaczej — i gdyby jeno Dańko tu był...

„Gdyby tu był jeno, przerwał Sędziwoj poważnie wzruszonym głosem — znalazłby dla siebie otwartem serce ojca, którego jest radością i chlubą! Za zaślepienie moje, sam mnie już Bóg dotknął, zsyłając ślepotę na te oczy, co zbyt niepobożnie łzy wylewały.

— W tej chwili książę i otoczenie jego, spostrzegło, że stary Sędziwoj w istocie miał oczy zagasłe, nieożywione promieniem wzroku, który w niepomiarkowanych łzach, wylewanych po stracie Staszka na zawsze utopił.

Książę Bolesław skinął ręką — rozstąpili się stojący za jego tronem dworzanie i ukrywający się dotąd wśród nich Dańko, z głośnym okrzykiem wyrażającym ból i radość razem, rzucił się do nóg Ojca, stopy jego całując. — Ale Sędziwoj podniósł go i przycisnął do piersi, a składając w znak błogosławieństwa obie ręce na jego głowie, wyrzekł z niewidzącymi oczyma zwróconymi ku niebu, uroczyście podniesionym głosem:

„Błogosławię cię synu, po wszystkie dni żywota twego i w dziesiąte twoje pokojenie: byłeś zawsze dobrym synem dla ojca — nie mogłeś się stać złym synem miasta i kraju! Kto kocha ojca swego i matkę, ten kocha wolność swojej ziemi i wszystko dla niej gotów jest poświęcić!“

. . . . . .

Nie wiele słów pozostaje nam dopowiedzieć o dalszych losach Dańka i jego rodziny.

Po uspokojeniu się wojennych zamieszek, Dańko jeszcze za życia ojca, objął na własną rękę cały jego warstat, bo jakkolwiek zgadzający się już teraz z wolą Bożą i próżny wszelkiej goryczy, stary ślusarz, zanadto był przebytymi przejściami złamany, aby módz jeszcze wrócić do zajęć swoich i czemkolwiek przywiązać się do życia. Zresztą kalectwo czyniło go niezdolnym. Otoczony największą czcią i miłością dzieci, żył jeszcze lat parę, na modlitwie tylko i rozmyślaniach nad grobem Staszka, czas spędzając.

Dańko nie ustawał w pracy i coraz się doskonaląc w swojem rzemiośle, doprowadził do skutku swoje piękne marzenie, że jego współobywatele nie potrzebowali już szukać nauki u Niemców, a rodzinne jego miasto, coraz się podnosiło zacnością i pracą dzielnych mieszkańców.

Dańko sam się ożenił i siostrę wydał za uczciwego rzemieślnika, a Bóg błogosławił ich rodziny, podług słów Ojca, w „dziesiąte pokolenie“.

Gdy w parę wieków później, niezdarnością Piastów szląskich, wprowadzona niemczyzna, zaczęła coraz bardziej zalewać szląską krainę, gdy zgubnemu wpływowi temu ulegał zwłaszcza stan możnych, ród Dańka wiernie się trzymał rodzinnej mowy i obyczajów.

I może dotąd istnieje, dotąd żyje ród dzielnych obrońców Głogowa! Żyje w pracy i rąk nie opuszcza wobec grożącej mu zewsząd zagłady. Ród ten żyje! i żyć będzie, dopóki ziemia ta nasza istnieje, dopóki płynąć będą fale Odry i Nissy, patrzące na ciche a pełne odwagi, skromne a pożyteczne życie naszego szląskiego ludu. Ten lud, to arka polskiego przymierza, to święty zadatek obietnic przyszłości, którego żadne wrogie żywioły nie przemogą!...

Kościół na Smoleńsku.

Podanie.

Nieświadomemu rzeczy dziwną się może wydawać nazwa jednego z kościołów w Krakowie, zwanego „kościołem Panny Maryi na Smoleńsku“ — bo gdzież tu Smoleńsk a gdzie Kraków?!

Czy jakie łupy ze zwycięskiej na Smoleńsk wyprawy, posłużyły do ufundowania tego kościoła? czy budowali go może jeńcy, wzięci przez Żółkiewskiego, wraz z kniaziami Szujskimi do niewoli, gdy król Zygmunt III. Smoleńsk zdobywał — czy to może żałobna pamiątka utraty wschodnich kresów Rzeczypospolitej, przez którą to pamiątkę jakiś nabożny, „*sodalis Maryanus*“ chciał utrwalić przynajmniej pamięć tego jak daleko w kraj szyzmatycki sięgało panowanie Królowej Polskiej Korony?... Takie błędne zupełnie domysły i pytania stawia każdy, kto chce wytłumaczyć sobie tę nazwę w jakimś logicznym związku z historyą i geografią, a nie zapyta rojącego się po ulicach Krakowa ludu w sukmanach, który ma zwykle na sporne kwestye tego rodzaju wytłumaczenie swoje własne, zaczerpnięte z ustnego podania lub nawet i fantazyi, a często bliższe prawdy niż uczone wywody.

W tym wypadku przynajmniej nie ulega wątpliwości, że nie rossyjski to Smoleńsk upamiętniony jest w Krakowie.

Oto jak się mniej więcej rzecz mieć miała podług miejscowej legendy: *)

*) Trzymamy się podania zapisanego w „Dzwonku“ przez Walerego Łozińskiego. (*przyp. aut.*).

Kilka to set lat już temu, jak późną jesienią, szedł raz ulicą Krakowa biedny żaczek, jakich roje całe garnęły się wtenczas ze wszystkich stron polskiej ziemicy, do rozkwitającej świetnie szkoły Jagiellońskiej.

Ale ten, na którego zwracamy uwagę, nie miał w sobie owej wesołej i swobodnej buty, jaką zazwyczaj odznaczali się, choć ubodzy i jałmużną przeważnie żyjący, żacy krakowscy. Czy obcym był jeszcze w mieście i brakło mu śmiałości zapukać w którą z zielonych okienic mieszczańskich domów — czy inny jaki powód lub smutek wyróżniał go i odosabniał od towarzyszy, dość że choć wkoło wszędzie snuły się śmiejące gromadki żaków przed którymi otwierały się zamknięte wrota domostw, gościnnie garnąc do siebie zgłodniałych, on jeden, ze swoim pustym garnuszkiem i drewnianą łyżką u pasa, posuwał się coraz dalej, ku coraz odleglejszym i mniej ludnym ulicom przedmiejskim, i tylko smętnem, jakby spragnionem, spojrzeniem odprowadzał znikających kolejno po różnych bramach kolegów — Sam jakoś do żadnego młota nie wyciągnął ręki aby w którą bramę uderzyć — tylko krok jego stawał się coraz bardziej powolnym i znużonym — a myśląca i pełna wyrazu twarz pobladła, widocznie z wyczerpania.

Czasem już zdawało się, że przystanie — że dobywa głosu aby zanucić pieśń żaków, którą często, zamiast stukania, oznajmiali swoje wyczekiwanie pod oknami — ale nie! ledwo zwolniwszy kroku oglądał się niepewnie dookoła i znowu go przyspieszał, a blade usta szeptały do siebie nieskończenie smutnym i znużonym głosem:

— Nie, nie zdołam nigdy! przecież to zawsze żebractwo! cóż, że oni wszyscy tak żyją i smakuje im jałmużna — jam nie nawykł! Żeby to pracę znaleść jaką, choć najlichszą, aby na kęs chleba uczciwie zdobytego starczyła: Z czasem może bym i znalazł, ale nim to przyjdzie, o Matko Boska! z głodu mi chyba zemrzeć — trzy dni nie jadłem.

Od dłuższej już chwili, choć trzymając się w pewnej odległości, szedł za ubogim żakiem przechodzień jakiś, któremu długa czarna broda i długa suknia czarna atłasowa nadawały wygląd wcale poważny, ale który przy tej powadze stroju miał dziwny jakiś dodatek, bo łapcie z żółtego sukna w widocznem miejscu na plecach przyszyte. Korzystając z chwili gdy żaczek zatrzymał się ponownie — osłabły czy wahający się co uczynić — ów, z łapciami, zbliżył się do niego i odezwał bardzo łamaną polszczyzną:

— Waspan studiosus, żak! głodny jest a nie śmie prosić żeby dali darmo... ja to znam — ja wiem — darmo żaden interes! Ale ja panu żak, co powiem: ja waspana dam godne jedzenie i jeszcze z parę groszy, że będzie za co i książków sprawić i nową opończę — tylko mi waspan studiosus moje dzieci powyuczaj po polsku i co akuratnie potrzeba, żeby oni — kiedy nas ta ziemia gościnnie przyjęła, choć wypędzili z całego świata — żeby oni umieli po polsku myśleć i tę Polskę szanować!

Żak, w pierwszej chwili zmięszany i onieśmielony zaczepką nieznajomego, zrozumiawszy o co idzie, zrazu zarumienił się blado z radości i już chciał z wdzięcznością przystać na propozycyą, która była jakby odpowiedzią na jego przed chwilą wysłane do Matki Bożej westchnienie — gdy nagle, przyjrzawszy się baczniej nieznajomemu, cofnął się trochę i coś jakby jego radość zmroziło, a na wyrazistej twarzy odbiła się niepewność i wahanie.

Nieznajomy gładził powoli brodę i czarnymi oczyma z pod krzaczystych brwi śledził, jak gdyby także z pewnym niepokojem, kierunek spojrzeń żaka, błądzących niepewnie po żółtych ozdobach jego stroju.

— Nu, ja wiem! ja wiem — rzekł wreszcie — niełatwo to człowiekowi mego rodu znaleść polskiego

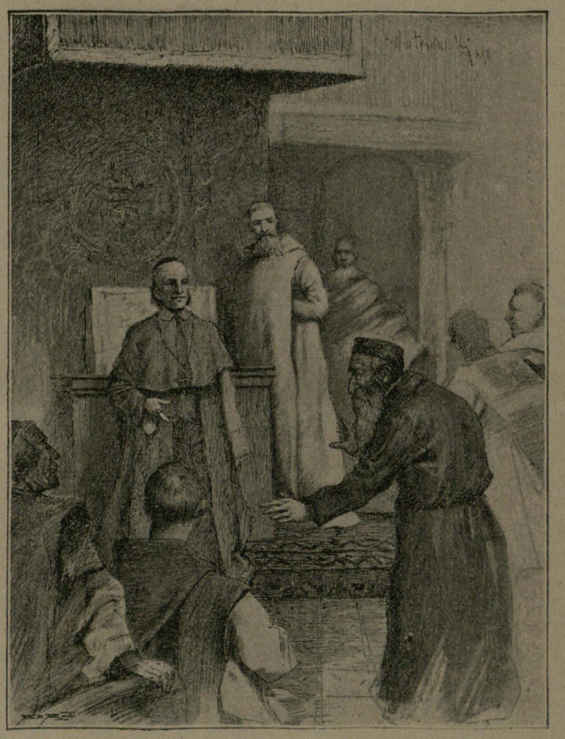

„Szmul oczy podnosi zalęknione".

bakałarza do swoich dzieci — ale ja za to zapłacę podwójnie — a nie będziesz Waspan miał krzywdy między nami — Waspan młody bardzo, może sierota — widno obcy w Krakowie — nie pożałuje Waspan że się zgodził.

W tejże chwili, z za węgła jakiegoś domostwa stanowiącego róg bocznej uliczki, wysypała się gromadka rozswywolonych dzieciaków, żaków z najniższej szkółki i uliczników. — Ci ujrzawszy słusznego chłopca w żakowskiej opończy rozmawiającego z nieznajomym, rozsypali się jak rój pszczół koło tego ostatniego i wydrzeźniając się mu, na najrozmaitsze tony, drzeć się zaczęli jeden przez drugiego:

— „Żyd! żyd! żyd! — je cebulę że aż wstyd!"

Czarno ubrany pobladł trochę, ale nie cofając się przed tą złośliwością dziecięcą, zwrócił się owszem

wprost do swych małych prześladowców, i gładząc brodę ciągle tym samym powolnym ruchem rzekł dobitnie:

— No, tak: żyd! wy mnie nie mówicie nowinę, ja nie zapieram się wcale mego rodu! A zresztą po co by ja się zapierał, kiedy łapcie sukienne noszę na plecach przyszyte, to każdy widzi — ale po co te żółte sukno kazali nam naszywać na żupany sprawiedliwe i rozumne polskie królowie? to widać nie każdy rozumie i pamięta: Oto dla wyraźnego znaku, że my tak niby policzeni i poznaczeni są przez króla, jak owce przez pasterza, i że matestat królów polskich nad nami opiekę ma i nie pozwala, aby kto na tej ziemi prześladował inaczej wierzące!

— A nie chodź poza Kazimierzem!..*) wrzasnął w tej chwili piskliwie, nie słuchający wcale tego wywodu jeden z najdalej stojących najgorszych swawolników — i drobną ale silną ręką dziecięcą rzucony, zafurczał w powietrzu kamyk, obijając się o mur, tuż prawie koło skroni w czapce sobolej.

Ale tego już było za dużo blademu chłopcu, z którym napadnięty poprzednio rozmawiał: choć przed chwilą słaniający się prawie bezsilnie z głodu, teraz rozgorzał oburzeniem, i sypiąc iskry z błękitnych oczu, skoczył przed żyda zasłaniając go swoją osobą a donośny, czysty głos jego pachołęcy, wzbił się wysoko ponad wznoszącą się znów dokoła wrzawę:

— Hej! precz stąd z drogi, *mikrusy!* żaby! pędraki! Jeden Bóg w niebie i jedna ziemia pod nami — nie wymyślać mi tu innych praw, niż sprawiedliwe królów naszych statuta! nie zaczepiać spokojnych ludzi, bo jak skrzyknę, to się tu cała bursa do mnie zleci i zsieczemy was na kapustę!

I czy to skutek przewagi jaką zwykle ma odwaga jednostki nad tłumem — jeżeli śmie mu stawić czoło nieulęknione — czy, skutek powszechnej znajomości żakowskiego obyczaju: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“ — który prawdopodobnem czynił spełnienie pogróżki wygłoszonej przez studenta — dość, że czereda malców stopniała gdzieś w jednej chwili: jak piskliwe wróbłęta przed sokołem, tak rozpierzchli się na wszystkie strony przed biorącym stronę pokrzywdzonego dzielnym żakiem, chociaż ten na poparcie słów swoich nie mógł nawet kija wyciągnąć z pod opończy: Świeżo do miasta przybyły i z gorliwością nowicyusza przestrzegający wszelkich przepisów, pilnował i tego, omijanego przez wszystkich prawie towarzyszy, że żakom żadnej broni nosić nie wolno.

Gdy znów we dwóch sami zostali, drżący jeszcze z oburzenia żak, zwrócił się do stojącego za nim żyda i rzekł stanowczo:

— Teraz, jeżeli chcesz, możesz Waćpan wziąć mnie do swoich dzieci: będę je uczył jak najlepiej potrafię, bo mi się widzi, że odmawiając takiej prośbie, byłbym mało co lepszy od owych oto dudków z ulicy.

— Panie studiosus! ja Waszmości teraz jeszcze bardziej chcę, nietylko temu żeś się ujął za napadniętym, ale temu żeś powiedział jedno bardzo wielkie i mądre słowo: „Jeden jest Bóg w niebie i jedna ziemia pod nami!“

Poszli razem ku Kazimierzowi, a po drodze student dowiedział się, że jego przyszły chlebodawca nazywa się Szmul, że jest kupcem zbożowym i dzierżawcą młynów, i że Bóg nie poskąpił mu swego błogosławieństwa, ani pod względem licznej rodziny, ani pod względem powodzenia w interesach. Szmul, była to nazwa bogacza, znanego nietylko na całym Kazimierzu i mającego wielką powagę u współwyznawców, ale cieszącego się, także — dzięki rzadkiemu w istocie rozumowi i nieposzlakowanej uczciwości i zacności charakteru, przy dobrze nabitym trzosie — nawet łaską królewską. Za „nieboszczyka króla“ podobno nieraz na Zamek chodził, a nawet swoim łatwym kredytem, wygodził podobno raz, zupełnie bezinteresownie, samemu królowi w jakiejś ciężkiej chwili przed Toruńską wyprawą.

Jednem słowem, Szmul, była to osoba będąca nielada powagą w swoim rodzaju — i biedny studencik nigdy nie miał powodu żałować, że przyjął obowiązek uczenia jego dzieci.

Szmul nietylko, że płacił mu sowicie, ale jeszcze uważał go jakby za dobrodzieja swego — miał dla niego zawsze słowo poczciwe i uśmiech przyjazny; cała jego rodzina pokochała biednego studenta, co rzuconemu w świat sierocie, dawało niejakie złudzenie domowego ogniska: nie czuł się już tak zupełnie samotny i opuszczony, wiedząc że choć pod jednym dachem w tem dużem mieście, biją serca jemu życzliwe. Wprawdzie dach ten był dachem żydowskim i żak pilnować się nawet musiał aby go nie wyśmieli koledzy i nie drwinkowali sobie z niego, że „żydowskie dzieci uczy“, ale on sam oswoił się wkrótce ze swojem położeniem i jeżeli mu ono jeszcze przykrość robiło to tylko ze względu na rodzinę samego Szmula, a nie na siebie samego; Gorąco nabożny chłopak dręczył się myślą, że poczciwy, i do kraju przywiązany Szmul, że dzieci jego, które tak chętnie uczyły się po polsku, mają na zawsze pozostać ślepi na święte prawdy Wiary chrześcijańskiej — nie znają mocy i słodyczy Zbawiciela ani Najświętszej Panny! Wprawdzie jego chlebodawca powtarzał mu często z namaszczeniem jego własne słowa: „jeden Bóg w niebie — jedna ziemia pod nami“ — przecież marzeniem studenta stało się nawrócić swoich żydowskich przyjaciół i z zapałem gorącej wymowy, zaczął przekonywać Szmula.

Żyd dłuższy czas słuchał tego, nic nigdy nie odpowiadając żaczkowi — aż nareszcie raz, z widoczną intencyą zamknięcia tych dysput raz na zawsze, zmierzył ubogiego chłopczynę lekko szyderczem wejrzeniem i rzekł stanowczo:

*) Kazimierz, przedmieście Krakowa przeznaczone przez Kazimierza Wielkiego na zamieszkanie żydom.

— Nu, ja Waspanu co powiem: jak Waspan będziesz biskupem w Krakowie, to ja się wtedy Waspanu dam ochrzcić!

Zmięszany żak umilkł i zrozumiał, że nadaremnem byłoby wszelkie nalcganie — nawrócenie Szmula wydało mu się równie niepodobnem, jak przemiana wyszarzałej opończy żakowskiej we fiolety biskupa krakowskiego — jednego z najpierwszych magnatów Rzeczypospolitej.

. . . . . .

Minęły lata — ubogi żak, dawno już rozstał się z domem Szmula na zawsze: skończywszy szkoły w Krakowie, zapragnął szukać dalszej nauki gdzieś po świecie, i wyruszył po nią — znowu ten sam ubogi żak wędrowny, jakim przybył do Krakowa. Poszedł, i tyle go widziano.

W domu Szmula zrazu wspominano go dosyć często — ale z czasem i to ustało: przyszły na kraj lata ciężkie nieurodzaju i pomoru, handel Szmula szedł coraz gorzej, interesa się psuły, bogactwa topniały — wśród trosk i kłopotów zapomniał zupełnie o ubogim żaczku, który lat parę zasiadał u jego stołu i uczył jego dzieci, już teraz dorosłych wspólników.

Z roku na rok tak coraz gorzej działo się z uczciwym Szmulem, że nareszcie ten niegdyś bogacz, u którego król się zapożyczał, pozostał przy jednej tylko arendzie, trzymanej w dobrach biskupich, z której trudno nawet było wyżyć całej licznej rodzinie.

Gdyby Szmul nie był tak uczciwym człowiekiem, byłby może jak wielu jego współwyznawców, oszukując i bawiąc się w lichwę poprawiał swoje interesa — ale do tego był en niezdolnym. — I tak, w końcu, gdy jeszcze przyszła choroba, znalazł się prawie u wrót nędzy; raty z ostatniej arendy były niezapłacone — starosta biskupi groził wyrzuceniem z młyna i skargą.

Biedny Szmul, w tych swoich opałach nie mając do kogo udać się po ratunek, wpadł na myśl zwrócenia się o pomoc wprost do samego Biskupa. — „Choć ja biedny żyd, a on senator — przecie on słyszę człek sprawiedliwy i miłosierny: pójdę powiem mu jak ze mną na dół poszło, a jak przedtem było górą — że mnie nawet na Zamku znali i król nieboszczyk szanował — jeden Bóg w niebie i jedna ziemia pod nami: może się ksiądz biskup ulituje i przy arendzie zostawi".

Wybrał się tedy stary Szmul w drogę i przybył do biskupiego pałacu a biskup pozwolił go dopuścić aż przed siebie, bo człek to był ludzki bardzo i nigdy nie odganiał proszących — a był świeżo mianowany na tę stolicę i jeszcze wcale nie podeszły w latach.

Szmul, znalazłszy się wobec takiej powagi i dostojeństwa, w obec tych fioletów i haftów złotych, spuścił oczy zawstydzony swoją biedą i wydało mu się, że chyba nadaremnie przyszedł, bo gdzieżby taki wielki pan chciał nawet gadać z biednym żydem.

Ale wtem — Szmul uszom swoim nie wierzy — ten wielki pan, ten senator, przemawia do niego po imieniu. Zna go skądś widocznie, bo kładąc mu dobrotliwie na ramieniu białą rękę z błyszczącym sygnetem biskupim, powiada: „Nie poznajecie mnie, Szmulu! a jam was poznał odrazu!"

Wielki Boże! co za dziw! Szmul oczy podnosi zalęknione i drżący przedtem ze strachu, teraz drżąc od niespodziewanego wrażenia, wykrzyka:

— To waspan! waspan, pan Biskup! mój żak, mój biedny student pan Biskup!. Proszę mnie przebaczyć jeżeli ja źle może mówię i za śmiało, ale ktoby się takiego cud spodziewał!

— No, widzi Szmul, jak to Bóg pokierował! a pamięta Szmul jaka była umowa? jak ja miałem zostać Biskupem krakowskim, miał się Szmul dać ochrzcić z całą rodziną. Cóż teraz będzie?

— Nu, ja słowa swojego nazad nie biorę! — Wszechmogący i wielki Boże na niebie! Boże Abrahama i Jakóba!. już Ty Sam chciał tego, kiedyś tak losy pokierował.

I poczciwy żyd, płacząc ze wzruszenia padł na kolana, jak w modlitwie podnosząc obie ręce.

— Niech Waspan ksiądz Biskup Dobrodziej ochrzcić będzie mnie i wszystkich moich!

Biskup miał także łzy wzruszenia w oczach poznając tak cudowne drogi Opatrzności. — Bez zwłoki sprowadzono całą rodzinę Szmula, dorosłe dzieci i wnuki i widać łaska Boża upatrzyła ich już sobie dawno przygotowując ich dusze, bo pouczenie ich w prawdach Wiary św., do której się teraz z zapałem garnęli, poszło nadzwyczaj szybko. I wkrótce doznał Biskup tej pociechy, że w istocie, własną ręką mógł ochrzcić tych, o których nawróceniu marzył ubogim żakiem i podał im Chleb Żywota, w zamian za ten kęs chleba, ochotnem sercem dany przez nich niegdyś biednemu sierocie.

Oczywiście, że o odbieraniu arendy nie było już mowy — owszem Biskup wieś całą jedną i drugą puścił Szmulowi w dzierżawę — dawny kupiec zbożowy znowu poprawił swoje interesa, i idąc zawsze uczciwą drogą, dorobił się nawet ponownie znacznego majątku.

Wtedy, na pamiątkę cudownego nawrócenia swego, z uciułanego grosza wybudował w Krakowie własnym kosztem kościół murowany pod wezwaniem Najświętszej Panny Maryi. Ludzie z początku nazywali kościół ten *„szmuleńskim"* — i od niego nazwano całą tę część miasta gdzie stał Szmuleńskiem; po latach i wiekach nazwa kościoła przekształciła się w ustach ludzi na Smoleński — a wreszcie, na kościół Panny Maryi na Smoleńsku.

Taka ma być wiarogodna historya Smoleńska w Krakowie. *Z. M.*

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy — Patrz numer 10-ty b. r.).

W domu państwa Niemcewiczów, zajmowano się żywo wszelkiemi publicznemi sprawami; przy każdym zjeździe, każdej okazyi, toczyły się rozmowy o tym przedmiocie — nic dziw więc, że i dzieci, za przykładem rodziców i starszych, wcześnie zaczęły zajmować się wszystkiem co się dzieje w Ojczyźnie.

Wiemy już z poprzedniego opowiadania, że Julianek, ledwo nauczywszy się czytać, czytywał Ojcu na głos gazetę, *Monitora* — a także nieraz „*Dyaryusz* (t. j. pamiętnik) *sejmowy*“. Ojciec, chętnie objaśniał wszystko roztropnemu chłopczynie i odpowiadał na wszelkie jego pytania a Julianek znowu na swój sposób powtarzał to i wykładał rodzeństwu, które z poszanowaniem zapatrywało się na tę mądrość najstarszego brata i uznawało w nim swego przywódcę we wszelkich zabawach.

Ci małoletni politycy, zajmowali się zwłaszcza osobą królewską. — „Co król robi?“ — „Czy on dobry, czy zły?“ to były kwestye, które ich najbardziej zastanawiały.

Julianek, który nawet z własnej woli wyuczył się na pamięć końcowego ustępu mowy, jaką ksiądz Ignacy Krasicki (późniejszy biskup) wygłosił podczas koronacyi Stanisława Poniatowskiego, przejęty był zapałem dla króla — i — podobnie jak i starsi od niego w pierwszych latach rządów Stanisława Augusta, — spodziewał się, że król zrobi dla kraju wiele dobrego.

— Ale co już zrobił? co zrobił? — dopytywała się młodsza siostrzyczka Julianka, Rózia.

— Już i dotąd zrobił wiele — widocznie chce być, tak jak go ksiądz Krasicki w swojej mowie nazywa „wszystkiem dla wszystkich“, bo stara się pamiętać o wszystkich swoich poddanych. Dla możnych panów ustanowił w nagrodę za zasługi, order św. Stanisława; ale tak to mądrze obmyślił, że kto order dostanie i cieszy się zaszczytną odznaką, musi jeszcze zapłacić taksę, która przeznaczona jest na utrzymanie ubogich chorych w szpitalu.

— A to ślicznie i mądrze! — zawołał Jaś — zrobił więc odrazu coś i dla możnych i dla ubogich.

— Ale to jeszcze nie dla „wszystkich“ — przecież wszyscy niekoniecznie mają korzystać albo z orderu albo ze szpitalu — a mówiłeś że król coś zrobił dla „wszystkich“ — przerwała logicznie myśląca Rózia.

— Czekaj! zrobił on już i coś więcej: W Rzeczypospolitej były w obiegu pruskie, fałszywe pieniądze, zwane „śmieciem“ — król postanowił to „śmiecie“ wymieść — założył więc własną *mennicę*, miedzianą w Krakowie, a złotą i srebrną w Warszawie, na umieszczenie jej oddając jeden ze swoich własnych pałaców. Odtąd się ludzie nie oszukują na złych monetach.

— No! prawda, że to już dla wszystkich. A co jeszcze?

— W Kamieńcu i w Warszawie założył szkołę artyleryi i fabrykę broni, bo nam bardzo potrzeba lepszego wojska. — W dobrach tak zwanych „stołowych“, z których dochód przeznaczony jest dla króla, osadził zacnego i rozumnego rządcę, Tyzenhauza, któremu polecił pewnej części dochodów używać na ulgi dla ludu wiejskiego. W sądach ustanowił obrońców, którzy mają obowiązek bronić bezpłatnie spraw ubogich ludzi. Podobne urządzenie było już u nas dawniej, jeszcze za czasów Chrobrego, ale potem o niem zapomniano. Król Stanisław, poczciwy ów zwyczaj przywróci.

— Ale żeby dla „wszystkich“, to powinien król zrobić coś i dla dzieci! ja nie wiem czy on o dzieciach nie zapomniał — mówiła z wątpiącą miną Rózia.

— Ależ nie! nie! już pomyślał o nich — przerwał Julianek — założył przy swoim dworze „szkołę paziów“ a w pałacu swoim, zwanym Kazimierzowskim, szkołę rycerską, t. j. wojskową, zwaną „szkołą kadetów“. — Ojciec mówi, że to największe dobrodziejstwo dla dzieci, zapewnić im dobre wychowanie.

— No, więc chyba król nasz jest doprawdy dobrym i mądrym...

Julianek uśmiechnął się z minką tajemniczą: „Król ma koło siebie kogoś, co mu do ucha szepcze co i jak robić trzeba.

— Doprawdy? któż to taki, kto? — pytały wszystkie dzieci.

— Pewnie Anioł-Stróż, odezwał się mały Kajetanek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Redakcyi.

W przyszłym numerze rozpoczynamy nową, niezmiernie zajmującą powieść, na tle prawdziwych przygód podróży morskiej na daleki Wschód, w czasie najświeższych tamże zaburzeń wojennych. Powieść ta osnuta na autentycznej korespondencyi.

„Skrzydlaty Listonosz“ odpowie w przyszłym numerze na listy otrzymane w czasie wakacyi — a dziś donosi tylko Czytelniczkom, że roboty na tegoroczny konkurs szycia, przyjmować będzie i sądzić dopiero od 1-go października: każda więc z naszych Przyjaciółek, która wśród rozrywek wakacyjnych nie mogła wydążyć z robotą, ma teraz jeszcze czas biednym dzieciom, sobie i nam to powetować! Mamy całą nadzieję, że plon tego konkursu obfitszym jeszcze będzie niż lat poprzednich!

TREŚĆ: Do polskiej młodzieży. — W szkole mistrza. (Ciąg dalszy nastąpi). — Ofiara. (Dokończenie). — Kościół na Smoleńsku. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. Ciąg dalszy. — Łamigłówki. — Rozwiązania. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki Zofia i Irena Mrozowickie. Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 18. We Lwowie. dnia 15. Września 1900. Rok VII.



Wiek młody.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie 2 zł. 50 ct., kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Dzienniczek Wandzi*).

Część I.

We Francyi.

Cherbourg, d. 5. marca 1900.

Skończyłam dzisiaj lat dwanaście. Ojciec dał mi ten kajet, abym zapisywała w nim wszystko, co mnie podczas naszej podróży zadziwi, ucieszy, lub przerazi — wogóle, zatem, będę teraz pisała mój dziennik. Mamusia uściskała mnie serdeczniej niż to czyni co dnia, zawiesiła mi medalionik złoty, z Matką Boską Częstochowską i powiedziała: „Niechaj cię Bóg strzeże i Jego Matka Najświętsza, aby ci klimat kolonialny nie szkodził“. Bo my jedziemy za kilka miesięcy do kolonij, to jest do posiadłości francuskich w innych częściach świata, ale jeszcze nie wiemy dokąd Ojca wyślą. Ojciec mówił, że Polska nigdy kolonii nie miała, to szkoda! chyba dla tego, że mało dbała o marynarkę, ale tutaj ciągle o tych koloniach mówią.

Ojczulek dawniej mieszkał w kraju, ale od piętnastu lat, jest inżynierem marynarki francuskiej i co dwa lata wyjeżdża na półtora roku do kolonii. Czasem Ojciec jeździł sam, czasem z Mamusią, podczas gdy ja byłam u wujostwa Antosiów w Gnicznie. — Wujek jest bratem Mamusi. — A teraz jedziemy wszyscy troje razem. Cieszę się na tę podróż bardzo, bo chociaż u wujostwa, było mi dobrze, ale bardzo tęskniłam do rodziców i kłopotałam się, aby im nie stało się co złego. Ja Polskę kocham bardzo, więcej niż Francyę, którą także kocham, bo dała nam gościnność i Ojcuszkowi takie ładne stanowisko; Ojcuszek ma już nawet kilka orderów za zasługi położone wobec nauki, lub za odznaczenie się w czasie wojen w koloniach.

Kiedy była wojna na Madagaskarze, to Ojcuszek także tam pojechał, a co się też biedna Mamusia namartwiła i napłakała! Cały ten czas, paliła się lampka przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, który Mamusia dostała jako prezent ślubny od Cioci Tolci. Co to była za radość, gdy wreszcie Ojciec zatelegrafował z Marsylii, że zdrowo powrócił! Daliśmy zaraz na mszę, i Mamusia posłała przez okazyę do Częstochowy gruby łańcuch złoty, który zawsze nosiła do aksamitnej sukni naokoło pasa.

Moi rodzice nie są z pod jednego zaboru: Ojciec jest z Królestwa, syn obywatela wiejskiego z pod Kalisza a Mamusia jest z Poznańskiego, córka prawnika. Poznali się u cioci Kostuni w Paryżu. Wszyscy mówią, że Ojciec zupełnie się zmienił od czasu ślubu, przed-

*) Prawdziwy ten dzienniczek, naszej małej rodaczki, znajdującej się obecnie w koloniach francuskich w Azyi, otrzymujemy od ciotki Wandzi, pani O. K., która go przegląda i poprawia. Mamy nadzieją, że zaciekawi Czytelników „Wieku Młodego“ więcej od niejednej historyi lub bajki wymyślonej. *(Przyp. Red.).*

tem był smutny ciągle, bo bardzo tęsknił za krajem. Być tak ciągle samemu między obcymi, to okropnie! ale za to teraz, to ciągle mówimy z sobą po polsku, i nie raz słyszałam, jak mówił Ojcuszek o Mamie, że mu „wśród czterech ścian Polskę stworzyła!“ To też Ojciec teraz taki wesoły, swobodny i zawsze mówi na mnie, że jestem podobną do portretu Franciszki Krasińskiej, co to poszła za mąż za królewicza. Czytałam całą tę smutną historyę, napisaną przez p. z Tańskich Hofmanową, bo dostałam nowe jej wydanie od naszej kochanej pani Duchińskiej. Ta pani, która sama jest znaną bardzo autorką i poetką, to taka zacna, dobra osoba, my ją wszyscy bardzo kochamy!

Dawniej i my mieszkaliśmy w Paryżu, ale od czasu jak Ojcuszek został kapitanem, osiedliśmy w Cherbourg. Jutro opiszę to wszystko, ale dzisiaj już jestem zmęczoną i mam jeszcze lekcye na jutro, a że to historya polska z Ojcuszkiem, to muszę się dobrze nauczyć. Przechodzimy panowanie Jadwigi i Jagielły i jak dobrze umiem lekcyę i nie zrobię żadnego błędu w dyktandzie, to czytam z ojcem niektóre rozdziały „Krzyżaków“, Sienkiewicza, które nam ciocia Tolcia przesyła w odcinku z warszawskiego „Słowa“.

7. marca 1900.

Na czem to ja pozawczoraj stanęłam... ach! już wiem! Gdyśmy mieszkali w Paryżu, to ojciec pracował przy ministeryum; mieszkaliśmy wtedy na Boulevard Voltaire, aż tu zaszło jakieś nieporozumienie Francyi z Anglią; zaczęli powiększać załogę w portach i nas do Cherbourga odkomenderowali. Było mi bardzo żal odjeżdżać z Paryża, bo tam tylu znajomych Polaków, że wcale nam się nie wydawało, iż mieszkamy za granicą, ale za to Cherbourg, to prawdziwe wygnanie! Nieraz, gdy Ojcuszek jest całe rano w arsenale a ja na pensyi, to Mamusi tak tęskno, że aż płacze i już od jedenastej stoi w oknie, chociaż i ja i Tatuś powracamy dopiero o 12-tej do domu. Czasem się tak zdarzy, że równocześnie powracam z Ojcem i wtedy cichutko wchodzimy do domu, bez dzwonienia, więc jeśli Mamusia nie spostrzegła nas z okna, to wpadamy na nią z Tatusiem, z krzykiem. Wtedy dopiero radość, jak gdybyśmy przyjechali z dalekiej podróży.

Mamusia mówiła, że Ojcuszek życzył sobie zawsze mieć syna, ale jak ja się urodziłam, to zapomniał o swych pragnieniach i tak mną się ucieszył, jak gdybym była chłopcem. A i teraz nieraz się zdarza, że gdy się Ojciec ze mną bardzo pieści, to mówi do mnie: „mój chłopak najdroższy!“

Pod Paryżem, w La Barre, mieszka ciocia Kostunia, siostra Mamusi; tam jeździliśmy zawsze na niedzielę. Wujostwo mają śliczny domek z ogródkiem, tuż przy przystanku kolejowym, więc dla nas, Paryżan, to radość prawdziwa tak cały dzień pobyć na wsi. Lubię też bardzo bawić się z moimi kuzynami: Antolkiem, który jest w moim wieku, a teraz od wakacyi oddany został do księży, do Juilly, na pensyę i ze Stasiem, który chodzi do szkółki, do sąsiedniej wioski. Antolek jest bardzo żywy, często niegrzeczny, ale ma bardzo dobre serce i zacny charakter. Kiedy przyjechał do Paryża wuj mojej Mamy i poszedł go odwiedzić, gdy jeszcze Antolek był w szkole polskiej, to nie mógł się wydziwić tym wrzaskom, które chłopcy wyprawiali podczas pauzy i pytał się, gdy Antolek przyszedł do parloiru, w co się takiego bawili, a on odpowiedział, cały jeszcze spocony i zziajany: „Bawiliśmy się w dzikie zwierzęta, ja byłem lampartem“. Ten wujek, który jest profesorem gimnazyum w Niemczech, powiedział, że tam za takie wrzaski, to pół liceum byłoby wydalonem. Stach jest znów o wiele spokojniejszy i dla tego to faworyt cioci Tolci. Ta ciocia jest bardzo dobra, ale chociaż młodsza od Mamusi, nie podoba się jej to, że Mamusia umie jeździć na rowerze, bo to u nas w kraju podobno jeszcze nie tak przyjęte jak tu za granicą. To też gdy ciocia była u nas zeszłego roku, latem, chodziliśmy zawsze na spacery pieszo lub jeździliśmy tramwajem i Mama ani razu nie jeździła na swoim „stalowym koniu“. Ale byliśmy tak szczęśliwi z przyjazdu Cioci, że chętnie obie z Mamusią wyrzekłybyśmy się na zawsze roweru, byle Ciocia dłużej z nami została.

Wtedy to, podczas jej pobytu, robiliśmy miłe i częste wycieczki poza Cherbourg, który chociaż sam nie jest ładny — bo jak wszystkie miasta portowe, ma wąskie ulice, masę szynków dla majtków, i tak przepełniony wojskiem, że zupełnie się nie widzi nikogo, prócz żołnierzy, albo majtków — ale zato okolice ma śliczne! Tyle staryeh normandzkich zamków w około! A te wieśniaczki jak malowniczo ubrane! W takich dużych wysokich czepcach na głowie, których się zupełnie gdzieindziej nie widuje.

I tak jednej niedzieli pojechaliśmy do Laud de mer. Do pół drogi idzie tramwaj, a potem trzeba iść pieszo, ale że to nad brzegiem morza, już po za groblą, więc miła przechadzka. Przechodzi się ciągle przez wioski, pełne domków, do których zjeżdżają na lato artyści rozmaitej narodowości, Anglicy, Amerykanie, aby malować piękne nadmorskie widoki. Każdy z tych domków obrośnięty pnącemi roślinami, które wtedy były właśnie w rozkwicie. Najwięcej zaś jest okrytych żółtemi różami, co swoje kielichy opuszczają na dół. Ciocię ten widok tak zachwycił, że ciągle deklamowała ten ustęp z „Przedświtu“ Krasińskiego: „Z winnic kapią, bluszcz i róże“. Ciocia Tolcia lubi bardzo wiersze i nie mogła się nadziwić, że ja tak dobrze już znam literaturę polską i tyle umiem na pamięć. Mamusia jej na to powiedziała: „Staramy się wszelkiemi siłami, aby po niej nie znać było, że nie wychowana w kraju“. Już jutro opiszę ten spacer, bo mi się spać chce, a jutro muszę wstać wcześnie.

10 Marca 1900.

Muszę starannie opisać cały pobyt u nas Cioci Tolci, bo dla nas to był nietylko pobyt drogiej osoby, ale atmosfera kraju z nią do nas zawitała. Przyjechała

do nas Ciocia w maju zeszłego roku, pociągiem o piątej, ale myśmy z Mamą wyszły z domu po nią na kolej już o godzinie drugiej, tak bardzo byłyśmy niecierpliwe i tak pragnęłyśmy bardzo ją powitać. W domu czekał barszcz z kiełbasą, Mamusia mówiła: „Trzeba ciotce zaimponować, żeby nie myślała, żeśmy zapomnieli co dobre!.“ Idąc na kolej wstąpiłyśmy po ciasteczka na deser i po inne sprawunki, a jeszcze przyszłyśmy dwie godziny za wcześnie. Nareszcie pociąg nadszedł, w oknie wagonu ukazała się kochana postać zupełnie odmienna od innych wychylających się twarzy. Mamusia zaczęła wołać „Tola, Tola“ i wybuchając płaczem padła w objęcia cioci. Francuzi nie są wcale serdeczni, więc patrzali trochę zdziwieni, ale te panie nic nie zważały, tylko się ściskały i całowały na przemian. Potem przyszła kolej na mnie, ciocia powiedziała, „ta wielka panna, to ma być twoje dziecko?“ Ja ją naturalnie po polsku w rękę całowałam — bo i ja i dzieci cioci Kostusi wszystkie polskie panie całujemy w rękę — co się im bardzo podoba i wszyscy powiadają, „zupełnie jak gdyby były w kraju wychowane“.

Cioci się bardzo w Cherbourgu podobało, zwłaszcza morze, port i ta grobla co ją jeszcze Richelieu budował, a która wchodzi w morze, tworząc kilko-kilometrowy obwód portu, z trzema bramami. Wielkie okręty stoją przed groblą; Cherbourg jest jeden z największych wojennych portów francuzkich.

Ojciec bardzo lubi Francyę, a ciocia Tolcia nie, więc bardzo często były ożywione dysputy między nimi. Ciocia wyliczała, to co Francya zrobiła złego, ile zawodów, ile obietnic nie spełnionych, a Tatuś znów wyliczał to co nas spotkało dobrego, więc mówił o gościnności, jaką Francya ofiarowała Polakom, o chlebie który daje emigrantom, zajmującym tu nieraz bardzo ładne stanowiska.

Ja słuchając takich dysput, dużo bardzo korzystam, a będąc ciągle ze starszymi, uczę się myśleć i zastanawiać się. Pomimo tych sprzeczek, ciocia Tolcia ogromnie Tatusia kocha i ceni, zawsze mówiła do Mamusi „szczęśliwa jesteś, żeś dostała takiego męża“ — Ciocia była bardzo dla mnie dobra, kupowała mi dużo dobrych rzeczy, aż nieraz się Mama na nią gniewała. Co niedziela gdy Ojczuszek był wolny, robiliśmy po nabożeństwie śliczne wycieczki i tak jednej niedzieli poszliśmy do Laud de mer i tam nad morzem spędziliśmy dzień cały . Mama zabrała mnóstwo ciastek i innych rzeczy do jedzenia, tam w restauracyi kazaliśmy sobie podać cidru, (jabłecznika) którego ojczyzną jest właśnie Normandya, i czarnej kawy. Wtedy to pokazało się, że Ciocia zabrała pasztet, który nam bardzo smakował. Okna restauracyi gdzieśmy wypoczywali były otwarte na morze, które dzielił od nas tylko mały ogródek, pełen kwiatów i ptaków. Daleko na horyzoncie ukazała się łódka, z początku jako plamka szara, pokazała ją nam Ciocia, ale nikt z nas nie mógł jej dojrzeć, więc dopiero Ojciec wziął swoją wojskową lornetkę i zobaczył. Pokazało się, że Ciocia miała najlepszy wzrok z nas wszystkich. Łódź przybliżyła się, byli to rybacy, żagle mieli rozwinięte, bo morze było bardzo spokojne, a słońce miało się ku zachodowi. Siedzący w łodzi spiewali monotonnym, sennym jakby głosem pieśń pobożną, bo Normandczycy są bardzo religijni.

Był to tak piękny widok, to morze, to słońce zachodzące, te chatki obrośnięte bluszczem i różami, że Ciocia zaczęła nucić w oknie: „Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary“. Gdy powracaliśmy, deszcz zaczął padać, ale to nam humoru nie zepsuło, bo byliśmy z tej przechadzki bardzo zadowoleni.

Innym znów razem przypatrywaliśmy się spuszczaniu łodzi rybackiej na morze. Dzieje się to zwykle o zachodzie albo przed wschodem słońca. Czasem morze nie zdaje się spokojnem: marszczy się i jakby chmurzy — ale rybacy, jeżeli tylko nie ma pewnych znaków zapowiadających burzę — wypływają zawsze, bo nie chcą tracić połowu z którego żyją. Trzeba się nieraz dziwić ich śmiałości i odwadze.

15. marca 1900.

Smutno nam bardzo było na samo wspomnienie odjazdu Cioci, która przeczuwając to, ubłagała Mamusię, abyśmy ją odprowadziły do Cioci Kostuni, a że to były właśnie Zielone Świątki, więc pojechałyśmy. Ciocia Kostunia nic o tem nie wiedziała i przyszła tylko na dworzec Saint Lazare po Ciocię Tolcię, co to więc za radość była, gdyśmy się pokazały! Śmiechom, ściskaniom, żartom nie było końca, a że rozmawiałyśmy po polsku, więc wszyscy na nas zwracali uwagę i patrzali jak na rarogów, aż miałam ochotę pokazać im język.

To dziwne, że Francuzi a zwłaszcza Paryżanie, którzy tylu spotykają u siebie cudzoziemców, jeszcze nie przestali się im dziwować! Ciocia Kostunia ma służącą, Polkę, od dziesięciu lat. Pochodzi ona z Królestwa, z konińskiego, nie umie czytać ani pisać, ale poznaje, czyje pismo na kopercie i woła z daleka, gdy listy odbierze od listonosza — „Wuj Antoś pisze!“ Po francusku nauczyła się ale bardzo źle, z trudnością można ją zrozumieć i ma fatalny akcent, ale za to po polsku wyraża się jak osoba z naszego towarzystwa, tylko czasem używa słów, których znaczenia nie rozumie. Jest przytem bardzo wielką patryotką i nie nawidzi niemców. Upiekła na nasze przybycie polskich pączków i dla mnie specyalnie kruchych serduszek bo wie, że to bardzo lubię.

Antolek miał także wakacye, więc bawiliśmy się doskonale w krokieta i w inne gry na otwartem powietrzu. Jednego dnia po obiedzie wzięła nas Ciocia Tolcia z sobą na spacer do Montmorency, na cmentarz, gdzie leży jenerał Kniaziewicz. Na płycie tego grobowca nie ma ani daty śmierci, ani urodzenia, nic prócz nazwiska, które dla każdego z nas tyle mówi. Kupiliśmy kwiatów i położyli na jego grobie i na Niemcewicza. A mnie przyszły na pamięć te wiersze z „Pana Tadeusza:“ Jak Kniaziewicz rozkazy daje z kapitolu i wydarte potomkom Cezarów, rzucił w oczy francuzom

sto krwawych sztandarów".— Potem poszliśmy na miejsce gdzie dawniej spoczywał Mickiewicz zanim go wzięli do Krakowa i tam staliśmy długo, myśląc o nim i o Polsce... (Ciąg dalszy nastąpi).

Ptaki na odlocie.

Coraz cichsze pola, gaje,
Krócej słonko świeci —
Pożegnania czas nastaje,
Hej! w odległe, ciepłe kraje
Ptactwo od nas leci.
Górą, górą klucz żurawi
Przed innemi przodem
Szare pióra w słońcu pławi,
I za sobą wnet zostawi
Północ z mgłą i chłodem.
Wzniósł się stadem długonogi
Bocian ponad ziemię,
Żegna chaty, lasy, drogi
I to gniazdo, skąd bez trwogi
Młode wywiódł plemię.
Jaskółeczki tęskne nucą
Piosnki przy rozstaniu —
Wkoło strzechy, nim ją rzucą,
Krążąc — mówią, że powrócą
O wiosny zaraniu.
Lecą ptaki, lecą w górze,
Nic ich nie powstrzyma —
Wkrótce, wkrótce, w czarnej chmurze
Niosąc słoty, śniegi, burze
Zleci ku nam zima! *E. L.*

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy).

— Dobrymi Aniołami-Stróżami króla są jego dwaj wujowie, książęta Michał i August Czartoryscy. Ci to znają doskonale potrzeby kraju i dają królowi właściwe wskazówki, on krząta się koło dobra Rzeczypospolitej, a za tym przykładem i inni panowie starają się coś zrobić dla kraju. Podkomorzy koronny Potocki, zakłada również w dobrach swoich szkołę wojskową — książę Michał Ogiński rozpoczął olbrzymią i kosztowną pracę, bo kopie kanał siedmiomilowy między rzekami Szczawą a Jasiołką: Kanał ten połączy Niemen i Bałtyk z Dnieprem i Morzem Czarnem i stanie się dobrodziejstwem dla naszego handlu. — Książę Czartoryski buduje znów swoim kosztem ogromne koszary dla wojska w Warszawie. W ogóle nasza stolica zaczyna przybierać inną postać: domki drewniane zaczynają zastępować murowanymi — z ulic i placów usunięto błoto, zakładają bruki — powstają nawet wspaniałe gmachy i pałace. Jednem słowem, jak dotąd, pod rządami króla Stanisława kraj rozweselił się — zanosi się na spokój i porządek.

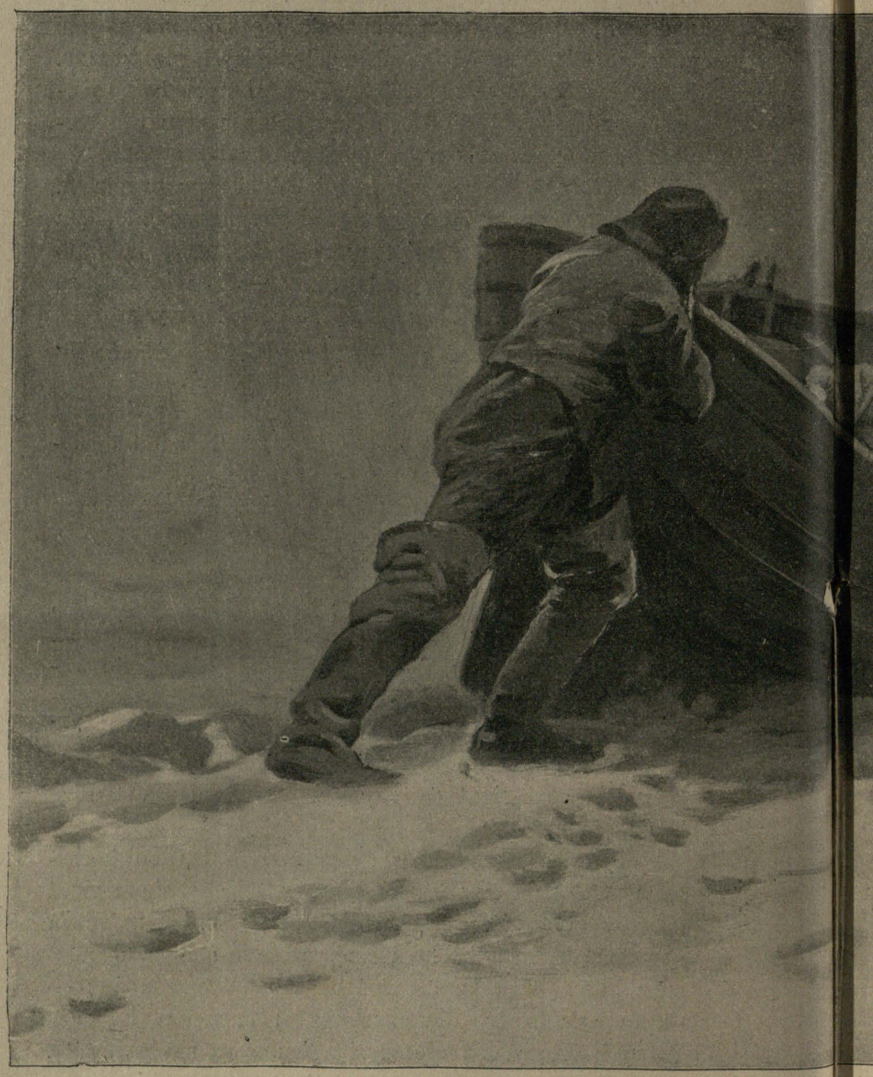

Spuszczanie łodzi ryb
(Do powieści „Dzienni[illegible]ek

— I ty o tem wszystkiem dowiadujesz się z „*Monitora*" — dopytywał się ciekawie Jaś — muszę i ja zacząć go czytywać.

Trochę z „*Monitora*" a trochę mi Ojciec objaśnia i opowiada.

IV.

Nie było szczęścia w domu, bo go nie było w Ojczyźnie.

Dziadunio Julianka, czcigodny starzec będący głową licznej rodziny, mieszkał w Klenikach, starem

gnieździe rodzinnem Niemcewiczów, gdzie też często wkoło niego gromadziły się dorosłe dzieci otaczające sędziwego ojca największą czcią i miłością. Po jego śmierci nie ustały zjazdy rodzinne w ukochanych Klenikach, gdzie nadal mieszkali Rodzice Julianka, odwiedzani często przez swoich braci i siostry z ich dziećmi.

Podczas zjazdu rodziny roztrząsano i załatwiano

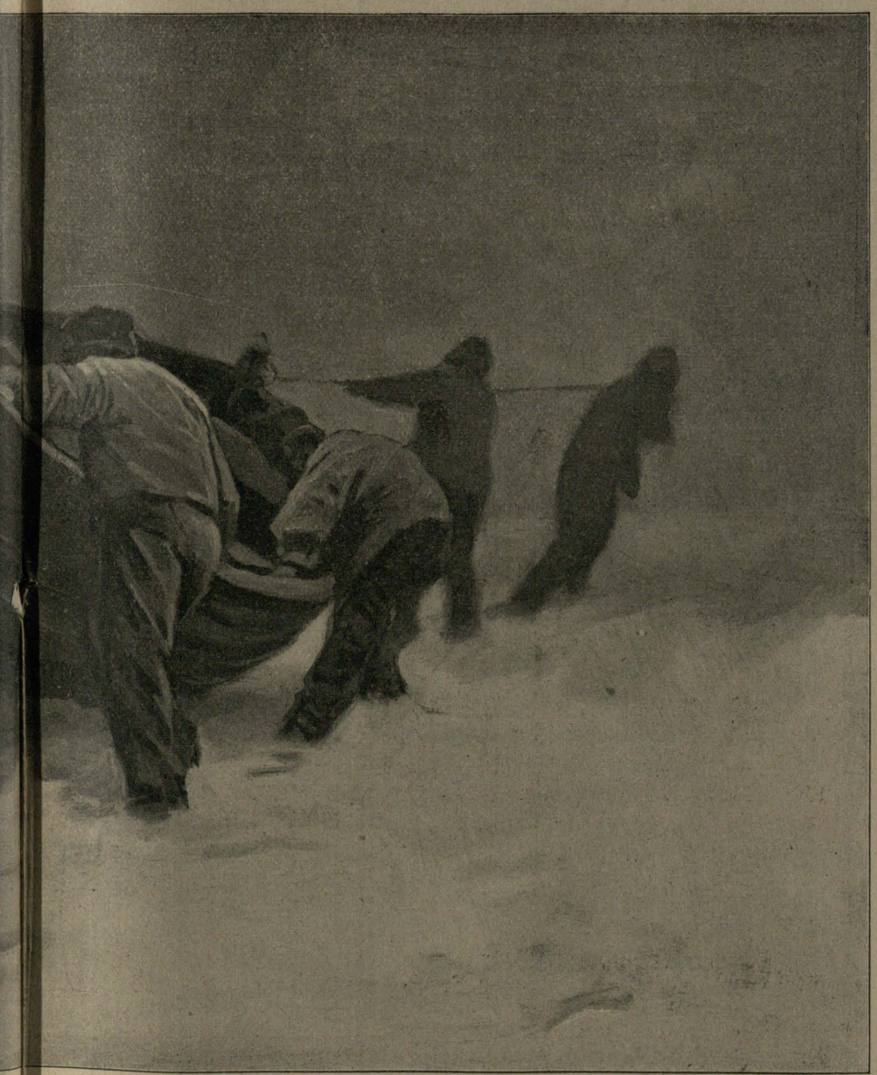

i rybackiej na morze.
nicek Wandzi". str. 141).

sprawy familijne a następnie przechodzono do spraw tyczących się szerszej a równie drogiej rodziny: za taką uważali Niemcewicze — całą Polskę.

W jesieni roku 1767-go w Klenikach zebranie było liczniejsze niż kiedy. Do wspólnych pogawędek najdogodniejszym był obszerny pokój stołowy. Z portretów wiszących na ścianach patrzyli poważnii praojcowie na pra-wnuków i pra-pra-wnuków. Pra-wnukowie byli w sile wieku, zaś pra-pra-wnukowie byli dziećmi przysłuchującemi się uważnie rozmowie starszych. Starsi i młodzi mieli na sobie barwne stroje polskie, nikt bowiem z rodziny Niemcewiczów nie hołdował nowej modzie francuskiej.

Jednak, tym razem na twarzach gości w Klenikach nie widać pogody, nie widać radosnego wesela jakiem zwykle jaśnieją oblicza kochających się członków rodziny, w chwili ujrzenia się po dłuższem rozłączeniu. Radosna pogoda jaśniała wprawdzie przy powitaniu, zakryły ją jednak chmury nabrzmiałe troską i niepokojem o ziemię rodzinną.

— I któż mógł przewidzieć, że pogoda, która zdawała się jaśnieć nad naszą miłą Ojczyzną w pierwszych latach panowania Stanisława Poniatowskiego, tak prędko przeminie, że zmieni się na dziejową zawieruchę, w której nikt jutra pewnym być nie może, a która zagraża także naszej miłej Rzeczypospolitej?

Temi słowy rozpoczął rozmowę pan Marceli Niemcewicz, ojciec Julianka, gdy zaraz po pierwszym wspólnym posiłku, liczna rodzina zgromadziła się w stołowym pokoju.

— Skrzętna, rozumna praca zacnych obywateli i króla, dążąca do naprawy Rzeczypospolitej nie spodobała się naszym, chciwym cudzego mienia sąsiadom, t. j. Prusakom i Moskalom i dlatego chcą przeszkodzić usiłowaniom poprawy, a siać w kraju niezgodę i zamęt — odrzekł miejscowy pleban.

— Ależ na Boga miłego! co im to szkodzi, że naród nasz zapragnął zaprowadzić ład i porządek u siebie w kraju? pytała jedna z ciotek Julianka.

— Moja pani siostro, odparł jeden z wujów, jesteś dobrą gospodynią, to też wiesz, że ładem i porządkiem domy nasze stoją. Od ładu i porządku zależy także naprawa naszej Rzeczypospolitej, którą popsowały wojny szwedzkie, popsowały nieszczęsne rządy Sasów, popsowała samowola szlachty i panów. Ale naprawy nie chcą dopuścić sąsiedzi, bo popsowaną naszą Ojczyznę łatwiej rozszarpać, niż naprawić, a ku temu dąży król pruski i carowa Katarzyna.

— Całe nieszczęście w tem, że nasz naród ciemny i nie widzi do czego dążą nasi wrogowie! Iluż to nieświadomie dopomaga do zguby Rzeczypospolitej! Carowa Katarzyna nakazała swemu posłowi, Repninowi, aby siedząc w Warszawie czuwał, i nie dopuścił naprawy Rzeczypospolitej. Repnin, posłuszny swej pani wziął się zręcznie i przebiegle do wykonania jej rozkazów. Oto sieje wśród nas niezgodę. Powiada, że król i jego zwolennicy dążą do obalenia wolności w Rzeczypospolitej. Zaprowadzenie ładu i porządku nazywa niewolą, wolnością nazywa samowolę. Ta jego przewrotna gadanina trafia do przekonania ludzi ciemnych, a tych jest niestety w kraju więcej niż oświeconych. Ci którzy nie umieją zrobić różnicy między wolnością a samowolą i swawolą, po-

wstają na sejmach przeciwko królowi i jego stronnikom i przy pomocy rosyjskich bagnetów, obalają zbawienne dla Rzeczypospolitej uchwały, myśląc jeszcze przytem, że właśnie oni bronią wolności. Ciemnota i zaciętość są tak wielkie, że najuczciwsze i rozumne uwagi na nic się nie zdadzą. Tyzenhauz, przyjaciel i podskarbi królewski, daremnie wołał na sejmie: że „nie chce ten rządu, kto w radach krajowych większości głosów nie chce". A gdy go zakrzyczano i utrzymano nieszczęsne *Liberum Veto*, rzekł: „Gdyby Rzeczpospolita sama za sobą przemówić mogła, odezwałaby się nieomylnie temi słowy: Nie tak mnie boli, że mnie sąsiedzi dręczą, jak to czego od własnych obywateli doświadczam". Ta jednak mowa na nic się nie zdała! obalono najzbawienniejsze uchwały, król zemdlał, poczem chorował dni kilka, a gdy znękany z łoża powstał, powtarzał tym, którzy go odwiedzali: „Ni mi życie, ni korona miła, skoro wszystko ku zgubie Rzeczypospolitej idzie". Zacniejsi posłowie, których przekrzyczeli zwolennicy nieładu, łamali ręce i powtarzali: „Bogdajbym posłem nie był i nie patrzał na zgubę Ojczyzny. Inaczej myśleć nie można, jeno, że dopełnił naród występków, kiedy na ukaranie go, Bóg mu rozum odjął". Podczas gdy na sejmach toczyła się walka między posłami, Repnin chcąc złamać swoich przeciwników, t. j. zwolenników reform i króla kazał ich dobra wojskom moskiewskim rabować i palić.

Wszyscy słuchając tego dłuższego opowiadania jednego z panów Niemcewiczów, który niedawno powrócił był z Warszawy, milczeli zasmuceni; wreszcie jedna z pań zapytała.

— Wytłumaczcież mi, panowie bracia, co znaczy sprawa dyssydentów, o którą toczą się na sejmie takie zwady? My, białogłowy, pilnujemy kuchni i spiżarni, to też nie mamy czasu rozczytywać się w gazecie, aby dokładnie zrozumieć toczące się sprawy; więc kiedy nadarza się dziś sposobność, tobyśmy się oświecić chciały. Bo gdy się nie rozumie tego, co się koło nas dzieje, to tak jak gdyby się chodziło omackiem.

— Moja pani siostro, rzekł ojciec Julianka, bardzo chwalebna wasza ciekawość więc chętnie ją zaspokoję. Dyssydentami nazywają u nas wszystkich chrześcijan nie katolików. Owóż dyssydentów bierze w obronę carowa jedynie dlatego, aby mieć powód mięszać się w nasze sprawy i aby szerzyć między nami większą jeszcze niezgodę:

Carowa wie, że w Rzeczypospolitej religia rzymsko-katolicka jest panującą, i że naród przywiązany jest do swej religii duszą całą. Broni dyssydentów, po mimo, że ustawy nasze nie wzbraniają nikomu innego wyznania; są u nas w kraju ewangelicy, kalwini, lutrzy nawet szyzmatycy, i używają praw niemal zupełnie takich samych jak i katolicy, jeno nie mają prawa zasiadać w sejmie i stanowić praw dla katolickiego państwa. Owóż carowa uważa, że im się w Rzeczypospolitej dzieje krzywda, i domaga się, żeby ich wpuszczono na sejmy. Posłowie tego dopuścić nie chcą w czem popierają ich biskupi. I teraz to dopiero wzrasta u nas rzeczywiste rozjątrzenie na dyssydentów, głównie dlatego, że zamiast szukać poparcia u swojego rządu, szukają go u naszych wrogów. Jest więc teraz rzeczywiście niezgoda, zasiana przez przebiegłą carowę, która wie czem rozjątrzy najbardziej naród, i dlatego staje w obronie dyssydentów. Obecnie w Warszawie toczy się na sejmie w tej właśnie sprawie walka, którą głównie prowadzą biskupi Sołtyk i Załuski. Ot właśnie doszły nas z Brześcia jakieś niepewne pogłoski o tem, że tam Repnin dopuścił się w Warszawie jakichś gwałtów na senatorach.

— Może to przesadzone wieści? ozwał się ktoś z towarzystwa — gdzieby zaś śmiał aż do tego się posunąć!

— Ot, nie trapcie się jeszcze wątpliwemi wieściami, kiedy dosyć już tego co wiemy na pewne, i co jest tak złe, że człowiekowi życie nie mile, rzekł pan Niemcewicz.

— Pora już późna, jednak nim udamy się na spoczynek, prośmy Boga we wspólnej modlitwie o poratowanie naszej miłej Ojczyzny. (C. d. n.)

W szkole mistrza

(z francuskiego).

(Dokończenie).

Po gwarnej zabawie nastąpiła ponura cisza. Jeden patrzał na drugiego z rozpaczą.

— Jesteśmy zgubieni! — rzekł Ryszard.

— Rubens wypędzi nas ze szkoły.

— Ale dokąd pójdziemy? — zawołał Van Dyck — gdzie znajdziemy równego mistrza.

— Mój Boże! co tu czynić, co czynić!? — wołali wszyscy razem.

Posypały się rady, jedna gorsza od drugiej.

— Mam świetną myśl! — zawołał wreszcie jeden z nich.

— Zrobiliśmy szkodę, więc trzeba ją naprawić. Niech jeden z nas weźmie się zaraz do pracy. Jeżeli chcecie jam gotów!

— Ty, rzekł jego sąsiad pogardliwie, przecież ty mój biedaku, ledwie pendzel potrafisz wziąść do ręki.

— Dobra wola zrobi resztę — odpowiedział wnioskodawca.

— Ale dobra wola nie zastąpi talentu — odparł Diepenbeke. Zresztą rada jego jest nie zła. Najzdolniejszy z nas niech maluje.

— A który z nas jest najzdolniejszy? — zawołali patrząc po sobie.

W tejże chwili jednogłośnie krzyknęli wszyscy „Van Dyck!"

— Ja! — rzekł Van Dyck — przerażony tem trudnem zadaniem.

— Tak ty — odpowiedzieli — malujesz najlepiej z nas, masz trzy godziny czasu, więc bądź dobrej myśli i ratuj nas.

— Van Dyck wziął drżącą ręką paletę, którą mu podawali, wybrał pendzle, usiadł przed sztalugami i ręką nieśmiałą a mimo to wprawną zaczął malować. Im więcej bał się gniewu mistrza, tem więcej starał się okazać jemu równym.

— Tylko trzy godziny czasu — mówił — to za mało, aby oddać ten świeży ton Rubensa, ten koloryt taki żywy! Mój Boże dopomóż mi!

Ramię Magdaleny było skończone.

Pochwały przyjaciół zachęciły go do dalszej pracy. Wieczór zapadał, gdy robota była ukończona.

— Ale jutro, co powie Rubens, gdy spostrzeże podstęp swoich uczniów?

Żaden z nich nie spał tej nocy, to pewna. Nazajutrz rano, gdy Rubens wchodził do szkoły, chłopcy starali się, wyczytać swój wyrok z jego oblicza.

Ale twarz mistrza była pogodna.

— Jeszcze nie wie o niczem — szeptali między sobą. I niepokoili się na chwilę. Rubens chodził od sztalugi do sztalugi, tam ganił, tu dawał radę lub zachętę. Nagle zwrócił się do całej szkoły: Panowie, rzekł — pokażę wam obraz kościelny, który przeznaczam do kaplicy pewnego kardynała. Chodźcie ze mną. — Dreszcz przebiegł każdego z chłopców. Wstali i poszli za mistrzem w milczeniu. Gdy weszli do pracowni, Rubens stanął przed obrazem, wskazał palcem, to co niby malował dnia poprzedniego i zawołał: Jestem z tego dość zadowolony, patrzcie!

Nagle urywa, zbliża się do obrazu, przeciera oczy i patrzy jeszcze.

A straszna to była chwila.

— To szczególne, mówi Rubens, patrząc na robotę Van Dycka. — Niby to moja praca, a jednak nie moja! Wspaniale malowane, nie przeczę, ale jakaś inna ręka tu pracowała.

I zwrócił się do swoich uczni, a pomieszanie, jakie dostrzegł w ich twarzach odkryło mu cząstkę prawdy.

— Byliście wczoraj w mej pracowni? ruszaliście wszystko..... i zdarzyło się wam nieszczęście.... nieprawdaż? no, mówcie! zamazaliście obraz i jeden z was naprawił szkodę! Odpowiadajcie na miłość Boską. Który to malował, niechże się przyzna! czego się boi?.... Że się będę gniewał? Raczej go uściskam, bo to wspaniałe, znakomite, pyszne! Od dzisiaj uważać go będę za mego zastępcę. Chłopcy, ten którego pendzel to malował będzie waszym mistrzem! Ja, Rubens, mówię wam to. Dalej, mówcie kto on? — „Van Dyck“ — zawołali chłopcy chórem, i usunęli się, aby zostawić wolne miejsce dla Van Dycka, który cofał się w tył, cały w rumieńcach.

— Van Dyck — powtórzył Rubens i podał mu rękę — powinienem był zgadnąć. Brawo, mój przyjacielu. Już się odemnie niczego nie nauczysz. Trzeba teraz jechać do Włoch i uczyć się na wielkich mistrzach w Rzymie, Florencyi, Wenecyi. Jedną dam ci tylko radę na końcu: Są ludzie którym się zdaje, że portret nie jest godzien pendzla artysty. Otóż to nieprawda! Ty będziesz królem portrecistów. Głowa, to twoja specyalność... Panowie — dodał Rubens — przebaczam wam chętnie waszą nieuwagę.

Widząc, że wszyscy wesoło wychodzą z pracowni, i że mistrz przyjaźnie wspiera się na ramieniu Van Dycka, mówił stary Jakób do siebie:

— Wzięli sobie do serca moje napomnienia; pan był dzisiaj z nich zadowolony.... Poczciwe dzieciska! Od dzisiaj wpuszczę ich zawsze do pracowni.

Van Dyck miał wtenczas siedmnaście lat. Urodził się w roku 1599. Ojciec jego był malarzem na szkle i uczył go pierwszych zasad rysunku. Potem umieścił go u Henryka Van Palen. Tutaj Antoni Van Dyck zrobił wielkie postępy, a następnie został przyjęty do szkoły Rubensa.

Przed wyjazdem do Włoch, Van Dyck, chcąc okazać Rubensowi swą wdzięczność, wykończył trzy obrazy historyczne i ofiarował mu je. Rubens ozdobił niemi swe mieszkanie i szczycił się niemi, jako najpiękniejszymi okazami swego zbioru.

Van Dyck był już uważany za wielkiego artystę a mimo to uczył się pilnie na dziełach wielkich mistrzów w Wenecyi i kopiował obrazy Tycyana i Pawła Verones'a. Pracował także i w Genui, potem wrócił do ojczyzny. Wkrótce osiadł w Hadze, gdzie malował portrety księcia Oranii, całej jego rodziny, panów z jego dworu, najbogatszych kupców a nawet cudzoziemców, którzy umyślnie przyjeżdżali do Hagi, aby mieć portret jego ręką robiony. Karol I., Stuart wielki miłośnik sztuki powołał go do Anglii, gdzie go czekało równe powodzenie. Miał tyle zamówień, że czasu starczyło tylko na malowanie portretów. Zarabiał bardzo dużo. Mimo to nie zdobył majątku, bo prowadził dom otwarty, trzymał mnóstwo służby i wspomagał chętnie swych licznych przyjaciół. Oprócz tego zajmował się alchemią i to pochłaniało złoto, które pendzlem zarabiał. Pojął za żonę córkę lorda Ruthwera, ze starej ale ubogiej szkockiej rodziny. Umarł na suchoty w r. 1641, mając lat 42.

— Obrazy Van Dycka znajdują się we wszystkich większych muzeach Sztuk Pięknych.



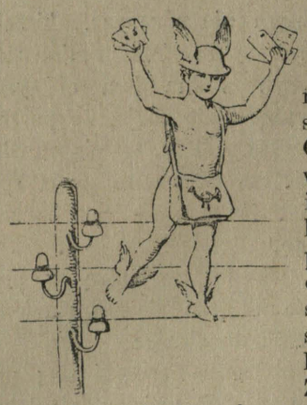

Skrzydlaty listonosz.

Skrzydlaty Listonosz — wita serdecznem słowem wszystkich kochanych Czytelników i Czytelniczki, wszystkich swoich dawnych i nowych Przyjaciół — dziękuje im za pamięć o sobie przez czas wakacyi i obiecuje teraz znowu, odpocząwszy już trochę, pilnie roznosić wszystkim odpowiedzi na listy i wszelkie pytania. — Zosia S. w Oknianach. Czy obie z siostrzyczką wesoło spędziłyście wakacye? bo pisząc dwukrotnie mało nam o tem doniosłaś. — Konwalijka z Gorlic. Cieszy nas obietnica Twoja należenia znowu do konkursu szycia dla biednych dzieci! a jak Ci się podobało w Iwoniczu? „Skrzydlaty Listonosz“ dziękuje Ci za miłe życzenia zawarte w ostatnim liście. Stały Przyjaciel w Dublanach pracował w czasie wakacyi nad historyą polską, o czem świadczy długie zadanie konkursowe — to nas bardzo ucieszyło, bo zamiłowanie w historyi ojczystej to najpierwszy dowód miłości Ojczyzny — więc zamiłowanie to, radzibyśmy rozbudzić we wszystkich naszych Czytelnikach. — Kazia M. we Lwowie zrobiła nam tę samą przyjemność, a nawet jeszcze dłuższe napisała ćwiczenie. Czy może czytałaś z Mamusią wyjątki z „Krzyżaków“ Sienkiewicza? bo zdaje nam się, że pisałaś pod ich wrażeniem. — Liza K. w Brodach. Nasza nowa Przyjaciółka doskonale rozwiązuje łamigłówki — czy może równie dobrze je układa? Numer dzisiejszy niesie Ci miłą nowinę o nagrodzie.

Małgosia z Londynu. Czy doszedł Cię numer powtórnie wysłany? dajemy teraz mocniejsze opaski. Twoja karta budzi wielkie zajęcie czytelniczek, które ją u nas widziały — wszystkie nas pytają, czy Ty sama mieszkasz w którym z domów w pobliżu tego wspaniałego „Hotel Cecil?“ — Józef Z. we Lwowie. Składka Twoja i siostry, doszła nas i odesłaliśmy ją już wraz z innemi do Komitetu „Kolonii Rymanowskiej“. A Ciebie, czy dochodził regularnie „Wiek Młody“ posyłany do Zakopanego? — Józef K. w Stanisławowie. Wysłaliśmy ponownie na Krupówki. A czy robiliście razem z bratem ciotecznym dużo wycieczek w naszem cudownem Zakopanem? Czy byliście koło Morskiego Oka? — Lisia, Marylka i Milka W. w Seewalchen— zachwycały się obcą przyrodą, ale wśród piękna widoków alpejskich, nie zapomniały pewno o dawnych przyjaźniach! Spodziewamy się znowu takich długich i miłych listów jak przed wakacyami. — Stanisław D. w Stanisławowie. Dobrze, ale dlaczego nie wszystkie rozwiązywałeś? A jeździłeś konno w czasie wakacyi? — Stach S. w Krakowie. Prawda, że to trudno po wakacyach odrazu przywyknąć znów do szkoły — ale taki dzielny „*Sokół*“ jakim Ty jesteś, bywa zwykle dzielnym do wszystkiego. — Zofia W. w Dołżance. Wiemy, że nie zawsze łatwo znaleść zaraz czas na odpowiedź. Radzimy Ci, każ wszystkie tomiki naszej „Biblioteczki“ oprawić jednakowo, bo to porządnie i ładnie wygląda. A do Twej szafki z książkami przybywa dziś nowa — ta, którą właśnie wylosowałaś jako nagrodę! napisz nam czy Ci to zrobiło przyjemność i przyszlij znaczki na opłatę pocztową. — Tadeusz D. we Lwowie. I Tobie ten sam los się uśmiechnął: może sam kiedy wstąpisz po swoją nagrodę — ale aż po 1-szym października.

Wandulka T. w Samborze. Aj, co to za szkoda, że my ani Twojej muzyki słyszeć, ani konfiturek pokosztować, ani na weselu z Tobą „pysznie się bawić“ nie możemy! „Naszej gosposi“ życzymy aby się jej wszystko powodziło w tem gospodarstwie — a „dorosłej pannie“ aby przecież jeszcze rosła sercem i rozumem! — Bolesław Cz. w Krakowie. Tak jak Ty odczułeś i zrozumiałeś piękny wiersz „Do młodzieży“, w naszym ostatnim numerze, tak pragnęlibyśmy aby go ocenili wszyscy Czytelnicy! — Józia D. w Krzyżowej. Miły nam był Twój liścik z opisem wycieczki do Orawy i cieszy nas, że tak miło lato spędziłaś. Między Czytelniczkami mamy od niedawna nową, tego samego co Ty nazwiska — czy to krewna Twoja? — Julisia S. w Szydłowcach. Zajmujący i tak obszerny opis pielgrzymki do Rzymu, przeczytała Redaktorka z wielkiem zajęciem i przyjemnością. A czy wiesz, że w ciągu wakacyi była czas jakiś w kąpielach razem z ciocią Ludą? — Eleonora M. we Lwowie lub jeszcze w Kossowie? Cóż słychać z Twojem zdrowiem? mamy nadzieję, że pobyt przez całe lato w takiej ślicznej, górskiej okolicy, wzmocnił Cię zupełnie. Oczekujemy Twego zgłoszenia się, gdzie nadal posyłać numera. — Zochna z Tryestu. Czy przez lato używałaś kąpieli w błękitnych falach Adryatyku? — Zosia N. w Jaśle. I Twoje zadanie konkursowe ucieszyło nas, jako dowód pilności i znajomości historyi polskiej. — Wanda W. we Lwowie. Przysyłając rozwiązania, wypisuj zawsze wszystkie wyrazy wchodzące w skład danej łamigłówki. Czy wcale nie wyjeżdżałaś ze Lwowa?

Dla braku miejsca reszta odpowiedzi w następnym numerze.

Trafne rozwiązania zagadnień, nadsyłali: Zonia Dorniakowska, Kazia Maliszówna, Staś Dobrucki, Liza Kalachówna, Stach Stanek, Arnold Zott, Zosia Szczepańska, Zosia z Tryestu, Tadeusz Dalbor, Zofia Wilczkówna, Bolesław Czajkowski, Jania Dłuska, Józia Dobrowolska, Konwalijka z Gorlic, Moryś Flippner, Kazio Materni, Zosia Nowicka, Wanda Więckowska, Wanda Trauczyńska, Józef Kwiatkowski, Józef Zborowski, Tadziuś Gulajewicz, Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny, Jańcia Promińska, Henryk Mildenhawer, Romana Wolińska, Marya Czausówna, Maryla Górzyńska, Franio Silesiński, Anna Zawiejska, Marcia Durska, Staś Zerowicz, Henryk Reubbenauer, Zosia Kyszyńska, Kazio Chudzik, Henryk Żuławski, Helenka Winnicka, Jadziula Kawska, Tadzio Rybicki, Lesio Gałecki, Mania Kranze, Jaś Woźniak, Zosia i Mania Gwoździckie.

Do nagrody wylosowani: Liza Kalachówna, Zofia Wilczkówna, Tadeusz Dalbor, Bolesław Czajkowski, Moryś Flippner i Annia Zawiejska.

Uwaga: Nagrody te rozeszlemy aż po 1-ym października — trzeba przysłać na porto 40 h. markami pocztowymi.

TREŚĆ: Dzienniczek Wandzi. — Ptaki na odlocie. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. Ciąg dalszy. — W szkole mistrza. (Dokończenie). — Skrzydlaty Listonosz. — Łamigłówki. — Rozwiązania. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 19. We Lwowie, dnia 1. Października 1900. Rok VII.



DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Dzienniczek Wandzi.

Część I.

(Ciąg dalszy).

Chodziliśmy długo po cmentarzu, przyklękując z modlitwą na niejednym grobie, bo leżą tam także i tacy, których ja znałam nawet osobiście, jak pan Franciszek Duchiński, mąż pani Seweryny. Pokazała mi też Ciocia grób pani Potockiej, Komarowej z domu, przyjaciółki Zygmunta Krasińskiego. Stoi tam napisane: „Jeszcze kielich mej goryczy wiele kropel ma, muszę cierpieć, pić powoli, póki Pan Bóg da“. Zapisałam sobie to, bo mi się bardzo podobało.

Powróciliśmy na osłach, które w Montmorency wynajmować można; śmieliśmy się ogromnie, bo Stach spadł, ale sobie, dzięki Bogu, nic nie zrobił, Antolkowi zaś osioł uciekł, trzeba go było gonić, ja tylko siedziałam mocno i śmiało, bo i Ciocia Tolcia, jak tylko osioł żywiej machnął ogonem, zaraz krzyczała, z obawy, żeby nie spaść. Mamusia się z niej śmiała i mówiła: — Cobyś ty zrobiła na okręcie, kiedy taki tchórz z ciebie? A ona na to: — Moja kochana, to też ja nie poszłam za mąż za marynarza, tylko za spokojnego człowieka, który się z miejsca nie rusza.

20. marca 1900.

Ogromnie było nam smutno z Mamusią powracać do domu, chociaż spieszyłyśmy się, bo Ojcuszek był tak zupełnie sam, tylko z Filipem. W La Barre wesoło i przyjemnie, tyle osób bywa, a sami Polacy! Poznałam też tam p. Reymonta, który napisał powieść „Ziemię obiecaną“ o fabrykach i bogatych ludziach w Łodzi. Mamusia czytała tę książkę głośno Ojcuszkowi, gdy rysował topograficzne mapy na nagrodę do Sorbony. Słyszałam niektóre tylko ustępy, bo Mamusia powiedziała, że to nie dla mnie. Ale gdy czytała opisy polskiej wsi, to mnie wołała. Ach, tak pragnęłam zobaczyć tego pana, co tak ślicznie opisał wizytę narzeczonego u narzeczonej na wsi, bytność ich w kościele, a potem księdza proboszcza, który częstował wszystkich. Mamusia mówiła, że to zupełnie, jak gdyby widziała zebranie po kościele u ks. dziekana Antoniewicza, w Bninie, że to z natury wzięte, bo u nas na wsi zawsze wszyscy po mszy św. idą do księdza proboszcza na przekąskę i miłą pogawędkę.

Owego dnia gdy był w La Barre pan Stanisław Reymont, Ciocia Kostusia wzięła mnie za rękę przyprowadziła do niego i powiedziała: „Jest tu jedna mała osóbka, która bardzo pragnie być panu przedstawioną“. Zaczerwieniłam się ogromnie, ale podałam mu rękę. Niewiem dlaczego wyobraziłam sobie przedtem, że autor musi wyglądać jakoś inaczej niż wszyscy ludzie i zdziwiłam się, że p. Reymond taki naturalny i tak rozmawia swobodnie jak wszyscy. Rozmawiał ze mną chwilkę i pochwalił, że tak dobrze mówię po polsku, a ja odpo-

wiedziałam: — „Jak pan może się temu dziwić, przecież jestem Polką!“ — On się rozśmiał i odrzekł: — „No, tak, ale pewnie panienka jeszcze na oczy Polski nie widziała?“

— Owszem byłam w Polsce już dwa razy, w Gnieźnie i w Poznaniu, a jak powrócimy z Tonkinu, to pojadę z rodzicami do Krakowa, aby zwiedzić Wawel i groby królów naszych i kopiec Kościuszki!

Pani Duchińska wmięszała się w tej chwili do rozmowy i powiedziała p. Reymondowi, że ma wielką patryotkę przed sobą, a potem kazała mi deklamować wiersz pani Neumanowej, Polki, której mąż był konsulem w Turcyi i w Egipcie.

Powiedz mi, siostro, choć świat taki cudny,
Taki bogaty i gwarny i ludny,
Czemu w twej duszy, w najweselszej chwili,
Jakaś tęsknota budzi się i kwili
Za chatą naszą, za szmerem tej fali
Co strome stopy Wawelu oblewa?....
I Ty mnie pytasz? wszak i ja przed sobą
Widzę w marzeniu nasze ciche sioła,
I lasy, sosen oblane żałobą,
I pochylone starych zamków czoła —
A wśród pól złotych, zagrodę ubogą
Z wiankiem gniazd ptasich — krzyż widzę nad drogą
A dalej groby... ileż wspomnień, Boże!
Serce się od nich oderwać nie może.
I mnie też ludzie pytają ciekawie
Jakie my skarby tam, w Ojczyźnie mamy
Że naszą ziemię tak bardzo kochamy,
Wierni jej gruzom i minionej sławie.
Dziwni ci ludzie! czyż skarbów potrzeba
Sercu co łaknie ojczystego chleba?
Bogactwem naszem — kajdany Sybiru!
Bogactwem naszem — tumy pełne kiru!
Bogactwem naszem: nurty cichej fali
Co sławne stopy Wawelu oblewa
I biednej Polsce pieśń N a d z i e i spiewa!

Gdy skończyłam, wszyscy mię ściskali i nie jeden miał łzy w oczach, bo tam byli ludzie, co z kraju dawno wyjechali i pewno przed śmiercią już do niego nie powrócą, więc było im smutno, gdy ten wiersz słyszeli i pytali mi się skąd go mam? Odpowiedziałam, że mi go Ciocia Tolcia przywiozła z Gniezna. Więc chwalili mnie, że się go tak zaraz nauczyłam i że tak ładnie, ze zrozumieniem, deklamuję. Mamusi było przykro, że Ojcuszek tego wszystkiego nie słyszał, byłby się tak cieszył i taki dumny byłby ze swej kochanej córeczki. Ale i tak się cieszył, bośmy mu musieli wszystko opowiadać ze wszystkimi szczegółami.

Miło nam było w La Barre, oj miło, wesoło i przyjemnie, jakby w kraju, to też teraz żyjemy tylko wspomnieniami, ciągle jeszcze coś opowiadamy, to sobie, to Ojcuszkowi o tym naszym tam pobycie.

Teraz mam dużo pracy. Na pojutrze muszę opisać życie i śmierć Joanny d'Arc. Trudne to, ale Ojcuszek obiecał mi poprawić i przy obiedzie opowiedział mi dużo szczegółów z jej życia, o których na pensyi nie mówili. Więc mam nadzieję, że moje wypracowanie będzie najlepsze. Napiszę też o tym obrazie, co go widziałam na wystawie sztuk pięknych w *Salonie* w Paryżu, jak Joanna w kajdanach klęczy i przyjmuje ostatnią Komunię św. przed śmiercią, idąc na stos. Ach! co to było za okrucieństwo, ta jej śmierć! tak mi jej żal serdecznie! Ona była tem dla Francuzów czem Kordecki dla nas.

Dzisiaj był długi list od Cioci Tolci, zajechała szczęśliwie d o d o m u, wuj Kazio zdrów zupełnie.

22. marca 1900.

Dziś mamy ogromny wiatr; jakiś okręt na morzu wywiesił sygnały wzywające ratunku. Z portu posłano mu statek z ludźmi, ci przywiezli załogę, bo okręt zatonął. Zbierano w mieście składkę dla rozbitków. Ojciec dał 10 fr. a ja także 1 fr.

Mam teraz trochę pieniędzy, bo mi przysłał wuj Antoś na moje wydatki. Ten wujek, to taki dobry, kochany, tak o nas myśli, tak często pisze i wszystkiem się zajmuje co nas obchodzi. Bardzo kocham tego wujka!

Byłam z Ojcuszkiem w porcie nad morzem; aż strach, jakie ono ciemne i rozgniewane, prawie czarne, a jeden bałwan z taką szybkością pędzi za drugim, jakby im czasu nie stało. Co prawda, to ja mam trochę strachu jechać tak daleko morzem, ale tego rodzicom nie powiem, bo by się kłopotali o mnie. Ojcuszek widząc moją przerażoną minę, gdy patrzałam dziś na rozhukane morze zapytał się, czy nie będę się obawiała tej dalekiej podróży, która nas czeka. Ale ja widząc niepokój w jego drogich, kochanych oczach, odpowiedziałam zaraz: „O nie, Ojcuszku, bo ty pojedziesz z nami, czego więc miałabym się obawiać?! przecież ty byś nie pozwolił, aby nam się co złego stało, a jeśli zatoniemy, to wszyscy razem. Ale ja mam w Bogu nadzieję, że zdrowo zajedziemy i zdrowo powrócimy“. — Dałby to Bóg! — odpowiedział Ojciec, ale spojrzał na mnie tak jakoś łzawo i serdecznie, że mi się go żal zrobiło:

Mój Ojcuszek najdroższy! ja go tak bardzo, tak ogromnie kocham! Bo on nie jest jak inni ludzie, Mamusia zawsze powiada, że „stoi wyżej moralnie i umysłowo od wszystkich swoich kolegów“. Taki ma prawy charakter, czysty jak łza, nigdy w życiu nie skłamał, od najmniejszych lat zawsze mówił prawdę, a przy tem taki pracowity: co dzień wstaje o piątej rano, zasiada do biórka i pracuje w najlepsze kiedy my z Mamusią jeszcze śpiemy. O siódmej idzie do koszar albo do arsenału, ale przed tem przychodzi nas budzić, mówi nam dzień dobry, usiędzie na chwilę najpierw na łóżku Mamusi a potem na mojem i woła: „Chłopak wstawać! już czas do klasy“. Wtedy ja się zrywam i zarzucam Ojcu ręce na szyję, kładę głowę na ramieniu i próbuję jeszcze w ten sposób się zdrzemnąć. Ale ojciec mi

nieda i mówi gładząc mnie po włosach: Wstań, wstań już, córeczko: córka żołnierza musi być dzielna. A lekcye umiesz? — Potem mnie całuje, pieści, żartuje ze mną i w końcu ucieka, bo ja go nie chcę puścić, więc musi mi się dopiero wyrywać, z czego jest ogromny śmiech. Aż nieraz Mamusia musi wołać: — Wanduś, nie męcz Ojcuszka, już późno, musi iść do bióra.

Ja jestem wysoka na swój wiek, więc nieraz gdy Mamusia jest zajęta w domu, a ja z ojcem sama wychodzę nad morze na spacer, to idziemy sobie pod rękę, a to tak miło! Jakie to szczęście mieć takiego Tatusia, którego można kochać, nie tylko dla tego, że to Ojciec i że Pan Bóg tak każe, ale dla tego, że jeszcze tak dobry i mądry, że taki kochany jak ten mój Tatuś najdroższy!

Mamusia zawsze mnie obejrzy, gdy wychodzę z Tatusiem, abym była starannie ubraną. Biorę wtedy lepsze rękawiczki i kapelusz, nie ten w którym chodzę na pensyę. Mamusia stoi w oknie i patrzy na nas, my się obracamy kilkakrotnie, a potem na skręcie ulicy, kłaniamy się: ojciec czapką, nie po wojskowemu, a ja oddaję ukłon dworski, głęboki, i znikamy na skręcie. W Cherbourgu można takie figle na ulicy robić, bo zwykle ulice są puste.

Był dzisiaj list od Cioci Kostuni: Antolek spadł z huśtawki i stłukł sobie kolano, musiał leżeć przez tydzień; bardzo mi go żal, on taki wesół i żywy, to mu pewno ciężko było tak spokojnie leżeć tyle dni. Dobrze, że właśnie w tym czasie pisałam do niego długi list i posłałam mu dwa roczniki „Wieku Młodego“, które mi Ciocia Tolcia z kraju przywiozła, a w których jest tyle pięknych, zajmujących powieści i tyle patryotycznych wierszy.

23. marca 1900.

Mój Boże! Mój Boże! co się stało, co się stało! Ojciec zamienił się z panem kapitanem Magon i wyjeżdżamy już 1-go maja! Wpadł dzisiaj Ojciec do domu i pytał Mamy, gdy ja byłam w klasie, czy zdąży wszystko załatwić i zebrać się do drogi w tak krótkim czasie. Mama, jak prawdziwa żona marynarza odpowiedziała, że da sobie radę. Tak więc jedziemy do Tonkinu już pierwszego maja!

Jest teraz u nas ruch nie do opisania: szwaczki, praczki, ludzie do pakowania porcelany i szkła, wszystko to kręci się po naszem mieszkaniu i robi nieład okropny. Już nie chodzę na pensyę, tylko pomagam Mamie w robieniu sprawunków, których mamy bez liku, chociaż jeszcze dużo zostawiamy do Paryża.

Ojciec opowiada mi dziwy o tym kraju do którego jedziemy: już raz był tam dwa lata, jeszcze przed ożenieniem. Są tam podobno stonogi takie duże, jak palec, które mają w sobie ogromnie wiele fosforu i w nocy świecą zupełnie jak duża iskra, a jak komu spadną na rękę albo na twarz, to wypalą to miejsce, którego dotknęły. Na Tatusia spadł raz podczas snu taki robak i Tatuś długo miał znak na czole. Potem są tam kameleony, rodzaj jaszczurek, wielkości naszych kotów, mienią się one i to zależnie od koloru, na którym siedzą lub stoją. Jeśli są na materyi zielonej, to są zielonkowate, na czarnej ciemne, na białej, białe i tak ciągle. Ma to być bardzo łagodne zwierzę i nadzwyczaj powolne, to tylko nie jest przyjemnem, że każde jego oko, może patrzeć niezależnie jedno od drugiego.

Ale, wracając do sprawunków, Ojciec obstalował sobie 6 białych ubrań, Mama pięć lekkich, powiewnych sukien batystowych, bo tam klimat taki gorący, że nie można inaczej chodzić. Ja będę miała najwięcej, bo aż ośm sukienek, jedna jest zwłaszcza śliczna, cała w bukiety fiołków, przywiozła mi ją Mama od Cioci Tolci z Poznania.

Ojciec mi kazał zrobić streszczenie z historyi Tonkinu, zrobię je w tym dzienniczku, to mi zostanie na zawsze.

24. marca 1900.

Bardzo mi żal opuszczać nasz kochany Cherbourg, bo teraz dopiero na wyjezdnem widzę, że się do niego przywiązałam. Już się Mama rozmówiła z tym panem, u którego meble zostaną do naszego powrotu. Biedne meble, co one za losy przechodzą! Kupowała je babunia, matka Mamusi, w Poznaniu; długi czas stały w jej domu, a potem po śmierci dziadostwa, gdy Mamusia szła za mąż za Ojczulka, to sobie te meble sprowadziła do Paryża, a potem znów pojechały za nami do Cherbourga i teraz musimy się z nimi rozstawać. Żal mi je zostawiać, i im pewno także przykro. To duże czarne lustro, tak smutnie na mnie patrzy, a amorki, co są u samej góry i trzymają girlandę z kwiatów, zdają się mówić: — Odjeżdżasz, zostawisz nas tak samych, między zupełnie obcymi ścianami i sprzętami — żadnej twarzy znajomej nie odbije teraz ta tafla szklana!

Doprawdy, tak mi jakoś smutno, że nie mogę wchodzić do salonu.

W La Barre zatrzymamy się dwa tygodnie a wujostwo odprowadzą nas do Marsylji, to trochę nas pocieszą, bo w ogóle smutno nam bardzo.

Co do drogi, to ja i Mamusia nie pojedziemy na koszt rządu, tylko Tatuś, bo rząd wprawdzie płaci podróże żonom oficerów ale tylko do kolonii spokojnych jak Nowa Kaledonia, wyspa Bourbon, Senegal, i t. d. zaś Tonkin, to się nazywa: *Colonie de guerre* (kolonia na stopie wojennej) więc takiej drogi nie płacą, bo niebardzo zachęcają do tego aby kobiety tam jeździły. Będzie tam trochę niebezpiecznie, ale Tatuś za to może się dobić wyższej rangi i stanowiska.

Za powrotem, będziemy mieli 3 miesiące urlopu i pojedziemy do ślicznego Zakopanego, które tak pragnę poznać. Moja podróż i Mamusi będzie kosztowała 2.000 fr., ale pojedziemy pierwszą klasą, bo na statku to nie można inaczej. Tam na miejscu za to można dużo oszczędzić, bo wszystko ogromnie tanie, a pensyę będziemy mieli podwójną.

Dostajemy teraz często bardzo listy z kraju. Wszyscy piszą, dopytują się o najmniejsze szczegóły naszej podróży, a ja odpisuję, bo Mamusia nie ma już

czasu, tak bardzo zajęta. Zabieramy samowar i rozmaite kuchenne przedmioty. Mama dopytuje się u tych pań, żon oficerów, które powróciły z Tonkinu, co się nam przydać może. Będziemy mieli trzy rodzaje kufrów: jedne zostaną na dnie okrętu, przez całą podróż nie będzie można do nich zaglądać; drugie co sobota nam przyniosą, abyśmy mogli wyjąć i ułożyć, co nam potrzeba, a trzecie najmniejsze będziemy mogli mieć w kajucie.

Nasz okręt nazywa się „Colombo“ i jest pół wojenny.

Byłam z pożegnaniem na pensyi i u niektórych koleżanek; ogromnie mnie ściskały i prosiły, żebym im przysyłała karty pocztowe z widokami, bo teraz wszyscy zbierają te karty. Ale ja nie zbieram, bo wolę długie listy pisać i odbierać.

Wczoraj byliśmy u pp. Magon na obiedzie, a dzisiaj pójdziemy do p. Feury, wszyscy nas zapraszają, wiedząc, że dom nasz w zamęcie i nieładzie, tak że trudno do gotowania się zabrać.

Nasz służący Filip, ciągle wzdycha i mówi, że bardzo będzie za nami tęsknił, bo już takich dobrych państwa, jak rodzice nie dostanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pielgrzymka do Lourdes.

Miesiąc październik jest drugim w roku poświęconym szczególniej czci Najświętszej Panny: miesiąc to r ó ż a ń c o w y — czas podobnych jak w maju wspólnych nabożeństw, procesyi, spiewania pieśni i strojenia ołtarzów Maryi.

I „Wiek Młody“ radby z Czytelnikami swymi społem, znaleść się w te dni uroczyste w naszej serdecznej, ukochanej Częstochowie, i westchnienie swe zmięszać z uniesieniem tego tłumu, który tam z gorącem nabożeństwem spiewa: „Królowo Polski módl się za nami!“

Ale tylko myślą uczynić to możemy. Jednakże większość Was, już może była w Częstochowie? może i datek już z rąk Waszych popłynął teraz właśnie na odbudowanie, zniszczonej okrutnym pożarem Jasnogórskiej wieży, co jak latarnia morska przyświecała Polsce wśród burz ostatnich stuleci.

Podawaliśmy Wam już w „Wieku Młodym“ wizerunek i Częstochowskiej i Ostrobramskiej N. Panny i Patronkę miasta Lwowa z kaplicy Domagaliczów i Matkę Boską Kochawińską. Nie łatwo by jednak zliczyć wszystkie cudami słynące obrazy, które jak Polska szeroka i długa, pobudzają pobożność serc ku Matce Bożej i krzepią je pociechą w ciężkich chwilach. Mają także i inne kraje swoje „miejsca cudowne“ niby uprzywilejowane krynice łaski, skąd wierzący czerpią pomoc nadprzyrodzoną. Skoro więc znamy już własne, nam najdroższe, pójdźmyż dziś pielgrzymką do jednego z miejsc obcych słynącego cudami na świat cały, do L o u r d e s, gdzie także październik, ze swymi uroczystościami różańcowemi, ściąga tem większy napływ pobożnych.

Droga przed nami dosyć daleka, bo trzeba się nam wybrać aż do południowo-zachodniej Francyi, we wschodzie stoki Pirenejów.

Tutaj to, wznoszą się skały Masabielles, nad rzeką Gawą, a w nich jest grota, w której, w połowie naszego wieku objawiła się Najświętsza Panna ubogiej pasterce — i wytryska źródełko, posiadające cudowną moc leczniczą.

Prześliczna pogoda jesienna urok rzuca na piękność górskiego krajobrazu, ale mało kto z tłumów cisnących się na ustronnej stacyjce kolejowej L o u r d e s, zwraca choćby przelotną uwagę na te szczegóły; wszystkich myśli i serca zajęte są czem innem, przepełnione tylko uczuciami religijnemi: gorąca, niczem niezachwiana wiara i głębokie współczucie dla ludzkiej niedoli malują się wyłącznie w tych wszystkich spojrzeniach, które wybiegają naprzeciw zbliżającego się właśnie pociągu. Bo też to jest słynny „train blanc“ p o c i ą g b i a ł y, umyślny pociąg, kursujący tylko przed uroczystemi okazyami odpustów w Lourdes, a przeznaczony do przywożenia najciężej chorych i kalek. Zewnętrzne ściany wagonów, obicia wewnątrz, nawet lokomotywa, wszystko w tym pociągu jest tylko białe z niebieskiem — na cześć Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, która w takim właśnie, białym z błękitnem, stroju objawiła się tu w Lourdes ubogiemu dziewczątku. Przejmujące wrażenie robią te, urządzone w wagonach białe szpitalne posłania, na których spoczywają nieszczęśliwi, opuszczeni przez ludzką mądrość, a garnący się z wiarą po ratunek do stóp „Lekarki chrześcijańskiej!“

Zaledwo pociąg — dla uniknienia wstrząśnień, powoli i ostrożnie idący — zatrzymał się na stacyi, z przejętego poważnem wzruszeniem i milczącego tłumu, wysuwają się zaraz ku niemu tragarze z lektykami, noszami, krzesłami na kółkach i t. p.

A nie są to zwykli w bluzach tragarze-zarobnicy, ale ludzie zamożni, z najlepszych sfer towarzystwa, często najpierwsi salonowcy, którzy przyszli tu z dobrej woli dla oddania pobożnej usługi cierpiącym. Podobna ofiara osobistego trudu, więcej znaczy niż pieniężna, która tym panom krociowych fortun przychodzi z taką łatwością, że ofiarnej potrzeby ich serc nie zaspakaja. — Warto widzieć tych elegantów i światowców z jaką troskliwością i zręcznością godną sióstr miłosierdzia przenoszą chorych, kaleki, i układają na posłaniach — żadne najokropniejsze kalectwo, żadne rany nie budzą w nich odrazy — w oczach ich jaśnieje ta sama gorąca wiara jaką tchną zniszczone oblicza chorych — to samo słodkie wzruszenie przejmuje tak serca tych, którzy spodziewają tu na sobie doznać cudu, jak tych co im przy tem posługują.

Zaraz od stacyi ustawiły się processyonalnie w długi szereg, te najrozmaitsze nosze z chorymi —

cały ogrom nędzy ludzkiej i cierpienia — bractwa z chorągwiami wysuwają się na czoło pochodu, tłum cały zakołysał się i ruszył zwolna miarowym krokiem, przy słodkim dźwięku pieśni „Ave Maria“, który rośnie i olbrzymieje coraz jak fala, aż roztopią się w nim i znikną wszystkie westchnienia i jęki wyrywające się z udręczonych piersi.

Pomijając na boku dawne, ubogie miasto Lourdes, pamiętające jeszcze czasy walk z hiszpańskimi Maurami — kieruje się pochód prosto z dworca ku błogosławionej grocie i świątyni nad nią zbudowanej. Ponieważ ciągły napływ pielgrzymów ze wszystkich stron świata jest tu ogromny, w najświeższych więc czasach



Cudowna grota w Lourdes.

powstało wzdłuż tej drogi całe jakby nowe miasto samych hoteli, szpitali, przytułków i gospod rozmaitych — aż nareszcie poza kamiennym mostem nad rzeką Gawą, zakreślającą tu szerokie półkole, uderza nagle oczy wysoko, na skalistem podnożu wznosząca się ku niebu strzelista świątynia, na widok której odsłaniają się głowy, zginają kolana, a serca uderzają zdwojonem tętnem: to tu już, tu za chwilę!

Najwyżej wznosi się jakby sięgając błagalnie aż w samo serce nieba, smukła wieża gotycka nowego kościoła. U stóp jej rozsiadła się szeroko, w odmiennym stylu budowa niższa, świątynia jakby płaszcz obejmująca stoki góry — a w samem skalistem podnożu, dzień i noc zawsze rzęsiście oświetlona, jaśnieje mistycznym blaskiem, przemieniona w kaplicę objawienia się Matki Boskiej grota, z sączącem się ze skały źródełkiem, którego woda z wiarą użyta, tylu już dokonała cudownych uzdrowień. W grocie prześlicznie rzeźbiona statua Najświętszej Panny, w bieli i z szarfą błębitną, przedstawiona, o ile dłuto artysty mogło najwierniej podług opisów pastuszki Bernadety, w stroju i postaci w jakich się jej tu objawiła.

Przed kilkudziesięciu laty były te skały Masabieles miejscem dzikiem i odludnem, porosłem przez gorżkie jałowce, wśród których uboga i nieokrzesana, ale gorąco pobożna dzieweczka, Bernadetta Soubirous pasała owce albo zbierała suchy chrust na opał. Była ona dzieckiem prawie nędzarzy i od najwcześniejszego dzieciństwa zostawiona sama sobie, wolała obcować z przyrodą niż z ludźmi — chętnie poszukiwała samotnych ustroni, nie dając się zrazić krążącemi między miejscową ludnością legendami o duchach i strachach zamieszkujących niby ponure rozpadliny skalne w Masabieles — Bernadetta nie umiała ani czytać ani pisać ale marzycielska wyobraźnia wyglądała z jej dużych, nadmiernie błyszczących oczu. Modlitwa i rozmyślanie w miejscach odludnych były jej ulubionem zajęciem. Miała lat 14 gdy dnia 11-go lutego 1858 r. pierwszy raz jej prostej i wierzącej duszy objawiła się Najświętsza Panna w tem miejscu wybranem, które chciała szczególnie uświęcić swoją łaską. W czasie od dnia 11-go lutego do 16-go lipca tegoż roku, miała Bernadetta ośmnaście razy to samo zawsze widzenie, wpadała w zachwyt, odbierała polecenia od Najświętszej Panny. Wieść o cudzie rozeszła się szeroko, lud okoliczny

garnąć się zaczął do groty Matki Boskiej i cudownego źródełka, które u stóp jej wytrysło — za napiciem się lub obmyciem tą wodą, chorzy odzyskiwali zdrowie, kalecy władzę. Zajęła się wreszcie tą całą sprawą władza duchowna, miejscowy Biskup po zbadaniu dokładnem wszystkich okoliczności, przedstawił je Stolicy Apostolskiej, a gdy cuda jawne i oczywiste potwierdzały wciąż, że w istocie to miejsce widocznie upodobała sobie Najświętsza Panna dla okazywania tam ludziom szczególnej swojej łaski, Papież Pius IX. uznał i ogłosił w r. 1870 grotę w Lourdes jako uprzywilejowane miejsce cudowne, i obdarzył rozmaitymi odpustami i łaskami duchownymi wszystkich nabożnie ją odwiedzających.

Odtąd co roku wzrasta sława świętego miejsca i wizerunki Najświętszej Panny z Lourdes rozpowszechniły się po całym świecie. *Z. M.*

Do panienek.

Zawsze marzycie dzieweczki moje.
Że samo szczęście kwitnie na świecie,
Że jak motylków złocistych roje,
Wy kiedyś bujać będziecie!
Że same kwiaty pod wasze nogi,
Życie wam będzie zaścielać zawsze.
Wam dni bez troski, Wam uśmiech błogi
Wam losy będą łaskawsze!
Że gdy nauki ubiegną lata,
To obowiązków jarzmo zrzucicie
I że powinność co dziś ugniata
Gnieść was przestanie — sądzicie!
Jakże to marne, płonne nadzieje
I jak dziecinne te czcze marzenia!
Jak śnieg wiosenny kiedyś stopnieje
Wiara w te wasze złudzenia!
Bo droga życia to przykra ścieżka,
Kto posłannictwo Boże zrozumie,
I tylko przy tej szczęście zamieszka,
Co zrzec się woli swej umie!
Gdy dziewczę z dziecka w kobietę wzrasta,
Jej obowiązków zwiększa się koło. —
Więc ta jest tylko dzielna niewiasta
Która je spełnia wesoło!
I ta co pracę ukocha szczerze,
Czasu nie trwoni, swych bliźnich wspiera
Co, cierpiąc, siłę czerpie we wierze,
Pokusy złego odpiera!
By więc dzielnemi wzrosły dziewczęta
Niech każda z młodu w cnocie się ćwiczy,
Niech miłość pracy i wiara święta
We wszystkiem jej przewodniczy.
Niech posłuszeństwa i łagodności
Wdzięk ją ozdobi w życia zaranie,
A wzrastać będzie w Bożej miłości
I ludziom drogą się stanie!
A chociaż później w życia podróży,
Niejednę łezkę pewno uroni,
Dzielna niewiasta oprze się burzy
I innych od niej uchroni.

H. Strażyńska.

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy).

To rzekłszy pani Niemcewiczowa, uklękła i poczęła odmawiać głośno różaniec. Za jej przykładem poszli wszyscy obecni.

Właśnie w chwili gdy kończono modlitwę wszedł do pokoju służący z listami. Julianek spostrzegł go pierwszy, podbiegł, listy zabrał i ojcu je podał. Pan Niemcewicz skwapliwie sięgnął po nie, szybko przełamał pieczęci i jął czytać. Przy czytaniu pobladł i jęknął boleśnie:

— Dziejowa zawierzucha srożyć się poczyna!

— Cóż! co się stało? pytali wszyscy, zwracając zwrok niespokojny na bladego pana domu.

— Co się stało? Potwierdzenie najgorszych pogłosek: Repnin kazał pochwycić sprzeciwiających mu się senatorów i wywieść w głąb Rosyi, pono do Kaługi.

Na tę wiadomość, kobiety uderzyły w głośny płacz, mężczyźni wykrzykiwali:

— Boże! Boże! za coś nas tak ciężko pokarał?

— Rzeczpospolita zginęła!

— Koronę polską zdeptano!

— Majestat Ojczyzny poniżono!

Podczas gdy zebrani goście żal i zgrozę wyrażali płaczem lub bolesnemi okrzykami, pani domu milczała, boleść odjęła jej mowę, pobladła jak ściana, zachwiała się i padła na ziemię zemdlona.

Wszyscy rzucili się z krzykiem na jej ratunek. Dzieci na widok zemdlonej matki przypadły do jej nóg z głośnym płaczem.

Już im nikt tłumaczyć nie potrzebował, same zrozumiały, że nieszczęście Ojczyzny jest zarazem ciosem dosięgającym serce każdego dobrego obywatela. Zrozumiały te polskie dzieci, że Ojczyzna została znieważoną przez wrogów.

Gdy ocucono zemdloną kobietę a zapłakane dzieci spać pokładziono, zabrano się powtórnie do odczytania listów z Warszawy. Z nich dowiedziano się o gwałtach, jakich dopuścił się poseł carowej, Repnin. Oto w nocy z 13-go na 14-go października kazał porwać czterech senatorów: byli nimi książę biskup krakowski, Kajetan Sołtyk, Józef Załuski, biskup kijowski, hetman Wacław Rzewuski i syn jego Seweryn poseł podolski. Pułkownik Igelström na czele licznego oddziału żołnierzy rosyjskich napadł nocą na bezbronnych i uwiózł ich w głąb Rosyi.

Wieść o porwaniu senatorów rozeszła się w jednej chwili po całej Warszawie i uderzyła niby grom w serca mieszkańców. Całą noc nikt oka nie zmrużył. Ale nie zdołano odbić uwięzionych, bo ulice stolicy zalały wojska rosyjskie.

— Jakże król zniósł tę zniewagę? przerwał czytanie listów ktoś z obecnych.

— Cóż król może przeciwko przemocy! odpowiedział pan Niemcewicz. Nim poseł carowej dopuścił się takiego pogwałcenia praw narodowych, poodsuwał z urzędów zacnych obywateli a oddał je swoim stronnikom. Król obecnie jest bezsilny. To też gdy się do niego, nazajutrz po wywiezieniu posłów, udano, odpowiedział deputacyi: „Wszak sami obalaliście wszystko co zmierzało ku naprawie Rzeczypospolitej, wszak przy pomocy Repnina zajęliście urzędy, idzcie teraz do niego: już tylko ta jedna droga nam została!“ Udano się zatem do Repnina, który odpowiedział, że porwani senatorowie ubliżyli carowej, za co też spotkała ich sprawiedliwa kara.

— Czy nic więcej znieważony naród nie zrobił? zapytacie młodzi czytelnicy.

Oto poseł grodziański Karol Chreptowicz złożył 24-go października w Grodnie protestacyą przeciwko gwałtom, których dopuścił się Repnin. Jednak nim protestacyą złożył, wyprzedał się z majątku, aby ucieczką za granicę ratować się przed zemstą posła carowej.

Była to więc nowa ofiara — zacny obywatel, którego owa zawierucha poniosła daleko poza granicę ojczyzny. A był to niestety dopiero początek! Rezydent królewski w Petersburgu wniósł do rąk carowej przesłane mu z Warszawy pismo, w którym proszono uwolnienie uwięzionych senatorów. Na pismo odpowiedziała carowa manifestem z 23-go listopada w którym mówi: „Poseł mój dopełnił jedynie powinności swojej i oddał rzetelną przysługę królowi polskiemu i Rzeczypospolitej więżąc burzycieli porządku publicznego, mszcząc krzywdę pani swojej“.

Takiego to wymiaru sprawiedliwości doczekał się naród od carowej, która się za opiekunkę naszą obrała! Obywateli broniących praw narodowych nazwała burzycielami porządku i rozporządzając się jakby u siebie więziła wolnych posłów obcego narodu, tłumacząc się jedynie że ukarała buntowników — wygnaniem. Oto są skutki szukania cudzej opieki, oto są skutki niezgody domowej!

Nazajutrz po zemdleniu pani Niemcewiczowej, gdy dzieci pobudziły się ze snu, pytał Kajetanek żałośnym głosem.

— Czy mama nie umarła?

— Czy mama zdrowa? pytała równocześnie Tecia.

— Mama nie umarła, jeno się tak przeraziła i zmartwiła gwałtami Moskali, że zemdlała, odpowiedział Julianek.

— Mama wyglądała tak jak dziadunio, gdy umarł; mówił zasmucony Kajetanek.

— Bo zemdlony, to tak jakby na chwilę umarły, tłumaczył znowu Julianek.

— To te łotry Moskale o mało nam Mamy nie zabili! mówił Jaś, zaciskając pięści.

(Ciąg dalszy nastąpi).

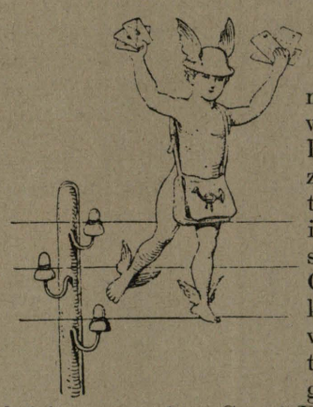

Skrzydlaty listonosz.

Roman D. w Cieszynie. Na „supplikę“ odpowiadamy zapewnieniem iż Redakcya nietylko, że nie zapomniała, ale w każdej trudniejszej chwili z radością i rozrzewnieniem przypomina sobie swoich Cieszyńskich Czytelników i ich listy i krzepi się myślą, że pracować warto, gdy się znajduje taką przychylność młodych, gorących serc dla których właśnie ta praca! — Staś D., Jadzia D. i Tadeusz D. w Cieszynie. Śliczne i miłe Wasze pozdrowienie, „od stóp naszych ukochanych Tatr“ szukało nas po świecie, bo wyjeżdżaliśmy na dłuższy czas ze Lwowa, a w przeadresowywaniu listów na poczcie zaszła omyłka. — Podpisy całej Waszej gromadki doszły nas więc aż dopiero w chwili gdy przeszły numer był już w druku, dla tego nie mogło być dla Was odpowiedzi. Życzymy Wam wszystkim takich jak zawsze powodzeń w tym nowym roku szkolnym!

„Polka“ w Sannikach. Sam wybór pseudonimu niczego by jeszcze nie dowodził, ale pocóż byś nawet miała słowami nas zapewniać o rzeczy, której, znając Cię, tak pewni jesteśmy! Wiersza „Do polskiej młodzieży“ wyucza się na pamięć wielu z naszych Czytelników — pojmujesz jak nas to cieszy. Dziękujemy Ci za wszystkie szczegóły, o Twoich wakacyach. Dzięki Bogu, że Wujanka już zdrowsza. — Wny Zygmunt K. w Sannikach. Ej, panie Zygmuncie! czy to tylko nie miłe pochlebstwo, że nasz dawny Czytelnik, w dwa lata po maturze, stał się tego roku na wakacyach znowu naszym Czytelnikiem, „zachwycał“ się powieściami w ostatnich rocznikach i bawił się rozwiązywaniem łamigłówek! Jeżeli tak było w istocie tożto zaszczyt dla nas i przyjemność nielada! kładziemy to w części na karb dawnego przywiązania, bo i my nawzajem zawsze bardzo mile wspominamy sobie, jak to ubieraliśmy razem, drzewko „Wieku Młodego“ dla biednych dzieci. Stefa musiała się w istocie bardzo ucieszyć przyjazdem brata po dwuletniem niewidzeniu. Zapowiedzianej „pracy“ oczekujemy z wielkiem zaciekawieniem — a czy to będzie proza, czy wiersze? — Anulka S. w Przemyślu. Dziwisz się pewno, że w przeszłym numerze nie miałaś odpowiedzi, ale i Twój list, wskutek bałamuctwa poczty spowodowanego naszym wyjazdem, doszedł nas za późno. Za to ucieszył nas przynosząc długie i ładne wypracowanie konkursowe.

Maryla W. we Lwowie. Dziękujemy Ci za kwiatki alpejskie! rzeczywiście zachowały jeszcze zupełnie świeżą woń. Poznając w swoich wycieczkach takie piękności przyrody nazbierałyście pewno mnóstwo podnoszących duszę wrażeń, bo kto umie takie piękno odczuwać, ten jakby duszę swą otwierał na głos Boży. Bardzo pojmujemy usposobienie jakie Cię ogarnia na myśl, że ten rok już jest dla ciebie ostatnim nauki szkolnej, ale młodość to czarodziejka która Ci nie da długo za dzieciństwem żałować! a świadczy to tylko o poważniejszym kierunku Twego usposobienia i umysłu, że już umiesz ocenić swoje obecne szczęście i chciałabyś „jak najdłużej być małą“. Nie jesteś więc jak owe lekkomyślne panienki do których dzisiejszy nasz wierszyk zwrócony, a które radeby dorość jak najprędzej, myśląc że wraz ze szkolną książką rzucą i „jarzmo obo-

umarłych zjada, nigdy ludzi żywych. Ale Tatuś w strachu o tem zupełnie zapomniał. Z fortu do fortu są telefoniczne połączenia, a oprócz tej szybkiej i łatwej komunikacyi, koniecznej w razie napadu, jest w każdym forcie rodzaj wysokich obserwatoryów, z których można widzieć na bardzo daleką przestrzeń, czy okolica spokojna. Z fortu do fortu jest tylko godzina drogi pieszo, to też teraz jest w Tonkinie spokojniej i bezpieczniej. Stolicą Tonkinu, dawniej było Keicho a teraz Hanoï nad rzeką Czerwoną, (czyli Song-Koi); liczy 140.000 tysięcy mieszkańców. W porcie stoi mnóstwo okrętów, takich jak używają w Chinach i Japonii, zupełnie wązkich zwanych s a m p a u s i j o n q u e s. (Czy nie zabawne nazwy? prawdziwie azyatyckie. Ciekawam, czy Antolek o tych statkach coś będzie wiedział. Pewno nie, bo to ja wiem tylko od Tatusia). Jak wszystkie miasta azyatyckie, Hanoï podzielone jest na część handlową i wojenną, w tej ostatniej pełno jest gmachów zwanych „koncessyą francuzką". Forteca zbudowana w wielki czworobok z basztami, mury jej z cegły i marmuru otoczone są głęboką i przepaścistą fossą. Pomimo wojskowego charakteru tego miasta przechadzki są dalekie i podobno bardzo ładne. — Ale ja bym się obawiała piratów i bez Tatusia mego najdroższego, nie wytknę nosa poza miasto. — Temperatura, która zniża się do 7° ciepła w północnych częściach kraju, nie schodzi poniżej 10 stopni w okolicach Delty, utworzonej przez rzekę Song-Koi. Podczas całej zimy, która trwa od października do marca, pada drobny deszcz, nazwany przez marynarzy „c r a c h i n". Latem temperatura dochodzi do 40 stopni ale zwykle bywa około 30 stopni. Mój Boże co to będzie za gorąco, aż mi strach myśleć! Tam, dziec zwłaszcza, ogromnie chorują i umierają na febrę z gorąca — abym tylko ja jej nie dostała, jak ta mała córeczka pp. Fleuris, która tam w Tonkinie umarła pod. czas lata. Biedna mała! nieznałam jej wcale, ale jej matka ciągle o niej opowiada i wspomina ją tak często. To musi być okropnem dla matki mieć tak daleko pochowane dziecko i nie módz nawet pomodlić się na jego grobie. Często też gdy idziemy do pani Fleuris, zastajemy ją z zaczerwienionemi od płaczu oczami; chociaż jeszcze ma inne dzieci zdrowe zupełnie.

La Barre pod Paryżem 5. kwietnia.

Już tydzień jak tu jesteśmy; tak nam dobrze pomiędzy swemi, tak się znakomicie bawię z Antolkiem i Stasiem! Bo ciocia Kostunia w swojej dobroci uwolniła Antolka z pensyi, abyśmy ten ostatni czas przed wyjazdem byli razem. Dokazujemy też we trójkę, co się zmieści, bawimy się w najrozmaitsze gry. Antolek ma maszynkę drukarską, więc wydajemy niby to gazetę i opowiadamy w niej o przyjęciu niedzielnem w La Barre, wyliczamy gości, a każdemu dodajemy do nazwiska jaki pochlebny lub ujemny przymiotnik, potem zbiegamy na dół i pokazujemy starszym, więc śmiech z nas ogromny, z dowcipów i z błędów, bo nieraz się zdarzy jakiś błąd stylowy lub gramatyczny. My się bronimy i spędzamy to na omyłki drukarskie, to znowu na niedbalstwo redakcyi — zawsze cało wychodzimy. Tatuś woła: — „Stawić mi tu zecera, trzeba go obić, że po polsku pisać nie umie!" i niby to się zabiera do bicia Antolka, a on udaje, że go boli i krzyczy w niebogłosy, „Mamo, bo mnie wujek zabije, bo mnie zabije!" I tak się bawimy doskonale, że wypowiedzieć nie umiem. Ale czasem Antolek jest też naprawdę niegrzeczny; a niestety i ja się zapominam: kiedy pisałam wczoraj dziennik, to mi się tak sprzeciwiał, że zrobił mi na białej sukience plamę atramentem! tak mnie to rozgniewało — bo to nowa sukienka — że przyskoczyłam do niego z pięściami, na to wszedł Tatuś i Ciocia Kostunia! Tatuś spojrzał na mnie groźnie, bo byłam czerwoną, jak burak, i z taką złością rzuciłam się na Antolka, jak na panienkę wcale nie przystało. Ciocia rozpytała się o wszystko i kazała Antolkowi mnie przeprosić, i bardzo na niego krzyczała, aż mi go się żal zrobiło. Mówiła mu, że jest we własnym domu a nie umie być uprzejmym ani gościnnym, więc nie postępuje jak Polak. Antolek aż się rozpłakał i zaczął mnie ściskać i przepraszać, ja naturalnie także go za szyję schwyciłam, bo go bardzo kocham i ściskaliśmy się tak długo, aż śmiech powrócił.

Ale musiałam długo krążyć koło Ojca, zanim znów był dla mnie takim jak zawsze — tak mu było przykro widzieć mnie w złości — a mnie to jego niezadowolenie tak bolało jak najgorsza kara i tak mi było wstyd mego uniesienia!

W poniedziałek Wujostwo zabrali mnie i Antolka do teatru Chatelet na śliczne przedstawienie: dawali Robinsona Kruzoe. Ach! jak to było pięknie! Okręt wjeżdżał na scenę! Dzieci było co nie miara. Ja to usiedzieć na miejscu nie mogłam, ciągle stałam. A jak wszedł na scenę Piętaszek, to oboje z Antolkiem zapomnieliśmy, że to teatr i że mnóstwo obcych Francuzów, tylko wykrzyknęliśmy, zwracając się do siebie — „Piętaszek!" Wszyscy starsi z lóż na nas spojrzeli i śmieli się, ale ja już o tem nie myślałam, tylko patrzałam na scenę.

Treść sztuki była trochę inna niż powieści w książce. Okręt palił się na scenie, a scena to było morze. Nieprzyjaciele Robinsona, chcąc go zgubić, porzucili go samego na statku który uciekając zapalili. Była noc, ciemno, huczały bałwany. W tem w oknie kajuty ukazuje się Robinson i woła ratunku. Nikt mu naturalnie nie odpowiada bo nikogo już niema na okręcie — biega więc wśród płomieni szukając wyjścia i w chwili gdy po linie, spuszcza się w morze, okręt z łoskotem i trzaskiem się zapada. W drugim akcie Robinson sobie śpi na tapczanie, już w jaskini na swojej wyspie — zasłona z gazy zakrywa go i na scenie przedstawione jest to, co mu się śni. A więc dom jego własny, żona, dzieci, jak się przyspasabiają do nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Najmłodsze z jego dzieci, maleńki aniołek, biegnie w koszulinie przez scenę, i dźwiga ogromny but, aby go wedle francuskiego zwyczaju, po-

łożyć w wigilijny wieczór w kominku, a na drugi dzień znaleść w nim podarki gwiazdkowe. — Nagle wszystko to znika i znów ukazuje się Robinson, biedny opuszczony, samotny, ale pokrzepiony tem, we śnie przynajmniej, widzeniem ukochanych. Ogromnie jest zabawny akt w którym Piętaszek z rozkazu Robinsona gotuje obiad. Wie, że ma być rosół z papugi, ale nie wie co kłaść do garnka, pierze czy mięso? namyśla się i decyduje na pierze. Tak samo gdy trzeba kłaść jarzyny, długo się wacha, aż wreszcie pietruszkę rzuca, a liście gotuje. To było bardzo zabawne, to nam się ogromnie podobało!

Przez całą drogę z powrotem do La Barre ciągleśmy sobie z Antolkiem o tem przedstawieniu rozmawiali, ale potem znów od początku musieliśmy wszystko opowiadać Antoninie i Stasiowi. Podczas całej kolacyi Antonina, przynosząc półmiski z kuchni, dopytywała się o rozmaite szczegóły z przedstawienia np. — Wandeczko, a czy Piętaszek na tyatrze jadł solone mięso?

Zwykle służba nie mięsza się do rozmowy u stołu, ale na obczyźnie poczciwa Antonina uważa się jakby za krewną, bo jest już 11 lat u cioci i wszystkich nas pamięta prawie w pieluszkach, i mówi nam po imieniu. A już najwięcej kocha Stacha, bo się przy niej urodził. My też ją bardzo kochamy, taka dla nas dobra.

Po obiedzie — który w La Barre, dają jak w Polsce w południe, a nie francuską modą aż wieczorem — Antonina chodzi z nami gdzie daleko na łąki, albo do sąsiedniej wsi na „fêtę“, to znaczy na jarmark. Ach jakże to zabawne — taka fêta! Pełno katarynek, aristonów i innej muzyki, karuzeli, teatrzyków dla dzieci, zabawek, piszczałek! Każdy gra na jakimś instrumencie, co sprawia hałas nie do opisania. Przy karuzeli grają walca, na katarynce marsyliankę, chłopcy gwiżdżą „la revue“ — aż uszy pękają! Antolek, jako chłopiec, ogromnie lubi chodzić na te fêty, ja nie tak bardzo, ale na karuzeli lubię jeździć.

Antonina wcale nie chodziła do szkoły, bo podobno za jej młodych lat nie było to jeszcze w zwyczaju, aby lud się uczył, oczywiście więc nie może umieć geografii i dla tego mięsza w okropny sposób zasłyszane nazwiska różnych miejscowości. Tak że raz do mnie mówi:

— Jak Wandeczka pojedzie w te dzikie kraje, do tych Austryaków do Egiptu, to te Araby jeszcze gotowi cię zabić! Takie cygany, to podobno na nic nie baczom tylko zabijają. Jak byłam w Koninie, z naszą Wielmożną, to tam takie pogany raz byli w mieście, a ja taki miałam strach, żeby mnie ino nie oczarowali, żem wcale na ulicę wyjść nie chciała.

Antolek próbuje nieraz Antoninie coś tłómaczyć, ale ona nie zawsze chce wierzyć, a częściej jeszcze wszystko pomyli. Ale przecież zawsze już teraz o wielu rzeczach ma wyobrażenie, nie tak jak wprzódy. Raz nawet robiła Cioci Kostuni gorżkie wyrzuty, że nie pozwala jej pojechać obejrzeć wystawy! Mimo tych dziwactw my ją wszyscy bardzo kochamy, bo zacny ma charakter. Myślę sobie nieraz o naszym Filipie, co tam robi bez nas. Jak odprowadzał nas na kolej w Cherbourgu, to łzy miał w oczach i mówił: — Et ben! Monsieur, Madame et Mademoiselle, bon voyage! — Przed Tatusiem stanął frontem, po żołniersku, ale do Mamusi schylił się i pocałował w rękę; choć tego nigdy nie robił, bo to u Francuzów nie w zwyczaju, więc mu to nie poszło zgrabnie, ale znać ile w tem było uczucia. Mnie pocałował! nie było mi to wcale przyjemnie, ale on był sam tą swoją śmiałością tak zmięszany, że nie mogłam mu tego brać za złe; zawsze to świadczy, że się do mnie także przywiązał, lepiej, że mnie pocałował, niż gdyby mnie nie miał wcale żałować. (Ciąg dalszy nastąpi).

Serce matczyne.

Po latach wielu, w domowe progi,
Wraca wędrowiec z dalekiej drogi;
Włos posiwiały, twarz opalona —
Czyliż go pozna rodzinna strona?

Wchodzi w miasteczko — tuż na granicy
U bram rogatki stoją celnicy;
Więc ów wędrowiec na chwilę staje,
Bo przyjaciela wśród nich poznaje.

Z nim tutaj niegdyś spędził wiek młody,
Wśród uciech wielu, pośród swobody,
Lecz go przyjaciel nie poznał wcale,
Więc odszedł, w sercu swem tłumiąc żale.

Tam dom rodzinny — w okienku krata —
Siostra z podróży wygląda brata —
On z serca biciem przed oknem staje:
Lecz siostra brata w nim nie poznaje.

Więc ból go nagły w serce uderzy
I łza po licu za łzą mu bieży —
W tem patrzy: matka idzie z kościoła:
— Więc „Pochwalony!“ — wędrowiec woła.

Na dźwięk ten głosu matka jedyna
Z łkaniem do piersi przypadła syna;
Choć włos mu zsiwiał, twarz ogorzała,
Matka go sercem przecież poznała.

Ignacy Nowicki.

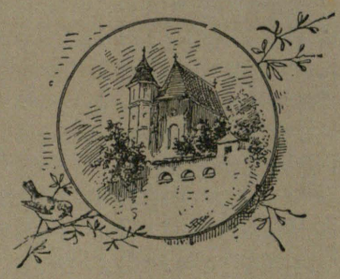

Tadeusz Kościuszko

umarł dnia 15. października 1817.

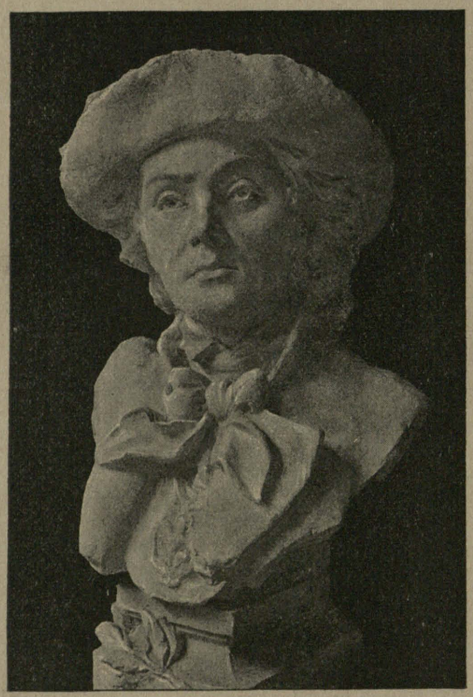

„Kościuszko“ podług rzeźby Barącza.

Dolina Ojcowska.

Odkąd koleje tak ułatwiły ludziom dalekie podróże, wielu, którzy dawniej nic znać nie mogli prócz własnego zagonu, dziś jeździ po szerokim świecie, ogląda dziwy i cuda obcej przyrody, poznaje zagraniczne dzieła sztuki i wydaje na te podróże dużo pieniędzy, które zbogacają cudzoziemców.

Przyjemne wprawdzie być mogą i kształcące takie zwiedzania obcych krajów, ale przecież nim się wyjedzie gdzieś za granicę, warto wpierw zastanowić się, czy się już we własnym kraju zna wszystkie piękności, które obcym nie ustępują, i owszem nieraz przewyższają je nawet — inaczej bowiem, mógłby nam ktoś powiedzieć z poetą:

„Cudze chwalicie,
„Swego nie znacie —
„Sami nie wiecie
„Co posiadacie!

Do takich piękności naszej ziemi, które Polakowi znać należy, i do ciekawych dla uczonego zjawisk przyrody, należy niezaprzeczenie dolina Ojcowa.

Rozciąga się ona na północ od Krakowa a stanowi ją jar rzeczki Prądnika. Dostać się do niej z Krakowa bardzo łatwo, czy to powozem czy pieszo — czy, jak to teraz najbardziej używane, bicyklem — wybornie się więc nadaje do wycieczek wakacyjnych; pamiętać tylko potrzeba, że wskutek nieszczęśliwego położenia naszego, i rozćwiartowania kraju, Polak nie może dziś swobodnie przejeżdżać się po swojej ziemi, trzeba więc do tej wycieczki zaopatrzyć się w tak zwaną „przepustkę“ przez granicę albo w formalny paszport, bowiem Ojców leży już za kordonem rossyjskim. Jedzie się na komorę Szyce albo na Michałowice, skąd wspaniały widok na Kraków.

Nazwa Ojcowa już sama w sobie jest dla nas pamiątką historyczną, brzmieniem swojem budzącą jakąś otuchę, tak bowiem nazwał tę dolinę Kazimierz Wielki, dla pamięci ojca swego Władysława Łokietka, który tu, wygnańcem będąc, błąkał się i ukrywał w dzikich pieczarach, a pierś wiernego ludu była mu tarczą — aż w końcu, tułacz bezdomny, dźwignął Ojczyznę z rozbicia i upadku i położył podstawę jej potęgi i świetności na długie wieki.

Wspaniały zamek, który król Kazimierz wybudował i nazwał Ojcowem, wznosił się w najpiękniejszej części doliny, tam gdzie się ona nagle rozszerza na skalistym brzegu jaru Prądnika. Z zamku tego pozostała już dziś tylko jedna, wysoka, z ciosu wzniesiona, sześcioboczna wieża. Jar cały otoczony jest malowniczemi skałami i wzgórzami poszytemi lasem lub kwiecistą łąką. Niektóre ze skał mają kształty fantastyczne j. np. skała znana ogólnie pod nazwą „maczugi Herkulesa“ którą przedstawia wam nasza dzisiejsza rycina.

W pobliżu ruin Ojcowa, we wsi Pieskowa Skała, wznoszą się lepiej zachowane ruiny drugiego zamku, będącego niegdyś własnością możnej rodziny Szafrańców. W siedmnastym wieku zamek ten zburzyli Szwedzi, ale odbudował go znów i przyozdobił w połowie XVIII. wieku Jan Wielkopolski. — Mury te gościły po raz ostatni własnego króla, gdy Stanisław August w roku 1777 zjechał tu z Krakowa, i odbył konno wycieczkę do położonej o ćwierć mili od zamku pieczary, w której niegdyś miał się ukrywać Łokietek. Jaskinia zwykle ciemna i okopcona od łuczywa, którem sobie przyświecają przewodnicy, była tym razem rzęsiście oświetlona; w środku jej wznosiła się tryumfalna brama z cyfrą królewską a po za nią ukryta kapela zagrała hucznie na powitanie monarchy zwiedzającego ciekawie ślady tułactwa innego króla — który kładł podwaliny tronu co się pod jego rządami miał rozsypać...

Owe pieczary i groty podziemne stanowią największą właśnie ciekawość pięknej doliny ojcowskiej.

Na przestrzeni około dwóch mil, ciągną się nad rzeczką Prądnikiem skały, natury wapiennej, po większej części nakryte ziemią rodzajną, na której bujnie wznoszą się buki, dęby, a szczególniej też jodły. Kopytnik, powoje i inne pnące rośliny rozwieszają swe wieńce na ich szczytach, a ich boki wyścielają rozliczne mchy lub — te najniższe w szczeblowaniu roślinności, bo niewidzialne gołem okiem — porosty: Dopiero za potarciem nagiej już jak nam się wydawało, skały, widząc że ona zielenieje, domyślamy się, że tu żył porost. Ścieramy go starannie, i zdaje nam się, żośmy nareszcie się dostali do martwego kamienia. Ale i ten głaz, dziś martwy, z życia innych istot powstał. Skały

wapienne tej formacyi, są podobnie jak kredowe, wytworem drobnych żyjątek, które przed tysiącami lat, na dnie morza budowały rafy, osadzając, pokolenie na pokoleniu, miliony mikroskopijnych powłok wapiennych w których żyły.

Z biegiem wieków dźwignięte z głębi, wskutek przemian i wstrząśnień wewnętrznych — jakim ulegała ostygła skorupa żarzącej się jeszcze wciąż w środku ziemi — utworzyły one na jej powierzchni pasma wzgórzy i gór, które z czasem pokryły się ziemią rodzajną i roślinnością.

Skały tak powstałe są bardzo porowate, wilgoć łatwo w nie wsiąka a woda wypłukuje z nich części większe, łatwiej rozpuszczalne. Tym sposobem powstają w nich często próżnie, które gdy są mniejsze, stanowią wydrążenia i szczeliny, gdy większe, jaskinie. Takich jaskiń różnej rozciągłości, dość liczny jest poczet w naszym kraju, szczególniej zwłaszcza w skałach całego pogórza krakowskiego. Najpiękniejsze zaś i największe z tych wszystkich jaskiń są właśnie pieczary w Ojcowie.

Lud okoliczny nazywa je zwykle jamami a wejście do nich tak jest wśród skał i drzew ukryte, że nie zwraca od razu uwagi i nie zapowiada niczem tych dziwów i piękności, jakie w ich wnętrzu oko patrzącego uderzą. Jedna z tych pieczar zowie się „ciemną“, a druga „królewską“.

Do „ciemnej“ idzie się na wysoką górę, u szczytu najeżoną skałami, między któremi zielenią się drzewa różnego gatunku. Trudnoby było nieświadomemu drogi znaleść samemu wejście do groty, które jest tak niskiem, że zaledwo dobrze się schyliwszy wejść można. Wchodzącego ogarnia zrazu ciemność nieprzenikniona, ale przewodnicy zapalają naraz pęki łuczywa i wtedy, nagle wśród jaskrawego płomienia i kłębów dymu odsłania się przestrzeń tajemnicza, ogromna, niby wnętrze jakiegoś kościoła z majaczącemi na wszystkie strony blademi widmami kolumn, które zdają się podtrzymywać wysokie, skaliste sklepienie.

Te kolumny najrozmaitszych, najoryginalniejszych a zawszę pięknych kształtów, to stalaktyty i stalagmity, czyli nacieki skalne. Powstają one w ten sposób, że woda z powierzchni ziemi wsiąkając wciąż w porowatą skałę, rozpuszcza w sobie niektóre cząstki wapienia i przesącza się kroplami aż do sklepienia jaskini. Tu wysychając sama, czyli wyparowując powoli, zostawia po sobie osad tych cząstek mineralnych które niosła. Kropla spływa za kroplą i każda osadza swój ładunek części stałych na osadzie pozostawionym już przez poprzedniczkę — aż z czasem powstają z tego, zawieszone u sklepienia stężałe sople wapienne, fantastycznością kształtów swoich podobne do tych sopli lodowych, co nieraz wiszą z dachu w czasie zimy. Sople te grubieją i wydłużają się nieraz aż do ziemi i te to właśnie nacieki wiszące u sklepienia zowią się stalaktytami.

Często także krople zbyt ciężkie spadają, niosąc z sobą swój osad wapienny i składają go na dnie jaskini, tężejąc jedna na drugiej. W miejscu na które nieustannie ze sklepienia tak kapie rozpuszczony wapień, wyrasta wnet naciek ku górze, i te znów jakby sople wyrastające z dna pieczary zwane są „stalagmitami“. — Rosnące wciąż naprzeciwko siebie stalaktyt ze stalagmitem, często się w końcu zetkną i połączą, tworząc tym sposobem niby dziwaczną, różnie pokręconą kolumnę, podtrzymującą sklepienie.

Taki właśnie oryginalny widok, niby lasu tych białych fantastycznych nacieków przedstawia wnętrze

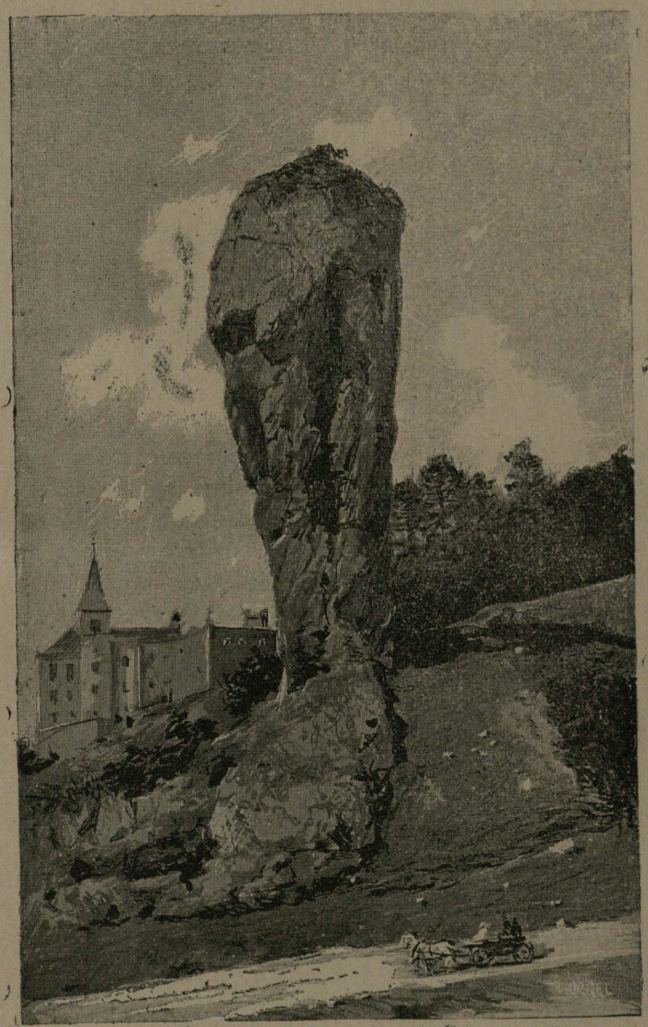

Skała w Ojcowie zwana „Maczugą Herkulesa“.

groty „ciemnej“ w Ojcowie. Stąd jest już niedaleko do drugiej, większej jeszcze pieczary „królewskiej“ — tej w której to właściwie miał się ukrywać Łokietek. Idzie się do niej lasem, a potem przez wąski kurytarz skalny między dwoma ścianami, z którego wchodzi się jakby do sali na stokilkadziesiąt łokci długiej, ciemnej i znowu oświecanej tylko łuczywem przewodników. Oj! prawda że mógł się tu łatwo król ukrywać, bo mnóstwo tu zakątków, zakamarków, wgłębień, w których zgubić się łatwo a i mrok sprzyja ukryciu, bo taką przestrzeń odrazu oświecić trudno. Jaskinia ta dzieli

Lwowie. Adres zmieniliśmy — zatem przestałeś już być naszym sąsiadem? — Marya M. w Rohatynie. Czy doszła Cię karta naszej Administracyi pisana w sierpniu — we względzie prenumeraty? — Adzio Ż. w Rzeszowie. Wylosowałeś nagrodę — donieś których tomików naszej biblioteczki Ci brakuje. — Hela Z. w Krakowie. I Tobie los przynosi miłą niespodziankę. — Stach S. w Krakowie. Nie los już nawet ale zasługa, bo Twoje wypracowanie na konkurs historyczny najlepsze — ale nie spodziewaliśmy się mniej po naszym Zawiszy. — Zosia i Hela Sz. we Lwowie. Druga redaktorka żałuje, że nie widziała jak urosłyście przez wakacye. — Sukienka i staniczek bardzo dobrze uszyte — sprawozdanie z tego konkursu jeszcze nie w tym numerze, bo Czytelniczki jeszcze do samego 20-go nadsyłają roboty. Składkę Heli wymienimy. Łamigłówka przysłana podczas wakacyi bardzo dobrze ułożona — damy ją gdy tylko miejsce się znajdzie. — Bolesław Cz. w Krakowie. I owszem! radzi będziemy Cię poznać.

Maryla, Lisia i Milka W. we Lwowie. I Wasze praktycznie pomyślane i ślicznie wykonane roboty nie były wcale spóźnione. — Cały transport doskonale ułożonych łamigłówek doszedł nas i na długo zasilił naszą tekę redakcyjną, ale mamy jeszcze w zapasie i łamigłówki innych Czytelników. Co do opuszczenia Waszych imion, być może, że zaszła omyłka. „Dzienniczek Wandzi“ jest zupełnie „prawdziwym“ dzienniczkiem, tylko przez Ciocię tej panienki poprawionym — wszystko to działo się w istocie w tym roku, tak jak daty wskazują. „Wieku Młodego“ Wandzia teraz odbierać nie może, bo jeszcze jest w Azyi i często zmienia miejsce pobytu — powróci dopiero po dwóch latach, gdy się skończy missya jej ojca. Ale „ciocia Tola“ tymczasem „Wiek“ dla niej składa, więc i list od Ciebie lub ułożona dla Wandzi zagadka mogłyby ją, tą drogą, choć spóźnione, dojść za naszem pośrednictwem. — Fela S. we Lwowie. „Skrzydlaty Listonosz“ którego przypadkowo nie było w redakcyi w czasie Twojej wizyty, spieszy co rychlej za Tobą aby Ci się przedstawić i ofiarować Ci swoje służby — bardzo bowiem rad znajomości z panienką, która tak pilnie pracowała dla biednych dzieci. Łamigłówki będziemy się starali umieścić o ile się da najprędzej.

Trafne rozwiązania z Nr. 19. nadesłali: Stanisław Dobrucki, Henryk Żuławski, Marcia Durska, Kazia Maliszówna, Marya Czausówna, Antoś Reiner, Zonia Dorniakowska, Zosia Kyszyńska, Moryś Flippner, Bolesław Czajkowski, Hela Zalutyńska, Stach Stanek, Staś Zarewicz, Zosia i Mania Gwoździckie, Mania Krauze, Anna Zawiejska, Arnold Zott, Jaś Woźniak, Henryk Ruebenbauer, Jadziula Kawska, Lesio i Jaś Gałeccy, Maryla Górzyńska, Tadziuś Gulajewicz, Tadzio Rybicki, Helenka Winnicka, Jania Dłuska, Kazio Chudzik, Kazio Materni, Romana Wolińska, Henryk i Maryla Mildenhawer, Julek Beerman, Władzio Borawski i Jan i Feliks Bolmerowie.

Do nagrody wylosowani: Hela Zalutyńska, Adzio Żelewski i Maryla Górzyńska.

Rozstrzygnięcie konkursu na wypracowanie historyczne: Ogółem przysłano nam 45 wypracowań. Nagrodę otrzymali: Stach Stanek, Kazia Maliszówna i Lesio i Jaś Gałeccy. — Na chlubne wyszczególnienie zasługują jeszcze z powodu długości i staranności opracowania: Roman Pollak i Anulka Sołtysikówna. — Wszystkie pozostałe wypracowania były zupełnie trafnem objaśnieniem obrazka. — Przed świętami ogłosimy jeszcze jeden konkurs.

Ogłoszenie II-go konkursu szycia odzieży na drzewko dla „biednych dzieci“.

Na tych samych co poprzednio warunkach, ogłaszamy drugi konkurs szycia dla „biednych dzieci“ w terminie od 20-go października do 10-go grudnia.

Sprawozdanie z I-go konkursu podamy dopiero w następnym numerze — wiele bowiem z Czytelniczek, które nam już zapowiedziały swoje roboty, dotąd ich nie nadesłały, na I. konkurs przyjmujemy je jeszcze do 20-go października. Zachęcamy i zapraszamy wszystkie nasze Przyjaciółki — nawet te które dotąd jeszcze się nie zebrały na zaczęcie żadnej roboty — aby tem gorliwiej wzięły się, do dzieła i każda choć niewielką pracą rąk swoich, przyczyniła się do wspólnego dobrego uczynku! „Drzewko Wieku Młodego“ ma już swoją tradycyę: niechże najbiedniejsze dziecięta wyglądające go już dziś z upragnieniem, nie doznają zawodu!

Rozwiązanie zagadek z 19-go numeru:
Szarada: padalec. — Łamigłówka: Duchińska.

Ciekawę zagadnienię rachunkowe.

Dwie straganiarki, Janowa i Marcinowa, miały każda po 30 jabłek na sprzedaż. Marcinowa postanowiła sobie sprzedawać po dwa jabłka za centa, czyli, wziąć za wszystkie swoje jabłka centów **15**. Janowa poprzestając na mniejszem zarobku, oddawała swoje jabłka po trzy za centa, czyli za wszystkie układała sobie wziąć **10** centów. Obie razem byłyby więc utargowały **25** ct. Tymczasem przed zaczęciem sprzedaży odwołano Marcinowę do chorego dziecka; odchodząc prosiła więc Janowej aby ją wyręczyła i sprzedała za nią jej jabłka za 15 cnt. Janowa, chcąc sobie sprzedaż ułatwić, zmięszała jabłka i sprzedawała po **5** jabłek za **2** centy — pewna, iż to przecież tak samo jakby sprzedawała osobno 3 jabłka za centa i 2 jabłka za centa. Okazało się jednak, że w końcu wzięła tym sposobem za **60** jabłek, tylko **24** centy.

Pytanie, gdzież się więc podział 1 cent?

Stanisław K.

Łamigłówka zgłoskowa

O — zyu — ra — róg — bro — do — as — so — na — a — do — no — ca — kiu — nyk — ker — ti — mil.

1. Miasto w Galicyi. 2. Miasto we Włoszech, w prowincyi Marchie. 3. Poeta polski. 4. Jedna z wysp japońskich. 5. Król barbarzyńców. 6. Ptak.

Pierwsze i końcowe litery, czytane z góry na dół, dadzą imiona dwóch prawodawców greckich.

Lisia i Maryla Winiarzówny.

Przypominamy uregulowanie przedpłaty!

TREŚĆ: Dzienniczek Wandzi. (Ciąg dalszy). — Serce matczyne. — Tadeusz Kościuszko. — Dolina Ojcowska. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. Ciąg dalszy. — Skrzydlaty Listonosz. — Łamigłówki. — Rozwiązania. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 21. We Lwowie, dnia 1. Listopada 1900. Rok VII.

WIEK MŁODY

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.



„W dzień Zaduszny, na cmentarzu“.

Nie żałuj!

Nie żałuj, nie, białego kwiatka wiosny,
Co krótko trwa, a takim czarem tchnie;
Wszak on za rok zakwitnie znów, radosny,
Gdy wróci maj! Nie żałuj go więc, nie.

Nie żałuj, nie, minionych chwil młodości,
Choć w zmarszczkach twarz, a włos pokrywa szron,
Prysł życia czar i blisko próg wieczności,
A każdy dzień przyspiesza tylko zgon.

Nie żałuj nie! Tyś kwiatem też na ziemi,
I jak ten kwiat zakwitniesz z nową wiosną,
Zakwitniesz, lecz barwami cudniejszemi
U Bożych stóp, gdzie takie kwiaty rosną!...

Mar. Win.

Dzienniczek Wandzi.

Część I.

(Ciąg dalszy).

Marsylia 28. kwietnia 1900.

Jestem bardzo zmęczoną. Po całodziennej podróży stanęliśmy nareszcie w Marsylii i co mnie tu przedewszystkiem zaraz na wstępie uderzyło, to wiatr szalony, który o mało nie przewrócił omnibusiku, wiozącego nas do hotelu de Rome et de St. Pierre. Marsylijczycy najspokojniej twierdzili, że to tylko zwykły „*mistral*“, który trwa trzy dni, idzie z morza, poczem znów w morze zapada i cisza. Może to sobie być „zwykłe“ ale że przyjemne nie jest, to z pewnością.

Ojcuszek mówi, że Marsylia jest typem ogromnego portowego miasta, z powodu niezmiernego ruchu jaki tu ciągle panuje. Ludzi tak pełno na ulicach, że z początku myślałam, iż to jakieś nagłe zbiegowisko spowodowane wypadkiem — ale nie! to ciągle i o każdej porze, ludzie biegną ku portowi. Mijają się wozy ładowne, omnibusy, dorożki. Mało powozów, mało osób eleganckich, tylko tłok, ścisk spieszących się za interesami, wre życie handlowe, podniecone i ubarwione swobodą usposobienia południowych Francuzów.

Idziemy razem z tym tłumem przez najszerszą, najludniejszą ulicę Cannebière zwaną, z której Marsylijczycy bardzo są dumni, twierdząc łaskawie, że „gdyby Paryż miał swoją Cannebière, to byłby małą Marsylią!“ Pomiędzy Paryżem a Marsylią istnieje zawsze rywalizacya o piękność miasta. Ktoś powtarzał Tatusiowi, że gdy raz chcąc pochlebić Francuzowi z południa, powiedział iż Cannebière jest równie wspaniałą jak bulewary paryskie, ów, obrażony, odrzekł: „Czyż pan morza już za nic nie liczy?“ W istocie, na końcu tej Cannebière ukazuje się zdziwionym oczom, szafir Śródziemnego morza a na nim las masztów i różnego koloru, szerokie kominy parowców. Słychać gwizd syren i nawoływania majtków w różnych językach.

Mamusia z Ciocią — (bowiem oboje wujostwo Ludwikowie odprowadzili nas aż tu, do Marsylii) zostały jeszcze w mieście, a ja z Tatusiem powróciłam do hotelu i piszę sobie dzienniczek, bo jeszcze zupełnie jasno na dworze. Będzie to dla mnie miłą rozrywką, podczas tej dalekiej podróży, opisywać moje wrażenia i przygody, nie będzie mi się nudzić, a potem będę miała pamiątkę na całe życie. Muszę sobie na tę podróż wynajdywać jakieś zajęcia, bo do zapełnienia chwil wolnych będzie mi bardzo brakowało polskich książek do czytania, a także i mojego pisemka!

Trzymała mi Mamusia w Paryżu „Wiek Młody“ wychodzący we Lwowie. Zabierałam zawsze ostatni numer z sobą do La Barre, gdy jeździliśmy tam na niedzielę, dla Antolka i Stacha. Za każdym razem, gdy stamtąd wyjeżdżałam wieczorem, Ciocia mi mówiła: „Moje dziecko, a pamiętaj i na przyszły raz przywieść z sobą „swój organ!“ Zaś rano, gdy z domu wyjeżdżałam do La Barre, sam Ojcuszek mi przypominał: „Wanduś, a zabrałaś z sobą przynętę na nieoswojone ptaki?“ tak bowiem zawsze nazywał Antolka i Stacha, z powodu ich żywości.

Mój Boże! teraz to już wszystko po za nami... i Paryż i La Barre, gdzie tyle niedziel mile i wesoło nam przeszło, i Cherbourg, gdzie mieszkaliśmy półtora roku, a gdzie koniec końcem było nam dobrze, bo i do miejsca się przywiązaliśmy i z ludźmi zżyliśmy się dobrymi, jak pp. Stiglitz, co teraz już są tam, w Tonkinie w Hanoï i wyczekują naszego przyjazdu jak zbawienia, bo bardzo się z nami zaprzyjaźnili. A i nam milej gdy pomyślimy, iż przecież spotkamy tam nie tylko znajome ale i przyjazne dusze.

Wszystko, wszystko po za nami! Kiedyż znów zobaczę swoich? Kiedy powrócę by uściskać Ciocię Kostunię, która zawsze dla mnie była tak dobrą i kochaną? A Antolek, a Stach, staną się już chyba przez ten czas „oswojonymi ptakami“ i już nie będziemy dokazywać!. Bardzo mi smutno opuszczać Francyę, bo to jakby moja druga ojczyzna. Mogłabym z Maryą Stuart, nieszczęśliwą królową szkocką powiedzieć.

„Adieu, charmant pays de France
„Que je dois tant chérir!
Berceau de mon heureuse enfance,
„Adieu! te quitter c'est mourir*).

Jutro pójdziemy wszyscy do spowiedzi, prosić Boga o błogosławieństwo na podróż. Mama kupi mały srebrny okręcik i zawiesi pomiędzy tylu innemi wotami w kościele Notre Dame de la Garde („Matki Boskiej wszelkiej obrony“), stojącym na wysobiej skale tuż nad brzegiem morza. Na samym szczycie wznosi się Ma-

*) „Żegnaj, śliczny Francyi kraju — który tak kochać powinnam! Kolebko mego szczęsnego dzieciństwa Żegnaj! — rzucać cię, równa się śmierci!“

donna złota, świeci jak gwiazda, prawdziwa „Gwiazda Morza!“ Z odległości ogromnej Ją pierwszą widzą statki wpływające do portu, i Ją długo jeszcze widzą, odjeżdżając, żeglarze. Zdaje się Ona błogosławić podróżnych na daleką drogę.

Już dziś więcej pisać nie będę. Niedługo powróci Mama z Ciocią z miasta i pójdziemy na kolacyę. A muszę się jeszcze przygotować do jutrzejszej spowiedzi. Chciałabym nie tylko uprosić szczęśliwą podróż, ale także dostąpić łaski i pomocy Boga w pozbyciu się niektórych moich wad, a mianowicie gwałtowności. O, bo ja jestem bardzo gwałtowną. Jak mi co po myśli nie idzie, zaraz wpadam w złość. A to przecież grzech wielki a także i bardzo brzydko, zwłaszcza dla panienki, która, jak Mamusia mówi, powinna być aniołem łagodności i cierpliwości. To też muszę się poprawić! szczęście że jestem jeszcze mała i mam czas przed sobą. Będę się modliła do tej Matki Boskiej wszelkiej obrony tej „Gwiazdy Morza“ której złoty wizerunek mam przed oczyma, ale w myśli wystawię sobie, że to nie Madonna Marsylijska, ale ta nasza, biedna Częstochowska, z dwoma kresami na ciemnej swej twarzy! Ona dzieliła z naszą biedną ziemią tyle smutków i ucisków, że też pewno najlepiej nas rozumie, gdy nam nie wesoło!.. Mamusia by się może gniewała, czytając to co piszę? i powiedziałaby mi, że Matka Boska jest wszędzie ta sama i jednaka! Ja to wiem przecież i pojmuję — a jednak w cichości serca przyznać się muszę, że Ją najwięcej kocham jako naszą Częstochowską i że gdy się modlę, zawsze mi w oczach staje w postaci takiej jak na tym wizerunku i taka wydaje mi się jakby bliższą nam, droższą. Przecież to my daliśmy Jej tytuł, jak żaden inny naród, tytuł „Królowej Polski i Litwy!“ Więc możemy Ją chyba uważać za jakąś szczególnie naszą własną! — Ale może ja nie powinnam wypisywać takich rzeczy?.. Słyszę kroki na schodach i rozmowę polską, powraca Mamusia z Ciocią. Zamykam dziennik i będę się starała być bardzo rozsądną i łagodną.

Marsylia, 29. kwietnia 1900.

Bardzo wcześnie byliśmy już dziś na nogach, aby bez trudu dostać się spowiedzi. Ale przystępowałyśmy do niej tylko we trzy, t. j. Mamusia, Ciocia i ja. Z tego powodu miałam długą rozmowę z Mamą, którą tu powtórzę. Wieczorem, skończywszy z Mamusią zwykły przed spowiedzią rachunek sumienia, zapytałam się jej nieśmiało: „Mamusiu, a Ojcuszek pójdzie z nami?“ — Mamusia cokolwiek posmutniała i odpowiedziała mi. „Nie moje dziecko“. Wtedy ja chwyciłam ją za szyję i powiedziałam: „Matuchno droga, ja już przecież jestem dosyć rozsądna i tak kocham Tatusia, powiedz mi powiedz, dla czego? Przecież Ojcuszek nasz nie jest taki niedowiarek jak p. kapitan La Croix, przecież do kościoła chodzi, a nawet słyszałam jak się oburzał na kapitana La Croix, więc czemu Tatuś nie idzie nigdy z nami razem do spowiedzi?

— Moja droga córko, odpowiedziała mi Mama, przedewszystkiem pamiętaj, że ty jako dziecko nie masz żadnego prawa wchodzić w sumienie swojego Tatusia i dochodzić dlaczego on to robi lub tamtego nie czyni.

Ale zresztą, ponieważ widzę, że tylko z bardzo wielkiej miłości dla Ojca mogłaś mi zadać takie pytanie, więc ci, jakby już zupełnie starszej, aby cię uspokoić, odpowiem, że Bóg rozmaitemi drogami prowadzi dusze do siebie. A więc się nie martw tylko się módl wytrwale i bądź pewna, że przyjdzie kiedyś błogosławiona chwila, która nas wszystkich razem zjednoczy u Stołu Pańskiego. Nie raz dziwiłaś mi się, że poszczę co środę, i zapytywałaś mię o powód, dla czego tak postępuję. Odpowiadałam ci ni to ni owo, ale teraz ci powiem: modlę się do św. Józefa z prośbą o.... ty mnie rozumiesz, nie prawdaż?

Nagle zrobiło mi się jasno w głowie. „Mamusiu, Mamusiu“, zawołałam cichutko, „ja, która tak szalenie Tatusia kocham, ja także chcę na jego intencyę co zrobić“.

— I owszem odpowiedziała mi Mamusia, tego ci zabronić nie mogę.

Na tem skończyła się nasza rozmowa, ale długo usnąć nie mogłam i modliłam się bardzo gorąco, robiąc różne postanowienia. Przy Komunii św. tak się gorąco modliłam za Tatusia, że teraz ani nie wątpię, że mnie Pan Bóg wysłucha.

W kościele tutaj zauważyłam pewną różnicę z kościołami paryskimi: Nie ma tu krzeseł ustawionych jak tam, w regularne rzędy, tylko gdzieniegdzie stoją po kątach, a ludzie klękają gdzie chcą, jak u nas w Polsce. (Ciąg dalszy nastąpi).

JADWIGA.

Wschodzi Polsce jutrzenka: czarnooka Panienka
Jak ptaszyna wesoła, szczęśliwa,
A tak świeża i młoda jak wiosenna pogoda,
Król-dzieweczka z za Karpat przybywa.

Czegóż tobie brak, czego — chyba mleka ptasiego —
Ty wielbiona, słuchana, kochana?
Masz tron, młodość i wdzięki, a na palcu twej ręki
Świeci pierścień lubego młodziana.

Ej, dzieweczko nieboże! tak być w życiu nie może,
Aby ciągle się przędła nić złota;
Dziś cię wszystko weseli — jutro z twojej kądzieli
Czarną nitkę niedola wymota....

Z bliska szczęście już miga, już królowa Jadwiga
Ma się złączyć z Wilhelmem na wieki —
Już w Krakowie pan młody, wnet rozpoczną się gody...
W tem grom pada z krainy dalekiej:

Nadniemeńskich puszcz książe z Polską losy swe wiąże
W wieczny sojusz, na wspólną obronę,
Bogi rzucić chce stare, Litwie świętą dać wiarę
Ale żąda — Jadwigi za żonę!

Radnych panów wnet grono, przed królową strwożoną
Siwe brody pochyli do kolan:
„Oddal Rakuszanina! przyjmij swaty Litwina,
„W drobnej dłoni twej — przyszły los Polan!“

Krew zawrzała w Jadwidze: „Barbarzyńcą się brzydzę
A Wilhelma miłuję!“ — zawoła;
I do matki szle posły, by jej radę przyniosły
Jak najsnadniej wymówić się zdoła.

A matka jej odpowie: „Czyń, jak czynią królowie:
„Czyliż miłość w największej im cenie?
„Cóż ja radzić ci mogę? obowiązku znasz drogę —
„Niech doradcą twym będzie sumienie!“

Więc gdzieindziej uderza: pisze list do Papieża;
On wierności potępiać nie będzie!
Ojciec Święty odrzecze: „Niczem szczęście człowiecze
Gdzie zbawienie milionów na względzie!“

Więc może jęk rozpaczy zmiękczy starych brodaczy?
Wszak i oni kochali za młodu...
Lecz zebrana jej rada jednogłośnie powiada:
„Czyń jak matka — tyś matką narodu!“

Wtedy pod krzyż, spłakana, idzie ugiąć kolana,
W niebie szuka ostatniej porady:
I szepnie jej głos z Krzyża: „Ten się do mnie przybliża
Kto krzyż weźmie, by w moje iść ślady“.

Dziewa z kolan powstała, sercu milczeć kazała,
Rozjaśniła spłakane oblicze,
Bo pojęła, że więcej znaczy dobro tysięcy,
Niż najmilsze marzenia dziewicze.

* * *

Gdzie kraj, coby miał dzieje, w których tyle jaśnieje
Cudnie pięknych niewieścich postaci?
Pełen każdy nasz kątek cnych ojcowskich pamiątek,
Lecz po matkach my także bogaci.
Śliczny wianku dziejowy, kalinowy, liliowy,
Z naszych niewiast uwity pamięci!
W twoją krasę, woń twoją, niech się córy ustroją,
Niech je ona podniesie, uświęci!
W tobie leży potęga, która nieba dosięga
By je ściągnąć na ziemię, na czarną —
A ojczysta ta niwa, taka żyzna, poczciwa
Że się dobre rozplenia w niej ziarno.
Z żyta żyto wyrasta: jaka dawna niewiasta
Taką winna być dziś kość z jej kości.
O! niechże ją zachowa Częstochowska Królowa
W cnych prababek wierze i miłości!

Julia Terpiłowska.

Złoty posiew.

Drzwi za gościem zamknęły się — państwo Rodowscy pozostali sami — twarze ich były blade i nieme, jak te cztery bielone ściany niewielkiej bawialni, wśród których przeżyli tyle chwil rzewnych i radosnych — aż teraz...

Nie mogli mówić, nie mogli nawet patrzeć na siebie — tyle bolu mieli w oczach, że nie chcieli go sobie wzajem rzucać na serce. Pani Rodowska pochyliła siwą, trzęsącą się już nieco głowę nad szydelkową robotą, którą czynne jej ręce zajmowały się w rzadkich chwilach wypoczynku od gospodarskiej krzątaniny. Mąż, choć starszy od niej wiekiem ale bardziej jeszcze krzepki i wyprostowany jak struna, zaczął chodzić po pokoju krokiem równym, długim, krokiem przypominającym szybkie żołnierskie marsze, do których niegdyś grała mu nad uchem trąbka bojowa i grały w piersi szalone porywy odwagi i nadziei.

Dziś i wkoło niego i w jego własnej duszy panowała głucha, rozpaczna cisza.

Na świecie była jesień — złota polska jesień, co rankami otula się w mgły srebrzyste, aby o południu wychylić się z nich strojna w purpurę i blaski i cudnem, uśmiechniętem obliczem wrazić się w serca ludzkie przed długą rozłąką.

Klony i kasztany, otaczające w krąg dziedzinie c rodowskiego dworu, stały ciche i złote w błękitnem powietrzu, co raz to opuszczając na szarą drogę u swych stóp liść uwiędły, który osiadał na niej jak barwny motyl. Trawnik nie tknięty jeszcze jesiennemi słotami, zachował dotąd swoją dojrzałą, przepyszną zieloność — tu i owdzie tylko snuły się po nim cieniutkie przędze pajęczyny, migające kroplami nieobeschłej jeszcze rosy, niby okruchami tęczy.

Ale im piękniejszy widok przedstawiał się z okien na świat Boży, tem usilniej państwo Rodowscy odwracali od niego oczy, bo dla nich w każdym promieniu słońca padającym na tę ziemię, był już tylko ból krwawy, rozdzierający, jakim przenika nam piersi uśmiech istoty bardzo drogiej a którą mamy utracić na zawsze.

I to jeszcze w taki sposób!... Utracić, żeby oddać w takie ręce....

— Babciu! — zawołał ośmioletni Boguś, wpadając do pokoju — Michał powiada, że dziś popołudniu będzie obrywał sztetyny — i że tak ich jest dużo, tak dużo, jak jeszcze nigdy nie było! do samej Wielkanocy wystarczą.

Dziadostwo spojrzeli na wnuka — coś ich ostrzej jeszcze zakłuło w sercu, ale opanowując swój smutek odśmiechnęli się dziecku, które nie widziało i nie przeczuwało chmur zawieszonych nad rodzinną strzechą.

— Dobrze Bogusiu, dobrze — idź do Michała pobaw się trochę koło niego.

— A lekcya kiedy będzie?

— Lekcya... potem.

Chłopczynę uderzył niezwykły dźwięk głosu babki — i dziecinne, wrażliwe sumienie, wyrzucające mu zawsze cały szereg psot i figlów zakazanych, szarpnęło się w nim niepokojem.

— Ale babcia nie gniewa się o co na mnie? — zapytał pieszczotliwie i nieśmiało, przytulając różowy policzek do wyrudziałego rękawa jej skromnej, czarnej sukni.

— Nie Bogusiu — nie.

— Bo tego kota ja naprawdę tylko troszkę chciałem nastraszyć za to, że się czaił na kanarki — i tak

go odrobinkę potrzymałem nad wodą, a on mi się sam wyrwał i wpadł do beczki — ale to nieumyślnie i zaraz go wyciągnąłem i przecież mu się nic nie stało — babcia sama widziała.

— Wiem, wiem kochanie — idź już do ogrodu — po obiedzie będzie lekcya.

Pochyliła się nad jasną głową wnuka składając na niej pocałunek i dwie łzy gorące, które zsunęły się niespodzianie z jej błękitnych, wybladłych już oczu na złoty włos dziecka.

Boguś rad z pieszczoty, nie poczuwszy łez, odbiegł w wesołych podskokach.

— Co z nim zrobimy? gdzie go wychowamy i jak? o czem?... szepnął stłumionym głosem dziadek.

Gdyby nam Bóg zachował był Zygmunta, może i dziś nie przyszłoby do takiej katastrofy. Moich to starych rąk i starej bezsilności wina, że nam się z pod nóg wysuwa ten kawałek ziemi, na którym gospodarzyli jeszcze pradziadowie i prawnuki gospodarzyć powinni. Człowiek się starał niby ze wszystkich sił — ano, trza było siły podwoić, żyć o suchym chlebie, skąpić sobie i drugim, a nie wkładać na tę biedną ziemię ciężaru długów, których ona udźwignąć nie zdolna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy).

— A dlaczegoż ten jeden poseł taki duży?

— To znaczy, że on jest wielki duchem, a tamci wszyscy mali, bo to jest Józef Wybicki, który sam jeden na sejmie w r. 1768 miał odwagę sprzeciwiać się Repninowi, chociaż ten kazał izbę sejmową wojskiem otoczyć i zagroził, że ktokolwiek sprzeciwi się jego woli, zostanie porwanym i wywiezionym jak senatorowie. Józef Wybicki, obejrzawszy się po izbie oświadczył śmiało, że skoro w niej nie widzi uwięzionych senatorów, zatem nie widzi także i wolnego sejmu! widzi tylko gwałt i przemoc, przeciw którym protestuje!

— I cóż, porwali go Moskale?

— W zamięszaniu które powstało, udało mu się ocalić — ale musiał potem aż ucieczką ratować się przed prześladowaniem Repnina. Pozostałych posłów zmusił Repnin aby uchwalili to co im przez niego kazała carowa, a co było z korzyścią dla Rossyi a nie dla nas. — Powiedzże, czy niesłusznie narysowałem Wybickiego większym, kiedy on cnotą obywatelską przerósł swoich kolegów, i czy to jego śmiałe wystąpienie w sejmie, nie zasługuje aby je policzyć do „dni jasnych“ w naszych dziejach?

— Tak! ale smutno, że nie wszyscy posłowie mają taką samą odwagę. Najcnotliwsi muszą cierpieć prześladowanie, a przecie gdyby wszyscy razem zdobyli się na taką cnotę i odwagę, to Moskale nie śmieliby tak u nas gospodarować!

Przy tej rozmowie Julianek ciągle dalej rysował i znowu pokazał Jasiowi na arkuszu z napisem „Z dni jasnych“ jakieś obrazki, które tym razem, chcąc uprzedzić nową omyłkę brata w odgadywaniu ich znaczenia, popodpisywał wyraźnie: „Biskup“ — „Doktór“ — „Huzar pruski“.

— Cóż znaczą ci trzej ludzie? spytał Jaś.

— Najpierw, to nie trzej ale jeden i ten sam człowiek.

— Jakże jeden i ten sam może być biskupem, huzarem i doktorem? Narysowałeś jakąś zagadkę, a nie obraz historyczny.

— Zaraz ci tę zagadkę wytłumaczę: takie teraz nastały złe czasy przez mięszanie się do naszych spraw carowej, że najlepsi obywatele muszą się nieraz nawet ukrywać w cudzoziemskiem przebraniu: To jest biskup Kamieniecki, Krasiński. Kiedy gwałty Moskali u nas nie ustały, pomimo protestu posłów Chreptowicza i Wybickiego, biskup Kamieńca obmyślił zawiązać konfederacyą w celu ratowania Ojczyzny: miała ona z bronią w ręku upomnieć się o swoje prawa i wypędzić z kraju Moskali — a ponieważ własnych sił i wojska mamy mało, postanowił więc ksiądz biskup udać się za granicę i tam u obcych dworów szukać pomocy. Żeby go zaś Moskale, przeczuwający jego zamiary, w drodze nie pochwycili, przebierał się za Niemca, doktora lub za huzara pruskiego. W tem przebraniu udało mu się przemknąć szczęśliwie wśród spotykanych po drodze licznych wojsk rossyjskich, gospodarujących w naszym kraju; dopiero za granicą mógł powrócić do odpowiadającego jego godności stroju i tam dopiero mógł bez obawy pracować dla dobra Ojczyzny.

— Nie rozumiem znowu, dlaczego ten obrazek podpisałeś „z dni jasnych“, kiedy to przecież bardzo smutne czasy, jeżeli zacni obywatele muszą uchodzić za granicę, ukrywać stan swój i nazwisko, żeby módz dla dobra Ojczyzny pracować.

— Ale właśnie czyny tych zacnych obywateli stanowią jedyne „jasne chwile“ w ogólnym mroku dziejowej zawieruchy. O, patrzaj! tu znowu narysowałem dzień jasny, a może raczej jutrzenkę szczęśliwszej doby — bo te wypadki jeszcze nie rozegrane i może z nich dla nas wyjdzie ratunek: patrz, oto zjazd szlachty w Barze, zawiązujący konfederacyą w celu wypędzenia Moskali — nastąpił on wkrótce po porwaniu senatorów z Warszawy.

— Gdzie to ten Bar? i dlaczego w pośród szlachty wyrysowałeś zakonnika?

— Bar, leży na Podolu, już blisko granicy tureckiej; wybrano go umyślnie dla tego, bo teraz Turcy radziby pomódz nam Polakom przeciwko wspólnemu wrogowi jakim i dla nich jest Moskwa, a także i dla tego, że w tamtym kącie kraju niema jeszcze wojsk rosyjskich, są liczne poczty, wojska prywatne, które

utrzymują tam sobie po dworach, ku obronie przeciw hajdamakom i które mogli zaraz oddać do rozporządzenia konfederacyi. Zaś zakonnik którego narysowałem tu między szlachtą, to ks. Marek, karmelita, bardzo czynny w konfederacyi: on pobłogosławił jej zawiązek a potem sam przebiegał okolice i natchnionem, prawie proroczem słowem nawoływał szlachtę do walki w obronie Wiary i Ojczyzny. Masz na tym obrazku tych właśnie, którzy pierwsi zawiązali konfederacyę: a więc jest pan Józef Pułaski, starosta Warecki z trzema synami i synowcem — jest Michał Krasiński, brat biskupa (którego nie ma, bo niepochwalał, że konfederaci zaczynają za wcześnie, bez należytego przygotowania), — jest Wawrzyniec Potocki i wielu innych. Konfederaci wzięli sobie za sztandar chorągiew z Panem Jezusem i Matką Boską — a za pieczęć orła naszego, ale z wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela na piersiach i z mieczem w szponach. We wszystkich potyczkach biją się bardzo dzielnie — może jeszcze Pan Bóg pobłogosławi ich usiłowaniom.

— No, to dzięki Bogu jeszcze u nas tak źle nie jest! — przynajmniej na twoich rysunkach: tylko jeden ten bal u Radziwiłła taki brzydki, ciemny dzień — a więcej daleko jasnych.

— Oj, byłoby ciemnych więcej, było, mój Jasiu! tylko, że ja ich już i rysować nie mogę tak mi ręka drży i łzy oczy zasłaniają, gdy o nich myślę. Przecie już i ty zasłyszeć musiałeś jakie tam teraz okropności dzieją się na Podolu i Ukrainie?

— Mówisz o buncie hajdamaków i rzezi Humańskiej? szepnął Jaś.

— Tak! niegodziwa carowa obmyśliła sobie dobry sposób złamania konfederatów: nie dość, że wojska swoje przeciw nim wysłała, ale przez swoich moskiewskich popów podburzyła kozactwo i ludność miejscową na polską szlachtę. Te tłumy buntowników, zwanych hajdamakami, wytoczyły już morze krwi polskiej — spaliły Żabotyń, Tetyjów, Lisiankę, Sawrań, pięćdziesiąt wsi i tysiące domów rozrzuconych po stepach, dopuszczając się wszędzie przy mordach okrucieństw, od których opisu włosy na głowie stają i krew zastyga! Nie przepuszczali oni dzieciom, ani kobietom, ani starcom. Robili sobie okrutne igraszki z zadawanych katuszy, żywcem zakopując swoje ofiary lub rzucając je w płomienie. Dla piekielnego naigrawania się i szyderstwa, wieszali razem na jednem drzewie szlachcica, mnicha, żyda i psa — albo gdzieindziej, rodziców i dzieci.

Dzicz gospodarująca krwawo z rozkazu carowej, wiodła ze sobą dzieci swoje aby je uczyć dzikości i zaprawiać do mordu „Lachów“. Nieszczęśni mieszkańcy tamtych okolic, o ile kto mógł, chronili się do warownego Humania, myśląc, że tu znajdą obronę — tymczasem setnik nadwornego kozactwa, zdrajca Gonta, zamiast bronić, wpuścił czerń hajdamaków do miasta! Nastał prawdziwy sądny dzień! Pod nożem morderców padło 18.000 bezbronnej ludności! Ci łotrzy nie mieli nawet żadnej litości nad dziećmi: wymordowali 400 chłopców uczęszczających do szkoły w Humaniu a samemi niemowlętami wypełnili trzy miejskie studnie!

W taki to sposób niegodziwa carowa poradziła sobie, aby zaraz w początkach złamać konfederacyą przeciw sobie, rozszerzającą się coraz bardziej w południowo-wschodnich stronach Rzeczypospolitej — a choć do wszystkich tych straszliwych zbrodni, ciemna, podbuntowana czerń miała rozkaz, zachętę i podnietę szpiegów moskiewskich, po dokonaniu ich już, obłudna carowa wysyła teraz wojska, niby dla uspokojenia wszystkich „rozruchów“ rozumiejąc pod tem, przedewszystkiem konfederacyą i na nią zwalając winę niepokoi! — W obec takich okoliczności nie wiedzieć nawet czy jest podobieństwo, aby się tam konfederacya Barska utrzymała, i czy to nie złudzenie budować na niej jakie nadzieje.

— Och, prawda! jakież to wszystko okropnie smutne i straszne — mówił Jaś, którego ruchliwa twarzyczka pobladła jak kreda, podczas opowiadania brata. I pomyśleć, że takie straszne rzeczy doprawdy się dzieją! i że to w naszej biednej Ojczyźnie! A cóż nasz król, na to wszystko?! jak on może na takie piekło pozwolić?!

— Ot, nasz król — malowany! nie śmie sprzeciwić się, bo mu Repnin zagroził utratą korony! — wyrzekł z goryczą i bolem Julianek, a jego pacholęce oczy, zabłysły iskrami. (C. d. n.).

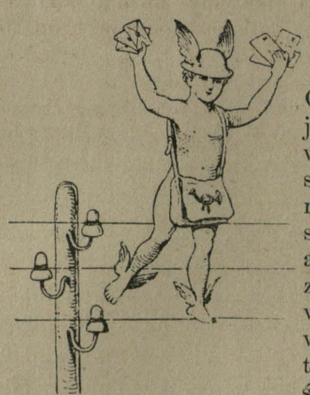

Skrzydlaty listonosz.

Ola G. w Chlebowie. Odpowiedź dla Ciebie dajemy na samem czele, bo warto na czoło innych wysunąć, taką kochaną Czytelniczkę, która uszyła aż dwie sukienki dla biednych dzieci, a oszczędności swoje przeznacza na gimnazyum polskie w Cieszynie! — Józio Ż. w Podhajczykach. Nietylko, że się Redakcya nie śmiała, ale i owszem z wielkiem zajęciem przeczytała Twój długi list, bo od swoich ośmioletnich Czytelników, najwięcej właśnie lubi takie listy, w których jej tak jak Ty wszystko, od Wawelu aż do pierogów, piszą o sobie! Tembardziej, że w całym liście, nie było ani jednego błędu, z czego widzimy, że z Ciebie dzielny mały Polak, bo nietylko kochasz ojczyste pamiątki, ale kochasz i swoją mowę, kiedy się tak pilnie do nauki polskiego języka przykładasz! — A czy bajeczka „Dwóch Leosiów“ w ostatnim „Dodatku“ podobała Ci się, równie jak „Brat i siostrzyczka?“ — Kochanej Mamusi, podziękuj za Jej dopisek.

Stella St. we Lwowie. Numer z 15. sierpnia był w swoim czasie wysłany do Zakopanego — szkoda że się zaraz na tamtejszej poczcie nie upomniałaś lub

nie reklamowałać zaraz do nas — nie byłabyś czekała tak długo. Teraz wysłaliśmy go pod zwykłym Waszym adresem, czy Cię doszedł? — Janina Pr. w Brodach. Radzi witamy nową znajomą! A czy to stryjeczna siostrzyczka Twoja, czy imienniczka odbierała dotąd „Wiek Młody“ w Zarudziu? — Eleonora M. we Lwowie. Bardzo nas ucieszyła wiadomość, żeś zupełnie zdrowa a także i obietnica uszycia sukienki na drugi konkurs. — Co do przysłania zimowego płaszczyka i sukienki już używanej, i owszem! Przyjdź koniecznie sama na nasze „drzewko“, a zobaczysz tam dziecięta tak biedne i nędznie odziane, że Ci zrobi prawdziwą przyjemność myśl, iż dzięki Tobie, już niektóre z nich marznąć nie będą, Prenumeratę do końca roku otrzymaliśmy. — Staś D. w Stanisławowie. Administratorka nasza pomyliła się wstrzymując Ci wysyłkę ostatniego numeru — bo „Wiek“ był dla Ciebie zamówiony do końca roku — a poleciliśmy wstrzymać tylko tym, co do których niema tej pewności. Wysłaliśmy go natychmiast po otrzymaniu reklamacyi i przepraszamy naszego wiernego przyjaciela za to nieporozumienie — Zosia G. w Suczawie. Jeżeli Ci to wszystko jedno, to Twoje 25 ct. składki, wpisujemy nie na kolonię wakacyjną, ale na „domy opieki“ — bowiem składkę na kolonię Rymanowską jużeśmy na ten rok zamknęli i odesłali komitetowi zebraną kwotę — zaś w obec zbliżającej się zimy z jej całą srogością dla nędzy w mieście, tak żal zwłaszcza tych biednych dzieci, którym w jej mrozy brak będzie wszystkiego: począwszy od cieplejszego przyodziewku i łyżki ciepłej strawy, aż do ciepłego serdecznego słowa rodzicielskiej opieki!

„Motylek“ w Nowym Sączu widocznie nie jest, takim sobie zwykłym, przysłowiowym „motylkiem“, symbolem płochości i lekkomyślności, ale raczej pracowitym i pożytecznym „jedwabnikiem“, skoro wprawdzie nie przędzie, ale własnym trudem szyje sukienkę dla jakiegoś biednego dziecka! Ucieszymy się nią bardzo! Roboty na II-gi konkurs przyjmujemy począwszy od 20 października, przez cały czas, aż do ostatniego terminu, 10-go grudnia — im wcześniej kto nadeszle tem lepiej, bo Redakcya woli zawczasu obliczyć sobie, ile dzieci będzie można obdarzyć. — Marya Dw. w pensyonacie Wnej Pani Zagórskiej. Zainteresowałaś się pierwsza losem Wandzi z „Dzienniczka“ — uprzedzamy Cię więc, że możesz się spodziewać kartki pocztowej z bardzo dalekich stron... ale nie nastąpi to jeszcze tak rychło, bo łatwo wyrozumiesz, że listy ze wschodnich kresów Azyi nie mogą nas prędko dochodzić — tem bardziej, że chińskie rozruchy wojenne nie ułatwiają korespondencyi. — Marylka, Lisia i Milka W. we Lwowie. Tę samą obietnicę, z upoważnienia „cioci Toli“ mamy i dla Was, ale musicie czekać cierpliwie jeszcze kilka tygodni, a może i dłużej! Wasze ostatnie łamigłówki, jak zwykle doskonale ułożone — nie dziwcie się, i nie gorszcie, że Stanisław R. sam nie wymyślił tej, którą nam nadesłał, bo tego rodzaju zagadnienia rachunkowe, zwykle są własnością ogółu: nie wymyślały jej zapewne i te panienki, które ją nam w r. 1894 z Bukowiny przysłały — ale takie ciekawe zadanie, choćby powtórzone, każdy kto go nie znał, na nowo rozwiązywać musi rachunkiem, więc cel jest osiągnięty! Ucieszył nas dowód, że tak pamiętacie wszystko co kiedy było w „Wieku“, bo nawet my sami po 6-ciu latach nie spostrzegliśmy się, że zadanie powtórzone. Co do kwestyi, coby najlepiej szyć na drugi konkurs? odpowiadamy, że zawsze jest największe zapotrzebowanie sukienek — ale zresztą, że takim gorliwym rączkom i dobrym serduszkom, które gotowe są brać udział w obu konkursach, nic dyktować nie chcemy: każdy Wasz dar nas ucieszy a prosimy Was już dziś abyście same wzięły udział w rozdzielaniu ich przy „drzewku“.

Zosia z Tryestu. Adres poprawiliśmy — na pytanie co do prenumeraty — odpowiadamy Ci korespondentką. — Lizia K. w Brodach. Miło nam, że Ci się tak podobała nagroda. Łamigłówek mamy taki zapas, że do końca roku nie będziemy nawet mogli wszystkich zużytkować. Lisia, Marylka i Milka w istocie układają je bardzo dobrze. — „Sarenka“ z Bojanowa. Więc poznałaś się w wierszyku i na obrazku? a kurki na obrazku czy podobne do Twoich? — Po piśmie nie widzimy abyś wyszła z wprawy, bo tak ładne, że mogłoby prawie ujść na nowy konkurs kaligrafii. Łamigłówka dobra — radzibyśmy ją zużytkować, jeżeli tylko miejsce się znajdzie przed końcem roku. A co tam porabiają „Rogaczyk“ i „Lampart“? czy także przez lato byli w Brixen? — Lola W. we Lwowie. Zagadnienie rachunkowe rozwiązałaś trafnie, choć trudniejszym sposobem, bo tu nawet nie potrzeba było przeprowadzać całego działania ułamkami o różnych mianownikach, wystarczało logiczne zastanowienie. Czy Florcia L. albo Walercia i Elza M. należą może do Twoich znajomych? — Jania D. w Tarnowie. Chociaż zastrzegasz się, że nie szyłaś „dla nagrody, tylko dla biednych dzieci“ ale Twoja pilność i staranność tym razem stanowczo na nagrodę zasłużyły! Trzy sztuki ślicznie uszytej bielizny i duża, ciepła sukienka — wszystko wykończone zupełnie przez Ciebie, — a zakupione z własnych oszczędności — to na jedną dwunastoletnią osóbkę, nielada udział w konkursie! Więc też możesz się szczerze cieszyć nagrodą. — Szanownej Mamie dziękujemy za uprzejme potwierdzenie.

Florcia L. we Lwowie. Czy wracając z Redakcyi do domu nie zabłądziłaś w „naszej Szwajcaryi“ i nie wpadłaś w który z „parowów“ wodociągowych? napisz kilka słów, bo jesteśmy także niespokojni, czy się nie zaziębiłaś? — Roman w Cieszynie. Każdy Twój list, to dla nas promyk pociechy — dla tego właśnie, że to nie list właściwie, ale szczery wybuch nie ważącego słów uczucia, który nas krzepi i cieszy, bo jest nam probierzem, jak Wy tam wszyscy „na kresach“ czujecie! To dobrze, że gorąca wyobraźnia poparta pewnem już historycznem wykształceniem, z taką siłą umie Ci odtwarzać, zarówno bolesne, jak chlubne chwile naszej przeszłości: korzystaj z tego daru na to, aby w rozmowach z rówieśnikami, poruszać te same sprawy i ich myśli także kierować w tę stronę, budzić podobne Twemu zamiłowanie w studyach historycznych — to sposób na utrzymanie „świętego znicza“, w którym cała nadzieja naszej przyszłości! — Ucieszyło nas także bardzo, że z takiem prawdziwem użyciem i radością, oddajesz się poważniejszej już i otwierającej szersze horyzonty, pracy w ósmej klasie gimnazyalnej — że celujesz w literaturze niemieckiej, nie wydaje nam się ironią, tylko dobrem zrozumieniem swoich obowiązków, bo przecież nie sam sobie wybierasz przedmioty naukowe i pewno jeszcze więcej celowałbyś w polskiej, gdyby ją tylko u Was wykładano. Zresztą literatura Niemców jest daleko lepszą, niż oni sami — zwłaszcza niż ci Niemcy, drugiej połowy XIX. stulecia, których bożyszczem jest pogańskie: „siła przed prawem“. Tych dzisiejszych Niemców, wyparliby się ich najwięksi dawni poeci, hołdujący niegdyś ideałom ludzkości! — Czy to brat Twój, Tadzio, jest w Krakowie i czy na stałe?

Dla braku miejsca „dalszy ciąg Listonosza“ w następnym numerze.

Wszystkie Czytelniczki i Czytelnicy „Wieku Młodego“ niech w dzisiejszym dniu Zadusznym, zmówią „Wieczne Odpoczywanie“ za duszę długoletniej Współczytelniczki i Towarzyszki, zgasłej w kwiecie wieku, bo w siedmnastej wiośnie życia, Heli Kostro! Z anielską cierpliwością znosząc cierpienia długiej ostatniej choroby, do końca interesowała się swojem pisemkiem, w którem znaliście Ją wszyscy z Jej częstych korespondencyi z Redakcyą pod pseudonimem „Polskiego Słowiczka“. Wspomnijcie o niej w modlitwie!

Sprawozdanie
z I-go tegorocznego konkursu szycia odzieży dla biednych dzieci na „drzewko“ WIEKU MŁODEGO.

Zosia Szczepańska uszyła sukienkę barchanową w krateczkę granatową z białem, i takiż serdaczek (ponadto dała dwa swoje fartuszki i pasek). — Dola Tillówna, sukienkę barchanową, w krateczkę niebieską z białem — i perkalowy fartuszek. — Fela Skólimowska sukienkę barchanową w jasne paseczki. — Ola Ostroróg Gorzeńska, dwie sukienki barchanowe, jedna w krateczkę pąsową z czarnem, druga w jasne paseczki. — Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny, każda po dwie duże koszule z mocnego płótna, oszyte koronką szydełkową, własnej roboty. — Walercia Bednarska, dwa duże perkalowe fartuszki, mogące okryć całą sukienkę. — Jania Dłuska, trzy sztuki płóciennej bielizny i pąsową flanelową sukienkę, na dużą dziewczynkę — Walercia, Mania i Stefa Tuchowskie, każda po koszuli, ozdobionej pąsowym hafcikiem.

Nagrodę przyznaliśmy 12-letniej Janinie Dłuskiej — ale wszystkie panienki, które wzięły udział w tym konkursie, zasługują na szczerą, gorącą pochwałę, tak za rzeczywiście bardzo staranne wykończenie robót, jak za poczciwość serduszek, która je skłoniła do tej ofiary własnego trudu, na rzecz biednych dzieci. — Radzibyśmy też, aby na te uczestniczki I-go konkursu zapatrzyły się wszystkie nasze kochane Czytelniczki! Nie wiemy czemu to przypisać, że tym razem mniej nam, nasze starsze i młodsze Przyjaciółki, dały zajęcia z sądzeniem swoich robót, wiele już zapowiedzianych sukienek dotąd jeszcze nie nadeszło — widać tegoroczne wakacye nęcące stałą pogodą do ciągłych spacerów i wycieczek, mniej sprzyjały pracowitości igiełek! Za to teraz jest jeszcze cały czas do powetowania tego opóźnienia: nie wątpimy, że nie zechcecie aby tegoroczne „drzewko“ „Wieku Młodego“ mniej było sute niż przeszłych lat, gdzie liczba obdarzonych dzieci już do 100 dochodziła!

Roboty na II. konkurs przyjmujemy przez cały czas, począwszy od 20-go października, do 10-go grudnia!

Trafne rozwiązanie zagadnień z ostatniego numeru nadesłali: Romana Wolińska, Lola Weinrebówna, Stach Stanek, Wanda Więckowska, Zonia Dorniakowska, Lizia Kałachówna, Jaś Woźniak, Lesio i Jaś Gałeccy, Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny, Władzio Borawski, Zosia Kyszyńska, Julek Beerman, Janinka Proskurnicka, Kazio Meterni, Hela Zalutyńska, Jania Dłuska, Jan i Feliks Bolmerowie, Jańcia Promińska, Kazio Chudzik, Maryla Górzyńska, Mania Krauze, Kazia Maliszówna, Jadziula Kawska, Arnold Zott, Helenka Winnicka, Marya Czausówna, Henryk Żuławski, Maryla Mildenhawer, Marcia Durska, Tadziuś Gulajewicz, Zosia i Mania Gwoździckie, Lucia Waleska, Bolesław Czajkowski, Eleonora Mühlnerówna, Basia Lipecka i Józef Zborowski.

Do nagrody wylosowani: Władzio Borawski, Jan i Feliks Bolmerowie i Basia Lipecka.

Rozwiązanie zagadnień z przeszłego numeru:

Łamigłówka zgłoskowa z numeru: **Drakon** i **Likurg** — z Dodatku: **Jan Kazimierz** — **zagadnienie rachunkowe:** Jedne jabłka były droższe, drugie tańsze: zmięszawszy je i sprzedając po pięć w jednej kupce, za 2 centy, Janowa wyprzedałała tańsze jabłka już w dziesięciu kupkach, a w dwóch ostatnich, sprzedawała już po ich cenie jabłka droższe — tym sposobem straciła na każdej kupce po pół centa.

Zagadnienie
dla L., M. i M. W.

Kiedy człowiek, widząc — nie widzi? *E. T.*

Łamigłowka zgłoskowa.

Mo — sa — ar — de — za — bóz — mu — kon —
je — targ — ra — o — na — ir — tur — dya —
el — ście — rad — lan — wy.

Litery początkowe czytane z góry na dół, dadzą nazwisko hetmana polskiego, końcowe zaś, imię jego żony.

1. Inaczej kłótnia. 2. Imię męskie. 3. Kraj w Austryi. 4. Siedziba wojska w czasie wojny. 5. Liczba. 6. Arcykapłan narodu żydowskiego, przed narodzeniem Chrystusa. 7. Imię bohatera poematu Adama Mickiewicza. 8. Kraj.

Zosia Szczepańska.

Wykaz składek.

Na kolonią wakacyjną leczniczą w Rymanowie, niewymienionych jeszcze dotąd: Józef Zborowski 50 ct. i z listy Wnej P. Kulińskiej 2 złr. 65 ct. — razem, odesłaliśmy, dnia 31-go sierpnia b. r. Komitetowi na ręce Wnego prof. Żulińskiego **50 K. 10 h.** — złożonych u nas od ostatniego doręczenia, wykazanego w Nrze 12-tym „Wieku Młodego“ r. 1898.

Na gimnazyum polskie w Cieszynie jeszcze za zmianę adresów wakacyjnych (patrz wykaz w Nrze 12-tym b. r.) Stella Starklówna 20 ct. — Tadeusz Wepnik 25 ct. — ponadto Ola hr. Ostroróg Gorzeńska 5 złr.

Na „domy opieki“ Zosia Gugalska 25 ct., Lisia, Milka i Marylka Winiarzówny 50 ct. —

Na obiady dla głodnych dzieci: Hela Szczepańska 1 złr.

Ponownie!
PRZYPOMINAMY UREGULOWANIE PRZEDPŁATY!

TREŚĆ: „W dzień Zaduszy, na cmentarzu“. — „Nie żałuj“. — Dzienniczek Wandzi. (Ciąg dalszy). — Jadwiga. — Złoty posiew. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. Ciąg dalszy. — Skrzydlaty Listonosz. — Łamigłówki. — Rozwiązania. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 22. We Lwowie, dnia 15. Listopada 1900. Rok VII.

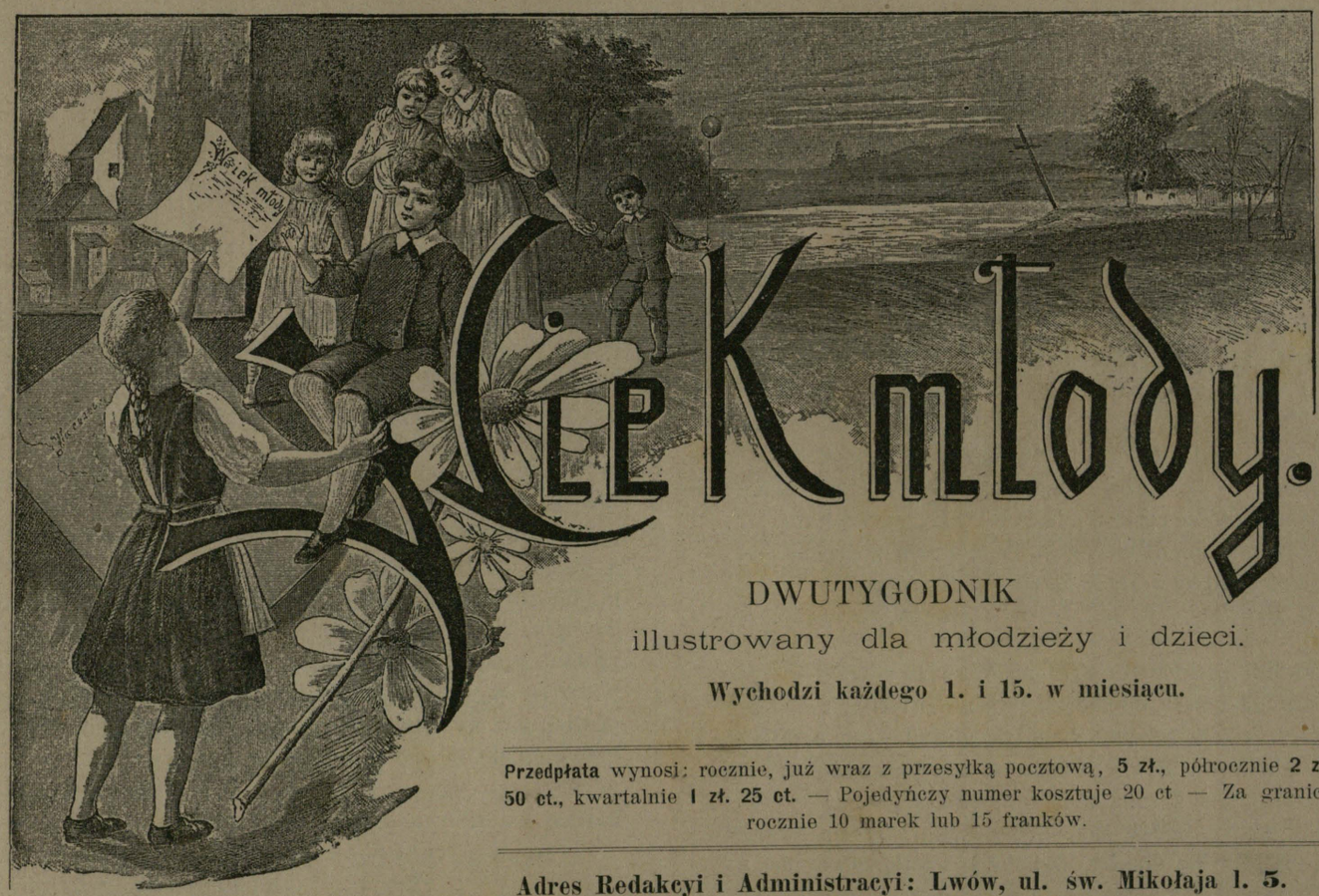

Orlęta młodzi.

DWUTYGODNIK
illustrowany dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi każdego 1. i 15. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. św. Mikołaja l. 5.

Z jutrzni narodu.

Litwo! ojczyzno Wieszcza, co jesteś jak zdrowie!
On tak w swem różbarwnem odmalował słowie
Wszystkie czary twej krzepkiej, półdzikiej przyrody,
Twoją ziemię, twe niebo, twe bory, twe wody,
Że na ten obraz mistrza, komużby dziś wolno
Z palety swej kłaść farby, ręką nieudolną?
Więc, gdy kto Litwy nie zna — i kto sobie życzy
Poznać ów kraj, puszczami swemi tajemniczy,
Zdrowy powietrzem czystem jak kryształ, bogaty
W zwierzynę, ptactwo, ryby, grzyby, zioła, kwiaty —
Kraj bujny, piersią młodej karmiący natury
Ludzi rosłych jak dęby a mocnych jak tury;
Kraj żyzny, bohatery rodzący i wieszcze —
Niech „Pana Tadeusza“ przeczyta raz jeszcze.

Jak owe puszcz litewskich, przepastne gęstwiny,
Gdzie nikt dotrzeć nie zdołał aż do matecznika,
Tak ciemne litewskiego ludu narodziny.
Ślad jego pochodzenia gdzieś w przeszłości znika —
I niewiadomo kiedy to nieznane plemię,
Przybywszy skądciś, w puszcz się gęstwinę zanurza.
Lecz gdy raz zapuściło korzenie w tę ziemię,
Już go z niej żadna wyrwać nie zdołała burza.
Bo wrósłszy w nią głęboko, Litwin z jej wnętrzności
Wyssał miłość Ojczyzny; wiara też Litwina
Ztąd poszła, że poświęcił chryzmatem miłości
Wszystko, co mu ojczysta dawała kraina.
Więc świętym był mu stary dąb w leśnej gęstwinie,
Świętym płomień ogniska domowego złoty,
Świętą błękitna struga co do Niemna płynie,
Świętemi pamięć ojców i pieśń Wajdeloty.
Świętym nawet wąż stary, co mieszka pod progiem —
I wszystko swojskie, bliskie, stało mu się bogiem.
A te swoje świętości, w wytrwałej obronie
Gotów był zakryć piersią od mieczów i grotów;
Za matkę, co go na swem wyniańczyła łonie
Dać krew z pod serca, był on w każdej chwili gotów.
Więc próżno w maskę wiary kryjąc chęć zdobyczy,
Sięga po kraj Perkuna, teutońskie ramię;
Sam Bóg staje po stronie bałwochwalczej dziczy,
Kiedy poganin szczery a chrześcianin kłamie.

Hydrą z wielu ramiony, był Zakon krzyżowy;
Jednem z nich zadławieni Porusowie dzicy,
Drugie wciska się w puszcze dziedzictwa Mindowy,
Trzecie pełza ostrożnie ku Piastów dzielnicy.
Wspólny wróg, zwykle mocniej, niż wspólny druh
sprzęga —
W sojusz z królem Łokietkiem wszedł Giedymin książe;
Dwóch to państw zrękowiny — a ślubna przysięga
Niebawem na wiek wieków dwa narody zwiąże. —
Dzielny Giedymin dzielne wychodował syny,

Olgierd gnał precz Tatarów w czarnomorskie stepy,
Wydarł im kraj podolski, ziemie Ukrainy —
I Litewski z Rusińskim ściślej spoił szczepy.
Kiejstut, rycerz niezłomny, wróg Zakonu srogi,
Długi żywot w wojennej spędził zawierusze,
Walcząc za swoją ziemię i za swoje bogi —
A syn, Witold, wziął z ojca bohaterską duszę.

Na Kiejstucie wygaśli pogaństwa szermierze,
I przemienił się w Litwie nastrój narodowy;
Coraz słabiej przy starej obstawano wierze,
Coraz się potrzebniejszym ład wydawał nowy. —
Aż wreszcie syn Olgierda — Jagiełło — stanowi
Litwę ochrzcić i z Polską w trwałej związać lidze;
Rozum go ku dwoch ludów nakłania związkowi,
Dusza — ku Bożej łasce, serce — ku Jadwidze.
Zakon radby przeszkodzić, lecz zrywa królowa
Pożądane dla Niemców z Wilhelmem zamęście —
Książe Litwy i Rusi jedzie do Krakowa
Po zbawienie, po miłość, po ojczyzny szczęście.

Wielkie, sławne to były na Wawelu gody —
Szły od morza do morza weselne wiwaty.
Cały lud — panna młoda, drugi lud — pan młody,
Wisła brała ślub z Niemnem, z puszczami Karpaty,
Różnie tam z sobą żyło owo stadło potem;
Jak zwyczajnie w małżeństwie zdarzały się swary;
Lecz gdy się długim, wspólnym spoiło żywotem,
To już dziś nic nie zdoła rozłączyć tej pary.
A gdy na które z dwojga padnie trwoga jaka,
Gdy jaki cios dosięgnie Orła lub Pogoni,
To Polak za Litwina, Litwin za Polaka
I sercem zaboleje i piersi odsłoni.

Król powraca do Wilna. Kornie przed nim klęka
Lud, który swoich władców, ze ślepą czcią słucha;
Nad tłumem samowładna wyciąga się ręka:
„Ja was chrzczę w Imię Ojca i Syna i Ducha!“
Perkunie gromowładny, niczem twe pioruny!
Już twoje święte dęby z gniewnym trzaskiem płoną,
Wajdelota swych pieśni zrywa srebrne struny,
Znicz gaśnie, sycząc, wodą zalany święconą.
I już świeci zwycięsko w Giedymina mieście
Krzyż, co nie chciał tam dłonią być zatknięty krwawą,
Lecz chciał, by Litwę ręce powiodły niewieście,
Do Tego, co miłością rządzi — nie obawą.

Julia Terpiłowska.



Dzienniczek Wandzi.

Część I.

(Ciąg dalszy).

Marsylia, 30. kwietnia 1900.

Wczoraj zwiedzaliśmy Marsylię. Kościół „Notre Dame de la Garde“, stoi na tak niebotycznej skale, że chcąc się do niego dostać, trzeba wsiąść w oszkloną windę, rodzaj pokoiku, w którym 10 osób zmieścić się może, i oto podnosimy się zwolna po nad domy, dachy, ulice, ogrody, morze, wszystko kładzie się u stóp naszych. Wszystko zdaje się coraz mniejsze, a my wznosimy się nad wszystkiem. Z początku zaczął mnie brać strach, musiałam zblednąć, bo Ojcuszek wstał z miejsca i przyszedł usiąść przy mnie, wziął mnie za rękę i zaczął pokazywać, jak bardzo jesteśmy wysoko, a domy, dachy, niziutko pod nami. To mnie uspokoiło i mogłam już zupełnie oddać się przypatrywaniu cudownym widokom, jakie mieliśmy z okien windy. Nareszcie wysiadamy, ale nie tu jeszcze koniec naszej powietrznej wędrówki, jeszcze mamy do przebycia nieprzeliczone mnóstwo wschodów. Idziemy, idziemy po tych ogromnych szerokich stopniach kamiennych, a wiatr, mistral, coraz energiczniej zawiewa. Trzymamy się silnie, inaczej zmiótłby nas prosto w szafirowe morze.

Stajemy wreszcie u drzwi kościoła dolnego. To rodzaj krypty ciemnej, a dalej jeszcze raz schody i jesteśmy w kościele wotywnym Notre Dame de la Garde.

Ojcuszek pokazywał mi wszystko i tłómaczył. Mówił mi więc, że styl, (to jest budowa) tego kościoła jest bizantyjski mieszany. Prześliczne wota wiszą w około; małe srebrne statki, ofiarowane przez rodziny uratowanych. Całe ściany wykładane są tabliczkami marmurowemi z napisami: „Merci, o Vierge Sainte! d'avoir sauvé du naufrage mon mari, albo: mon fils, ma fille“, i t. d. *). A przy tem nazwiska ofiarodawców. Ciocia Kostunia szukała pilnie czy wśród tego mnóstwa nazwisk francuskich i nie francuskich, nie wyczyta polskiego — nie, nie ma tam żadnego rodaka. Pomodliliśmy się tam za wszystkich, znanych nam i nieznanych podróżnych, błądzących po morzach.

Po obejrzeniu wnętrza kościoła wychodzimy na platformę i opierając się o balustradę, patrzymy w przepaść u stóp naszych. Co za przerażająca wysokość, aż mi się słabo zrobiło. Cała Marsylia, port, zatoka, statki na morzu, sieć ulic, wszystko, wydaje nam się maleńkie, jak zabawka dziecinna.

Ojcuszek zwrócił moją uwagę na to, co za trud szalony, wznieść na tej olbrzymiej wysokości tak wspaniałą świątynię. Ile potu ludzkiego, ile wiary w sercu tych, którzy powzięli myśl tej budowy! Ale nie możemy tu długo pozostać, bo konduktor windy, dał sygnał

*) „Dzięki, o Najświętsza Panno! żeś uratowała z rozbicia życie mojego męża“ lub „syna“ lub „córki“.

odjazdu, zbiegamy ze schodów, wpadamy do oszklonej klatki i spuszczamy się na dół. Dziwne ma się uczucie. Krajobraz rośnie, domy, coraz bliższe, wyższe, większe, wszystko zarysowuje się wyraźniej, aż z lekkim zawrotem głowy stoimy znów na placu. Ale ja miałam uczucie, jak gdybym powracała z innej krainy. Ojcuszek kazał mi spojrzeć w górę: trudno uwierzyć, że byliśmy tak wysoko.

Na placu czeka rząd powozów; poszliśmy najpierw do kawiarni, a wracając skinęliśmy na jeden z nich. Ojcuszek kazał woźnicy jechać w około miasta, przez tak zwaną Corniche, drogę cudowną, brzegiem morza. Ciocia Kostunia mi powiedziała, że to droga opisywana przez poetów. Z ogromną ciekawością patrzyłam na prawo i na lewo, ciągle się o coś pytając. Co za kraj uroczy! południe, z całem bogactwem roślinności.

Po jednej stronie morze, po drugiej na wzniesieniu skalistem, wille białe, zaciszne, wśród palm zielonowłosych, olbrzymich kaktusów i aloesów. Ciocia Kostunia wspomniała o tym swoim maleńkim aloesie, który tak troskliwie pielęgnuje w domu i powiedziała:

— Tu, na złomie skały kąpie się on w słońcu nie marny, nie sadzony: ogromny, roztacza swe grube, mięsiste liście, zakończone ostremi szpilkami, widać, że on tu królem roślinności, to jego grunt, jego ojczyzna. W innej ziemi karlowacieje i wygląda sztucznie.

— Jak człowiek zmuszony żyć na obcej ziemi, rzekł smutnie Ojcuszek, a Mamusia zamyśliła się i dodała:

— Dziwnie, że podróżnego Polaka nawet widok zdrowej i bujnej roślinności musi na tak tęskne myśli naprowadzać.

Powóz się toczy, po białej, gładkiej drodze, tuż, tuż nad brzegiem morza, mieniącego się w blaskach południowego słońca.

To morze tutaj zupełnie inne jak w Cherbourgu. Tam było ciemne, smutne, groźne, tu przeciwnie, wesołe, niebieskie.

Skręcamy wreszcie i wjeżdżamy w aleję szeroką, nieskończoną, wysadzaną dwoma rzędami platanów z białą korą. Jest to *„prado“*, miejsce ulubione przechadzek pieszych, konnych i powozowych — rodzaj paryskich „pól elizejskich“ objaśnia mnie Ojcuszek.

— Ale inaczej — mniej ruchliwie, więcej poważnie — się przedstawiają — dodaje Ciocia Kostunia. — Skończyły się aleje, wjeżdżamy w miasto, jest wieczór. Jeść mi się chce ogromnie, bo ta przejażdżka trwała bardzo długo. Wchodzimy na obiad do restauracyi. Za poradą Cioci Kostuni kazał Tatuś podać Bouillabaise.

— Jest to potrawa, powiada mi Ciocia Kostunia, marsylijska, nad którą mieszkańcy południowej Francyi się rozpływają, wielokrotnie opisywana w powieściach. Potrawa ta przedstawia się tak: dwa półmiski, na jednym różne rodzaje ryb, homarów i ślimaków w czerwonym szafranowym sosie, na drugim w tym samym sosie pływa cienko pokrajany chleb. Jedząc dobiera sobie każdy raz z jednego, raz z drugiego półmiska. Zapach szafranu przeważa, zresztą niezła cała przyprawa. Ale tamtejszym mieszkańcom wydaje się wyborna!

Ciocia Kostunia mówi: — To potrawa narodowa! jak „czarna polewka“ w Sparcie: Wiekowe przyzwyczajenie, zmieniło się w upodobanie; ale żeby lubić bouillabaise, trzeba się urodzić prowensalem*).

Jak to dobrze, że już przechodziłam historyą starożytną i wiem już teraz, że czarną polewkę jadano w Sparcie, na rozkaz tamtejszego prawodawcy Lykurga. Mamusia mówi, że powinnam umieć więcej jak małe Francuzki w moim wieku, a to dla tego, że jestem ciągle ze starszymi, którzy mi wszystko tłómaczą i objaśniają. Naprzykład podczas naszych wycieczek do La Barre w niedzielę, za każdym razem Ojciec mnie czegoś nauczył. A za powrotem wieczorem, i przy każdej okazyi, było powtarzanie.

Tak samo teraz, gdyśmy jadąc tutaj przejeżdżali n. p. przez Avinion, zaraz Ojcuszek mnie pytał, co mi to miasto przypomina? Odpowiedziałam, że tutaj umarł Stefan Garczyński na rękach Mickiewicza i Klaudyi Potockiej.

— Brawo Wanda — zawołała Ciocia Kostunia. A potem co stacyą, pytała mi się, to o jakie wspomnienia z historyi, to o nazwę z geografii — a czego tylko nie wiedziałam o tem mnie zaraz pouczała. Przez ten czas podróży nauczyłam się więcej niż przez miesiąc na pensyi. Ale też Ciocia Kostunia ma taki miły, zajmujący dar opowiadania, ani się czuje, że to nauka.

Po owej szafranem zaprawionej potrawie, trzeba się było napić chociażby herbaty i naradzić, gdzie najlepiej wieczór spędzić. Siadamy więc w oknie kawiarni za szybą jedną, tak ogromną jak brama. Patrzymy na tłumy przechodniów spieszących na widowiska wieczorne i w braku lepszego źródła informacyi Tatuś zapytuje usługującego nam „garsona“ co tu jest jeszcze dla przyjezdnych ciekawego do widzenia wieczorem. Garson stawia przed nami herbatę, i nieodłączne od niej karafeczki „fleur d'oranger“ i stanowczo nam radzi pójść do Palais de Cristal. Wyobrażałam sobie koniecznie po tem słowie „Cristal“, że ujrzymy coś szklanego, lustrzanego, jeśli nie prawdziwie kryształowego. Ale omyliłam się zupełnie! „Palais de Cristal“ to po prostu ogromna sala teatralna, w której co wieczór odbywają się różnego rodzaju przedstawienia.

Miejsca nie drogie, siedzenia wygodne, kurtyna prawie ciągle otwarta a na scenę wchodzą mieniając się spiewacy, spiewaczki, deklamatorzy — to sztuka cała, to znowu popisuje się akrobata. Przedstawienia te następują szybko jedne po drugich — rozmaitość wielka. Doprawdy, „garson“ dobrze doradził! doskonale można się zabawić w tym „Kryształowym pałacu“. Śpiewaczki coraz to piękniejsze, i piękniej ubrane. Ta-

*) Prowancya, południowa część Francyi, której główne miasto Marsylia.

tuś mówił, że wszystko to typy południowe, bo same brunetki. Cioci Kostuni głównie podobały się śpiewy a mnie ubiory.

Ponieważ dzisiaj w całym świecie odwaga Burów ogólnie jest znaną i podziwianą, (nawet już i ja czytam o nich w gazetach i interesuję się niemi), więc i tu dawano właśnie sztuczkę bardzo udatną: „Wojna Burów z Anglikami". Pułk kobiet, ślicznie ubranych, mustruje się na scenie. Szlachetność, odwaga, poświęcenie, wszystko to po stronie sympatycznych Burów — zdrada, czarne charaktery w obozie Anglików, których zawsze nie lubią Francuzi. Ale pomiędzy publicznością, byli także i Anglicy — więc gdy jedni z widzów klaskają, drudzy — to jest Anglicy — gwizdają i syczą nieprzyjemnie. Śpiew bardzo miły, dekoracye cudowne, trudno uwierzyć, że to nie prawdziwe. Prześliczny był zwłaszcza obóz Burów o wschodzie słońca, a ich hymn wolności, rozbrzmiewając potężnie, podnosi serca wszystkich. Wuj Ludwik przypomina sobie jak to było podczas powstania, w 63 r. w którem brał udział. Oklaski huczne, przeciągle, zagłuszają niechętne sykania synów Albionu.

Bardzo mi się to wszystko podobało i uważam, że to bardzo brzydko, iż żadne państwo nie chce przyjść Burom w pomoc! Zawsze się powinno bronić słabszego. Jak kilka lat temu w Paryżu na kursach, zaczęły koleżanki dokuczać jednej angielce świeżo do nas przybyłej, to ja sama stanęłam w jej obronie i ze mną miały do czynienia, jeżeli tylko która ją prześladowała. Raz nawet, pogniewałam się o to z jedną córką fabrykanta czekolady, i ta się na mnie mściła w ten sposób, że rozdawała między koleżanki całe stosy czekoladek, a mnie nigdy nic nie dała. Przyznać się muszę, że to mi było przykro, bo czekoladę zawsze lubiłam i lubię, ale pomimo tego, nie żałowałam mego wystąpienia.

Powróciwszy bardzo późno do domu, długo zasnąć nie mogłam, mając przed oczyma to wszystko co widziałam, a co mi się wydało takie prawdziwe, jakby to naprawdę byli Burowie, niespradliwie napadani we własnym kraju, a tak zacni, dzielnie się broniący!

Żal mi ich bardzo, bo Ojcuszek mówi, że Anglicy ich pobiją! ale ja będę się za nich modliła.

(C. d. n.).

Złoty posiew.

(Ciąg dalszy).

Pani Rodowska powstała i kładąc dłoń na ramieniu męża, rzekła łagodnym ale silnym głosem:

— Nie dolewaj sobie goryczy do serca, Wiciu — boć dosyć tego jadu, który weń troska sączy. Bóg dał — Bóg wziął. Zbytków nie było w naszem życiu ani domu — a jeśli czasem wydało się coś więcej nie dla siebie ale dla drugich — to i nie poszło na marne, tylko między dobrych a potrzebujących wsparcia ludzi. Rozsiało się trochę grosza na grzędzie cudzej biedy — ale posiew taki — miłością wschodzi w sercach i chwałą Bożą się krzewi — więc nie żałujmy, że i naszego ziarna trochę padło w tę stronę.

Umilkła, a p. Rodowski patrzył chwilę w ogród zalany słonecznemi blaski i przesuwał myśl po pasmie tej przeszłości, która wydawało mu się teraz jednym nieprzerwanym szeregiem dni pogodnych, zakończonych nagłem uderzeniem piorunu. Wczoraj jeszcze nie wiedział o niczem, nie drżał o przyszłość swoich kochanych i tego kawałka ziemi, do którego przyrósł sercem i życiem całem. Miał długi, miał ciężary — ale któż ich dzisiaj niema na wsi? kto nie wierzy i z roku na rok nie łudzi się nadzieją, że przyszłe żniwa spłacą z nadwyżką to, czego przeszłe nie dopłaciły.

Długi były dość liczne, po większej części drobne ale były między nimi i lichwiarskie. W obec tego, że kredyt publiczny utrudniany był do niemożliwości w całej prowincyi, w której wszelkie ułatwienia przysługiwały tylko wrogiej ludności napływowej — mającej do rozporządzenia banki, spółki, kasy rządowe i kasy Hakaty — cały arsenał wywłaszczający rodzone dzieci tej biednej ziemi. I pan Rodowski ratował się jak tylu innych, kredytem prywatnym, w potrzebie pożyczał gdzie i jak się dało, u różnych ludzi i w różnych czasach — ale że przytem pracował niezmordowanie i miał nadzieję się wyrobić , a długi nie były naglące, były mu więc dotąd tylko obłokami przyciemniającymi nieznacznie horyzont przyszłości. Nie przeczuwał, że złość i chytrość ludzka, zwiąże te drobne obłoki w ciężką gradową chmurę — nie czuł tej siatki pajęczej, którą obmotywała wkoło niego rasowa nienawiść i chciwość, nie cofająca się przed najbrudniejszą choćby drogą, gdy zysk leżał u jej końca.

Kiedy czerwony, nisko wystrzyżony pan Schwabe zajechał jednokonnym wózkiem przed ganek, psy rzuciły się ku niemu ze wściekłem ujadaniem, a stary Michał, ogrodnik i kredencerz zarazem, zmierzył go pogardliwem spojrzeniem, jak intruza, którego nie miał ochoty wpuścić nawet przez próg tak gościnnego dla innych rodowskiego dworu. Ale p. Schwabe nikogo nie pytał o pozwolenie ani o drogę — psy poskromił kopnięciem, staremu słudze rzucił w twarz obelżywem choć dla niego niezrozumiałem słowem i wszedł do wnętrza jak człowiek który się czuje panem, i wie, że za chwil kilka wszyscy go takim uznać będą musieli. W kieszeni jego spoczywały skupywane cichaczem i podstępnie wszystkie weksle obciążające hypotekę Rodowa — co rzeczywiście czyniło go już prawie właścicielem tego kawałka ziemi, od dwustu lat przechodzącego z ojca na syna w rodzinie Rodowskich.

Od pierwszego słowa oświadczył też p. Rodowskiemu, że pozostawia mu do całkowitej spłaty długu nieodwołalny, trzymiesięczny termin — po upływie tego czasu wystawi majątek na publiczną licytacyę i sam go nabędzie za cenę weksli, które są w jego posiadaniu.

. . . . . .

Stary Michał, długą tyczką, zakrzywioną u końca w kształt haczyka, zdejmował z drzewa rumiane, dorodne sztetyny — a Boguś i dwunastoletni Antek, wnuk Michała, zbierali z ziemi opadłe owoce i składali je do koszów, rozmawiając i chichocząc z cicha. — Jednak te otrzęsiny owoców, na które Boguś tak się cieszył już od paru tygodni, nie były jakoś w tym roku taką wesołą uroczystością, zgromadzającą w sadzie, pod obciążonemi gałęźmi drzew, całą rodzinę i wszystkich domowników. — Nawet babcia nie dała się Bogusiowi zaciągnąć do sadu, zbywając go obietnicą, że później przyjdzie — a Michał, dziwnie czegoś zły dzisiaj i nachmurzony, rozpędził dziewczęta dworskie, skore do pomocy przy tak miłej robocie, i na Antka fukał co chwila nazywając go niedołęgą i darmozjadem.

— Czemu Michał taki jakiś, dzisiaj?... ciągle się gniewa, choć nie ma o co? — zapytał nareszcie Boguś zwracając na starego sługę rozżalone spojrzenie swych dziecięco-błękitnych oczu. — Jabłka takie śliczne a tak się jakoś tego roku nieprzyjemnie zbierają.

Michał zmięszał się na tę łagodną wymówkę „paniczyka“ który był jego ulubieńcem, droższym mu prawie od rodzonego wnuka, a przynajmniej traktowanym zawsze z daleko większą słodyczą i względnością.

— Gdzie ja tam zły paniczyku?... ja nie zły, tylko ot, stary maruda — gdy mnie jaki robak w serce gryzie, nie umiem już tego zdusić w sobie i uśmiechać się do ludzi.

— Robak?.. jaki robak? spytał z przerażeniem Boguś, który od gąsienicy uciekał na pół mili.

— Ej, to tylko takie powiedzenie; nie robak prawdziwy, tylko smutek paniczyku — smutek człowieka kąsa i piecze gorzej od najprzykszejszego owadu.

— A jaki Michał ma smutek? — może kto chory u Michała w domu? ja babci powiem, żeby zaraz dała lekarstwo.

— Nie Bogusiu, dziękuję — zdrowi wszyscy — to nie u mnie w domu, nie u mnie... i lekarstwa na to niema żadnego — chyba Pan Jezus i Matka Przenajświętsza przemienić mogą...

Na siwych rzęsach starego sługi zawisła łza... i on już w tej chwili wiedział o wszystkiem, bo zła wieść szybciej od piorunu obiega ludzkie serca i usta.

— Pan Jezus chyba przemienić może — powtórzył szeptem a Boguś zawołał ochoczo.



„wślizgiwał się szarym zmrokiem do ogrodu“...

— Ja umiem koronkę do Przemienienia Pańskiego — zmówię ją wieczór z Babcią i zobaczy Michał, że wszystko dobrze będzie!... Nawet codzień będę mówił, przez cały tydzień — tak jakeśmy mówili zeszłego roku, gdy dziadzio chorował.

— Dobrze, Bogusiu, dobrze — trzeba się modlić gorąco, boć to jedyny ratunek w nieszczęściu, i jedyna od złego człeka w Bogu uchrona.

. . . . . .

Codziennie odtąd przed starym, drewnianym krucyfiksem i wizerunkiem św. Wojciecha, patrona biednej, uciśnionej krainy, Boguś i Babcia klęcząc odmawiali koronkę do Przemienienia Pańskiego, podnosząc oczy

pełne wiary a mokre od łez na znak męki Pańskiej i twarz św. Męczennika polskiego.

Już teraz i Boguś wiedział, jaka to straszna groźba zawisła nad starym, drogim domem, i jego dziecinne oczy błąkały się po białych ścianach z wyrazem miłości i żalu a drobne ręce zaciskały się w bezsilnym, gorżkim gniewie.

Dzień za dniem przybliżał katastrofę — znikąd nie można było spodziewać się ratunku.

Pani Rodowska zrazu popisała listy do swej rodziny, osiadłej na Litwie — p. Rodowski zakołatał do paru sąsiedzkich wrót z prośbą o pomoc — ale nadaremnie. Czasy były ciężkie, każdy z właścicieli ziemskich doznawał wrażenia, że mu jego własny grunt chwieje się i wysuwa z pod nóg, każdy czuł się sam zagrożony, więc o ratowaniu bliźniego myśleć nie mógł. A p. Schwabe zajeżdżał coraz to częściej w wiodącą do dworu kasztanową aleję, którą wiatr jesienny ogałacał już z ostatnich liści — czasem, nie dotarłszy nawet do bramy, wstrzymywał na chwilę swego niezgrabnego, mucowatego wierzchowca i z oddali oczyma wodził po całym dziedzińcu, po oborach i stajniach, niby już obejmując je w posiadanie. Niekiedy dojeżdżał aż do ganku i doczekawszy ukazania się we drzwiach pana lub pani Rodowskiej, krótkiem, szorstkiem słowem przypominał im o zbliżającym się terminie wypłaty — a nierzadko zdarzało się, że gdy na swej drodze napotkał kogo ze służby, zajętego jaką gospodarską robotą, łajać go i upominać zaczynał, jakby już był tu prawowitym panem.

Bywało także, że zamiast p. Schwabe, do ogrodu wślizgiwał się szarym zmrokiem ojciec jego, nauczyciel ludowy z sąsiedniej wsi, i cichym, lisim krokiem obchodził dom i zabudowania dworskie, jakby śledząc co się tam dzieje.

Pani Rodowska do późna w noc siadywała pochylona nad rachunkową księgą, zliczając długie kolumny cyfr, obrachowując wartość każdej piędzi ziemi, każdego najdrobniejszego gospodarskiego sprzętu. — Czy po sprzedaniu tego wszystkiego zostanie im choć tyle, aby mogli sobie gdzieś w małej mieścinie wynająć kąt cichy na stare lata? aby dziecko, co potrzebowało róść w rozum i siły, nie przymierało głodem chleba i nauki?

Licytacya — to straszne słowo, kładło się w poprzek wszelkim obrachunkom i nadziejom, bo licytacya znaczyła tyle, co zmarnowanie wszelkiego dobra, oddanie za jeden grosz, tego co dziesięć wartem było.

O ile pani Rodowska gorączkowo oddawała się pracy, o tyle mąż jej, pod nagłym ciosem ugiął się i złamał — tych parę miesięcy więcej bruzd namnożyło mu na czole, niż całe poprzednie lata; przestał żartować z Bogusiem, przestał przechadzać się po ogrodzie, nawet do gospodarstwa zaglądał rzadko; całemi dniami przesiadywał tylko w swojej kancelaryi, z której narożnego okna, rozciągał się rozległy widok na wieś długą, porządnie zabudowaną i na biegnące w dal pola, zieleniejące już posiewem przyszłorocznych plonów.

I gdy tak godzinami całemi siadywał samotny, od chwili do chwili wybiegało mu na usta, jak echo jakiegoś gorżkiego westchnienia, którem wzbierały uciśnione piersi, słowo: Niemiec! i cichym, pełnym grozy szeptem obijało się o ściany, które zdawały się wstrząsać od lęku i wstrętu na sam dźwięk tych dwu głosek. (C. d. n).

Irena Mrozowicka.

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy).

VI.

List księcia generała. Podróż do Warszawy.

Od pewnego czasu zaczął coraz częściej pojawiać się w Klenikach posłaniec z Wołczyna, z listami od księcia Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Na listy odpisywał zaraz pan Niemcewicz, poczem zwykle następowała długa rozmowa, czy też narada z panią Niemcewiczową. Po naradzie z mężem pani Niemcewiczowa oglądała starannie bieliznę i suknie Julianka, wreszcie sprowadziła z Brześcia krawca żyda i kazała mu szyć nowe ubranie dla pierworodnego syna.

Julianek zauważył wszystko, i zastanawiał się, co to znaczy? nie śmiał jednak zapytać rodziców. A gdyby list księcia generała przeczytać! szeptała pokusa. Czy jednak należy się czytać cudze listy?... Listy ojca, to przecie nie cudze! a zresztą gdyby w listach była tajemnica, ojciec chowałby je pod klucz a nie za zwierciadło wiszące w pokoju. — Tak usiłując uspokoić sumienie, Julianek, dręczony ciekawością, pewnego dnia przystawił sobie krzesło, a stanąwszy na niem sięgnął po list za zwierciadło, rozłożył go i jął czytać uważnie. Serce biło mu trwogą, aby go kto na tem czytaniu nie złapał, jednak równocześnie twarz rozjaśniła mu się radością, bo list zawierał ważne a jego właśnie dotyczące nowiny. Mianowicie, że słów pisanych przez księcia generała, dowiedział się Julianek, że ma być umieszczony w Warszawie, w szkole rycerskiej, zostającej pod komendą księcia generała. W liście był już nawet oznaczony niedaleki termin, w którym Julianek miał stawić się w szkole.

Wiadomość wyczytana w liście, wywarła silne wrażenie na chłopcu. Szkoła rycerska, o której wiedział z gazet, o której myślał i marzył, otwiera się dla niego. O jakże się cieszył! Wiedział, że w szkole rycerskiej uczono doskonale nietylko przedmiotów naukowych, ale obok tego sztuki wojskowej, tak potrzebnej Polakowi w obecnych ciężkich czasach. Nadzieja ujrzenia Warszawy, życie koleżeńskie w szkole, wszystko nęciło Julianka i uszczęśliwiało go niezmiernie. Radość ta była tylko zmącona wyrzutem sumienia, szepcącym mu

nieustannie, że nie powinien był dotykać ojcowskiego listu, i że jak na przyszłego ucznia rycerskiej szkoły, postąpił wcale nie po rycersku. W tejże chwili matka zawołała go do siebie i sama oznajmiła mu ważną nowinę: — Nie chcąc udawać zdziwienia Julianek z wielką swoją przykrością przyznał się matce do wszystkiego. Przez wzgląd na to szczere wyznanie i tak bliski już wyjazd z domu, darowano mu winę. — Matka była już właśnie zajęta pakowaniem jego bielizny w podróżny kufer.

— Oto tu włożyłam kilka par pończoch mojej roboty — rzekła do Julianka; — w jednej zaszyłam dwa dukaty, abyś miał na nieprzewidzianą potrzebę, a tu masz oto 20 zł. miej je przy sobie na drobne wydatki.

— Ależ mamo, na co mi tyle pieniędzy? — pytał Julianek.

— Będziesz teraz śród obcych, bez grosza mógłbyś być w kłopocie, zwłaszcza, że z domu nie często trafi się okazya do Warszawy. Ale pamiętaj nie wydawaj pieniędzy lekkomyślnie!

W kilka dni potem poszóstna kolasa zajechała przed ganek. Trzeba było pożegnać dom rodzinny, matkę i młodsze rodzeństwo. Ojciec sam odwoził Julianka aż do Warszawy.

Jakkolwiek cała ta wyprawa bardzo cieszyła chłopczynę, jednak, w chwili gdy przyszło mu pożegnać ukochaną matkę, rozpłakał się rzewnie i całą pierwszą część drogi, choć już dawno dom rodzinny zniknął mu z oczu, łez powstrzymać nie mógł. Nie wyobrażał sobie, że rozstanie z matką, tak wiele kosztować go będzie.

Nie ujechawszy jeszcze daleko od domu, Julianek przekonał się, że dobrze mieć własne pieniądze, dały mu one bowiem możność zrobienia przyjemności matce. W drodze spotkali żydka z Terespola, niosącego na sprzedaż cytryny. Z powodu utrudnionej komunikacyi, cytryny podówczas były uważane za rzadką i bardzo cenną kuchenną przyprawą. To też Julianek zobaczywszy żydka z cytrynami, postanowił niemi zaopatrzyć spiżarnię matki.

— Michale! stańcie! — zawołał na furmana.

— Po co? zapytał zdziwiony pan Niemcewicz, patrząc na Julianka;

— Kupię cytryn mamie — odpowiedział Julianek, zwracając pełne prośby a zapłakane oczy na ojca.

— Kupisz mamie? No dobrze, ale jakimże sposobem te cytryny dostaną się do mamy? Wszakże jedziemy do Warszawy a nie do Klenik; nim ja zaś będę wracał, cytryny gotowe się zepsuć.

Julianek zamyślił się — ta uwaga nie przyszła mu do głowy, zafrasowany zaczął się rozglądać dokoła — wtem spostrzegł nieopodal kilku chłopaków pasących bydło na polu.

— Możeby oni... możeby którego z nich zawołać — zapytał nieśmiało, gdyż wiedział, że ojcu pilno było w dalszą drogę i że nie lubił się zatrzymywać. Ale ojca wzruszyła pamięć Julianka o matce, wzruszył go sposób w jaki chłopiec używał pierwszych własnych pieniędzy. To też zaczął sam machać chustką, — wołając na chłopaków: — Bywaj tu! bywaj!

Niebawem nadbiegło kilku, a kłaniając się do ziemi słomianymi kapeluszami rzekli:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

(Ciąg dalszy nastąpi).

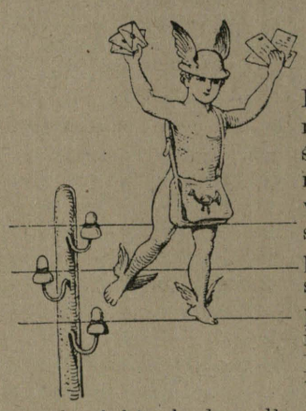

Skrzydlaty listonosz.

Fela S. we Lwowie. Bardzo dobrze, że zdobyłaś się nareszcie na odwagę, a doświadczenie dzisiejsze przekona Cię pewnie, że to nie jest wcale rzecz straszna. Nazwiska Wandzi nie możemy Ci powiedzieć, ale kiedyś przy sposobności dowie się ona przez nas, że się jej losem i osobą tak interesujesz. — Lisia, Maryla i Milka W. we Lwowie. Nowy zapas łamigłówek doszedł nas i będziemy z niego czerpać o ile się tylko da, bo wszystkie są bardzo dobrze ułożone. Szaradę o którą się pytacie, przyszlijcie raz jeszcze, jeśli Wam zależy na jej umieszczeniu, bo była ona przeznaczona do wakacyjnych numerów i w czasie naszej nieobecności gdzieś się w administracyi zarzuciła. Wiadomość o ślicznych barchanach, z których biedne dzieci będą miały sukienki serdecznie nas ucieszyła — a nadzieja posiadania szarfy legii honorowej, słusznie się uśmiecha tak pilnym pracownicom. — Olga, Józefa i Melitta A., uczenice pensyonatu Wnej p. Zagórskiej. Zagadki wszystkie rozwiązane doskonale, nawet żartobliwe pytanie, które wielu czytelników w kłopot wprawiło — a donieście nam kiedyś przy sposobności, czy dopiero w tym roku stałyście się czytelniczkami „Wieku Młodego“ czy też znacie go już oddawna?

Polska dzieweczka z nad Wisły. Prawda, że już dawno Redakcya nie miała od Ciebie wiadomości ale nie dziwiła się temu, bo w lecie wszyscy czytelnicy rzadziej pisują. — Władysław B. we Lwowie. Łamigłówek mamy już obecnie zapas bardzo znaczny, który nie prędko się wyczerpie — dodatki można zamawiać i nabywać przez księgarnię, w której się abonuje. — Tadeusz W. uczeń IV. klasy gimnazyalnej w Krakowie. Rozwiązana całkiem trafnie — a co Ci się też w „Wieku Młodym“ najlepiej podoba i czy znasz dawniejsze powieściowe dodatki? — Emilia K. w Horodence. I my żałowałyśmy bardzo, że nas ominęła sposobność zobaczenia takiej stałej, pilnej czytelniczki i jej celującego świadectwa, ale w lecie zwykle i Redakcya wyjeżdża na wakacye, aby nabrać sił do dalszej pracy. Niespodzianką dla nas było, że Zosiunia, która nieraz pisywała do nas takie miłe liściki już jest w siódmej klasie! nie wiedzieliśmy, że to już taka poważna osóbka. — Florcia L. we Lwowie. Zapewne; choć tak dalekich projektów jeszcze nie robimy. Zagadki trafnie rozwiązane — widać, że z historyą i geografią jesteś w zupełnej zgodzie. — Dolusia T. we Lwowie Łamigłówka dobra, ale nie wiemy kiedy na nią przyjdzie kolej, bo dużo już jest dawniej

przyjętych. — Janinka P. w Brodach. A czy u Twej stryjecznej siostrzyczki widywałaś dawniej „Wiek“ i czy znasz poprzednie roczniki i dodatki powieściowe?

Marya D. uczenica pensyonatu Wnej p. Zagórskiej. Na „natarczywe pytanie“ możemy odpowiedzieć tylko, zalecając Ci cierpliwość — wyjaśnienie przyjdzie w swoim czasie. My zdradzać tak wielkiej tajemnicy nie możemy. Mamusi zasyłamy śliczne ukłony a Tobie i Marci serdeczne uściśnienia. — Zofia W. w Dołżance. Łamigłówki zdaje się zupełnie dobre, ale nie podałaś dokładnego rozwiązania — więc nie możemy ich tak ani sprawdzić ani drukować. — Tadzio W. w Sanoku. Wzajem przesyłamy Ci serdeczne pozdrowienia, ciesząc się, że gazetka ma w Tobie tak pilnego czytelnika. — Zosia S. we Lwowie. Ho! ho! I Sienkiewicz i Syrokomla i Homer — nie wiedzieliśmy, że p. Zofia ma już takie poważne grono znajomości — łamigłówka niezawodnie okaże się dobra, tylko nie wiemy czy prędko przyjdzie kolej na nią. — Małgosia z Londynu. Twój poczciwy list, świadczący o tak gorąco czującem sercu, odczytaliśmy z prawdziwem wzruszeniem. Masz słuszność, że wszystkie polskie dzieci są sobie braćmi i siostrami i że oddalenie nie tylko nie zrywa tych węzłów, ale raczej jeszcze je wzmacnia. Ś. p. Helcia K. czuła tak samo i dlatego z pomiędzy wszystkich współczytelniczek „Wieku“ do Ciebie garnęła się z najgorętszą sympatyą, wypytywała nas o Ciebie i nieraz zaszedłszy do redakcyi odczytywała Twoje listy. — Opaski kazaliśmy zmienić — gdyby Ci jakiego numeru brakowało, napisz a zaraz Ci go przeszlemy. — Wny p. I. N. we Lwowie. Najserdeczniej dziękujemy za uprzejme nadesłany, śliczny wiersz, który natychmiast daliśmy do druku, choć dział poezyi był już w bieżącym numerze wypełniony. Polecamy nadal „Wiek Młody“ życzliwej pamięci.

Odpowiedź na zagadnienie

ułożone przez E. T. dla L., M. i M. W.

A to mi się spisałeś panie dobrodzieju!
Że dzisiaj na zagadki Twojej rozwiązanie
Doprawdy mi nie starczy już w głowie oleju,
Ale Ci za fatygę dziękuję mój Panie.
Ha! cóż robić! gdy utwór swój nam dedykujesz,
Pewno i rozwiązania także wyczekujesz.
Czy trafną ma odpowiedź, doprawdy się boję,
Więc by sąd Twój złagodzić w rymy ją przystroję.
I gdy się nad zagadką moja głowa biedzi,
Nasuwa mi się naraz kilka odpowiedzi —
Kiedy nie widzę, widząc? pytasz panie bracie —
Oto pierwsza odpowiedź w realizmu szacie:
„Nieraz patrząc nie widzę niczego przedemną
A mianowicie w nocy, gdy zwykle jest ciemno“.
Drugą odpowiedź z życia biorę, mości Neniu:
„Często patrząc nie widzi człowiek w roztargnieniu,
Nieraz mu, chociaż widział, pewnie się zdarzało,
Na gładkiej drodze karku nie skręcić o mało“.
Dalszych przykładów szukaj między poetami,
Którzy nieraz w natchnieniu palną coś głupiego,
Ale tak zachwyceni są swymi rymami,
Że chociaż są widzący, nie zobaczą tego.
— Niektórzy się trzymają tej zacnej zasady,
By nie widzieć bliźniego i grzechu i wady;
Mojem zdaniem pochwały godna ta ślepota,
Aby nie widzieć złego choć się je zobaczy.
Oby w świecie powszechną bywała ta cnota
A działoby się lepiej! Czy myślisz inaczej?

M. W.

Trafne rozwiązania zagadnień zawartych w Nrze 21-szym, nadesłali: Janinka Proskurnicka, Stanisław Dobrucki, Marya i Martusia Dworskie, Wincenty Składziej, Jadziula i Masia Kawskie, Basia Lipecka, Władysław Boner, Olga, Józefa i Melitta Appermanówny, Tadeusz Woliński, Janek Górski, Fela Skólimowska, Madzia i Kazio Nitmanowie, Polska dzieweczka z nad Wisły, Lisia, Maryla i Milka Winiarzówny, Emilia Kaliczyńska, Flora Landau, Lizia Kałachówna, Zonia Dorniakowska, Marya Czausówna, Zosia Szczepańska, Tadzio Wasylewicz, Mania Tuchowska, Maksio i Arnold Zottowie, Bolesław Czajkowski, Zosia Kyszyńska, Stanisław Bimmel, Lucia Waleska, Henryk Żuławski, Józef Zborowski i Antoś Reiner.

Do nagrody wylosowani: Fela Skólimowska, Maksio i Arnold Zottowie.

Wykaz składek na obiady dla głodnych dzieci: Małgosia Helińska z Londynu zamiast wieńca na trumnę nieznanej osobiście ale kochanej siostrzyczki-Polki ś. p. Helci Kostro: 5 szyllingów. — Lisia, Maryla, Milka i Lola Winiarzówny 1 koronę.

Łamigłówka w gwieździe.

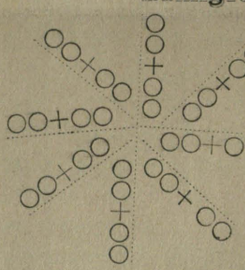

Wykrzyknik.
Rzeka w Slawonii
Rzeka w Poznańskiem.
Posiadłość Potockich przy Krakowie
Ptak drapieżny
Cnota którą ludzie mają być zbawieni.
Inaczej chwiać się.
Przyrząd służący do mierzenia materyałów.

Litery środkowe oznaczone krzyżykami, dadzą nazwę miasta polskiego. *Lilla Turska.*

Łamigłówka zgłoskowa.

Kra — e — stadt — as — ty — to — mem — na — lia — gol — le — leg — ti — che — ga — piotr — tes — o — nia — to — fis — na — dor — in — ter — ne — fan — ra — so — a.

1. Wysepka na Nilu. 2. Imię męskie. 3. Miasteczko w Piemoncie. 4. Stolica faraonów. 5. Miasto nad Dunajem. 6. Największy wodospad na świecie. 7. Wódz Warego-Rusów. 8. Rzeka w Kalabryi. 9. Port angielski nad kanałem La Manche. 10. Inaczej Mała Azya. 11. Imię największego mędrca greckiego.

Litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół dadzą imiona dwóch wodzów greckich.

Lisia i Maryla Winiarzówny.

TREŚĆ: Z jutrzni narodu. — Dzienniczek Wandzi. (Ciąg dalszy). — Złoty posiew. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. Ciąg dalszy. — Skrzydlaty Listonosz. Rozwiązania. — — Łamigłówki. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 23. We Lwowie, dnia 1. Grudnia 1900. Rok VII.

WIEK MŁODY

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.

W rocznicę listopadową.

Psalm 101-szy.

O, Panie wysłuchaj! wysłuchaj, o Panie!
Nie odwróć oblicza, nie odtrąć Ty nas!
Skłoń ucho litosne na nędznych błaganie,
Z ratunkiem się ku nam chciej kwapić w zły czas!
Bo oto dni nasze wionęły jak dymy,
Bo oto ból przegryzł do szpiku nam kość,
I serce uwiędło jak zioła wśród zimy
I chleb nam w gardzieli zastrzęga jak ość.
Opadło z nas ciało — od jęku, od łkania,
By kruka w ruinie żałosny nasz głos;
My jako pelikan co w pustce się słania —
Jak wróbla, co został bez gniazda, nasz los.
Bo oto nam dzisiaj urąga wróg luty,
I szydzi z nim społem kto sprzyjał nam wprzód —
Nam zasię łzy — napój, chleb — popiół pokuty,
Płacz gasi pragnienie, jęk syci nasz głód.
Albowiem ze szczytu strąciłeś nas sławy
Gdy przyszedł dzień gniewu i pomsty Twej dzień;
Albowiem nas ścięto jak polne te trawy —
I szczezły słoneczne dni nasze jak cień.
Przedwieczny! Ty dziejów zarządzasz epoką,
Tyś władca narodów, pokoleń Tyś stróż!
O powstań już Panie! na Syon zwróć oko,
Dzień Twojej litości niech zejdzie nam już!
Wiesz Panie jak gruzy Syonu nam miłe,
I naszej proch ziemi jak drogi jest nam;
O Panie wzbudź Syon, co wierzy w Twą siłę,
Niech króle poznają, że mocny — Ty sam!
My Panie wierzymy, że skruchy zapłatą
Nie będzie pogarda, że wzruszy Cię żal;
Czas przyjdzie — potomność czcić będzie Cię za to,
Żeś wejrzał z wysoka na ziemi tej dal.
Żeś wejrzał z wysoka na płaczu doliny,
Że jęki okutych wzbudziły Twój cud,
Żeś ojców pobitych rozwiązał z pęt syny,
By znów na Syonie Cię wielbił Twój lud.
O Panie, dopomóż by lud ten szedł prościej
Drogami praw Twoich, by w niebo wzniósł dłoń —
I wołał do Ciebie: Ty Ojcze przyszłości,
Od śmierci w dni naszych połowie nas broń!
Tyś ziemię gruntował w początków głębinie
I gwiazdy na niebie w stworzenia sił noc;
Przeminie ta ziemia — i niebo przeminie —
Tyś zawsze jednaki — bo wieczna Twa moc.
I mocen Ty jesteś, jak szatę się zmienia,
Przemienić świat, ludzkość, dziejowych dróg tór;
Tyś zawsze jednaki — lecz słabe stworzenia
Daj, niechaj już zdejmą żałobny ten wór!
Albowiem wierzymy, my — Twoich sług dzieci —
Że ojców dom naszych powrócisz Ty nam,
A naszym potomkom Twa łaska zaświeci —
I sam ich prowadząc dasz przyszłość bez plam.

Julia Terpiłowska.

Dzienniczek Wandzi.

Część I.

(Ciąg dalszy).

Marsylia, 1. maja 1900.

Dzisiaj rano, zaraz po śniadaniu, pojechaliśmy obejrzeć sobie nasz okręt „Colombo“ i zapoznać się z kapitanem. Ale, że statki kuryerskie, rządowe i wojenne, nie stoją w porcie, tylko zupełnie gdzie indziej, więc trzeba było jechać daleko, okrążając wschodnie wybrzeże przystani. Tam dopiero, na ogromnej przestrzeni, jest mnóstwo małych portów „*mollami*“ zwanych, a w każdym z nich stoi statek albo wybierający się w drogę, albo wypoczywający z dalekiej podróży.

Porty takie oznaczają nazwami liter; więc dowiedzieliśmy się, że Colombo stoi na moll *D*.

Jedziemy więc ciągle nad brzegiem morza, wreszcie przez most drewniany, na one mole, niby dziedzińce duże. Aż wreszcie na jednym z nich, u brzegu wysokiego i kamieniami wzmocnionego przystępu, zobaczyłam żółto i niebiesko pomalowany komin statku Colombo.

Właśnie ładowali towary; skrzypi żóraw poruszany za pomocą pary i koło zgrzyta, ujmując ogromnym hakiem całe masy skrzyń, koszy, beczek, spuszcza je jednostajnym ruchem na spód okrętu, gdzie zręczni majtkowie ustawiają wszystko skrzętnie, z wielką oszczędnością miejsca. W tem, widzę, przychodzi kolej na nasze kufry; każdy z nich opatrzony w adres i nazwisko. Poznaję je dobrze i robi mi się tak smutno, że pomimo całego wysiłku, wybucham płaczem. Mamusia mnie tuli i uspokaja, Ojcuszek głaszcze, a ciocia Kostunia mówi: — Nie płacz Wandeczko, nie płacz, te kufry nie potoną, a te trzy lata co tam będziecie miną bardzo prędko. Pomyśl co tam ciekawych rzeczy zobaczysz.

Ciocia mówiła to wszystko tonem żartobliwym, wesołym, ale ja widziałam dobrze, że sama miała łzy w oczach.

Poszliśmy zwiedzić statek i zapoznać się z kapitanem, z kajutą własną, w której mamy spędzić 40 nocy. Wszystko śliczne, nowe, porządek niezrównany. Sala jadalna nadzwyczajna! Fortepian, biblioteka. Sypialnia ogromna dla 500 żołnierzy, kuchnia, maszyny parowe do zamieniania wody morskiej, na wodę do picia.

Powracamy na pokład. Ojcuszek pokazuje mi stado pysznych wołów, które pędzą na statek. Biedne, podróżne zwierzęta, mówi Ojcuszek, one pewno nie do-

jadą do Tonkinu, lecz w formie befsztyków, znikać będą powoli w ustach 600 osób.

Teraz znamy już Colombo, nasz statek. Jest mi cokolwiek lżej na sercu, bo widzę, że nie odczuwa się na statku takich rozmiarów, żadnego niebezpieczeństwa.

Wypływamy z portu jutro rano, może nawet koło południa, bo statek to nie taki punktualny jak pociąg.

Poszliśmy jeszcze do miasta kupić dwa nowe fotele na pokład, bo tam każdy musi mieć swoje miejsce a oni tylko ofiarowują ławki, a że większą część dnia będziemy spędzać na pokładzie, więc musimy myśleć o wygodzie, a tej, na ławkach siedząc godzinami, nie mielibyśmy wcale.

Koniec części I-szej.

Część II. — Na morzu.

Na pokładzie Colombo, d. 3. maja 1900.

Już kilka dni płyniemy, a ja nie zajrzałam do ciebie mój dzienniczku kochany! co ty na to? pewno się gniewasz, ale ja ci się wytłómaczę. Chociaż radabym codziennie pisać, jednak nie mogłam jeszcze przez te cztery dni wziąść pióra do ręki, bo morze było trochę więcej wzburzone niż zwykle, a ja, nie będąc do tego przyzwyczajoną, ledwo sama trzymałam się na nogach. O pisaniu ani mowy być nie mogło! Dzięki Bogu, że przynajmniej dotąd nie miałam jeszcze morskiej choroby. Mamusia także nie, a o Ojcuszku to nawet nie wspominam, on nigdy nie podlega słabościom na morzu, zbyt już dużo po niem pływał. Ojcuszek mówi, że gdy się do bujania przyzwyczaję to i ja nie będę na nic zważać i nic mi ono szkodzić nie będzie — naturalnie, jeśli bujanie nie będzie zbyt wielkie.

Ale muszę zacząć od początku opisywać, jak było z wyjazdem i z pożegnaniem wujostwa, którzy tak poczciwie zrobili odprowadzając nas do Marsylii.

Ranek był śliczny, pogoda cudowna, ale cóż, to dzień rozstania, więc my wszyscy smutni. Colombo odpływa i wszystko gotowe do drogi. Dorożka stoi przed drzwiami, napiętrzona fotelami, przeznaczonemi na pokład i pudłami różnych rozmiarów, w których dziwaczne zakupna, na klimat tonkiński stosowne: kaski t. j. hełmy na głowę, sandały na nogi, ochrony przed muskitami — wszystko to, usłużni kupcy marsylijscy trzymają w pogotowiu dla podróżnych, wyjeżdżających codziennie w różne świata strony.

Ruszamy ku portowi na znany nam Moll D. — już z daleka poznajemy statek Colombo, z kominem niebiesko i żółto pomalowanym. Usłużni tragarze przenoszą rzeczy. Schodki łączą brzeg wysoki ze statkiem. Tu już ruch nadzwyczajny, coraz nowe dorożki nowych przywożą podróżnych. Wszyscy patrzą na siebie wzajem z zajęciem: obcy sobie dotąd, mają na tej małej przestrzeni, zamkniętej ścianami okrętu, spędzić razem długie dnie i tygodnie: „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem“, dzieląc razem ciszę i burzę, a nie daj Boże, niebezpieczeństwo życia!

Równocześnie z nami zajechała dorożka, w której siedział oficer z żoną i dwojgiem dzieci, chłopczykiem i dziewczynką — bardzo sympatycznie wyglądali.

Krzątają się francuzcy oficerowie i żołnierze prości — Anamici i Chińczycy, rozweseleni myślą powrotu „do siebie“ wyszczerzają swe ogromne, wystające zęby w bezmyślnym uśmiechu, jak mówi o nich Ojcuszek. Ojcuszek schwycił jednego za warkocz i pokazał czarne, jedwabne nici, wplecione aby warkocz był dłuższy i grubszy. Jeden młody wojskowy popisywał się znajomością języka anamickiego, wdając się w rozmowę z synem Anamu. Słucham tych dźwięków monotonnych, jednosylabowych, które do ucha wpadają mi tak: „mong, dong, nong, fong, long“.... Komisarze, kelnerzy przebiegają statek, znikają pod pokładem w małych otworach i drzwiczkach; nakrywają do śniadania.

Schodzimy do sali jadalnej — wesoło tam, zapraszająco wygląda. Biała, długa, od sufitu zwieszająca się do środka stołu, zasłona poruszać się będzie automatycznie, chłodząc biesiadujących podróżnych, gdy wjadą w powietrze ciężkie, upalne. Rzędem stoją butelki i lód w wiaderkach.

— Spokojnam, że z głodu nie umrzecie! — mówi ciocia Kostunia. — A potem zeszedłszy do kajuty i zobaczywszy pasy ratunkowe z drzewa korkowego, wiszące koło każdego łóżka na okręcie, dodała: — Oby wisiały tak nietknięte do końca podróży.

Ciocia powiesiła nad naszemi łóżkami mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który miała jeszcze od swej matki, a mej babki. Dziwnie ten obrazek wygląda pomiędzy pasami ratunkowemi, na które z początku bez pewnej obawy patrzeć nie mogłam. Ale teraz już się do tego widoku przyzwyczaiłam.

Gdy gwizdawka parowa dała pierwszy sygnał odjazdu, Mama i ciocia padły sobie w ramiona i obie wybuchnęły płaczem. Całowały się po twarzy i po rękach, żegnały się najpieszczotliwszemi imionami i powtarzały na przemian: — „Za trzy lata!“ „A pisz!“ „Za trzy lata!“ „Mój Boże!“ — Potem ciocia przyszła do mnie, uściskała mnie, przeżegnała i mówiła mi słowa, które na mnie wielkie zrobiły wrażenie, bo nigdy jeszcze ciocia nie odzywała się do mnie tak poważnie. Ciocia mówiła tak:

— Moje dziecko najdroższe, pamiętaj, że matkę powierzam twojej szczególnej opiece! Jesteś w tym wieku, że możesz mnie już zrozumieć, tem więcej, że zawsze rodzice przypuszczali cię do poważniejszych rozmów. Powinnaś Matce dodawać odwagi i otuchy, czuwać nad nią i wspierać ją moralnie, gdy jej samej odwagi zabraknie. Nie zajmuj jej sobą! pamiętaj żeś Polka, a Polki umieją się poświęcać. Bądź wesołą: swoboda to cnota! potrzeba ci jej dużo, bo nieraz może będziesz musiała mieć jej za troje. Nie narzekaj, gdy przyjdą wielkie upały, lub gdy muskity dokuczać ci będą — bądź cierpliwą, myśl o rodzicach, nie o sobie. Pamiętaj, że oni tak bardzo się trapią o ciebie z obawy przed klimatem, który może być dla was szkodliwym.

Chociaż nie wszystko zrozumiesz z tego, co ci teraz mówię, zapamiętaj to sobie jednak, bo później to wszystko ci się rozjaśni. Bądź przyjaciółką Mamusi, grzeczną, posłuszną córeczką. No, przyrzeknij mi, że będziesz pomocą Mamusi i podporą w każdej trudnej chwili życia.

Rozpłakałam się i całując ciocię w rękę i ściskając ją za szyję, szeptałam jej wśród łkań:

— O przyrzekam, przyrzekam! Ja rozumiem, chociaż jestem jeszcze małą, co ciocia odemnie wymaga, ja zupełnie dobrze rozumiem!

Ale pomimo tego płakałam coraz więcej i coraz głośniej, tak że Mamusia siedząca w fotelu, słysząc to, schwyciła Ojca za rękę i zawołała:

— Boże, Boże, ona się jeszcze rozchoruje!

Biedny mój złoty Ojcuszek stał tak bezradny, sam mocno strapiony, pomiędzy nami płaczącemi, a ciocia Kocia znów do mnie się zwróciła:

— Moje drogie dziecko, uspokój się; pomyśl, Mamie samej serce pęka z bólu, a ty jej jeszcze zmartwienia przysparzasz kłopotem o siebie. Zamiast Mamę pocieszać, ty ją jeszcze więcej rozczulasz.

Zrobiłam wielki wysiłek woli, puściłam ciocię, sięgnęłam do kieszeni po chustkę, obtarłam oczy z łez i tak się wstrzymywałam, że mogłam wołać za wujostwem: — z Bogiem, do widzenia! — i patrzeć spokojnie, jak schodzili ze słodków.

Na pokładzie pięćset osób stoi, patrząc na wybrzeże — usuwają kładkę — zasuwają otwór baryery — świst przeciągły — chustki i kapelusze powiewają — Colombo się poruszył — drgnął — zaszumiała woda — odpływamy!

Stałam patrząc i patrząc, nie mogłam oczu oderwać od tego brzegu, na którym to coraz więcej malały ludzkie postacie. Nie płakałam już w głos, tylko łzy cicho spływały mi po twarzy. Mamusia to już nawet patrzeć nie chciała na ciocię, którą z początku doskonale było widać, a potem coraz była mniejsza, mniejsza, aż zupełnie znikła nam z oczu.

Byłabym rada tak stać w nieskończoność i patrzeć na tę ziemię, której tyle dni nawet z daleka nie zobaczę, ale przypomniałam sobie słowa cioci — nie myśl o sobie! — więc chociaż mi było bardzo, ale to bardzo niewesoło, odeszłam od balustrady, przybliżyłam się do Mamusi i zaczęłam zupełnie swobodnie wypytywać, który fotel, będzie moim? ile franków Mama za niego zapłaciła? i t. d. tak, że udało mi się wreszcie wydobyć od Mamusi odpowiedź, a nawet wciągnąć ją do rozmowy.

Mój Boże, Mamusia pewno myślała sobie, że ze mnie wielkie jeszcze dziecko, kiedy nie czuję tej rozłąki, ani doniosłości całej podróży. Ale ja bardzo dobrze wszystko rozumiem, tak głupią nie jestem, chociaż mam dopiero lat 12, tylko ja naumyślnie ukrywam przed Mamusią, to co czuję, aby jej oszczędzić zmartwienia i niby nic sobie z tego nie robię — może Bóg da, że Mamusia widząc mnie wesołą, swobodną, sama się uspokoi.

Zaprowadziłam Mamusię do kajuty, radziłam jak, co, lepiej urządzić, ustawić, aby było najwygodniej i najwięcej miejsca. Udało mi się uspokoić Mamusię do tyla, że gdy zadzwonili na śniadanie, to chociaż oczy miała jeszcze bardzo czerwone, nie płakała już zupełnie.

Ojeuszek przyszedł po nas, był biedak bardzo blady, przybliżyłam moją twarz do jego ukochanej twarzy, objęłam go za szyję i zaczęłam się do niego uśmiechać. Ale musiał to być bardzo smutny uśmiech, bo Ojcuszek objął mnie wpół, pocałował serdecznie i ze łzami w oczach powiedział, patrząc na mnie z rozrzewnieniem.

— Dzielne z ciebie dziecko!

Poprawiłyśmy z Mamą trochę nasze ubrania i zeszłyśmy do jadalnej sali, która jest blisko naszej kabiny.

Jak tylko weszłam, zaraz spotkałam tych państwa, co razem z nami przyjechali dorożką. Pani miała oczy mocno czerwone, ale dzieci śmiały się i weseliły. Jedno mogło mieć cztery lata, drugie sześć lat najwyżej. Nikt nic nie jadł, wszyscy byli smutni i milczący, nawet mężczyźni.

Pisałam ten rozdział kilka dni, a jednak jestem zmęczona. Dobranoc, dzienniczku mój kochany, przyjacielu poczciwy, tobie jednemu powierzać teraz będę moje kłopoty i troski, bo Mamusi nie mogę niczem martwić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Złoty posiew.

(Ciąg dalszy).

W chacie starego Macieja, najzamożniejszego i najbardziej we wsi szanowanego gospodarza, wielka zapanowała radość: syn najmłodszy, jedynak między pięciu siostrami, powrócił z paroletniej wędrówki po dalekich, obcych miastach, kędy się na rzemieślnika kształcił — bo choć po ojcu spory kawał gruntu miał odziedziczyć, do kowalstwa miał taki talent i ochotę, a do zobaczenia dalekiego świata taką ciekawość, że ledwie z dziecka na chłopaka wyrósłszy, wyprosił sobie u ojca pozwolenie i błogosławieństwo na drogę.

— Zobaczycie — obiecywał — wrócę takim majstrem, że cała okolica już nie do miasta, ale do mnie z wszelakiem zepsutem narzędziem ściągać się będzie. Niech sobie szwagrowie z ojcem na gruncie gospodarzą — dosyć ich jest — moich rąk tu nie zbraknie — a ja, da Pan Bóg, za zarobione na rzemiośle pieniądze ziemi dokupię, i jeżeli co dobrego po obcych krajach zobaczę, w głowie i w sercu to do rodzinnego kąta przyniosę, jak gościniec z podróży dla tych, co prócz własnej zagrody, innych nie widzieli światów.

Poszedł — wyglądały oczy Macieja jego powrotu, wyczekiwało go serce ojcowskie, którego ten syn najmłodszy i jedyny był najmilszym klejnotem. Wojtek pisywał rzadko i choć go ojciec w liście każdym wypytywał o godzinę powrotu, na pytanie to nie dawał dokładnej ani pocieszającej odpowiedzi. — Wrócę — pisał — gdy się nauczę wszystkiego czego mi potrzeba.

Aż gdy rok, drugi i trzeci upłynął a Wojtek wciąż tem samem słowem zbywał prośby ojcowskie, stary Maciej zaturbował się srodze, czy ta wędrówka po obcych krajach nie przemieniła mu syna, czy nie poniosła go gdzieś na krańce świata, jak ten liść zwiędły, co już nigdy nie miał do rodzimego pnia powrócić i przyrosnąć.

Tak rozmyślał stary Maciej, rozpamiętując dawne lata i troski, aby serce zamknąć przed nową zgryzotą, która się weń gwałtem wciskała: Ludzie po wsi szeptali sobie na ucho, że w rodowskim dworze źle coś słychać, że niedługie tam już panowanie starych państwa i starego obyczaju... ot, nie daj Boże, jakie smutne mówili rzeczy, aż dusza Macieja dowierzać im nie chciała i kurczyła się z trwogi na myśl, że choć ludzkie gadania jak plewa puste, zawsze się w nich ziarno prawdy zachować może.

Zabłysnął nareszcie, wśród tych smutnych dni, nad chatą Macieja promień wielkiej radości. Chmurnym, listopadowym rankiem, Wojtek zastukał do domowych wrót i gdy wszedł do chaty taki rosły, że głową aż pod pod powałę sięgał — ubrany trochę z miejska,



„...toż tu, jak świat światem, Niemców nie bywało!“

Chłopak był taki „swój“ gdy odchodził — uchowaj Boże aby miał przepaść jak kropla w obcem morzu, albo żeby powrócił z obcą wiarą w sercu i obcem słowem na ustach.

Ale nie — on nie taki! jemu chyba zawsze dym własnej zagrody pachnąć będzie — i rodzony, polski pacierz cudniejszym dźwiękiem zadzwoni w sercu niż wszystkie cudzoziemskie spiewy i grania. Toż go tego pacierza i katechizmu sama wielmożna pani uczyła, i całej gromadzie współuczących się dzieci stawiała go za przykład dla jego pilności i uwagi. Matką mu była chrzestną, a i życie, jej, jakoby prawdziwej matce zawdzięczał, bo go odratowała z ciężkiej cholery, która przeszła przez wieś nie omijając ani jednej chaty, na każdych drzwiach prawie kładąc czarny krzyżyk żałoby.

Ciężkie to było lato — i gdyby nie dwór i nie państwo, co nie zważając na zarazę, do każdego chorego spieszyli z ratunkiem, możeby ta cała liczna i zamożna osada wyginęła marnie, jak giną kłosy na polu, gdy po nich grad przejdzie.

ale z tym samym zawsze szczerym uśmiechem w oczach i tem samem „Niech będzie pochwalony“ na ustach, świat poweselał odrazu staremu wieśniakowi, jakby mu jasne, majowe słonko wszystkie chmury rozproszyło.

Wojtek powrócił taki sam „swój“ jakim poszedł w obce kraje. Uchował go snać św. Patron dla tej biednej krainy, co tak bardzo rąk i serc swoich dzieci potrzebuje. — Chłopak wyrósł tylko, zmężniał na podziw, obszedł kawał świata i jak ta pszczoła z kwiatów, wszędzie miód nauki zbierał, aby go znieść do swojego ula. I grosza też zarobił już sporo — starczy go na niejeden zagon tej polskiej ziemi, na którą sobie Niemcy zęby ostrzą, nie wiedząc nawet czy ją ugryźć potrafią. Ale serce pozostało w nim takie same, i nawet obyczaju rodzinnego nie zapomniał — nie zhardział między ludźmi. Do wspólnej miski zasiadł z całą rodziną i u szwagrów prosić się począł, żeby mu który sukmany i czapki pożyczył, bo w tym surducie „nijako“ iść między swoich, a trzebaż się z sąsiadami przywitać i do dworu, do pani a chrzestnej matki pospieszyć, podziękować za wszystko.

— Za cóż ty jej teraz właśnie dziękować masz? — rzucił jeden ze szwagrów — toć nie widziała cię cztery lata a nie widząc, nic dobrego przecie świadczyć ci nie mogła.

— Oj, nieprawda — zaprzeczył Wojtek, wstrząsając głową — nie widziała mnie ona — ale ja ją pamięcią widziałem nieraz i słyszałem wszystkie słowa, któremi ona uczyła mnie, dzieciaka. A te słowa jej, później dopiero, na obczyźnie dojrzały w mojej duszy i karmiły mnie jak chleb domowy i gasiły moją tęsknotę niby ta czysta woda z naszego Gopła. Toć gdyby nie pani, co mnie po polsku czytać nauczyła, byłbym może przez te lata i rodzinnej mowy zapomniał i byłbym teraz między swoimi jak niemy ptak, co głosu z piersi dobyć nie może — bo tylko książki polskie co je woziłem ze sobą, gadały do mnie po swojemu i o swoich. — Oj, dużo dobrego robiła dla mnie przez te lata nasza święta pani — toż naprzód, ojcze, do kościoła nam iść potrzeba — a potem do niej z powitaniem i podzięką.

Poszli — Maciej przez drogę chmurny był i zasumowany — nie chciał synowi truć pierwszych chwil powrotu a coś go aż paliło, żeby zwierzyć przed Wojtkiem tę troskę, którą ludzkie gadania o rodowskim dworze rzuciły mu w serce.

Jednak, gdy doszli do żelaznych sztachet okalających dziedziniec, Maciej drgnął i zatrzymał się jak wrośnięty w ziemię, bo oto, przed samemi schodami ganku, zobaczył samego p. Schwabe gramolącego się właśnie na niski a szeroki grzbiet swego mierzyna — i posłyszał głos szorstki rzucający w panującą dokoła ciszę, jakieś gniewne wyrazy czy klątwy.

— Czekaj, niech on najpierw pojedzie sobie — szepnął stary wieśniak, wstrzymując syna za rękę.

— On?... a cóż on tu robi, Niemiec szelma, u naszych państwa? — toż tu jak świat światem Niemców nie bywało! — mruknął gniewnie młody.

Maciej pokiwał głową i z cicha w krótkich słowach jął opowiadać jakie smutne wieści chodziły między ludźmi: a Wojtek słuchał i płomienie uderzały mu na twarz, w błękitnych oczach jawiły się błyskawice, które mogłyby powalić i zdruzgotać p. Schwabe, gdyby on nie był jednym z tych, co ni Bożych, ni ludzkich nie lękają się gromów, bo w grosz tylko wierzą i pod osłoną jego potęgi czują się zawsze bezpieczni.

Skończył ojciec — syn długą chwilę stał z oczyma wbitemi w ziemię i piersią drgającą wzruszeniem — nareszcie podniósł twarz znowu tak jasną, jakby promień słońca ściągnęła na siebie i rzekł głosem pewnym i mocnym:

— Powiadacie ojcze, że starzy państwo pieniędzy nie mają i że dlatego dom ich i ziemia pójdzie w niemieckie ręce a oni sami w świat między obcych, na poniewierkę?... — Nie! jak Bóg na niebie, to nie może się stać, chybaby cała nasza gromada wpierw wymarła na jaką zarazę gorszą od owej cholery, z której mnie nasza pani wyratowała. A małoż to nas jest, mieszkańców całej wsi, mało w każdej chacie rąk zdrowych, serc ochoczych, żebyśmy tej jednej, dworskiej strzechy nie uratowali od niemieckiej pożogi? Jednego z nas Niemiec łatwo zdusi — ale wszystkich, nie daj mu Boże próbować! bo jak się weźmiemy za ręce, to gorzej cierniowego płotu ogrodzimy każdy łokieć naszej ziemi, przed tymi niemieckiemi psami — nie pomogą ich kły ni pazury! Państwo długo byli dla nas rodzicami — pokażmyż im się teraz jako dzieci — i jako dzieci, które pani nie napróżno polskiego czytania i katechizmu uczyła!

. . . . . .

(C. d. n).

Irena Mrozowicka.

Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Ciąg dalszy).

— Na wieki wieków amen.

— Czy który z was zna drogę do Klenik? zapytał pan Niemcewicz.

— Oj jej! odpowiedział ochoczo jeden z malców.

— A zaniósłbyś do dworu cytryny?

— Czemu nie!

Julianek posłyszawszy pomyślną odpowiedź, skinął na żydka, kupił cytryny, poczem wręczył je bosonogiemu posłańcowi, przyczem wsunął mu do ręki kilka groszy za fatygę. Wtem nawet nie pozwolił wyręczyć się ojcu.

— Powiedz, że panicz Julianek posyła Jejmości cytryny! — zawołał pan Niemcewicz za odchodzącym chłopcem. — No, w Imię Boże, jedź Michale!

Pani Niemcewiczowa bardzo a bardzo! ucieszyła się niezwykłym spiżarnianym przysmakiem, którym nieobecny syn przypomniał się matce.

Pierwszy nocleg wypadł naszym podróżnym w Neplach, dobrach stryja Julianka. Następujące nie były już tak wygodne, trzeba było spędzać je w karczmach przydrożnych. Wprawdzie z Klenik do Warszawy było tylko 26 mil, ale, że jechać trzeba było drogą piaszczystą, więc podróż odbywała się bardzo powoli. Czasem robiono zaledwie 3 mile dziennie. W dodatku, ponieważ w kraju były wojenne rozruchy, zachodziła obawa spotkania jakiegoś zbrojnego oddziału, bo w takich razach nieraz zgłodniałe wojsko bez ceremonii zabierało podróżnym ich zapasy żywności i pieniężne zasoby.

Pan Niemcewicz który zaopatrzył się był na drogę w 200 dukatów, — oddając bowiem syna do

szkół pieniędzy potrzebował — chcąc tę sumę lepiej zabezpieczyć, podzielił ją na drobne kwoty i po kilka dukatów rozdał do schowania między służbę jadącą wspólnie z nimi. Wierni słudzy ukryli powierzone sobie dukaty w cholewach butów, zabezpieczając je w ten sposób przed rabunkiem.

Ostrożność ta jednak okazała się zbyteczną, bo naszych podróżnych nie spotkała w drodze żadna napaść. Szóstego dnia wieczorem stanęli o milę od Warszawy. Pan Niemcewicz kazał zatrzymać konie, wysiadł z kolasy i rzekł do syna:

— Wysiadaj! pójdziemy na ten oto wzgórek, stamtąd doskonale widać Warszawę.

Julianek jednym susem stanął przy ojcu.

Niebawem wyszli na wzgórze, a zdumionym oczom dwunasto-letniego chłopca ukazała się stolica. O w jakież zdziwienie wprawiły go liczne a wysokie wieże kościelne! i rozległość miasta, opasanego modrą wodą Wisły. Już Brześć Litewski wydawał się Juliankowi okazałem miastem, cóż zatem dziwnego, że na widok stolicy oniemiał z podziwu.

A podziw chłopca potęgował się w miarę zbliżania się do Warszawy. Zatrzymano się na Pradze, tu bowiem pan Niemcewicz miał dobrych znajomych. Odpocząwszy nieco udali się nad Wisłę, dzielącą Pragę od Warszawy. Podówczas mostu jeszcze nie było, przebywano rzekę promem. Nasi jednak podróżni nie mieli zamiaru udawać się dziś do Warszawy, przyszli jedynie, aby spojrzeć na królowę rzek polskich, i popatrzeć na stolicę.

Julianek cały zamienił się w słuch i wzrok. Dziwił go ruch i gwar panujący nad rzeką, zachwycała Wisła rozlewająca szeroko swe wody. Naraz, do uszu jego doszła muzyka, płynąca zdali, jakby ją niosła fala wodna.

Równocześnie, oczom chłopca ukazała się duża łódź, płynąca środkiem Wisły. Na łodzi znajdowało się strojne towarzystwo, któremu przygrywała muzyka. Za pierwszą łodzią ukazała się niebawem druga, trzecia i dziesiąta. Chłopcu się zdawało, że łodziami płynie drużyna weselna, dowiedział się jednak, że to mieszkańcy stolicy używają zwykłej, wieczornej żeglugi po Wiśle.

Korpus kadetów.

Nazajutrz, t. j. 8-go sierpnia 1770 roku zerwał się Julianek, z posłania prawie o brzasku. Obudziła go niecierpliwość i ciekawość przyjrzenia się z bliska stolicy. Ponieważ dzień ten wydawał mu się bardzo uroczystym ubrał się zatem jak mógł najstrojniej. Wdział żupanik kitajkowy niebieski, kontusik karmazynowy i pas przetykany srebrem. Po śniadaniu przeprawił się z ojcem promem przez Wisłę i wszedł nareszcie w ulice Warszawy. Oszołomiony i zachwycony gwarem, jaki ich zaraz otoczył, nie wiedział strojny panicz gdzie pierwej patrzeć: Czy na okazałe gmachy? czy na mieszkańców stolicy, pieszych lub jezdnych? Nim oczy jego przywykły do miejskiego ruchu, aliści zajęła go rzecz nowa. Oto wychodząc z ulicy Bednarskiej ujrzał ciągnącą do zamku wartę gwardyi litewskiej, a na jej czele hucznie grającą kapelę wojskową. Cały przejęty niezwykłemi wrażeniami, przyszedł Julianek z ojcem do stryja, który mieszkał w Warszawie dla edukacyi dzieci. Stryjeczni bracia i siostry wybiegli naprzeciw nich z radosnymi okrzykami i do reszty oszołomili wieśniaka swoją gadatliwością.

— Ależ ja widzę, żeś ty Julianku w Warszawie głowę stracił! wołał jeden z braci.

— Zwyczajnie parafianin! mówił tonem wyższości drugi.

— Czy wiesz, że będziesz mieszkał w pałacu królewskim? pytała jedna z sióstr.

Gdy na to pytanie Julian bardziej jeszcze się zdumiał, a raczej zgłupiał, jak mówili jego stryjeczni bracia, dobra siostra ulitowawszy się nad nim, jęła mu tłumaczyć, że szkoła rycerska pomieszczona jest w pałacu, który dla siebie zbudował król Jan Kazimierz.

— A widzisz! powiedziałem ci, że mieszkać będziesz w królewskim pałacu! — rzekł jeden z braci — i to dziś jeszcze ujrzysz swoje przyszłe mieszkanie!

Julian zbladł: Jakto? dziś już miał rozpocząć to nowe życie o którem myślał z zachwytem ale i ze strachem zarazem — dziś już miał się znaleść sam między obcymi?

— Czegożeś się znowu przestraszył? zawołał jeden z chłopców.

Najstarsza z dziewczynek domyśliła się uczuć Julianka; dobre jej serduszko ulitowało się nad chłopcem, to też zaczęła go uspokajać.

— Dziś są imieniny jednego z kadetów, Kajetana Miączyńskiego, zaprosił on na zabawę moich braci, więc i ty z nimi pójdziesz, i szkołę się przypatrzysz. Nie zostaniesz tam jednak dzisiaj, nauka w szkole rozpoczyna się dopiero 12-go. Kilka jeszcze dni spędzisz z nami, rozpatrzysz się przez ten czas i oswoisz z miastem.

Rzeczywiście wkrótce po obiedzie Julian poszedł razem ze stryjecznymi braćmi do Kazimierzowskiego pałacu. Gmach okazały, do którego wchodziło się przez kamienną bramę, zrobił wrażenie na naszym wieśniaku.

Naprzeciw gości wybiegło kilkunastu kadetów, którzy radosnymi okrzykami witali przybyszów.

— Oto wasz przyszły kolega! mówili Niemcewicze zamieszkali w Warszawie, wskazując Juliana.

Kadeci od stóp do głowy zmierzyli nowo przybyłego, on nawzajem ogarnął wszystkich ciekawym wzrokiem. Kadeci mieli na sobie pąsowe kurtki z granatowymi kołnierzami. Po wzajemnych krótkich oględzinach, przyszli koledzy powitali się podaniem ręki.

— Litwini w szkole rycerskiej cieszą się dobrą sławą — rzekł jeden z kadetów Julianowi — więc i ty jako Litwin będziesz dobrze widziany.

— Chwała Bogu! — zawołał Julian. — A którzy to Litwini zrobili nam dobrą sławę w szkole?

— Czyż potrafię wyliczyć wszystkich? — odpowiedział zapytany. — Najlepiej zapamiętałem nazwisko Tadeusza Kościuszki. Wspominają go tu nieustannie! Nietylko profesorzy, ale i książe generał, a nawet sam król, stawiają go nam jako przykład. Tadeusz Kościuszko, jeden z pierwszych uczniów szkoły rycerskiej, zapisał się w pamięci profesorom wytrwałą pilnością i wzorowymi obyczajami. To też po skończeniu szkoły rycerskiej, mianowano go podbrygadyerem a następnie oficerem; potem wyjechał za granicę dla dalszego kształcenia się w sztuce wojskowej. Nasi profesorowie powiadają o nim, że kiedyś jego sława rozejdzie się daleko po za mury szkoły rycerskiej.

Julian, słuchając opowiadania uprzejmego kadeta, szedł wraz z innymi po szerokich schodach do obszernej sali, w której był stół nakryty na kilkanaście osób. Kajetan Miączyński, gospodarz dzisiejszej uczty zapraszał uprzejmie wszystkich na kawę, ciasta i owoce. Chłopcy prosić się nie dali, zasiedli do stołu i wkrótce uwinęli się z podwieczorkiem, pilno im bowiem było do zabawy. Julian zaledwie miał czas rozpatrzeć się po obszernej sali, w której zaciekawił go wiersz, wypisany złotemi literami na ścianie. Był to wiersz Krasickiego: O miłości Ojczyzny, tak brzmiący:

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe!
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle roskosze prawdziwe!
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!

Gdy Julian przebiegał wiersz oczyma, spostrzegł to jeden z kadetów i rzekł.

— Daj teraz pokój wierszom, będziesz się musiał wyuczyć ich na pamięć i powtarzać co sobota podbrygadyerowi razem z katechizmem kadeckim. A czy umiesz już katechizm?

— Jakże możesz pytać o to! zgorszył się Julian.

— Pytam się o katechizm kadecki — usprawiedliwiał się kadet.

— A czy to dla kadetów jest jakiś inny katechizm niż dla wszystkich?

— Nie do nauki religii — ale każdy uczeń szkoły rycerskiej, prócz katechizmu, którego nauczył się dzieckiem, musi umieć katechizm kadecki, pouczający obowiązków obywatelskich. Katechizm ów napisał dla nas sam książe generał, każdy kadet musi go umieć na pamięć i aby go nie zapomniał, ma obowiązek powtórzyć go w każdą sobotę przed podbrygadyerem.

— O katechizmie kadeckim nie słyszałem, tłumaczył się Julian. O szkole rycerskiej wiem tylko z gazet.

— W takim razie wiesz bardzo mało, w gazetach bowiem szczegółów niema. Teraz jednak, skoro do naszego korpusu wstępujesz, poznasz zwyczaje szkolne, a jeżeliś ciekawy, to oprowadzimy cię po całym gmachu. Koledzy rozbiegli się do rozmaitych zabaw, a my tobie towarzystwa dotrzymamy.

— Jeżeli wam zabawy nie żal, to oprowadźcie mnie po szkole.

— A więc chodźmy! zawołali kadeci i poskoczyli w głąb gmachu, Julian poszedł za niemi. — Czy zawsze chodzicie w czerwonych kurtkach? zapytał jednego z chłopców.

— W kurtkach chodzimy na codzień; od parady mamy bardzo wspaniałe mundury. Zobaczysz nas w nich, gdy będziesz wstępował do naszego korpusu. Nasze mundury są śliczne. Nawet król najczęściej chodzi w mundurze kadeckim.

— A to dlaczego? — zadziwił się Julian.

— Dlatego, że król jest kapitanem korpusu kadetów. Dziwi cię to? nie domyślałeś się, że wstępując do szkoły rycerskiej, dostaniesz się pod dowództwo samego króla Jegomości. Musisz wiedzieć, że w całej Rzeczypospolitej niema drugiej szkoły, któraby się z naszą równać mogła!

— Król Jegomość, jakkolwiek jest naszym kapitanem, niema jednak czasu zajmować się nami wyłącznie; wyręcza go książę generał, który jest naszym komendantem. A jest komendantem nie od parady! Opiekuje się nami nie jak komendant korpusu, ale jakby ojciec rodzony, bardzo troskliwy i pragnący dzieci swoje wychować na zacnych obywateli kraju.

Julian słuchając opowiadania, rzekł:

Teraz nie dziwię się, że szkoła rycerska jest najlepszą szkołą w Rzeczypospolitej, skoro najwyższe a światłe osobistości w kraju, nią kierują.

— Szkoła rycerska jest „oczkiem w głowie“ króla Jegomości i księcia generała, rzekł z dumą jeden z kadetów. (C. d. n.).

Poczta „Wieku Młodego“.

Do Małgosi w Londynie!

Matka ś. p. Helenki Kostro, przesyła Ci, Kochana Małgosiu, serdeczne Bóg zapłać za szczerą i serdeczną życzliwość jej biednej córce okazaną, oraz błogosławieństwo nieszczęśliwej matki — która w przeciągu pół roku utraciła wszystko co miała najdroższego — t. j. męża, i pełnych nadziei syna i córkę!

Przyszlę Ci, kochana, fotografie moich dzieci — oraz fot. „Salonów króla Jana III.“ w kamienicy jego we Lwowie, przez ś. p. syna mego robione.

Za szylingi w imieniu głodnych dzieci dziękuję Ci zacna dzieweczko! *Matka Helenki.*

List do Wandzi w Tonkinie!

Droga Siostrzyczko Polko, w dalekim Tonkinie
Która szczerze ojczysty kraj swój pokochałaś,
Choć zdala od Ojczyzny, wśród obcych wzrastałaś,
W gościnnej, pięknej, ale obcej Ci krainie!

Ja wzrosłam w polskiej, Tobie nieznanej, dziedzinie
Lecz w jednaki nas sposób obie wychowano,
Ukochać Boga, bliźnich i ziemię kazano,
Gdzie drzemie ojciec Kraków, matka Wisła płynie

Więc choć zdala od siebie, sercem bliskie sobie,
Bo jednako czujemy, i jednako obie,
Tę wspólną naszą Matkę: polski kraj, kochamy!

Siostrzyczka Polka śle więc z kraju ojczystego
Serdeczne pozdrowienie z pod nieba polskiego,
Rodaczce na obczyźnie po nad oceany!

Maryla Winiarzówna.

Wyjaśnienie zagadnienia z Nru 21.

(Dla M. W.).

Coś za trudne me pytanie,
Boś się bardzo nabiedziła
By dać trafne rozwiązanie!
Odpowiedzi było siła:
Każda sobie ma myśl swoją,
Lecz nie mego zagadnienia —
Bo w niej takie słowa stoją:
— „Nieraz patrząc, gdy jest ciemno,
Nic nie widzę, co przedemną". —
Tak, to prawda! ale przecie
Jam się pytał co innego:
— Kiedy widząc człek nie widzi? —
A Twój wiersz nie mówi tego!
— Prawdą to jest, że czasami
Człowiek, patrząc w zamyśleniu,
Zajęty swemi myślami,
Potknie się gdzieś na kamieniu;
Ale z tego nie wypływa,
Chociaż wzroku nie używa,
Żeby nie widział kamienia —
Nie zważał nań; z roztargnienia!
— O fizycznym wzroku mówiąc,
O duchowym nie myślałem
I poetów z „powołania"
Zagadnieniem nie tykałem...
Na ostatek to Ci powiem,
Że nie jestem tego zdania
By nie mówić nic na błędy:
Kto ma słuszność, niech przygania,
Niechaj prawo będzie wszędy!
Dam ja spokój już pisaniu,
Lecz wyjawię rzecz nareszcie:
— Widząc co się z przodu dzieje,
Nie widzimy co za nami! —
Chcecie? wierzcie. — Nie, nie wierzcie,
Nie będę się sprzeczał z wami.

E. T.

„Skrzydlaty Listonosz" tym razem dla braku miejsca, dziękuje tylko tym kochanym Czytelniczkom które już przysłały roboty na drugi konkurs szycia — a odpowiedzi na listy rozniesie wszystkim dopiero w następnym numerze.

Rozwiązanie zagadnień z ostatniego numeru nadesłali: Lizia Kałachówna, Zosia Kyszyńska, Maksio i Arnold Zottowie, Jadziula i Masia Kawskie, Marya Czausówna, Kazio Nitman, Bolesław Czajkowski, Zonia Dorniakowska, Janek Górski, Henryk Mildenhawer, Basia Lipecka, Mania Krauze, Stanisław Bimmel, Jania Dłuska, Henryk Żuławski, Moryś Flippner, L. Waleska, Olga, Józefa i Melita Appermanówny, Szperacz II, Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny, Kazio Chudzik, Romana Wolińska, S. Stanek i Tadziuś Gulajewicz.

Do nagrody wylosowani: Stanisław Bimmel, Basia Lipecka i Janek Górski.

Łamigłówka zgłoskowa.

Sie — nik — gier — na — in — li — kon — oj — wę — ce — radz — łyż — a — dor — na — ski — dyk — ciec — mi — ki — nas.

1. Znakomity współczesny malarz polski. 2. Sprzęt kuchenny. 3. Istota droga każdemu dziecku. 4. Poeta polski z XVIII. w. 5. Owoc południowy. 6. Imię żeńskie. 7. Największy ptak. 8. Ptak domowy

Litery początkowe czytane z góry na dół a końcowe w odwrotnym porządku, dadzą nazwiska dwóch sławnych poetów polskich. *Fela Skolimowska.*

Szarada

ułożona dla Dolki T. we Lwowie.

Dwa razy pierwsze z drugiem i pierwszem — tak kogut [woła;
W podwórzu na to, pierwsze i drugie gdaczą dokoła.
Pierwsze i czwarte z Antylskich wysp to jest jedna.
Jeżeliś czwarte z trzeciem dostała toś biedna!
Drugie i czwarte zwykle jedzone na Wilię bywa
W czwartem i pierwszem obficie naftę się wydobywa.
Pierwsze zaś z trzeciem w Galicyi mapie dopatrzysz [snadnie.
Z wszystkiego razem miasto dalekie wnet ci wypadnie.

Lisia i Marylka Winiarzówny.

! Numer dzisiejszy jest przedostatnim w roku! **przypominamy wczesne wyrównywanie rachunków** — bo w czasie świątecznym gdy już wpływają prenumeraty na rok następny, utrudnia to robotę w Administracyi!...

TREŚĆ: W rocznicę listopadową. — Dzienniczek Wandzi. (Ciąg dalszy). — Złoty posiew. — Obrazki z młodości zacnego obywatela. Ciąg dalszy. — Poczta „Wieku Młodego". — Rozwiązania. — Łamigłówki. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego", pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 24. We Lwowie, dnia 15. Grudnia 1900. Rok VII.

WIEK MŁODY

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY I DZIECI.

Przadpłata wynosi: rocznie, już wraz z przesyłką pocztową, **5 zł.**, półrocznie **2 zł. 50 ct.**, kwartalnie **1 zł. 25 ct.** — Pojedyńczy numer kosztuje 20 ct. — Za granicą rocznie 10 marek lub 15 franków.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów ul. św. Mikołaja l. 5.

Złoty posiew.

(Dokończenie).

Na świecie było biało i cicho, jak powinno być w wigilijny wieczór, gdy ziemia się gotuje do świętych godów. Cała wieś błyszczała małemi okienkami jak długi sznur świateł, a dym siwy, unoszący się z każdego komina pod ciemny, usiany gwiazdami strop nieba, świadczył, że w każdej chacie robiono przygotowania do radosnej uczty.

We dworze okna jadalni tylko były oświetlone; nie tak jak za lat dawniejszych, gdy w tym dniu uroczystym zaproszeni z miasta, ubożsi krewni zasiadali wspólnie do wigilijnego stołu i dom cały wrzał wesołym gwarem, a w salonie — ustawiona naprzeciw starego, w zczerniałe ramy oprawnego zwierciadła, — śliczna choinka, ustrojona rękami babci, przepełniała rozkoszą serce Bogusia. Dziś, kilku groszy nawet nie można było poświęcić na to, aby dać sercom trochę radości — bo któż wie czy niezadługo starczy na najkonieczniejsze choćby potrzeby? W kilka dni po Nowym Roku wypada ostateczny termin wypłaty całej należytości p. Schwabemu, a państwo Rodowscy, przy najusilniejszych staraniach nie zdołali nawet zgromadzić trzeciej części tego, co dług wynosił.

Gdyby kto inny był wierzycielem, wszystko dałoby się jeszcze ułożyć i uratować — ale p. Schwabe o układach żadnych ani słyszeć nie chciał — on nie byłby nawet wcale rad, gdyby mu w dniu oznaczonym uiszczono całą należytość, bo jemu właśnie chodziło o pretekst do nabycia za bezcen, raczej do wydarcia wprost właścicielom tego kawałka ziemi, na który czychał oddawna. I pieniądze, za które powykupywał cichaczem wszystkie weksle obciążające Rodów, nie były jego własnością — dostał je od komisyi kolonizacyjnej, która nie przebierała między narzędziami ani ludźmi, gdy szło o złamanie jednej choćby gałązki na tak przez nią znienawidzonym, a tak bardzo żywotnym i ciągle odradzającym się, polskim pniu.

Wigilijna wieczerza w rodowskim dworze była krótka i skromna jak powszedni, postny obiad. Tylko opłatki na talerzu i snopek zboża w kącie przypominały uroczystość tej chwili. Boguś miał łezki w oczach; gdy siadano do stołu, przypominała mu się zeszłoroczna choinka i spiewane chórem kolendy, do których babcia przygrywała na starym, ledwie parę razy do roku otwieranym fortepianie, w którym klawisze były już całkiem żółte a struny okropnie brzęczały — ale co to szkodzi — tak było przyjemnie! A dzisiaj tak cicho — smutno jakby nie wilia! Wprędce jednak chłopczyna opanował swój żal i usiłował przybrać zwykłą, wesołą minkę, żeby dziadzia i babci nie martwić. On czuł doskonale, że kiedy na nich spadały takie ciężkie kłopoty, jego obowiązkiem było rozweselać ich, bo przecie nic jeszcze innego nie mógł zrobić, w niczem im dopomódz. Gdyby już był duży, to pewnie nie puściłby tego okropnego Niemca nawet na dziedziniec i nie oddałby mu ani jednej grządki ziemi, ani jednego drzewka w ogrodzie — ale teraz, kiedy nie miał jeszcze nawet całych dziewięciu lat, cóż mógł poradzić?

Przed trzema miesiącami Boguś był jeszcze takim zwykłym, swawolnym malcem, co tylko myśli jakby się wyrwać od lekcyi i pofiglować z rówieśnikami, ale w smutku dzieci nawet dojrzewają prędko, i jemu, przez tych parę miesięcy, jakby parę lat przybyło. Straszne słowo: „licytacya“, dzwoniło mu wciąż w uszach, i dziecinna wyobraźnia pracowała nad odtworzeniem tajemniczego a pełnego grozy znaczenia tego wyrazu. Nie wiedział dokładnie co to będzie, ale miał poczucie, że się stanie jakaś ogromna krzywda, która dotknie nie tylko Babcię, Dziadzia i jego samego, ale także wszystpola i łąki, krowy i woły w oborze, wszystkie konie, między którymi był i jego stary, jednooki, tak kochany kucyk — a nawet stare sprzęty, tulące się do ścian z taką jakąś poczciwą a zbiedzoną miną. To wszystko „pójdzie na licytacyę“ — tak Babcia mówiła kiedyś do Dziadzia, i płakała przytem.

Może nawet i ten stół, przy którym jedzą wilię „pójdzie“ także? A przy czemże na przyszły rok nakryją do wilii i skąd wezmą snopek zboża do postawienia w kącie, jeśli p. Schwabe zabierze im całe pole?

Znowu łzy zakręciły się w oczach Bogusiowi — nie chcąc aby je Babcia spostrzegła, odwrócił głowę do okna.

Wtem, na tle zamarzniętych szyb zabłysło jakieś czerwone, śliczne światło i równocześnie odezwał się za oknem chór głosów:

„W dzień Bożego Narodzenia,
Radość wszelkiego stworzenia...“

— Kolędnicy! — wykrzyknął z uniesieniem Boguś i porwał się ku oknu. Jego dziecinna twarzyczka przed chwilą tak osmucona, zajaśniała odrazu radością; wszystkie strapienia, które go uciskały, pierzchły na widok barwnej, papierowej gwiazdy, rozproszyły się z dźwiękami tak dobrze znanej a takiej ślicznej i wesołej kolendy.

Państwo Rodowscy powstali także, z oznakami wielkiego wzruszenia na twarzy; łzy ściskały ich w gardle ale były to łzy słodkie i dobre, bo echo ukochanej, świętej pieśni, jak zesłany z nieba promień otuchy spłynęło im w duszę.

— Jak wielu ich przyszło — poczciwi! — szepnęła z rozrzewnieniem pani Rodowska, zbliżając się do okna — i patrz, są między nimi całkiem starzy gospodarze, nawet więcej dorosłych niż dzieci! Zaprośmy ich pod dach, niech się z nami przełamią wigilijnym chlebem — może to już ostatni raz w życiu...

— Dobrze, zaprośmy — potwierdził skwapliwie p. Rodowski i zwrócił się do sieni a pani Rodowska żwawo zakrzątnęła się wkoło stołu, aby dla miłych gości przygotować choć ladajaki poczęstunek. Na stole ani w spiżarni nie było wielkich zapasów, ale strucla z makiem i z powidłami, trochę orzechów, jabłek, piernik domowej roboty a wreszcie flaszka miodu syconego, z własnej pasieki, starczą dla poczciwej gromadki, co porzuciła własne ciepłe ognisko, aby pod cudzy dach wnieść słowo dobrego życzenia i otuchy.

Czem chata bogata tem rada — gościnne, polskie serce pani Rodowskiej odrazu rozweseliło się myślą, że raz jeszcze przy jej stole zagoszczą ci, z którymi tyle serdecznych łączyło ją węzłów — a Boguś dowiedziawszy się, że Dziadzio wyszedł zaprosić kolędników, aby wstąpili przełamać się opłatkiem, zaczął z radością skakać naokoło stołu, wołając: Prawdziwa Wilia teraz będzie — prawdziwa Wilia!

Oto już w sieni słychać liczne i ciężkie kroki; p. Rodowski otwiera drzwi i wprowadza całą gromadkę kolędników, na czele której postępuje stary Maciej i paru innych najpoważniejszych we wsi gospodarzy.

Przyszliśmy Cię chwalić, Panie Jezu Chryste
słodkiego, słodkiego!
Świąt wesołych, powinszować z duszy z serca
szczerego, szczerego.
Dopuść że nas Gospodarzu w domu progi
przed siebie, przed siebie.
Przysłał nas tu, Sam Pan Jezus po kolendzie
do Ciebie, do Ciebie!

recytują najpierw kolędnicy zatrzymawszy się u progu, a czerwona gwiazda kołysze się nad ich głowami i rzuca na stół biało nakryty, na cały pokój mroczny, słabo oświetlony jedyną lampą zwieszającą się u sufitu — takie wesołe, różowe blaski, niby wschód jutrzenki zwiastującej pogodny dzień.

— Dziękujemy Wam, dobrzy ludzie, dziękujemy! — daj Boże i Wam wszystko najlepsze za Wasze dobre serce i szczere życzenie — mówi p. Rodowska, przystępując do wieśniaków z opłatkiem w ręku, i łamie się z nimi kolejno białym chlebem zgody i miłości.

Gdy już opłatek obszedł wszystkich w kolej, stary Maciej bardziej jeszcze naprzód się wysunął, chrząknął, włosy siwe poprawił na skroni, jakby myśli zbierał w głowie i słów szukał, co by tym myślom głos dały.

— Nie z życzeniem my tu jeno przyszli a z prośbą wielką, do naszych państwa dziedziców, co bez tyle lat niby ojciec i matka byli całej gromadzie — zaczął nareszcie przestępując w zakłopotaniu z nogi na nogę a — kolędnicy stojący poza nim i słuchający jego słów z nabożnem skupieniem, zaszemrali jak echo na wiele westchnień rozbite: Niby ojciec i matka!...

— Wielmożni państwo, nie gniewajcie się też na nas dzisiaj, że my do was jak te dzieci ze szczyrością serca przychodzimy — my słyszeli, jako was Pan Bóg nawiedził ciężko, jako nieprzymierzając Niemiec na wasze dobro dybie i ma grunt i dwór i wszyćko na licytacyę postawić. Tak my sobie rzekli: któż rodzicom pomoże jak nie rodzone dzieci? kto dziedzicom poratunek ofiaruje jak nie własna gromada, co oni ją już tyle razy ratowali i w chorobie i w ogniu i we wszelakich nieszczęściach. Tak my się złożyli, co kto miał grosza — nie dużo to jest, ano może na Niemca wystarczy — nie gardźcie też naszą ofiarą, jako prosimy szczyrem sercem, żebyście ją przyjęli i nie odchodzili od nas w obce strony — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — Amen.

— Na wieki wieków! Amen, zaszemrała gromada a Maciej wyciągnął z zanazdrza biały, płócienny woreczek i rozwiązawszy go wysypał na stół kilka garści banknotów i złotych pieniędzy.

— Nie gardźcie, nie odpychajcie, szczyrem sercem niesiem, co kto miał — odezwały się wśród kolędników ciche szepty.

Pan Rodowski milczał i oczyma mrugającemi szybko, jakby oślepionemi nagłym blaskiem patrzył to na wszystkie te poczciwe twarze, rozpromienione w tej chwili odblaskiem żywego, serdecznego uczucia — to na unoszącą się ponad niemi czerwoną gwiazdę, zwiastunkę wielkiego cudu miłości, dokonanego w betleemskiej stajence... to wreszcie na tę ofiarę prostych serc kmiecych, będącą jakoby odbiciem tego promiennego, niebiańskiego cudu w szarej mgle ziemskich wydarzeń i uczuć.

Milczał — aż wreszcie otworzył ramiona i z łkaniem, co się zerwało w uciśnionej, zatroskanej piersi na przywitanie nieoczekiwanego promienia lepszej doli — rzucił się w objęcia Macieja.

. . . . . .

I odszedł p. Schwabe od drzwi polskiego domu, nie wyrwawszy ani jednego zagona ziemi tym dłoniom co się umiały zespolić w obronie najdroższego, wspólnego wszystkim dobra — miłość serc polskich stała się tym razem naprawdę cierniowym płotem, co odstra-

szył obcego łupieżcę — choć dla swoich najpiękniejszem, różanem rozkwitł kwieciem.

Na Nowy Rok, Boguś, nauczony przez Babcię, zamiast zwykłego, noworocznego powinszowania wydeklamował Dziadziowi śliczny wiersz Maryi Konopnickiej zaczynający się od słów:

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmieńce:
Sprzedaj chłopie rolę
Będziesz miał czerwieńce.

Irena Mrozowicka.



Obrazki z młodości zacnego obywatela

przez

Mieczysławę Śleczkowską.

(Dokończenie).

— Nasz korpus liczy 80-ciu kadetów, prawił dalej usłużny uczeń szkoły. Korpus dzieli się na cztery brygady, w każdej jest 20-tu kadetów. Trzy brygady utrzymane są kosztem kraju, jedna zaś kosztem własnym. Każda brygada ma dwóch przełożonych: brygadyera i podbrygadyera. Brygadę obsługuje dwóch ordynansów. Dla czterech brygad, są cztery ogromne sypialnie, wejdźmy do naszej.

Mówiąc wyrazy ostatnie, drzwi otworzył i wszyscy młodzieńcy przestąpili próg sypialni. Zdumiał się Julian jej wielkością i rozpatrywał się w niej ciekawie. Sala przedzielona była na cztery części; mieściło się w niej dwadzieścia łóżek dla kadetów. Każdy kadet miał obok swego łóżka skrzynkę z bielizną i sprzętami i duże cynowe naczynie z wodą i miednicą do umywania. Na środku sali stało łóżko dla podbrygadyera. Brygadyerowie mieszkali na górze.

— No, jakże ci się podoba umieszczenie brygady? zapytał jeden z kadetów objaśniwszy o wszystkiem Julianka, przypatrującego się sali w milczeniu.

— Dziwne mi się wydaje sypianie w takiej gromadzie — odpowiedział zapytany.

— W gromadzie wesoło! zawołał jeden z chłopców.

— W obozach gromada liczniejszą będzie! — dodał drugi, a trzeci dorzucił: — Ale za to nasza gromada wybrana, składa się z synów szlachty herbowej z dziada pradziada! Nawet oficerowie, nasi przełożeni muszą być pochodzenia szlacheckiego. Stąd nazwa szkoły: szkoła szlachecka, czyli rycerska.

Julian słuchał słów powyższych z dziwnym uśmiechem. Nie uszło to uwagi chłopców, i jeden z nich zapytał:

— Czegoż się śmiejesz?

— Śmieję się z przechwalanego przez was przywileju. Nie uważam za zaletę szkoły tego, że jest wyłącznie dla synów szlachty.

— A dla kogoż ma być? wykrzyknęli zdumieni kadeci.

— Dla kogo? — powtórzył Julian — dla każdego kto ma zdolność i ochotę do nauki.

— To ty chciałbyś wpuścić do naszej szkoły mieszczan i chłopów? zawołał głosem nabrzmiałym oburzeniem jeden z kadetów.

— Dlaczegóżby nie? Czy oni nie ludzie? Czyż nie tworzą także narodu. Czyż nauka Chrystusa wyjęła ich z pod nazwy naszych bliźnich? — pytał żywo Julianek.

— Mówisz tak jakbyś szlachcicem nie był. — A przecież Niemcewicze to dawna szlachta, mają w herbie pannę na niedźwiedziu.

— Ja się herbem nie szczycę — odpowiedział Julian — bo czyż ten herb, zdobyty zacnymi czynami przodków, jest moją zasługą? Gdybym do zasług przodków, nic z mej strony nie dołożył, to nie wartbyłbym nosić nazwy szlachcica!

— Na to zgoda! ale przeciwko wpuszczeniu synów chłopskich i mieszczańskich do naszego korpusu, kładę stanowcze veto.

— Mieszczanie i chłopi mają inne niż szlachta przeznaczenie, to też podlegają innym prawom.

— Prawda, że innym podlegają prawom — rzekł Julian z ogniem w oczach — ale to właśnie jest niesprawiedliwie, i prawa te powinny być zniesione! Każdy kto ma ludzkie uczucia, obchodzi się dobrze nawet ze zwierzęciem, a cóż dopiero z bliźnimi, którzy mają tak jak my duszę stworzoną na obraz i podobieństwo Boga. Duszę tę uszanować należy w chłopie i w mieszczaninie zarówno jak w szlachcicu.

— Prawisz nam takie rzeczy, o których nigdy nie słyszeliśmy — rzekł jeden z kadetów. Czyż to tobie samemu wszystko do głowy przychodzi. Skąd ci się wzięły takie myśli?

— Skąd?... powtórzył pytanie Julian, a po chwilowem zastanowieniu rzekł: Ot, wiem skąd — nasunęła mi je nauka religii, według której postępują ze swoją służbą i poddanymi moi rodzice.

Taką była pierwsza rozmowa z kolegami Juliana Niemcewicza, który przez całe życie pozostał wierny głoszonym już tak wcześnie zasadom — i nie tylko jako utalentowany autor, ale przedewszystkiem jako zacny obywatel wspominany jest ze czcią przez potomnych rodaków.

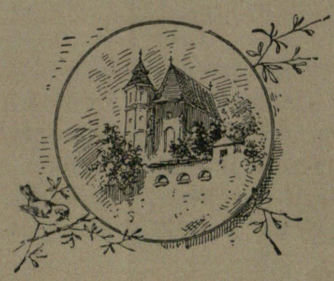

Wigilia.

Stara pieśni kolędowa,
Święć się, święć się wieczne lata!
Zawsze żywa, zawsze nowa
I w serdeczną treść bogata.

Już po kątach stoi zboże
W bujne snopy ułożone!

Z wielkiej kuchni, gospodyni
Śle delicye za delicyą,
Sutą ucztę pilnie czyni
Uważając na tradycyą.



Z tobą anioł w białej szacie
I przeczysta schodzi wiara!
Święć się, święć się w naszej chacie
Kolędowa pieśni stara!

Śnieg rozsypał białe róże,
W cichem polu wiatr szeleści,
Złota gwiazda płonie w górze,
Jak wróżbitka dobrych wieści.

Po zwyczaju w białym dworze,
Stare rzeczy święcą one:

Bratnia rzesza za stół siada
Zgromadzona w jednem kole,
Drobne chłopie obok dziada
Co ma w zmarszczkach wiek na czole.

I opłatek łamią biały
Z biciem serca, z łzami w oku:
„Niechże spłynie roczek cały
Jak ta fala na potoku!

Niechże spłynie miłosiernie
I uniesie zło za morze!

Górą kwiaty, dołem ciernie:
Daj nam Boże! daj nam Boże!“

Śpiew się rozległ za oknami,
Płynie ptaszkiem w pole sine:
Przyszli chłopcy z kolędami
Do dziedziców na gościnę!

Przyszli chłopcy z wioski całej,
Wyciągają cienkie głosy —
I orzeźwiał dworek biały
Jak o świcie kwiat od rosy:

Złotoszczera nić się winie,
Przędza mieni lśni i świeci —
O Jezusie, o Dziecinie,
Brzmi kolęda wiejskich dzieci....

Już cug siwków zaprzągnięty,
Kopną drogą pędzą sanie —
A śnieg płonie jak dyamenty,
Jak ócz cudnych migotanie.

Złoty blask się w oknach pali,
Niby łuną lśni czerwoną —
I kościółek widać w dali
I dzwonniczkę przygarbioną.

Siwy pleban Mszę odprawia
I rzewnością wzbiera serce:
Zda się, Chrystus sam się zjawia
Na wioskowej tej Pasterce!...

— Choćbym odszedł poza rzeki,
Poza góry, hen, ogromne,
Choćbym błądził całe wieki:
Naszej „Gwiazdki“ nie zapomnę!

Nie zapomnę chwili owej
Co najdalsze serca brata,
Ani pieśni kolędowej —
Choćbym odszedł, za kraj świata!

Or-Ot.

Dzienniczek Wandzi.

Część II. — Na morzu.

(Ciąg dalszy).

Na pokładzie Colombo, d. 5. maja 1900.

Siedzę sobie na pokładzie w moim trzcinowym foteliku i piszę, maczając pióro w podróżnym kałamarzu, podarunku od wuja Ludwika. Zapomniałam wspomnieć, że wujostwo mi dali na wyjezdnem mały koszyczek, taki śliczny; czego w nim nie było! I teraz jeszcze, chociaż się do niego przyzwyczaiłam, nie mogę myśleć bez wdzięczności o dobroci kochanych wujostwa. W tym koszyczku znalazłam książkę pani d'Etienne Marcel: „La famille du Baronet“, ładnie czerwono oprawną, z illustracyami Potem kałamarz mały, podróżny, w kształcie buteleczki benedyktynki, z etykietą, zupełnie jakby prawdziwa buteleczka do wódki i zaczętą robotą na kanwie — ma to być serwetа na stół ogrodowy, chciałabym ją skończyć przez drogę. A w końcu, znalazłam w małem pudełeczku na dnie koszyczka, śliczną dziesiątkę różańca z czerwonych korali, oprawnych w srebro i takiemiż łańcuszkami połączonych ze sobą. Ach, tem, muszę się przyznać, ucieszyłam się najwięcej. Od czasu, jak jestem na statku, codziennie wieczorem odmawiam na niej pacierze na wiadomą intencyą... Tę dziesiątkę dała ciocia poświęcić w kościele Notre Dame de la Garde.

Na wsiadaniu, kolega Tatusia i przyjaciel nasz p. kapitan Chardon, przyszedł się z nami pożegnać i przyniósł cudownych kwiatów dla Mamy, a pudełko czekoladek dla mnie. Dopiero wczoraj wrzuciłam te kwiaty w morze i długo jeszcze z naszego małego okienka w kajucie patrzyłam za niemi, jak oddalały się od statku, kołysząc się na fali.

Nie mogę się przyzwyczaić do tutejszych łóżek i do bujania się statku, niedobrze sypiam, czuję zawsze jak z łóżkiem zapadam, to znowu się podnoszę, a przytem łóżka są tu bardzo wązkie, tak, że ledwo można się na drugi bok przewrócić, a zupełnie jak trumna, trzeba leżeć wyciągniętym jak struna. Jednak kajutę mamy najlepszą z całego statku, spiemy sobie tylko we trójkę.

Jest nas w pierwszej klasie 100 osób, a ogółem 600. Jedzenie jest bardzo dobre, obiady i śniadania obfite, ale morskie powietrze tak zaostrza apetyt, że jesteśmy ciągle głodni, zwłaszcza, że podwieczorku nie dają. Szczęściem Mamusia zabrała w drogę dużo dobrych rzeczy do jedzenia, więc się żywimy jak możemy.

Zapoznaliśmy się już bliżej z tem państwem co mają dzieci; on jest pułkownikiem, nazywa się Péllacot, jadą także do Tonkinu. Oboje mili i dobrzy ludzie, są mi bardzo wdzięczni, bo zabawiam im dzieci, które polubiłam bardzo, bo są grzeczne i dobrze wychowane. Chłopcu na imię Georges, dziewczynce Jeanne. Chłopiec jest młodszy, dziewczynka starszą. Bawimy się z sobą razem na pokładzie, opowiadam im rozmaite bajki polskie, które tłómaczę na francuzkie. Wczoraj był śliczny wieczór, księżyc świecił cudownie, i odbijał się w wodzie, a woda była jakby drugiem niebem. Ciepło było i cicho, a nasz Colombo, jak prawdziwy, jasny gołąb, sunął cicho i równo, mało się kołysząc. Dzieci nie chciały iść spać, tylko naprzykrzały się żeby zostać, i widzieć jak będziemy przejeżdżać między Sycylią i Włochami, bo gdy przejeżdżaliśmy pomiędzy Korsyką i Sardynią, nie było ich wcale na pokładzie. Ale też co prawda nie było na co patrzeć, ani czego żałować. Widziało się bowiem tylko brzegi nagie i skaliste. Podczas gdy okręt przepływał przez tę cieśninę, ja siedziałam sobie z Ojcem na pokładzie i á propos Korsyki, opowiadał mi ojciec dużo ciekawych rzeczy o Napoleonie, jak rósł w sławę, honory, zaszczyty, jak Europie dyktował prawa a potem, po klęsce pod Waterloo,

został więźniem Anglii i wywieziony za morza tak nędzny pędził żywot na wyspie St. Heleny, daleko od najbliższej rodziny, od swego synka, którego tak kochał, dla którego marzył o potędze dawnych rzymskich cesarzy! Bardzo mi go żal było, gdy mi Tatko tak o nim opowiadał, podczas gdy oczy moje błądziły po skalistych wybrzeżach wyspy, co była miejscem jego urodzenia.

Wczoraj, gdyśmy tak czekali na przejazd blisko brzegów sycylijskich, dzieci prosiły mnie znów o bajkę. Wzięłam więc Georgesia na kolana, Jeanne posadziłam na krzeselku przy sobie, i zaczęłam opowiadać im historyę o szklannej trumnie. Ogromnie im się podobała, były po prostu zachwycone, a pani Péllacot powiedziała mi, że ślicznie umiem opowiadać, ale ona wcale tej bajki nie znała.

Odpowiedziałam, że mnie to zupełnie nie dziwi, bo to jest polska bajka ludowa, a ona na to pyta czy ja umiem po polsku.

Zaczęłam więc jej opowiadać, że jestem Polką, ale że urodziłam się we Francyi, że jeżdżę do swoich co kilka lat, bo tam w Polsce mam całą rodzinę, a w Paryżu jedną tylko siostrę Mamy.

— A czy kochasz więcej Francyę, czy Polskę, zapytała.

— Madame, odpowiedziałam, można kochać bardzo przybraną matkę, jeśli ma się dla niej obowiązki wdzięczności i jeśli ona na to zasługuje, ale rodzoną, kocha się zawsze więcej.

— Vous avez raison, mon enfant, — zawołała, a potem długo jeszcze w noc musiał jej Ojcuszek opowiadać o naszym kraju i o naszych losach. Rozmawialiśmy tak, aż ukazały się światła i kontury gór — to Sycylia.

Ze świateł można wnosić, że Mesyna to miasto rozległe, schodzące do samego morza.

Jak tylko więcej się bujamy, to Georges nie może utrzymać się na nogach, więc wyciąga ramionka do każdego, aby brać go na ręce; nieraz już Ojcuszek nosił go po godzinie i więcej, to też on Ojcuszka bardzo pokochał, i jak tylko go zobaczy, zaraz biegnie do niego z wyciągniętemi rękoma. A jak mnie zobaczy samą, to pyta:

— Où est ton papa?

Codziennie mam z Mamusią lekcyę fortepianu, a z ojcuszkiem godzinę historyi polskiej i francuskiej. Wczoraj miałam o Napoleonie, a dzisiaj będę miała o Auguście II. Ojcuszek wykłada mi z pamięci, a ja robię notatki i z nich uczę się na przyszłą lekcyę. Potem piszę dziennik, robię robotę i tak schodzi dzień za dniem.

Co rano, zaraz po przebudzeniu, patrzę przez nasze okienko i zawsze widzę to samo, morze, morze i ciągle, zawsze tylko morze! bez brzegu, a nad niem kawałek nieba raz jasnego, to znów pochmurnego...

Chociaż płyniemy morzem Śródziemnem nic a nic nie dokucza nam jeszcze gorąco; przeciwnie nawet, wczoraj w nocy Mamusia aż wstała z łóżka aby mnie przykryć, bo obawiała się i pytała mnie czy mi nie zimno, więc przyznałam się, że nawet bardzo. Przepływaliśmy też już koło wysp Liparyjskich, poszłam z Ojcuszkiem na pomost i widziałam przez wojskową lunetę domy i drzewa.

Dzisiaj rano zabłąkała się na pokład jaskółka: biedna wędrowna ptaszyna, była tak zmęczoną, że pozwoliła wziąć się w rękę i karmić. Co było z tego radości i krzyku. Georges byłby ją udusił, tak ją przyciskał i pieścił. Jeanne przyniosła jej maleńki koszyczek od jajka wielkanocnego, włożyłyśmy do niego trochę wełny od mojej roboty i tam usadowiłyśmy zmęczonego ptaszka. Ja, na małym kawałeczku papieru, napisałam ten dwuwiersz z Pana Tadeusza: „Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze“. zwinęłam go i podwiązałam jaskółce pod skrzydło, delikatnie jedwabną nitką. Dobrze, że to zaraz zrobiłam, bo po kilku godzinach wypoczynku gniazdko się opróżniło — jaskółka uciekła! Mamusia mówi, że może jaskółka zbuduje sobie gniazdko w jakiej polskiej wsi i tam się ździwią zobaczywszy, że ma karteczkę pod skrzydełkiem.

Morze dzisiaj cudowne: zupełnie niebieskie. Poszłam z Ojcuszkiem do salonu i tam Ojcuszek zagrał mi na skrzypcach marzenie Szumana. Było wspaniale, patrzałam otwartem okienkiem na morze, na które padały złote promienie słońca igrając z falą, nie było ani wiatru, ani kołysania się, tylko cisza i spokój, niebo szafirowe, morze szafirowe i złote słońce, i tony skrzypiec jakby szept jaki niebiański, a chwilami tylko, jakby szmer połączony z westchnieniem. Jak będę większa, będę Ojcu akompaniować, bo Mamusia powiada, że mam wielkie zdolności do muzyki. To po rodzicach obojgu odziedziczyłam ten talent, bo i Mamusia niezwykle pięknie gra na fortepianie i Ojciec na skrzypcach. W ogóle Ojciec dużo teraz czasu spędza ze skrzypcami. Często Mamusia Ojcu akompaniuje, czasem p. Péllacot, a raz już nawet ja, bo kawałek był bardzo łatwy, Mamusia ćwiczy teraz ze mną jedną sztuczkę, dosyć trudną dla Ojcuszka na św. Władysława. Zrobię mu niespodziankę gdy w dzień jego imienin zaproponuję mu, wspólną grę, na skrzypcach i fortepianie, to dopiero będzie radość!

Siedzimy sobie teraz wszyscy na pokładzie, ja trzymam dzienniczek na kolanach, a pióro maczam w kałamarzu od wuja Ludwika. Mamusia wyszywa, raz po raz sobie przerywamy, aby porozmawiać co tam w La Barre porabiają, a co w Cherbourgu się dzieje, to o naszym kilkudniowym pobycie w Marsylji. Zawsze mam na myśli to co mi mówiła ciocia Kostunia i staram się być wesołą, bo jak tylko jestem mniej swobodną, lub mniej jem przy stole, to rodzice zaraz pytają się czy mi co nie jest, czy nie boli mnie głowa,

czy nie jestem chorą. Jutro wstaniemy wcześniej, aby widzieć wjazd do Porto Said. Będą tam pewno oczekiwać nas listy od cioci Toli, z La Barre, od Antka, co mi to obiecał i od wujostwa Antosiów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

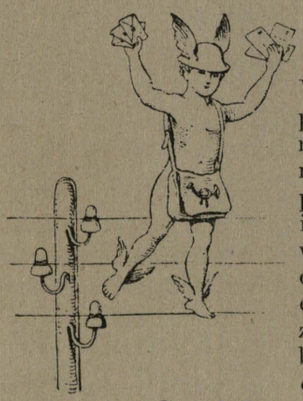

Skrzydlaty listonosz.

Mania T. w Olesku. Wistocie należy Ci się odpowiedź podwójna, na dwa miłe i długie listy! Cieszy nas, że wasz wieczorek listopadowy udał się tak ładnie i Wasze deklamacye dobrze wypadły. Na ślizgawkę poczekaj cierpliwie a pewno doczekasz się jej w ciągu zimy. „Dzienniczek Wandzi“ budzi podobne Twemu zajęcie u wszystkich naszych Czytelniczek i Czytelników. — Józio Ż. w Podhajczykach. Nie myśl żeśmy zapomnieli o Tobie, ale w przeszłym numerze nikt nie dostał odpowiedzi. Zmartwiła się „Redakcya“ Twoim kokluszem, czy też Ci już lepiej? Pseudonim możesz sobie wybrać jaki chcesz, choć zagadek nie układasz. I my całujemy Cię serdecznie wraz z Mamusią. — Szperacz Nr. II-gi. Ze wzruszeniem przeczytaliśmy Twoje zapewnienie: wiemy że każdy z naszych długoletnich przyjaciół z biegiem czasu musi wreszcie rzucić „Wiek Młody“; daj że nam Boże tę nagrodę i pociechę aby każdy z nich mógł nam równie szczerze i gorąco jak Ty, złożyć podobne Twemu przyrzeczenie — a potem dotrzymać go całem życiem! Między tymi których żegnać musimy, będziesz zawsze jednym z pierwszych w naszej pamięci. W ciągu Świąt wypisz tylko wszystkie brakujące Ci numera, a jak najchętniej uzupełnimy Ci wedle możności braki ze wszystkich lat. — Lila T. w Krakowie. Czy doszedł Cię numer 20-ty, wysłany zaraz po otrzymaniu Twojej karty? przesyłamy Ci nawzajem serdeczne wyrazy. Czy to może nasz dawny „Mały Rycerz“ jest teraz na Politechnice we Lwowie? — Olga, Józefa i Melita A. w pensyonacie Wnej Pani Zagórskiej we Lwowie. Cieszy nas to bardzo, że tak niecierpliwie „Wieku Młodego“ wyczekujecie, ale gdyby tak jak sobie życzycie „codzień wychodził“ nie wystarczyłoby chyba czasu na czytanie go!

Zosia Sz. we Lwowie. Łamigłówka dobrze ułożona, ale tylko początkowe litery tworzą w niej wyraz do odczytania, a pożądańsze są takie, w których i końcowe do rozwiązania należą. Do zobaczenia przy „drzewku“ prawda? — Staś Kr. we Lwowie. Masz zupełną słuszność, kochany geografiie: Norwegia jest niezaprzeczenie w północnej Europie! Donieś nam czy zakończenie „Złotego posiewu“ podoba Ci się równie jak początek? I owszem, przyszlij kiedy rozwiązanie na ładnej kartce — a kiedy kartki tak lubisz, to może i u nas znajdzie się jaka dla Ciebie. — Zofia W. w Dołżance. Łamigłówki dobre, ale w tym roku już nie mogły być pomieszczone — chyba w przyszłym. — Marya Dw. w pensyonacie Wnej Pani Zagórskiej. Twoje podziękowanie za obrazek z Japonii dojdzie Wandzię za naszem pośrednictwem — a mamy jeszcze jej obietnicę, że paru Czytelniczkom przeszle autentyczne karty pocztowe z krańca Azyi — wtedy, jeżeli poda bliższy adres, będziesz mogła jej wprost odpisać. — Józef K. w Stanisławowie. Oj prawda, prawda, że VI. kl. gimnazyalna „to nie żarty“. Choć spóźniony, opis wakacyi zajął nas bardzo: bo samo już brzmienie wymienionych nazw zakopiańskich, wyczarowuje urocze lub wspaniałe obrazy we wspomnieniu tych co je widzieli. Marki za zmianę adresu zapisujemy zwykle do składek na gimnazyum polskie w Cieszynie. — Eleonora M. we Lwowie. Chociaż słabość nie pozwoliła Ci dokończyć konkursowej sukienki, ale Twoje dobre serduszko może się cieszyć, że bardzo wielką radość i prawdziwą pomoc wyświadczysz jakiej biednej dziewczynce, przysłanym dla niej tak ciepłym i doskonale zaszanowanym płaszczem! przyjdź sama koniecznie na drzewko.

Wandzia S. w Szydłowcach. Wasze sukienki przyszły najwcześniej w liczbie robót przysłanych na drugi konkurs szycia i ucieszyły bardzo obie redaktorki — pierwsza próba szycia na maszynie doskonale wypadła — a Anielci pończoszki i mitenki także się bardzo przydadzą. — „Roztrzepaniec“ z Podhajec. Kochany „Roztrzepańcze“, jużeśmy się domyślili, że Ci na imię „Dzidzia“, więc nie uda się dalsza mistyfikacya! Anince H. powiedz, że wybrany przez nią pseudonim bardzo nam się podobał a Halkę N. ucałuj od nas serdecznie i zapytaj czy pamięta do którego to numeru „Wiek“ przychodził pod jej imieniem? — Wiktor H. w Strzeliskach. Ciocia-Redakcya ucieszyła się bardzo pierwszym Twoim listem i wypracowaniem na konkurs historyczny! A czy Romuś także się „Wiekiem Młodym“ interesuje? Ciocia-Redakcya wie, że się obaj bardzo pilnie uczycie i bardzo Was za to kocha! A Stasieńka za jego granie, z którego daj Boże ludziom i jemu pociechę! — Maryńcia M. z Łuki Wielkiej. I my cieszymy się bardzo, że się z Tobą tak rychło nie rozstaniemy! W przyszłym roku będą równie zajmujące powieści, jak w tym, który dzisiejszym numerem zamykamy — a skoro Ci się najlepiej podoba „Zameczek na kresach“ postaramy się i teraz o równie zajmującą powieść historyczną. Starszej siostrzyczce, która jeszcze „Wiek“ odczytuje, serdeczne od nas pozdrowienie. — Ewa O. w Stronibabach. Wyobraź sobie z jaką to przyjemnością powitano w Redakcyi dużą paczkę ze Stronibab: obie ciocie-Redaktorki, rozpakowywały ją ciekawie i wydobywając coraz coś nowego, wołały na wyścigi: „Ach poczciwa Ewcia! co też ona znowu naszyła! będzie czem obdzielić kilka dziewczynek!“ — i obie ciocie doprawdy by rade ucałować Cię serdecznie za Twoją pilność! Próbka pajaców, które sama wyrabiasz na gwiazdkę dla wiejskich dzieci, bardzo się nam podobała — a i laleczka wiele pociechy przyniesie. — Tadeusz Z. w Busku. Czy doszedł Cię numer 20-ty, przed kilku dniami Ci wysłany? A czy będziesz miał choinkę? — Dolusia i Ernest T. we Lwowie. Spodziewamy się, że i Wy w tym roku zajrzycie na „drzewko“ „Wieku Młodego“.

(Dalszy ciąg odpowiedzi patrz w „Dodatku“ do b. numeru).

Z powodu zupełnego braku miejsca, w tym numerze, nazwiska wszystkich, co nadesłali rozwiązania zagadek, wymienione zostaną dopiero w numerze z 1-go stycznia, w którym także ogłosimy, kto wylosował nagrodę, w numerze 23-cim i w bieżącym.

Sprawozdanie
z II-go tegorocznego konkursu szycia odzieży dla biednych dzieci na „drzewko“ WIEKU MŁODEGO.

Na drugi tegoroczny konkurs szycia kochane Czytelniczki i Przyjaciółki nasze nadesłały nam następujące roboty:

Bednarska Walercia bardzo ładną, z doskonałego barchanu sukienkę pąsową z czarnem. — Foltinówna Józia, bardzo ciepłą, różową sukieneczkę, oraz dwie spore koszule. — Gugalska Zosia, uszytą z pomocą Mamusi a ozdobioną własnoręcznie robioną koroneczką, bardzo ładną sukienkę barchanową w paski różowe z czarnem. — Hartmanówna Aninka, sukienkę barchanową pąsową w czarny deseń. — Ola Ostroróg-Gorzeńska, dużą sukienkę flanelową w paseczki jasno błękitne z białem i dwa fartuszki. — Kronhelmówna Jadzia, dużą sukienkę z doskonałego barchanu, deseń w kostki białe z szafirowem. — Krzaczkowska Maryla, dwie koszule. — Wna Pani Kostro, w imieniu ś. p. córeczki swej Halci, bardzo ładną i dużą sukienkę szafirową z czarnem. — Milewska Marynia, sporą sukienkę ze ślicznego szkockiego barchanu. — Obertyńska Ewa, trzy sukienki z lekkiej flanelki: liliową, błękitną i różową oraz dwie lekkie wełniane bluzki.

Schuberthówna Marta, bardzo ładnie zrobioną dużą sukienkę z barchanu w krateczkę liliową z białem — oraz dwie koszule. — Sternówna Lula, sukienkę barchanową błękitną w białe kwiateczki. — Strawińska Wandzia, bardzo praktyczną i ładnie uszytą ciemno-liliową sukienkę w biały deseń. — Strawińska Anielcia, niemniej dobrą sukienkę granatową w białe kropeczki — także mitenki i pończoszki. — Wiluszówna Karolina, sukienkę barchanową jasną niebieską w desenik. — Winiarzówny Lisia i Marylka, trzy doskonale uszyte sukienki ze ślicznych, gatunkiem i kolorami, barchanów, kupionych za własne oszczędn. — Winiarzówna Lisia, ponadto fartuszek. — Winiarzówna Milka, dwie śliczne spódniczki do bluzek, różowa i błękitna, z barchanu otrzymanego w podarku na urodziny — także dwa szaliki włóczkowe dla chłopców na szyję i trzy pary mankietek. — Winiarzówna Lola (sześcioletnia), dwa szaliki własnej roboty. — Winiarzówna Jańcia (czteroletnia), ofiarowuje dla biednych dzieci, pierwszą pracę swoich drobnych rączek — a mianowicie śliczne podwiązeczki szydełkowej roboty. — Zosia Niewiadoma — gdyż przysłała nam rzeczy przez posłańca, który nie umiał powiedzieć nazwiska — dwie śliczne koszule i staniczek perkalowy.

Wiemy, że prócz wymienionych Czytelniczek, które nam już swoje prace przysłały, parę jeszcze wykończa roboty na drzewko — zatem uzupełnienie tego sprawozdania ogłosimy w noworocznym numerze. Wtedy również wyszczególnimy dary otrzymane na drzewko, po za konkursem szycia. A tymczasem przesyłamy wszystkim dobrym serduszkom, które pomyślały o biednych dzieciach i nie żałowały dla nich swej pracy, serdeczne w imieniu tych dzieci: Bóg zapłać!

Nagrody za szycie w II-gim konkursie otrzymają: Jadzia Kronhelmówna, Maryla Krzaczkowska, Ola Ostroróg-Gorzeńska, Wandzia Strawińska, Marynia Milewska, Marta Schuberthówna, Ewa Obertyńska i Józia Foltinówna.

Wstęgę Legii honorowej „Wieku Młodego“ za stałe i gorliwe należenie do konkursów szycia otrzymają w tym roku: Walercia Bednarska, Zosia Szczepańska, Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny.

Drzewko „Wieku Młodego“ dla biednych dzieci odbędzie się w sobotę dnia 22-go grudnia o godzinie 4-tej popołudniu w szkole im. Konarskiego (na Nowym Świecie — tramwaj elektryczny podchodzi pod samą szkołę).

Na miłą tę uroczostość zaprasza Redakcya wszystnie uczestniczki konkursów szycia wraz z Rodzicami i krewnymi. Drzewko zaświecone będzie o samej czwartej, zatem uprasza się o przybycie o kwadrans wcześniej.

Na liczne pytania naszych Czytelniczek i Czytelników donosimy, że najchętniej przyjmujemy jeszcze przenoszone sukienki, płaszczyki, bieliznę, stare zabawki oraz wązelkie dary na drzewko, którem radzibyśmy ucieszyć jak największą liczbę biednych dzieci.

Przy drzewku odbędzie się także rozdanie pamiątkowych wstążeczek uczestniczkom konkursu.

Z opłatkiem przesyła Redakcya wszystkim swoim kochanym Czytelnikom serdeczne życzenia wesołych Świąt. Do zobaczenia w przyszłym roku! Spis rzeczy załączamy w bieżącym numerze. Dla zaspokojenia słusznej i miłej nam ciekawości wielu naszych młodych przyjaciół, donosimy, że od Nowego Roku prócz „Dzienniczka Wandzi“, drukować będziemy w numerze dla starszych Czytelników, powieść z życia młodzieży szkolnej p. t. „Na jakiej drodze?“ przez *Irenę Mrozowicką*, autorkę powieści „Za głosem dumy“ i „Kolegów“ a w Dodatku książkowym powieść *A. Świderskiej* p. t. „Promień“. W najbliższych także numerach rozpoczniemy druk obrazka dramatecznego na tle dziejowem p. t. „Głód“ przez p. *Zofię Mrozowicką*.

Rozwiązania zagadek z Nru 23-go.

Łamigłówka zgłoskowa: 1. Siemiradzki. 2. Łyżnik. 3. Ojciec. 4. Węgierski. 5. Ananas. 6. Celina. 7. Kondor. 8. Indyk. **Słowacki, Krasicki.**

Szarada: Kukuryku, kury, Kuba, baty, ryba, Baku, Kuty: **Kurytyba.**

Łamigłówka: Helena. Egipt. Norwrgia. Ryxa. York. Korsyka. Sosna. Igła. Europa. Napoleon. Kura. Izaak. Emanuel. Wisła. Izrael. Czarownica. Zając. **Henryk Sienkiewicz.**

Szarada: Sza-tan.

TREŚĆ: Złoty posiew. (Dokończenie). — Obrazki z młodości zacnego obywatela. (Dokończenie). — Wigilia. — Dzienniczek Wandzi. Ciąg dalszy. — Skrzydlaty Listonosz. — Rozwiązania. — Łamigłówki. —

Wydawczynie i odpowiedzialne Redaktorki **Zofia i Irena Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 1. We Lwowie, dnia 1. Stycznia 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Pracowita Jadzia

(Monolog).

Jadzia (wchodzi z paką książek pod pachą) No, jeżeli jeszcze i dzisiaj p. Salomea będzie ze mnie niezadowolona, to już niewiem co!... Ślęczę i ślęczę nad temi książkami od samego obiadu. Żeby nie to, że mi przeszkadzali, tobym już pewno umiała wszystko doskonale! Ja się wogóle bardzo pilnie uczę — pracuję bez wytchnienia, bo właśnie bym chciała chodzić do gimnazyum, ale Mamusia powiada, żeby tam z mojej głowy nie mieli wielkiej pociechy. Ciekawam czemu? moja głowa przecież nie gorsza od innych — a choć niektórzy mówią, że jestem roztrzepana, to już jest czyste uprzedzenie, równie niesłuszne, jak to żebym miała być gadatliwą. — Ja, gadatliwą! (wzrusza z oburzeniem ramionami) zapewne, odezwę się czasem, gdy mam coś bardzo ważnego do powiedzenia, ale niepotrzebnych rzeczy nigdy a nigdy nie mówię! Trudno milczeć jak ryba całe życie, a ja i tak bardzo dużo czasu spędzam w milczeniu: Najpierw gdy spię — przez sen nigdy nic nie mówię! — potem, gdy jem, — bo mama bardzo się gniewa, gdy się mówi z pełnemi ustami — no i gdy p. Salomea nam wykłada, także milczę — nie tak jak Helenka, co się musi wiecznie o wszystko wypytywać: a kiedy była ta wojna? a kto wtenczas panował w Niemczech? a kto we Francyi? gotowa się nawet wypytywać kto panował w Honolulu — mnie bo takie rzeczy nic a nic nie obchodzą! nigdy też nie przeszkadzam p. Salomei niepotrzebnemi pytaniami. Ale cóż! nie mam za to żadnego uznania — p. Salomea jeszcze znajduje że, za mało uważam przy lekcyi, że myślę o czem innem — to tak, gdy kto nie ma szczęścia! Żebym się jak starała, to jej nie dogodzę. — Ot, i dzisiaj: Helenka poszła z tatkiem na spacer, wzorowa Mania, co zawsze ma same jedynki, najspokojniej gra sobie w szachy z Tadziem, a ja, jak ten czarny wół, ślęczę przy pracy! I co mi z tego przyjdzie? dotąd nie wpakowałam sobie w głowę ani połowy lekcyj. — Prawda, że to strasznie trudno uczyć się po obiedzie, nic do głowy nie idzie — umyślnie już poszłam z tamtego pokoju, gdzie grają w szachy, bo jeszcze Mania ciągle mówi, że jej przeszkadzam mojemi radami, że byłaby już z pewnością dała „szach królowi!“ gdyby nie była przezemnie białego laufra straciła, a ja przecież radziłam jej tylko brać koniem pionka, a potem wieżę — o laufrze nic nie mówiłam, niechby była sama uważała, że go odsłania!. Ale mnie nikt w niczem nie ocenia — p. Salomea gotowa mi się znowu pytać z oburzeniem, czym choć raz zadaną lekcyę przeczytała; i jest że tu sprawiedliwość?! Od samego obiadu nic nie robię i o niczem nie myślę, tylko o tej lekcyi, a powiedzą, że to jeszcze za mało! Tak samo było z tą sukienką, com chciała uszyć na konkurs Wieku Młodego, na drzewko dla biednych dzieci: trzy miesiące się nad nią męczyłam, i miałam już tylko uszyć spodniczkę — bo kaftanik Mania za mnie uszyła — aż tu szast prast Redakcya robi czegoś drzewko przed samą wilią i na nic moja robota! a byłabym pewnie wzięła nagrodę. (Za sceną słychać dzwonek — Jadzia przestraszona) — Oj! to już pewnie szast prast p. Salomea na lekcyą przychodzi — a tu ja nie gotowa! To chyba jakieś czary, bo to tak zawsze bywa! ale jakim się to dzieje sposobem? ja sama pojąć nie mogę — (z ukłonem do publiczności) może mi kto z państwa powie?

Ir. M.

Konkurs na kaligrafię.



Wielka dziś nowość w naszym numerze:
Niech każde z dzieci za pióro bierze
I pisze śliczny wzór kaligrafii!
Chcemy dojść, które ładniej potrafi.
Bo w całem życiu rzecz to nielada
Jeśli kto piórem porządnie włada,
Więc Wam dopomódz chcemy w tym względzie —
A każdo pewnie wdzięcznem nam będzie,
Gdy za zachętą naszą w tej mierze
Do pióra teraz weźmie się szczerze,
I — by przed nami wystąpić godniej —
Wprawiać się będzie kilka tygodni.
Potem napisze stronicę całą,
Czysto, bez kleksów, z pracą niemałą.
U dołu trzeba podpisać nisko

Adres, pseudonim albo nazwisko,
Także i wiek swój i czas nauki,
By dojść kto większej dokazał sztuki
(Bo po dwunastu leciech do góry,
Nie sztuka bazgrać lepiej od kury!) —
Niech w końcu jeszcze Mama lub Tato
Raczą się sami podpisać na to,
Że cała karta, jak nam przysłana,
Jest bez pomocy obcej pisana —
Te próby pisma wszystkie „Wiek Młody“
Osądzi — trzem zaś przyzna nagrody!



Termin nadsyłania prób pisma do dnia 1-go marca b. r.

Redakcya.

Jaś Królem.

(Bajka, przekład z angielskiego,)

Jaś budował sobie właśnie pałac, gdy mu oznajmiono wielką nowinę; więc rzucił wszystkie klocki na ziemię w nieładzie i otworzył szeroko oczka i buzię — bo też nowina była niezwykła i zdumiewająca.

Posłuchajcie: zapukał ktoś do drzwi wchodowych i z dołu doleciały jakieś głosy. Po chwili wbiegła niania wołając:

— Paniczu, panie Jasiu, przybyli po panicza, bo chcą panicza zrobić królem!

Umyła go, włożyła mu świąteczne ubrańko, przyczesała włosy. A Jaś wciąż się wypraszał, mówiąc.

— Nianiu, nie trzeba, nam czyste uszy, poco przyczesywać, i tak dobrze!

Niania wyszła po czystą chustkę, a Jaś korzystając z tego wybiegł do salonu bez chustki do nosa.

W salonie stało dwóch bardzo poważnych jegomościów w ponsowych płaszczach i kapeluszach stosowanych z ogromnemi złotemi piórami. Byli to dwaj pierwsi ministrowie państwa.. Obaj ukłonili się Jasiowi nisko i starszy powiedział:

— Stryjeczno-cioteczny pra-pradziad waszej królewskiej mości umarł, i teraz na was, miłościwy panie, przyszła kolej, zasiąść na tronie przodków.

— I owszem — odrzekł Jaś — a kiedy?

— Wasza królewska mość zostanie ukoronowana dzisiejszego wieczora — objaśnił drugi jegomość, nie taki poważny jak tamten.

— Czy panowie pozwolą mi zabrać nianię? Czy kto po mnie przyjdzie i o której? Czy mam wziąść aksamitne ubrańko z kołnierzem koronkowym? pytał Jaś.

— Nianię zabierzemy potem, królewskie szaty czekają na miejscu.

Poważny jegomość poszedł przodem i sprowadził Jasia po schodach do wspaniałego pojazdu, zaprzężonego w ośm białych koni, który stał przed domem.

Jaś raz jeszcze pobiegł na górę aby nianię pożegnać i wziąść do kieszeni piłeczkę gumelastyczną, z którą nie rozstawał się nigdy, nawet w nocy.

— Dziękuję Ci — mówił do niani — żeś mnie umyła; szkoda że nie pozwoliłem umyć lewego ucha. Nie! teraz już zapóźno. Daj mi sznurek do skakania... Do widzenia nianiu!

— Do widzenia, kotku — odpowiedziała niania — bądźże grzecznym królem, nie zapomnij mówić „proszę“ i „dziękuję“, a pamiętaj ustępować panienkom i nie nabierać za dużo łakoci na talerz.

A zatem Jaś pojechał, żeby zostać królem! Nie spodziewał się nigdy takiego zaszczytu, więc mu się to w głowie nie mogło pomieścić. Przed pół godziną budował sobie pałac z klocków w pokoju dziecinnym, a oto teraz na ulicach powiewały barwne flagi, w każdem oknie było pełno ludzi, wszyscy wymachiwali chustkami i rzucali kwiaty; tysiące głosów wołało:

— Niech żyje król Jaś! Nasz mały Janek! W pierwszej chwili było mu żal, że nie włożył najładniejszego ubrańka, ale wkrótce o tem zapomniał.

Kareta wreszcie stanęła, wysadzono z niej Janka i zaprowadzono go na koronacyę.

Ceremonia trwała całą godzinę, Jaś był bardzo zmęczony i rad, gdy znalazł się wreszcie w dziecinnym pokoju przygotowanym dla niego na zamku.

Tam czekała już niania i herbata była gotowa, a do niej bułeczki z szynką, ciastka i konfitury. Po herbacie Jaś rzekł:

— Zanadto jestem zmęczony ażeby skakać przez sznur ale chciałbym przejrzeć jaką książkę z obrazkami. Czy mogę nianiu?

— Ma się rozumieć — odpowiedziała. — Niech wasza miłość pójdzie do biblioteki, na pierwsze piętro i wybierze sobie, co sam chce.

Zatem Jaś pobiegł do biblioteki, byli tam właśnie obaj ministrowie. Gdy wszedł, skłonili mu się bardzo poważnie i pytali uniżenie, czego sobie życzy. Ale on zawołał:

— Mój Boże, jakie mnóstwo książek. Czyje to?

— Waszej królewskiej mości — odpowiedział kanclerz. — Należały niegdyś do nieboszczyka króla, waszego stryjeczno-ciotecznego pra-pra-pra...

— Tak, wiem już — przerwał Jaś. — Kiedy są teraz moje, to wszystkie przeczytam. Lubię bardzo czytać. Jak to dobrze, że już się nauczyłem!

— Pozwalam sobie nadmienić waszej królewskiej mości — wtrącił minister, że lepiej tych ksiąg nie czytać. Wasz pra... pra...

— Wiem — przerwał Janek.

— Był bardzo stary i mądry, więc umiał się z temi książkami obchodzić — ale tak młodemu i nie doświadczonemu królowi nie radziłbym ich nawet dotykać, bo między niemi mogą być książki zaczarowane.

— Muszę zajrzeć chociaż do tej jednej — napierał się Jaś wskazując dużą brunatną księgę, której okładki wysadzane były rubinami i spięte złotą klamrą. Na grzbiecie tej księgi wyczytał Jaś tytuł „Księga zwierząt“ — pomyślał sobie też zaraz, że znajdzie w niej obrazek przedstawiający osiołka, a może nawet i krokodyla.

Minister prosił: „Niech wasza królewska mość będzie rozsądny“. Ale Jaś nie słuchał: odpiął klamrę, księgę otworzył i na pierwszej stronie zobaczył motyla złotego, namalowanego tak ślicznie, że wydawał się żywym.

Nagle motyl poruszył się, zatrzepotał skrzydełkami po zżółkłych kartach księgi i przez otwarte okno wyfrunął.

— A co! nie mówiłem, że nie trzeba ruszać — rzekł pierwszy minister, patrząc z wymówką na nieposłusznego króla.

Ale tymczasem król Jaś odwrócił już drugą kartę i zobaczył wspaniałego ptaka. Pod spodem był napis: „Ptak rajski“. Jaś spojrzał zachwycony, ptak zatrzepotał skrzydłami po zżółkłej karcie i wzleciał w górę.

Widząc to pierwszy minister wyrwał księgę z rąk Janka, zamknął ją, położył na najwyższej półce, bardzo zaperzony i gderał:

— Wasza królewska mość jest niegrzeczny, nieposłuszny, tak nieładnie! Wszystkie zwierzęta pouciekają z książki — a kto wie, może na dalszej karcie jest jaki wąż albo krokodyl — cóż będzie, gdy go wasza królewska mość na świat wypuści? Dok. nast.

Małym dzieciom o wielkich wynalazkach.

I. LOKOMOTYWA.

Mały Staś dostał na gwiazdkę śliczną kolej, nakręcaną kluczykiem. Największą też jego uciechą w święta było puszczać ją po posadce bawialnego pokoju i patrzeć na lokomotywę z wysokim kominem i na długi szereg blaszanych wagoników, który z brzękiem i turkotem zataczał duże koło.

Raz wśród takiej zabawy zwrócił się do siedzącej na kanapce Mamy i zapytał:

— Moja, Mamusiu! a tę kolej którą jedziemy do Babci na wieś, kto nakręca kluczykiem? bo przecież koników i przy niej nie ma.

— Tam koła inaczej są urządzone — odpowiedziała Mama — w twojej zabawce jest przyrząd z kółek i sprężynek jakby w zegarku, trzeba go więc nakręcać jak zegarek i nakręcenie wystarcza tylko na jakąś chwilę — kolei prawdziwej nie potrzeba od czasu do czasu nakręcać kluczykiem, bo tam jest coś, co ciągle koła obraca.

— A co to takiego, Mamusiu?

— Ogień i woda — a raczej to, w co przez ogień woda się zamienia, t. j. para wodna.

— Ogień i woda? para? nic jeszcze nie rozumiem.

— A czy uważałeś co się dzieje z wodą, gdy się gotuje na ogniu?

— No, kipi! to jest wylewa się i dymi.

— Nie dymi, tylko *paruje*, tj. tak się od gorąca rozszerza i rozciąga, że zdaje jej się niby przybywać w naczyniu; nie było pełne, a teraz się woda w niem nie mieści, wylewa się za brzegi, i wciąż się od niej odrywają leciuchne obłoczki i wznoszą ku górze. Weź zimny talerz lub pokrywę i potrzymaj nad parą, a przekonasz się, że para to drobniuchne, tak drobniuchne, że ich okiem nie dojrzysz, cząsteczki wody wzbijające się w powietrze — bo oto na talerzu twym lub pokrywie osiądzie zaraz ta para kroplami wody.

— To już nieraz widziałem, ale jakże może taka para obracać koła?

— A widziałaś jak się woda gotuje w zamkniętym pokrywką imbryczku? Gdy przez gorąco woda zamienia się w parę, ta para nie chce się pomieścić w zamknięciu: chciałaby wzbić się obłoczkiem do góry i wtedy to sama podnosi sobie pokrywkę — wypycha ją i wymyka się z pod niej — pokrywka znow zapada ale para znów ją podrzuca i tak ciągle, aż powstaje taki hałas i brzęczenie, że coprędzej przybiegam ja zdjąć z ognia imbryczek, bo słyszę, że się już woda na kawę dla Tatusia bardzo gotuje. A teraz, Stachu, podobnie się dzieje i w kolei. Tam jest maszyna, zwana lokomotywą, w której się ciągle w zamkniętym kotle woda gotuje i wytwarza parę. Para chce się na wolność wydobyć, ale z kotła dostaje się do innego zamkniętego naczynia, gdzie na drodze swojej napotyka zatyczkę, którą odsuwa i odrzuca, jak nasza para w imbryczku pokrywę. Naczynie w którem się to dzieje, — dla długości swej i okrągłego kształtu nazwane walcem albo cylindrem, — jest szczelnie zamknięte: tylko, od znajdującej się w środku zatyczki, długa rączka wystaje aż na zewnątrz, po za naczynie. Ta rączka przymocowana jest do korby, która się znów łączy z kołami: ile razy para, szukając sobie wyjścia

z naczynia, przesunie tę zatyczkę (nazwaną tłokiem), z końca w koniec walca, tyle razy korba szarpnie kołami i zmusi je do obrotu. A dzieje się to raz po raz, nieustannie, bo tłok (jak nasza w imbryczku pokrywa) co wypuści trochę pary, to znów zapada i znów go świeża para odpycha. Stąd ten ciągły, regularny stuk i sapanie lokomotywy — nad nią ciągle wzbijają się w górę czarne kłęby dymu, z ognia który wciąż palą pod kotłem i białe kłęby pary, wypuszczonej nareszcie z zamknięcia. Wagony pozaczepiane są jeden o drugi, podobnie jak w twojej zabawce, tak, że gdy pierwsze się już toczą, pociągane przez lokomotywę, to ciągną za sobą cały szereg.

— Ślicznie, ślicznie rozumiem, Mamusiu! już wszystko będę wiedział, jak kolej jedzie, — tylko mi jeszcze powiedz, na co kładą szyny żelazne na drodze?

— Bo lokomotywa i wagony bardzo są ciężkie, więc koła z trudnością się obracają — i ustałyby na nierównej drodze, a po gładkich szynach, idzie to łatwiej i prędzej.

— A czem kolej tak gwiżdże na stacyach? i jak się zatrzymuje?

— To także sprawka pary: gdy pociąg chcą zatrzymać, wypuszczają parę z walca, żeby już nie suwała tłokiem, a ona wymykając się przez ciasny otwór tak gwiżdże przeraźliwie.

— Jakiż to strasznie mądry człowiek być musiał, co to wszystko wymyślił!

— Na całe, tak doskonałe jak dziś urządzenie kolei, składało się wiele rozumów. Przed stu laty jeszcze się o nich ludziom nie śniło. Możesz sobie zapamiętać nazwisko pierwszego, który wpadł na pomysł zaprzęgnięcia pary wodnej do pracy: był nim James Watt (czyt. Dżems Uat) Anglik, który będąc małym chłopczykiem ciekawie się przypatrywał, jak gotująca się woda podnosi pokrywę garnuszka. Zaraz się nad tem zastanowił, że do podniesienia czegokolwiek potrzeba siły, a zatem kiedy para ma jakąś siłę, to możnaby ją zużytkować do czegoś lepszego niż podnoszenie pokrywy. Wynalazcą właściwej lokomotywy, był Stephenson.

— Mamusiu! a czy jeszcze tę siłę do czego innego prócz do kolei zużytkowano?

— Do nieprzeliczonej liczby maszyn zwanych parowemi, w których ona zastępuje pracę rąk ludzkich lub siłę koni.

Adam S...ski.

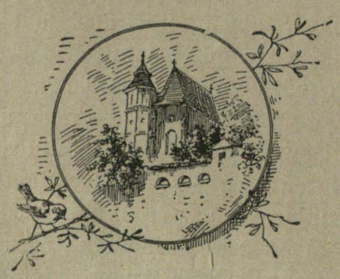

Konkurs na wypracowenie z historyi polskiej.

Termin nadsyłania wypracowań na temat wskazany obrazkiem i wierszykiem do dnia 15 lutego b. r.



Spojrzyjcie, jak młodzian w bój pędzi szalony,
Przez wrogów zastępy, przez krwawe zagony,
Jak z czoła mu świeci odwaga rycerska
A w sercu dziadowska gra krew bohaterska!
Lecz stargał przysięgę niebaczny młodzieniec,
Toż skroni w wawrzynów nie zdobić mu wieniec:
Już pierścień pohańców wciąż cieśniej go ściska —
Już tylko nad mrowiem wzniesiony miecz błyska —
Już opadł — już szyszak się stacza stalowy
Z młodzieńczej, tak pięknej i drogiej tak głowy!
Poganin swój tryumf bezczelnie obwieści,
A naród nie zechce dać wiary tej wieści.

Biała Babcia.

Łamigłówka zgłoskowa.

A — bo — co — czu — brus — ju — ków — kra — o — lia — men — nie — niak — hre — szki.

1. Imię żeńskie. 2. Zakończenie modlitwy. 3. Inaczej firmament. 4. Miasto. 5. Nakrycie stołowe. 6. Francuska wódka. 7. Mączna potrawa.

Początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół tworzą imię i nazwisko wielkiego poety polskiego z XVI. wieku.

Tadeusz i Stefania Wepperowie.

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 2. We Lwowie, dnia 15. Stycznia 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Jaś Królem.

(Bajka, przekład z angielskiego,)

(Ciąg dalszy.)

— Przepraszam bardzo — ja nie wiedziałem, że one zechcą uciekać — pogódźmy się, mój drogi panie — prosił Jaś.

Minister pocałował go i zaleciwszy mu, żeby nadal był grzeczny, poszedł załatwiać swoje rachunki.

Ale Jaś nie mógł zasnąć tego wieczora, ciągle myślał o tem, że tam w książce jest pewno krokodyl, którego on tak bardzo pragnął zobaczyć. Ponieważ księżyc świecił mu prosto w oczy, więc wstał z łóżeczka, wyszedł na korytarz i pocichutko, ażeby niani nie obudzić, dostał się na schody, a ztamtąd zakradł się do biblioteki, przystawił sobie stołek i sięgnął na na najwyższą półkę po „Księgę Zwierząt“. Wziął ją z sobą i poszedł na taras, gdzie było tak widno od promieni księżyca, jak w dzień biały. Otworzył księgę. Dwie pierwsze karty były puste, bo motyl i rajski ptak odleciały. Odwrócił trzecią kartę. Siedział na niej pod malowaną palmą jakiś nieznany potwór, pod nim wypisane było: „Smok“.

Potwór miał oczy zamknięte i zdawał się spać. Jaś patrzył na niego przez chwilę ze zdziwieniem i strachem. aż wreszcie ciekawy, co z tego wyniknie, poruszył z lekka kartą.

W tejże chwili ogromny, czerwony smok rozpostarł skrzydła szkarłatne i poleciał, hen! na pola i lasy, a Jaś siedział przed pustą kartą, na której została tylko zielona palma, żółta pustynia i czerwony ślad po skrzydłach smoka.

Uczuł nagle swoją winę. Oto był królem niecałą dobę, a już zdążył spłatać okropnego figla: wypuścił na swoje państwo czerwonego Smoka, naraził życie swoich poddanych. A oni przecież obrali go królem i sprawili mu taką ładną koronę!

Na myśl o tem Janek rozpłakał się. Natychmiast przybiegła niania, za nią kanclerz, za nim pierwszy minister. Wszyscy pytali, co jest małemu królowi i czemu nie spi w swojem łóżeczku, ale skoro tylko ujrzeli księgę, domyślili się odrazu, o co chodzi i kanclerz rzekł:

— Niegrzeczny król, szkaradny! Niech go niania położy do łóżka i jutro wcale mu wstać nie pozwoli za karę.

Jaś wybuchnął płaczem:

— To był czerwony smok — przyznał się — poleciał w świat. Bardzo mi przykro, bardzo. Proszę mi przebaczyć!

Ale kanclerz i pierwszy minister nie mieli czasu się gniewać ani przebaczać. Wybiegli, żeby wezwać policyę i szukać ratunku. Każdy robił co mógł. Stawiali straże, zastawiali sieci na smoka, ale on uciekł w góry i siedział tam w jaskini i nie było na niego rady.

I niania robiła swoje, zrobiła może nawet więcej od innych, bo schwyciła króla i położyła go do łóżka, nie dała mu nawet herbaty, a gdy się ściemniło, nie przyniosła mu świecy, przy której mógłby sobie poczytać.

— Jesteś niedobrym królem — rzekła — nikt cię nie będzie kochał.

Następnego dnia smok siedział jeszcze spokojnie, choć niektórym tchórzliwego usposobienia ludziom zdawało się, że już widzą jego czerwone skrzydła, powiewające nad drzewami.

Ale nazajutrz była sobota. Po popołudniu smok spadł na ziemię w całej swojej ohydnej czerwoności: chwytał i pożerał ludzi, a najwięcej tych, którzy sobie pourządzali majówki, cyklistów, spacerowiczów, takich, którzy się bawili w lawn-tenisa i takich, którzy po prostu grali w piłkę. A ludzie mówili:

— Co też król zrobił najlepszego, wypuszczając tego smoka!

Przez cały tydzień potem nikt nie jeździł na bicyklu, nikt nie grał w lawn-tenisa, nikt nie śmiał urzą-

dzać majówek ani wyścigów, Janek starał się z całych sił być grzecznym królem i ludzie zaczynali mu już przebaczać, że wypuścił smoka.

— Ha! mówili — mniejsza już o tych próżniaków, co grali w lawn-tenisa i jeździli na rowerach — nie taka ich znów szkoda — a porządnych ludzi widać smok nie myśli zaczepiać, kiedy teraz siedzi cicho. Ale w następną sobotę, kiedy zaledwie radcowie miejscy zgromadzili się, aby się naradzić, co dalej począć ze smokiem, tenże znowu się zjawił, wleciał do miasta i wszystkich obradujących połknął razem z ratuszem!

Następnej soboty smok okazał mniejszy apetyt, zjadł tylko jeden przytułek dla sierót: ściany, mury i sieroty razem! Król Jaś był w rozpaczy, rozumiał, że to jego nieposłuszeństwo sprowadziło to nieszczęście na radców, na sieroty i na cyklistów, i czuł, że powinien zle naprawić. Ale jak?

Rajski ptaszek, wypuszczony z księgi, spiewał ślicznie w ogrodzie pałacowym; motyl fruwał i siadał na różach, a czasem na ramieniu Janka, więc Janek wiedział, że jednak nie wszystkie stworzenia z Księgi Zwierząt są złośliwe i myślał:

— A możeby też wypuścić jeszcze jakie zwierzę, któreby zwalczyło smoka?

Ale z tem wszystkiem bał się już dotykać niebezpiecznej kslęgi, żeby z niej nie wyskoczyło coś, coby mogło pożreć jego samego.

Tymczasem, smok co soboty grasował sobie w najlepsze po mieście, ludzie bali się już w ten dzień ukazywać na ulicy, ale smok sobie poradził: zjadł na jeden łyk wszystko, co było w sklepach i na straganach i na rynku u przekupek — i wypił — z blaszankami razem — wszystką naftę stojącą w składach i wszystko mleko przywiezione do miasta. Choć blaszanki były lutowane i zamykane na kluczyk, nic mu to nie szkodziło i smaku nie psuło. A gdy połknął ostatnią już blaszankę i nic dla ludzi nie zostawił, wlazł do gmachu pocztowego i tu pożarł wszystkie aparaty telegraficzne razem z dzwonkami i wszystkie listy i wszystkich listonoszów i dopiero nasycony wyszedł z poczty, a z pyska wisiały mu jeszcze strzępy różnych listów i gazet. Najgorzej, że połknął przytem cały nakład „Wieku Młodego“ i dlatego to numer noworoczny spóźnił się o dwa dni, bo trzeba było dopiero drugi raz odbijać...

Położenie było okropne. Co soboty smok tak bezkarnie plądrował po mieście przez cały dzień — tylko kilka godzin w południe odpoczywał w cieniu pod drzewem, bo jego czerwone skrzydła nie mogły znosić upału i zaraz zajmowały się płomieniem, co go bardzo bolało. Nareszcie, pewnej soboty smok tak się rozzuchwalił, że wsunął paszczę do dziecinnego pokoju króla Jasia i pożarł jego ulubionego konika na biegunach! Jaś płakał za swoim konikiem przez sześć dni, a siódmego był tak zmęczony, że musiał przestać i powiedział:

— Nianiu, obmyj mi buzię, nie będę już płakał.

Niania umyła go ładnie i upomniała, żeby był grzecznym.

— Płaczem nic się nie wskóra — dodała.

— To prawda — rzekł Janek. Sam to widzę, ale pierwej nie mogłem się powstrzymać. Teraz wiem już co zrobię: Nianiu, pocałuj mnie na pożegnanie, bo może nigdy nie wrócę. Kiedy ja sam smoka wypuściłem, muszę sam starać się oswobodzić wszystkich od niego.

— Ha! jak musisz, to trudno! — rzekła niania, ale pamiętaj, nie splam sukienki i nie zamaczaj nóżek.

Jaś zatem wyruszył na wyprawę na smoka, tj. odważnie wziął „Księgę Zwierząt“ z biblioteki i poszedł z nią ogrodu. Rajski ptak, który tu bujał swobodnie, zaspiewał jeszcze piękniej i złoty motyl zabłysł żywszemi jeszcze barwy, gdy Jaś z księgą pod pachą wszedł do ogrodu. Mały król usiadł pod drzewem i prędziutko, bez namysłów, otworzył księgę prawie w połowie tomu. W miejscu tem był obrazek podpisany: „Hypogryf“ i zanim Janek mógł zmiarkować, co się dzieje, zatrzepotały olbrzymie białe skrzydła, zadudniły podkowy, rozległo się rżenie i z książki wyskoczył piękny biały konik z dużą grzywą, parą skrzydeł, i bardzo łagodnemi oczyma. Stanął wśród krzaków róż, nóżką grzebał i ocierał pieszczotliwie łebek o ramię małego króla, a Jaś myślał:

— Gdyby nie twoje skrzydła koniczku, byłbyś bardzo podobny do mojego konia na biegunach, którego mi ten nieznośny smok pożarł.

Rajski ptak spiewał tymczasem jakąś piosnkę pełną zachęty, gdy nagle król ujrzał spadającego z obłoków czerwonoskrzydłego smoka. Wtedy stało się coś dziwnego; czy rajski ptaszek podszepnął mu to w swoim spiewie, czy Jaś, nie wiedzieć skąd, sam zrozumiał, co mu czynić należy, dość, że chwycił oburącz Księgę Zwierząt, wskoczył na grzbiet dobrego Hypogryfa i nachylając mu się nad uchem, szepnął:

— Pędź koniku, pędź co żywiej po kamienistej drodze, do kamienistej pustyni, gdzie największy żar słońca. (Dok. nast.).

Zima.

Strojąc świat w dyamenty
Od brzegu po brzeg,
Na tę naszą ziemię
Upadł srebrny śnieg.
W złotych blaskach słońca
Mieni się i drży,
Jak zaczarowane
Jakieś ciche łzy.

Taka cisza w okół
Pośród łąk i pól...
Światem mróz wędruje,
Sinobrody król,
Na bachmacie białym
Jedzie gdzieś od Tatr,
Za nim dwaj hetmani:
Zadymka i Wiatr.

Krwawą ręką widma
Do wieśniaczych wrót
Puka wiedźma, Nędza,
A z nią syn jej: Głód!
Na bezlistnych drzewach
Gra kapela wron,
Echo dzwoni w dali,
Jak żałobny dzwon...

Ale jako szkaplerz
Wśród zimowych trwóg,
Miłość w serca ludzi
Tchnął z błękitu Bóg.
Bujnym liściem strzela
Jej czerwony kwiat,
I zwycięży zimę —
I rozwiośni świat!...

Or. Ot.

Prawdziwa robota.

Do rodziców ośmioletniego Stasia przyjechał raz ze wsi jeden pan z synem swoim Władkiem. Władek był od Stasia prawie o trzy lata starszy, pomimo to chłopcy bawili się ze sobą bardzo przyjemnie przez całe popołudniu.



— A jak ty się bawisz w domu, gdy nie masz lekcyi? — pytał Staś, który dotąd nigdy jeszcze na wsi nie był i nie miał o niej wyobrażenia. — Ja bo chodzę zawsze po obiedzie do ogrodu Jezuickiego na muzykę, a zrana czasem na rynek z mamusią i kucharką — ale na wsi muzyki ani ani rynku nie ma.

— Ja nie bawię się wcale, jestem już na to zaduży i mam tyle roboty! — odpowiedział z dumą Władzio. — Gdy skończę lekcyę, to razem z tatkiem gospodaruję; jeżdżę w pole, chodzę na gumno, wydaję obroki — mamy zawsze bardzo dużo roboty. Bawić się mogą takie dzieci, jak ty!

Staś zaczerwienił się ogromnie; słowa Władzia obraziły go, ale że to był gość, więc grzeczny Staś nic mu nie odpowiedział — tembardziej, że nawet nie wiedział, jaką robotą mógłby się przed starszym towarzyszem pochwalić. Dotąd wszystkie godziny wolne od lekcyi schodziły mu rzeczywiście na zabawie, jak jakiemu małemu dziecku.

Postanowił to zmienić w przyszłości.

Od dnia tego mama Stasia bywała nieraz w kłopocie; coś się jej w gospodarstwie zepsuło! niewiadomy sprawca płatał jej figle wcale nieporządne: To zegar ktoś nakręcił w przeciwną stronę i trzeba go było aż do zegarmistrza nu kuracyę oddawać — to kwiatki podlane zrana przez służącą, podlano po raz drugi w południe tak, że woda przeciekła na ziemię i zalała cały salon — to wreszcie korzystając z chwili, gdy kucharka zbiegła po sól do sklepiku, ten niewiadomy k t o ś, wpadł do kuchni i pierogi rozłożone na stolnicy powrzucał do wody zimnej, ledwie postawionej na blachę — wskutek czego pierogi rozmokły się całkiem i nikt ich jeść nie mógł.

Tego już było za wiele — sprawa z zegarkiem i kwiatkami uszła jeszcze jako tako; mama przypuszczała, że zegar może sam się zepsuł z niewiadomego pewodu, a woda przeciekła przez wazoniki, bo jej jakoś zadużo odrazu nalano. Ale pierogi nie mogły przecież same powskakiwać do rynki z wodą — to trudno — kucharka narobiła też wielkiego krzyku, zwalając całą winę na pokojowę — nikt inny tylko ta nieznośna Antosia wyrządziła jej umyślnie taką szkodę.

Posłyszawszy to Staś prsystąpił bardzo zaczerwieniony do mamy i rzekł cichutko:

— To nie Antosia, to ja mamusiu powrzucałem pierogi do wody i... ja zegar nakręciłem... i kwiatki podlałem troszkę zadużo.

— Ty Stasiu! zawołała mama, patrząc ze zdziwieniem i niezadowoleniem na swego dotąd tak rozsądnego synka — I czemuż bawisz się płataniem takich brzydkich figli?

— To nie na figle — tłumaczył się Staś bliski płaczu — to właśnie dlatego, że ja chciałem robić jakąś robotę, bo każdy przecież coś robi, i Władzio ze swoim tatkiem gospodaruje, a ja nigdy nic...

Mama roześmiała się: Najlepszą robotą dla dziecka być grzecznym, słuchać starszych i nie przeszkadzać im w zajęciach, które dla małych nie są jeszcze dostępne. Zresztą, ty masz przecie swoje lekcye, gdy je dobrzo odbędziesz, to dosyć z ciebie.

— Nie mamusiu, nie dosyć, bo Władzio powiada, że to każde małe dziecko tak potrafi uczyć się a potem bawić. Ja chcę takiej prawdziwej roboty, jaką robią starsi, aby z niej był odrazu pożytek.

— No, dobrze — rzekła mama — ja ci i takiej prawdziwej roboty dostarczę, tylko pamiętaj nie brać się do niczego sam, bo wtedy z twoich dobrych chęci nie tylko nie ma pożytku, ale jest szkoda.

I na początek dała mama Stasiowi duży motek włóczki do zwinięcia w kłębek. Chłopczyna z wielką powagą zabrał się do pracy i choć włóczka była trochę poplątana nie przerwał nitki ani razu, Nie bardzo go to bawiło, oj nie! — ale za to gdy skończył czuł się z siebie ogromnie zadowolony; zrobił przecież prawdziwą pożyteczną robotę!

Nazajutrz pozwolił mu tatuś pooddzierać czyste ćwiartki papieru od wszystkich listów, które na biórku u niego leżały — listy miały być spalone, a czyste ćwiartki przecież jeszcze przydać się mogły — szkoda je marnować.

— Stasiu — rzekła mama na trzeci dzień — dziś mam dla ciebie prawdziwą, wielką robotę! zabaw Zosię przez parę godzin, bo służące piorą, a ja chcę wam na jutro ponaprawiać i odświeżyć inne sukienki.

Staś nie wiedział czy mama nie żartuje, nazywając bawienie Zosi, prawdziwą, wielką robotą. On przecież bardzo kochał swoją malutką siostrzyczkę i nieraz niania Zosia i Staś bawili się we trójkę doskonale, całemi godzinami; to nie była żadna robota.

Ale dziś jakoś wszystko było inaczej; bez niani zabawa nie szła tak łatwo, ani tak wesoło; Zosia trochę kaprysiła, trochę swawoliła zanadto. Zachciało jej się n.p, koniecznie jeździć na Stasiowym welocypedzie, i gdy jej braciszek powiedział, że nie można, bo upadnie, rozpłakała się na dobre.

Tego już było za wiele; przyjemnie jest bawić grzeczne i posłuszne dziecko, ale na takie kaprysy przecież pozwalać nie można. Staś przybrał, jaką mógł najsurowszą minę i ująwszy dziewczynkę za rękę rzekł z wielką powagą:

— Zosia jest niegrzeczna i pójdzie za to do kąta — jak mówię, że nie można jeździć, to nie można i koniec!

— Niech sobie trochę postoi w kącie — myślał w duchu — ja będę miał chwilkę spokoju i może uda mi się przeczytać choć jednę powiastkę z tej książeczki, którą dostałem od wujcia.

Ale rachuby Stasia zawiodły go. Zosiunia postawiona do kąta uderzyła w głośny krzyk — kara taka spotykała ją niezmiernie rzadko i tylko za największe przestępstwa. — Gdzie tu myśleć o czytaniu — trzeba było co prędzej uspokajać siostrzyczkę, przedewszystkiem dlatego, że się Stasiowi naprawdę żal jej zrobiło, a potem, że bał się, aby mama przestraszona tym krzykiem nie przybiegła zobaczyć co się tu dzieje. Doprowadzenie Zosi do płaczu, nie było w żadnym razie „potrzebną robotą“, a Stasiowi tak o to chodziło, żeby się jego praca na co przydała.

No, jakoś przecie zdołał załagodzić wszystko ofiarowanie Zosi starego, ale jeszcze bardzo porządnego (plamy we środku nic nie szkodzą, bo słodkie) pudełka od cukierków. — Dalsza zabawa poszła jakoś lepiej, bo Zosia wprowadzona była w dobry humor darem braciszka.

Przed wieczorem przyjechał niespodzianie Władzio z ojcem. Zajrzał na chwilkę do dziecinnego pokoju, ale że mu się zabawa z małą dziewczynką nie podobała, a Staś jeszcze zastępował nianię, więc Władzio dosyć kwaśny powrócił do starszych.

— Czemuż nie bawisz się ze Stasiem? — zapytał go ojciec.

— Ej, on taki dziecinny, bawi się z takim małym bębnem, jak ta Zosia — to nie dla mnie towarzystwo.

Ale p. Niedzielski, który już z ust rodziców Stasia był powiadomiony o wszystkiem, rzekł poważnie:

— Mylisz się — Staś jest właśnie nad wiek rozwinięty i poważnie myślący. On pragnie być pożyteczny i robi co może, aby ten cel osiągnąć. Już dziś w miarę swych sił wyręcza w pracy starszych, i jeśli nadal będzie tak postępował, wyrośnie kiedyś na prawdziwie pożytecznego człowieka. Ze Stasia niejeden chłopczyk, mógłby pod tym względem brać przykład...

— Ja przecież także gospodaruję z tatkiem — mruknął Władzio, nie bardzo kontent z ostatnich słów.

— Tak, ale ty jeździsz ze mną w pole i do lasu dlatego, że cię to bawi i ja biorę cię tylko dla zrobienia ci przyjemności, nie zaś dlatego, aby twoja obecność przy siewach była potrzebną. — Staś opiekuje się małą siostrzyczką, chociaż go to może wcale nie bawi, bo pragnie robić coś pożytecznego. Widzisz więc, że jest między waszą „pracowitością“ wielka różnica!

W tej chwili Staś, zwolniony nareszcie przez Nianię wbiegł do salonu — Władzio, który zrozumiał słowa ojca przestał patrzeć z góry na małego towarzysza i przechwalać się przed nim swojemi robotami — odtąd też obaj chłopcy w serdecznej żyli przyjaźni.

N....a.

Łamigłówka zgłoskowa.

Lam — cy — mień — ło — u — lan — nia — dy — wie — sa — krze — mur — jej — o — na — niec — kwa — ral — ce — da — ir — ga — ron — part — lia — u — pal — a — po — se — sław — i — skro — nok — dya — ja — ski — za.

1. Kraj w Azyi. 2. Nazwisko poety polskiego. 3. Zwierze drapieżne. 4. Epopea grecka. 5. Góry w Europie. 6. Rzeka we Francyi. 7. Wąż nieszkodliwy. 8. Miasto w Galicyi. 9. Część składowa rośliny. 10. Kamień szlachetny. 11. Poemat Brodzińskiego. 12. Rzeka w Azyi. 13. Sławny mowca rzymski. 14. Jeden z najpospolitszych minerałów. 15. Kraj w Europie.

Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko sławnego poety.

Konwalijka z Gorlic.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.

Nr. 3. We Lwowie, dnia 1. Lutego 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Wystarczy...

„Tam za oknem, mój Boże!
Taki zimny śnieg pada,
A w ogródku, na dworze
Szarych ptasząt gromada —

„Czy też one dziś rano
Jadły jakie śniadanie?
Czy co w wieczór dostaną?!!
— Nie wiem, moje kochanie!

„A tam oto, patrz Mamo,
Kędy do wsi drożyna,
Jakiś wiejski za bramą
Idzie sobie chłopczyna.

„Widać wraca ze szkoły,
Bo ma książkę, tabliczkę —
Lecz nie idzie wesoły,
Ma zsiniałą twarzyczkę —

„Wiatr rozwiewa mu w biegu
Matczyn kaftan ten stary —
Jak te ptaszki na śniegu
Taki mały i szary!

„Czy też w chacie go czeka
Ciepły ogień komina?
Czy mu matka da mleka,
By się ogrzał chłopczyna?...“

— Nie wiem, moje ty dziecie —
Może braknie im drzewa...
Dużo biedy na świecie:
Wiatr chatynkę przewiewa...

Może pustka w stajence,
Nie ma krówki u żłobu...
Choć urobić by ręce
Wyżyć nie ma sposobu!...

Ale czekaj, mój synku;
Oczka łzawi ci litość —
U nas ogień w kominku,
Mleka, chleba obfitość —

Pójdźmy przeto co prędzej
Do tych ptaszków, do ludzi;
Starczy wszędzie dla nędzy
Gdzie się litość obudzi!

Z. M.

Jaś Królem.

(Bajka, przekład z angielskiego,)

(Dokończenie.)

A gdy smok spostrzegł, że leci król na skrzydlatym koniu, zaraz sam poleciał za nimi, chcąc ich co prędzej dognać i pożreć obu razem. I tak rozpoczął się wyścig. Smok rozpuszczał skrzydła, jak pełne błyskawic chmury gradowe, a Hypogryf rozpościerał swoje, jakby wiosenne obłoki.

Gdy ludzie w mieście ujrzeli smoka, pędzącego za Hypogryfem, a na Hypogryfie swego małego króla, wszyscy powybiegali z domów i pootwierali usta od ucha do ucha, z podziwu nad tem niezwykłem widowiskiem i byli pewni, że to się źle skończy.

Ale smok nie mógł tak łatwo dognać skrzydlatego konia. Czerwone skrzydła były wprawdzie większe od białych, ale nie tak silne, więc białoskrzydły koń mknął wciąż dalej i dalej, i choć smok często dyszał już tuż za nimi, mały król Jaś nic się nie bał, tylko powtarzał sobie ciągle: „Ja go wypuściłem, ja muszę kraj od niego oswobodzić!“

Aż zalecieli tak w sam środek kamienistej pustyni. A na tej pustyni nie ma nic, tylko kamienie na sto mil dokoła.

Białoskrzydły rumak leciał wciąż przodem, a smok wciąż za nim i było mu coraz goręcej. Gdy zalecieli w pustynię, gdzie okrutny żar słońca, smok dobywał już prawie ostatniego tchu i już prawie zaczynał gorzeć. Czuł, że lada chwila zajmie się ogniem, jeśli nie zdoła schronić się coprędzej w cień jakiego drzewa. Już, już dosięgał pazurem Hypogryfa i Janka, ale był tak osłabiony, że nie mógł mocno pochwycić, a Hypogryf znowu mu się usunął jeszcze dalej. Smok potrzebował już tylko parę razy zamachnąć skrzydłami, aby go doścignąć, ale już mu siły całkiem ustały, a przytem bał się machać skrzydłami, żeby się prędzej nie zajęły. Wtedy to Jaś mężnie rzucił na ziemię „Księgę Zwierząt, tak, że upadła na kamienistą drogę i rozwarła się na stronicy z podpisem: „Smok“, wydrukowanym na białej karcie pod palmą. Czerwonoskrzydły potwór spojrzał, zawahał się i znowu spojrzał i nagle spadł na kartę i usiadł pod dobrze znanem sobie, malowanem drzwem palmowem — bo innego nigdzie na około nie było.

Wtedy Janek zeskoczył z konia i zamknął księgę w mgnieniu oka i nauczony doświadczeniem, aż przysiadł na niej, żeby ją lepiej docisnąć, żeby mu się smok nie wymknął.

— Wiwat! wołał, z trudem spinając klamrę okładki — pokonaliśmy go nareszcie.

— Mój koniku skrzydlaty! — mówił potem, pieszcząc Hypogryfa — jesteś najlepszym, najdzielniejszym, najrozumniejszym...

— Cicho! — szepnął Hypogryf — niech mnie Wasza królewska Mość nie zawstydza pochwałami, wobec tak licznego zgromadzenia.

Jaś się obejrzał i ze zdumieniem ujrzał, że w istocie otoczyły ich nagle tłumy: był tam i pierwszy minister i wszyscy radcowie i cykliści i grający w piłkę i sieroty z całą ochroną, listonosze i kołyszący się koń na biegunach — jednem słowem, wszyscy i wszystko, co zostało pożartem przez smoka.

Bo to tak było: smok nie mógł wziąść tego wszystkiego z sobą do księgi, gdyż zaledwie sam zdołał się w niej zmieścić między kartkami, i to dobrze spłaszczyć się musiał — więc wszystko, co pochłonął, musiał wyrzucić z siebie.

Niebawem wszyscy powrócili do miasta i żyli potem szczęśliwie i długo.

Król Jaś pytał się skrzydlatego konia, czyby chciał zamieszkać w jego stajence, razem z koniem na biegunach, ale Hypogryf odparł, że nie lubi dworskich zaszczytów i prosił, żeby mu wolno było wrócić do Księgi Zwierząt i usiąść na karcie z napisem: „Hypogryf“. Król Jaś przystał na to i sam ostrożnie mu księgę otworzył, żeby kto inny, nie pamiętający kart, przypadkiem nie ruszył smoka. Tylko rajski ptak i motyl fruwają do dziś dnia po ogrodach pałacowych króla Janka.

A teraz, czy wiecie Czytelnicy, jaki sens tej bajki? bo przecież takie nadzwyczajne zwierzęta i zaczarowane księgi istnieją tylko w bajkach. Oto, prawdą w tej bajce jest, o czem Jaś się przekonał, że każdą winę czy błąd nierozwagi, można tylko własnym trudem naprawić.

Improwizowane przedstawienie dramatyczne.

Czytelnicy nasi dopominają się u nas często o komedyjki, łatwe do przedstawienia w kółku rodzinnem i koleżeńskiem. Rzeczywiście takie przedstawienia są bardzo miłą i kształcącą zabawą — to też zawsze w ciągu roku podajemy Wam parę sztuczek, nadających się do tego doskonale. Dziś zaś chcemy, Was nauczyć nowej zabawy w tym rodzaju, jeszcze przystępniejszej i łatwiejszej do urządzenia, bo nie potrzeba do niej żadnych szczególnych przygotowań, dekoracyi i kostyumów — posiada ona tę zaletę, że stanowi jakoby pierwszy stopień i szkołę przedstawień amatorskich, właśnie przez to kształcącą, że wymaga tylko doskonałego zrozumienia wygłoszonej rzeczy i pobudza własną pomysłowość, co do większego urozmaicenia i ożywienia gestów.

Nazwiemy to deklamacyą zbiorową.

Rzecz polega na tem, aby wybrać jakiś piękny, najlepiej ogólnie znany, wiersz, w którego treści autor wprowadza kilka osób i przytacza ich słowa: trzeba ten wiersz podzielić w nauce tak, aby za każdą z osób mówiło inne dziecko, a wszystko, co pozatem sam autor opowiada i objaśnia od siebie, wygłaszał znowu ktoś jeden. Tam gdzie większa liczba deklamujących nie stanowi trudności, j. n. p. w zakładach naukowych, jest jeszcze efektowniej i bardziej kształcąco, jeżeli słowa autora wygłasza cały chór, tak doskonale wyćwiczony w równem, wyrazistem wymawianiu i cieniowaniu głosem, żeby się zdawało, iż to tylko jedne usta mówią, choć mówi ich kilka lub kilkanaście. Jeżeli się jeszcze do tego zastosuje pewną, harmonijną wyrazistość gestów, będzie to niby coś w rodzaju chórów greckich w starożytnym dramacie — i jest w istocie doskonałą szkołą deklamacyi.

Oprócz utworów już od razu pisanych formą dyalogową, najlepiej, do deklamacyi zbiorowej, nadają się ballady i bajki.

Dla wzoru, podajemy Wam dziś rozkład na głosy najogólniej znanej i ulubionej Wam ballady. „Powrót Taty“ A. Mickiewicza. Do przedstawienia jej dramatycznie, potrzeba głosów: Matki — Dzieci — Starszego brata — Ojca — Jednego zbójcy — Herszta zbójów — i chóru kilku, głosów lub jednego głosu, do słów autora. Oto jak się rzecz przedstawia:



Matka: Pójdźcie, o dziatki! pójdźcie wszystke razem za miasto, pod słup, na wzgórek: tam przed cudownym klęknijcie obrazem, pobożnie zmówcie paciorek. Tato nie wraca! ranki i wieczory we łzach go czekam i trwodze: wylały rzeki — pełne zwierza bory — i pełno zbójców na drodze...

Chór (albo głos jeden): Słysząc to dziatki biegną wszystkie razem za miasto, pod słup na wzgórek; tam, przed cudownym klękają obrazem i zaczynają paciorek: całują ziemię, potem —

Starszy brat. W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego! bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca, teraz i czasu wszelkiego.

Chór: I litanią do Najświętszej Matki starszy brat śpiewa, a z bratem

Dzieci: Najświętsza Matko!

Chór: przyśpiewują dziatki

Dzieci: zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!

Chór: W tem, słychać turkot: wozy jadą drogą i wóz znajomy na przedzie... Skoczyły dziatki i krzyczą jak mogą:

Dzieci: Tato! ach, tato nasz jedzie!...

Chór: Obaczył kupiec, łzy radosne leje, z wozu na ziemię wylata:

Ojciec: Ha! jak się macie? co się u was dzieje? czyście tęskniły do tata? Mama, czy zdrowa? ciotunia? domowi?

Dziecko: A ot, rodzynki w koszyku!

Chór: Ten sobie mówi, a ten sobie mówi — pełno radości i krzyku.

Ojciec: Ruszajcie!

Chór: kupiec na sługi zawoła

Ojciec: ja z dziećmi pójdę ku miastu.

Chór: Idzie — w tem zbójcy obstąpią do koła, a zbójców było — dwunastu! Brody ich długie, kręcone wąsiska — wzrok dziki — suknia plugawa — noże za pasem, miecz u boku błyska, w ręku ogromna buława. — Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły — tulą się pod płaszcz na łonie — truchleją sługi, struchlał pan wybladły — drżące ku zbójcom wzniósł dłonie:

Ojciec: Ach, bierzcie wozy! ach bierzcie dostatek, tylko puszczajcie nas zdrowo; nie róbcie małych sierotami dziatek i młodej małżonki wdową.

Chór: Nie słucha zgraja: ten już wóz wyprzęga, zabiera konie, a drugi

Zbójca: Pieniędzy!...

Chór: Krzyczy, i buławą sięga — ów z mieczem wpada na sługi... W tem

Herszt zbójców: Stójcie! stójcie!

Chór: Krzyknie starszy zbójca i spędza bandę precz z drogi, a wypuściwszy i dzieci i ojca

Herszt zbójców: Idźcie!

Chór: rzekł

Herszt zbójców: dalej bez trwogi!

Chór: Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:

Herszt zbójców: Nie dziękuj! powiem ci szczerze, pierwszy bym pałkę strzaskał na twej głowie, gdyby nie dziatek pacierze.

— I t. d. — i t. d., ponieważ do końca mówi nieprzerwanie herszt zbójców, a ballada jest tak ogólnie znana, przeto, dla braku miejsca, nie drukujemy jej już do końca, bo podany wzór wystarczy Wam już zupełnie, do wyuczenia się całości. Chcemy tylko dodać jeszcze kilka wskazówek: chór nie powinien mówić zbyt głośno, broń Boże nie krzykliwie! owszem, powinien nawet być w porównaniu do głosów pojedyńczych, trochę stłumionym — jakby akompaniament z niższego tonu — byle jednobrzmiący, równy i wyraźny. Na głosy dzieci lepiej wziąć głosy najmłodszych, bo te zwykle są wyższe i od poważnego brzmienia chóru odbijać powinny. Na herszta zbójców wybrać trzeba głos najgrubszy. Trzeba uważać, żeby wszystkie „głosy“ wpadały sobie w słowo bezpośrednio jeden po drugim, bez zacinania się i przestanków innych, nad te, których sama treść wymaga. Dramatyczna treść ballady nadaje się doskonale do illustrowania słów odpowiednimi gestami, które niech młodziutcy artyści starają się dobrać sami tak, aby zawsze naturalnym ruchem wyrażały to uczucie, które słowa malują.

O grupowaniu się do takich deklamacyi — o zastępowaniu chóru jednym głosem za autora — o improwizowaniu kostyumów i kortyny, przy tego rodzaju przedstawieniach, pomówimy jeszcze kiedyś innym razem, jeżeli doniesiecie nam, że pomysł tej zabawy Wam się podobał i że próbowaliście przedstawić „Powrót Taty“ podanym Wam przez nas sposobem.

Wierny przyjaciel.

(Z prawdziwego zdarzenia).

Jaś dzielił się ze swoim Kruczkiem, każdym niemal kęsem chleba.

Chowali się razem: maleńki Jaś, na czworakach już uwijał po izbie, na wyścigi z zataczającym się jeszcze także na nogach, i radośnie skomlącym psiuczkiem.

Z jednej miski jadali — przewracali się na jednych stertach siana.

Tylko że Kruczek, z małego pieska wnet wyrósł na silnego, dorosłego psa — w czasie gdy Jasio, ciągle był dzieckiem, i miał jeszcze róść przez lat wiele.

To jednak nie zmniejszyło bynajmniej ich przyjaźni: Jaś nigdy Kruczka nie pociągnął za uszy ani za ogon, zawsze wyprosił dla niego od matki, jakiś dodatkowy kawałek chleba, a Kruczek tylko w oczy patrzył swojemu panu, na krok go nie odstępował i zdawał się każdą myśl jego zgadywać.

Jeżeli ojciec posyłał Jasia do ciotki, mieszkającej w miasteczku, Kruczek w wesołych podskokach biegł z nim razem i radośnem szczekaniem oznajmiał ciotce z daleka, miłego gościa.

Raz, w piękny dzień zimowy Jasio wyprosił się także do ciotki.

Nim obaj przyjaciele doszli do połowy drogi, pogoda zmieniła się nagle: wiatr się zerwał, niebo zaciągnęło, powstała zawieja.

Jaś zmylił drogę — błąkał się do wieczora, i w końcu dopiero przyszło mu na myśl, zdać się na instynkt Kruczka. Ujął rączką za jego obrożę i dał mu się kierować, a pies torując sobie mozolnie drogę, na poprzek pól, wśród zasp śnieżnych, doprowadził go sam do pierwszych zabudowań zwiastujących miasteczko.

Ale Jaś tak był już wycieńczony głodem, strachem i znużeniem, że tutaj upadł jak nieżywy na ziemię i nie był w stanie ani kroku dalej postąpić.

Daremnie Kruczek lizał go po rękach i twarzy, i szarpał za odzienie: Jaś, rozparty na stosie obrobionych już do budowy, leżących przy drodze belek, zapadł w sen ciężki i grożący mu niechybną śmiercią wobec mrozu i sypiącego wciąż śniegu.

Kruczek wtedy, usiadłszy nad nim, żałośnem wyciem starał się przywołać jakąś pomoc — a gdy i to się okazało daremnem, położył się sam na piersiach chłopczyny, ogrzewając go sobą i osłaniając od śniegu.

Gdy wczesnym rankiem, ktoś przejeżdżający gościńcem spostrzegł wreszcie przytulonych do siebie obu przyjaciół, okazało się, że chłopiec zdrów i cały mógł być natychmiast odprowadzony, do rozpaczających za nim rodziców — ale biedny Kruczek życiem przypłacił swoje poświęcenie: zmarzł, ciepłem swojem ocaliwszy życie swego pana i przyjaciela. *Z. M.*

Trafne rozwiązanie zagadnień zawartych w Nrze 2gim nadesłali: Staś Dobrucki, Lola Tebinkówna, Szarotka ze Lwowa, Marcia Durska, Zosia Kurowska, Leontyna M. Walercia i Elza Maxówny, A. B. C. ze Lwowa, Zosia Wszelaczyńska, Halka Dubieńska, Adaś Mrożek, Wanda i Róża Więckowskie, Mania P. z Oleska, Adzio Żelewski, Henryk Milhawer, Polska dzieweczka z nad Wisły, Eleonora Mühlner, Tadzio Dyboski, Leon Płoszewski, Bronisława Sommerstein, Stały Przyjaciel z Dublan, Pszczółka z Kębłowa, Dolusia Tillówna, Biała lewkonia, Tadeusz Zaorski, Ada Jakeschówna, Mania i Zosia Gwoździckie, Tuberoza, Primula i Orzeł Polski, Wisia Krupińska i jej braciszek, Zofia Bicykowska, Marynusia Tyszkiewiczówna, Teresa Kraińska, Turystka Tatrzańska, Regina Immerdauerówna, Biała różyczka z Podola, Lisia, Marylka i Milka Winiarzówny, Tadeusz Wepnik, Józef Chosłowski, Ella Jonaszównn, Józef Kwiatkowski, Młody Żmujdzin i Litwinka, Lila Turska, Wanda Zastaniecka, Miś i Wiś ze Stanisławowa, Polski słowiczek, Janinka Sochaniewicz i Dora Malinowska.

Zagadka

ułożona dla Neni T.

Jakim sposobem można z dwóch nut stworzyć piekło? *Maryla Winiarzówna.*

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.

Nr. 4. We Lwowie, dnia 15. Lutego 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Winowajca.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY: Wańdzia — Staś — Lesio — Jańcia — Franciszkowa stara kucharka.

SCENA I.

WANDZIA — LESIO — STAŚ — JAŃCIA.

Chłopcy siedząc przy stole piszą wypracowania — Wańdzia i Jańcia zajęte robótkami, Jańcia trzyma na kolanach kota.

Wańdzia *(zaczyna nucić na nutę mazurka).*

Piękna nasza Polska cała,
Piękna żyzna i niemała,
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele szczęścia, wiele cudów...

Lesio. Wańdziu, nie spiewaj, bo nam przeszkadzasz pisać.

Wańdzia. A kiedy nie mogę siedzieć niemo jak ryba, bo ta robota taka nudna, że i tak się mało nie urwę!

Lesio *(śmiejąc się).* Urwij się, jeszcze owszem! i przenieś się razem ze swoją robotą do drugiego pokoju, a my tu sobie spokojnie pisać będziemy.

Wańdzia. Ani myślę! tu będę siedzieć, bo to jest właśnie nasz wspólny pokój do nauki, *(zaczyna znowu nucić).*

Jańcia *(głaszcząc kota szepcze z przymileniem)* Były, były kotki dwa — szare, bure obydwa! prawda Mruczku?

Lesio. Jeszcze i ta ze swoim kotem zaczyna! wytrzymać trudno.

Jańcia. Już nie! już nie! przepraszam — my już będziemy całkiem grzeczni — i ja i Mruczek.

Staś *(przerywając pisanie).* Jańcia przynajmniej ma rozum i nie przeszkadza umyślnie *(ze sztuczną powagą do Jańci)* bardzo ci się to chwali.

Wańdzia. Oho, jest poważny protektor — głowa rodziny.

Staś *(z powagą)* Naturalnie, że gdy tatko wyszedł z domu a mama wyjechała na kilka dni do cioci, to chyba ja muszę odgrywać rolę głowy rodziny jako najstarszy z was i...

Wańdzia *(z przycinkiem).* I najrozumniejszy.

Staś. No i w tem by jeszcze nie było wielkiej sztuki.

Franciszkowa *(za sceną).* O-la Boga! a to dopiero utrapienie! a to ci uwzięło z tym kociskiem!

Wańdzia. Oho, Mruczek znowu coś zbroił.

Jańcia *(bardzo żywo).* Skąd wiesz zaraz, że Mruczek?

Wańdzia. Nie sztuka, gdy słyszę jak Franciszkowa na niego wyrzeka — a innego kota tu przecież nie ma.

Lesio. I zresztą z góry można przepowiedzieć, że dzień jeden nie minie, żeby Mruczek szkody jakiej nie zrobił — taki szkodnik!

Jańcia *(bliska płaczu, pieszcząc kota).* Każdy na Mruczka, każdy na Mruczka — ciekawam co on komu takiego złego zrobił?

SCENA II.

Ciż sami, FRANCISZKOWA.

Franciszkowa *(w fartuchu, czepcu, mocno zaczerwieniona, mówi głosem podniesionym, rozkładając rękami).* Proszę panny Wandzi szukać se innej kucharki, bo ja tu już nawet do powrotu pani nie dobędę, bez tego kota — albo ja ze służby, albo on z domu! *(Jańcia usiłuje kota osłonić fartuszkiem, żeby go ukryć przed oczyma kucharki).*

Wańdzia. Cóż się stało nowego?

Franciszkowa *(ciągle zirytowana).* Ja ta nie gadam że „nowego“, tylko tyle, że kawy dzisiaj nie będzie.

Lesio. O, przepraszam! kawa musi być! bo ja już teraz taki jestem głodny.

Wańdzia. A ja na obiad naleśników nie jadłam, bo je Franciszkowa spaliła.

Franciszkowa. Jak nie miałam spalić, kiedy mi się kocisko plącze po pod nogi — mogę to na czas dobiegnąć do patelni?

Staś. A teraz, z tą kawą, cóż się stało?

Franciszkowa. A nie ma, bo kot wypił.

Staś. Kawę?

Jańcia (*żywo*). Mruczek nigdy kawy nie pije; ja mu próbowałam dawać po obiedzie, z tego co tatko w filiżance zostawił, to nawet powąchać nie chciał.

Lesio (*śmiejąc się*). Ha, ha, ha! częstowała kota czarną kawą — to się dopiero uraczył!

Jańcia. A czemuż Franciszkowa mówi, że Mruczek naszą kawę wypił.

Franciszkowa. Ja tam nie mówię wedle kawy tylko wedle śmietanki. Zresztą co prawda to nie grzech, że kocisko wszystko ruszy. Tak se rozkoszuje po całym domu, jakby wszystko ino dla niego było.

Staś. A gdzież ta śmietanka stała?

Franciszkowa. Gdzie miała stać? w kuchni na stole — toć jej nie zaniosę do salonu.

Staś. A nakryta była?

Franciszkowa. Ja tam nigdy nic nie nakrywam, bo od nakrycia wszystko kwaśnieje.

Wandzia. A mama mówi, żeby nakrywać, bo się pruszy.

Franciszkowa. E! pani wie jedno, ja wiem drugie — choć się trochę spruszy, to przez to nie ubędzie, i byłaby sobie śmietanka spokojnie stała, choćby do sądnego dnia, żeby nie ten utrapieniec. Niechno tylko pan przyjdzie z miasta, to jak sobie szczęścia życzę, zaraz powiem: albo kot z domu, albo ja!

Jańcia (*oburzona, tłumiąc łzy*). To Franciszkowa nie wie, jak to brzydko na kogoś skarżyć.

Wandzia (*śmiejąc się*). Ha, ha, ha! „na kogoś“! — kot, to nie jest żaden ktoś.

Jańcia (*przez łzy*). Kot jest kot i nie trzeba mu dokuczać, bo jemu także przykro, chociaż nic nie powie (*nieznacznie tuli kota do siebie pod fartuszkiem*).

Franciszkowa. A panna Jańcia, to zaraz musi płakać o tego kota, jakby to niewiem co było.

Jańcia (*ciągle bliska płaczu*). Bo niech Franciszkowa nie skarży, bo tatko zaraz się gniewa i zaraz wszyscy na Mruczka...

Franciszkowa. No, no! już nic nie powiem; zbierę trochę śmietanki z tego mleka co ma być do kaszy na kolacyę, to dla pana wystarczy — a panienki i panicze, to już chyba herbaty się napiją albo co...

Lesio. Ale napijemy się! tylko moja Franciszkowa proszę prędko samowar nastawić, bom strasznie głodny.

Franciszkowa. Już idę, idę! (*wychodzi*).

(C. d. n.).

Po klasyfikacyi.

Drugi list Władzia Ostrowskiego).*

Najukochańsza Mateczko!

Posyłam Mateczce moje świadectwo z pierwszego półrocza — okropnie mi przykro, że nie jest takie całkiem celujące, jak miało być — ale dostałem jedno „dostateczne“ z niemieckiego i to mi wszystko zepsuło! Za to z łaciny nie miałem ani razu innego stopnia jak: „bardzo dobrze“ — bo to jest najprzyjemniejszy przedmiot i ja bardzo żałuję, że teraz wszyscy nie piszą i nie mówią po łacinie, tak jak dawniej. Jeżeli Mamuńcia pozwoli, to napiszę do Mamuńci kiedyś cały list po łacinie — teraz możebym jeszcze nie potrafił tak o wszystkiem donieść, ale napisać, że jestem zdrów i chodzę do szkoły i że ziemia jest okrągła a Wielka Brytania jest wyspą i jak się pies nazywa, tobym i dziś potrafił, ale nie wiem, czy to zajmie kochaną Mamuńcię. Z niemieckiego dostałem zły stopień, troszkę tak, przypadkiem, a troszkę umyślnie, to jest nie umyślnie, ale sam nie wiem jakby powiedzieć — bo to tak było, że Bułka (Mamuńcia wie przecież ten rumiany, co to jest mój przyjaciel) powiedział mi, że kiedy Niemcy w Poznańskiem nie pozwalają polskim dzieciom uczyć się po polsku, to i my po niemiecku nie powinniśmy się uczyć. I naprawdę na złość Niemcom, przez cały miesiąc nie uczyliśmy się wcale — dopiero nam pan Profesor (ten mój, którego ja tak kocham) wytłumaczył, że to Niemcom nic nie szkodzi, jak my będziemy mieć dwójki — jeszcze owszem! — i że Polacy powinni się wszystkiego uczyć, żeby mieć dużo rozumu i nigdy się Niemcom w niczem nie dać wyprzedzić. Więc myśmy się potem bardzo do niemieckiego zabrali — ale już było zapóźno. I ja bardzo Mamuńcię przepraszam, że nie jestem całkiem celujący, a najgorzej mi przykro, że to słowo cośmy sobie z Bułką dali, że będziemy pierwszymi uczniami w klasie, to na nic, bo jest trzech przed nami — ale Bułka powiada, że pierwsze półrocze to się nie liczy, a do wakacyi możemy jeszcze wszystkich przegonić i tak słowa dotrzymamy. Ja mam także nadzieję, że do wakacyi wszystko dobrze będzie, żeby tylko kasztanek nie kulał tak jak przeszłego roku. A czy Mamuńcia wie, że studenci nie chcieli wierzyć, że ja mam swego własnego konia i musiałem im dopiero pokazać list Janka, co jest cały o Kasztanku, to wtenczas uwierzyli. A ja tak sobie myślę, że gdyby p. August kiedy przyjechał do nas ze swoim aparatem fotograficznym i sfotografował Kasztanka i mnie przysłał, toby było bardzo dobrze. Jeżeli Mamuńcia się zgadza, to możeby go Mamuńcia poprosiła. Albo nie — lepiej go nie prosić, bo ja się wstydzę, on się będzie śmiał ze mnie; zawsze się ze mnie i z Kasztanka śmieje i przezywa Kasztanka „kucem“, a to przecież całkiem porządny koń! — Moja

*) Patrz Nr. 17-ty z r. 1899.

Mamuńciu, niech go Mamuńcia nie prosi! Już lepiej jak kiedyś dorosnę, to przyjadę na Kasztanku konno do Lwowa i wtenczas go sfotografuję u Hennera, gdzie się Zosia fotografowała — tylko nie wiem, czy on się zmieści do tego pokoju? — Burek by się zmieścił, ale ja Burka już nie tak lubię, kiedy Mirusia udusił. Chociaż to już nie był mój kot, bo go darowałem Zosi, ale zawsze tak mi żal za nim, że gdyby nie to, że jestem w pierwszej klasie gimn., to byłbym płakał z pewnością.

Nie mam już nic do pisania chyba to, że na przyszły kurs to już muszę koniecznie być celującym — i Bułka także, chociaż jemu trudniej, bo ma sobie aż dwa stopnie poprawiać a ja jeden tylko — ale on mówi, że jemu to pójdzie jak chleb z masłem. Aha! przypomniałem sobie, że pani Borecka kazała Mamuńci ślicznie za masło podziękować — i ci studenci co tu razem ze mną mieszkają, bardzo byli kontenci, bo przez tydzień jedliśmy masło do herbaty i mówili, że mało gdzie jest takie dobre masło. A mnie to bardzo cieszyło, że chwalą nasze gospodarstwo — bo to pewnie, że nigdzie tak nie jest jak u nas w domu.

Całuję rączki najukochańszych Rodziców; ślicznie dziękuję za wszystkie listy — Zosi i Jankowi także i ściskam ich.

Najukochańszy syn

Władysław Ostrowski

uczeń I-szej kl. gimnaz. — półrocze II-gie.

Znaleziona chustka.

przez Helenę Prendowską.

Anielka i Kazia kończyły pośpiesznie lekcye, gdyż panna Wiktorya obiecała im, że zaraz po obiedzie pójdzie z niemi do lasu na orzechy.

Mówiono, że orzechów jest niezwykła obfitość w tym roku, a dziewczynki pragnęły nazbierać ich dużo, bo starsi braciszkowie, Janio i Władzio, którzy niedawno odjechali do szkół po wakacyach, bardzo je lubili, i tak prosili, żeby im przy jakiej okazyi orzechów do miasta przysłano.

Nazajutrz było święto parafialne, dzień wolny od nauk, niepotrzebowały więc dziewczynki odrabiać żadnych lekcyj, lecz zaraz po obiedzie poczęły wybierać się na upragnioną wycieczkę.

— Trzeba wziąść chusteczki, nieprawdaż Mamusiu? — odezwała się Kazia.

— Istotnie moje dziecko, wieczory są już chłodne, więc chusteczki mogą wam się przydać z powrotem.

— O tak, wieczory są zimne! potwierdziła Kazia wyjmując z szuflady śliczną, lekką chustkę wełnianą, w kraty pąsowe z białem.

— Ale czemuż chcesz brać nową chusteczkę Kaziu. Weźcie dawniejsze, zupełnie wam wystarczą.

— Takie małe Mamusiu....

— Powiedz raczej, że masz ochotę spróbować nowej chustki, której nigdy jeszcze nie używałaś — przerwała z uśmiechem Mama.

— Ale gotowaś ją jeszcze zgubić w lesie, albo rozedrzeć, gdzie na krzaku.

— O nie! będę uważała. Zawinę ją w papier i włożę na dno do koszyka, który biorę na orzechy — a wracając dopiero zarzucę na siebie. Może Mamuńcia być spokojną, że się nic nie stanie, mojej ślicznej chusteczce — tak bym chciała ją wypróbować, czy ciepła i wygodna!

Mama zgodziła się nareszcie na prośby swej córeczki i obie dziewczynki włożywszy chustki w koszyki, uradowane puściły się w drogę do lasu, pod opieką panny Wiktoryi.

— Jeśli istotnie orzechów tak dużo w tym roku, nazbieram pełen koszyk, mówiła Anielka.

— Ale pójdziemy aż do wąwozu proszę Pani? tam najwięcej leszczyny! prosiła Kazia.

— Tak jest jeszcze wcześnie, że mamy dość czasu by zajść aż do wąwozu, ale nie wiem czy zdołamy napełnić takie duże koszyki, odrzekła panna Wiktorja.

— Będziemy siedzieć w lesie aż do wieczora!

— A podwieczorek?

— Wolę nie jeść. Widzę zresztą jakąś paczkę w koszyku Pani i przeczuwam, że tam się ukrywa coś dobrego — zaśmiała się figlarnie dziewczynka.

Tak rozmawiając wesoło doszły do lasu. Rosły tam dęby, buki i graby, gdzieniegdzie przeplatane sosnami a podszyte gęsto krzakami leszczyny. Ale pomimo, że tej ostatniej było bardzo dużo, jakoś obiecywanej obfitości orzechów, nie było widać na gałęziach.

— Pójdźmy do wąwozu — mówiła nauczycielka; tu na brzegu znaleźli się zapewne amatorowie, którzy oberwali orzechy. — Wspomniany wąwóz obrośnięty gęsto krzakami leszczyny, leżał w głębi lasu. Tu już trudno było dotrzeć, nawet pastuszkowie wiejscy znacznie dalej, aż na zrębie paśli bydło — to też gałęzie zdawały się wprost uginać pod ciężarem orzechów. Jaka radość dla dziewczynek — co chwila dawały się słyszeć wesołe ich okrzyki.

— Ach co tu orzechów! jakie wielkie wieńce!

— Proszę pani! ja na tym krzaku już kilkadziesiąt zerwałam.

— A tu ile ich jest! Niech pani pójdzie rwać ze mną!

Po niedługim czasie napełniły się koszyki.

— I gdzież teraz będę kłaść orzechy? mówiła Kazia — z mojego koszyka już się wysypują, a obierać teraz z zielonej łupiny, to szkoda czasu.

— Ja już orzechy kładę w kieszęń, rzekła Anielka — a potem możemy przecież jeszcze narwać pełne fartuszki.

Rada Anielki okazała się dobrą — tylko że Kazia roztrzepana i żywa, kilkakrotnie rozsypywała orze-

chy z swego fartuszka na ziemię — Anielcia zato nie upuściła ani jednego orzecha.

Nareszcie nauczycielka dała hasło do odpoczynku i spożycia podwieczorku.

— Trzeba będzie wracać już do domu, — rzekła — bo słońce wkrótce już zajdzie.

Świeży chleb z masłem, soczyste gruszki i śliwki niezmiernie smakowały wszystkim. Jedząc, Anielka i Kazia, obierały orzechy z zielonych, strzępiastych kielichów, w których tkwiły,

— Szkoda twego nowego scyzoryka Kaziu, może zginąć lub zepsuć się — rzekła panna Wiktorja.

— Wzięłam go, bo niewiem gdzie się podział mój składany nożyk, proszę pani.

— Jesteś niepoprawna w swojem roztrzepaniu moje dziecko. Ale idźmy do domu, słońce wkrótce zajdzie.

Dziewczynki z żalem podniosły się na to hasło z miękkiej murawy.

— Włóżcie chusteczki, bo chłodno i ruszajmy.

— Trzeba wysypać wszystkie orzechy z koszyków, chustki są na spodzie — powiedziała Anielka.

— O mój Boże! zawołała naraz Kazia z przestrachem i zbladła okropnie.

— Co się stało? pytała panna Wiktorja.

— Moja chustka! niema mojej nowej chustki!

Panna Wiktorja z Anielką przetrząsnęły orzechy w koszyku Kazi, w fartuszku, szukały naokoło, chustki nigdzie nie było.

— Musiałaś ją wyrzucić zbierając orzechy, ale jakże mogłaś nie zauważyć tego, tembardziej, że koszyk ma przecież nakrywkę, więc sama chusteczka wypaść nie mogła.

— Czy ja wiem? Zbierałam orzechy po tamtej stronie wąwozu, pójdę tam szukać, może się znajdzie.

Kazia była bardzo żywa i roztrzepana: nieustannie coś gubiła, zapominała i nie wiele troszczyła się o to. Ale te śliczne chustki kupiła Mama niedawno obydwom dziewczynkom, które tak się niemi cieszyły! Anielki była w białe i niebieskie kraty, Kazi w białe z pąsowem — to okropność, żeby ta chustka zginąć miała! Wszystkie szukały pilnie wzdłuż całego wąwozu, ale wkrótce słońce zaszło i zrobiło się w lesie ciemno. Trzeba było wracać do domu. Anielka pocieszała siostrę, że nazajutrz przyjdą do lasu zaraz po nabożeństwie i będą szukać zguby, póki jej nie znajdą.

Na domiar zmartwienia, Kazia spostrzegła, że i scyzoryk swój zgubiła. A był to ładny, nowy scyzoryk, tem milszy dziewczynce, że bracia kupili jej go za własne pieniądze na imieniny. Smutny więc był powrót z orzechobrania! Mama była bardzo niezadowolniona ze straty, będącej nowym dowodem nieuwagi i roztrzepania Kazi. Oświadczyła stanowczo, że już jej w tym roku wcale nowej chusteczki nie kupi. Stara wprawdzie dobrze już spłowiała i trochę pocerowana, ale kto swoich rzeczy nie szanuje, musi i taką się obchodzić.

Poleciła Mama dwom służącym, aby poszły nazajutrz bardzo rano do lasu na poszukiwanie zgubionych rzeczy. Ale czy to, że nie natrafiły na miejsce, w którem dziewczynki zbierały orzechy, czy też chustka zasunęła się tak głęboko pod krzaki, dość że jej nie znalazły, a tem mniej scyzoryka. Koło południa zaczął padać deszcz ulewny i panna Wiktorja z Anielką i Kazią nie mogły już w dniu tym pójść do lasu.

(Ciąg dalszy).

Trafne rozwiązania zagadki z ostatniego numeru nadesłali: Henryk Milhawer, Marcia Durska, Jaskółka ze Lwowa, Lola Tebinkówna, Walercia i Elza Maksówny, Adam Mrożek, Nenio Till, Adzio Żelewski, Wanda Zastaniecka, Moryś Flippner, Dora Malinowska, Flora Landau, Mania i Zosia Gwoździckie, Turkaweczka ze Lwowa, Eleonora Mühlnerówna, Romana Wolińska, Kazio Stelicz, Feliks Blant, Józinka Kłódecka, „Promyk“ z nad Wisły, Janina Promińska, Miś i Wiś ze Stanisławowa, Jaś Dulemba, Henryk Narbutowski, Stasia i Zosia B. z Tarnowa, „Gwiazdka“ ze Lwowa, Poldzio Sauer, Tadziuś Gulajewicz, Henia i Locia Milińskie, Anna Zawiejska, Staś Chudzik, Szarotka i Staś Zarewicz.

Do nagrody wylosowani: Marcia Durska, Nenio Till i Staś Zarewicz.

Łamigłówka zgłoskowa.

At — ka — stor — mem — ty — in — ir — non — la — eu — ne — eu — dye — i — tas — frat — cy — him — jusz — ro — sko — o — rus — bra — pe — le — de — pom — or — nes — le — kar — han — mos — chow — ni — pa — liń — turn — das — ski — is — ski — sa — o —

1. Stolica Egiptu. 2. Król Hunów. 3. Król Egipski, którego posąg dotąd stoi. 4. Kraj w Azyi. 5. Rzeka w Babilonie. 6. Kronikarz ruski. 7. Basza turecki pobity pod Zniesieniem. 8. Rzeka w Sparcie. 9. Założyciel państwa perskiego. 10. Wspólnik Cezara. 11. Miejsce urodzenia Sobieskiego. 12. Mówca grecki. 13. Opiekun Sobieskich. 14. Król, który zginął pod Termopilami. 15. Planeta. 16. Bohater z Olsztyna. 17. Miasto w Persyi.

Pierwsze litery dadzą nazwę słynnej twierdzy.

Staś Krajewski.

Zagadka geograficzna.

Jakim sposobem rzeka niemiecka jest w Arabii i wpada do jeziora rosyjskiego?

Maryla Winiarzówna.

Zagadka.

Tak i wspak jedno znaczy,
Przez nie cały świat zobaczy!

Milcia Winiarzówna.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.

Nr. 5. We Lwowie, dnia 1. Marca 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Winowajca.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Ciąg dalszy).

SCENA III.

Ciż sami prócz Franciszkowej.

Jańcia (*podchodzi do Lesia i całuje go*). Dziękuję ci — ty to jesteś poczciwy!

Wańdzia i **Staś.** A my to niby nie? my także przecież nic nie mówimy chociaż z winy twojego Mruczka będziemy pić czystą herbatę zamiast kawy.

Jańcia. To i wam dziękuję. (*całuje wszystkich po kolei*) I Mruczek także dziękuje. (*pyszczkiem kota dotyka ręki Stasia — niby całując*).

Staś (*grożąc palcem*). No, ale pamiętaj Mruczku, że to ci ostatni raz tak uszło na sucho — jedna psota więcej a źle to się skończy. Pójdziesz w świat na edukacyę.

Jańcia (*pieszcząc kota*) Mruczek obiecuje, że on już więcej nie będzie.

Wańdzia (*nuci*). Wlazł kotek, na płotek i mruga!
Piękna to, piosneczka — niedługa!

Lesio. Oh, już znowu Wandzia zaczyna z tem śpiewaniem — mówię ci, że nic pisać nie mogę — przestań już raz.

Wańdzia (*drocząc się*). Kiedy mi tak coś dzisiaj w gardło wlazło, że muszę śpiewać.

Lesio. Ty sobie wyobrażasz, że masz głos — a fałszujesz, że myszy pouciekają.

Wańdzia. Tem lepiej — myszy tu całkiem niepotrzebne — (*nuci*)

Siedem lat wojował, szabli nie wyjmował —
Szabla zardzewiała — wojny nie widziała!

Lesio (*zrywa się od stołu i zaczyna gwałtownie zbierać zeszyty, pióra, atrament*). Z temi dziewczętami nigdy wytrzymać nie można — wynoszę się!

Staś (*spokojnie*). Bo najlepiej udawaj, że nie słyszysz, to się jej zaraz uprzykrzy. To najlepszy system!

Lesio. Ale! ciekawym jak to można udawać, kiedy mi aż w uszach dudni, a w łacińskich preparacyach trzy błędy przez nią zrobiłem. Idę sobie do salonu.

Wańdzia (*spiewa na nutę krakowiaka i tańczy*).
Do salonu z kałamarzem,
To nie wolno, to nie wolno!
Mama ostro zabroniła
Jeszcze coś poplamisz! jeszcze coś poplamisz!

Lesio. Nie turbuj się! nie jestem taki spiewająco-podskakujący wartogłów jak ty — będę uważał — zresztą już prawie kończę i żebyś była co poczciwego' tobyś mi darowała choć ten kwandrans spokoju. — Nie oniemiałabyś jeszcze, choćbyś taką chwilkę posiedziała cicho!

Wańdzia (*wciąż spiewa*)
Na podwórku w studni,
Dudni woda dudni!
Spiewać sobie łatwo
Ale milczeć trudniej!...

Lesio (*zły, wychodzi z kałamarzem i kajetem, trzaskając mocno drzwiami*).

Staś (*wstając*). A ja muszę zejść na dół do sklepu po pióra, bo mi się to całkiem rozdwoiło.

Jańcia. Weź ze sobą Mruczka, żeby się trochę przeszedł, bo jemu się przykrzy w pokoju.

Staś (*zgorszony*). Jeszcze czego! będę się oprowadzał z kotem jak kataryniarz z małpą. Ty Jańciu dalej, dalej, to już nie wiem co dla tego głupiego Mruczka wymyślisz.

Jańcia (*z obrazą*). Przepraszam bardzo! Mruczek nie jest wcale głupi; on jest bardzo mądry i przyjemny kotek. Zresztą, jak nie chcesz to nie bierz! my się tam nikomu nie napraszamy ze swojem towarzystwem — wypuszczę go sama na ganek.

Staś. Naturalnie, że na ganku dla kota najodpowiedniejsze miejsce — ale on woli przebywać w kuchni i spijać naszą śmietankę.

Jańcia (*ze śmieszną powagą rozkładając rączkami*). Jak się komu już raz daruje jakąś winę, to nie trzeba jej potem po dziesięć razy wymawiać. (*wychodzi, trzymając kota pod pachą jednemi drzwiami, Staś drugiemi*).

SCENA IV.

WANDZIA sama, później JAŃCIA.

Wandzia (*zaczyna nucić na nutę: Marsza Sokołów*):
Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat
Na nowe on życia koleje...

(*urywa ziewając*). E, nie chce mi się już spiewać! jak sobie Lesio poszedł, odrazu mnie ochota odeszła — to szczególne jak ja lubię się z nim droczyć! Staś by zaraz powiedział, że lubię mu dokuczać — ale czyż to dokuczanie? — przecież to tylko dla zabawy, wcale nie w złej myśli.

Wprawdzie, dla niego to nie była wielka zabawa, bo mu szło o zadanie — ale co tam! czy je sobie przy

tym, czy przy tym stole napisze, to przecież na jedno wyjdzie — nie mam się czem kłopotać. *(Jańcia wraca).*

Jańcia. No, wypuściłam Mruczka — pobiega sobie...

Wańdzia. Ah, moja kochana, dajże mi już spokój z nowinami o Mruczku, bo naprawdę że ten kot już wszystkim kością w gardle staje — przez cały dzień o niczem nie mówisz tylko o nim,

Jańcia. A bo ja go kocham — a jak kogo kocham to mi przyjemnie o nim mówić.

Wandzia. Racya! ja myślę że mnie także kochasz, a przecież o mnie całemi dniami nie gadasz.

Jańcia *(zakłopotana).* No tak, ciebie także kocham ale ty... to całkiem co innego...

Wańdzia *(śmiejąc się).* Tak by się zdawało!

SCENA V.

WAŃDZIA — JAŃCIA — LESIO później STAŚ.

Lesio *(wpada rozweselony).* No już po zadaniu, po preparacyach, po łacińskich słówkach! wiwat! Wanda, możesz sobie teraz spiewać wiele chcesz — a nie, to chodź tańczyć ze mną!

Wańdzia. Ani myśle! teraz właśnie mam ochotę siedzieć cicho.

Lesio *(wesoło i energicznie).* Co? nie myślisz? otóż ja ci pokażę, że tańczyć można i bez myślenia! *(chwyta ją wpół i zaczyna obracać się z nią po pokoju — Wandzia z początku opiera się — potem oboje zaczynają zgodnie tańczyć walca, przyspiewując sobie i śmiejąc się).*

Staś *(wchodzi z miną zgorszoną).* Ależ hałasujecie! aż w bramie na dole słychać.

Wandzia *(zatrzymuje się, śmiejąc).* To dobrze! przynajmniej wszyscy wiedzą, że nam wesoło.

Staś. Już to cała kamienica miałaby o nas piękne wyobrażenie, żeby nie..

Wandzia *(wpada mu w słowo, z ukłonem).* Żeby nie p. Stanisław Kostnicki, który swoją poważną i napuszoną miną ratuje opinię naszej rodziny u kamienicznych sąsiadów.

Staś *(niezadowolony mówi pogardliwie).* Z tobą nie myślę się wdawać w żadne dyskusye *(siada przy stole).* Lesiu, gdzie kałamarz?

Lesio. Ach zostawiłem go u mamy na biurku — idź przynieś sobie.

Staś. Janka, idź ty przynieś — z winy twojego kota nie będziemy dziś pili kawy, to przynajmniej posłuż.

Jańcia *(odchodząc na str.).* On tę kawę będzie biednemu Mruczkowi pół roku wypominać. *(wychodzi).*

SCENA VI.

WAŃDZIA — LESIO — STAŚ — FRANCISZKOWA.

Franciszkowa *(wpada ogromnie zirytowana — fartuch oblany wodą).* Panno Wandziu, jak se szczęścia pragnę, ja dzisiaj odchodzę!

Dzieci *(wszystkie razem przestraszone).* Albo co? co takiego? znowu coś się stało?!

Franciszkowa. A wszystko bez niego! żeby człowiek jak się starał, harował, zapobiegał — to, póki kocisko w domu, żadnego ładu nie będzie!

Staś. Niechże Franciszkowa mówi prędzej a porządnie: co się stało?

Franciszkowa. A juści że powiem, od samego początku: Nastawiłam se samowar, czyściutko, ślicznie — jak to ja umiem — zagotował mi się duchem bo ja do samowarów i do pieców to takie mam szczęście jak nikt! — patrz: kipi! chwyciłam za tacę i niesę do pokoju — aż tu za drzwiami: miau, miau! a mnie aż w sercu zakłuło! myślę sobie: pewnie kocisko do kanarków tak miauczy, co je pani gospodyni właśnie z klatką wyniosła na ganek. — Niema co! trzeba postawić tacę — lecieć ratować kanarki, boć przecie grzech Boskie stworzenia dać na zatratę takiemu smokowi. — Jakem stawiała, coś mnie takiego omaniło z tego strachu, przez to miauczenie, że ino jednym bokiem wsparłam na stole i moja taca, bęc! razem ze samowarem, z czajnikiem na ziemię! jeszcze tylko Panu Bogu dziękować, żem się nie poparzyła — tyle że fartuch oblałam.

Wandzia. Śliczna rzecz! a cóż będzie z herbatą?

Lesio i Staś *(razem).* Dziękujemy za takie ciągłe wypadki z naszym podwieczorkiem.

Franciszkowa *(ujmując się pod boki).* A cóż to, może moja wina? ja mam być za kota odpowiadająca?!

Lesio. Kot przecie tacy nie wywrócił.

Franciszkowa. Ale bez niego całe nieszczęście — potrzebował to miauczyć, żeby mnie tak zestraszyć.

Staś. I był naprawdę koło kanarków?

Franciszkowa. Gdzie tam! tak sobie miauczał, na zbytki — a może dlatego, że go p. Jańcia na ganku zamknęła, a on do pokoju wzwyczajony to mu się sprzykrzyło. Jakem otworzyła drzwi, a krzyknęła na niego — bo byłam w strasznej złości — to nic ino jednym skokiem do jadalnego pokoju pomknął — i już tam pewnie jakiego podwieczorku wypatruje.

Wandzia. A cóż z naszym podwieczorkiem dziś będzie.

Franciszkowa. A ja wiem co? samowar się wylał do kropli — na drugi węgla nie mam, a zresztą kiedy by to było! Chyba p. Wandzia naparzy z tej wody co sobie do rury na naczynie wstawiłam — gorąciuteńka jeszcze — a rynka była czysta jak szkło.

Staś. Dziękujemy Franciszkowej! myśmy nie przyzwyczajeni pić herbaty z rynek i garnków, tylko z samowara.

Franciszkowa *(obrażona).* O, z moich rynek to można złoto pić a nie herbatę! Sama wymyłam — wytarłam czystą ścierką...

Wańdzia. Nie, nie, już dziękujemy! wolimy się całkiem obejść.

Franciszkowa *(z godnością).* Jak się obejść, to się obejść — ja tam nie siłuję — ale wiem, że herbata z rynki jeszcze nikomu nie zaszkodziła *(wychodzi).*

Lesio. Dawaj Wandziu klucze i chodźmy przynajmniej zjeść chleba z masłem albo z powidłami. — A to nas ładnie dzisiaj urządzili Franciszkowa z Mruczkiem.

Staś. Chodźmy naprawdę, bo tak mi się jeść chce. (*wychodzą wszyscy, przez chwilę scena pusta*).

(C. d. n.)

Słonie.

Kazio zobaczył w cyrku tresowanego słonia, który bardzo zręcznie podrzucał trąbą do góry pierścień i łapał go w powietrzu. Potem odkorkowywał butelki z wodą sodową, a nawet tańczył polkę i obracał się w takt, mimo że z pozoru wyglądał tak ciężko i niezgrabnie.

Kazio zainteresowany rozumem brzydkiego zwierzęcia, przez całą drogę wypytywał się ojca o rozmaite szczegóły z życia słoni. Dowiedział się, że ojczyzną słonia jest Afryka lub Indye azyatyckie — że w Indyach od najdawniejszych czasów słoń był uważany za zwierzę domowe, tak jak u nas n. p. koń lub wół i stąd, w ciągłem obcowaniu z człowiekiem, wyrobiła się w nim inteligencya i łagodność, tak że łatwo go oswoić i nauczyć wielu rzeczy. Ponieważ jest bardzo silny, słoń może być pomocny człowiekowi w dźwiganiu wielkich ciężarów — na obrazku n. p. widzicie słonie zajęte przenoszeniem belek drewnianych, potrzebnych do bu-



dowy ogromnego mostu. W polowaniach na drapieżne zwierzęta jak tygrysy, hyeny, jaguary, słoń niemałe oddaje człowiekowi usługi, bo na jego grzbiecie znajduje myśliwy bezpieczne schronienie, a w jego silnej trąbie nieraz sprzymierzeńca przeciw krwiożerczym napastnikom. — Słoń jest z natury łagodny — ale gdy już wpadnie w gniew, bywa straszny, to też trzeba uważać, aby go nie rozdrażnić. Narzędziem walki jest dla słonia trąba, którą obejmuje i wprost dusi przeciwnika — czasem też odrzuca go od siebie z taką gwałtownością i siłą, że mu w ten sposób śmierć zadaje.

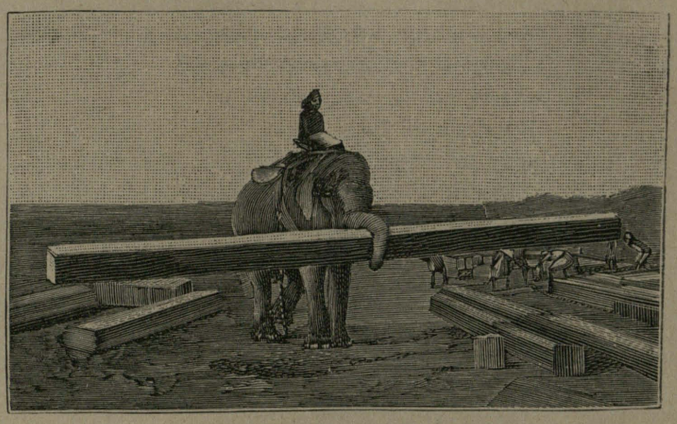

Są to jednak rzadkie, wyjątkowe wypadki — wbrew im, słoń może być uważany za zwierzę dobre i pożyteczne. Słonie afrykańskie mniej są podatne do tresury od indyjskich — a wogóle wszystkie słonie odznaczają się tem, że mają słabą pamięć, nie wystarczy zatem raz nauczyć je czegoś, należy utrzymywać je w ciągłem ćwiczeniu nabytej umiejętności, inaczej bowiem zapomną jej zupełnie i trzeba naukę z tym samym trudem rozpoczynać na nowo.

Strojnisia.

Ładna była to dziewczynka
Ta znajoma mi Janinka;
Ale wielką wadę miała,
Bo się uczyć nic nie chciała,
Za to wstążki i sukienki
Wszystkiem były u panienki.
Rano ledwie z łóżka wstaje,
Już rozkazy Kasi daje,
Jaką suknię ma jej podać,
Jaką szarfę do niej dodać.
„Te buciki są niełądne!“
„Może żółte?“ znów niezgrabne,
Więc lakierki Kasiu podaj,
I kokardki do nich dodaj!
Kapelusik — ten z kwiatami,
Podpinany wstążeczkami. —
Ach, ty Kasiu! — burczy Jania —
Czy to nie wiesz? — do ubrania,
Potrzebuję rękawiczek,
A odpruty jest guziczek;
Tak do szkoły iść nie mogę!
Przyszyj zaraz — a na drogę,
Niezbyt ciężko spakuj teczkę
I nasmaruj mi bułeczkę,

Lesio. I ciekawym co tu teraz z tem robić? na sam przyjazd mamy — ładna rzecz! mama tak lubi to swoje biureczko.

Staś. Naturalnie, że nie ma co innego robić, tylko ja jutro zawołam stolarza i każę nakleić nowe sukno — a kto wylał atrament, niech zapłaci.

Jańcia. Ja?... ja... (*urywa, jakby nie chciała nic więcej powiedzieć*).

Staś. A naturalnie, że nie ja — masz przecie te pieniądze, które ci wujcio dał na lalkę — możesz zapłacić, kiedyś zrobiła taką szkodę.

Wandzia. Po sprawiedliwości, to i Lesio powinien coś dołożyć — bo czemuż nosił się z kałamarzem i zostawił go na maminem biurku?

Lesio. A czemuż p. Wanda tak spiewała, że w szkolnym pokoju nic zrobić nie mogłem — po sprawiedliwości, to i ona powinna coś dołożyć.

Wandzia. No dobrze, już dobrze — złożymy się wszyscy — kiedy to wspólna wina, niech i strata będzie wspólna; (*w koszu słychać szmer — Wandzia ogląda się po pokoju*). Co to tak się skrobie? czy to mysz?

Jańcia (*bardzo zmięszana*). Tak, tak, pewnie mysz.

Staś. Bardzo przepraszam, ale ja nie przyznaję się do żadnej winy i nie myślę dzielić strat. — Ciekawym czemu miałbym płacić za cudze niedbalstwo albo roztrzepanie. (*Mruczek ciągle porusza się w koszu*).

Jańcia (*widocznie bardzo zakłopotana, mówi głośno, jakby chciała przytłumić szelest*). Ja zapłacę — ja zapłacę za dwie osoby, bo ja... mam pieniądze... nawet całkiem nie potrzebuję lalki.

Lesio (*ogląda się*). Ale to przecież śmiałe myszyska, żeby w biały dzień tak plondrować po pokoju, czem one tak szurają? widocznie gdzieś za koszem. (*przystępuje do kosza*).

Jańcia (*z przestrachem*). Nie, nie... gdzież tam! to prędzej za piecem — słyszę wyraźnie. (*nowy szelest*).

(Dok. nast.)

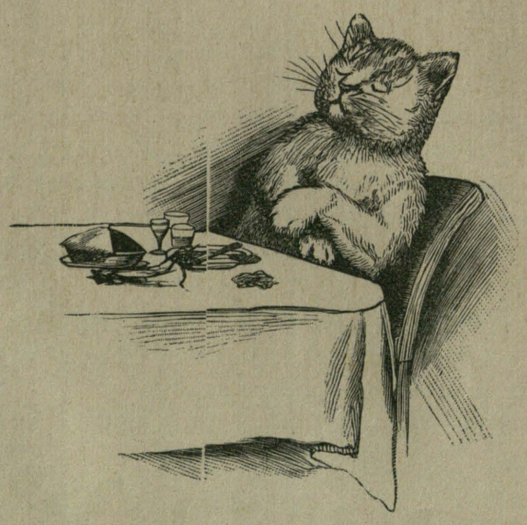

Mruczek przy śniadaniu.

Poprawiona strojnisia.

Pamiętacie tę Janinkę,
Co to stroić się lubiła,
Co to miała kwaśną minkę,
Bo leniuszkiem sławnym była —
I w kąciku często stała.
Za roboty, za zadania —
Dziś byś dziatwo nie poznała
Że to jest ta sama Jania!
Pracą cały dzień zajęta,
Pacierz dla niej rzecz to święta.
W szkole teraz pierwsza prawie,
Milutka jest przy zabawie,
Ubiór jej jest skromny - czysty,
To aniołek rzeczywisty!
Skądże się ta zmiana bierze?
Jańcia Mamę kocha szczerze:
By się Mama nie martwiła
Z wad się wszystkich poprawiła!
Teraz radzę wam dziecinki
Bierzcie przykład z tej Janinki.



H. K.

Znaleziona chustka.

przez Helenę Prendowską.

(Ciąg dalszy).

— Ty tu Maryś ugotuj kaszy z mlekiem na obiad i kartofli. Jak Jasio krowy przypędzi, uwiąż jak się należy, o gęsiach pamiętaj i chwastu urwij trochę; a Tomka samego nie zostawiaj w izbie, jak się ogień pali, — upominała matka najstarszą córkę.

— Dobrze Matusiu! Ale patrzcieno jaki ładny nożyk znalazłam w lesie! Pójdę go odnieść do dworu, bo to pewnie panienki zgubiły.

— A może. Ale teraz nie chodź bo niema czasu. Schowaj do kufra, żeby dzieci nie zgubiły, a wieczorem pobiegniesz do dworu i oddasz.

Matka wyszła dźwigając z trudem dużą pakę bielizny na plecach, a Marysia schowała scyzoryk i orzechy do kufra i zabrała się do roboty.

Oskrobała kartofle, rozpaliła ogień, a tymczasem brat krowy z paszy przypędził; pobiegła więc wiązać je i doić, trzymając przy sobie małego Tomka. Ledwie się z tem uporała, aż tu i Wojtuś przygnał gęsi z pola i ojciec przyszedł od roboty; zjedli wszyscy obiad, zostawiwszy dla matki, i znów musiała Marysia zmywać, sprzątać, zamiatać, a wreszcie i po chwast iść w pole, niosąc na ręku Tomusia, którego zostawić bała się samego.

Zaledwie wieczorem znalazła dziewczynka wolną chwilę i przyczesawszy włosy, włożywszy odświętną

spodniczkę i kaftanik, pobiegła do dworu ze scyzorykiem. Bywała tam nieraz z jagodami lub grzybami i znała i paniczów co odjechali do miasta po naukę i panienki obydwie. Stanęła sobie koło ganku i czekała; aż tu spostrzegła ją panna Wiktorja idąc z ogrodu, i zapytała z czem przyszła. Bardzo się wszyscy ucieszyli ze znalezionego scyzoryka Kazi, a ta aż skakała z radości, dziękowała Marysi i pytała czy nie znalazła w lesie i chustki wełnianej, w papier zawiniętej.

— Żebym znalazła, tobym i odniosła, tak jak nożyk — powiedziała z prostotą dziewczynka.

Kazia pobiegła do Mamy, prosząc o pozwolenie dania Marysi kilkunastu centów znaleźnego.

— A może lepiej byłoby, aby jej Kazia dała tę moją wełnianą chusteczkę, ponsową w czarny rzucik? Jeszcze jest zupełnie jak nowa, ale mnie niepotrzebna, bo mam dwie inne. Niech Mamusia pozwoli! Marysię ucieszyłby bardzo ten podarunek — prosiła Anielka.

Mama dała swoje przyzwolenie, z wielką radością tak Kazi, jak i Marysi, która nie chciała wierzyć, że ta ładna i taka ciepła chusteczka, ma być dla niej. O, już nie potrzebuje zbierać pieniędzy na inną, bo czyż może być piękniejsza chustka jak ta od panienki, taka czerwona, miękka, duża!

Marysia przyciskała mocno swój skarb biegnąc do chaty, gdzie pokazała podarunek całej rodzinie, a gdy się nim nacieszyła i napatrzyła do woli, umieściła go w matczynym kufrze, pomiędzy najlepszem, odświętnem odzieniem.

III.

Gdy Marysia wybiegła z lasu dążąc do domu, Dorotka oberwawszy jeszcze orzechy z jednego krzaka, zbierała się dążyć w ślad za towarzyszką, bo i bała się troszkę zostać za długo sama w lesie. Wtem coś zabielało, pod spuszczonemi do ziemi gałęźmi leszczyny. Odgarnęła je dziewczynka i podniosła paczkę zawiniętą w papier; rozwija, patrzy i oczom własnym nie wierzy. Cóż za prześliczna chustka! takiej Dorotka w życiu swojem nie widziała. Rozłożyła ją, przymierza.... nietylko włożyć na głowę ale i okryć się nią zupełnie można.

Byłaby się długo jeszcze przyglądała, ale coś zaszeleściło na dnie wąwozu, przelękła się i zawinąwsszy napowrót chustkę schowała ją pod fartuszek i pobiegła do domu. Idąc myślała o znalezionej chustce: jak ona się ubierze w nią w niedzielę do kościoła, dopieroż to wszystkie dziewczęta patrzyć na nią będą! Każda zapragnie mieć podobną, ale to niełatwo — taka chustka pewno kosztuje więcej jak cały papierek, może nawet trzy! Ale zkąd ona mogła się wziąść w lesie, chyba kto zgubił, czy co? Żeby się tak kto upominał, trzebaby oddać, ale czy to wiadomo kto? Może jaki kupiec wędrowny?... Tylko — co onby tam robił w gąszczu leszczyny nad wąwozem? Może panienki ze dworu... przyszło jej nagle na myśl. Ale nie! zkąd panienki? — Coś jej szeptało, że to ostatnie przypuszczenie jest najprawdopodobniejsze, lecz odsuwała je od siebie. Wiedziała, że cudzą rzecz znalezioną oddać należy, a taką miała ochotę zatrzymać dla siebie tę śliczną chustkę!

Doszła do domu, gdy matka ugotowała już obiad, a ojciec siedząc na ławie odpoczywał; bo dopiero co przyszedł z roboty.

— A toś się wysiedziała! zawołała matka do wchodzącej dziewczynki. Toś wszystkie orzechy w lesie oberwać musiała.

— Narwałam sporo, a iść też daleko... tłomaczyła się.

— Podajno miskę, i łyżki połóż na stole! obiad gotowy, a już dziewuchy słyszę idą.

Weszły dwie dorosłe siostry Dorotki, które grabiły potraw we dworze, a dziewczynka poszła do komory złożyć swoje orzechy. Znalezioną chusteczkę wsunęła pod nie i nie mówiąc o niej wcale, zasiadła do obiadu z całą rodziną. Zjedli miskę klusek z mlekiem, drugą grochu, poczem siostry wróciły do swojej roboty, Tatuś poszedł orać, a Matka rzekła:

— Ja idę w pole ukopać kartofli, a ty tu Dorotko posprzątaj, pomyj naczynie i idź w pole urwać chwastu dla prosiąt.

— Dobrze Matusiu, odpowiedziała dziewczynka sprzątając. Gdy matka oddaliła się już od domu, Dorotka pobiegła do komory i przyniosła ztamtąd chustkę.

— Niech jej się napatrzę, myślała, bo może trzeba spytać czy to nie panienek ze dworu i odnieść?..

Okryła się chustką i wspięła się do maleńkiego lusterka, zawieszonego na ścianie, aby zobaczyć jak też wygląda w tem ślicznem przybraniu. Na nieszczęście, wśród tego oglądania strąciła ze stołu ładną, polewaną miseczkę, niedawno kupioną na jarmarku i rozbiła ją w drobne kawałki.

— Oj! będzie się Matusia gniewać! pomyślała zakłopotana, ale wnet zajęła się znowu chustką. Wtem usłyszała kroki przed sienią i zmięszana schowała ją szybko pod poduszkę. Jakoż niebawem weszła kuma Marcinowa.

— Niema matki? spytała od progu.

— Poszła po kartofle w pole.

— Chciałam, żeby mi pożyczyła czarnych nici, przyjdę jak wróci. Ale coś ty dziewczyno taka czerwona? chyba co zbroiłaś, przyznaj się!

Tu wzrok jej padł na skorupki z rozbitej miseczki.

— Aha! miskę sprawiłaś? Oj te dzieciaki! jakie to nieuważne, mój Jasiek zbił wczoraj nowiutki garnuszek.

Poszła, a Dorotka odetchnęła. Wydobyła teraz chusteczkę z pod poduszki, złożyła ją, zawinęła w papier i w kawałek starego fartucha i schowała pod faskę z mąką w komorze, poczem zabrała się do zmywania naczynia. Ale szło jej dziś jakoś niesporo, bo myśl zajęta była czem innem; dużo też czasu strawiła była nad oglądaniem i przymierzaniem znalezionego

stroju i słońce było już nisko, gdy wyszła z płachtą po zielsko. Nie przyniosła go też ani połowy tego co zwykle i matka zgniewała się bardzo.

— Cóż ty sobie myślicz próżniaku jakiś! chyba spałaś gdzie w rowie! I cóż ja teraz dam jeść prosiętom i krowom do doju?

Kilka szturchańców towarzyszyło łajaniu i Dorotka położyła się spać smutna, a przytem niespokojna jakaś.

Nazajutrz daremnie upatrywała chwili, w której zostałaby sama w izbie, aby się nacieszyć znalezionym skarbem; matka była w domu, a gdy szła po zielsko, wzięła i ją z sobą. Dziewczynka była nieswoja jakaś i roztargniona, coś ją dręczyło i niepokoiło.

— Co ta Dorotka dziś chodzi jakby spała? dziwiła się starsza siostra Józefka, a matka dodawała z gniewem:

— Już ja jej wypędzę ospałość! Noc dość długa, mogła spać.

Dostała parę porządnych bur, nawet groźbę kary od ojca; bo myśląc nieustanie o chustce, robiła wszystko co jej kazano nieuważnie i niedokładnie. Dzień też cały był dla niej bardzo nieszczęśliwy. Po nim nastąpiła niedziela. Dorotka poszła do kościoła z siostrami i zdziwiła się bardzo, zobaczywszy tam Marysię w pięknej, wełnianej chusteczce, której nie znała. Marysia przyłączyła się do nich wychodząc i opowiedziała ze szczegółami historją znalezionego scyzoryka i zgubionej przez Kazię chustki.

— Wczoraj to chodziliśmy po całym lesie z Jasiem i Wojtusiem, — dodała. — Szukaliśmy tej chustki, przez całe południe i dłużej nawet, aleśmy nie znalezli. A szkoda, warto dogodzić takiej dobrej panience.

Dorotka spuściła głowę zmięszana i nie odzywała się wcale.

Przy święcie był czas wolny, to też Dorotka wyszła po obiedzie do sadku, położyła się na trawie pod jabłonią i myślała,

— Więc ta chustka jest naprawdę panienki ze dworu? trzeba ją odnieść, ale kiedy i jak?

Nie śmiałaby iść sama, a jakże prosić której z sióstr aby z nią poszła, kiedy nikt w domu nie wie o niczem? Bała się aby matka i ojciec nie łajali, nie ukarali za to, że tak długo w tajemnicy rzecz znalezioną trzymała. To znowu żal jej było, że tak mało przypatrzyła się ślicznej chustce i postanowiła nic jeszcze nie mówić, a wieczorem lub jutro wydobyć ją i nacieszyć się jej widokiem, zanim ją odniesie.

Nie tak łatwo jednak było doczekać się chwili, w której wszyscy rozeszliby się z domu; całe popołudniu daremnie upatrywała jej Dorotka, a gdy o zachodzie słońca wpadła nareszcie do pustej chaty i wydobyła chustkę z ukrycia, ledwie na nią raz spojrzeć zdołała, już spłoszył ją odgłos czyichś kroków pod oknem, i zamykając pospiesznie komorę, o mało co, że nie przewróciła całej faski z mąką.

I wieczerzy jeść nie mogła i sen gdzieś uleciał...

Nazajutrz rano, nieswoja jakaś, „niemrawa“ jak mówiły siostry, wzięła płachtę i poszła w pole urwać zielska dla krów. Nie miała już ochoty oglądać nieszczęsnej chustki, smutne myśli wróciły jej do głowy. Co tu robić? co robić? Iść do dworu teraz nigdy się nie odważy, ani matusi powiedzieć, a kryć się, to tak niemiło, że strach! to jak złodziej jaki! — Czemu ja tę chustkę znalazłam? biadała w duchu — byłabym sobie biegała wesoło, bez kłopotu, a tak przez tę chustkę mam tyle udręki.

Rwąc chwast na ściernisku, ujrzała w dali dziewczynę biegnącą ścieżką do wsi. Poznała czerwony fartuszek Marysi i chusteczkę jasną; tak, to ona! Niesie orzechy, widać narwała ich znowu w lesie, a jak spiewa głośno! aż tu dochodzi piosenka:

— Szczęśliwa Marysia! myśli Dorotka, Ale toć i ona znalazła scyzoryk, a przecież wesoła i szczęśliwa, a w chusteczce, którą dostała może, chodzić i chwalić się przed całym światem, a ja? Nie, nie! trzeba coś z tą piękną chustką zrobić; chyba powiem wszystko Marysi, może ona co poradzi. — Tymczasem Marysia zbliżyła się o tyle, że dosłyszała kilkakrotne wołanie towarzyszki i przybiegła do niej.

Choć i przed Marysią ciężko było przyznać się do wszystkiego, jednak po długich wahaniach, zaczynając na różny sposób i nie mogąc jakoś dobrnąć do końca, opowiedziała nareszcie Dorotka, prawie ze łzami, historyę znalezionej chustki.

(Dok. nast.).

Łamigłówka zgłoskowa.

Ka — na — gi — sła — mie — re — nas — niec — a — ka — wi — na — o — rek — wies — na.

1. Miasto polskie. 2. Imię własne żeńskie. 3. Owoc południowy. 4. Ptak ładnie spiewający. 5. Zboże dojrzewające w górach. 6. Rzeka polska.

Poczatkowe litery, z góry na dół czytane, oznaczają nazwę miasta polskiego, wszystkim nam dobrze znanego.

Ewa Dobek.

Kwadrat magiczny.

d	a	b	Drzewo.
n	d	o	Część nogi.
k	o	t	Zwierzę domowe.

Polska Dzieweczka z nad Wisły.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pód zarządem Z. Hałacińskiego.

Nr. 7. We Lwowie, dnia 1. Kwietnia 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Pieśń wielkopostna.

By Swą mocą cud objawić,
Nie zatracić Swego dzieła,
I ród ludzki z grzechów zbawić,
Syna swego Bóg posyła.
Spełniają się cuda święte,
Bo syn Boży w mękach kona!
Martwe zwłoki z krzyża zdjęte, —
To Ofiara już skończona.
Wieki schodzą i nastają:
Tajemnicę wielką, świętą,
Wszyscy w sercach swych chowają,
Jakby była dziś poczętą.
O, porzućmy na tę chwilę,
Naszych uciech płonne mary!
Ofiarujmy chociaż tyle
Za cudowne dla nas dary:
Idźmy pod krzyż w silnej wierze
Że Bóg na nas spojrzeć raczy,
Że wysłucha te pacierze,
Wszystkie winy nam wybaczy.

H. K.

Ostatni śnieg.

— Oj, jak zimno! — powtarzali na wyścigi Mania, Teoś i Julcio, powracając do domu z popołudniowej lekcyi języka niemieckiego, którą brali u cioci, razem z ciotecznem rodzeństwem.

Istotnie zimno było tego dnia okropne — wiatr ostry przejmował aż do kości i sypał drobniutkiemi szpileczkami śniegu; poranna odwilż ściągała się teraz w szklistą, lodową powłokę, a śnieg spadły od rana, wpół stopniały, teraz sztywniejący w twarde, nierówne grudki, usuwał się z pod nóg i przechodnie padali po ulicach jak muchy.

— I ktoby to uwierzył, że to już po Św. Józefie! — narzekał Teoś — taki czas, to w sam raz byłby dobry na luty.

Dochodzili już do kamienicy, której matka ich była właścicielką; przed bramą Ignacy, stróż, stał oparty na miotle i ocierał czerwoną chustką czoło, które mimo zimna okryły krople potu. Twarz miał bladą i usta wpół otwarte, jakby z trudnością chwytał powietrze. Dzieci były z Ignacym w wielkiej przyjaźni — zaraz też przystanęły, aby z nim chwilkę pogadać.

— A co to, Ignacy już zdrów? — spytała troskliwie Mania — a może to nie dobrze, że już po ulicy chodzicie?

— Ta, co robić proszę panienki — zdrów ja tam jeszcze nie bardzo, bo mnie ta „*florencya*“ strasznie zmęczyła — ale kiedy człowiek już nogami może włóczyć, to taki trzeba wziąść się do roboty, bo się samo nie zrobi.

— A cóż wy dziś macie takiego pilnego?

— At zwyczajnie: śnieg trzeba pozmiatać, lód troszka odrębać, bo ślizgawica straszna, ludzie padają; nie daj Boże jakiego nieszczęścia na naszym kawałku, to i jabym się sturbował i pani gospodyni gotowaby biedę mieć z magistratem — że niby u nas nie ma porządku.

— No, ale jak Ignacy zaziębi się i znowu rozchoruje, to także będzie bieda i sturbowanie — zauważył rozsądny Julcio.

— Ta, wszystko w Bożej mocy — juścić chorować nikomu nie pilno, ale może tam jako strzymam, bom już nawykły do wszelakiej pogody — to tylko bieda, że mi się czegoś strasznie nogi i ręce trzęsą i moja miotła nic śniegu nie chwyta.

— A bo Ignacy słaby, to sił nie ma — zawołał Teoś — ot ja mam myśl wyborną: niech no Ignacy nam odda miotły i łopatkę! my jak się weźmiemy, to tu za godzinę zrobimy do pół ulicy porządek — a Ignacy może iść do stancyi i położyć się.

— Uchowaj Boże! — sprzeciwił się Ignacy — a to by ładnie było, żeby panicze ulice zamiatali, i jeszcze też na taki czas, co człowieka aż do kości świdruje. Ja tam więcej zwyczajny, ale „nasze dzieci“ to by się mogły jeszcze jakiego zapalenia nabawić. Ludzie teraz chorują, że aż strach.

W chwilach szczególnego rozczulenia, Ignacy nazywał Manię, Teosia i Julka, których znał od niemowlęctwa: „naszemi dziećmi“.

Ale Teosiowi nie tak łatwo było coś wyperswadować: — Pójdziemy na górę zapytać mamy — oświadczył stanowczo — jak mama pozwoli, to i Ignacy, sprzeciwiać się nie może.

I poszli pełni nadziei, że mama pozwoli, bo przecież Ignacy słaby i stary a oni „młodzi“ (nawet bardzo) i zdrowi, więc się im nic nie stanie. Ale na górze spotkał ich zawód: mamy nie było w domu; poszła po pierwsze przedświąteczne sprawunki. — Rada w radę postanowili, że i bez pozwolenia w takim wypadku obejść się można: przecie na ślizgawkę chodzą nieraz „prawie w takie zimno“ a tu idzie przecież o rzecz ważniejszą niż ślizgawka: Ignacy dopiero co

wstał z influencyi, więc jego narażać niepodobna — a lód odrąbać trzeba, bo nużby doprawdy ktoś upadł na „ich trotuarze“ i zrobił sobie co złego — toby dopiero było zmartwienie!

Złożyli książki, nałożyli ciepłe kożuszki i czapki krajowego wyrobu, kupione w Zakopanem, i tak umundurowani ruszyli na dół. Teoś głosował wprawdzie za tem, aby Mania pozostała w pokoju, bo z dziewczyny, a w dodatku małej, to przy takiej robocie więcej zawady, niż pożytku — ale Mania obraziła się tylko bardzo tą uwagą i poszła za braćmi. Ona miałaby nie pójść! Ignacy tak ją lubił, tak doglądał jej kanarka w czasie wakacyi, a teraz, gdy się trafiła sposobność oddania mu przysługi, chłopcy chcieli ją od tego wyłączyć — nie! nic z tego nie będzie.

Ignacemu dzieci nic jakoś nie powiedziały o tem że mamy nie zastały na górze i poczciwina uwierzył, że skoro wróciły, to musiały otrzymać jej upoważnienie.



Mimo tego nie mógł się przecież odważyć, na oddanie im miotły, kutego drąga i łopaty i dosyć czasu upłynęło zanim dzieci, objąwszy w posiadanie wszystkie narzędzia, zabrały się do pracy.

A była to praca rzeczywista i wielce uciążliwa: wiatr dął w oczy, ręce i nogi kostniały od zimna, lód przymarzł tak mocno do trotuaru, że ani rusz go było odrąbać — ale dzieci nie przyznawały się nawet same przed sobą, że im było tak ciężko; nie szło tu przecież o zabawę, tylko o zrobienie czegoś pożytecznego — a jeżeli im szło nie łatwo, to cóż dopiero Ignacemu, który ledwie wstał z łóżka. Jego i teraz nadaremnie dzieci naganiały, aby się poszedł położyć — zatrzymał się w bramie i osłonięty trochę drzwiami od najostrzejszego wichru, z zafrasowaną miną, spoglądał na zwijających się malców, dziwiąc się w duszy, że pani gospodyni pozwoliła na takie próby.

Niedługo jednak trwało to wszystko; na rogu ulicy pokazała się mama i gdy dzieci nieco zmięszane, choć przekonane głęboko o słuszności swej sprawy, wytłumaczyły jej, dlaczego je zastała przy tak niezwykłem zajęciu — a Ignacy równocześnie wystąpił ze swemi argumentami, dowodząc, że „wiadomo, zamiatanie ulic, nie dla naszych dzieci; gotowe się jeszcze pochorować“ — mama w połowie przyznała słuszność Ignacemu. Wprawdzie w połowie tylko, bo odesławszy dzieci coprędzej na górę, jemu także kazała iść do stancyi położyć się, i zadecydowała, że dziś tylko kucharka Maryanna wysypie porządnie piaskiem cały trotuar, żeby się ludzie nie ślizgali, a odmiatanie śniegu i odrębywanie lodu odłoży się do jutra rana. Jutro, może pan Bóg da dzień cieplejszy, a zresztą i Ignacy wypocząwszy, lepiej przyjdzie do siebie i praca nie będzie go tak męczyć.

Rada mamy — jak zwykle wszystkie mamine rady — okazała się doskonałą. Trudno przeczyć, że w pokoju dziś o wiele cieplej i przyjemniej niż na dworze; żeby tylko Pan Bóg jutro dał ładniejszą pogodę, bo Ignacy znów weźmie się do roboty, a taki mizerny i nawet kaszle...

Mania, uprosiwszy mamy o pozwolenie, zrobiła na maszynce herbaty z cytryną, którą mu chłopcy sami na dół zanieśli — przyczem postanowili, że na święta zamiast kupować dla siebie baranka i pisanek z cukru, kupią Ignacemu kołacz z serem; bo on biedak sam jeden, nie ma żony ani dzieci, któż mu przygotuje święcone — a przecież na Wielkanoc, powinien zjeść coś lepszego; on, co się przez rok cały tyle napracuje. Dzieciom zdawało się dotąd, że zamiatać trotuar, lub robić porządki w kamienicy to o wiele łatwiej i zabawniej, niż siedzieć w szkole nad książkami — dzisiejsza dopiero, choć tak krótka, próba, przekonała je, że praca ręczna, jest naprawdę rzeczą ciężką i że nawet odmiecenie trochy śniegu z trotuaru, okupuje się niejedną kroplą potu i niejednym mozolnym wysiłkiem.

Długo rozmawiały dzieci o rozmaitych biednych ludziach, którzy ciężko pracować muszą na chleb powszedni — a zasypiając powtarzały na wyścigi:

— Ach, żeby jutro nie było już tak zimno!

Nazajutrz wypadało ruskie święto — dzieci nie szły zatem do szkoły i pobudzono je później niż zwykle; gdy spojrzały przez okno, zdziwionym ich oczom przedstawiły się ulice lśniące wodą, ozłocone promieniami słońca — z wczorajszego śniegu i lodu ani znaku.

— Mamusiu! mamusiu! jak to dobrze, Ignacy nie będzie potrzebował już zamiatać — ale gdzie się podział wszystek śnieg?

— Nie wiem — może stopiło go gorące pragnienie ulżenia Ignacemu, które zbudziło się w waszych serduszkach.

— Ej, mamusia żartuje, to nie nasze serduszka tylko słońce stopiło śnieg — pewnie ostatni śnieg w tym roku — ale jak prędko!

— Nie żartuję drogie dziecko — Pan Bóg z nieba czyta, wszystkie myśli w sercach ludzi i wszystkie w rachubę bierze. I z Jego pomocą, każda dobra chęć zamienia się w złoty promień, co komuś dolę ozłoci.

A gdy kiedyś wszyscy już ludzie pokochają się gorącą, bratnią miłością, wtedy pomimo wichrów i śniegów będzie każdemu jasno i ciepło, bo wielka radość ogrzeje serca, jak słoneczny promień, i wiosna wtedy będzie na świecie — wiosna dla wszystkich i już na zawsze. *Lucyan K.*

Winowajca.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dokończenie.)

Lesio. Ale co mówisz! — za koszem, albo nawet w koszu — może tam Franciszkowa papierów nakładła — rusz że się raz stamtąd, to się zaraz przekonam.

Jańcia (*nie wstając z kosza*). Kiedy nie — ja wiem dobrze, że nie — ja przecież tu siedzę, tobym słyszała najlepiej.

Staś. Ach macie o czem dysputować pół godziny, w którym kącie pokoju mysz się skrobie — wstań Janka i rusz koszem, to mysz, jeżeli jest, wyleci.

Lesio. Ma się rozumieć (*przystępuje do kosza Jańcia wstaje z minką skłopotaną*).

Lesio (*posuwa lekko kosz, następnie uchyla wieko — zdziwiony*) A to co?!

Staś i Wańdzia. Co takiego?

Lesio (*wyjmuje kota i ukazuje go wszystkim*) A pan dobrodziej co tu robi?

Jańcia (*błagalnie*). Puść go! on taki biedny przestraszony.

Lesio. Ho, ho! powoli — niechno ja pierwej przeprowadzę śledztwo (*mówi ze sztuczną powagą*): Co pana Mruczysława sprowadza do kosza? pewno znowu jaka psota.

Staś (*przypatruje się Mruczkowi, z nagłym okrzykiem*). Ah, już wiem! to on!

Jańcia (*pospiesznie, usiłując odebrać kota*). Nie, nie! to ja, to ja!

Staś. Ależ on! przecie widzę najdokładniej — ho, ho! mnie nikt w pole nie wyprowadzi — ja mam głowę na sędziego śledczego!

Jańcia. Tak! — a przed chwilą twierdziłeś z całą pewnością, że to ja.

Staś. A bo ty czy on, to przecież na jedno wyjdzie — twój kot.

Wańdzia. Co wy do siebie mówicie takiemi zagadkami: ty, on, ja — nic nie rozumiemy o co chodzi.

Staś. Chodzi o to, że nikt inny tylko ten Mruczek nieznośny, przewrócił kałamarz na biórku, a Jańcia powycierała plamy bibułą i schowała swojego ulubieńca aż do kosza, żebyśmy nie zauważyli jego poczernionych łapek.

Lesio i Wańdzia (*przypatrując się kotowi*). Prawda! prawda! całkiem ma powalane łapki.

Staś (*z wymówką*). A widzisz Jańciu! — śliczny pożytek z twojego kota.

Jańcia (*prawie płacząc*). Co widzę? nic nie widzę? chyba to, że mój biedny Mruczek za wszystkie cudze winy pokutować musi: Czy to on, tak dokazywał w szkolnym pokoju, że Lesio nie mógł zadania napisać? — czy on potem, przez niedbalstwo, zostawił odetkaną flaszeczkę, pełną atramentu na maminem biórku w salonie? A z podwieczorkiem — czy to on winien, że Franciszkowa zostawiła śmietankę nienakrytą, albo że upuściła na ziemię tacę z naczyniem? Jak mama jest w domu, to się takie ciągle wypadki nie dzieją, bo każdy robi co powinien i pilnuje się... (*urywa zadyszana*).

Lesio. Wiecie, ta mała, to troszkę ma racyę.

Wandzia. A ma — niezaprzeczenie — przy mamie wszystko idzie całkiem inaczej.

Staś (*niekontent*). W końcu wyjdzie jeszcze na to, że powinniśmy Mruczkowi podziękować za łaskawe wypicie śmietanki i wylanie atramentu — bo nas w ten sposób, z pomocą Jańci, oświecił i naprowadził na drogę obowiązku.

Lesio. Podziękować nie — ale darować to mu jeszcze ten jeden raz możemy.

Wandzia. Złożymy się wszyscy na nowe sukno, a na przyszłość: baczność! niech wszystko będzie na swojem miejscu, schowane, nakryte, to i ciągłych szkód nie będzie.

Jańcia (*z radością*). Tak, tak! Mruczek także będzie się więcej pilnował — on jeszcze nabierze rozumu — przecie on ma dopiero dwa lata! Ciocin Józio, co ma dwa lata, jeszcze nawet dobrze chodzić nie umie. (*dzieci śmieją się*).

Lesio (*pobłażliwie*). Oj Jańciu, Jańciu! tobie także chyba trzeba jeszcze nabrać rozumu, kiedy myślisz, że wiek jednakowo się liczy dla kota jak dla człowieka.

SCENA IX.

Ciż sami Franciszkowa.

Franciszkowa (*wbiega z telegramem*). Telegram do panny Wandzi!

Wańdza. Do mnie? (*rozrywa telegram*). Mama dziś przyjeżdża!

Inne dzieci. Dziś? co za radość! co za szczęście!

Franciszkowa. A jakże! pewnie że szczęście, tylko tyle, że pani z drogi, zgłodzona — a tu mięsa na kolacyę nie ma. A tak mnie coś piknęło, jakem dziś rano była u rzeźnika — żeby za jednym zachodem kupić więcej — ale potem se myślę: a na co? chyba na to, żeby kot miał co łasować — z kotem w domu to ta człowiek niczego nie pewny.

Lesio (*śmiejąc się*). Jest! nowa pretensya do Mruczka! (*dzieci śmieją się*).

Franciszkowa (*obrażona*). Tak! dobrze się państwu śmiać — a co ja dam na kolacyę? cały tydzień pani w domu nie była, a teraz bez to, że kota trzymamy, pierwszy wieczór, pani głodna spać pójdzie!

Wańdzia. Ej, może to niekoniecznie kot wszystkiemu winien — a zresztą niech się Franciszkowa pocieszy, jakoś to będzie — może się co w spiżarni jeszcze znajdzie.

Staś. Bierz klucze Wandziu i chodźmy się zaraz przekonać.

Lesio. Służę pani Franciszkowej! (*chwyta Franciszkowę za rękę i zaczyna maszerować ku drzwiom — inne dzieci postępują za nim — Wandzia ze Stasiem, Jańcia z Mruczkiem, przyczem wszyscy spiewają chórem marsza Sokołów*).

Zasłona spada.

Irena Mrozowicka.

Znaleziona chustka.

przez Helenę Prendowską.

(Dokończonie).

— To wszystko przez tę chustkę! mówiła szlochając; taka śliczna a tyle mi nieszczęścia przyniosła!

— Nie chustka to, nie; jeno ty sama Dośka. Żebyś ją była zaraz odniosła do dworu....

— Czy ja wiedziałam, że to panienek?

— Pewnie ci przychodziło do myśli.

— No, to prawda....

— A widzisz! a jak to nasz Dobrodziej (ksiądz proboszcz) nas uczył, że nie oddać cudzej rzeczy znalezionej, to tak jakby ukraść!...

Dorotka zaczerwieniła się bardziej jeszcze i łzy puściły się jej z oczu.

— Wiesz co, Maryś — szepnęła — weź ty tę chustkę i zanieś do dworu, bo ja bardzo nie śmiem; może powiesz panienkom żeś dziś znalazła?...

— Kiedy widzisz Dorotko, kłamać niełądnie i grzech. Chodź lepiej sama, ja pójdę z tobą i powiemy prawdę.

Dziewczynka zamyśliła się. Wstyd jej było iść teraz dopiero do dworu, ale.... pójdzie już, pójdzie dziś, zaraz, powie wszystko, żeby tylko pozbyć się tej nieszczęsnej chustki i tego zmartwienia.

— To chodźmy zaraz! — powiedziała. — Chwastu na południe i tak starczy, a na wieczór to jeszcze mam czas uzbierać. Lepiej już raz skończyć z tą nieszczęśliwą chustką,

Pobiegły we dwie do chaty, w której nie zastały nikogo, bo wszyscy byli na robocie w polu. Dorotka wydobyła chustkę z komory, zawinęła ją, najporządniej jak mogła w papier, sama ogarnęła się troszkę i trzymając się Marysi za rękę, dla nabrania otuchy, podążyła z nią razem do dworu.

Gdy stanęły przed gankiem, panienki zobaczywszy je przez otwarte okno, wybiegły do nich. Marysia lepiej znajoma i nie mająca nic na sumieniu, zabrała głos.

— Proszę panienek! moja krewna, Dorotka, znalazła koło wąwozu chustkę, zawiniętą w papier i odnosi.

— Moja chustka! ah, co za szczęście! wykrzyknęła Kazia, z radością chwytając paczkę.

Ucałowała obie dziewczynki i pobiegła do Mamy ze znalezioną zgubą. Tymczasem Dorotka ciągnęła Marysię za fartuszek, dając znak aby odejść, ale Anielka zatrzymała je. — Kiedyż znalazłaś tę chusteczkę? spytała.

— Już parę dni temu, ale... Tu Dorotka urwała zmięszana.

— Ona tak nie śmiała i.... przyszła jej w pomoc Marysia. Przybiegła Kazia.

— Masz Dorotko parę złotych za znaleźne. Dziękuję ci bardzo moja droga; tak mi było żal tej chustki!

Dziewczynka pocałowała ją w rękę, usuwając jednak swą dłoń przed datkiem. — Dziękuję panience, ale ja pieniędzy nie wezmę... nie ma za co.

— Ale weź! weź! kupisz sobie coś ładnego na pamiątkę odemnie, choć nie ma za co, ale mnie tem przyjemność zrobisz. — Wetknęła jej pieniądze w rękę, a w tej chwili panna Wiktorya zawołała obie panienki do lekcyi.

Dorotka i Marysia pobiegły do domu.

— Żebyś ty wiedziała Maryś jak mi teraz wesoło, odezwała się Dorotka; tak mi jest, jakby mi spadło z serca coś ciężkiego, co mię gniotło i dręczyło.

— To z sumienia spadł ci wielki ciężar grzechu i z tegoś taka rada-

— Oj pewnie! tylko jeszczę te pieniądze, co mi panienka dała, mnie jakoś trują — boć ja wiem, że na żadną nagrodę nie zasłużyłam. Weź ty sobie Maryś te pieniądze — ja ich nie chcę.

— I ja ich nie wezmę, ale tak sobie myślę, że jakbyś z tych pieniędzy zrobiła dobry uczynek, toby cię już nie truły. Jakbyś naprzykład dała chorej Łukaszowej na lekarstwo.

— Oj prawda Maryś! ty to jesteś złota do rady! Juścić najlepiej tak te pieniądze obrócić. Chodźmy zaraz do Łukaszowej, a potem wyznam wszystko Matusi i będzie po całej biedzie. O jakaż ja rada!

— Bóg zapłać Maryś żeś mię na dobrą drogę naprowadziła! — dodała po chwili.

I ucałowały się serdecznie dwie towarzyszki, obydwie wesołe i szczęśliwe. Od tej pory Dorotka nigdy już nie spojrzała chciwie na rzecz cudzą i nigdy też nie zataiła najmniejszej drobnostki przed rodzicami, gdyż przekonała się już, że z tego co jest grzechem, żadnego pożytku ani przyjemności mieć nie można.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.

Nr. 8. We Lwowie, dnia 15. Kwietnia 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Pisanki.

Zosia jest bardzo biedna! To już dziś Wielka Środa, w całym domu ruch, krzątanina i przygotowania świąteczne, południowym pociągiem chłopcy ze szkół, z miasta przyjeżdżają, a Mama Zosi jeszcze rano lekcye odrobić kazała!

Czyż to nie bieda prawdziwa?!

Zosia przynajmniej myśli szczerze, że jej los dzisiaj jest bardzo ciężki: ona by tak rada zabiedz do kuchni, popatrzeć jak tam Mamusia torty w formy układa, jak Marysia wierci w makutrze masę migdałową do przekładańca, a zwłaszcza przekonać się czy przy mazurkach czekoladowych, które się dzisiaj robią, udały się tak ślicznie jak wczorajsze kruche i daktylowe, te trzy małe sztuki, które Mamusia z każdego gatunku ciasta robi dla swoich dwóch synków i córeczki, na ich osobny stolik?

A może Mamusia dziś o nich zapomniała? Ej, nie! Mamusia zawsze pamięta — ale czy się po kołaczach mazurki dobrze upieką, czy się nie spalą?.., Tam kucharz taki zajęty przygotowywaniem mięsiw, że pewno nie miał czasu do pieca zaglądać?.. Zosia by była dopilnowała!

Ale cóż, Mamusia powiedziała: „Zosiu, plączesz się tak ciągle pod nogi, że nic zrobić nie można i jeszcze kataru albo chrypki na same Święta dostaniesz, z przesiadywania w takiem gorącu. Dosyć się już napatrzyłaś i napomagałaś — pójdź teraz na godzinę do pokoju, skończ to zadanie rachunkowe, którego wczoraj nie wyrobiłaś i poczytaj trochę; dosyć będziesz miała zupełnych wakacyi przez cały tydzień, gdy już chłopcy przyjadą".

Mamusi się doprawdy zdaje, że to dosyć, i że dosyć się już Zosia w kuchni napatrzyła — ale Zosi się zdaje, że to wcale niedosyć i siedząc tak z tabliczką na kolanach, czuje się bardzo pokrzywdzoną! W jej ładnej, bujnymi kędziorami pokrytej główce nie powstaje prosta myśl, że najlepiej prędko wziąć się do roboty i to niewiele co Mama zadała skończyć co rychlej — o, bo Zosia jest sławnym leniuszkiem! nie do wszystkiego, bynajmniej: rano wstawać, krzątać się i biegać cały dzień po domu i ogrodzie, wyspiewując jak ptaszek — do tego jest jedyna — ale za to do książki, do igły a zwłaszcza do tych nieszczęsnych rachunków... pożal się Boże!

Teraz zwłaszcza, odkąd panna Kazimiera, ostatnia nauczycielka Zosi, odjechała do chorej matki, benjaminek rodziny tak się ropróżniaczył, że gdyby Mamusia gwałtem nie napędzała do książki, panna gotowa była, przed przyjazdem nowej nauczycielki zapomnieć wszystko czego się uczyła.

Rysik trzyma przy buzi, tabliczkę na kolanach a myśli wędrują po kuchni i spiżarni, od pieca do stołu i półek, i ślinka w ustach się zbiera na wspomnienie tych wszystkich przysmaków, które tam pachną — a jak to będzie dopiero pachło w pokoju ze Święconem! Zosia jest także troszkę, odrobineczkę łakomą i z lubością wyobraża sobie swój własny osobny stoliczek, jaki będzie miało każde z dzieci, i na którym będzie mogła gospodarować bez żadnej kontroli!

Zaturkotała bryczka po błocie — Zosia rada z pretekstu zrywa się i biegnie do okna — to pewnie chłopcy!.. Ach, nie! przecież przyjadą dopiero pociągiem o czwartej — to Tatuś wraca z Rady powiatowej...

Wraca i zaraz wchodzi do pokoju, a ujrzawszy Zosię z tabliczką w ręku a noskiem przytulonym do szyby, woła już od progu żartobliwe powitanie, którem nieraz prześladuje swoją córeczkę:

— Ej, Zocha! Tatuś leniuchów nie kocha! Mamusia pewno kazała skończyć wczorajsze zadanie a moja pociecha chce sobie w niem dopomódz rachując wróble na dworze! No, dawaj tu tabliczkę: przerachujesz ze mną to prę-



Zosia siedząc z tabliczką na kolanach, czuje się bardzo pokrzywdzoną.

dzej skończysz i wrócisz do Matki, bo tam może bez ciebie ciasta się nie udadzą.

Poczciwy, kochany Tatuś! jak on rozumie swoją córeczkę! niby to z niej żartuje, ale przecież troszkę pomoże.

Pomaga zwłaszcza to, że przy Tatusiu Zosia wstydzi się swego lenistwa, nie pozwala myślom uciekać od zadania i kończy je w istocie prędzej niż się sama spodziewała — a potem z czytaniem, to już nie tak ciężko, bo Zosia nawet bardzo lubi ładne powiastki i gdy raz zdobędzie się na to, żeby wziąć książkę do ręki, to już czyta z zajęciem i ani wie jak czas mija niepostrzeżenie.

Oto już ją Mama znowu wzywa do mazurków; już i obiad postny podają i Tatuś woła z ganku do stajni:

— A niech tam Franek zaprzęga na kolej, po paniczów!

Prędko ten czas leci, a jednak Zosia ledwo może doczekać się przyjazdu braciszków: już kilka tygodni ich nie widziała, a przytem mają oni przywieść z miasta coś, co stanowi prawie największą świąteczną uciechę Strzałeckich dzieci: pisanki! — T. j. chłopcy oczywiście nie przywiozą pisanek już gotowych, — z tych nie byłoby tak wielkiej uciechy — ale przywiozą farb do kolorowania jaj, i natychmiast, gdy tylko odetchną z podróży i zjedzą cokolwiek, rozpocznie się wielka fabryka. Jaś realista, co zawsze z rysunków ma „bardzo dobrze“ a nawet ma obiecane, że za dwa lata zacznie brać osobne lekcye od prawdziwego malarza, obejmuje kierownictwo całej pracy. On dobiera kolory pisanek i desenie, które wylewa się rozpuszczonym woskiem na białe jeszcze jaja, aby później, gdy jajo wyjdzie z farby, odskrobać lekko nożykiem wosk, z czego powstają na barwnem tle, prześliczne, białe szlaki. Oprócz tych, tak sztucznie farbowanych jaj, są także wcale ładne pisanki gotowane w szafranie, w łupkach cebulowych a także w szarpiach naskubanych z różnokolorowych, jedwabnych gałganków — te ostatnie to nawet tak pięknie wyglądają, jakby były zrobione z kolorowego marmuru; Zosia ten gatunek pisanek ogromnie lubi i już przygotowała całą górę szarpi, zarówno dla siebie jak i dla braciszków, bo chłopcy naturalnie nie chcieliby skubać gałganków; powiadają, że: to kobieca rzecz.

Ale najulubieńsze nad wszystko, naprawdę cudowne, są pisanki, które robi sam Tatuś. Bierze on jaja już całkowicie ufarbowane w jednym ładnym kolorze i ostrzem scyzoryka wyskrobuje na nich, tak jakby rysował białą kredką, śliczne, delikatnie wykończone obrazki. Rysunek taki delikatniejszy jest od najcieńszej koronki — a jaki trwały! lata całe się nie zetrze. Każde z dzieci dostaje co roku od Tatusia jedną taką pisankę — a dar ten jest ogromnie ceniony, bo nietylko, że prześlicznie wygląda, ale że to praca dobrego, ukochanego Tatusia.

Jednego roku — Zosia pamięta dobrze — Henryś przywiózł na same święta dwójkę z historyi — i wtedy Tatuś za karę nie zrobił mu pisanki; jakie to z tego było zmartwienie! ale już odtąd pewnie żadna dwójka do domu na święta nie przyjedzie, a chowany w szklannej szafce zbiór pisanek, robionych przez Tatusia, powiększa się co roku o trzy sztuki, ku wielkiej uciesze dzieci.

Turkot, trzask z bicza — chłopcy przyjechali! Zosia frunęła na ich spotkanie, zapominając nawet o zarzuceniu chusteczki, którą niby to ma brać na siebie zawsze, gdy wybiega na ganek. Zresztą na dworze jest ciepło, śniegu ani śladu, a pod słońce trawniki wydają się już prawie zielone.

Chłopcy jednym susem wyskoczyli z bryczki; uściski, powitania, nie tylko z rodziną ale nawet ze służbą, która posłyszawszy turkot, wybiegła na dziedziniec; panicze są u wszystkich w łaskach, bo weseli „ochotni“ a nigdy nikomu nie dokuczą figlem ni słowem. Kastor i Nero poszczekując wesoło, łaszą się do nóg młodych przyjaciół.

— A farby na pisanki przywieźliście? — pyta z niepokojem Zosia.

— No! jeszcze jakie! i baranki także. Dla nas i na duży stół, z cukru, a dla Józi i Frania (dzieci klucznicy i lokaja) z gipsu — ale także bardzo ładne.

— A fiołki są? pyta Henryś.

— Będą — upewnia go z całą stanowczością Zosia, która już dziś znalazła w sadzie jeden, liliową barwą nabrzmiały pączek.

Ignacy wzywa paniczów na podwieczorek, bo kawa wystygnie; zresztą nie trzeba ich długo namawiać — nie jedli dziś wcale obiadu, a podróż zaostrza apetyt. Zosia, patrząc na okryte żółtym kożuszkiem garnuszki ze śmietanką, żałuje trochę, że i ona w tej chwili nie przyjechała z kolei; kawa tak smacznie pachnie! ale Mama powiedziała, że byłoby to brzydkiem łakomstwem jeść bez potrzeby tyle razy w Wielką Środę, więc dziewczynka nie odzywa się już ze swoją chętką na kawę, tylko skubie po troszeczku, słodkiego kołacza, z którego bracia co chwila przykrawują sobie spore kromki. — Trzeba przyznać, że kołacz udał się wybornie!

Zaraz po podwieczorku następuje oglądanie wszystkich bab, placków, mazurków, które już wymaszerowały z pieca — chłopcy wydają okrzyki podziwu i radości, a Zosia dumną się czuje, że się wszystko tak wspaniale przedstawia — i jej w tem zasługa przecież — prawie wszystkie rodzynki i migdały obrane jej ręką — a wiele to się przytem nabiegała z domu do oficyn! jak pilnowała, póki ciasto na baby rosło, żeby nikt w całym domu mocniej drzwiami nie stuknął, — bo wiadomo, że najlżejsze otrzęsienie babom szkodzi.

Wieczór upływa na przygotowaniach do roboty pisanek, a jutro od rana rozpoczyna się wielka kampania, w której i Tatuś bierze udział przez dobrych kilka godzin; bo te skrobane scyzorykiem pisanki nie robią się tak prędko — nad każdą trzeba się porządnie napracować. Dzieci z bijącem sercem oczekują, jakie też Tatuś tym razem obrazki powymyśla — ra-

deby przypatrywać się jego robocie — ale nie wolno, bo to przeszkadza! Zresztą czas im się nie dłuży — mają przecież same dość zajęcia i gawędzą przytem wesoło, snując na święta tysiące wesołych projektów.

A oto Tatuś już podnosi w górę, pierwszą, gotową pisankę i pyta, kto chce ją sobie wziąść?

— Ja, ja! — wołają na wyścigi wszystkie dzieci wyciągając ręce, a chociaż rączki Zosi są najkrótsze, do nich właśnie dostaje się śliczna, błękitna pisanka. Nic dziwnego — Zosia to przecież benjaminka rodziny — starsi braciszkowie uznają jej prawa i sami psują ją na wyścigi.

Pisanka jest prześliczna — na błękitnem tle bielą się po jednej stronie dwie palmy na krzyż złożone, po drugiej malutki kościołek.

— Jeszcze nigdy Tatuś takiej ślicznej nie zrobił! — zachwycają się wszyscy, i chłopcy zaczynają prosić o takie same, zupełnie takie same pisanki! bo nic piękniejszego już być nie może. Tatuś proponuje, żeby przynajmniej kolor tła odmienić dla rozmaitości — ale chłopcy nie przystają na to, bo przecież na błękitnem tle, kościółek najlepiej się wydaje; to tak jakby na pogodnem niebie.

Do samego wieczora czas schodzi na robieniu pisanek — nie bez tego naturalnie, żeby się od tej roboty odbiegnąć niekiedy nie miało, to do kuchni, to do sadu, popatrzeć na owe fiołki, które nie chcą czegoś rozkwitać tak prędko, jakby tego pragnęły dzieci. Pod wieczór robi się coraz to cieplej, a słońce zachodzi tak ślicznie, że uważany w tej mierze za nieomylnego wróżbitę, kucharz Jacenty, orzeka stanowczo iż na święta będzie pogoda.

Co za szczęście! gdy będzie pogoda, to będą i fiołki i huśtawka w ogrodzie i możność oblewania się do woli na dziedzińcu — tysiące rozkoszy przyniosą złote promienie słońca.

Nazajutrz rano, Mama gromadzi dziatwę w swoim pokoju i odczytuje z nią głośno całą historyę Męki Pańskiej. Dzieci słuchają przejęte, wzruszone; choć to czytanie powtarza się każdego roku i wiele ustępów już prawie dosłownie tkwi im w pamięci, serduszka ich z roku na rok uczą się lepiej ogarniać i rozumieć Świętą Tajemnicę Odkupienia, której pamiątkę obchodzimy w tych dniach tak uroczystych. — Po skończeniu czytania, Mama ustnie jeszcze objaśnia dzieciom tekst Ewangielii, przytem tłumaczy im znaczenie wszystkich religijnych i narodowych obrzędów związanych z pamiątką Męki i Zmartwychwstania Pańskiego. Wielki Post, palmy, święcone, dzielenie się jajkiem, to wszystko uświęcone tradycyą, drogie sercu naszemu zwyczaje — ale kto chce prawdziwie uczcić uroczystość Zmartwychwstania, powinien w sercu swojem odnowić wszystkie dobre postanowienia, powinien zapragnąć, aby dusza jego w tych dniach zmartwychwstała z grzechu, tak jak ziemia na głos rezurekcyjnych dzwonów zmartwychwstaje ze snu zimowego.

W Wielki Piątek obiadu nie ma — to dla dzieci jedna radość więcej; tak przyjemnie być głodnym a myśleć, że Wielkanoc ze święconem już niedaleko.

Po południu cała rodzina i domownicy jadą razem do kościoła na Boże groby. Dzieci modlą się pobożnie, jak nigdy — w okół kościoła chodzą chłopcy wiejscy, potrząsając drewnianemi kołatewkami, a ten suchy dźwięk, przejmuje serca dziecinne jakąś dziwną powagą i namaszczeniem. Gdy wracają z kościoła już się prawie ściemnia — na seledynowe niebo wypływają pierwsze, srebrne gwiazdki; w powietrzu cicho, uroczyście, jak w sercach ludzi. Tatuś Zosię otula własną burką, bo w polu chłodno.

Wielka Sobota! w jadalnym pokoju okna pootwierane; stół długi, zaścielony śnieżnym obrusem, na którym kucharz pod przewodnictwem Mamy rozstawia już półmiski z mięsiwem. Wszystko rumiane, pachnące, przybrane gałązkami bukszpanu i różową rzodkiewką — aż ślinka idzie! (D. n.).

Co było w placku bakaliowym?

— Mamusiu! proszę jeszcze kawałeczek przekładańca! taki doskonały.

— I owszem, córuchno! cieszę się, że ci smakuje!

— I mnie, i mnie, Mamusiu! i mnie smakuje — mówił, wspinając się na paluszki i z drugiej strony ciągnąc matkę za rękaw, pięcioletni Ździś. —

— I mnie! wołała Oldzia.

— Oj! dzieci, dzieci! tylko by to pałaszowało, a nie wie nawet co zajada — gorszył się niby łakomstwem młodszych, ukochany ich cioteczny braciszek, Mundek, poważny już szósto-klasista a jednak najweselszy towarzysz, najlepszy przewodnik we wszystkich figlach i zabawach, który zwykle Święta spędzał u ciotki.

— Jakto — nie wiemy?! — zapytały ze zdziwieniem obie dziewczynki, podczas gdy Ździś, z buzią zapchaną tak, że ledwie mógł przemówić, wygłosił z całem przekonaniem... „Ja jem placek!“

— Tak, wy wszyscy jecie placek, ale czy wy wiecie co w placku siedzi?

— Mybyśmy miały nie wiedzieć! — roześmiały się ubawione obie dziewczynki — któż będzie lepiej wiedział niż my, kiedy to my same obierałyśmy do tego placka rodzenki i migdały, figi i daktele, krajałyśmy cykatę i skórki pomarańczowe! Chyba ty, gimnazyalisto, się na tem nie rozumiesz, ale myśmy przecież gospodynie!

— Ho, ho! to Ciocia ma już dobre wyręczenie. A powiedźcież mi skąd te rodzenki i figi?

— Jakto, skąd? ze Lwowa, od Langnera! sama Mamusia przywiozła.

— Nie sztuka! ale skąd się wzięły u Langnera? przecież u niego w sklepie nie rosną. A widzicie, że nie wiecie co w placku siedzi!

— Każdy wie, że figi i rodzenki i to wszystko rośnie na drzewach, gdzieś w Ameryce — oświadczyła Stefa, która miała zabawny zwyczaj dowodzenia tego, o czem sama dobrze nie wiedziała.

— Za pozwoleniem moja pani! nie „gdzieś w Ameryce“ bo nie potrzeba po te przysmaki jechać aż tak daleko, i nie „na drzewach“, bo drzew *rodzenkowych* nie ma wcale.

— A cóż to są rodzynki? — pytała choć młodsza, ale daleko rozważniejsza Oldzia — ja zawsze myślałam, że to jakieś suszone jagódki.

— I miałaś słuszność, bo też to są suszone na słońcu „jagody winne“, czyli winogrona, które nie rosną na drzewach, tylko na pnących się latoroślach, takich jak n. p. chmiel, który znacie tak dobrze, bo go wuj sadzi za ogrodem. Gdy pojedziecie kiedyś do cioci Mini na Podole, zobaczycie tam prawdziwą winorośl, która w tamtych cieplejszych stronach naszego kraju, zwłaszcza w okolicy Zaleszczyk, przy starannem pielęgnowaniu, wydaje doskonałe jagody.

— I u nas rośnie wino, Mundziu! z pewnością rośnie! w ogrodzie jest cała śliczna altanka obsadzona dzikiem winem — trzebaby je tylko lepiej pielęgnować, albo może naszczepić, jak ogrodnik szczepi dziczki w sadzie — a zresztą ja i tak spróbuję w tym roku nasuszyć sobie tych czarnych jagódek, — może mi się uda i będę miała własne rodzenki! — trzepała Stefa, której potok wymowy nie łatwo było pohamować.

— Nic ci się nie uda, bo takim sroczkom co plotą, choć się nie rozumieją na rzeczy, nic się nigdy nie udaje! Dowiedzże się, że żadne pielęgnowanie ani szczepienie nie pomoże „dzikiemu winu“, bo choć ono należy do tego samego rodzaju, ale jest całkiem inną rośliną i drobne jego jagódki nigdy nie są jadalne. Co do rodzenków, nawet te gatunki winogron, które u nas dojrzewają, choć są do jedzenia, nie są dość słodkie, aby z nich robić rodzenki lub wino. Ojczyzną prawdziwej winorośli, zwanej także „winną macicą“ jest zachodnia Azya, prawdopodobnie okolice Kaukazu i Libanu; stąd, rozpowszechniono ją w bardzo już dawnych czasach po wszystkich krajach, których łagodny klimat nadaje się do jej uprawy — a więc przedewszystkiem w krajach południowej Europy, nad Morzem Śródziemnem. Udaje się także znakomicie w Węgrzech, we Francyi, w południowych Niemczech i południowej Rosyi.

— To te nasze rodzynki w placku są pewno węgierskie, bo z Węgier do nas bliżej przywozić? prawda Mundek?

— Nie, Oldziu! w tych krajach uprawiają winorośl tylko dla wina, którego najrozmaitsze, doskonałe gatunki umieją przyrządzać z soku wytłoczonego z winogron. Rodzenki zaś pochodzą zwykle z krajów nad brzegiem Morza Śródziemnego: tak zwane *duże*, białe, najlepsze z Azyi Mniejszej, z okolic Smyrny — czarne duże, z pestkami, z hiszpańskiego miasta Malaga — a drobne t. z. *korynckie*, z wysp greckich, zwłaszcza zaś z okolic miasta *Koryntu*, gdzie cała ludność głównie się trudni uprawą, zbiorem i suszeniem tych małych winnych jagódek, których całe stosy, góry formalne, suszą się tam w przewiewnych, ścian pozbawionych szopach, ciągle przesypywane i przegartywane, żeby nie pleśniały. Ta część roboty głównie należy do dzieci, które ledwo trochę podrosną, już starają się pomagać rodzicom.

— Mundek, jakiś ty mądry! skąd ty to wszystko wiesz? zawołały z podziwem obie cioteczne siostrzyczki, a i siedząca opodal, ze Ździsiem na kolanach, ciotka, uśmiechnęła się serdecznie do ulubionego siostrzeńca.

— No, to jeszcze nie koniec świata — odparł wesoło Mundek — tego się przecież uczyłem w geografii. To tylko takim gospodyniom jak wy, wolno było dotąd nie wiedzieć, że w waszych plackach cała geografia siedzi.

— Ale migdały? migdały, mój Mundziu? powiedz skąd one, bo ja bardzo lubię masę migdałową.

— A ja najlepiej lubię łuszczyć migdały — dodała Oldzia — to tak zabawnie, kiedy taki rozparzony migdał za pociśnięciem wyskakuje z łupki! A potem, to tak miło, bo gdy się łuszczy migdały to się już zawsze wie, że święta blisko.

— A gdy migdały kwitną, to się wie, że wiosna nadchodzi.

— Jakto, gdy kwitną?

— Patrzycie, tak zdziwione, jakbym jakie wielkie głupstwo powiedział. — Przecież nie obiecuję wam, że wam zakwitną migdały w torbie, jak je Mama wasza kupiła — ale czyż zapomniałyście na tę chwilę, że, jak nam tu Stefa już powiedziała: „to wszystko gdzieś rośnie!“ *Drzew rodzynkowych* wprawdzie nie ma, ale za to *migdałowe* tworzą całe gaje w północnej Afryce, w południowych Włoszech i Hiszpanii. A i u was w ogrodzie jest krzew dzikiego migdału, który wprawdzie owoców jadalnych nie wydaje, ale podobnie jak wszystkie migdały, kwitnie wcześnie na wiosnę, ślicznym, różowym kwiatem, który rozwija się na nagich gałązkach, zanim krzew jeszcze powypuszcza liście — Pokazuje się więc, że miałem słuszność mówiąc, że gdy migdały kwitną to już i wiosna. Takie gąszcze, różowo kwitnących migdałów są wielką ozdobą okolic nad Morzem Śródziemnem — ale migdał jadalny musi być także troskliwie hodowany. A czy też wiecie jak wygląda owoc drzewa migdałowego?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.

Nr. 9. We Lwowie, dnia 1. Maja 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZATWY.



Cudowny obraz Matki Boskiej w Kochawinie.

Modlitwa dziecka.

Matko Boska, proszę Ciebie
Usłysz mnie małego,
I we wszelkiej Ty potrzebie
Broń mnie ode złego!

Daj mi rozum, daj mi wolę,
Daj mi każdą cnotę:
Niech nie rosnę jak kąkole.
Lecz jak kłosy złote.

Daj mi zdrowie, miłość ludzi —
Boć to skarbem w świecie —
Lecz nad wszystko Ciebie trudzi
Prośbą Twoje dziecię

Byś Ty, Boga Matko miła,
Potężna przez wieki,
Mych Rodziców osłoniła
Tarczą Swej opieki!

Z. M.

Pisanki.

(Dokończenie).

Pod ścianą, między dwoma oknami, stoliki dzieci — właściwie jest to jeden długi stół, przedzielony na trzy równe części girlandami bukszpanu, gdyż każdo z dzieci chce mieć swoje osobne święcone, aby niem rozporządzać i częstować do woli. Największa radość to gdy Mama i Tatuś zechcą coś pokosztować z tych stołów — mile widzianymi gośćmi są również Prakseda, stara niania mieszkająca we wsi, dzieci służby dworskiej a czasem także, dzieci państwa Nilskich, które, gdy droga dobra, przyjeżdżają z sąsiedztwa z rodzicami. Może właśnie jutro nadjadą, trzeba święcone ślicznie zastawić.

Honorowe miejsce zajmuje na każdym stoliku talerz z pisankami — dzieci układają je jak mogą najpiękniej, przyczem powtarzają na wyścigi, że jeszcze nigdy nie udały się tak jak w tym roku — a zwłaszcza te tatusiowe!

Zastawianie stołów idzie raźno — spieszy się mamusia, kucharz i klucznica pomagająca przenosić i rozkładać ciasta — spieszą się także dzieci, bo oto już lada chwila może nadjechać ksiądz proboszcz. Na dziedzińcu już się zebrali ludzie ze wsi z kobiałkami, rozsiadają się brzegiem zieleniejącego trawnika i na białych płachtach rozkładają obok siebie złote kołacze, jaja, trochę mięsiwa. Wesoły gwar rozmów, ożywia się z każdą chwilą, od gromadki do gromadki biegną słowa powitania, życzeń serdecznych, aż nagle daje się słyszeć turkot i rozmowy milkną, na twarzach osiada nabożna powaga: ksiądz proboszcz przyjechał!

Powitanie nie zabiera dużo czasu; ksiądz proboszcz spieszy się bardzo, bo jeszcze dziś przed Rezurekcyą ma być w kilku domach. Najpierw będzie święcił „ludziom“ bo i gospodynie pewnie spieszą się także do domu.

Ach jakaż to miła, jaka uroczysta chwila to święcenie! Słowa łacińskiej modlitwy, krople święconej wody i złote promienie słońca padają na „dary Boże“ na pochylone pobożnie głowy, na serca ludzkie, tchnące w tej chwili taką pogodą i jasnością, jak błękit wiosennego nieba. Ukończywszy święcenie ksiądz przemawia kilka serdecznych słów do gromady, życząc wszystkim wesołego Alleluja — prosząc, by jajko święcone zjednoczyło ich szczerą, bratnią miłością, by je spożywali prawdziwie na chwałę Bożą — potem białe płótnianki wysypują się za bramę i rozpraszają na długiej drodze biegnącej żółtą wstęgą przez wieś — a ksiądz

proboszcz w otoczeniu wszystkich domowników zwraca się do dworu. Dzieci asystują przy tem święceniu bardziej jeszcze wzruszone i przejęte — serca biją im niepokojem, czy też ksiądz proboszcz nie zapomni pokropić i ich stolików? — Nie zapomniał — a nawet dokończywszy święcenia w każdy talerzyk z pisankami wetknął śliczny obrazek, przedstawiający Boże Dziecię z krzyżykiem w ręku i barankiem! Potem, wypiwszy pospiesznie filiżankę postnego barszczu, odjechał — Mama kończy ostatnie przygotowania a dla dzieci następuje nowa uciecha: wyprawa do sadu po fiołki.

Już wczoraj wieczorem rozwinęło się ich całe mnóstwo, a teraz gdy dzieci dobiegły do małej łączki położonej w końcu sadu, na której zwykle fiołków najwięcej bywa, aż im się w oczach zaniebieszczyło. Powietrze pachnie, słońce przygrzewa, trawniki zielenieją prawie z minuty na minutę — czy może być coś cudowniejszego nad dzień taki. Zosia zapomniawszy się zaczyna spiewać, ale bracia przypominają jej Wielką Sobotę, więc milknie trochę zawstydzona swojem roztrzepaniem.

Wkrótce Mama przysyła Ignacego po dzieci, bojąc się aby pod wieczór nie zrobiło się w sadzie chłodniej — zresztą Rodzice zbierają się już na Rezurekcyą, ale tylko najstarszy Jaś ma im towarzyszyć — dla Henrysia i Zosi tłok za wielki.

Klucz od pokoju ze święconem zostaje powierzony opiece Zosi, z czego dziewczynka czuje się ogromnie dumna, klucznica ma jej przynieść do schowania suszący się jeszcze w woreczku ser kminkowy, a kucharz roladę z indyka: naturalnie — przecież gdy Mamusi nie ma, to ona jest gospodynią.

Zaraz po odjeździe Rodziców zasiadają oboje z Henrysiem do robienia bukiecików i wieńców z fiołków, oba stoły mają być niemi przybrane, ale wykończenie tego zadania zdaje już Henryś całkowicie na Zosię, bo przed nim jeszcze robota wielka i ważna: wystruganie kilku sikawek na śmigus poniedziałkowy. Walek, chłopiec kredensowy, ma mu w tem być pomocnikiem; nie ma obawy, sikawki udadzą się dobrze, bo Walek to specyalista w tym kierunku.

Zosia w pokoju ze święconem rozstawia tymczasem bukieciki fiołków w ładnych, szklannych kubkach, które pozbierała po całym domu; talerze z jajami przybiera w fiołkowe wieńce i cukrowemu barankowi rzuca na podściółkę kilka wonnych wiązanek. Wygląda to prześlicznie, cały pokój pachnie fiołkami i święconem; języczek ucieka do wszystkich doskonałości. Już jeden i drugi migdałek dostał się do jej buzi odłupany prawie przypadkiem od mazurka; już i jednej babce uskubnięto troszkę lukru posypanego kolorowym maczkiem — nawet to znać trochę, ale może Mama aie zauważy — co tam lukier!

Jednak chcąc uniknąć pokusy Zosia powraca do własnego stolika, przypatruje się wszystkiemu, przestawia jeszcze to i owo, nagle zawadziwszy rękawem, przewraca flaszkę z winem, która dzieci uprosiły sobie u Mamy, dla przybrania stołu. Flaszka pada na talerzyk z pisankami Jasia i strąca z niego kilka pisanek, które potoczywszy się z hałasem po stole staczają się na ziemię. W liczbie ich jest także pisanka robiona przez Tatusia!

W Zosi serce zamarło ze strachu — na razie nie ma nawet tyle przytomności aby podnieść nieszczęsną pisankę, która przecież na pierwszy rzut oka wydaje się całkiem nieuszkodzona.

Nieuszkodzona? ach nie, niestety! z jednej strony łupka całkiem popękana, a kawałeczek jej nawet odleciał — właśnie wieżyczki u kościółka brakuje! — Cóż za przykrość! Jaś się tak zmartwi i gotów jeszcze gniewać się na Zosię, jakby to ona była temu winna! Przecież to tylko przypadek — ale zawsze, gotów mówić, że niepotrzebnie kręciła się koło stołu, kiedy wszystko było już gotowe. — Z pewnością będzie tak mówił — chyba.... żeby się nie dowiedział jakim się to zrobiło sposobem. Gdyby tak nie spostrzegł się ani dziś, ani jutro, to mógłby potem przypuścić, że kiedyś sam nieuważnie trącił pisankę i nadtłukł ją — to się przecie łatwo stać mogło.

Tak, nie ma innej rady, tylko trzeba pisankę ułożyć jakoś tak, żeby stłuczenia wcale znać nie było — to nie jest nawet trudno, byle nikomu na myśl nie przyszło obracać ją na drugą stronę, ale już się wszyscy tyle naoglądali tych pisanek, że może teraz dadzą im pokój. —

Zadowolona ze swego pomysłu Zosia układa Jasiowe pisanki tak zupełnie jak były ułożone przez samego właściciela, stawia talerzyk na właściwem miejscu i oddecha z ulgą widząc, że Jaś nie może zauważyć najmniejszej zmiany. Nie trzeba już nic ruszać i poprawiać — teraz dobrze — zupełnie dobrze! Nagle wzrok jej pada na obrazek święty zatknięty między pisankami i twarz jej oblewa gorący rumieniec niepokoju. Czy rzeczywiście jest to dobrze?.... a raczej czy nie jest bardzo źle, to co zrobić zamierza? Przecież to będzie kłamstwo, oszukiwanie... Pan Jezus malutki z krzyżykiem w ręku zdaje się patrzeć na nią, a w myśli jej staje nagle wszystko co Mama mówiła o ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu Pańskiem, o tem aby te dni święte uczcić przedewszystkiem szczerem i silnem postanowieniem poprawy. Oto w tej chwili właśnie odbywa się Rezurekcya! wszyscy się cieszą, że Chrystus zmartwychwstał, aby ludziom niebo otworzyć, a ona chce popełnić taki ciężki ciężki grzech, tak okropnie obrazić tego Pana Jezus, który dał się ukrzyżować za nią, tak samo jak za wszystkich.

Nie, nie! za nic tak nie zrobi! co tam, że Jaś będzie się gniewał — daleko lepiej znieść to, aniżeli Pana Boga kłamstwem obrażać. A zresztą przecież Tatuś zrobił wszystkim jednakowe pisanki, sobie więc weźmie stłuczoną a Jasiowi położy całą! W tem już grzechu nie będzie, bo zrobi to, aby braciszkowi oszczędzić przykrości — a choć jej samej bardzo, bardzo żal ślicznej pisanki, ale za to będzie mogła śmiało spojrzeć

w oczy Rodzicom i braciszkom — czyste sumienie więcej warte niż wszystko na świecie!

Przekładając teraz znów inaczej pisanki, Zosia patrzy na swój święty obrazek i myśli sobie, że to pewnie jej anioł stróż podszepnął księdzu proboszczowi myśl dania dzieciom takich obrazków — anioł stróż, który chciał ją ustrzedz od ciężkiego grzechu, i którego natchnieniom ona już teraz zawsze we wszystkiem będzie posłuszna. Poprawi się, poprawi zupełnie i z lenistwa i łakomstwa — i nigdy, nigdy już nie skłamie!

Późnym wieczorem powrócili rodzice z Rezurekcyi — powracali także i domownicy, którzy chodzili do kościoła: „Chrystus zmartwychwstał! Alleluja!“ brzmiało teraz radosnem echem po całym domu, a serduszko Zosi pełne dobrych postanowień wtórzyło tym głosom: weselmy się! Alleluja! *I. M.*

Co było w placku bakaliowym?

(Ciąg dalszy).

— No, jakże? przecież to te migdały, które łuszczyć lubimy i jadamy w plackach i mazurkach.

— Tak, ale trzeba wam wiedzieć, że jadacie tylko pestki owocu, a raczej nawet tylko jądro pestki podobne temu, jakie widzicie, roztłukłszy pestkę śliwki, moreli lub brzoskwini.

— My jadamy pestki?! co też ten Mundek nie opowiada! zawołała Stefa.

— A nieinaczej. Zresztą przypomnijcie sobie, że na Boże-Narodzenie, do gry w *halber-cwelwe* na Wilię, dała Wam Mamusia migdałków jeszcze w chropawej, drewnianej łupince, bo i takie są w handlu i, obok rodzynków malaga, ulubione są jako danie deserowe — otóż, taką drewnianą łupinkę stłuc dopiero potrzeba, aby z niej ziarno, t. j. właściwe nasienie wydobyć. Zaś póki cały i świeży, owoc ma jeszcze trzecią, mięsistą, powłokę, u niektórych gatunków nawet dość smaczną do jedzenia choć nie jest tak soczystą jak innych pestkowców, krewnych migdała, których wam już wymieniłem: jak śliwa, morela, brzoskwinia.

— Nasze śliwy są w pokrewieństwie z takim zagranicznym migdałem? nie byłabym nigdy myślała — zauważyła Oldzia. Prawda, że i kwitną także wcześnie na wiosnę, prawie jeszcze bez liści.

— A co jeszcze jest w tym placku bakaliowym, gosposie?

— Cykata!

— A więc cykata, gdzie rośnie? czem jest właściwie?

— Ej, cykata to chyba duży, smażony ogórek — tak jakoś podobnie wygląda.

— Oj, Stefa, Stefa! nic nie wiesz co ci smakuje: z migdała zjadasz pestki a w cykacie gryziesz w najlepsze łupy z cytryny!

— Z cytryny?! gdzież takie grube?

— Bo też to jest osobny gatunek cytryny, pochodzący (jak i wszystkie jej odmiany) z gór Himalajskich, a nazwany „*cedratem*“. Cedraty, są to cytryny olbrzymiej wielkości, bo dochodzą do 6 kilo wagi; sok mają kwaśny a skórkę chropawą, bardzo grubą: tę to skórę, smażoną w cukrze, sprzedają pod nazwą *cykaty*.

— Więc my doprawdy z takim smakiem zajadamy w placku pestki i łupy? To dziwne! — cieszyła się Stefa.

— A przecież jest w nim i pomarańczowa skórka smażona, ja wiem, bom sama ją krajała na drobne kawałeczki.

— A smażyła sama mamuńcia w domu, z tych pomarańcz co się jadło przez zimę, bo Tatuś bardzo lubi po wódce zagryść skórką pomarańczową. Szkoda że Mamuńcia nie smażyła także skórek cytrynowych, żeby mieć własną cykatę.

— Ależ Stefa, przecież dopieroco Mundek mówił, że na to trzeba osobnego gatunku, tych olbrzymich cedratów, co mają taką grubą skórę.

— Tak, zwyczajne cytryny mają na to skórkę za cienką i za dużo w niej goryczy, za to sok mają daleko smaczniejszy.

— Ja wolę pomarańcze.

— Pomarańcze to muszą być bliskie krewne cytryn, prawda Mundek? bo jakieś takie podobne.

— Tak, Oldziu! należą do jednej rodziny: mają przez cały rok, trwałe zielone liście i kwitną białym, silnie i słodko pachnącym kwiatem. Cytryna kwitnie i dojrzewa przez rok cały, tak że na tej samej gałęzi masz wciąż obok siebie pączki, kwiaty i owoce — pomarańcze, kwitną tylko w kwietniu i w maju, a dojrzewają bardzo powoli, tak że zbiór ich najobfitszy zaczyna się aż w styczniu i trwa do kwietnia, kiedy na nowo zakwitają.

Pomarańcza jest drzewem daleko ozdobniejszem od cytryny, ale hodują je zwykle razem, i to sadzą blisko siebie tak, żeby splatając z sobą gałęzie zasłaniały ziemię przed skwarem słonecznym, gdyż korzenie ich potrzebują pewnej wilgoci, którąby inaczej słońce wypiło.

— To i one pewno rosną we Włoszech?

— Nie inaczej: w ogóle wszędzie gdzie ziemia dobra nad brzegami Śródziemnego Morza, ale już najwięcej hodują ich we Włoszech i w Hiszpanii. Pomyślcie czasem, jedząc smaczne pomarańcze, że kiedy my tu w styczniu i lutym otuleni w futra, sankujemy się lub ślizgamy, marzniemy w śnieżnej zadymce lub grzejemy się przy piecu, to właśnie pora w której gaje drzew pomarańczowych, okryte złocistym owocem i bielejącym już pod wiosnę nowym kwiatem, lśnią w słońcu pod błękitnem niebem południa. A owoców tych tak dużo, że więcej niż liści na drzewie! Niepodobna nawet

wszystkich pozbierać: tych co przejrzałe już spadną z drzewa, nikt nie podnosi tak że całemi warstwami zaścielają ziemię w gajach pomarańczowych i gnijąc użyźniają ją doskonale.

— O, my byśmy im tam zgnić nie dały! wszystkie byśmy popodnosili — wołały na wyścigi dzieci.

— Ej, mając ich takie nieprzeliczone stosy i wy byście byli wybredniejsi i bralibyście same tylko najdoskonalsze. Tych najdoskonalszych my tu nigdy nawet nie kosztujemy, bo dojrzała pomarańcza gnije tak prędko, że pomimo kolei, żadna nie przetrwałaby podróży. Na wywóz przeto zrywają pomarańcze jak i cytryny, jeszcze zielonkowate, i rozsyłają je po świecie w paczkach starannie pozawijane w bibułkę, a owoce te w drodze dopiero „dochodzą“ ale nie mogą już mieć ani smaku ani zapachu, tych co dojrzeją na drzewie.

— A figi, Mundziu, czy także rosną we Włoszech? bo już ja widzę, że prawie cały nasz placek bakaliowy stamtąd przywędrował.

— Nie mylisz się wcale! najwięcej fig spożywanych w Europie hodują we Włoszech choć właściwą ich ojczyzną jest Berberya, w północnej Afryce.

— Więc znowu brzegi Śródziemnego Morza?

— A tak! zawsze te same szczęśliwe brzegi, odznaczające się już bardzo ciepłym a przecież jeszcze łagodnym klimatem. Ale powiedzcie mi, czy też przynajmniej wiecie jaką część rośliny spożywacie jedząc figi?

— O, już tym razem nie wyperswadujesz nam, że to pestki lub łupiny! tym razem nawet ślepy poczułby, że trzyma w ręku cały, uschnięty owoc.

— Tylko, że jabym temu ślepemu wytłumaczył, że trzyma i kwiat nie tylko owoc i że to co mu najwięcej smakuje, jest właśnie zgrubiałą łodygą kwiatu!

— A śliczny mi kwiat, figa! Nie, temu już nie uwierzymy!

— Figa z makiem! — wtrącił tryumfalnie mały Ździś, kontent że i on może dodać swoje trzy grosze do tej mądrej rozmowy z której rozumiał tylko to, że mówią o fidze.

— A właśnie, właśnie że z makiem! — rozśmiał się, ubawiony miną malca Mundek — ten mak, to rzecz najważniejsza, bo te drobniuchne ziarneczka wypełniające figę to dopiero są właściwe owoce czyli nasionka figi, a tkwią wszystkie w miękiszu zgrubiałej osłony kwiatowej.

Widząc jednak, że dziewczynki jeszcze patrzą niedowierzająco, Mundek tak im tłumaczył dalej:

— Wyobraźcie sobie kielich kwiatowy niby dzwonek, gruszkowatego kształtu otwarty u góry, koloru żółtego, fioletowego lub zielonego, ale taki dziwny, że cała jego wewnętrzna strona jest jeszcze porośnięta jak barankiem, drobniuchnymi kwiatuszkami: z tych kwiatuszków zawiązuje się po okwitnięciu ów historyczny „mak“ w fidze, czyli drobniuchne ziarneczka będące jej właściwemi owocami i nasieniem — zaś kielich zewnętrzny, wspólna podstawa tych malusieńkich kwiatuszków, po ich okwitnięciu grubieje, a zwłaszcza dno jego rozrasta się, podnosi, aż wypełni całą jamę kielicha miękiszem, który troskliwie osłania ziarneczka. Tak powstaje to, co zjadacie pod nazwą figi, a co jak przekonałyście się, jest zmięśniałą szypułką kwiatu.

— Fe! takie zwiędłe, mięsiste kwiaty! jakby to było zabawnie, gdyby kto taki wianek z fig wziął na głowę i powiedział, że się ubrał w kwiatki! Ale świeże muszą być chyba ładniejsze?

— Zanim przekwitną i zmięśnieją wyglądają oczywiście więcej do kwiatu podobne — choć bardzo ozdobne nigdy nie są.

— Świeżo zerwane muszą być także smaczniejsze?

— Oj, co to, to nie! są takie mdłe i nudne, że mało kto je lubi. Po ususzeniu nabierają daleko lepszego smaku.

— No, to przecież dziwne i nie byłabym nigdy pomyślała żeby w naszym placku bakaliowym były pestki, łupiny, kwiaty....

— A nie mówiliśmy jeszcze o najlepszych „bakaliach“, o daktelach. Czy i o tych powiesz nam, Mundziu że to nie jest właściwie sam owoc, tylko jakaś część owocu?

— O, nie: co do dakteli widziałyście same przygotowując je do placka, że tu właśnie owoc dostaje się do waszych rączek w całości: wyrzucacie ze środka długie twarde rowkiem przedzielone ziarno, oczyszczacie nożykiem wierzchnią łupinkę o ile jest jakoś nadwyrężona, a sam słodki miękisz owocu zjadacie ze smakiem lub krajecie do placka. (D. n.).

Łamigłówka w trójkącie.

. . . . . Założyciel liceum krzemienieckiego.
. . . . . Inaczej zgromadzenie klasztorne.
. . . . Imię największego wieszcza polskiego.
. . . To, do czego dążymy.
. . Przyimek.
. Litera.

Polski Słowiczek.

Zadanie bez samogłosek.

B ż jcz l tw j l dz c pł cz ż brz
l psz j d l

Kropki należy zastąpić samogłoskami, a wtedy utworzy się początek znanej patryotycznej pieśni polskiej.

Młody Żmujdzin i Litwinka.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacinskiego.

Nr. 10. We Lwowie, dnia 15. Maja 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Wypadek z wodą.

Józia ubierała lalkę siedząc przy Mamie zajętej robotą.

— Mamusiu! odezwała się; prosiłabym o tę dużą lalkę, którą dostałam od chrzestnego ojca!

— Chcesz się nią trochę pobawić?

— Ach, nie trochę! Niech mi ją Mamusia da na zawsze, żebym się nią ciągle bawiła i miała u siebie.

— O nie! moja Józiu. Wiesz dobrze, że postanowiłam schować u siebie tę wielką, kosztowną lalkę, aby nie uległa jakiemu przypadkowi. Gdy będziesz starsza...

— Ja już przecież skończyłam sześć lat!

— Wiem o tem, ale przy twojem roztrzepaniu...

— A tak! wszyscy mówią o mojem roztrzepaniu, wszyscy mi tem dokuczają, że jestem nieuważna, a tak wcale nie jest! Ja już tak dawno żadnej szkody nie zrobiłam i będę szanować moją dużą lalkę, niech Mamusia będzie spokojna!

— Nie mogę być spokojną moja Józiu i lalkę oddam pod zupełną twoją opiekę wtedy dopiero, gdy będziesz starszą, będziesz umiała szyć dla niej sukienki, fartuszki...

— Jabym już i teraz potrafiła.

— Nie bądź zarozumiała moje dziecko i nie napieraj się. Patrz, co robisz w tej chwili! rozdarłaś sukienkę lalki.

— Ach, nie mogłam dopiąć i pociągnęłam za mocno, bo przypadkiem wzięłam spodniczkę tej mniejszej.

— Widzisz, czyż to nieprawda, że jesteś roztrzepana?

Józia chciała się jeszcze usprawiedliwiać, ale dzwonek zadźwięczał u drzwi wchodowych i do pokoju weszła młoda osoba w amazonce.

— Ciocia Kazia! zawołała dziewczynka rzucając się na szyję przybyłej.

Ciocia witała się z Mamusią.

— Czy Ciocia przyjechała konno? spytała Józia, — a gdzie Ciocin Trezor? czy także biegał za Ciocią? czy mu Ciocia kupiła nową obróżkę? trzepała tymczasem Józia, której języczek nie lubił ustawać ani na chwilę.

— Tak, tak! wracam z przejażdżki za miasto i zmęczyłam się trochę. Każ mi przynieść szklankę wody, dobrze Józieczko?

Józia wybiegła do kuchni i po chwili niosła już sama wodę dla ulubionej Cioci, ale idąc swoim zwyczajem, myślała równocześnie o dziesięciu rzeczach naraz: musi poprosić Mamusi, żeby jej pozwoliła zejść na dół, gdy Ciocia Kazia będzie odjeżdżała i popatrzyć jak wsiądzie na swojego Siwka, którego stangret trzyma tymczasem w bramie. — Tam jest także Trezor, bo go nie wpuścili do pokoju — musi być bardzo zdyszany — może by i on chętnie wody się napił — a może by mu to było przyjemnie, gdyby go tak kto oblał zimną wodą — takie duże psy lubią się kąpać... jak on się będzie zabawnie otrząsał, kiedy tak naraz Józia przyjdzie i, chlust! na niego z całej szklanki...

— Józiu, co robisz? cóż to znaczy! rozległ się naraz okrzyk zdumienia Mamy i Cioci, bo Józia, stojąc przed niemi, podniosła szklankę ze spodeczka i — chlust! — wylała całą wodę w kapelusz ciocin od konnej jazdy, który stał na stole!

— Ja... ja... podaję wodę Cioci — ale myślałam, że Trezor... jąkała dziewczynka i przerażona tem co zrobiła, upuściła na ziemię szklankę trzymaną w ręku.

— Ha! ha! ha! ha! myślałaś że to Trezor?! albo może, ze zbytku gościnności chcąc mnie wlać wodę prosto w gardło, wlewasz ją w mój kapelusz! — śmiała

się Ciocia Kazia, a Mamusia, wytrząsnąwszy coprędzej wodę z kapelusza, wycierała go starannie.

Na szczęście był on pilśniowy, twardy i gruby, więc napojenie wodą nie zaszkodziło mu bynajmniej, jak zapewniała dobra Ciocia pocieszając dziewczynkę, która stała zmartwiona i zawstydzona, z oczyma łez pełnemi.

Mamusia widząc żal Józi, nie łajała jej już; pozwoliła nawet zejść na dół ze służącą odprowadzić Ciocię i zobaczyć jak będzie odjeżdżać. Tylko gdy wróciła, zapytała jej:

— No i cóż Józiu, czy mogę wierzyć, żeś się już poprawiła ze swego roztrzepania? Czy myślisz jeszcze że cię niesłusznie prześladujemy wszyscy utrzymując iż jesteś okropnie nieuważna?

— Ach, nie Mamusiu! to nie prześladowanie tylko prawda. Niech mi Mamusia nie daje dużej lalki kiedy jestem taka rozstrzepana. Ale ja się poprawię potrochu, zobaczy Mamusia! będę się tak starać!

Ucałowała ręce Mamy, która dodała:

— Pamiętaj Józieczko, że Mamusia wie najlepiej kiedy i o ile dzieciom zaufać można.

Helena Prendowska.



Mała gosposia.

(dla Andzi K.)

Mała Andzia z Bojanowa
Śliczne sobie kurki chowa:
Pstrokate i szare —
Młodziutkie i stare —
Kogutki, kurczęta —
O wszystkich pamięta!
Toć gdy tylko w progu stanie
Biegną kurki na śniadanie,
Biegną do gosposi
Co im jeść przynosi,
I na znak podzięki
Dziobią ziarno z ręki!

Z. M.

Co było w placku bakaliowym?

(Dokończenie).

— Czyż i daktele także znowu rosną nad Morzem Śródziemnem?

— I owszem, hodowane rosną — chociaż w południowych krajach europejskich służą więcej tylko jako ozdoba krajobrazu, bo owoców tu nie wydają: potrzebują gorętszego jeszcze klimatu. Przysłowie arabskie powiada o palmie daktelowej, że potrzebuje ona mieć „*głowę w ogniu a stopy w wodzie*“ — to też właściwą jej ojczyzną są dopiero kraje podzwrotnikowe, północnej Afryki i zachodniej Azyi.

Daktylowiec jest palmą, której pień smukły, strzelisty, nie rozszczepiający się na żadne gałęzie, dochodzi ogromnej wysokości i dopiero u samej góry uwieńczony jest koroną, jakby olbrzymią wiechą pierzastych liści. Próbkę kształtnych liści pierzastych macie na waszej palmie w salonie, tylko że w swojej ojczyźnie są one najmniej trzy razy tak długie i osadzone na długich ogonkach. Pomiędzy tymi liśćmi, pękami wyrastają owoce, w ten sposób, że na jednej długiej szypułce ciśnie się ich całe mnóstwo, ułożonych przeciwległymi rzędami jak liście akacyi. Kupując wyborowe daktele, w pudełkach, możecie zobaczyć je jeszcze tak ułożone. Zbiór dakteli bywa zazwyczaj tak obfity, że jedna palma jest w stanie wyżywić przez rok całą rodzinę ubogich Arabów. Owoce spożywają albo świeże albo suszone; przyrządzają z nich także mnóstwo potraw i napoi. Na wywóz pakują daktele w worki lub kosze. Są one prawdziwem dobrodziejstwem i błogosławieństwem Bożem dla okolic pustyńnych, gdzie zieleni się niemi każda oaza, każda skropiona źródełkiem dolina. Zboże wypaliłby tam żar słońca, zresztą za mała jest nieraz przestrzeń oazy aby nawet najplenniejsze zboże siać było warto — w czasie gdy na lada skrawku urodzajnej ziemi, źródełko i kilka palm, to już majątek Araba.

— To przecież wszystko ogromnie ciekawe, coś ty nam o tych bakaliach z placka naopowiadał Mundziu! I ty doprawdy wiesz to wszystko z geografii?

— Z geografii, i innych książek, które czytać lubię, bo kiedy nie mogę wszędzie pojechać, to choć z opisu w książce, miło jest módz sobie wyobrazić jak gdzieś na świecie wygląda.

— Oj, jabym lubiła podróżować — ale i czytać lubię — rzekła Oldzia.

— A jabym rada mieszkać w tych Włoszech, gdzie tyle pysznych owoców — wpadła jej w słowo Stefa.

— Chyba naprawdę, nie myślisz tego co mówisz — przerwał jej Mundek, — czyżby ci nie żal było za naszą Polską? Już ja ci ręczę, że zatęskniłabyś się do roku! — I zaraz zaczął z zapałem deklamować z Pana Tadeusza:

. . . . . Drzewa sławione na Wschodzie
I na południu, w owej pięknej, włoskiej ziemi,
Któreż równać się może z drzewami naszemi?
Czy aloes, z grubemi jak konduktor pałki?
Czy cytryna, karlica, z złocistemi gałki,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka lecz bogata,
Czy zachwalony cyprys, długi, cienki, chudy,
Co zdaje się być drzewem, nie smutku, lecz nudy.
Mówią, że bardzo smutno wygląda na grobie
Jest to jak lokaj sztywny; i w dworskiej żałobie,
Nie śmiejący rąk podnieść ani głowy skrzywić,
Aby się etykiecie niczem nie sprzeciwić.
Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina
Która, jako wieśniaczka kiedy płacze syna
Lub wdowa męża, ręce załamie — roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy:
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!

I dalej:

A owo niebo włoskie, jak o niem słyszałem,
Czyste, błękitne, toż to jak zamarzła woda!
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków,
Ile zmian i obrazów z samej gry obłoków,
Bo każda chmura inna. —

Do deklamującego z zapałem siostrzeńca przystąpiła matka Stefy i Oldzi i serdecznym uściskiem wynagrodziła poczciwego chłopca, który pomimo dwoch już złotych pasków na kołnierzu, tak chętnie, tyle czasu poświęcał na pouczającą rozmowę ze znacznie młodszemi kuzynkami; nawiązując zaś do ostatniego odezwania się Stefy i do poetycznej odpowiedzi Mundka, dodała:

— Tak, drogie moje dzieci: „cudze kraje znać przyjemnie jest i pożytecznie ale swój znać należy“, a nie kochać go niepodobna, bo przyrośliśmy do niego każdem uderzeniem serca: Wśród najpiękniejszych cudów i czarów obcej przyrody, więdnie dusza tęsknotą, jak roślina przesadzona w nie swoją rolę!

Z. M.

Wacio dentystą.

Wacio i Irenka mieli bardzo dobrego wujaszka, który przyjeżdżając na każde święta przywoził im śliczne książki i zabawki, opowiadał zabawne historyjki i bawił się z niemi jakby był ich rówieśnikiem.

Tego roku, na Wielkanoc, przywiózł Waciowi pudełko z narzędziami stolarskiemi a Irence śliczną, dużą lalkę ze złotymi włoskami, szafirowemi oczkami i wpół otwartemi ustami, które ukazywały rząd białych, równych ząbków.

Dzieci były uszczęśliwione; Irenka lalki z rąk nie spuszczała a Wacio ciągle coś majstrował i psocił swemi narzędziami: to naciął w dwóch miejscach tualetę mamy, to sheblował politurę z komody, nawbijał gwoździ w podłogę — a chociaż często usłyszał ostre połajanie i obiecywał poprawę, wkrótce o tem zapominał i broił na nowo.

Najbardziej korciły Wacia obcęgi; takie były zgrabne, mocne, stalowe, a nie miał sposobności użycia ich ani razu. Chciał powyciągać ze ściany ćwioczki, na których wisiały fotografie w pokoju mamy, ale bał się kary, bo ojciec zagroził, że w razie uszkodzenia jednego jesze mebla lub ściany, na czas długi odbierze mu wszystkie narzędzia.

Razu jednego, gdy widział jak Irenka układa lalkę do łóżka i przemawia do niej jak do chorej, przyszedł mu do głowy pomysł całkiem nowy: zbliżył się tedy do siostrzyczki i rzekł:

— Słuchaj Irenko, niech twoją lalkę zęby bolą, a ja będę udawał dentystę.

Irence oczy zabłysły zadowoleniem.

— Ach, jak to będzie zabawnie! — zawołała. — Czemprędzej ubrała lalkę, i zaczęła jej perswadować, że „raz nareszcie trzeba skończyć z tym nieznośnym zębem, który tak boli od trzech dni“, zalecała przytem swej biednej córeczce odwagę i cierpliwość, gdy przyjdzie doktór.

Wacio tymczasem ubrał się, jak przystało jego powadze, doktorskiej w kapelusz ojca, do kieszeni włożył potrzebne narzędzia i zapukał do drzwi swej nowej pacyentki.

— Panie doktorze — rzekła Irenka, wychodząc naprzeciw niego z lalką na ręku — moją córkę ząb bardzo boli; trzeba go wyrwać albo zaplombować. — Wacio założył na nos okulary, zrobione na prędce z zakręconej szpilki podwójnej i zajrzał w usta lalki.

— Trzeba wyrwać dwa zęby — zawyrokował.

— Ha, jak trzeba, to trzeba — westchnęła Irenka. — Tylko nie wyrwij naprawdę — dodała ciszej.

— Nie bój się; mam gumę arabską, to choć wyrwę, przykleję napowrót.

— Czy tylko napewne?

— Spuść się na mnie — powiedział z takiem przekonaniem, że Irenka uspokoiła się, pełna wiary w umiejętność brata.

— Proszę siedzieć spokojnie; najpierw ząbek znieczulę, a potem wyrwę bez żadnego bólu. — To mówiąc wyjął z kieszeni butelkę, w którą nalał był poprzednio troszkę terpentyny i wypróżnił ją w otwarte usta lalki, większa część tłustego płynu wylała się na błękitną jej sukienkę, ale Irenka zajęta uspokajaniem biednej pacyentki i trzymaniem jej głowy, podług wskazówek doktora, nie zauważyła tego. Wacek tymczasem zbliżył obcęgi, pochwycił ząb tak głęboko i silnie, że gdy szarpnął, głowa lalki wydała jakiś dźwięk szczególny, a Irenka uczuła, że coś jakby rozsunęło się pod jej palcami; spojrzała i zbladła: w obcęgach Wacia został wraz z zębem kawałek policzka lalki.

Dziewczynka rozpłakała się, wołając: Cóżeś ty zrobił Waciu! coś ty mi zrobił!

Wacio się zmięszał i zaniepokoił.

— Ja przecież nie chciałem, żeby jej głowa pękła i nie jestem temu winien, że ma taką słabą głowę! Ty sama zgodziłaś się, żeby jej ząb wyrwać; każdemu doktorowi może się zdarzyć przypadek. — Ale Irenka nie słuchała tego tłumaczenia tylko coraz głośniej zanosiła się od płaczu. Nadbiegła Mama, przyszedł i Tato, a gdy dowiedział się o przyczynie płaczu rzekł do dzieci.

— Zasłużyliście oboje na karę za taką nierozsądną zabawę. Ty, Irenko, nie powinnaś się była zgodzić na projekt Wacia, wiedząc jak on zawsze wszystko psuć umie a nigdy nic nie naprawi. Ale ty i tak dostatecznie ukarana już jesteś. Wacio zaś zasługuje aby mu odebrać zabawkę, którą wszystko niszczy i psuje — to też jego narzędzia pójdą pod klucz do mojej szafy, i nie oddam mu ich, aż się przekonam, że się poprawił i że mu już takie niemądre figle nie przychodzą do głowy. Ponieważ zaś Irenka mniej zawiniła, więc jeżeli będzie grzeczną i posłuszną, to za miesiąc, na swoje imieniny, dostanie może nową, podobną główkę dla swej laleczki.

Dzieci były bardzo zawstydzone i zasmucone słowami ojca — postanowiły też w duchu najszczerzej poprawić się z brzydkiego roztrzepania, które było już dla nich powodem niejednej przykrości w życiu.

Może tym razem razem wytrwają w dobrych postanowieniach — wtedy narzędzia wrócą do Wacia, a laleczce odrośnie druga, równie piękna główka.

Szarada.

Pierwsze z drugiem, broń powstańców znaczy;
Pierwsze z trzeciem szlachetne zwierzęta,
Z czwartem, człek czynić przed Bogiem pamięta. —
Całość, nie trudna kto odgadnąć raczy.

Tadeusz W. i jego kolega z III. kl. gimn.

Zagadka żartobliwa.

Co za głowa znamionuje kobietę?

Staś D.

Rozwiązanie łamigłówki w krzyżu z 9-go Nru.

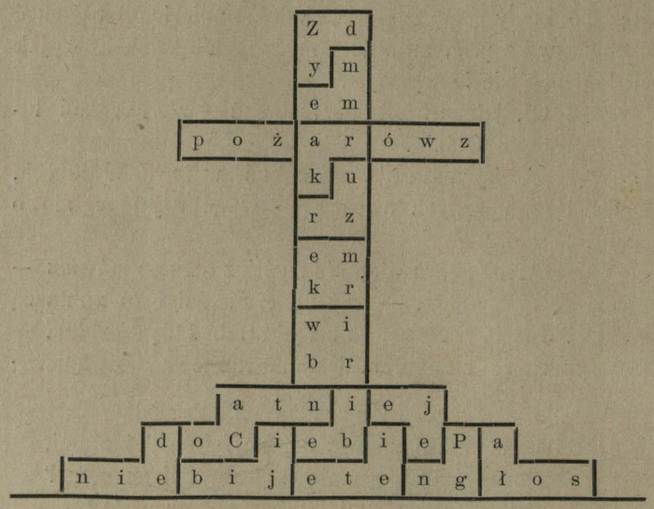

Wycinki z których należało złożyć krzyż, drukowane były w następującym porządku: 13, 10, 14, 15, 3, 1, 16, 11, 7, 2, 12, 5, 9, 4, 8.

Łamigłówka zgłoskowa.

Or — war — sen — czar — dya — lan — ra — el — tar — y — ne — rus — sza — is — pe — la — li — ma — nia — wa — muzd — nan — cki — ga — błąg — ta — kan.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poety polskiego.

1. Stolica Polski. 2. Wyspa w Europie. 3. Rzeka w Ameryce. 4. Hetman polski. 5. Miasto nadmorskie. 6. Sławny podróżnik. 7. Piekło u Greków. 8. Samogłoska. 9. Ptak z rzędu pływaków. 10. Bóg u Persów. 11. Zwierze przeżuwające południowej Ameryki.

Róża i Lilia z Beskidu.

Trafne rozwiązania zagadnień zawartych w Nrze 9-tym nadesłali: Litwin ze Stanisławowa, X. Y. Z. z Drohobycza, Olga, Józefa i Melita Appermanówny, Józinka Kłódecka, Uczenice klasy VI-tej szkoły żeńskiej w Gorlicach, Eleonora Mühlner, Tadzio Rybicki, Zosia Endersówna, Szymon Taub, Henryk Żuławski, Tadeusz Dyboski, Wincenty Składziej, Staś Dobrucki, Zosia Kurowska, Jańcia Promińska, Józia Dobrowolska, Henryk Mildenhawer, Etka Wilf, Zozia Piotrowiczówna, Józef Zborowski, Zosia i Mania Gwoździckie, Dola Tillówna, Polska dzieweczka z nad Wisły, Józef Kwiatkowski, Herman Ruebenbauer, Krakowianka z Sambora, Adaś Mrożek, Helena Winnicka, Wanda Więckowska, Pszczółka z Kębłowa, Dolusia Błochówna, Miś i Wiś ze Stanisławowa, Marynia Milewska, Janek Koretyński, Stach Stanek, Dora Malinowska, Arnold Zott i Zonia Dorniakowska.

Do nagrody wylosowani: Zosia Kurowska, Marynia Milewska i Henryk Żuławski.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacinskiego.

Nr. 11. We Lwowie, dnia 1. Czerwca 1900. Rok VIII.

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Z życia żaków krakowskich.

W mrocznym, sklepionym korytarzu, na końcu którego słabo widnieje wązkie zakratowane okienko, stoi czternastoletni wyrostek z miną wielce zafrasowaną. Wprawdzie został już zapisany do ksiąg uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, i rektor już go zaliczył w poczet uczniów, wprawdzie ma nawet na sobie strój żaków — długą kapotę sukienną z kształtu do sutanny podobną, a z której na plecy zwiesza się wielka „kapuca“, ma na nogach trepki, jakby był zakonnikiem, u pasa przywiązany kałamarz a w ręku seksterna, a jednak czuje się bardzo nieswój i opuszczony. Dokoła niego, po korytarzu bursy, w której będzie miał wraz z innymi mieszkanie, wciąż przebiegają chłopcy więksi i mniejsi, a żaden nie minie go bez zaczepki.

„Beanus, beanus“ wołają na rozmaite tony, jeden wybucha śmiechem pogardliwym, drugi naśladuje beczenie kozy, a biedny nowicyusz zmięszany, zaczerwieniony, ze łzami w oczach, sam niewie gdzie się obrócić i co z sobą zrobić.

Wie wprawdzie, że się to wszystko dzisiaj skończy, ale przedtem czeka go tak okrutna przeprawa, że wolałby już może do końca życia znosić zaczepki niż jej się poddać... Ale rady niema! Oto go obskoczyła gromada kolegów i wszyscy razem wynurzają się z ciemnych i chłodnych murów w wązką uliczkę, nad którą błękitnieje rąbek czystego lazuru — a stamtąd ciągną jeszcze dalej, za miasto, na świat boży, zalany blaskami sierpniowego słońca, na błonia, zkąd widać i groźny zamek królewski i kupiące się ciasno u stóp jego domostwa, ponad które wystrzelają smukłe wieżyce kościołów gotyckich. Wszystko to opasane murem i fosą, jak klamrami spięte bramami warownemi i ozdobione szlakiem srebrzysto-dyamentowej Wisły.

Tam dopiero, daleko od murów szkolnych, miały się odbywać tak zwane „otrzęsiny“ nowego kolegi, czyli „beana“. Ile taki biedny chłopak wytrzymać musiał, to i uwierzyć trudno. Związywano go sznurami, bito, udawano na nim piłowanie i heblowanie, kazano mu pisać z kałamarza w którym niepodobna było umoczyć pióra bo otworu wcale nie miał, potem w głos się naigrawano, że to taki student, co kałamarza otworzyć nie umie, — czesano go zgrzebłem, myto błotem, a ścierkami obcierano — wszystko wśród nieustannych żartów, dokuczań, przycinków. A biada mu, jeśli się sprzeczał, gniewał, albo, co gorzej, zlitowania prosił. Zato czekałyby go tylko dwa razy dłuższe męczarnie. Jeśli przeciwnie, zachował się z godnością, miał już zapewnioną życzliwość kolegów; trzeba było jeszcze tylko cierpliwie znieść ostatnią próbę najgorszą, bo już nie fizyczną, ale moralną: wysłuchać czytanego głośno listu, nibyto od Mamusi, która desperuje, że jej pieszczoszek, benjaminek, cukiereczek znosi od swych kolegów takie udręczenia! Od chwili jednak gdy się to skończyło, „*beanus*“ stawał się już „ż a k i e m“ prawdziwym i mógł być pewien, że w razie czego wszyscy koledzy staną za nim jak jeden mąż.

Tak zaczynał dawny uczeń życie szkolne, z wielu względów różne od dzisiejszego. Taki słuchacz uniwersytetu (co prawda młodszy daleko od dzisiejszego) mniej miał swobody od teraźniejszych gimnazyalistów. Suknie nosił prawie że duchowne, jak seminarzysta jaki, mieszkał w bursie pod nadzorem profesorów i bakałarzy, tam się stołował, tam lekcye odrabiał, a za najlżejsze wykroczenie przeciw regule, za wałęsanie się po mieście itp., karany bywał srodze rózgami, kozą, albo grzywną pieniężną. Jedyny wyjątek stanowiły otrząsiny beanów, na które władze uniwersyteckie pozwalać musiały, bo byłto zwyczaj powszechny, praktykowany wówczas w szkołach całego świata. Na chlubę Ojczyzny naszej powiedzieć możemy, że uniwersytet krakowski, pierwszy w całej Europie skasował ten zwyczaj; u nas najwcześniej przestano się znęcać nad biednymi, bezbronnymi chłopcami, którzy takie otrzęsiny nieraz mogli zdrowiem przypłacić.

Ale studencik taki, tylko jeśli miał rodziców nieco zamożniejszych, stołował się w bursie, w której mieszkał, — jeśli zaś nie było komu płacić za niego, musiał w wolnych chwilach od nauki służyć poprostu w jakimś domu, a gdy mu głód dokuczył, wędrować z koszykiem po swojej parafii, zbierając, co kto dać łaskaw. Takie gromadki „żaków“ żebrzących, widywać można było zawsze na ulicach Krakowa, a wstydzić się swego ubóstwa nie potrzebowali; przeciwnie, żaczek choć biedny, ale wesoły, zawsze z piosenką na ustach, zawsze mile uśmiechnięty, wszędzie bywał chętnie widziany.

Gdy mu się zaś przypadkiem zdarzyło grosz jaki zaoszczędzić, starał się natychmiast o kupienie jakiejkolwiek broni, bo to była rzecz honoru studenckiego jakkolwiek władze niebardzo chętnie to widziały i tylko patrzyły przez palce. Bogatszy żak mógł sobie sprawić łuk, miecz, albo szablę, biedacy chwytali, co się nadarzyło. Kiedyś student Godaczewski spostrzegłszy na ulicy dwóch jakichś ludzi niosących łuk i miecz, zaczął się z nimi targować i po chwili udało mu się wyhandlować to za starą kapotę. Uszczęśliwiony, tryumfujący wraca do bursy rad, że się nareszcie przed kolegami pochwali, ale oto zanim wieczór zapadł, czekała go wielka konfuzya. Broń była kradziona i pan student musiał przed sądem stawać ze złodziejami. Nie dosyć na tem, sprawa oczywiście doszła do rektora, przed którego obliczem musiał się zjawić stropiony Godaczewski. Rektor w todze i birecie, uroczyście, po ła-

cinie (bo wtenczas po łacinie rozmawiano we wszystkich szkołach i to nietylko w klasie, ale zawsze) wezwał młodzieńca do zapłacenia kary, „bo kto broń kupuje, ten musi być przy pieniądzach“. W ten sposób wyszło na jaw drugie przewinienie, przehandlowanie munduru; jak się tam zakończyło, nie wiemy dokładnie.... zdaje się jednak, że rozciągano na ziemi kobierzec!....

Uniwersytet łaciński, gdzie uczono i mówiono po łacinie, był w owych czasach jakby wspólną macierzą, („*alma mater*“) do której się garnęły dzieci rozmaitych „nacyi“. U nas w Krakowie często gęsto napotkać można było butne postaci Węgrów, którym mimo młodego wieku bujny już, czarny wąsik ocieniał wargę, a zuchwalstwo z oczu patrzyło, którzy przy lada okazyi, albo i bez okazyi, ze wszystkimi się bili i wiecznie też wzywani byli do rektora. Mnóstwo także przybywało Niemców, z pewną nieufnością zawsze poglądających dokoła, bo ich młodzi Polacy nieraz z upodobaniem turbowali, nie przepuszczając najmniejszej drobnostki, nawet przypadkowego potrącenia we drzwiach. Raz, pewien młody Jarosławczyk, imieniem Stanisław Lis, tak pięknie urządził kolegę Niemaszka, że ten potem w łóżku leżeć musiał. Stacha który miał dobre serce, choć był prędki, zdjął potem żal wielki. Przybiegł do mieszkania Niemca, wyściskał go, wycałował, pielęgnował w chorobie i obiecał zwrócił wszystkie koszta lekarstw. Ale Niemiec widocznie był egoista i zawzięty, bo przeprosin uznać nie chciał; gdy tylko się wylizał cokolwiek, poszedł na skargę do rektora. Tymczasem rektor Lisowi nic innego nie kazał nad to, co ten ofiarował się zrobić dobrowolnie: zapłacić koszta choroby i kolegę publicznie przeprosić; Niemiec zato miał obowiązek przebaczyć, przynajmniej dla formy. Nastąpiła więc pozorna zgoda, ale czyżby nie była ona lepsza, zupełniejsza i serdeczniejsza, gdyby Niemiec brzydką zawziętość był precz odrzucił i przeprosiny kolegi odrazu przyjął równie szczerze, jak mu je ofiarowano?

Ale i wśród „nacyi“ polskiej bywały czasem drobne zajścia. Powodowali je głównie swawolni a buńczuczni Litwini. Znać, że niezbyt odległe jeszcze były czasy, kiedy ich przodkowie w dzikich pogańskich obyczajach borykali się z żubrami w głębi kniei, lub do tychże samych kniei się chronili przed okrucieństwem Krzyżaków. Co chwila wzywać musiał rektor do siebie tego lub innego zawadjakę Litwina, co choć się uczył dobrze, ale kolegom spokoju nie dawał. Najczęściej zaś ofiarą figlów padali łagodni dobroduszni Mazurzy. Gdy w pozaszkolnych godzinach przepowiadano sobie lekcye w bursie, bakałarz wciąż musiał do porządku przyprowadzać swawolników, którzy, zakradając się przez korytarz pod drzwi izby, gdzie mieszkał kolega z Mazowsza, zaczynali akcent mazurski przedrzeźniać; albo znów zaczepiając Mazura, który chodząc tam i napowrót pilnie sobie przepowiadał lekcye, pytali z obłudną miną o wskazówki z historyi kościoła, „czy to Judasz, czy inny jaki Apostoł wysłany był do nawracania Mazurów?“

Nie na samych wszakże pustych figlach trawili wolne chwile ówcześni studenci. Umieli oni sobie znajdować rozrywki przyjemne i pożyteczne. Jedną z ulubionych było odgrywanie nabożnych dyalogów.

W Kwietnią Niedzielę, pod bladem niebem wiosennem gromadziły się tłumy wszelakiej publiczności na placu Dominikańskim, gdzie młodzież uniwersytecka miała odegrać całą historyę Męki Pańskiej. Na wzniesionej umyślnie w tym celu estradzie, jawili się istotnie w szatach powłóczystych, Apostołowie ze świetnie przyprawionemi brodami, rzymscy żołnierze, Żydzi w otoczeniu mnóstwa aniołów i dyabłów i postaci symbolicznych przedstawiających Grzechy, Cnoty, Rozpacz, Smutek, Pobożność i. t. p. Wszystko to deklamowało wiersze przez samychże studentów ułożone i odegrywało całe sceny, jak gdyby w teatrze. Taki teatr pobożny trwał w Wielkim Tygodniu, jeśli pogoda sprzyjała, przez parę dni z rzędu, gromadząc zawsze tłumy widzów i nosił nazwę łacińską „*misterium*“.

W taki to sposób żyli, uczyli się i zabawiali słuchacze akademi Jagiellońskiej w owym złotym wieku historyi polskiej, kiedy naród nasz przyświecał całej Europie. I wtedy akademia krakowska liczyła między profesorami swymi mężów, których imiona na zawsze pozostały zapisane w historyi i kształciła uczniów, którzy jej chlubę przynoszą odtąd przez wieki całe.

Alina Świderska.

Na wakacye!

trzeci list Władzia Ostrowskiego.

Najukochańsza Mateczko!

Piszę do Mateczki, ażeby donieść, że się dziś u nas stała okropna historya, bo jeden zemdlał — a to właśnie niedaleko mnie, prawie w tej samej ławce i wszyscyśmy się tak przestraszyli, że to strach. A pan profesor zaczął go trzeźwić wodą i świeżem powietrzem, ale choć otworzył oczy, to taki był blady jak kreda, (ale nie pan profesor, tylko ten Józio). I jeszcze co, niech sobie Mamuńcia wyobrazi: on tak zemdlał z głodu i z tego że w suterenach mieszka, a musi się bardzo dużo uczyć nie tylko sam ale i z drugimi chłopcami, bo daje lekcye takim sztubakom z pierwszej i drugiej normalnej. Nawet nie umiem powiedzieć jak mi o niego przykro! żebym śmiał tobym do Mamusieńki złotej miał małą prośbę, ale się trochę boję, bo to jest taka ogromna rzecz, że nawet nie wiem jak to powiedzieć, żeby się Mamuńcia nie gniewała. Chociaż gniewać, to

się Mamuńcia nie będzie, wiem naprzód, bo Mamuńcia taka dobra — a to złego nic nie jest, tylko trochę trudne — ale żeby Mamuńcia zechciała toby się jak nic zrobiło, a ja bym wszystko się starał ułatwić. Ale muszę zacząć od samego początku; otóż, żeby Mamuńcia wiedziała, że ja już teraz wcale nie mam takiego apetytu, żebym wypijał po trzy szklanki mleka naraz, bo w mieście każdy ma tylko po jednej i ja się już tak przyzwyczaiłem — a gdybym na wsi dostał półtorej tobym miał aż zanadto — a drugie półtorej z mojej porcyi byłoby dla niego w sam raz. Ze spaniem także nie byłoby wielkiego kłopotu, bo mybyśmy się zmieścili i na jednem łóżku — a jak Mamuńcia nie chce, tobym sobie rozesłał na podłodze moje stare futerko (przecież już takie zniszczone) i spałbym znakomicie — a on także mógłby spać na ziemi na moim sienniku, więc nawet łóżko by zostało nieużywane! Co do kolei, to już także wiem: przecie wujcio Jaś mi obiecał, że gdy przywiozę dobre świadectwo, da mi prawdziwego złotego dukata, z którym będę mógł zrobić co sam zechcę, Otóż dukat by pewno wystarczył na bilet dla niego, więc już wszystko byłoby w ten sposób ułożone, tylko o ten jeden powrót, bo na powrót jeszcze nie mam pieniędzy, a on także ani myśleć żeby mógł skąd mieć. Ale do tego powrotu, to przecież jeszcze tyle czasu — całe wakacye! prawda, najdroższa Mamusieczko? Większej radości tobym już nie mógł mieć nigdy w życiu, jak żeby się wszystko tak zrobiło — bo wiem, że on by się okropnie cieszył, a ja go bardzo lubię i tak mi go żal, że ciągle muszę o nim tylko myśleć.

Co do wychowania, to niech się Mamuńcia nie boi, prędzej on się odemnie co niepotrzebnego nauczy nauczy jak ja od niego (n. p. ukręcać guziki przy ubraniu, ale już teraz się odzwyczaiłem, bo tu nie ma kto przyszywać). On jest bardzo grzeczny i taki jakiś, jakby był już całkiem starszy, nigdy żadnego głupstwa nie zrobi. Naturalnie! kiedy już nawet lekcye daje — widać że ma rozum. Ambarasu by przecie żadnego nie robił, bo to nie żaden gość, tylko mój kolega, dla którego nic nie trza. Kasztanka bym mu pożyczał, wiele by tylko chciał; ale on całkiem nie chce, bo powiada: nie umiem jeździć co mi po koniu? — Jemu najwięcej o powietrze — nawet jeść dużo nie potrzebuje, powiada, że apetytu wielkiego nie ma, chociaż zemdlał z głodu, ale to mu się raz jeden tylko przytrafiło — na czczo. Zresztą u nas jedzenia przecie nikomu nie żałują. — Moja Mamusieczko już chyba się Mamuńcia da uprosić, za co rączki i nóżki całuję. Bo ja go teraz tak prawie kocham jak Bułkę — choć on (Bułka) nie dotrzymał całkiem słowa i nie będzie celującym, bo nawet sobie zepsuł parę stopni, ale zawsze on jest mój prawdziwy przyjaciel i to nie jego wina, bo miał rozmaite przeszkody. Moje świadectwo, to będzie pewnie jeszcze lepsze niż w pierwszym kursie — choć nie było złe — ale tembardziej się staram, że o tego dukata tem bardziej mi teraz idzie. Tak się cieszę na wakacye, że nie mogę już wytrzymać — tylko niech Zosia nie bierze się do mego ogródka, bo co mi po kwiatach, ja nasieję owsa dla kasztanka — choć nie dojrzeje to i zielony dobry — prawda?

Całuję ręce najukochańszych Rodziców — Zosię i Janka ściskam — wszystkim domowym się kłaniam zanim sam przyjadę — kupiłem już parę prezentów, Burkowi także chciałbym coś przywieść — tylko nie wiem co, bo on nie nosi kagańca jak tutejsze psy, toby się nie ucieszył.

Ukochany i przywiązany syn
Władysław Ostrowski
za miesiąc uczeń II-ej klasy gimnazyalnej!

Post-scriptum. Bardzo się spieszyłem pisząc ten list i teraz się boję, że może może Mamuńcia nie zrozumie nawet, więc raz jeszcze proszę: Niech Mateczka będzie tak dobra, łaskawa, przyjąć na wakacye mego kolegę Józia Duchniewicza — on jest bardzo biedny i dobry i ja się z nim wszystkiem podzielę — moja złota Mateczko. *Władyś.*

Przypisek Redakcyi: *Zwracamy uwagę naszych kochanych Czytelniczek i Czytelników na treść tego rzewnego choć zabawnego listu! Może tam w niejednej klasie znalazłaby się koleżanka lub kolega tak potrzebujący wyjazdu na wieś, jak Józio?... Bylibyśmy szczęśliwi gdyby przykład Władysia znalazł naśladowców!...*



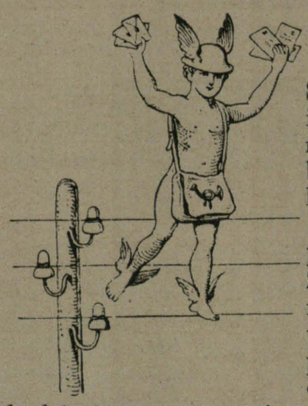

Skrzydlaty listonosz.

Mania, Walercia i Stefa w Olesku. Ileż to, ile takich polskich dzieci, nad których losami płakać by trzeba, jak wyście płakały nad dolą Januszka i Wandzi, w posłanej Wam przez nas książeczce! — Że w Olesku teraz ślicznie nie wątpimy — a czego także pewni jesteśmy, to, że piękno żywej przyrody i duch starych ruin, na które od dzieciństwa patrzycie, złączą się Wam w sercu, w jedną wielką miłość Ziemi ojczystej! — Polka we Lwowie. Fiołki, sady w kwiecie i pieśni, razem z całą czeladzią śpiewane przed ołtarzem majowym: pojmujemy że trudno Ci było wyrwać się z tych czarów i zamienić Sanniki na Lwów! Widać, że pamiętasz iż dawnych „Polek“ przymiotem była nietylko pobożność ale i dzielność charakteru, skoro tak odważnie i stanowczo zabierasz się do poszukiwania zapewniającej niezależność pracy! Całem sercem życzymy Ci powodzenia w tych zabiegach! Twój list nie wydał się nam *„blahy“*, bo owiało nas z niego szczere tchnienie wiosny tak w Sannikach jak w usposobieniu pewnej znanej nam młodej dziewczynki.

Tadeusz Z. w Busku. Twój list po 9-tym numerze doszedł nas za późno, dlatego to w 10-tym nie miałeś odpowiedzi i nie zostałeś wymieniony. — Franio S. we Lwowie. To samo spotkało i Ciebie. —

Anielcia, Wandzia i Julisia S. w Szydłowcach. Za serdeczne życzenia przesyłamy Wam serdeczny uścisk. A czekamy obszerniejszego sprawozdania z pielgrzymki do Rzymu! — Lila T. w Krakowie. Obydwa Twoje listy nas doszły. Ta sama Chwila powrócić nie może — ale te same uczucia święte mogą i powinny Cię przez życie prowadzić: ich Skarbnica zawsze dla Ciebie otwarta! — Herman R. w Czerniowcach. Nie! skoro pytasz o nasze szczere zdanie, to stanowczo tego nie pochwalamy: nie na tem polega szlachetna ambicya, aby koniecznie chcieć przewyższyć drugich, tylko na tem aby zawsze we wszystkiem dążyć do najwyższej, dla sił naszych dostępnej, doskonałości! Zwłaszcza Wy tam, na kresach, nie dopuszczajcie między sobą żadnych rywalizacyi i uraz, boście i tak w mniejszości wśród obcych żywiołów, cóż będzie jeśli się jeszcze między sobą dzielić i różnić będziecie? Cieszymy się że to przygoda Janka Waniewskiego, w naszej powiastce „Koledzy“ nasunęła Ci te myśli i uwagi.

Lola T. w Sanoku. Gdyby Redukcya chciała zawsze wszystkim równie długo odpowiadać, nie zostałoby jej już wcale miejsca ani na powiastki ani na komedyjki — a niewiemy czyby wówczas Czytelnicy byli zadowoleni? Twój list był spóźniony, dla tego nie miałaś odpowiedzi. Zapowiedzianą składką na szkołę w Białej ucieszymy się bardzo. Niezapominajkę w pozłocie otrzymaliśmy ale i złoto jej nie pomogło, bo uschła i poczerniała! niemniej była nam miłą. — Zosia Sz. we Lwowie. Nie mogła uschnąć przysłana przez Ciebie w dzień 15 maja dębowa gałązka — malowana — to też zdobi ona nasz zbiorek kart. Za pamięć, przesyłamy Ci serdeczne uściśnienia i życzenia wzajemne, choć tak spóźnione: — Lisia i Marylka W. we Lwowie. Pierwszą połowę poprzedniego zdania i Wy przyjmijcie dla siebie! A czy to już wyszło ze zwyczaju aby za każdym numerem pisywać długie listy do redakcyi? Szkoda! — Maryni a i Staś M. w Krakowie. Śliczne są te karty waszej własnej roboty! zamawialiśmy więcej na żart, a wyście nam na seryo, całe pół tuzina przysłali! Dziękujemy Wam serdecznie. — Staś D. w Stanisławowie. I Tobie dziękujemy za pamięć.

Uwaga: *Numer dzisiejszy, jako jubileuszowy, ku uczczeniu Wszechnicy Jagiellońskiej, rozszerzyliśmy przez dodanie całych pełnych dwóch stron, w miejsce zwykłego dodatku książkowego — niemniej jest nam w nim jeszcze ciasno: Odpowiadamy tu więc tylko na listy pozostałe bez odpowiedzi, z poprzedniego numeru i ogłaszamy nazwiska wylosowanych tym razem do nagrody za rozwiązanie łamigłówek: zaś reszta korespondencyi i dalszy ciąg powieści „W cieniu Wezuwiusza„ w następnym numerze.*

Do nagrody wylosowani: Tadeusz Zaorski, Stach Stanek i Zonia Dorniakowska.

Wykaz składek: Na szkołę polską w Białej: Dola i Nenio Tillowie, z dobrowolnie nałożonej grzywny za niezamykanie drzwi, 1 kor. 20 h.

Dyrekcya Gimnasyum Polskiego w Cieszynio przysłała dla Czytelników i Czytelniczek „Wieku Młodego“ bardzo serdeczne podziękowanie, za uskładane dotąd przez nich na ręce nasze **60** koron na to Gimnazyum — a Wydział Związku Rodzicielskiego we Lwowie za **20** koron na **Domy Opieki poza szkolnej.**

Łamigłówka zgłoskowa

ułożona dla Stelli St.

Al — ci — leń — o — ta — tysz — je — sos — me — fis — e — pec — zarz — a — ir — na — kar — ryk — py — ła — do — mem — gi — ker.

1. Starożytne miasto egipskie. 2. Rzeka Sybirska. 3. Stolica Hannibala. 4. Cesarz rzymski. 5. Biblijny nędzarz. 6. Góry w Europie, 7. Zwierzę leśne. 8. Przyprawa do mięsa. 9. Imię męskie. 10. Nazwisko rodzinne teraźniejszego papieża.

Początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół dadzą imię, przydomek i nazwisko poety polskiego z XVI. wieku.

Lisia i Maryla Winiarzówny.

Szarada

ułożona dla Dolki T.

Japońska wyspa pierwsze i trzecie.
Owady tworzą drugie z pierwszem w lecie.
Czwarte z piątem miasto, skąd ród swój wywiodła.
Święta niewiasta; imię kwiata miała.
Dwa razy czwarte z pierwszem, niewinności godła.
Drugie z piątem papieża rezydencya stała;
To cel pielgrzymek, stolica chrześcijaństwa.
Całość miasto święte dla nas żydów i pogaństwa.

Lisia, Maryla i Milka Winiarzówny.

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 12. We Lwowie, dnia 15. Czerwca 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Boże Ciało.

POWIASTKA.

Dzień świąteczny zdawał się owiewać jakąś uroczystą powagą wieś Wielkowolę, rozciągającą się u stóp parafialnego kościoła, który na wysokiem wzgórzu położony, świecił zdala białemi ścianami i czerwonym dachem, z pomiędzy zielonych lip i akacyj. Na prawo rozciągnęły się chaty wioskowe, dwoma długimi szeregami poza bitym gościńcem, który białą wstęgą przechodził tuż u stóp kościoła. Od gościńca, droga wysadzana topolami wiodła do dworu bielącego się na tle obszernego, cienistego ogrodu z wielką taflą stawu wśród wierzb płaczących. Plebania kryła się za kościołem.

Wszystko miało dziś pozór odświętny, uroczysty, tylko dom jeden, najbliższy kościelnego wzgórza przy gościńcu, zdawał się nie stanowić harmonii z całą wioską. A taki był miły, czysty, schludny! Niewielki ogródek zasadzony akacyami i kwiatami oddzielał go od drogi; po obydwóch stronach był sad pełen drzew owocowych i warzyw, za nim szaro-zielone żyto niby fale pochylało piękne kłosy ku ziemi. Duża tablica nad gankiem z napisem: „Szkoła ludowa“, oznaczała wyraźnie przeznaczenie tego budynku, owianego teraz jakimś smutkiem i ciszą.

W progu pokazała się młoda kobieta z zapłakanemi oczyma, popatrzyła chwilę na dwóch małych chłopaczków, którzy bawili się pod cieniem jabłoni na trawie i znikła. Potem wyszło na ganek dwoje dzieci: dziewczynka i chłopiec i usiedli na ławce.

Czemuż gdy świat taki piękny, tchnący wszystkimi urokami wiosny, te dzieci takie smutne? Dzień uroczysty, ozłocony jasnymi promieniami słońca, tyle kwiecia i woni dokoła, a oni? Dziewczynka spogląda w dal, oczyma zapuchniętemi od płaczu — chłopczyk oparł głowę na ramieniu siostry, a pierś jego raz po-raz podnosi się westchnieniem, do łkania podobnem. Ach, bo nad głowami tych dwojga zawisło największe nieszczęście jakie dzieci spotkać może: sieroctwo! Ich ojciec, Tatuś ukochany, leży ciężką złożony niemocą, a od wczoraj jest bardzo źle. Ksiądz proboszcz opatrzył go świętymi Sakramentami na drogę wieczności, Mama płakała okropnie i ciągle płacze czuwając dzień i noc przy chorym, który rzuca się i majaczy w gorączce, a dziś od rana leży bez ruchu, bez życia prawie, oddychając tylko z trudnością.

Młodsze dzieci nie rozumieją jeszcze nieszczęścia jakie im grozi. Ale Antosia ma już lat jedenaście, a Władzio choć dopiero dziewiąty rok kończy, ale on taki roztropny! Oni oboje są prawdziwą pociechą i pomocą rodzicom.

Nie spali noc całą płacząc i czuwając nad chorym Ojcem, wyręczali potem Matkę w domowych zajęciach, a teraz kazała im wyjść na świeże powietrze odetchnąć trochę i odpocząć. Biedna matka, trwoży się o dzieci, aby i one nie wpadły w chorobę, a ile razy spojrzy na swoją gromadkę, serce jej się kraje. Co ona pocznie jeśli Pan Bóg ojca im zabierze? Kto dla nich na chleb zapracuje? kto je wychowa, pouczy? Jest ich pięcioro takich drobnych, czyż ona dałaby sobie radę sama jedna?

— Módlcie się, dzieci! proście Boga o zdrowie dla Tatusia — mówi im i płacze.

Jakże więc Antosia i Władek smucić się nie mają? Przytulili się do siebie i siedzą w milczeniu.

Wtem dzwony kościelne zabrzmiały, a dźwięczny ich głos rozległ się daleko, dochodził do chat i dworów. Dziś dzień Bożego Ciała, dzień święty, uroczysty: dzwony zwołują na nieszpór — trzeba uczcić Chrystusa Pana w Jego domu. I schodzą się ludzie: gromadki kobiet w barwnych ubiorach: niebieskich, różowych, zielonych... wiodą z sobą dzieci jasnowłose; idą ciemno

odziani mężczyźni, wszyscy ciągną drogą i ścieżkami ze wszech stron do domu Bożego.

— Pójdźmy do kościoła, powiada Antosia do brata. Zwykle w taką uroczystość, ubierała ich Matka od rana odświętnie i już na sumę oboje rodzice zabierali ich z sobą. Oni tak lubili dni świąteczne! Po obiedzie, przychodziło kilkoro dzieci ogrodnika i ekonoma i bawili się w ptaszka, ślepą babkę, cztery kąty. A czasem szli z rodzicami do lasu zbierać poziomki, grzyby lub wiosenne kwiaty. Tak im dobrze było w tym małym domu pod bokiem kościoła! Czy to w lecie, gdy sala szkolna stała zamknięta i pusta, a zajęcia w polu i ogrodzie zapełniały czas Tatusiowi — czy w zimie gdy wiejskie dzieci napełniały szkołę gwarem i hałasem niby pszczoły w ulu. A teraz tak smutno, tak głucho u nich!

Dziewczynka śpojrzała na dom Boży i powtórzyła:

— Władziu, pójdźmy na nieszpory!

— Dobrze! i weszli do domu, zajrzeli na palcach do pokoju Ojca: leżał ciągle bez przytomności, a Mama siedziała przy nim. Pozwoliła chętnie aby dzieci poszły na nieszpory, więc Antosia dostała braciszkowi odświętne ubrańko, uczesała mu włosy, potem włożyła czystą, perkalową sukienkę a przygładziwszy jasne warkocze, które spadały jej na plecy, narzuciła na nie białą muślinową chusteczkę. Upomniała siostrzyczkę Naścię, która dawała jeść kurczętom w podwórku, aby się cicho i grzecznie zachowała, poleciła opiece służącej braciszków bawiących się w ogrodzie i poszli ująwszy się za ręce.

Kościół napełniony już był ludem po brzegi i wkrótce wyszedł ksiądz staruszek z zakrystyi i rozpoczęło się nabożeństwo. Dzieci uklękły przy kratkach prezbiteryum. Wianki z ziół porozwieszane były po obu stronach ołtarza, przystrojonego zielenią i kwiatami, a woń ich mięszała się z zapachem kadzidła i napełniała cały kościół. Na stopniach pokrytych wzorzystym dywanem klęczało kilku chłopaczków uderzając w małe dzwoneczki. Synowie dziedzica ze dworu nad stawem, w błękitnych bluzkach, i wieśniacze chłopięta w sukmankach, wszyscy w śnieżnych komeżkach, niby aniołki białe, uwijali się około posługi ołtarza. Ksiądz podniósł monstrancyą; słońce wpadające przez okna oświeciło jej złote promienie i srebrne włosy kapłana.

— Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! rozpoczął starzec, a lud chylił kornie czoła do ziemi i w całej świątyni brzmiało wołanie: — Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami! — Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! wtórowały dzieci, ale śpiewać nie mogły dla płaczu. Łzy jak groch spadały z ich oczu na kamienną posadzkę, w głębi serca wołali oboje błagalnie: — O Święty Boże zlituj się nad nami! o Święty! mocny! powróć zdrowie naszemu ojcu! — I zdało się im, że aniołowie biorą na skrzydła wołanie ludu i unoszą do nieba wraz z dymem kadzideł, a z monstrancyi, wśród olśniewających promieni, Jezus wyciąga do nich ręce....

Kapłan zaintonował: „Do Ciebie Panie pokornie wołamy!“

i szedł przez kościół powoli, poważnie, a za nim lud cały wysypał się na zewnątrz wśród dźwięku dzwonów, dymu kadzideł i pobożnych pieni. I jak w Betleemie Chrystus Pan z nieba na ziemię zeszedł, tak teraz zstąpił ze Swych ołtarzy i szedł między ludem Swoim, wśród pól, lasów i łąk; szedł niesiony rękami kapłana i błogosławił wszystko naokół.

Antosia i Władzio czuli obecność i opiekę Zbawcy, a gdy procesya wróciła do kościoła, gdy Bóg-Człowiek podniesiony nad głowami korzącego się tłumu, raz jeszcze pobłogosławił temu ludowi Swemu, wyszli z kościoła, a nadzieja i otucha napełniły ich serca.

— Pan Jezus powróci zdrowie naszemu Tatusiowi, On ulituje się nad nami! szepnęła dziewczynka ściskając rękę brata.

— O tak! On taki dobry!... dodał chłopczyk z przekonaniem uśmiechając się wśród łez, które błyszczały jeszcze w jego oczętach.

— Pójdźmy prędko, rzekła Antosia, może Mamusia nas potrzebuje.

— A może Tatusiowi już lepiej?.... powiedział Władzio.

Jednakowo było! ale dzieci wierzyły, że polepszenie przyjdzie, musi przyjść. Antosia zajęła się gospodarstwem, Władek zmówił pacierz z małymi braciszkami, rozebrał ich, ułożył do snu i siadłszy przy ich łóżeczkach, mówił że trzeba aby byli bardzo grzeczni, żeby Bozia powrócił zdrowie Tatusiowi. I tak sam zasnął oparłszy głowę na poduszce Wojcia.

Antosia chciała czuwać przy Ojcu razem z Mateczką, ale przyszła poczciwa sąsiadka, pani ekonomowa, i nakłoniła do spoczynku strudzoną dziewczynkę, obiecując że i Mama przespi się w fotelu, bo ona zasiądzie przy chorym.

Jasne słońce zalewało pokój swymi promieniami, gdy Antosię zbudziły nazajutrz słowa Naści:

— Mamusiu, czy Tatusiowi już lepiej?

— Trochę lepiej, dzięki Bogu, brzmiała odpowiedź. Antosia zerwała się z łóżka płacząc z radości. Lepiej! czy być może? O jaki Pan Jezus miłosierny! Pobiegła do Władzia.

— Tatuś lepiej! Tatuś wyzdrowieje! wołała, a chłopczyk utrzymując, że wiedział o tem od wczoraj o mało nie oszalał z radości.

Ale dużo czasu upłynęło jeszcze zanim Ojciec zupełnie do zdrowia powrócił. Antosia i Władzio prześcigali się w staraniach około niego, a tacy byli szczęśliwi, tacy wdzięczni Panu Jezusowi!

I gdy nadeszła uroczystość Bożego Ciała, stroili corocznie ołtarze Boże kwiatami z łąk i pól i z najwyższą wdzięcznością wielbili Boga-Człowieka utajonego w Przenajświętszym Sakramencie.

Helena Prendowska.

JEZUS I DZIECI.



O Jezu! przyjm kwiatek z mej dłoni!
To pierwszy z mojego ogródka —
A oto i pierwsza jagódka
Co ledwo do słońca się płoni.

To mało, mój Jezu! tak mało...
Lecz nie mam swojego nic więcej
Prócz serca, co w piersi dziecięcej
Nad wszystko Cię ukochało!

Z. M.

Księga czarodzieja

w Bibliotece Jagiellońskiej.

W bibliotece Jagiellońskiej, znajduje się ciekawa księga, zwana księgą Twardowskiego.

Księga ta przez dwa wieki leżała w kollegium Jagiellońskiem przykuta łańcuchem do pulpitu i przykryta ogromnym kamieniem! O księdze tej tylko tyle wiedziano, że jest napisana przez czarodzieja Twardowskiego i że jej jak ognia strzedz się trzeba, ktobykolwiek bowiem zaglądnął do niej, zaczepiłby piekło. To też przez długie wieki omijano ze strachem księgę czarodzieja. Znane jest ogólnie podanie o Twardowskim. Miał to być szlachcic zawadyaka, który zaprzedał swoją duszę dyabłu, ale za to posługiwał się nim za życia i przy jego pomocy wiele cudów dokonywał. Dyabli to mieli także podyktować Twardowskiemu ową księgę, mającą gubić dusze ludzkie. Gdy nareszcie Twardowski dużo już nabroił na ziemi, a nawet samemu piekłu dokuczył, przyszła chwila, że dyabli upomnieli się o przyobiecaną sobie duszę. Twardowski nie mógł cofnąć danego przyrzeczenia, dyabeł porwał go i już niósł do piekła.

Nieszczęśliwemu stanął teraz dopiero w myśli ogrom popełnionych grzechów, i zapragnął przebłagać Boga, o którym był za życia zapomniał. Podnosi zatem rękę do czoła, aby się przeżegnać, lecz dyabeł uprzedzając myśl jego, chwyta go za rękę i nie dopuszcza do zrobienia znaku krzyża, któryby mógł skruszyć moc szatańską. Twardowski w rozpaczy chce mówić pacierz, lecz nie przypomina sobie ani jednego wyrazu modlitwy. Wreszcie zaczyna nabożnie nucić godzinki do Najświętszej Panny. Ta najlepsza Matka litując się nad duszą zbłąkaną, a żałującą za grzechy popełnione, sprawia, że dyabeł porzuca śpiewającego, który pozostaje zawieszony między ziemią a niebem i tak ma pokutować za grzechy, oczekując sądu ostatecznego. Wierny sługa Twardowskiego, którego tenże za życia zamienił w pająka, nie opuścił swego pana ani na chwilę. Codziennie na wysnutej przez siebie pajęczynie spuszcza się na rynek krakowski, aby posłuchać, co się też

dzieje w kraju; nasłuchawszy się wieści różnorodnych powraca do swego nieszczęśliwego pana, szarpanego wyrzutami sumienia, które najbardziej dręczą go wtedy, gdy jakie złe wieści posłyszy o kraju ojczystym, bowiem za życia nic dla niego nie zrobił, chociaż Bóg obdarzył go niepospolitym rozumem, niepospolitemi zdolnościami.

Historya Twardowskiego przechowuje się od wieków jako podanie, oczywiście zmyślone. Jednakże nawet i w zmyśleniu można się doszukać ziarna prawdy. Otóż prawdą jest, że Twardowski żył za czasów Zygmunta Augusta, że był na swoje czasy bardzo uczony, lecz zdaje się, że swojej wiedzy nie zużytkował dla dobra kraju, ani dla dobra bliźnich, tylko owszem, używał jej aby oszukiwać tłumy ciemne i wyzyskiwać je na swoją korzyść. Dlatego też zostawił po sobie smutną sławę i wyrządził wielką krzywdę prawdziwej nauce, bo ludzie nie umiejący zastanawiać się głębiej, wszystko złe co było w Twardowskim nie jemu samemu, lecz nauce przypisywali. Dlatego też bano się księgi Twardowskiego, jako pokusy wiodącej do wszystkiego złego.

Dopiero na początku tego stulecia uczeni Bandtkie i Muczkowski przypatrzyli się bliżej księdze czarodzieja i oni to wykazali, że nie napisał jej Twardowski, lecz niejaki uczony Paweł Żydek, który urodził się w Pradze w XV. wieku, i przyjął chrzest, pomimo czego jednak nazywano go „żydkiem“. Paweł Żydek był na swoje czasy bardzo uczonym. Kształcił się niejaki czas także i w uniwersytecie krakowskim. Księga napisana przez niego jest encyklopedyą, to jest zawiera w sobie wszystkie wiadomości, jakie człowiek do owego czasu zdobył usilną pracą.

Biblioteka Jagiellońska znajduje się obecnie w bardzo dobrym stanie — niedawno bowiem skończono ją restaurować. Jeszcze na początku tego stulecia, stan jej był rzeczywiście opłakany; ucierpiała bowiem bardzo, tak podczas wojen szwedzkich, jak również podczas rozbioru Polski, a nikt jakoś w tych ciężkich chwilach nie pomyślał o starym gmachu i skarbach wiedzy nagromadzonych tamże przez naddziadów. To też uczony Bandtkie, który na początku tego stulecia objął urząd bibliotekarza w bibliotece Jagiellońskiej zastał tamże — prócz książek, — gnieżdżące się wróble, które przez wypróchniałe belki w sufitach dostawały się do środka gmachu, i na dobre się tu rozgospodarowały. Urzędnicy biblioteki nie wypędzali nieproszonych gości, ci bowiem, wyjadaniem moli gnieżdżących się między książkami, oddawali prawdziwą przysługę bibliotece.

Smutne zaniedbanie biblioteki trwało jednakże niedługo, już bowiem za czasów Bandtkiego odrestaurowano ją częściowo, a gorliwy bibliotekarz zaczął porządkować zbiory książek, będące w niezmiernym nieładzie. Rozpoczętą przez Bandtkiego pracę, dokończyli jego gorliwi i uczeni następcy, którzy o tyle byli od Bandtkiego szczęśliwsi, że doczekali się zupełnego odrestaurowania gmachu, drogiego każdemu polskiemu sercu.

Księgi nagromadzone w bibliotece Jagiellońskiej pochodzą w największej części z darów osób prywatnych, które zapisywały swoje majątki na zakupno ksiąg, zawierających w sobie zdobycze wytrwałej i rozumnej pracy. Często także zdarzało się iż wyjeżdżający za granicę w interesach kościelnych biskupi lub arcybiskupi, przywozili ze sobą drogocenne dzieła dla wzbogacenia niemi biblioteki. Autorowie ofiarowują jej swoje prace. I tak wzrasta coraz w bogactwa, na pożytek i chlubę naszego narodu, prastara książnica w sędziwych murach Jagiellońskich.

M. Śleczkowska.

Kwadrat magiczny.

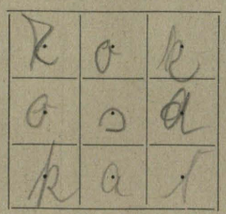

okres czasu

owad

wykonawca wyroku śmierci.

Huculka z nad Prutu.

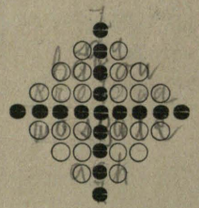

Spółgłoska.
ogród gdzie rosną drzewa owocowe.
służy do zabawy
inaczej monarchini
?
odwieczny wróg Polski
cnota teologiczna
wykrzyknik
spółgłoska.

Pionowy i poziomy rząd dadzą nazwę doradzcy i nauczyciela jednego z królów polskich.

Czarna perełka.

Łamigłówka zgłoskowa.

E — po — he — ar — ró — wie — lód — te — ża — bro — tek — no — lek — nów — le — mis — e — da — tron.

1. Dawna nazwa Greków. 2. Bursztyn. 3. Woda gdy ciepłota jej spadnie poniżej zera. 4. Rzeka uchodząca do morza Śródziemnego. 5. Przemiana księżyca. 6. Siostra Apolina. 7. Płaci się to rządowi. 8. Królowa kwiatów.

Pierwsze i ostatnie litery, przeczytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko autorki, której powiastki często „Wiek“ drukuje.

Zosia Szczepańska.

Wydawczynie i redaktorki: Irena i Zofia Mrozowickie.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 13. We Lwowie, dnia 1. Lipca 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZATWY.

Noc świętojańska.

Bajka łotyska.

Żyło raz dwóch braci, którzy postanowili udać się w świat szeroki, aby tam wypróbować swoje szczęście. Przy rozstaniu się, wbili swe noże w pień olbrzymiej sosny i tak się umówili, że który z nich pierwej wróci, ma wyciągnąć nóż drugiego — jeśli ostrze będzie jasne to znak, że drugi jeszcze żyje. Potem pożegnali się i każdy poszedł swoją drogą.

Młodszy brat przeszedł przez wiele obcych krajów, lecz nigdzie nie znalazł nic nadzwyczajnego, więc smutny powrócił do swej ojczyzny. Przybył wreszcie do sosny, przy której się z bratem pożegnał, wyciągnął nóż i zobaczył ostrze jasne; a więc żył brat jego. Ucieszył się tem ogromnie, przypomniał sobie jak się tu dziećmi nieraz razem bawili i sam sobie się dziwił, że gdzieś chodził szukać szczęścia daleko. Tymczasem już zmrok zapadał, postanowił więc młodzieniec przenocować pod sosną. A była to właśnie noc św. Jana. Spał parę godzin — w tem o północy zbudził go jakiś szelest. Patrzy w górę i widzi stado srok — które z hałasem zlatywały na szczyt sosny. Przez dłuższy czas zdawało się młodzieńcowi, że słyszy tylko niewyraźnie skrzeczenie ptactwa, w tem zdało mu się, że rozumie ich głosy.

— Czy wiecie już siostry, o mojej nowinie? — zawołała jedna ze srok. — Niedaleko stąd na zachód leży duże, piękne miasto, które ma wszystkiego podostatkiem ale wody ani kropli. A tymczasem możnaby łatwo temu zapobiedz. Na polu za miastem stoi ogromna lipa: gdyby kto u stóp tej lipy kopał — natrafiłby na piękne źródełko.

— Tak, tak, tak! zawołała inna, a czy wiecie już siostry o mojej nowinie? Niedaleko od tego miasto na wschód, znajduje się wysoka góra, a w niej skarby różnego rodzaju. Nikt jednak nie umie się do nich dostać. A na to potrzeba tylko w dniu św. Grzegorza przed wschodem słońca, trzy skiby zaorać, wtedy góra sama się otworzy — i wszystkie skarby należą do oracza.

Tak coraz to inne nowinki opowiadały sobie sroki. Potem zaczęły się niepokoić i odleciały.

Młodzieniec pod drzewem zaraz zrozumiał, że to nie mogą być zwykłe sroki, ale że to są czarownice, które w noc św. Jana, wszędy latają i opowiadają sobie różne nowiny. Równo z brzaskiem dnia zerwał się młodzieniec i udał się do miasta o którem opowiadały czarownice. Wkrótce też znalazł się wśród murów i pięknych ulic. Wstąpił do jakiegoś pięknego domu i poprosił o garnuszek wody. — Musisz być pewnie obcym w tem mieście — odpowiedziano mu — skoro nie wiesz o naszej niedoli. Wszystkiego mamy podostatkiem lecz wody ani kropli! — Wtedy udał się młodzieniec na rynek i przemówił do zgromadzonego ludu: „Co mi dacie, gdy wam dostarczę wody“? Panowie radni obiecali mu wysoką nagrodę, poszedł tedy młodzieniec przodem do lipy za miastem, a za nim tłum ludzi. U stóp drzewa kazał kopać. Niedługo też usłyszano szmer płynącej wody. Wtedy młodzieniec porwał kamień i rzucił go w świeżo wykopany dół. Natychmiast wytrysł strumień wody ponad ziemię — poczem coraz więcej wody poczęło wypływać i toczyć swe nurty ku miastu. Zaraz też robotnicy porobili tamy, poczęli szybko kopać rowy — którymi odtąd miała płynąć woda. Ogromna radość zapanowała wśród ludu a szczęśliwego młodzieńca obdarzono hojnie dukatami i wśród wesołych okrzyków oboszono go po ulicach miasta. Aż do wiosny przebywał w tem mieście, poczem postanowił popróbować szczęścia na górze, o której słyszał od drugiej czarownicy. Niedługo przed św. Grzegorzem wziął konia i pług i udał się na poszukiwanie tej góry. Wkrótce też ujrzał przed sobą wysoką górę — podobną do jakiegoś zapadłego zamczyska — obrosłego murawą. Z pierwszym brzaskiem dnia świętego, wyjechał na górę i zaorał trzy skiby. Wtem rozpadła się góra i młodzieniec ujrzał przed sobą ogromną ilość złotych dukatów, srebrnych talarów, pełne worki pereł i drogich kamieni i t. d. Teraz dopiero stał się młodzieniec bogaty jak król, więc kupił sobie dużo wsi, wybudował sobie wielki pałac z olbrzymim ogrodem, miał sto koni i sto sług — słowem żył jak król — i zawsze sobie powtarzał: Czego ja szczęścia szukałem daleko, w obcym świecie, kiedy oto wyśniło mi się ono w naszym lesie, pod ojczystem drzewem!

Razu pewnego jechał w poszóstnej karecie przez wieś, gdy wtem zobaczył jakiegoś biedaka, który prowadził małą szkapinę. Tym biednym podróżnym był jego starszy brat, który na obczyźnie także niczego się nie dorobił, prócz tej szkapiny. Młodzieniec poznawszy brata kazał zatrzymać swój powóz — powitał go radośnie i zapytał:

„Skąd wracasz mój kochany, cóżeś zdobył na obczyźnie?“ Ten wskazał na szkapinę i odrzekł: „Oto wszystko com zyskał“. Zaprosił go tedy młodszy brat do karety a konika kazał słudze zaprowadzić do swej stajni. W karecie opowiadał brat młodszy, jak przed dwoma laty wracał ubogi do domu — jak zasnął pod sosną, jak potem go szmer czarownic zbudził, jak słyszał co czarownice opowiadały i jak mu odtąd wszystko dobrze się wiodło, Starszy brat przysłuchiwał się uwa-

żnie i myślał sobie w duszy: „Jeśli jemu, który o wiele młodszy i głupszy jest odemnie, tak wielkie skarby udało się pozyskać, to mnie starszego i rozumniejszego z pewnością większe spotkają. Muszę mieć jeszcze więcej skarbów niż on“!

Gdy przyjechali do pałacu udał się do stajni i ze wstydu i złości zabił swą szkapinę, a że to właśnie na drugi dzień miało być św. Jana — udał się do lasu, wciąż sobie powtarzając: Otóż i ja muszę być bogatym! bogatszym dziesięć razy od mego brata! Już zmrok zapadał, kiedy przybył pod sosnę, przy której się z bratem rok temu pożegnał — położył się pod nią i czekał — myśląc wciąż z gniewem i zazdrością o bracie. Tymczasem księżyc świecił w całej pełni — jasno-niebieskie, prawie białawe światło oświecało bór. Od czasu do czasu biała chmurka przesłoniła lice księżyca — wtedy pociemniało — lecz gdy chmurka przeszła, znowu bór oblewały potoki cichego światła. Do północy było jeszcze daleko, tymczasem sen coraz bardziej opadał zmęczonego podróżnika, wreszcie nie wiedząc sam nawet kiedy, zasnął. Księżyc ciągle uśmiechał się drwiąco. O północy — jak przed rokiem, nadleciały sroki — plotkarki czarownice — z hałasem usiadły na szczycie sosny i poczęły rozmawiać.

„Wiecież, wiecie siostry, o mojej nowinie?“ skrzeczała jedna „Cośmy tu tamtego roku opowiadały o mieście bez wody i o górze pełnej skarbów — to ktoś podsłuchał i zdradził nas! Dostarczył miastu wody i odkrył skarby a myśmy je straciły. Musimy tedy być bardzo ostrożne i zanim rozmawiać zaczniemy, przeglądnąć tę okolicę — może znowu, kto podsłuchuje?!“

W tem księżyc wyjrzał z za chmur i oświecił polanę i śpiącego pod sosną brata. „A tuś nam zdrajco! tu chciwy człowieku!“ zaskrzeczały nagle sroki. Z przeraźliwym wrzaskiem spuściły się na ziemię i natychmiast całą chmarą uderzywszy na podróżnika, zabiły go.

Taką zyskał nagrodę za chciwość i zazdrość swoją.

B. R.

Co mówią kwiaty.

W polu kwiatków lśni gromada,
Nikt ich pewno nie policzy,
Każdy kwiatek coś powiada
W swojej mowie tajemniczej.

Szepce maczek w górę wzbity
Co to z niego plotą wieńce:
Bądź wesoły pracowity,
Byś makowe miał rumieńce.

Szle konwalia słówka swoje,
Chyląc kwiecie swe srebrzyste:
Miej serduszko dziewczę moje,
Jak me kwiatki białe, czyste.

Dzwonki dzwonią: Dziatwo droga,
Westchnij z duszy jak najszczerzej,
I swe prośby ślij do Boga,
Gdy z kościółka dzwon uderzy.

Polna róża z swej kolei
Mówi: Światu służ najwierniej,
Nie trać wiary i nadziei,
Choć dokoła tyle cierni!

A gdy zmilkną wszystkie kwiaty,
Niezabudka z cicha wspomni:
O miłości dla swej chaty
Nie zapomnij... nie zapomnij...

Or-Ot.

Wakacyjny konkurs z historyi polskiej.



Najlepsze trzy wypracowania objaśniające treść obrazka, zostaną nagrodzone. Termin do dnia 15. września.

Troska Antosia.

Antoś ma ciężką troskę — nie o siebie! — jemu nic nie brakuje: majster dla niego dobry, majstrowa sprawiedliwa, nie ukrzywdzi go nigdy, ani o jedną łyżkę barszczu czy kaszy — chociaż on najmłodszy między chłopakami w warsztacie, i starsi czasem podmawiają na niego, że jemu słusznie by się najmniej patrzyło. — W nocy spać mu wyśmienicie: wióry pod głową pachną — terminatorzy chrapią na około — i każdy może się, jak król, wyciągnąć na długim stole

warsztatowym, których aż kilka w przestronej stolarni stoi, miejsca dla nikogo nie braknie! Stolarstwo tak ciężkiem rzemiosłem nie jest, przynajmniej Antosiowi dotąd nie dokuczyło; prawda, że z samym heblem, piłą i śródwagą nie dużo ma jeszcze do czynienia, za to klej gotuje w garnuszku, czyści dane do odnowy meble, wyciera je pomeksem, czasem już nawet podkleja utrącone rogi i nóżki — a już najwięcej własnemi nogami majstrować musi, uganiając dzień cały po rozmaitych posyłkach, to po gwoździe i śrubki do sklepu, to po szelak dla majstra, to dla starszego czeladnika po piwo i kiełbasę, to wreszcie roznosząc po domach różne drobniejsze naprawki i zamówienia. Na ulicach roją się ludzie, za oknami wystaw sklepowych błyszczą śliczne rzeczy. Zimą wprawdzie mróz szczypie w uszy i smali źle zakryte piersi, za to w lecie słońce aż razi blaskiem, każdy powiew wiatru przynosi od Wałów i miejskiego ogrodu zapach lip kwitnących, a wróble ćwierkają, skaczą gromadkami po ulicy i zrywają się ledwo z pod samych nóg przechodniom. Antoś biegł zwykle także w podskokach, gwiżdżąc na całe gardło — wesoło mu było na świecie; chyba, że niósł z roboty jaką cenniejszą ramkę lub etażerkę, wtedy już krok musiał zwalniać i iść ostrożnie — chociaż gwizdać, to mógł i z ramą!

W niedzielę i święta chodził do matki na Zacerkiewną ulicę, i majstrowa pozwalała mu zazwyczaj nabierać w fartuch najbielszych i najdłuższych wiórów, z których siostra jego, Rózia, takie śliczne podstawki i koszyczki ścienne w szkole wyplatać się nauczyła.

Ach, ta Rózia — Różyczka, jak ją swoi wołali — ona to była ową troską Antosia.... Już jej teraz daleko do prawdziwej różyczki, jaką buzia jej była przed dwoma trzema laty! Coś jej się stało, że się w oczach mieniła dziewczyna: chorowała na kur — ej, dawno już temu! lat parę, ale od tej pory do zdrowia już jakoś nie przyszła! Doktor jeszcze wtedy zaraz mówił, że z nią ciężka rzecz, jak choroba jaka przystąpi, bo ma skrofuły. — Antoś nie wiedział dobrze co to takiego, ale choć nie wiedział, to się i tak martwił, bo zawsze to było coś złego, a on swoją Różyczkę tak kochał!

Matka często płakiwała teraz w nocy i po zarankach. Antoś, przychodząc w niedzielę poznawał, że powieki ma od płaczu czerwone — ale i jakże tu nie płakać, kiedy doktor kazał codzień dawać Rózi mięso na obiad i trzymać ją w suchem, widnem pomieszkaniu, a tu nieraz dla braku drzewa, raz na dwa dni gotowały się kartofle a o mięsie ledwie pamiętano, że jest na świecie. Mieszkanie ciemne być musiało, jak zawsze w suterenach, a suche też być nie mogło, choćby dlatego, że nie sama wdowa po Mateuszu w niem mieszkała, ale jeszcze dwie inne obce kobiety, także praczki i z dziećmi, w każdym kącie osób kilkoro, toć już z samego prania w trzech baliach tyle było zawsze pary i zaduchu, aż małe szybki okienka wciąż wodą płynęły.

Całą zimę biedowała matka Antosia jak mogła; Rózia z jesieni chodziła nawet jeszcze pilnie do szkoły; mimo całej biedy, mimo że się uczyła z pożyczanych książek, była zawsze celującą uczenicą — aż trzeba nieszczęścia, że jej się coś na oczy przyrzuciło! Puchły i puchły, tak że już ani czytać, ani roboty robić nie mogła. Jakoś koło Wielkiej Nocy już nawet do szkoły chodzić przestała. Powiedziała jej Pani, żeby do doktora poszła koniecznie, do okulisty, i żeby cały dzień siedziała na dworze.

Matka nie miała czasu — wyprosił się Antoś majstrowi i poszedł z Rózią sam do doktora.

Pan M., lekarz od oczu, poczciwy człowiek i wziąć nic nie chciał i opatrzył, krople swoje jakieś sam zapuścił — aż paliło jak ogniem w powiekach — ale głową coś bardzo trząsł i mruczał do siebie, że nie dobrze. Przychodzić co dzień kazał, i co dzień tak oczy zapuszczał, aż nareszcie, jakoś będzie w maju, powiedział raz Antosiowi te słowa: „Chłopcze! z siostrą twoją źle będzie! ja oczy jej leczę jak umiem, ale to nie wiele pomoże, nie w oczach przyczyna jej choroby, tylko w braku całemi latami powietrza, światła, odpowiedniego pożywienia! Twoja siostra ma strasznie rozwinięte *skrofuły!*“

I znowu to samo, dziwne, obce słowo! Antosia mróz przeszedł, chociaż i tym razem nie zrozumiał wyraźnie.

— Słyszysz, powtórzył doktor, skrofuły jej uderzyły na oczy i prędzej, czy później oślepnąć musi, jeżeli się na skrofuły nie wyleczy. Poszlijcie ją do Rymanowa.

Antoś stał jak ogłuszony piorunem. — Oślepnąć! A kto będzie matce pomagał w każdej robocie? Kto będzie przynosił celujące świadectwa ze szkoły i czytał im na głos w niedzielę i święta takie ładne historye, jakie ona zawsze czytała. — Ona co była do książki taka ciekawa, nie to, co Antoś, któremu tak dziwnie ciężko szło z drukowanem! Oślepnąć? o Boże? Antosiowi przypomniał się stary żebrak pod Jezuickim kościołem, który zawsze wyciągał rękę, z cichym, jednostajnym szeptem: „Świata Bożego nie widzę! Świata Bożego, ludzie!“ Żadne zaklęcia ani błagania o litość nie wydawały się Antosiowi tak przejmujące i bolesne jak owa cicha skarga — byłoż to doprawdy możliwe, aby i oczy jego Różyczki tak mogły się zamknąć na świat Boży?! — *Skrofuły?!* jakieś straszne, dzikie słowo! — a doktor powiedział, że przez skrofuły siostra jego oślepnie.

„Poszlijcie ją koniecznie do Rymanowa — kilka tygodni, może by ją jeszcze mogło ocalić“ — pan M. przez próg jeszcze wołał te słowa za odchodzącymi dziećmi, a Antosiowi było w sercu tak jakoś zimno, jakby mu kto we środek kawałek lodu włożył!.. — Rymanów? Co to za Rymanów? i jak Rózię tam posłać? oto była zagadka, którą nadaremnie się silił rozwiązać. Ułożyli oboje między sobą, że matce nie powtórzą strasznej groźby doktora. — Biedne matczysko!

i tak ma dosyć troski, po co ją jeszcze gnębić? gdy to — co się stać musi i tak się stanie. — Rózia łkała po cichutku, przy tych słowach, nie śmiąc tego strasznego „to“ nawet nazwać po imieniu — ale Antoś zaczął ją ściskać, całować, przysięgać jej, że to nieprawda, że „tego“ nigdy nie będzie i być nie może. — — Poślemy cię do Rymanowa — doktor powiedział, że ci to pomoże — nie płacz! łzy ci poszkodzą! ja sam cię poszlę — zobaczysz, powtarzał wśród pocałunków, sam w duszy nie wierząc, aby mógł spełnić, co obiecywał.

Odtąd można go było często widzieć jak godzinami całymi, we wszystkich chwilach wolnych, łamał sobie głowę nad tem, jakby tu znaleść sposób wypełnienia porady lekarza? Już ani wiórów nie przynosił, ani z nich nie wyplatał koszyczków — rzadko nawet w ogóle zaglądał teraz do domu, bo ile razy spojrzał na obrzękłą twarzyczkę Rózi, zaraz zdawało mu się czegoś, że w uchu słyszy głos starego żebraka: „Świata Bożego nie widzę — ludzie! Świata Bożego...“ i taki płacz go dusił w gardle, że musiał uciekać co prędzej, aby się przed matką nie zdradzić.

Aż raz nareszcie, teraz niedawno już, w czerwcu, stał sobie Antoś oparty o ścianę przy drzwiach stolarni — głowę zwiesił, jak teraz często zwykł był czynić, i znowu po raz setny w tej kędzierzawej głowinie rozważał, gdzie to ten Rymanów i jakby tam wysłać Różkę — gdy w tem uwagę jego zwrócił duży, czerwonymi literami drukowany afisz, który posługacz właśnie przylepiał na przeciwległym murze. „Festyn! w niedzielę wielki festyn w miejskim ogrodzie: na kolonię leczniczą w Rymanowie“.

Antoś poskoczył i w jednej chwili znalazł się po drugiej stronie ulicy — przesylabizował z wysileniem cały afisz od góry do dołu: „Na kolonią leczniczą“ więc w Rymanowie doprawdy leczyli? i była tam kolonia. Teraz Antoś przypomniał już sobie, co nieraz przedtem już słyszał, nie zwracając uwagi, póki go to nie obchodziło — że dobrzy ludzie takie właśnie biedne dzieci, słabe jak jego Rózia, wysyłają na całe lato do kąpiel, do tych co pomagają, w Rymanowie, i że to się nazywa „kolonią“. Więc lekarz to miał na myśli, gdy mówił: wyszlijcie Rózię? i ona jeszcze może doprawdy być uratowaną?

Biednemu chłopcu wydało się, że same niebo zesłało mu tę odpowiedź i tę nadzieję w jego trosce.

Teraz już nie zwlekając ani minuty, pobiegł do matki i wszystko jej powiedział. — Matka słyszała już także nieraz o koloniach, wiedziała, że tam biorą te dzieci, które ze szkoły poleci Dyrekcya, że zasługują, a lekarz powie, że trzeba.

Antoś zaczął matkę po rękach całować, żeby w tej chwili szła do szkoły, do kancelacyi prosić pana Dyrektora. — Biednej matce nie trzeba było tego dwa razy powtarzać — ona już oddawna macierzyńskiem sercem przeczuwała, że cierpienie Rózi było groźne, chociaż teraz, wobec wydanego wyroku wydało jej się, że po raz pierwszy to straszne widmo przedstawiło się jej myśli — ale Bóg przecież nie dopuści!

Bóg — i dobrzy ludzie!... Dyrekcya szkoły nie może nie polecić Rózi — ona tak się zawsze odznaczała nauką i zachowaniem.

Matka szła, biegnąc prawie — zdawało jej się, że każda minuta stanowi o światłości oczu jej dziecka.

Tam, w domu, Antoś został na progu, w bramie, serce biło mu jak młotem — ledwo matka poszła, on już wypatrywał oczy w ulicę, czy nie wraca? Rózi nic jeszcze nie powiedzieli, o co chodzi, żeby ją dopiero pewną nowiną ucieszyć...

Niestety! nie tak jeszcze zaraz miała przyjść owa dobra nowina, a nawet, kto wie, czy w tym roku zawita ona do wilgotnej izdebki, gdzie Rózię tak kochają! U p. Dyrektora dowiedziała się matka, że dzieci tak samo potrzebujących ratunku czy pod grozą kalectwa, czy innej jakiej ciężkiej niemocy, jest wiele, bardzo wiele! Więcej daleko niż zebrane dotąd ze składek dobroczynnych pieniądze utrzymać pozwolą — że liczba miejsc w kolonii jest ograniczona i że z tej szkoły było tylko miejsce na jedną dziewczynkę. — Rózi na razie w szkole nie było, zgłosiła się inna kandydatka; nieszczęśliwe dziecko zagrożone zgarbaceniem — i tę już przyjęto. W obec strasznego żalu matki Rózi i przez przychylność dla uczenicy, która sobie wszystkich serca jednała, p. Dyrektor przyrzekł święcie, że jeśli tylko rosnące wciąż składki pozwolą na przyjęcie jeszcze jednej dziewczynki w tym roku, to Rózia najpierw zostanie poleconą.

— Jeżeli składki na tyle urosną! — a jeśli nie? jeżeli dobrzy ludzie nie pospieszą się z przysyłaniem pieniędzy... no? to co?! co się stanie?

W sercu Antosia wciąż echem się powtarza beznadziejnie smutny głos starego żebraka: „Świata Bożego nie widzę! ludzie, świata Bożego!“...

. . . . . .

Z. M.

Łamigłówka.

Wiusz — dy — ron — szów — tran — we — chód — py — la — al — ron — a — smith — zu — ne — mo — rze — tyst — sa — me — a.

1. Lekarstwo. 2. Miasto w Galicyi. 3. Drogi kamień. 4. Cesarz rzymski. 5. Wynalazek tego wieku. 6. Wulkan w Europie. 7. Roślina. 8. Góry w Europie. 9. Miasto w południowej Afryce.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą nazwę kraju w Afryce.

Marynusia Tyszkiewiczówna.

Zagadka

Znajdziesz mnie w trawie, lecz nigdy w stawie,
Szukaj mnie w raku a nie w ślimaku.

Z.

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 14. We Lwowie, dnia 15. Lipca 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Co kochać?

Co masz kochać? pytasz dziecię,
Co dla serca jest drogiego?
Kochaj Boga, bo na świecie
Nic nie stało się bez niego.

Kochaj Ojca, Matkę twoją,
Módl się za nich codzień zrana
Bo przy tobie oni stoją
Niby straż od Boga dana.

Do Ojczyzny, po rodzinie,
Wzbudź najczystszy żar miłości:
Tuś się zrodził w tej krainie
I tu złożysz swoje kości.

W czyjem sercu miłość tleje,
A nie toczy go zgnilizna
W tego duszy wciąż jaśnieje
Bóg, rodzina i Ojczyzna!

Władysław Bełza.

Uwaga: *Wierszyk ten, wyjęty jest z prześlicznej malutkiej książeczki, p. t.* ***„Katechizm polskiego dziecka“*** *zawierającej 12-cie takich wierszyków, ktore każdo dziecko polskie na pamięć umieć powinno. Książeczka ta wyszła świeżo we Lwowie i jest do nabycia w każdej księgarni.*

Na letniem mieszkaniu.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Komedyjka może być graną na świeżem powietrzu pod ścianą domu).

OSOBY: Władzio — Mańcia — Wandzia (rodzeństwo, dzieci, które przyjechały z miasta na „letnie mieszkanie“) — Kasia — Franek (dzieci gajowego) Abramek — mały przekupień.

(Rzecz dzieje się przed chatą gajowego, otoczoną drzewami, pod któremi stoją dwie proste ławki i stół. Z boku widać las).

SCENA I.

Kasia (sama. Siedzi na ławce i obiera kartofle, które bierze ze stojącego na ziemi koszyka, a obrane kładzie do szafliczka z wodą. Spiewa:)

Ejże dana! moja dana!
Spiewam wesoło od rana!

(mówi): Od rana? ej nie! dopierom ze trzy razy zaśpiewała, a tu słonko już tak nizko. Trzeba się spieszyć z tymi kartoflami, bo się nie ugotują na wieczerzę.

SCENA II.

Władek, Mańcia, Wandzia (wbiegają od strony lasu).

Wandzia. Dobry wieczór Kasiu. Widzisz, przyszliśmy znowu do was w odwiedziny!

Władek. A gdzie to Franek?

Kasia. Poszedł z konewką po wodę. Ino go patrzeć od studni.

Mańcia. Jak ty prędko skrobiesz kartofle! To musi być bardzo przyjemna robota; i taka łatwa!

Kasia. Tak się to zdaje panienko.

Mańcia. Pozwól mi spróbować czy potrafię! Pożycz mi scyzoryka Władku!

Władek. O! Mańcia tylko łatwą robotę lubi; to rzecz dowiedziona. (podaje jej scyzoryk, siadają na ławkach).

Mańcia. A Władek żadnej, to więcej jak pewne.

Wandzia. Już się sprzeczacie! Mamusia tak tego nie lubi....

Kasia. Bo pewnie, że to niepięknie o byle co się swarzyć.

Mańcia. (trochę zawstydzona) Mogę skrobać kartofle?

Kasia. Ej, do czego to podobne? Taka gruba robota nie dla panienki.

Mańcia. Ale cóż to szkodzi. Nasz tatuś mówi, że kto ma zdrowe ręce do każdej roboty wziąść się może. (Bierze kartofel i niezgrabnie, wolno, grubo obrzyna go scyzorykiem).

SCENA III.

Ciż sami i FRANEK wchodzi z konewką wody.

Władzio. A! otóż i Franek! Ależ się zmęczyłeś tą wodą!

Franek (stawiając konewkę). Co się tam miałem zmęczyć! (obciera pot z czoła).

Kasia. Do studni kawał drogi, to się trochę źdźwigał, ale do męki to tam jeszcze daleko!

Franek (spoglądając na Mańcię). Hi, hi, hi! jak to panienka skrobie kartofle! hi, hi, hi, hi!

Kasia. Dałbyś pokój ze śmiechem! Panienka nie zwyczajna takiej roboty!

Władek. Jak ona zabawnie obraca ten kartofel! jeden dopiero obrała, a Kasia już ze sześć przez ten czas.

Mańcia. Bo się wszyscy na mnie patrzycie to mi się ręce trzęsą.

Kasia. Na dzisiaj już będzie panienko — więcej nie trza skrobać, bo nie zjemy. (zbiera łupiny w koszyk i wynosi je, jak również i kartofle — dziewczynki pomagają jej).

Franek. Dobrze że panicze przyśli. Tak wesoło jak panicze do nas zajrzą!

Władzio. I nam też wesoło i przyjemnie u was. To też mama zawsze nam pozwala tu zabiegać. A gdzie wasza matka?

Franek. Matusia? nie wrócili jeszcze z nieszporów z Marysią, a Tomek bydło pasie.

Kasia (wnosi miskę kwaśnego mleka, za nią Mańcia i Wandzia niosą chleb razowy i drewniane łyżki). Matusia prosili pięknie, żeby panicze pozwolili kwaśnego mleka z chlebem jak przyjdą do nas.

Władzio. I owszem! Ale w drugą niedzielę musicie wy przyjść do nas na podwieczorek.

Kasia (stawia mleko i chleb na stole — Mańcia każdemu podaje łyżkę).

Franek. Panienka toby się tu u nas wprędce naszej roboty wyuczyła.

Kasia. Pewnie że prędzej niż my na książce. Niech państwo jedzą, prosimy! (Wszyscy siadają, biorą łyżki, Kasia kraje chleb, jedzą).

Władek. Jak to ładnie jeść z jednej miski!

Mańcia. Jakie wyborne mleko! co za chleb!

Wandzia. A w zimie, co wy tu robicie po całych dniach?

Kasia. Znajdzie się zawsze robota w domu koło krów, trzody, kur. Matusia i Marysia przędą, a i ja już nieźle umiem.

Władek. A czytać nie lubicie?

Franek. O, pewnie! ale my z Tomkiem to nie umiemy jeszcze dobrze czytać, a Kasia, choć już czyta gładko, i nieraz posłuchalibyśmy jej, ale książki nijakiej niema.

Mańcia (ciszej do brata). Władziu! możebyśmy poprosili Mamusi, aby pozwoliła dać im niektóre z naszych książek?....

Władek. Ach dobrze! (Głośno do dzieci). Będziecie mieli książki na zimę, bo my wam damy trochę z naszych.

Wandzia. Władzio i Mańcia mają dużo książek, a ja już pięć.

Kasia. Bóg zapłać paniczom! To dopiero będziemy czytali jak przyjdzie zima!

SCENA IV.

Ciż sami, ABRAMEK.

(wchodzi z płóciennym workiem na ramieniu).

Abramek (woła). Nici! igłów! śpilków! zabawki! grzebieniów!

Franek. Abramek przyszedł z towarami!

Mańcia. Czy będziecie co kupować?

Kasia. Gdzie zaś! Matusia toby może kupili nici albo igieł, ale ich niema.

Franek. A i mówili, że dziś pieniędzy nie mają.

Abramek (spostrzegłszy pańskie dzieci, zdejmuje czapkę i kłania się). Padam do nóg wielmożnych paniczów! Może panicze co kupią? Ja mam bardzo pięknych rzeczów.

Wandzia. Władziu masz pieniądze? kupmy co dla nich. (ciągnie brata za rękaw).

Władek (żartobliwie), No, panie Abramek cóż ty za towary masz w tym worku?

Abramek. Co ino wielmożne państwo zapragną. U mnie wszystkiego dostanie. Ja zaraz będę pokazać! (kładzie worek na ławce).

Kasia. Sprzątnę ze stołu to będzie gdzie towar rozłożyć. (zabierają wraz z Frankiem co jest na stole i wnoszą do chaty. Abramek tymczasem rozwiązuje swój worek).

Abramek. Bez urazy wielmożnych paniczów! Co państwo tu robią z temi dżeczaki gajowego?

Mańcia. Jakto co robimy? Jedliśmy z niemi podwieczorek, a teraz będziemy się bawić.

Abramek. Z takie chłopy? chamy?

(C. d. n.)



Na letniem mieszkaniu!

Białe kozy.

Powiastka.

Kocia i Ludka mieszkały w bardzo bliskiem sąsiedztwie Halinki — widywały się często i bardzo lubiły, a tego lata Halinka przyjeżdżała nawet codzień na kilka godzin, ażeby razem z Ludką brać lekcye od jej cioci. Kocia o parę lat młodsza, uczyła się jeszcze niewiele.

Dotąd Halinka pobierała nauki w domu, przy nauczycielce, pannie Maryi, razem z młodszym braciszkiem Tadziem. Ale gdy Tadzio zdał egzamin do szkół publicznych i miał do nich jechać po wakacyach wraz z Witoldem i Jankiem — starszymi braćmi, którzy uczęszczali już do gimnazyum od lat paru — wyjechała panna Marya do innego domu, a Halinka rozpoczęła naukę razem z Ludką.

Gdy czas był pogodny, nie przysyłano wieczorem koni po Halinkę, lecz Ludka i Kocia odprowadzały ją z ciocią bliższą drogą przez pola. Ścieżka przerzynała łany srebrzystego żyta i złoto-żółtej pszenicy, wśród których dziewczynki chowały się zupełnie, biegnąc na wyścigi. Czasami zrywały bławaty i splatały z nich wieńce, albo pensowe maki na bukiety. Śliczna była ta ścieżka, która wychodziła na obszerne łąki i kończyła się przy ogrodzie rodziców Halinki.

Pewnego razu, przy końcu wakacyi, dziewczynka przyjechała na lekcyą niezwykle ożywiona i uradowana.

— Ah Ludko, Kociu, żebyście wiedziały jaki podarek dostałam od chrzestnej matki! zawołała po przywitaniu.

— Cóż to takiego? spytały obydwie siostrzyczki zaciekawione.

— Zgadnijcie!

— Może kanarka w pięknej klatce?...

— Albo książkę...

— Nie, nie! coś tak niezwykłego, że nie zgadlybyście nigdy!

— To powiedz nam lepiej sama, Halinko.

— Wczoraj wieczorem przysłała mi moja chrzestna matka maleńki, prawdziwy powozik, zaprzężony w parę ślicznych, białych kóz!

— Doprawdy? i kozy ciągną ten powozik? — oczka obu dziewczynek zabłysły ciekawością i zajęciem.

— A ciągną. One już do tego przyuczone i tak obłaskawione, że przybiegają na głos i z ręki jedzą.

— Jakaś ty szczęśliwa Halinko, że masz takie miłe zwierzątka! Czy próbowałaś już jeździć niemi?

— Próbowałam. Wstaliśmy dziś raniutko, Tadzio zaprzągł kozy i jeździliśmy nimi po ogrodzie.

— Czemuż do nas nie przyjechałaś tym zaprzęgiem? spytała Kocia.

— Chciałam, ale Tatko powiedział, że to za daleko dla kóz, zmęczyłyby się zanadto.

— To one nie mogą chodzić pół milki?

— A nie. Ale bliżej koło domu ciągną wózek doskonale. Odprowadźcie mię dziś po lekcyach, to się najeździcie dowoli tym ślicznym wózeczkiem. Cały jest lakierowany i wybity szafirowem suknem!

— Poprosimy Mamusi i Cioci abyśmy mogły pójść z tobą. Jaka dobra twoja chrzestna matka, Halinko, że ci taki piękny podarunek zrobiła.

— O tak! moja chrzestna matka jest bardzo dobra i daje mi wiele pięknych rzeczy. Jest bardzo bogata. Chciała nawet abym się u niej chowała, jakby jej córeczka, ale moi rodzice nie zgodzili się na to — rzekła Halinka.

— A ty żałujesz tego? spytała Ludka.

— Cóż znowu! opuścić Mamę, Tatka, braci? za nic, za nic w świecie bym tego nigdy nie chciała! zawołała żywo Halinka.

Ciocia zawołała dziewczynki na lekcyę, ale trzeba przyznać, że białe kózki z wózeczkiem sprawiły tego dnia obu panienkom trochę roztargnienia w nauce. Ku wielkiemu ich żalowi wieczorem zachmurzyło się bardzo i Ludka z Kocią nie mogły odprowadzić towarzyszki, która odjechała przysłanymi końmi, a tak byłyby chciały dziś zaraz zobaczyć kozy! Nazajutrz za to, że to była niedziela, dziewczynki pojechały z Ciocią na całe popołudnie do Halinki.

Białe kozy zajmowały dzieci wyłącznie; po kolei jeździły niemi na około dziedzińca z Tadziem, który powoził, dopóki kozy się nie zmęczyły. Wówczas pasły je dzieci świeżą trawą między owocowemi drzewami.

— Trzeba ich dobrze pilnować, powiedziała Halinka, bo kozy lubą obgryzać korę z drzew, popsułyby młode wiśnie i jabłonki w ogrodzie.

— Szkoda jednak, że one nie są silniejsze, że nie możesz przyjeżdżać niemi na lekcye, zauważyła Ludka.

— I że nie możemy usiąść wszystkie trzy razem w wózeczku, dodała Kocia.

— A szkoda, potwierdziła Halinka. Tatko powiada, że ten powozik z kozami to tylko zabawka niezbyt pożyteczna, bo kozy nie są stworzone do zaprzęgu i ciągnienia ciężarów.

— Więc one nie są pożyteczne? spytała Kocia.

— Przeciwnie, odezwał się Witold, uczeń piątej klasy, który nadchodził właśnie z Jankiem i słyszał rozmowę dziewczynek. Kozy są pożytecznemi zwierzętami dla ubogich ludzi, bo dają mleko, wprawdzie zimne i niezbyt smaczne ale będące zdrowem pożywieniem. A same są w jedzeniu bardzo niewybredne; jedzą różne odpadki, obierzyny z kartofli, korę z drzew, suchą trawę, pomyje i t. p. Dlatego też trzymają je mieszkańcy górskich, nieurodzajnych okolic i wieśniacy zagranicą; u nas zaś zwykle ubodzy żydzi w małych miasteczkach.

— A czemu u nas nie trzymają ich wieśniacy? spytał Tadzio.

— Bo zwykle mogą trzymać krowy, których mleko jest nieporównanie smaczniejsze i pożyteczniejsze, a tem, coby jadły kozy, wolą karmić prosięta. Kozie mięso jada się także, choć ma być niesmaczne.

— No, dosyć już tego wykładu z zoologii, którym znudziłeś panienki, przerwał Janek.

— O wcale nie! zaprzeczyła Ludka. Ja chciałabym dowiedzieć się jeszcze, czy z wełny naszych kóz dadzą się prząść nici na jakie wyroby. O kozach kaszmirskich i tybetańskich, których cienka wełna, służy na najpiękniejsze, najdelikatniejsze materyały wiem dobrze.

— Wełnę naszych kóz strzygą i przędą niekiedy, ale jest twarda i krótka, nie na wiele się przyda.

— To zupełnie co innego jak wełna z owiec, choć owce do tej samej rodziny należą, nieprawdaż? rzekła Halka.

— A tak, potwierdził starszy brat. Są to także przeżuwające dwukopytowe....

— No, kiedyż tam skończysz, molu książkowy? przerwał roztrzepany Janek. Ja właśnie zaprzągłem naszą Siwkę do małej bryczki, aby się panny przekonały jak się to jeździ koniem, tem zwierzęciem z przyrodzenia do pociągu i dźwigania ciężarów przeznaczonem.

— I powieziesz nas w pole, wszystkie trzy? dobrze, dobrze Janeczku! zawołała Halinka.

— I Tadzio wsiądzie także, a może i Witold.... pomieścimy się, zapraszał uprzejmie Janek.

(C. d. n.).

Łamigłówka zgłoskowa.

Ben — no — cza — eu — ski — na — so — trud — an — sza — inn — bez — fi — no — bę — tyk — rzyń — be — rew — pka — al — kal — bi — gi — a.

1. Poeta polski żyjący w XVI. wieku. 2. Wyspa grecka. 3. Bawią się tem mali chłopcy. 4. Nazwa jakiejś starej rzeczy. 5. Miasto w Galicyi. 6. Jeżeli coś nie jest łatwo zrobić, to się tak mówi. 7. Dopływ Dunaju. 8. Imię żeńskie w 5-tym przypadku. 9. Rzeka polska. 10. Owoce południowe. 11. Odwrócona nazwa przykrycia głowy. 12. Kwiat wiosenny.

Litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół dadzą imiona i nazwisko poety i satyryka polskiego z XVI. w. *S. K.*

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 15. We Lwowie, dnia 1. Sierpnia 1900. Rok VIII.

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Na letniem mieszkaniu.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Komedyjka może być graną na świeżem powietrzu pod ścianą domu).

(Dokończenie.)

Mańcia. Fe! któż słyszał wiejskie dzieci tak nazywać?

Władzio. Nie przezywaj ich! bo cię stąd wyrzucimy razem z twoim towarem! (przystępuje groźnie do niego).

Abramek (cofa się nieco przerażony). Aj waj! co ja takiego powiedżał? to uni nie chamy?

Władek. Wcale nie! Oni są wieśniacy, a jak im będziesz ubliżał, to cię naprawdę wyrzucimy.

Abramek (cofa się). Ny, ny! uny już nie chamy jeno wieśniaki. Ja bardzo szanuję te wieśniaki! (Dzieci się śmieją).

Władek. Więc pokazuj swoje towary! (Kasia i Franek wracają). (Żydek rozwija paczki, dzieci go otaczają i przyglądają się).

Franek. Ho, ho! I koziki ma takie porządne!

Kasia. I grzebienie i wstążki!

Abramek. U mnie bardzo rarytne towar! Może wielmożne państwo potrzebują sznurka do bąka, może wstążek dla laleczkę, taszemki, może...

Wandzia. Mnie potrzeba grzebyka do czesania lalki.

Abramek. Jest, jest! fein grzebyków! (pokazuje).

Mańcia. Może masz małe śpileczki dla lalek?

Abramek. Małe nie mam. Ale ich można zrobić z duże. Tu mam przednie śpilki, echt karlsbadzkie.

Władek (śmieje się). W Pacanowie wyrabiane.

Abramek. Nie, nie! Ja z Pacanowa żidek, a tam żadnych fabryków od śpilków niema.

Władek (oglądając kozik). Ilebyś chciał Abramek za ten kozik?

Abramek. Niedrogo, dwadzieścia groszy.

Kasia. Co? co? Matusia taki sam za sześć kupili.

Abramek. Ny, ny! niech go panicz tylko weźmie, już my się pogodżymy.

Władek. A chciałeś mnie tak zedrzeć — to nieładnie, mój panie kupiec.

Abramek. Aj, aj! a od czego handel jest — czasem trzeba zarobić.

Władek. Ja biorę dwa koziki po siedm groszy. Chcesz?

Abramek. No cóż robić? bierz pan! (Władek wyjmuje woreczek z drobnemi z kieszeni i płaci, potem podaje jeden kozik Frankowi). To dla ciebie.

Franek (zdziwiony). Dla mnie?

Władzio. No tak, bierz go, a ty Abramku pokaż wstążki. (Franek dziękuje uradowany, Władzio wybiera ponsową wstążkę. Mówi). Ile chcesz za tę?

Abramek. Za tę kosztowną wstążkę? tę jedwabną wstążkę? tę piękną wstążkę? Una kosztuje całe dwa złote.

Mańcia. Dwa złote? co znowu? Chyba 20 groszy.

Abramek. Nie, nie! nie mogę! niech będzie choć 25 groszy.

Władek. No masz! Ta wstążka będzie dla Kasi do warkocza.

Kasia. E! nie trzeba paniczu tak się dla nas szkodować. Nawet matusia będą gadali.

Władek. Już ja przeproszę matusię. (do Abramka): A teraz sprzątnij swój rarytny towar, bo się będziemy bawić.

Wańdzia. Może i ty zagrasz z nami w ciuciubabkę? Abramku!

Abramek (cofa się). Nie! nie! ja nie umiem! ja nie umiem!

Mańcia. To nie potrzeba umieć — będziesz się tylko gonił z nami.

Abramek. Gonić?... aj, aj! ja nie mogę — ja bardzo delikatny żidek — mnie zaraz coś koło serca przepikuje.

Władek. Ej, coby ci tam było! cały dzień przecie chodzisz z towarami i nic ci nie szkodzi.

Wandzia. Kiedy Abramek taki niegrzeczny, to na drugi raz nic u niego nie kupimy.

Kasia. Bawże się kiedy państwo chcą.

Abramek (z rezygnacyą). Ny, tak troszeczkę... pomaleńku... (składa szybko drobiazgi do worka).

Mańcia. Więc zaczynajmy! Władzio będzie ciuciubabką na początek. (Wyjmuje chustkę z kieszeni i zawiązuje bratu oczy. Wyprowadza go na środek i mówi). Raz, dwa, trzy! Uciekajmy!

(Wszyscy biegają dokoła, wskakując często na ławki lub chowając się za stół. Władek ugania się szczególniej za Abramkiem i łapie go w końcu).

Dzieci (klaszcząc w ręce). Brawo! teraz Abramek będzie ciuciubabką!

Abramek (płaczliwie). Aj, aj! takie gonitwe, takie ogromne gonitwe! ja ledwie dycham — jeszcze trochę to zaraz będę umierać — a kto mój towar do domu zaniesie?

Władek (puszczając go). No, to idźżeż sobie kiedyś taki nieznośny.

(Abramek prędko zawiązuje worek, dzieci tymczasem bawią się dalej, zawiązawszy oczy Frankowi).

Abramek (sięga ręką do kieszeni i zaczyna krzyczeć). Aj, aj! gewalt, rozbój! gdzie moje pieniądze? ja ich miał w kieszeni, a ja ich już teraz nie mam.

Franek (ściągając chustkę z oczu). Czego krzyczysz Abramku? przecie ci nikt nie wziął twoich pieniędzy.

Abramek (płaczliwie). Co to nie wziął? na co ich kto miał brać, ja ich i tak już niemam! U mnie się w kieszeni dziura zrobiła — niedawno — z parę kilka dni — oni pewnie przez tę dziurę wylecieli.

Kasia. A czemuż nosisz dziurawe kieszenie (wszystkie dzieci jak również Abramek chodzą po scenie, szukając na ziemi pieniędzy).

Abramek. A jaj, czemu? a kto mnie ich ma zaszyć? moja matka niewidoma, ona całkiem nie widzi nic, a moje siostrzyczki małe — a ja cały dzień tylko biegam od wsiów do wsiów, żeby co sprzedać, kiedy ja mam szyć? Mnie szkoda czasu. A dziś ja i czas stracił (coraz płaczliwiej) i pieniędzy stracił, a wszystko przez te gonitwe, co mnie panicze kazali robić, żeby się wyśmiać z biednego żydka.

Wandzia. Nie, my nie chcieliśmy się z ciebie wyśmiać, my tylko tak dla zabawy.

Mańcia. Prawda, że całkiem niepotrzebna była taka zabawa.

Władzio. No, cóż robić, już się stało. Mój Abramku chętnie bym ci wynagrodził twoją szkodę, ale dziś już nie mam ani grosza przy duszy; przyjdź jutro tam do nas, do tego domku pod lasem; pytaj się o tych państwa co przyjechali z Warszawy na letnie mieszkanie; mama ci pewnie wróci zgubione pieniądze i nie będziesz miał żadnej straty.

Abramek (kłaniając się). Dziękuję pokornie paniczowi, ale ja i tak będę miał stratę, ja będę miał z tego przypadku wielki smutek, wielkie przykrość: ja się tak cieszył, że ja dziś zarobił parę groszy, że ja będę mógł kupować trochę mleka dla mojej babki na dziś i na jutro rano, a tak ona będzie miała tylko chleb suchy z cebulą — a ona już taka stara jest, że całkiem suchego chleba jeść nie może — a jak nasza stara babka nic nie je, to nam wszystkim jest smutno a jak mamy dla niej trochę mleka to nam wszystkim jest wesoło.

Mańcia (rozczulona). Poczciwy Abramek jak on kocha swoją babkę.

Abramek. Aj, co to za dziw! a ktoby swoje babke nie kochał? Czy wielmożne panicze nie mają stare babkę?

Wandzia. Mamy, mamy, i także bardzo ją kochamy.

Władek. Ach cóż to za nieszczęśliwy był pomysł z tą ciuciubabką!

Kasia. Ja bym ci zaraz Abramku dała naszego mleka — żebyś tylko wziął.

Abramek. Nie, dziękuję — babka waszego mleka nie będzie pić — to u nas nie wolno. Ja już muszę iść — choć mnie bardzo ciężko odejść z moją stratą.

Franek (który przez cały czas wciąż szukał pochylony ku ziemi, podnosi się nagle z okrzykiem tryumfu). Są, są pieniądze! zadeptały się w ziemię pod ławką — masz Abramku (podnosi pieniądze i podaje mu).

Abramek (z radością). Aj, aj! są moje pieniądze! to jest dla mnie wielka radość — żeby ty Franek zawsze zdrów był za to, że ty ich znalazł!

Władek. A wszystkie się znalazły?

Abramek (rachując). Są wszystkie, co do grosza. Teraz ja już będę iść do domu z wielkim pospiechem.

Mańcia. Dobrze — a przyjdź jeszcze kiedy to może znowu co utargujesz.

Wandzia. Ale cię już do biegania zmuszać nie będziemy.

Abramek. Dobrze, dobrze — ja wiem, państwo tylko tak raz, przez żart. (zabiera swój worek na plecy). Dobranoc, wielmożne panicze, dobranoc kochane włościany (odchodzi).

Dzieci. Dobranoc, dobranoc.

SCENA V.

Ciż sami, prócz Abramka.

Mańcia. Poczciwy jakiś ten żydek; śmiesznie mówi po polsku, ale taki się zdaje przywiązany do swojej rodziny.

Kasia. U Izraelitów proszę panienki zawsze starsi są w wielkiem poszanowaniu.

Władzio. Wprawdzie chciał nas trochę zedrzeć na swoich rarytnych towarach — ale on może nawet nie wie, że to nieuczciwie.

Mańcia. Pewnie, że się nad tem nie zastanawia — nikt mu tego nie powiedział, nie wytłumaczył.

Wandzia. Ale szkoda, że nam zabrał tyle czasu. Tak małośmy się bawili, a teraz już pora wracać, bo bo słońce zachodzi.

Franek. My państwa odprowadzimy choć do kładki.

Władzio. Dobrze, dobrze; a po drodze spiewajmy.

Mańcia. Spiewajmy: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“, bo to wszyscy umiemy.

(Zaczynają spiewać — chłopcy zdejmują z głowy kapelusze; potem dzieci ujmują się za ręce i spiewając oddalają się powoli w głąb sceny).

Zasłona spada.

Helena Prendowska.



„Wszystkie nasze dzienne sprawy“.

Próżne gniazdko.



W ciasnem gniazdku na drzewie
Cała ptasząt rodzina
Z pieśnią do snu się kładzie,
Pieśnią dzionek zaczyna.
Sercom ludzkim na radość,
Panu Bogu na chwałę,
Leją ptasząt gardziołka
Takie pieśni wspaniałe.
Lecz, niestety! pod drzewem
Stanął kotek, niecnota,
Podniósł uszka do góry —
„O, to dla mnie robota!“
I już grzbiet swój najeżył,
Już się skoczyć gotuje,
Tylko w sercu się biedzi,
Że nic głodu nie czuje.
Nie wiedział że na drzewie,
Tyle ptasząt zastanie,
To też był już w spiżarni
Dobre zjadł tam śniadanie.
„A możeby na jutro
Polowanie odłożyć?
Teraz lepiej się w słońcu
Spać wygodnie położyć.
Wszakże ptaszki do jutra
Nie uciekną z gniazdeczka,
Gdzie je ciepłem skrzydełkiem
Tuli tkliwa mateczka....“
I oddala się z cicha
Jak to kotki umieją.
A nazajutrz powraca,
Z dobrą w sercu nadzieją.
Prosto sunie na drzewo —
Lecz daremne staranie:
Nie czekały ptaszęta
Tu na ciebie, mój panie!
Próżne stoi gniazdeczko
Po spiewaczej rodzinie!
Ją skrzydełka uniosły
Ku cieplejszej krainie.
Może właśnie tej nocy
Był aniołek tu z nieba
Matkę ostrzegł cichutko,
Że odlecieć potrzeba.
O, bo Pan Bóg tam w górze
I o ptaszkach pamięta:
Jego moc to i litość
Ocaliły pisklęta.
I nad tobą, dziecino,
Czuwa anioł stróż Boży,
Każdą chmurkę odgania,
Nim serduszko ci strwoży.
On cię we dnie i w nocy
Tuli swojem staraniem,
Więc mu dziękuj modlitwą
Jako ptaszki spiewaniem.

Irena Mr.

Białe kozy.

Powiastka.

(Dokończenie).

— Ja już wolę zostać; byłoby za ciężko, nawet na tak dobrego konia jak Siwka.

— Jużto przyznać muszę, że wolę konie bez porównania od najpiękniejszych kóz, nawet kaszmirskich, odezwał się Tadzio.

— I ja! potwierdził Janek.

— Zapędźmy kozy do stajenki, aby nie poobgryzały drzew, przypomniała Ludka i całe towarzystwo zaganiało je żywo, a w chwilę potem wiózł Janek panienki i brata w pole, poczciwą Siwką, którą posiadali obydwa z Tadziem na wspólkę.

Wszystko kończy się na tym świecie, a co miłe i dobre, przemija najprędzej. Skończyły się wakacye i chłopcy odjechali do szkół, Halinka została sama i bardzo było jej smutno. Rozrywała ją tylko nauka i towarzystwo Ludki i Koci. Ponieważ niewiele miała czasu na zajmowanie się kózkami, mały Wicek, który pastuchowi pomagał paść krowy, miał o nich staranie i zaprzęgał czasem do wózeczka, gdy dziewczynka chciała się przejechać; powozić nauczyła się sama. Jednak choć mało miała dla nich czasu, codzień zabiegała choć na chwilę do swoich ulubienic i pilnowała troskliwie aby miały dość jeść i wszelkie wygody. Uznawała słuszność uwag Tatki, że jeżdżenie kozami to tylko zabawka, niezbyt pożyteczna, lubiła jednak bardzo te białe zwierzątka brodate, o śpiczastych rogach — i cieszyła się niemi zawsze jednakowo.

Pewnego dnia w jesieni, gdy Wicek przyniósł siana dla kóz, zauważyła Halinka, że ma oczy zaczerwienione od płaczu.

— Co tobie Wicuś? spytała, czy masz jakie zmartwienie?

Za całą odpowiedź, chłopiec wybuchnął płaczem.

— Co ci jest? powiedz, może cię kto wybił? pytała dobrotliwie.

— Nie panienko, ale nasza krowa.... Szlochanie nie pozwoliło mu mówić więcej.

— Cóż się stało z waszą krową?

— *Zmizerowała* się wczoraj. Matusia tak płaczą! Co oni poczną bez krowy? co będą jeść?

Halinka wiedziała, że wieśniacy używają wyrażenia: „zmizerowało“ się, gdy bydle padnie. Wiedziała też, że matka Wicka była wdową po węglarzu, który

zajmował się wypalaniem węgli drzewnych w pobliskim lesie. Zeszłej jesieni pomagał ludziom przy ścinaniu sosny, a ta upadła tak nieszczęśliwie, że mu przygniotła nogi, wskutek czego zmarł po kilkutygodniowych cierpieniach. Biedna Antkowa, została z siedmiorgiem dzieci, z których najmłodsze liczyło ledwie parę miesięcy, bez żadnych środków do życia. Ojciec Halinki dał jej chatkę pod lasem na mieszkanie, przeznaczył parę korcy zboża rocznie i drzewa na opał, a Wicusia wziął do służby; najstarszą dziewczynkę zaś wzięła do dziecka żona ekonoma. Niemniej strata krowy była dla biednej kobiety klęską prawdziwą. Czemże tu wyżywić takie drobne dzieciny, których pięcioro jeszcze w domu jej zostało? Cóż ona mogła zarobić, gdy trzeba było pilnować ich, nosić i karmić najmłodsze maleństwo?

Halinka myślała o tem wracając do domu ze smutnie spuszczoną główką, uspokoiwszy jak mógła małego Wicka, któremu mówiła, płacząc z nim potrochu, że Pan Bóg jest taki dobry, taki miłosierny, iż On z pewnością nie zapomni o jego braciach i siostrzyczkach, wspomoże i pocieszy matkę. Tylko trzeba Mu ufać, pracować, a nie oddawać się rozpaczy.

— Tak, o tak! miłosierdzie Boże nie ma granic, Pan Jezus natchnie z pewnością kogoś, aby wynagrodził stratę biednej biednej kobiety, ale kogo? myślała dziewczynka przygotowując książki do nauki.

— Na co czekać na kogo innego: ja sprzedam swój wózeczek i kozy i kupię za to krowę matce Wicka! przyszło jej do głowy i ożywiona tym zamiarem, zaledwo mogła doczekać się końca lekcyi, tak pilno jej było prosić o pozwolenie rodziców. Nie zwierzała się towarzyszkom, nie wiedząc czy oni pozwolą.

Zaledwie wysiadła z bryczki wróciwszy do domu, pobiegła do Mamy i prosiła o pozwolenie na sprzedaż kóz.

— Zamiar twój jest bardzo dobry moje dziecko, powiedziała Mama. Ale chodzi o to, że chrzestnej matce przykro byłoby, gdybyś się pozbyła jej podarunku.

— Już ja ją uproszę i przeproszę! Przecież Antkowej daleko potrzebniejsza krowa jak mnie ten wózek. Kózki bardzo lubię, ale ja nawet jestem już za duża na taką zabawkę.

— Masz słuszność Halinko, ale nie trzeba obrażać chrzestnej matki za jej dobre chęci.

— Ona się nie będzie gniewać! Napiszę do niej i będę tak prosić! tak prosić! dobrze Mamusiu?

— Zapytajmy, co Tatko na to powie.

Tatko pochwalił zamiar dziewczynki. Od początku myślał on w duszy, że te kozy, które tylko fantazya ludzka przyuczyła do ciągnienia wózka, nie są wcale potrzebne jego córce. Nie odzywał się jednak, nie chcąc sprawić przykrości chrzestnej matce Halinki, której odmówił oddania dziewczynki na wychowanie, jak ona pragnęła dawno.

Chrzestna matka Halinki, była to przyjaciółka i towarzyszka z pensyi jej matki. Mieszkała zupełnie sama w wielkim pałacu, otoczonym prześlicznym parkiem i była bardzo bogata. Kochała niezmiernie małą córeczkę koleżanki, którą do chrztu trzymała, obsypywała ją pieszczotami, podarunkami, zabierała często na parę tygodni do siebie i kilkakrotnie prosiła usilnie rodziców, aby ją jej zupełnie oddali, obiecując dać dziecku jak najstaranniejsze wychowanie i kiedyś zapisać cały majątek. Halinka, pomimo, że w pięknym pałacu dogadzano jej we wszystkiem, tęskniła tam i z radością wracała do domu, do rodziców.

Gdy ostatni raz chrzestna matka nalegała o oddanie jej dziewczynki, była ona już dość dużą aby sama to rozumieć i tak się bała żeby Ojciec i Mamusia nie zgodzili się na to! Nie lubiła nawet wówczas chrzestnej matki, pragnęła aby sobie odjechała jak najprędzej. Aż raz, gdy leżąc w łóżeczku cichutko płakała, nadszedł Tatko, wziął ją na ręce, uściskał i uspokoił.

— Nie oddamy nikomu naszej dziewczynki; wychowamy ją sami przy Bożej pomocy — nieprawdaż? zwrócił się do Mamusi, która ucałowała ją także ze łzami w oczach.

Parę lat upłynęło od tej pory; chrzestna matka wyperswadowała sobie swoje gorące pragnienie i przed rokiem wzięła owdowiałą cioteczną siostrę z czworgiem dzieci do swego obszernego pałacu. Tatko mówił, że tak jest najwłaściwiej, a Halinka kochała znów teraz serdecznie chrzestną matkę i była zupełnie szczęśliwa w starym, nizkim domu rodzinnym z rodzicami i braćmi.

— „Kochana moja chrzestna Matko! — pisała teraz — „Mam wielką, ale to wielką prośbę do Mateczki, (tak ją „zawsze nazywała), ale proszę się na mnie nie gniewać „o to, o co poproszę. Mateczka wie, że śliczny wóze„czek i białe kozy od Matki, niezmierną zrobiły mi przy„jemność, ale wdowie Antkowej daleko potrzebniejsza „jest krowa na miejsce tej, którą straciła, niż mnie ta „piękna zabawka. Czy droga Mateczka pozwoli mi sprze„dać swój podarek i kupić za to krowę? Czy nie będzie „się na mnie gniewać? Mnie to taką sprawi przyjemność!... „będzie to nowy, najmilszy podarek od ukochanej Matki, „którą ściskam i całuję stokrotnie". *Halinka.*

Z najwyższą niecierpliwością oczekiwała odpowiedzi na swój liścik. Przyszła niebawem przyzwalająca na spełnienie życzenia Halinki: Białe kozy z wózeczkiem kupił jakiś pan dla swojego synka, który przeszedł ciężką chorobę i chodzić nie mógł. Na tymże jarmarku, sam Tatko nabył za te pieniądze dużą, piękną krowę, a Halinka podarowała ją z radością Antkowej. *Helena Prendowska.*

Zagadka geograficzna.

Na *L* stoi nad Brzegiem Bystrzycy
Na *D* swojem, zwą go Irlandczycy.

Wydawczynie i redaktorki: Irena i Zofia Mrozowickie.

Z Drukarni „Słowa Polskiego", pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 16. We Lwowie, dnia 15. Sierpnia 1900. Rok VIII.

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Z wakacyi.

List Władzia Ostrowskiego do kolegi przezwanego w szkole „Bułką".

Brzezinka, dnia 1. sierpnia 1900 r.

Kochany Bułka!

Chciałem dawno do Ciebie napisać, ale nie pisałem bo strasznie teraz niemam czasu. Dzisiaj deszcz pada więc mi łatwiej, ale myślę, że na niedzielę nie będzie, bo mamy jechać na majówkę, z podwieczorkiem, to by było bardzo źle. — Czy Ty jesteś zdrów i dobrze się bawisz? bo ja tak się bawię jak nigdy, tylko mi strasznie żal, że te wakacye tak prędko mijają. Józik, co przyjechał ze mną, także żałuje i powiada żeby się chętnie na cały rok tutaj został, tylko że mu smutno za matką i rodzeństwem a także trochę za szkołą, bo on chce być doktorem. Ja nie — bo co mi tam doktór! całe życie koło chorego siedzieć tobym nawet nie wytrzymał. Kiedyś tu Zosia była chora na gardło i głowę, więc nam nie pozwolili bardzo hałasować po domu — przez jeden dzień tylko, przecież — a i tak było ciężko. Ja będę tak jak Tatko gospodarzem — chociaż Tatko bardzo się martwi teraz, że deszcze przeszkadzają do żniw, ale może nim ja dorosnę, to już tak nie będzie. Napisz mi koniecznie, kochany Bułka, czem ty chcesz być i co lepsze podług Ciebie: doktór czy gospodarz? Tylko napisz o tem jak najprędzej, bo my z Józikiem bardzo Twego listu czekamy i kłócimy się codzień, kto ma większą słuszność.

Oprócz tego jednego, że trochę uparty, to Józik bardzo dobry chłopiec — a żebyś wiedział jak mu wszystko u nas smakuje! a najbardziej kwaśne mleko i owoce. Z początku chciałem, żeby on jadł po połowie moje porcye, żeby rodzicom nie robić większego wydatku, bo u nas zły rok. Ale Mama powiedziała, że tyle co dla Józika to się zawsze znajdzie i że jedna porcya, za mało na dwóch studentów. I pewnie byłoby za mało, bo obaj strasznie dużo jemy. Mnie już przybyło półtora kila, a tak rosnę, że mnie z pewnością po wakacyach nie poznasz. Na Józiku mniej znać, bo Mama powiada, że on strasznie zamizerowany.

Żebyś wiedział, co mam obiecane! napiszę Ci, ale pod wielkim sekretem, daj mi słowo honoru, że nikomu nie powtórzysz. Otóż Rodzice obiecali, że na przyszły rok jeśli będę się równie dobrze uczył, będę mógł tak samo zaprosić do nas na wakacye Józika albo innego biednego kolegę — i tak przez całe życie, dopóki gimnazyum nie skończę. Okropnie się na to cieszę, bo i Józikowi przyjemnie (jego zawsze będę zapraszał, żeby mu przykro nie było) i mnie przecież co innego z kolegą aniżeli bez nikogo. Wprawdzie są tu Janek i Zosia, ale jej nie liczę, bo dziewczyna — a Janek choć do zabawy uszedłby, ale jeszcze nawet nie jest w gimnazyum, więc niema co z nim gadać. Zresztą i na Zosię nie chcę narzekać, bo dobra i już się z lalkami przestała nosić po wszystkich pokojach, gdy jej powiedziałem, że studenci tego nie lubią. Przygotowała też razem z Jankiem na mój przyjazd rozmaite przyjemności — a największa to: króliki. Jest ich aż dziewięć, białe i popielate. Chowają się w stajni i wszystkie są moje. Bardzo się niemi cieszę, bo takie mają czerwone, ładne oczka, a nogami tupią jak człowiek. Jeśli chcesz mogę Ci jednego podarować — będzie Twój własny, tylko będzie się tu chował, bo koleją bałbym się wieść, żeby nie uciekł. Wybiorę Ci popielatego z białemi uszkami, bo takie najładniejsze. Mój Bułka, weź i napisz mi czy jesteś kontent?

Co najciekawsze, o kasztanku, to schowałem na koniec. Kasztanek już jest sfotografowany — przychodził tu raz wędrowny fotograf i Mama kazała go sfotografować na niespodziankę dla mnie. Doskonale się udał — lepiej niż Zosia i Janek — tylko ogona nie ma, bo właśnie wtenczas nim ruszył. Bardzo poczciwy koń — po dziedzińcu chodzi za mną jak pies.

Kochany Bułka! odpisz mi, proszę Cię, na to wszystko, a także czy Ty i na wakacyach jesz tyle bułek co w szkole na przerwie? Zosia i Janek nie chcieli wierzyć, gdy im mówiłem — ale przecież to prawda. Zresztą oni nie mają o szkole najmniejszego pojęcia, więc wszystkiemu się dziwią. Już mnie ręka zbolała od pisania — bardzo mi tęskno za Tobą i chciałbym Cię zobaczyć, ale żeby jeszcze potem były wakacye. Ściskam Cię serdecznie

Twój do grobu wierny przyjaciel

Władysław Ostrowski
uczeń II. klasy gimnazyalnej.

Jak się Ciocia bawiła.

„Ciociu! Ciociu! My nie wiemy jak się bawić!" wołały pewnego dnia dzieci, Zdziś i Hala, do swojej Cioci, u której dłuższy czas przebywały. — Bońcia mówi że niema teraz czasu, bo ma pilną robotę, a same w ciuciu babkę bawić się nie możemy — rzekł Zdziś płaczliwym głosem.

— To bawcie się inaczej — odrzekła na to Ciocia.

— Kiedy gry spiewane to nudne, a zabawki już nam się sprzykrzyły i popsuły!

Widać, że za dużo macie zabawek kiedy wam się przykrzą — rzekła Ciocia — myśmy będąc dziećmi nie mieli tyle zabawek, a nigdyśmy się nie nudzili!

— To pewnie się bońcia zawsze z Ciocią bawiła, i my jak się bawimy z bońcią, to się nie nudzimy.

— Nie moje dzieci — odrzekła Ciocia — myśmy nawet nie mieli takiej młodej bońci jak wy, któraby się z nami bawiła, ale może dlatego właśnie umieliśmy się bawić sami.

— To proszę nam opowiedzieć jak to było! — zawołały dzieci, które bardzo lubiły słuchać różnych opowiadań Cioci, a ponieważ zbliżała się szara godzina, więc zasiadły na małej kanapce obok Cioci, która tak mówić zaczęła:

— Było nas troje rodzeństwa, (to jest wasza Mamusia, Wujcio i Ciocia) i nie mieliśmy młodej bońci jak wy, tylko starszą osobę, panią Błażejowską, która bardzo dzieci lubiła, ale pilnowała ich tylko, a bawić się z niemi nie umiała. Później mieliśmy francuzkę ale także starszą osobę, więc przywykliśmy bawić się sami w rozmaite gry, któreśmy wymyślali, a zawsze bardzo zgodnie.

Bawiliśmy się naprzykład w tę bajeczkę którą znacie: o wilku, kozie i koźlątku, co to mamy swej usłuchało, i wilka do stajenki nie wpuściło; albo zakładaliśmy sklep: Ciocia była zwykle kupcową żydówką i w swoim sklepie miała rozmaite towary, a Mamusia i Wujcio przychodzili kupować, i płacili papierowymi pieniędzmi, które pierwej przygotowaliśmy sobie.

— Nu, to nie drogo — mówiła kupcowa — to rarytny towar, u mnie największe państwo zawsze kupują, proszę tylko spróbować! — Kiedy zły gatunek — odpowiadała pani, i targowała się z kupcową. — Pan przymierzał buciki — jedne były za ciasne, drugie za obszerne, a kupcowa tłumaczyła, że „przyjdą do nogi".

Ulubiona jednak zabawa nasza była w *Jasia*. Jaś był to niby taki chłopczyk, który miał swoją mamusię i nianię, i rozmaite miewał przygody. Ze stołeczków i poduszek budowaliśmy niby dom i pokój gdzie mieszkał ten Jaś; czasem znowu zaprzęgaliśmy krzesła zamiast koni, i jechaliśmy z Jasiem z wizytą do państwa Kartofleskich. Takich państwa nie znaliśmy w rzeczywistości, ale wyobrażaliśmy sobie, że mają dużo dzieci, każde z nich nazywaliśmy po imieniu, jedne z nich były grzeczne, drugie niegrzeczne, i tak chociaż nas były tylko troje, bawiliśmy się jak gdyby było wiele osób. Zabawa ta nie kończyła się jednego dnia, ale trwała całymi miesiącami. Razu pewnego, Jaś niby zachorował: przyjechał doktor, opukał, zapisał rozmaite lekarstwa — między innemi puszek z bodiaków! więc przez kilka dni chodząc na spacer z francuską, zbieraliśmy skrzętnie puszek z rosnących przy drodze bodiaków. Potem polecił doktor wyjechać z *Jasiem* do kąpiel, wskutek tego nowa ciekawa zabawa: W ogrodzie (a było to w jesieni) wybraliśmy jedno miejsce gdzie drzewa obok siebie rosły, i nazwaliśmy to miejscem kąpielowem. Obok było małe zagłębienie, gdzie zgarnęliśmy liście spadające z drzew, i to były łazienki. W tych suchych liściach kąpaliśmy się niby, i wiele nam to przyjemności sprawiało.

Dziś nie potrafiłabym już opowiedzieć całej zabawy w *Jasia* zresztą za długo by to trwało, ale spróbujcie bawić się podobnie: t. j. tak, aby wasze własne główki przy zabawie pracowały, wymyślały coś sobie i urządzały, bez koniecznej pomocy starszych — bo to nie sztuka jeżeli „bońcia" zawsze urządza wam zabawy — zobaczycie dopiero jaką taka własna „wymyślona" zabawa robi przyjemność! — Jeżeli wam dobrze pójdzie, to wam znów kiedyś o moich dziecinnych latach więcej opowiem. *M. U.*

Laseczka wróżki.

— Być może iż zginęła na poczcie — mówił ojciec.

— Być może, iż listonosz oddał ją innej jakiej małej dziewczynce — odezwał się starszy brat Józio.

— Być może, rozbiła się na drobne kawałki — przekomarzał się braciszek Fredzio.

— Wszystko „być może", „być może"! — powtarzała z płaczem mała Witunia. Tak cieszyła się na tę nową lalkę, którą jej babunia jako wiązanie na imieniny przysyłała, a tu lalki dotąd niema!

— Znajdzie się może jeszcze, pocieszała matka.

— Oczekujemy jej z pewnością — zapewniał Fredzio.

— Musiała powędrować do kraju, zgubionych zabawek? — wtrącił Józio.

— Gdzie to ten kraj zgubionych zabawek? — dowiadywała się Witunia.

— Zapytaj o to wróżki — odparł starszy brat, a zabrawszy książki i kajety, poszedł odbrabiać lekcye.

— Wy zaś — rzekła matka do młodszych dzieci — możecie się przejść teraz i zabawić trochę.

— Chodź, siostrzyczko! — zawołał Fredzio, i wziąwszy się za ręce, wyszli oboje.

— Takbym chciała wiedzieć, gdzie ten kraj „zgubionych zabawek" — mówiła Witunia, idąc przez ogród. — Gdybyśmy jaką wróżkę spotkać mogli! Józio powiedział, że od niej się tego dowiem.

Dochodzili właśnie do furtki ogrodowej, którą Fredzio otworzył.

— Gdzie my idziemy? — zagadnęła Witunia.

— Szukać wróżek — szepnął tajemniczo braciszek. — Niania mówiła, że one o północy, przy księżycu tańcują pod drzewami, a w dzień odpoczywają, kryjąc się niby pod parasolem, w cieniu dużych łopianów.

— Skąd niania wiedzieć może, gdzie wróżki tańczą, czy je kiedy widziała?

— Musiała chyba widzieć, bo mi opowiadała wczoraj, jak wyglądają cudowne laseczki wróżek. Gdybyśmy choć taką laseczkę znaleść mogli!

— Nie chodźmy tędy! — zawołała naraz dziewczynka, zatrzymując brata — przejdźmy lepiej po

drugiej stronie parkanu. Tam na polu pasie się duży baran z rogami; nie zbliżajmy się do niego!

— Co mi tam baran zrobić może, ja go się wcale nie boję — dowodził odważny Fredzio. — Widzisz — odezwał się po chwili — tam coś białego leży pod drzewem; może to właśnie laseczka, o której mówiła niania. Ale tam też ktoś siedzi.

— Jakaś stara babka. — To ona pewnie jest wróżką — zauważył chłopczyk — chodźmy ją zapytać.

— Kiedy ja się boję — mówiła Witunia.

— Eh! głupstwo! ktoby się bał starej babuli. Jeśli nie chcesz, pójdę sam i rozmówię się z nią.

Ale chociaż Fredzio udawał zucha, gdy posłyszał starą żebraczkę, mruczącą coś pod nosem, zląkł się i ukrył za krzakiem. Nabrał dopiero odwagi kiedy zobaczył, że staruszka zarzuciwszy węzełek na plecy, odeszła wolnym krokiem z pod drzewa.

Po chwili chłopczyk z wesołym okrzykiem pochwycił jakiś przedmiot leżący na ziemi.

— Co to jest? — zapytała siostrzyczka, która zaraz ciekawie przybiegła.

— Patrz, wśród tych wielkich mucharów, leżała biała laseczka, zapewne jest to laska czarodziejska; teraz będziemy mogli otrzymać wszystko czego zapragniemy. I rzekłszy to, zawrócił w pole.

— Czyż nie widzisz, jak ten straszny baran rogi nadstawia — wołała Witunia.

— Chodź śmiało; nic nam się złego nie stanie. Zobaczysz, jak baran będzie pokorny, skoro tylko zobaczy naszą laseczkę.

Potem trzymając zawsze w ręku drogocenny kijek, szedł prosto na spotkanie barana; ten jakiś czas stał nieruchomie, jakby słuchał co Fredzio mówił, potem głośno zabeczał, zawrócił i uciekł w pole.

— Hurrah! — zawołał Fredzio uradowany. — A teraz wracajmy do domu i zabierzmy z sobą laseczkę. Od niej dowiemy się, gdzie szukać twojej zaginionej lalki.

Witunia jednak obejrzawszy się za siebie, zawołała:

— Patrzaj, staruszka wróciła pod drzewo i szuka czegoś po ziemi; pewnie laseczki, którą zabrałeś.

— Laseczkę znalazłem, więc jej nie oddam — mówił Fredzio, otwierając furtkę do ogrodu.

— Ależ Fredziu, mama nas nauczyła, że cudzej własności nie można sobie przywłaszczać.

— Pytanie czy to jej laseczka — utrzymywał Fredzio — przytem pamiętaj, że ta laska ma nam wskazać, gdzie się zapodziała twoja lalka.

— Cóż robić, zgubę starej babce oddać trzeba.

Wzięła więc z rąk brata kijek i pobiegła z nim do staruszki.

— Czy szukacie tej laseczki? — zapytała grzecznie.

Stara kobieta wyprostowała się i podeszła do dziewczynki.

— Może jesteście wróżką? — pytała Witunia. — Jeśli tak, to powiedzcie proszę, gdzie szukać lalki mojej?

— Ach, znalazła się! — zawołała staruszka z radością, wyciągając ręce po swoją zgubę.

Ale Witunia inaczej wzięła jej słowa i uradowana wróciła do brata: — Lalka znalazła się! — wołała zdaleka — powiedziała mi babka, że się znalazła!

— Dzieci! — rozległ się głos matki z progu domu.

— To pewnie moja lalka! — mówiła uszczęśliwiona Witunia, widząc duże pudło w ręku matki.

— Tak jest, kochanko — odparła matka — to twoja lalka. Położono zły adres na pudełku, dla tego później cię doszła.

— Widzisz — dowodził Fredzio — że stara babcia była wróżką, skoro przepowiedziała, że lalka się znajdzie.

— Być może — odparła zamyślona nad tem Witunia.

— I jeszcze bardziej być może — dodała matka, której dzieci o całem zajściu opowiedziały — że znaleziona lalka jest nagrodą za to, iż pamiętaliście, że cudzej własności przywłaszczać sobie nie wolno.



Witunia z nową lalką.

Smutne przygody dziatek pani Kici.

Kyzia, Myzia i Milutek,
Nie słuchały Kici-mamy.
Tej przywary zgubny skutek,
Jeśli chcecie, wnet poznamy:

„Dziatki moje! — rzekła mama —
„Czas wam żyć o własnym trudzie!
„Dotąd was karmiłam sama,
„Lub żywili dobrzy ludzie;
„Dziś czas zacząć życia znoje:
„Z łaski mogą żyć kocięta —
„Kot, o sobie niech pamięta!
„Z was już koty, dzieci moje,
„Czy słyszycie, w nocnej ciszy,
„Jak harcują psotne myszy,
„Te szkodniki, co od wieka,
„Niszczą każdy plon człowieka?
„Otóż dziatki, wiedzcie o tem,
„Że kot, poto stworzon kotem,
„Aby tępić myszy plemię,
„Nimby zgryzło całą ziemię!
„Za to niechaj nikt nie widzi,
„By z was które, dla igraszki
„Miało straszyć biedne ptaszki!
„Kot uczciwy się tem brzydzi,
„By łakomstwo lub swywola
„Wyciągała go na pola,
„Na włóczęgę gdzieś po świecie,
„Gdy dość myszy w domu przecie!“
— Tak skończywszy swe kazanie,
Kicia mama na śniadanie
Raz ostatni miskę mleka
Uprosiła u człowieka.
Potem miały już jej dziatki
Z własnej pracy żyć bez matki.
W krąg miseczki kotki siadły,
Zadumały się — nie jadły —
Boć nie lada to frasunek,
Zacząć żyć na swój rachunek,
Wiedzieć, że już dziś na siebie
Tylko liczyć trza w potrzebie —
Więc spuściwszy w dół ogonki,
Kotki snują różne mrzonki...
— W tem gość skoczył nieproszony,
Na brzeg miski wyszczerbiony:
Pani żaba — ej, ropucha,
Co jak trawa rośnie, słucha,
Wyłupiastem patrząc okiem,
Wszystko widzi na wsze strony
Maszeruje sobie skokiem;
Sto lat może żyć na świecie
I sto muszek na dzień zmiecie,
Choć i wisznie i truskawki
Lubi chrupać dla zabawki;
Toż żarłoczna ta szkarada
Zawsze ptaszkom jest nierada,
I zazdrosna wciąż, że ptaki
Wyjadają jej przysmaki.
Tego ranka pod kamieniem
Siedząc sobie z boku drogi
Słyszy godna ta osoba
Z wielkiem swojem oburzeniem
Mamy-Kici cne przestrogi;
„Ho, ho! to mi się podoba!
Szczędzić ptaszki! to mi morał!
Nie słyszano jeszcze tego,
By się kot, czasu jakiego
Uczciwością swoją porał!
Pokażę ja swoją sztukę:
Lepszą kotkom dam naukę!“
I wydąwszy grzbiet swój śliski,
Już skoczyła na kraj miski,
Już się kotkom wdzięcznie kłania,
Mizdrzy, cieszy się z poznania,
I wnet prawi: „Dzieci biedne!
„Za surowa wasza mama;
„Dawno ptaszki chrupie sama,
„A wy macie, z kotków jedne,
„Nie znać jak smakuje ptaszek?
„I przysmaczków i igraszek
„Wyrzec się najmilszych w świecie?
„O to już za ostro przecie!“
— Kotki sobie myślą w ciszy:
„Prawda! słuszność ma ta dama,
„Z wymownymi tak oczyma —
„Gonić zawsze nędzne myszy!
„Toć kot żaden nie wytrzyma —
„Zbyt nas krótko wzięła mama!“
I mruknąwszy coś tak sobie,
Z trojga kociąt, każde z cicha
W uszko łapką się poskrobie —
Niby mruczy, niby wzdycha,
Aż chcąc użyć raz swawoli,
W ogród skrada się powoli...
Żaba, gdy już pozostała
Sama, na głos się rozśmiała!

(Dok. nast.).

Z. M.

Łamigłówka zgłoskowa.

Ka — ra — we — dam — ry — a — czor — mie
zes — kie — wiusz — fez — me — zu — ta — ni
— sztyn — e — es — ster — to — ram — tek —
am — i — ny.

1. Imię jednego z królów egipskich. 2. Miasto w Holandyi. 3. Wyrób nieprzepuszczający wody. 4. Przydomek jednego z królów polskich. 5. Jedna z części świata. 6. Wulkan we Włoszech. 7. Uroczystość którą każdy raz w rok obchodzi. 8. Ruiny zamku w Pieninach. 9. Miasto znane z biblii.

Początkowe litery z góry na dół dadzą nazwę miejsca, gdzie Kościuszko stoczył pamiętną bitwę.

Zofia Loegler.

Zagadka.

Co zrobić, by z trzech liter utworzyć dwie, które by nam dały zwierzęta domowe?

Lisia i Maryla Winiarzówny.

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 17. We Lwowie, dnia 1. Września 1900. Rok VIII.

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Tylko jabłuszko!

Powiastka.

Renia chodziła tam i napowrót po cienistej uliczce ogrodu przepowiadając sobie głośno popołudniowe lekcye; już skończyła z historyą, a teraz przyszła kolej na wiersze, które zawsze były jej ulubionym przedmiotem. Z przyjemnością uczyła się ich zwykle dwa razy więcej niż zadano i lubiła deklamować głośno, dając się unosić melodyi słów.

I teraz wygłaszała z przejęciem piękny opis Litwy z „Pieśni o Ziemi“ Wincentego Pola, a zielone kopuły drzew, zbiegające się prawie nad jej głową i od czasu do czasu trącane lekkim, szemrzącym powiewem dopomagały złudzeniu i byłyby wyobraźnię dziewczynki zupełnie przenosiły do kraju gdzie „na północ, hen! daleko, szumią puszcze ponad rzeką“ — gdyby najbliższe otoczenie nie robiło jej pewnej dystrakcyi...

Dzień był jednym z tych cichych i upalnych dni, jakie czasem zdarzają się jeszcze w końcu sierpnia przypominając porę kwitnienia lip, chociaż sady gną się już wkoło, dojrzewającym owocem.

Ścieżka po której chodząc Renia lekcyi się uczyła, prowadziła właśnie brzegiem sadu: widać było drzewa niektóre aż popodpierane podpórkami, a w samej głębi, słomianą budę sadownika, koło której leżały kupkami pozbierane w całym sadzie opadałki, ściągając do siebie całą chmarę os, i szerząc mdły a odurzający zapach dojrzewających jabłek i gruszek.

Ile razy Renia przerwała swoje powtarzanie w ciszy panującej dokoła słychać było wyraźnie brzęczenie os, chrzęst koników polnych, świegot jakiegoś ptaszka ukrytego wśród gałęzi i od czasu do czasu tępy odgłos padającego w miękką murawę jabłka, własnym ciężarem odrywającego się od gałęzi.

Dziewczynka, za każdym takim razem odwracała głowę w tę stronę i bystre jej oczka dopóty błądziły po trawniku, aż wyszukały zbiega, któremu to odkryciu zwykle towarzyszyła jakaś uwaga, jak n. p.

— Aha! buraczek! no, te jeszcze mogą poczekać: zieleniusieńkie! — Papierówka i jaka ładna! ale nasze w tamtym sadzie za kuchnią takie same i nawet już dojrzalsze.

— Oj, jak Mamę kocham, oliwka!.. znowu oliwka! — już żółte jak z wosku! aż ślinka idzie, doprawdy.

Te, i tym podobne uwagi odrywały myśl Reni od Litwy, w której „ryby grzyby i wędliny“ a przykuwały do teraźniejszości, nęcącej ulubionemi dziewczynki przysmakami.

Ze wszystkich chyba owoców Renia najlepiej lubi te jabłka oliwne, dojrzewające wcześnie, o ślicznej, gładkiej niby przejrzystej skórce, i smaku słodkokwaskowym, soczystym i pełnym delikatnego aromatu. Co za szkoda, że w całym sadzie tylko jedno takie drzewo! i to jeszcze w tej części sadu, którą Mamusia zawsze sadownikom wypuszcza... Niby to mają dać ćwierć tych jabłek w odsypie, ale kiedy to będzie — aż drzewa otrząsną!

Powtarzanie lekcyi zbliżało się przecież ku końcowi — Renia, mimo przeszkód ze strony nie rozumiejących się na poezyi jabłek, już jakoś doszła do ostatniego, zadanego wiersza, i pozostawało jedynie całość powtórzyć kilka razy, dla płynniejszej deklamacyi — myśli jej uciekały coraz bardziej — powtarzała już tylko mechanicznie.

Oto znowu głuche, słabe stuknięcie pod jabłonką oliwną świadczy, że smaczne jabłuszko samo uznaje, iż dosyć już dojrzało i porzuciwszy gałąź rodzinną czeka tylko, aby odpowiednio przeznaczeniu jabłek, zatopiły się w niem czyjeś zdrowe i ostre ząbki...

Renia ogląda się z żalem raz i drugi na murawę — takie żółciuchne!

— „Na dzisiejszym upale jeszcze lepiej dojrzały!“

Ta uwaga zdradza, że dziewczynka dojrzałości ich próbowała już wczoraj...

Ale właściwie cóż znów tak wielkiego, jeżeli ona czasem podniesie jabłuszko? przecież cały sad należy do Mamy i do Tatusia — cóż z tego że wypuszczony? czyżby ona już nie miała prawa podnieść w nim nawet opadałki? Z pewnością Mama by pozwoliła — Mama tylko „nie lubi“ żeby dzieci na spacer chodziły do tego sadu...

— A zresztą, jedno dziś tylko podniosę, jedno jedyne! to co teraz upadło — i to już będzie ostatnie: jutro umyślnie już nie przyjdę tutaj powtarzać lekcyi — mówi sobie dziewczynka i zapomina jakoś, że już wczoraj, a podobno nawet i przedwczoraj, miało być podniesione owo „jedno jedyne, ostatnie!“ i lekcye powtarzane być miały w innej uliczce... a jednak, gdy przychodzi godzina tego powtarzania, Renia zawsze tu jakoś trafia prawie mimowoli, i szczerze jej się wydaje, że tu jej się uczyć najlepiej, w ciszy tego sadu.... Odkrycie to zrobiła czegoś wtedy właśnie, gdy zaczęły dojrzewać oliwki — chociaż nie dla nich tu przecież przychodzi — bynajmniej!

„*Jedno, jedyne jabłuszko*“ już od chwili podniesione zostało i już bez śladu schrupały je żwawe ząbki Reni — ale łatwiej to nie gasić wcale pragnienia, niż zacząwszy, przerwać po jednym łyku: za pierwszem jabłuszkiem poszło i drugie, tak szybko i bez namysłu, że Renia sama nie wiedziała prawie, jak się to stało.

Oliwki były takie chłodne, kwaskowe, pachnące — a upał taki duszny tego popołudnia — i ona taka zmęczona nauką.

A jednak, chociaż powiedziała sobie z dziesięć razy, że nie robi nic złego, że to z pewnością byłoby wolno, gdyby Mamusia wiedziała — przecież, podnosząc oliwkę, mimowoli ogląda się wkoło jakby coś robiła ukradkiem, i płoszy ją szelest w krzakach agrestowych... To nic! to tylko wróble się pobiły i furknęły całą gromadką — ale Renia doświadcza jakiegoś nieprzyjemnego uczucia, które przeszkadza jej oceniać w całej pełni doskonałość ulubionego przysmaku.

— Reniu! Reniu! a gdzie ty? chodź na lekcyą: już trzecia! — rozlega się w tej chwili od strony ganku głos p. Waleryi — W głębokiej kieszonce dziewczynki, zakrytej białym fartuszkiem, błyskawicznie znika cztery, pięć, najbliżej leżących jabłek, choć przed chwilą ani myślała jeszcze tak zrobić — i, okrążając jak sarna, gąszcz zarośli, przebiegając w poprzek grządek warzywnych i trawników, staje zdyszana, zaczerwieniona Renia przed czekającą na ganku nauczycielką.

— Zjem je sobie spokojnie na podwieczorek, w tej części sadu po której wolno nam chodzić — mówi sobie w myśli, obiecując sobie dopiero prawdziwe użycie — a tymczasem p. Walerya odgarnia ręką włosy z jej spoconego czoła i mówi:

— Renusia znowu chodziła się uczyć do tamtego sadu — a wiesz jak Mama tego nie lubi! lada kto zrobi szkodę sadownikom i powiedzą potem, że to dworskie dzieci — czyż warto się na taki wstyd narażać?... A może Renia doprawdy tam troszkę łasowała koło renklod lub gruszek?

— Nie, proszę pani! odpowiada Renia niepewnie — i zdaje się jej naraz, że jabłuszka dziwnie ociężały w jej kieszeni — ale przecież pani doprawdy pyta tylko o gruszki i śliwki, a tych ona nawet nie widziała.

— Ale dlaczegożeś taka czerwona i zgrzana, Renusiu? nie potrzeba było biedz tak prędko.

— To z gorąca... tak duszno, że pewno burza będzie! — zapewnia Renia, ale nadzieja podwieczorku już się jej jakoś trochę mniej uśmiecha. Ona przecież nie chciała kłamać... nie układała sobie żadnych wykrętów, tylko tak się jakoś samo powiedziało...

Pomimo, że myślom Reni zrazu brakło zwykłej swobody, lekcya jednak poszła bardzo dobrze, bo dziewczynka miała istotnie wielkie zdolności i uczyła się zawsze wszystkiego z zajęciem. Panna Walerya nie miała nigdy powodu żalić się na swą ulubioną uczenicę. Słuchając nowego wykładu o bohaterach starożytnego Rzymu, Renia wnet zapomniała o jabłkach siedzących w kieszonce.

Ale nie było widać przeznaczonem aby je dzisiaj zjadła jak sobie ułożyła, bo właśnie w chwili gdy kończyła lekcyę, rozległ przed domem turkot i trzask z bicza, i dwaj młodsi braciszkowie Reni, wpadli do szkolnego pokoju z radosnym krzykiem:

— Ciocia! ciocia przyjechała! ze wszystkiemi dziećmi!...

Ciocia Leonia, ukochana i jedyna siostra Tatusia, mieszkała w okolicy dość odległej, bo o mil dwanaście, co przy braku kolei w tę stronę, wymagało podróży całodniowej, z popasami, która wprawdzie była wielkim urokiem dla dzieci tak jednego jak drugiego domu, ale nie ułatwiała częstego widywania się obu kochającym się rodzinom. Za to też nie było większej radości, jak gdy raz lub dwa do roku, Zakrzówek wybrał się do Olszynki, lub odwrotnie.

I teraz też po całym domu, nawet pomiędzy służbą rozległy się radosne nawoływania: Państwo z Zakrzówka przyjechali! żywo! znosić rzeczy! otwierać okna w gościnnych pokojach!

Ma się rozumieć, że wśród radosnych powitań i uścisków z Kocią i Melą — siostrzyczkami cioteczncmi, z których jedna trochę starszą a druga młodszą od niej była — Renia zupełnie zapomniała o sadzie, oliwkach i projektowanym podwieczorku, Józio i Zdziś uprowadzili Stasia i Kasia aby im zaraz pokazać małe pieski w budzie — a Mamusia, wyściskawszy po sto razy ciocię i powtarzając wciąż: Cóż to za radosna niespodzianka!“ wyprawiała na ganku posłańca, który miał zaraz biedz w pole, dać znać Tatusiowi, dozorującemu sprzętu ostatniego jęczmienia pod lasem. Zasłyszała to ciocia i zawołała:

— O, nie posyłaj nikogo Zoniu! wolimy pójść wszyscy razem, sami; to przecież nie tak daleko, dzieci nie wysiadały z powozu od ostatniego popasu, to się rade przelecą, a niespodzianka będzie tym sposobem większa!

— O tak, tak, cioteczko! zawtórowały wszystkie dzieci.

— Więc i owszem — a tymczasem p. Walerya będzie tak poczciwą wyręczyć mnie w zastawieniu podwieczorku — my tu za pół godziny będziemy z powrotem.

— Ale Reniu, możebyś na uczczenie takich gości zdjęła przynajmniej codzienny fartuszek? — dodała Mama, z radosnym uśmiechem patrząc jak wszystkie trzy dziewczynki wzięły się pod ręce aby biedz przodem.

— Dobrze Mamusiu — i naraz Renia sięgnąwszy już do tasiemek zarumieniona staje jak wryta: jeżeli w tej chwili odwiąże fartuszek, pokaże się wypchana pod nim jabłkami kieszonka, zobaczy ją Mama, panna Walerya i zaraz przy Cioci wyjdzie na jaw, że ktoś chodził do wypuszczonego sadu i podnosił opadałki... jak to zapowiedz takiemu wstydowi?...

Ale sama ciocia przypadkiem przyszła jej z pomocą, mówiąc: — Ej, niech już teraz biegnie tak jak jest! gdy z pola wrócimy i moje trochę pójdą przygładzić włosy i obmyć ręce przed podwieczorkiem, wtedy niech się i Renia dla nas stroi, jeżeli chce! ale teraz już abyśmy tylko prędzej poszli do Tatusia!

Jakże Renia wdzięczna była Cioci za te słowa!

(C. d. nast.). *Z. M.*

Mysz drobna.



Na polu cisza zupełna. Słońce tak jasno świeci, że oświeciło i ogrzało wszystkie najciemniejsze zakątki. W bruździe obudziła się myszka podnosząc łebek do góry, a słonko zajrzało jej w oczy. Zawstydziła się myszka, że tak długo spała i to w biały dzień, przeciąga łapki i myśli sobie:

— Gdyby jeszcze chwilka, byłoby po mnie... tak... trzeba się pilnować i ciągle oglądać. Chciałam sobie pozbierać ziarnka rozsiane na ziemi, wtem niewiedzieć skąd wypada okrutnik — łasica. Zaledwie ją ujrzałam, rzuciłam się na oślep przed siebie, ona za mną! skaczę przez brózdy, doły, łasica wciąż goni, aż nareszcie wpadłam w zboże... Zbrodniarka tak się rozpędziła, że nawet minęła mnie i pewnie dotychczas szuka. Sądziłam, że skonam ze strachu i zmęczenia. Cóż więc dziwnego, że spałam tak długo. Uf! ale jakże głodna jestem!

I nie namyślając się długo, wdrapała się myszka, zręcznie, jak akrobata, na dojrzały kłos żyta, ogonkiem zaczepiła się o źdźbło i poczęła ziarnka wyjadać.

— Czas wracać do dzieci, posiliłam się już trochę.

A dzieci myszki dobrze były ukryte. Matka zrobiła im wygodne gniazdko z liści, wełny i puchu, trawą i słomą przyczepiła do źdźbła, a gdy wiatr powieje, gniazdko, niby kołyska, myszki do snu kołysze. Spieszy się myszce do maleństwa, zdaleka już słyszy ich głosy. Biedaczyska płaczą z głodu... Za chwilę była już przy nich. Dziesięcioro małych myszek, piszcząc i kwiląc dopominało się u matki pożywienia.

Mysz pieściła je, językiem lizała każdą z kolei, troskliwie przyglądała im się, myśląc:

— Nie macie moje małe jeszcze czego narzekać, czy wam tu w ciepłem gniazdku nie wygodnie i nie miękko? Gdy inne myszy mają w ziemi nory wodą zalane, nasze gniazdko choćby deszcz zrosił z wierzchu to zaraz wiatr i słońce osuszy. A że trochę za długo na śniadanie dziś czekałyście, to jeszcze nie wielkie nieszczęście. Ot, gdy podrośniecie, dowiecie się wtedy co to bieda.

Minęło lato. Rodzina myszek już dawno rozpierzchła się na wszystkie strony. Czujne, ostrożne, uwijały się jak mogły. Pewnego dnia straszny popłoch wszczął się między niemi; zboże zebrano z pola.

— Co robić? — mówiła jedna do drugiej. — Z głodu chyba pomrzemy, nasiona kwiatów nas nie nakarmią. Postanowiły odszukać matkę i spytać jej o radę.

— Nie martwcie się, małe — mówi stara mysz — wszystko będzie dobrze, musimy tylko dopilnować, kiedy zboże zwozić będą i gdzie je złożą.

Tak też zrobiły. W parę dni potem, liczna rodzina myszek kroczyła niepostrzeżenie za dużym drabiniastym wozem, naładowanym zbożem. A gdy parobcy napełnili stodoły do wierzchu, myszki siedziały w zbożu. Ciepło im było i wygodnie; nie zaznały ani głodu, ani chłodu.

Ale czy gospodarz był rad z takich gości, niech czytelnik odpowie. *Marya Weryho.*

Smutne przygody dziatek pani Kici.

(Dokończenie).

Biegł Milutek chyłkiem w pole,
Już się czai wśród ścierniska —
Myzia rzekła: „Ogród wolę,
Zobaczymy, co kto zyska“.
A Kyzia, także na łowy,
Pozostała domu blisko;
Myśli sobie: „Gzems frontowy,
Toć jaskółek jest siedlisko!
Na co gonić gdzieś po świecie,
Gdy tu kąsek smaczny przecie:
Jak się wezmę zgrabnie, ładnie,
Sam mi ptaszek w ząbki wpadnie!“
I tryumfem naprzód rada,
Już się Kyzia gzemsem skrada

Ponad rynwą w koło dachu,
Chciwie iskrzą się ślepięta —
Już, spostrzegłszy ją, ze strachu
Mrą w swem gniazdku jaskółczęta...
Wtem..... już w samym prawie skoku,
Na oślizłej rynwy blasze
Pośliznęła się pół kroku —
Tuż z przed noska pierzchło ptaszę —
Kyzia za niem — skok ją zdradza!
Zawrót w głowie... próżnia w koło...
Łapka o nic nie zawadza,
Coby mogło dać podporę —
Oj, coś Kizi nie wesoło!
Przyszedł późny żal nie w porę,
Gdy, tak dumna z swej zgrabności,
Spada z dachu tłukąc kości!...
Niedość na tem: pod rynwami
Stała wielka kadź z deszczówką —
Lecąc z góry koziołkami,
Kyzia, o kadź tłucze główką,
I buch! w wodę niespodzianie!
Wiecie czem to jest dla kota? —
Już też w Kyzi nie powstanie
Pewno na ptaszki ochota;
Miaucząc, piszcząc w kadzi pływa,
Zwie ratunku ledwie żywa!...
— Myzia sobie w tej godzinie
Rada buja po ogrodzie.
Ślinka jej już naprzód płynie,
Że tu ptaszka schrupie w chłodzie —
I krzakami się przemyka
Tam, gdzie gniazdko jest słowika.
Spiewak, w pieśni zatopiony,
Sławiąc wielkość świata, Boga,
Ani widzi z której strony
Zbliża się już napaść sroga:
Na gałązce się kołysze,
Coraz słodszą pieśń wydzwania...
A tu za nim, już wróg dysze
I pazury już odsłania!
W tem — trzask krótki — krzyk rozpaczy!...
Spiewak wbił się w niebo lotem,
Ani wiedząc co to znaczy,
Ani pomnąc, że pod płotem
Na tchórza, kunę szkodnika,
Co się tu czasem pojawia —
Człowiek, przyjaciel słowika,
Żelazne pęta zastawia:
W samołówce przytrzymana
Za skrwawione łapki obie,
Jęczy Myzia ukarana
I przysięga to już sobie,
Że niech tylko cud dziś jaki
Wnet wybawi ją z tej matni,
Wierna mamie — dziś na ptaki
Polowała raz ostatni!
— Gdy tak smutne sióstr koleje,
Co się też z Milutkiem dzieje?
On się wybrał na skowronka!
W bruździe czai się niecnota,
I choć czeka już pół dzionka
Coraz żywsza w nim ochota —
Ciągle słucha jak w lazurze
Gdzieś skowronki dzwonią w chórze,
Czycha aż na gniazdko w dole
Ptak znużony spiewem padnie,
By nań wtedy skoczyć zdradnie —
W tem... czem brzmi tak całe pole?
Trąbki — strzały i psów granie!
„Och ratujcie! polowanie!“
Jak nie czmychnie Miluś w nogi!
Lecz za późno już, mój panie,
Już cię dostrzegł zastęp srogi
Psów straszliwych! wszystkie gonią —
Białe zęby kłapią blisko —
Miluś sadzi przez ściernisko —
W oczach czarno — uszy dzwonią —
Dopadł drzewa na pół żywy!
I aż nadto był szczęśliwy,
Gdy za chętką na skowronka
Stracił tylko pół ogonka!
. . . . . .
Tak to wyszły kocie dziatki,
Brnąc w swywole za namową,
Zamiast słuchać własnej matki,
— I nie kotkom znać to zdrowo....

Z. M.

Szarada

Me pierwsze, w puszczach litewskich rośnie,
Poważne drzewo, szumi żałośnie;
Me drugie, ciągnie się zwykle wzdłuż drogi,
Drugie wspak, w młynie służy, mój drogi.
Zaś nutę z gamy z głoską w alfabecie
Połącz, a zaraz utworzysz me trzecie.
Całość, przedstawia cnotliwą knehinię,
Co nie bez małej ofiary,
Ratuje naród polski gdy on ginie,
Niosąc mu światło, chrześcijańskiej wiary.

Lisia i Maryla Winiarzówny.

Zagadka.

Co zrobić, by z trzech liter utworzyć dwie, któreby nam dały zwierzęta domowe?

Lisia i Maryla Winiarzówny.

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 18. We Lwowie, dnia 15. Września 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Tylko jabłuszko!

Powiastka.

(Ciąg dalszy).

— Wyrzucę te nieznośne jabłka gdzieś po drodze — powiedziała sobie. Ale łatwiej to było postanowić niż wykonać, bo cioteczne siostrzyczki zaraz znowu ją wzięły pod rękę i rozpowiadają jej na wyścigi o swojem gospodarstwie, o lekcyach, o zmartwieniu, że panna Kamilla straciła matkę i odchodzi, aby się sama zająć młodszem rodzeństwem a one nie wiedzą jeszcze jaką nauczycielkę dostaną.

Renia słucha tego wszystkiego z roztargnieniem i czuje już, że dopóki owe, podniesione w sadzie jabłka, ciężyć jej będą w kieszeni ona nie odzyska zwykłej swobody — ale jak tu je rzucić, kiedy nietylko, że są wciąż przy niej siostrzyczki, ale przecież Mama i Ciocia postępują krok w krok za niemi i zobaczyłyby zaraz jabłka rzucone wśród drogi...

— Taka mała rzecz, a tyle kłopotu! — mówi sobie Renia, niezadowolona z jabłek, z siebie i bodaj czy nie z kuzynek, że jej ani na chwilę odbiedz nie dadzą.

Przechodzili właśnie wszyscy koło schludnej i dostatnio wyglądającej chaty karbowego, Wawrzyńca, którego żona była przez lat parę pokojową we dworze i ukochaną „nianią“ Reni i Józia. To też stosunek między tą chatą a dworem był zawsze bardzo serdeczny i „dworskie“ dzieci chętnie zabiegały do „niani“ i bawiły się z Kasią, Jasiem i najmniejszą, Basiulką — młodszemi dziećmi niani, która miała jeszcze prócz tego dwóch odchowanych już, starszych chłopaków.

Chata wysunięta była na czoło wsi, tak że szeroka droga tylko oddzielała ją od dworskich ogrodów; nieco opodal, na skręcie tej drogi stał na małem wzniesieniu krzyż z Męką Pańską, pod którym dziatwa wiejska w majowe wieczory spiewywała pieśni i litanię — z pod tego krzyża widać już było pole na którem zbierano owies pod lasem.

— Hej, chłopcy! — zawołał pomysłowy zawsze Józio — kto pierwszy doleci tam do krzyża, ten chustką może dawać znaki Tatusiowi, że idzie niespodzianka!

— Ja! ja! ja! — odpowiedziało na wyścigi trzy głosy i trzy pary nóg, a ponadto, przedewszystkiem, nogi wnioskodawcy, puściły się w tętniący galop, wzbijając tumany kurzu z pośrodka drogi.

— I my! i my! — porwały się także do biegu dziewczęta, tylko Renia pozostała w tyle i wsparłszy nóżkę na kamieniu nad rowem, zawzięcie coś majstruje koło bucika.

— Reniu, z nami! — woła odwracając się za nią Kocia.

— Zaraz, zaraz! tylko mi się sznurowadło u bucika rozwiązało! — odrzuca pełnym głosem Renia, ale na twarzyczkę jej uderzają ogniste rumieńce, i w myśli dodaje tylko dla siebie: „Nieznośne, szkaradne oliwki! znowum przez nie raz jeszcze skłamała! No! już ich nie chcę widzieć ani na oczy“.

Słodka, jasnowłosa Mela, której skrycie wielbionym ideałem jest niewiele od niej starsza, żywa jak iskra, czarnobrewa kuzynka, wraca się do niej z pół drogi: „bo co mi to przyjemność biegać, jeżeli Renia zostaje!“ — ale zanim się zrównały już Renia miała czas wykonać myśl, która nagle błysła jej jak wybawienie z kłopotu i wydała jej się bardzo dobrą, a nawet zabawną, jak doskonały figielek: jabłka z jej kieszeni przeniosły się błyskawicznie, rzucone silnie choć ukradkiem, za płot do sadu Wawrzkowej! „Dzieciska się tam ucieszą, gdy je znajdą nie wiedząc skąd się wzięły, a ja się przecież zbyłam kłopotu!“ mówi sobie w duchu Renia, uszczęśliwiona ze swego pomysłu i jakby

z niej w istocie spadł dopiero teraz ciężar odbierający wesołość i hamujący żywość, puszcza się w wyścig z Melą, zakończony przyłączeniem się jeszcze w sam czas do wydającej tryumfalne okrzyki gromadki pod krzyżem, którą już spostrzegł Tatuś i nawzajem daje jej z daleka laską i chustką znaki zdumienia i radości.

Tuż za krzyżem ciągnęło się błonie, na którem zwykle pasły się gęsi i bawiły się dzieci z całej wsi. I teraz rozbrzmiewało ono tonami niewprawnie jeszcze próbowanej piszczałki, nawoływaniem i śmiechami małych pastuszków. Troje młodszych dzieci Wawrzkowej było tu także, a widocznie zabierając się już do domu Jaś i Kasia naładowali rozmaitem zielem, kwieciem i trawą mały drewniany wózek na niskich kółkach w którym spała Basia, i zaprzągłszy się sami do niego z głośną uciechą ciągnęli go ku krzyżowi.



Na błoniu.

Dworskie dzieci, mimo pospiechu z jakim dążyły do Tatusia, przecież po drodze pozdrowiły swych ulubieńców wołaniem: — Jak się macie Jasiu i Kasiu! jest Ciocia z Zakrzówka, niech wam Matusia pozwoli jutro przyjść do dworu: pójdziemy wszyscy razem do lasu na ożyny!

Dzieci z Zakrzówka lubiły także Wawrzkową i jej rodzinę i uśmiechnęły się serdecznie na powitanie do małych znajomych, a Reni przeszło przez myśl: Jak też Jaś i Kasia będą radzi, gdy w swoim sadzie znajdą te śliczne i smaczne jabłuszka, com im rzuciła! dobrze, że to one je zjedzą.

Jak łatwo było przewidzieć, Tatuś ucieszył się niezmiernie przyjazdem Cioci; całe towarzystwo razem wróciło do domu i wieczór zeszedł jak najweselej, na układaniu projektów spacerów i zabaw na te trzy dni które Ciocia pozostać miała.

W nocy jednak spełniło się to, co Renia przepowiadała jeszcze po obiedzie, gdy ją p. Walerya pytała o zbyt silne rumieńce: po upale przyszła burza, z wichrem i gradem, która znacznie ochłodziła powietrze. Gdy dzieci wyszły nazajutrz do ogrodu, pomimo pogody i słońca, w powietrzu był już jakby jakiś powiew jesieni, która wczoraj jeszcze zdawała się daleko. Stłuczone i do ziemi przybite burzą kwiaty, smutnie opuściły zmęczone, zimną rosą uperlone główki — gdzieniegdzie zaścielały murawę pożółkłe liście, których wczoraj nikt jeszcze nie zauważył na drzewach — ale błękit nieba nad wysokiemi topolami w górze uśmiechał się czysty i bez jednej chmurki, a w sercach młodej gromadki, która, gdy ścieżki obeschły, wybiegła w południe do ogrodu, było równie słonecznie i wesoło. Lekcyi w tym dniu, na intencyą przybycia Cioci, wcale nie było, i szło tylko o to, jak najmilej czas sobie zapełnić.

— Na ożyny dziś już nie pójdziemy, bo w lesie mokro — ale koło owsa zaczynają kopać pierwsze kartofle: weźmiemy z sobą Jasia i Kasię, rozpalimy duży ogień i będziemy piekli kartofle na polu!

W tej chwili głośny krzyk i płacz dziecka rozległ się przed chatą Wawrzkowej, do której blisko już było z tego końca ogrodu. Widocznie odbywał się tam jakiś akt karzącej sprawiedliwości, bo słychać było wyraźnie odgłos uderzeń i rozpaczliwe zapewniania chłopięcego głosu, że „już nigdy nie będzie!“

— Oj, musiał Jaś coś dobrze zbroić, kiedy go Ojciec tak bije — odezwała się towarzysząca dzieciom p. Walerya, a w sąsiedniem podwórku w poprzednią wrzawę wmięszał się pełen perswazyi głos kobiecy: „Puść-że go już, puść Wawrzon! przecie widzisz, że się dzieciak od krzyku mało nie zatchnie! już on pewno do śmierci nie ruszy tego co cudze!“

— Będą mnie, bez tego łotra po sądach włóczyli! będą mnie szkalowali — poczekaj! dam ja tobie! — burczał gniewny głos męski, ale widać wstawienie się Matki nie pozostało daremnem, bo krzyk Jasia wnet ustał, przechodząc w stłumione szlochanie, wśród którego malec wciąż jeszcze przerywanym głosem zapewniał, że on „nie chodził kraść, i nic nie wynosił ze dworu!“

— Ale wiesz, że na śliwach jabłka nie rosną? co? czy ty może nie wiesz, że u nas tylko śliwy za chatą? — gniewał się jeszcze nieudobruchany Wawrzon.

Panna Walerya zabrała dzieci, stropione i przestraszone sceną którą mimowoli usłyszały, i zawróciła ku domowi — ale poprzedni humor i wesołość nie chciały już powrócić do małej gromadki. Renia zwłaszcza, blada jak ściana, zdawała się taka wzburzona, że aż p. Walerya zaczęła jej perswadować, aby się tak nie poddawała wrażeniu. Ale Renia nie słyszała nawet łagodnych słów nauczycielki: jej, w myśli i serduszku brzmiało wciąż jedno tylko — gorżki, palący niepokój budzące — pytanie: „Za co Jasia wybili?!“ — i sama sobie bała się odpowiedzieć przypuszczeniem, które jej głos jakiś tajemny podszeptywał.

Przy stole, z rozmowy starszych, dowiedziały się dzieci, że cały dwór był w poruszeniu, pokazało się bowiem iż w nocy byli w sadzie złodzieje. Korzystając z tego, że w taką niepogodę sadownik schował się w budzie i nosa z niej nie wychylił, jacyś zuchwalcy, widocznie we dwóch lub trzech, otrzęśli i oberwali co najpiękniejsze jabłka i gruszki. Była to dla sadownika znaczna strata, a przykrem było także i to, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa, kradzieży tej nie mógł się dopuścić ktoś cudzy, nie znający tak dobrze sadu, tylko chyba ktoś z dworskich. Sadownik od rana wykrzykiwał i lamentował i odgrażał się, że musi wytropić i do sądu zaskarżyć złodzieja, więc każdy z czeladzi zastrzegał się, że to nie on i udowadniał swoją niewinność.

Cała rozmowa o tej sprawie kradzieży jabłek była Reni ogromnie niemiłą — daremnie mówiła sobie, że ją to przecież nic nie obchodzi, że między podniesieniem paru opadałek a obrabowaniem sadu jest wielka różnica, że zresztą nie zachodzi nawet żaden związek pomiędzy jednem a drugiem — jakiś dziwny niepokój opanował jej serduszko, a wspomnienie przykrej sceny, którą dzieci mimowoli posłyszały przed obiadem w podwórku Wawrzyńców, coraz to ją bardziej prześladowało. Siedziała taka milcząca i tak na przemian rumieniąc się i blednąc, że Matka dwa razy zapytywała jej, czy nie słaba? Westchnieniem ulgi przyjęła Renia hasło powstania od stołu: teraz nareszcie przestaną mówić o tych nieszczęsnych jabłkach!

Nie był to jednak koniec utrapień dziewczynki! Jeszcze Tatko nie skończył czarnej kawy, gdy go już odwołano do kancelaryi, że Wawrzon, karbowy, pragnie się z nim widzieć. Choć było to rzeczą bardzo zwykłą, bo przecież Tatko po kilka razy na dzień rozmawiał z karbowym, przecież serduszko Reni drgnęło teraz jakimś niewytłumaczonym przestrachem i przykrością — kancelarya sąsiadowała z pokojem jadalnym, nietylko więc Renia ale wszyscy jeszcze tu zebrani posłyszeli doskonale całą rozmowę:

— Proszę też Wielmożnego Pana ująć się mojej krzywdy! mówił wzburzony głos Wawrzka — przecie Wielmożny Pan wie, że my nie z żadnej złodziejskiej familii! że u mnie w chacie nigdy jedno cudze ziarnko nie postało — i dzieci też chowam w uczciwości, żebym chyba pierw ubił nim bym któremu kraść pozwolił — a tu ten łotr sadownik, jako że ma złość na mnie już od dawna, powiada, że to moje starsze chłopaki chodzili dziś w nocy do sadu i poleciał mnie już skarżyć do miasteczka, żeby u mnie żandary rewizyę robili! Proszę Wielmożnego Pana! — tu słychać było że Wawrzek z płaczem prawie do kolan pana się pochylił — taki wstyd! taka dyfamacya! żeby na mnie po wsi wywoływać, mnie chałupę przetrząsać, mnie po sądach włóczyć, co mi przecie Pan wierzy i ufa i ja pańskiego dobra pilnuje! *Z. M.*

(Dok. nast.)

Mamusina rada.

— Ach, wiecznie z tem szukaniem nieznośna robota!
Od wszystkiego doprawdy odchodzi ochota,
Brak mi już cierpliwości....
— Cóż tam znów Marylko?
Pyta matka. — Ot, miałam ołówek przed chwilką,
A teraz już go niema; wszystko mi ktoś bierze!
Leżało znowu pióro, tu przy tym papierze:
Chcę pisać niem, przepadło! jak ta książka nowa,
Com niedawno dostała...
— Bo wszystko się chowa,
I pióra i ołówki, układa się ładnie
A pewnie będą w miejscu i nic nie przepadnie;
Miej, córeczko, w porządku książki i kajety!
— Czasu na te porządki ja nie mam niestety!
Zabiera mi go praca, zabiera nauka...
— A gdy się wiecznie, czegoś w całym domu szuka,
To się czasu nie traci? O! moje kochanie,
Więcej niźli porządek, zabiera szukanie.
Wierzaj mi, ot! i teraz, mknie chwilka za chwilką
A tyś nic nie zrobiła, kochana Marylko!
Przejdzie tak i godzina, ha! i druga może?...
— Oj! prawda; rzecze wówczas dziewczynka w pokorze,
Tyle lekcyi na jutro... kiedyż je odrobię?
Choć teraz jako tako poukładam sobie,
Poświęcę na to czasu choć troszkę... troszeczkę...
A może znajdę pióro, ołówek, książeczkę?... —
Układa i znajduje to, czego szukała.
— Szkoda! żem się do tego wcześniej nie zabrała,
I lekcye i zadania byłyby gotowe,
Miałabym i czas wolny i swobodną głowę.
A tak?... teraz nad książką ślęczyć mi wypada,
Uczyć się do wieczora; ha! lecz trudna rada!
Dziś nic się już nie zmieni i tak już być musi,
Lecz od jutra iść będę za radą Matusi. —
I Marylka sumiennie dotrzymała słowa,
Wszystko ładnie układa i w porządku chowa,
A nie marnując czasu na ciągłe szukanie
Ma go tyle, że nawet na zabawę stanie.

Helena Bojarska.

Z opowiadań Cioci.

II.

— Uważam że dzieci zaczynają już bawić się same — rzekła Ciocia do Ździsia i Hali — dziś, naprzykład, bawiliście się w polowanie na małpy naśladując to, o czem wam w książeczce czytałam; prawda że dobra była zabawa?

— O bardzo dobra! — zawołał Ździś — wie Ciocia, myśmy wzięli nasz cebrzyczek od zabawek, zanieśliśmy go do klombu — niby do lasu, gdzie są małpy — i ja zacząłem się tam myć — ale tak tylko na niby! potem znów, niby napełniłem cebrzyczek kle-

jem i tak zostawiłem — bo nam Ciocia przecież czytała, że ci co na małpy polują, biorą do tego klej — a Hala udając małpeczkę przyglądała mi się z za drzewa i gdy ja zostawiłem cebrzyczek, przyszła się myć tak samo i całkiem sobie oczy zakleiła, więc ją złapałem i do Europy przywiozłem! Bardzo dobrze bawiliśmy się, ale jabym wolał mieć prawdziwą małpeczkę niż taką „nibyto!“ Ja bardzo proszę, żeby mi Ciocia jedną malutką małpeczkę kupiła.

— Choćbym chciała zrobić ci tę przyjemność — odrzekła Ciocia — to nie mogę, bo nietylko u nas w miasteczku, ale nawet we Lwowie niema sklepu z małpami. Ale gdybyś posiadał żywą małpkę, przekonałbyś się wkrótce, że robi ona w domu wiele szkody a zabawy z nią takiej jak myślisz niema, gdyż tylko duże gatunki małp, chętnie naśladują człowieka.

Ludzie uczeni jeżdżą do ciepłych krajów, podpatrują tam życie małp i innych zwierząt, a potem opowiadają nam o nich ciekawe szczegóły.

Ale wiedzcie, że niewola przykrą jest dla każdego zwierzęcia, czy to będzie małpa, wiewiórka, papuga czy inny jaki ptaszek. — Przekonałam się o tem jeszcze za lat dziecinnych, i jeżeli chcecie posłuchać, to opowiem wam o jednej młodej małpeczce, którą nasz Wujcio, a wasz dziadzio, przywiózł był przed laty z Odessy.

Niewiem jak się nazywał ten gatunek: ale małpeczka była niewielka, ogon zaś miała stosunkowo długi, pyszczek niezarośnięty, oczka żywe a z obu stron pyszczka miała skórę naciągającą się w kształcie woreczków, tak że mogła tam chować różne rzeczy do jedzenia.

— A to pewnie na drugie śniadanie, i na podwieczorek sobie chowała — wtrąciła Hala.

— Zapewne, gdyż nie była łakomą, i nigdy na raz za wiele nie jadła.

Nazwaliśmy ją „Lolo“. — Miała na sobie rzemyczek z kółkiem, ażeby ją można brać na łańcuszek, ale z początku Dziadzio rzadko go jej zakładał, gdyż była bardzo spokojna.

Tęskno i zimno musiało być małej małpeczce w naszym kraju, gdyż nieraz w nocy piszczała i bardzo lubiła przytulać się do Babci, zupełnie tak jak dziecko, i ogrzewać sobie przy niej łapki, zakończone, jak u wszystkich małp, czterema rękami, których palce były długie i nieobrośnięte. Do jedzenia dostawała same zdrowe rzeczy: mleko ciepłe, bułkę, owoce, jarzyny surowe, orzechy, czasem migdały i rodzenki. Rosła i nie chorowała, a my dzieci przepadaliśmy za nią.

Nie było jednak z tą małpą tak jak z dziećmi, które im są starsze, tem stają się grzeczniejsze:

„Lolo“ stracił mleczne zęby, wyrosły mu większe i silniejsze, ale od tego czasu zrobił się zły i nieraz bez żadnego powodu kąsał. Często wymykał się ze swego pokoju, wpadał do jadalnego, gdzie porywał wszystko, co się na stole znajdowało, albo do salonu gdzie gryzł kosztowne książki i rozmaite psoty wyrządzał.

Raz wskoczył przez otwarte okno do garderoby, gdzie panna służąca zajęta była szyciem. W jednej chwili porozrzucał wszystko na stole, podarł formę, poplątał nici, schował naparstek do woreczka w pyszczku, i znów uciekł przez okno.

Innym razem, w pokoju Dziadzia, rozsypał śrut przygotowany do robienia naboi, potem wywrócił kałamarz na biórku, i właśnie był zajęty maczaniem tytoniu w atramencie, gdy Dziadzio wszedł do pokoju. Lolo z powalanemi łapkami wskoczył mu na ramiona i poplamił nowe ubranie atramentem.

Gdy jeszcze wkrótce potem ukąsił Babcię w palec aż do krwi, kazał Dziadzio zrobić dużą klatkę drucianą z huśtawką wewnątrz, i od tej pory małpka nie tylko w nocy, ale i w dzień w klatce siedzieć musiała. Bardzo jej się to niepodobało, trzęsła klatką, piszczała, skarżyła się, ale trudno ją było wypuszczać, więc na tem się wreszcie skończyło, że odwieziono ją na jarmark do Ułaszkowiec i tam sprzedano do menażeryi.

— Ale nie wszystkie małpy są takie złe, muszą być między niemi i dobre — zauważył Ździś.

— Zapewne, że i między małpami są różne usposobienia — odrzekła Ciocia — zależy to także od gatunku małp, ale wszystkie są bardzo ruchliwe i towarzyskie, dlatego mam przekonanie że „Lolo“ z tęsknoty zrobił się taki zły.

Do niektórych wielkich ogrodów zoologicznych sprowadzają różne gatunki małp, ale trzymają je zwykle w ogromnej klatce przeźroczystej, podobnej do wysokiej altany, a ponieważ są tam w towarzystwie i mają dość miejsca, więc nie jest im już tak przykro. W ogóle jednak klimat europejski za ostry jest dla małp, szczególnie dla większych gatunków, jak Szympanse i Goryle, tak że pomimo wielkich starań, więcej jak dwa lata w naszym kraju żyć nie mogą.

— Kiedy tak — rzekł Ździś — to mi już nie żal, że nie mogę mieć swojej małpy, ale jak podrosnę to pojedziemy Ciociu do ciepłych krajów, żeby widzieć różne zwierzęta, i zbierać daktele z palm.

— Tego ci nie obiecuję, ale jeżeli zdarzy się sposobność, a będziecie grzeczni, to kiedyś pojedziemy zobaczyć menażeryę. *M. U.*

Trójkąt magiczny.

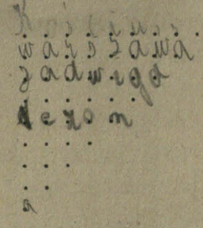

Jenerał z czasów powstania.
Dawna stolica Polski.
Imię żeńskie
Rodzaj stylu w architekturze.
Cesarz rzymski.
Car rosyjski.
Do tego każdy dąży.
Spółgłoska
Samogłoska.

Władek Starkel.

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 19. We Lwowie, dnia 1. Października 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Z przeszłości Kruświcy.

Słońce poranne złociło fale jeziora Gopła, które rozbijały się z pluskiem o brzegi. Lekkie mgły unosiły się jeszcze nad jego powierzchnią po której gdzieniegdzie przesuwały się łodzie rybackie w różnych kierunkach, zdala czerniał książęcy gród Kruświcy i na wyspie, sterczała dumnie kamienna wieża.

Po piasczystym brzegu szła hoża niewiasta w białej namiotce na głowie, wiodąc za rękę małego chłopca.

— Matusiu — ozwało się dziecko — ojcową łódkę już widno.

— Gdzie chłopczyku?

— A tam, tam, hen, daleko, widzicie?

— Toć prawda, widno, jeno nie mogę rozejrzeć dobrze, czy to nasza łódka? rzekła niewiasta, przysłaniając ręką oczy od blasku. — Jak ci to iskierki na jeziorze tańcują do słońca, że aż człek ślepnie.

— A co to, matusiu, te iskierki?

— To chłopczyku one wodne panienki co mieszkają w jeziorze, wyprawiają sobie gody weselne i tańczą pod wodą, aż iskierki na wierzch się wydobywają.

— Jedzie ojciec, jedzie! — zawołał nagle chłopak i klasnął w dłonie.

W istocie do brzegu płynęła spora łódź na środku której stał silny pachołek odziany tylko długą, zgrzebną koszulą bez rękawów, przepasaną rzemiennym pasem i zanurzał wiosło w wodę, pchając łódkę z trudem po zmąconych falach. Przy sterze zaś siedział człek lat średnich, odziany też w białą, płócienną koszulę, na której widniał szeroki pas czerwony, na głowie miał wysoką baranią czapkę, i postoły z łyka lipowego na nogach, wyglądał na dostatniego kmiecia.

Skoro łódź przybiła, kmieć wyskoczył na brzeg, powitał niewiastę i chłopaka, który natychmiast uczepił się ręki ojca i już go nie odstępował; pachołek zaś wyjmował różne przedmioty z łodzi i wziąwszy je na plecy, podążał z pewnym trudem, miał bowiem ryby, zwierzynę, oraz różne przybory łowieckie i rybackie.

— Cóż słychać w Kruświcy? — spytała niewiasta.

— Co ma być? Nasz książe Popiel po dawnemu hula w swojej kamiennej baszcie i bogów obraża.

Przy tych słowach machnął ręką i urwał, jakby nie chciał już więcej o tych rzeczach mówić. Jego oblicze na którem obok spokoju widniała mądrość i doświadczenie, nadające mu wielką powagę, teraz zdawało się zafrasowane; zadumał się tak, że nie słyszał nawet, jak żona mówiła:

— Słuchaj, Piaście, toć jutro postrzyżyny naszego chłopca. Czy dość zwierzyny i ryb przywiozłeś? Niemało przecież ludu się zgromadzi; trzeba ich ugościć jak się należy....

— Nie troskaj się niewiasto, jakoś to będzie. Uczęstujem wszystkiem, co mamy w domu; czem chata bogata, tem rada. Wiedzą oni, żem kmieć nie bogaty, i nie mogę ich ugaszczać, jak książe Popiel.

Tak rozmawiając, szli ku obszernej, ocienionej drzewami sadybie. Była to chata Piasta, kołodzieja. Na podwórzu leżało sporo drzewa oraz gotowych kół i różnych części wozów; dwóch pachołków kręciło się przy stajni, i bydle.

Piast, jako pilny gospodarz, zajrzał sam zaraz do stajni czy konie nakarmione, a Rzepicha, jako troskliwa żona, poszła przygotować posiłek dla niego i dla parobka, który wlókł się, dźwigając kosz na plecach.

Po spożyciu posiłku, Piast ruszył w pole, Rzepicha zaś zabrała z sobą chłopca i udała się do po-

bliskiego lasu, by nazbierać grzybów i jagód na jutrzejszą uroczystość.

Pięknie było na świecie. Las stary i poważny, kołysał się i szumiał przeciągle; wśród smukłych sosen i jodeł, stojących osobno, niby dumni wodzowie, widać było dęby, potrząsające wesoło swoimi zielonymi pióropuszami. Chłopak rozglądał się dokoła po owym lesie, który znał i miłował wielce; przysłuchiwał się spiewowi ptaków i onym szumom, które płynęły kędyś po szczytach drzew, jakby dalekie westchnienia. Matka kazała mu zbierać jagody do króbeczki, którą przywiesiła mu u pasa, ale on co chwila zadzierał głowę w górę ku zielonemu sklepieniu, kołyszącemu się w wietrze.

— Cóż tak patrzysz w górę? Drzewa się chwieją i tyle...

— A co tak szumi po tych drzewach?

— To bóg puszczy, Borowid, przechadza się po lesie...

Wśród lasu ścianą drzew otoczona, leżała kwiecista polanka, oświetlona słońcem; chłopak ujrzawszy ją, pobiegł naprzód z okrzykiem radości i począł skakać po trawie, chwilami zaś kładł się w wysokich ziołach i patrzał w niebo, słuchając wszystkich owych szmerów i szumów, oraz wciągając w pierś żywiczną woń lasu.

— Matusiu! — rzekł nagle do matki.

— A co chłopaczku?

— Toć to ziemia cała szepce i gada do mnie, ja ją słyszę dobrze...

— Cóż się tobie zdaje, wszak to las szumi, ptaki spiewają.

— Nie, nie, to ziemia gada, ja dobrze słyszę — powtarzał chłopiec uparcie. — Ja bardzo kocham tę ziemię, matusiu, mówił dalej, patrząc dokoła siebie okiem błyszczącem i rozmarzonem — ona taka piękna! Jabym słuchał dnie całe, tego co ona gada...

— Tak ziemia piękna i dobra, to matka, co nas karmi wszystkich, więc dobrze, że ją miłujesz — rzekła Rzepicha, mimowoli przysłuchując się temu, co mówił. Zbierając jagody, które przy polance znajdowały się w obfitości, Rzepicha oddaliła się niebawem, zostawiając chłopca leżącego w trawie. Oczy jego, błądząc po gałęziach drzew, wkrótce dostrzegły na jednej z nich siedzącą wiewiórkę, która spoglądała także na niego czarnemi, błyszczącemi ślepkami tak rozumnie, że w jego dziecinnej głowie wkrótce powstała myśl, że to chyba nie jest zwyczajna wiewiórka, tylko jeden z duchów leśnych taką na siebie postać przybrał. Wstał, chcąc jej się bliżej przypatrzyć, ale wiewiórka natychmiast przeskoczyła na inne drzewo, a gdy do tego się zbliżył, uciekała na następne i niebawem chłopiec począł począł się zagłębiać w coraz gęstszy las. Wiewiórka, jakby go chciała zwabić dalej, od czasu do czasu siadała na gałęzi i spoglądała na niego bystro czarnemi oczkami. Już nad głową jego znów zamknęło się ciemne sklepienie olbrzymich jodeł, nie dopuszczając promieni słonecznych, i z każdym krokiem coraz dzikszy bór przed nim się rostaczał, ale on się nie lękał niczego, tylko szedł, gdzie go prowadziła wiewiórka. Wreszcie zaszedł w jakiś wąwóz, osłonięty ponurymi świerkami oraz zawalony pniami drzew obalonych, tam wiewiórka znikła mu w zaroślach i nagle uczuł, że jest bardzo znużony i senny; położył się więc na mchu i zasnął. We śnie zdawało mu się, że widzi nad sobą też same drzewa szumiące i poważne, nikogo nie ma tylko on sam w tym wielkim borze, zląkł się więc i począł wołać matki. Aż oto z poza drzew ukazują się jakieś dwie białe postaci, o skrzydłach jakoby łabędzich i z jasnością nad głowami zbliżają się do niego z łagodnym uśmiechem. Położyły mu na głowie ręce, a on uczuł, że jakaś wielka moc pod tem dotknięciem wstępuje w niego i poczuł się nagle silnym jak olbrzym, a jeden z owych młodzieńców rzekł doń:

— Iżeś umiłował tę ziemię swoję, dajemy ci imię Ziemowit! Chwała spłynie kiedyś na twoje imię, a z rodu twego wyjdą mężowie, którzy przez długie wieki panować będą nad tutejszą ziemią, a gdy ród ich wygaśnie, wielkim żalem napełni się serce ludu całego. Myśmy tu przyszli od Boga zesłani, aby ci to zwiastować; ujrzysz nas dziś jeszcze przed ojcowską chatą. Bądź błogosławiony! — Chłopiec nagle otworzył oczy, nie wiedząc sam, gdzie jest; dokoła już mroki zaległy bór cały, który szumiał głucho, a jemu się zdawało, że w szumie tym słyszy jeszcze ostatnie słowa owych tajemniczych istot: „Bądź błogosławiony! Bądź błogosławiony!“

Wstał i począł iść przed siebie, a choć nie znał drogi, niebawem znalazł ową polankę, na której czekała go matka, zaniepokojona długą nieobecnością syna.

— Gdzieżeś to był, chłopaczku? — rzekła, troskliwie przesuwając ręką po długich, jasnych kędziorach, które jutro miały być obcięte. — A jak ci oczy dziwnie błyszczą, co ci to?

— Matusiu ja miałem taki dziwny sen tam w lesie — rzekł chłopak, i począł opowiadać matce, co mu się śniło. Rzepicha słuchała zdumiona, nie wiedząc, co o tem myśleć.

Niebawem znaleźli się przed własną zagrodą. Gdy się zbliżyli do wrót, ujrzeli tam dwóch wędrowców, okrytych długimi płaszczami i w wielkich kapeluszach na głowach. Ale gdy chłopak podszedł bliżej, chcąc im otworzyć wrota, omal nie krzyknął z podziwu, bo oblicza ich były zupełnie podobne do twarzy owych młodzieńców ze skrzydłami, których widział we śnie. Nazajutrz odbyły się postrzyżyny syna Piasta i Rzepichy, a za radą owych wędrowców nadano mu imię Ziemowit.

Niedługo potem liczny i dzielny ród Myszków zdobył niedostępną wieżę, w której się schronił kniaź Popiel. Piast, ojciec Ziemowita, został na jego miejsce wybrany księciem, a wieża otrzymała u ludu nazwę Myszej z powodu, iż w niej myszy (t. j. Myszkowie) Popiela zjadły.

M. Łopuszańska.

Brat i siostrzyczka.

Gdzie arnika?! gdzie woda?!
— Jakaż smutna przygoda! —
Jaś, swywoląc w ogrodzie
Chciał być byczkiem co bodzie:
Pochyliwszy w dół czoło
Za siostrzyczką biegł wkoło.
Darmo Zosia ucieka,
Krzyczy, prosi zdaleka —
On na krzyk jej nie zważa:
„*Bu-u!*“ straszy, przeraża,
„*Bu-u!* gdy cię dogonię...“
W tem — w pień drzewa buch! skronie.
Oj, coś bieda byczkowi!
Już się coś nie narowi,
Nie ryczy i nie bodzie —
Przyszedł rozum po szkodzie!
Guz, jak jabłko, na skroni,
Jaś nad guzem łzy roni.
Ale Zosia poczciwa
Wnet z pomocą przybywa,
Już dróczenia, swywoli
Nie pamięta gdy boli:
Ulżyć bratu tak rada
Zimną wodę przykłada,
Zastępując Mateczkę
Własną daje chusteczkę,
Jasia główkę związuje,
Łzy ociera — całuje.
A Jaś błąd swój sam widzi,
Dobrej Zosi się wstydzi,
I przyrzeka w przyszłości
Nie robić jej przykrości.

Z. M.



Brat i siostrzyczka.

Tylko jabłuszko!

Powiastka.

(Dokończenie).

— To też uspokójcie się Wawrzon — mówił pan L. — to strachy na Lachy! nie mogą wam przecie nic dowieść a bez dowodu, a przynajmniej silnej poszlaki, przecie żadna rewizya nie zjedzie! To są tylko próżne gadania sadownika, o którego niezgodzie z wami wie cała wieś i każdy wie, że tylko złość przez niego mówi.

— Toć to właśnie bieda, proszę Wielmożnego Pana, że niby poszlaka... jakby tu rzec... niby jakby na mnie! Bo przecie niektóre pańskie jabłka są znaczne jako w całej wsi takich akuratnych nie ma — a tu ten mój wróg złapał dziś na błoniu za wsią mojego małego Jaśka, co miał, Bóg go wie skąd, kilka pańskich jabłek za pazuchą! Durne to, małe, to i dopytać się od tego dobrze trudno: boży się i przysięga, że jabłka znalazł w naszym sadzie pod płotem — to ani chybi, tylko sadownik przez złość sam podrzucił, żeby mógł potem świadczyć na nas! Swoją drogą chłopak dostał pamiętne, żeby do śmierci nie zapomniał — bo juści widział, że pod śliwą jabłka leżą to z niej nie spadły, i mógł nie tykać żeby się cudzem nie sparzyć — ale swoją drogą tamten łotr z tymi jabłkami już poleciał do miasteczka i gadał, że je w sądzie złoży i będzie mnie włóczył do przysięgi, skąd one u mego dziecka. Taka hańba wobec całej wsi, proszę Wielmożnego Pana!

— Reniu! co tobie?! — zawołała w tej chwili Matka, podbiegając z przerażeniem i chwytając w ramiona słaniającą się prawie dziewczynkę.

— Och, Mamusiu! Mamusiu! — chodź ze mną! ja nie wytrzymam! — i Renia trzęsąc się cała jak w febrze wybuchnęła gwałtownym szlochem na ramieniu Matki — Matka uprowadziła ją zaraz do swego pokoju i Renia nie słyszała już, jak Ojciec uspokajał Wawrzona, że sam już zarządził energiczne poszukiwanie prawdziwego złodzieja, którego wykrycie całą sprawę wyświetli. Ciocia i wszystkie dzieci pozostały w jadalnym pokoju, przestraszone nagłem jak się im zdawało zasłabnięciem Reni — a tymczasem dziewczynka dławiąc się wstydem i łzami, wyspowiadała się u kolan matki ze wszystkiego: i z zamiłowania do powtarzania lekcyi właśnie w sadzie, koło oliwek, do którego wstęp był wzbroniony i z pobłażliwości dla własnego łakomstwa, z jaką wyperswadowała sobie, że wolno podnosić opadałki — i z kłopotu w jaki wpadła nie chcąc aby to na jaw wyszło przy Cioci, a nie wiedząc co zrobić z jabłkami w kieszonce — i z tego jak wreszcie, bez zastanowienia przerzuciła jabłka przez płot do sadu Wawrzona, myśląc owszem, że zrobi tem przyjemność dzieciom niani.

— I z tego teraz takie nieszczęście! Biednego Jasia obili i będą aż w sądzie dochodzić kto podrzucił jabłka! Och Mamusiu! ja umrę ze wstydu jeżeli mnie każą przysięgać, ale przecież nie można pozwolić żeby niewinnie posądzali Wawrzona?

Przerażenie malujące się w oczach Reni było tak wielkie, że Matka przestraszona o nią w istocie, przedewszystkiem przygarnęła ją ramieniem aby ją uspokoić.

— Pobłądziłaś bardzo, moja Reniu: nieposłuszeństwem, łakomstwem i brakiem rozwagi radząc sobie w pierwszy lepszy sposób aby tylko uniknąć zawstydzenia. — Ale jesteś bardzo ciężko ukarana, moje biedactwo!

— Ach, Mamo! Jaś... — łka Renia — i czy doprawdy trzeba będzie powiedzieć w sądzie, że to ja podrzuciłam jabłka?...

— Mam całą nadzieję, że złapią prawdziwego złodzieja, Reniu, a że to z pewnością nikt z chaty Wawrzyńca, więc nie będzie potrzeby dochodzić skąd nasze jabłka znalazły się u niego w sadzie.

— Gdyby przecież złodzieja nie znaleźli...

— Gdyby go nie znaleźli i gdyby sadownik uparł się na podstawie tej poszlaki skarżyć Wawrzyńca do sądu, to być może, że trzeba by zeznać skąd Jaś mógł mieć owe jabłka. — Ale uspokój się, Reniu! szczęście żeś mnie choć teraz wszystko wyznała, nie jest jeszcze za późno; wiedząc jak się rzecz ma i widząc jak żywo czujesz swój błąd i nierozwagę, potrafimy cię z Tatusiem osłonić od dalszych przykrych następstw: jeżeli się złodziej nie znajdzie, Tatuś, aby zapobiedz niesłusznej skardze na Wawrzyńca, zapłaci sadownikowi całą szkodę, jak tenże ją sobie sam obliczy, i tym sposobem rzecz całą zakończy.

— Ale to zawsze Tatuś będzie musiał się dowiedzieć o wszystkiem? — mówi Renia podnosząc z nad kolan Matki udręczoną twarzyczkę, którą do nich przed chwilą przycisnęła w przystępie wdzięczności za pociechę i obietnicę obrony od przykrych następstw swojej winy — Tatuś... a może i Ciocia...

— I może jeszcze ktoś, powinien się w każdym razie z ust twoich własnych dowiedzieć się, skąd się wzięły jabłka w sadzie za chatą — mówi Mama i patrzy głęboko i poważnie w oczy swojej dziewczynce.

— Ach!... Wawrzon...i niania... żeby się przekonali, że Jaś nie kłamał — tak! trzeba im powiedzieć! — ale... och, Mamusiu! jakież to trudne i przykre!... Ktoby był mógł przewidzieć: przez kilka marnych jabłuszek, tyle troski i wstydu!

— Prawda, córeczko, że rzecz mała pociągnęła ważne następstwa, ale pamiętaj, że w życiu najczęściej tak bywa! Teraz wydaje ci się twoja przykrość ogromną, ale wierz mi, że całe to zajście, sama jeszcze kiedyś będziesz błogosławić, jeżeli da ci ono na całe życie naukę, że w rzeczach uczciwości i prawdy, nie ma drobnostek! Tymczasem zaś, ponieważ w istocie, tym razem w dalszych następstwach twego błędu zbieg okoliczności odegrał jeszcze większą rolę niż twoja wina — bo ani myślałaś przecież rzucać na kogo pozorów kradzieży, ani ta sprawa kradzieży poruszająca dwór cały, jest właściwie w jakim związku z twojem dziecinnem przewinieniem — przeto zrobimy tak, aby ci nie było zbyt trudno dopełnić tego, co się ciebie należy Wawrzyńcom: Mianowicie, musisz powiedzieć im prawdę, że to „ty wrzuciłaś jabłka umyślnie po to, aby je dzieci znalazły i ucieszyły się niemi“ — ale więcej ponadto, prócz Tatusiowi — który zawsze wszystko ma wiedzieć o swojej córeczce — nie potrzebujesz rozpowiadać nikomu. Dostatecznie już ukaraną jesteś przez udręczenie które dziś przechodzisz od kilku godzin.

Renia obsypała ręce Matki gorącymi pocałunkami a razem z tą dobrą i wyrozumiałą Matką, możemy i my być pewni, że w życiu całem dziewczynka już nigdy na włos nie chybi zaszczytnej prawości charakteru.

— Mamo! — powiada po chwili, odrywając usta od rąk matki — a czy będę mogła dać Jasiowi tę nową, srebrną pięciokoronówkę, którą dostałam na imieniny?

— I owszem, Reniu! wiem, że to prawdziwa ulga dla twego serduszka zrobić dziś jakąś przyjemność biednemu chłopczynie!

— O, Mamusiu! ja nietylko dziś — ja już zawsze będę pamiętała o Jasiu. Jeżeli pozwolisz, zrobię sobie skarbonkę i będę dla niego składała swoje oszczędności, aby później kiedyś dopomódz niani, gdy zechce oddać go do szkół, do miasta — jak wiem, że ma ochotę.

Ponowny długi uścisk zakończył rozmowę Matki z córką — a w godzinę potem Renia po niemniej długiej i kosztującej ją wiele, rozmowie z Tatusiem, trzymając się Matki za rękę, wchodziła nieśmiało do chaty Wawrzyńców. Zarumieniona ze zmięszania przeprosiła ich szczerze za przykrość jakiej powodem stała się dla nich mimowoli, a małego Jaśka wycałowała prawie ze łzami.

Malec jednak wydawał się już zupełnie pocieszony i błyszczącą pięciokoronówkę przyjął głośnym wybuchem radości — a rodziców jego najwięcej ucieszyła wiadomość, że sam sadownik wybrawszy się niby na skargę do miasteczka, przyłapał tam prawdziwego złodzieja, właśnie, jak korzystając z dnia targowego sprzedawał nieuczciwie zdobyte owoce. Okazało się, że tym złodziejem był, dawniej odprawiony fornal, który w zmowie z drugim pomocnikiem, furą po cichu podjechał i sad obrabował: teraz musiał oddać wszystko i jeszcze karę odsiedzieć w areszcie.

— Ciocia i cioteczne rodzeństwo, domyślając się trochę, że Renia miała jakąś przykrość z własnej winy, o nic się nie dopytywali i tak zakończyła się ta sprawa, której wspomnienie miała jednak dziewczynka zachować niezatartem, przez całe życie, chociaż szło w niej „tylko o jabłuszko! *Z. M.*

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 20. We Lwowie, dnia 15. Października 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Stanisław Konarski.

— Mamusiu, kto to był Stanisław Konarski, bo od kilku dni, we wszystkich dziennikach i tygodnikach, które Ojcuszek czyta, widzę wszędzie to nazwisko powtarzane.

— To był, moje dziecko, bardzo zacny i mądry Polak, który żył za Stanisława Augusta.

— Czy to był taki wojak jak Kościuszko?

— Nie, moje dziecko; Kościuszko wsławił się tem, że bił się dzielnie, a Konarski był księdzem w zakonie Pijarów i pewno nawet nie bardzo umiał szablą władać. Ale jego zasługi chociaż na innem polu, są także bardzo wielkie.

— A co on takiego zrobił?

— Zreformował szkoły i sposób wychowywania młodzieży polskiej, na której naukę dotychczas zbyt mało zwracano uwagi, naprzykład nie uczono jej wcale języka ojczystego.

— Mamusiu, co to jest zreformował?

— To znaczy zmienił dawny, zastarzały sposób wychowania i nauczania polskiej młodzieży, na nowy, lepszy; odrzucił książkę łacińską napisaną przez jednego Jezuitę Alwara i zamienił ją na inny, więcej rozwijający umysł podręcznik.

— Ale przecież Mamusiu, dużo panów zajmowało się nauczaniem chłopców, a nikt znów ich tak bardzo nie wielbi i nie chwali, żeby aż dwieście lat o nich pamiętać.

— Masz racyę, moje dziecko, ale jeśli cię tak zajmuje Konarski, co mnie bardzo cieszy, to ci o tym zacnym Pijarze słów kilka opowiem, abyś wiedział dokładnie kto to był, co zrobił i za co w tak żywej i wdzięcznej u Polaków zostaje pamięci.

— O dobrze, dobrze Mamusiu, przecież Ojcuszek mówi, że to obowiązek polskiego dziecka znać przeszłość narodu.

— Więc słuchaj uważnie Jasiu: Stanisław Konarski, herbu Abdank, urodził się w Żarczycach roku 1700, w województwie sandomierskiem z ojca Jerzego i matki Heleny Czerwińskiej. Miał bardzo liczne rodzeństwo, a wuj który się dziećmi zajmował po wczesnej śmierci rodziców, trzech chłopców, a między temi i Hieronima, (który imię „Stanisław“ przybrał dopiero w zakonie) do stanu duchownego przeznaczył. Mając lat piętnaście Hieronim oblekł sukienkę duchowną.

Tu zwrócił uwagę krewnych swych Tarłów: Piotra, biskupa poznańskiego i Jana wojewody lubelskiego. Ci dawszy mu zapomogę pieniężną wysłali go na studya za granicę, do Rzymu i do Francyi.

Tam będąc, przebywał dużo w towarzystwie Stanisława Leszczyńskiego. Rozumny ten i światły monarcha, przejęty miłością dla swego kraju, piszący dużo dla Polaków, aby ich opamiętać i ze zgubnej zwrócić drogi — miał znaczny a bardzo dodatni wpływ na młodego księdza. Po kilku latach pobytu, powrócił Konarski z zagranicy i zaczął walczyć z ciemnotą panującą jeszcze w Polsce z epoki saskiej, a przedewszystkiem zreformował przepisy zakonu Pijarów i posłał do potwierdzenia papieżowi, który zgodził się na te wszystkie jego zmiany.

Potem urządził rodzaj konwiktu, pensyonatu, do którego oddawały mu synów, najprzedniejsze rody w Polsce. Wykładano tam historyę obcych krajów i ojczystą. Oprócz tego uczono geografii, czego dawniej zupełnie uczyć nie było we zwyczaju. Pomyśl tylko, Jasiu mój drogi, uczyli się łaciny, a wcale nie znali swej własnej historyi ani geografii swego kraju! Największą jednak zasługą Konarskiego było pisanie za zniesieniem *liberum veto*, to jest, takiego prawa

które pozwalało zrywać sejmy każdemu, kto się nie godził na zdanie ogółu.

Konarski wykazał jak wiele przez to nieszczęść spłynęło na Rzeczpospolitą, jak nie można było przeprowadzić na sejmie żadnej korzystnej dla kraju uchwały, gdyż zwykle zrywanie pochodziło z prywaty, to jest z osobistych interesów tego, kto sejm zrywał, a nie dla dobra publicznego.

Chociaż chwilowo, zupełnie opinii publicznej nie miał za sobą, jednak wszyscy rozumni i szlachetnie myślący Polacy byli po jego stronie i umysły tak do tego stopniowo przygotował, że 3 maja r. 1791., zostało *liberum veto* na sejmie zniesione.

Król Stanisław August kazał dla niego bić medale, a na nich było wyryte po łacinie: Sapere auso, t. j.: temu co ośmielił się być mądrym.

Ten dowód uznania Konarski przyjął, ale był tak skromnym, że żadnych dostojeństw, ofiarowywanych mu przyjąć nie chciał, i tak odrzucił, trzykrotnie mu ofiarowywane biskupstwo.

Zacny ten Polak umarł roku 1773, na długo trwającą i bardzo bolesną chorobę, którą znosił z cierpliwością i ogromnem poddaniem się woli Bożej.

O. K.

Powrót ze szkoły.

Boleś od wakacyi chodzi do szkoły, ale zdaje mu się, że konikom daleko lepiej na świecie niż chłopcom którzy się muszą uczyć niemieckiego i rachunków. — A to wstawanie przed siódmą, aby się na ósmą nie spóźnić — to pilnowanie się godziny powrotu do domu, to wszystko rzeczy, których Boleś wcale nie lubi! Na wsi u stryjcia było lepiej: można było brykać jak się chciało; a tu, ile razy Boleś wracając po pierwszej zabawi się trochę na ulicy z kolegami, już zaraz Mamusia mu to gani: mówi, że porządni studenci, wyszedłszy o pierwszej ze szkoły już dawno wrócili do domu. A to trudno o godzinie pamiętać, gdy zabawa zawsze najlepiej idzie w powrocie ze szkoły.

I dziś druga wybiła już na ratuszu, gdy Boleś nauganiawszy się po mieście z kolegami, zgrzany i zawstydzony zapukał do drzwi mieszkania. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że go w domu za to spóźnienie może spotkać bura, albo jeszcze i coś gorszego.

Na jego spotkanie wybiegło młodsze rodzeństwo, opowiadając mu na wyścigi, że właśnie przed kwadransem odszedł stąd, ukochany przez dzieci stryjcio Oleś, który tylko na parę godzin przyjechał do Lwowa, i już odjechał na kolej.

Dzieci nie mogły się dość nacieszyć, że go widziały — napieściły się z nim i nafiglowały — każdemu z nich zostawił stryjcio po guldenie, ażeby sobie kupiły jakie ładne książeczki, a o Bolcia pytał się kilka razy, aż nareszcie wychodząc kazał mu powiedzieć, że taki uczeń, który ze szkoły do domu wraca całą godzinę, to i z klasy do klasy będzie pewnie brnął lat parę.

— Jak myślicie, kochani Czytelnicy, czy Bolcio jeszcze się cieszy, że się tak świetnie zabawił wracając ze szkoły?

W tej chwili stoi pod oknem i ma wielką ochotę płakać, że nie zobaczył wcale ukochanego stryjcia, a jeszcze więcej, że mu tak złe dał o sobie wyobrażenie.

Z. M.

Dwóch Leosiów...

Dwóch Leosiów znam na świecie,
Jeden płaksa, drugi zuch —
Toż mi darmo wmówić chcecie,
Że Leosiów nie ma dwóch.



Że ten dzielny wojak mały,
Co tak tęgą minę ma,
Szablę w ręku, wzrok zuchwały,
Trąbkę, która ślicznie gra,

I ten płaksa — tak skrzywiony
Jakby dźwigał nieszczęść wór,
Rozdąsany, rozżalony
Jakby sam kaprysów wzór —

To jest jeden chłopczyk tylko,
Małej Jadzi starszy brat;
Tak zmieniony dąsów chwilką:
Tutaj beksa — a tam chwat

Nie, to darmo! mówię szczerze:
Że to chłopczyk jest ten sam
Za nic w świecie nie uwierzę —
Bo ja dwóch Leosiów znam!

I. M



Z opowiadań Cioci.

III.

— Zanim nam Ciocia pokaże prawdziwą menażeryę, proszę nam opowiedzieć o tej, którą Ciocia widziała, bo my jesteśmy bardzo ciekawe jakie tam były zwierzęta. — Tak pewnej niedzieli prosiły dzieci, a ponieważ Ciocia miała wolny czas, więc chętnie na opowiadanie przystała.

— Czy były tam konie arabskie z długimi ogonami? — pytał Zdziś.

— Nie — odrzekła Ciocia — gdyż w menażeryach i ogrodach zoologicznych, nie trzymają zwierząt które każdy zna i z łatwością widzieć może, tylko takie, które żyją daleko od nas, na południu w krajach gorących, lub zimnych na północy, albo wreszcie takie, które choć pochodzą z Europy ale żyją zawsze w stanie dzikim, w niedostępnych górach i lasach a więc znać je trudniej. Z obrazków w waszych książeczkach znacie już nazwy wielu zwierząt, więc powiedz mi Zdzisiu jakie zwierzęta mieszkają w krajach północnych?

— Reny, niedźwiedzie białe, foki i morsy — odpowiedział bez zająknienia Zdziś.

— Bardzo dobrze; otóż w menażeryi którą widziałam we Lwowie nie było morsów i fok, gdyż te potrzebują wody morskiej bez której giną, ale były dwa ładne niedźwiedzie białe, czyli polarne. Zwierzęta te, jak wiecie, żyją w krainach wiecznych lodów, a ponieważ w menażeryi podczas lata trudno o lód, więc właściciel poradził sobie w ten sposób, że kazał zrobić w dużej klatce pochyłą podłogę, pokrytą grubą blachą, którą często polewano zimną wodą, tak że niedźwiedzie miały złudzenie, że ślizgają się po lodzie. — Ze zwierząt, które lubią zimno, były tam jeszcze: wilk syberyjski, różniący się tem od zwykłego, że ma włos znacznie jaśniejszy, i lis zwany „niebieskim“ którego futro jest bardzo kosztowne.

Pomiędzy zwierzętami ze strefy gorącej największy jest słoń, więc od niego zacznę. Jak wiecie słoń daje się łatwo ułaskawić, w owej menażeryi nie był więc zamknięty w klatce, tylko za jedną nogę przypięty łańcuchem do słupa. Publiczności wolno było przybliżać się do baryery za którą był słoń, i podawać mu niektóre rzeczy do jedzenia. Dostawał więc bułki i owoce, które bardzo lekko brał trąbą z ziemi, a nawet z ręki. Powiedziano nam że „Salambo“ (tak się nazywał ów słoń) lubi pić piwo, chcąc więc zrobić mu przyjemność kazał Dziadzio przynieść piwa, które wlano do wiadra i podano słoniowi. Ten zanurzył swą trąbę i pociągnął piwa, ale niewiem z jakiego powodu nie posmakowało mu ono widocznie, gdyż nagle podniósł trąbę i całą jej zawartość wyprysnął w powietrze, oblewając bliżej stojące osoby. Powstał z tego śmiech i zamięszanie, tymczasem muzyka zagrała marsza, a słoń nauczony, zaczął zaraz przestępywać w takt z nogi na nogę.

Zbliżyliśmy się potem do klatki gdzie był bardzo ładny lew. Ciemna, bujna grzywa okalała wspaniałą jego głowę, a chociaż leżał na pozór spokojnie, silne uderzenia ogonem świadczyły, że król zwierząt nie był zadowolony ze swego losu. — Wtem, na dany znak publiczność się rozstąpiła, i właściciel menażeryi jako poskramiacz dzikich zwierząt wszedł odważnie do klatki lwa, zamykając za sobą podwójne drzwi tworzące rodzaj przedpokoiku. Struchleliśmy na ten widok, gdyż słyszeliśmy już o takim wypadku, że lew rozszarpał człowieka w oczach publiczności. Tu jednak wszystko dobrze się udało: lew posłuszny robił wszystko co mu jego właściciel kazał. Na dany znak biegał wkoło klatki, przeskakiwał przez obręcz, siadał na tylnych łapach, w końcu, na dwukrotny wystrzał z rewolweru w powietrze, lew cofnął się w głąb, a właściciel szybko wymknął się z klatki, zamykając drzwi za sobą.

Odetchnęliśmy swobodnie, gdy niebezpieczeństwo minęło.

Obok klatki lwa stała druga, także duża, gdzie trzy tygrysy były razem zamknięte; chodziły ciągle wzdłuż i w poprzek klatki, pokazując od czasu do czasu zęby, a oczy błyszczały im, jak zwykle u kotów. Nie spodziewaliśmy się by i do tej klatki ktoś miał odwagę wejść, tymczasem tak się stało. Ten sam pogromca, z batem i rewolwerem w ręku, wskoczył do pierwszego przedziału, a potem wszedł do środka. Głuchy pomruk niezadowolenia dał się słyszeć między tygrysami, a po nas przeszedł zimny dreszcz.

Wpatrzony ostrym wzrokiem w tygrysy i posługując się batem, pogromca potrafił zmusić je do posłuszeństwa chociaż jeden z nich stawiał z początku opór. Na komendę rozstępowały się każdy do innego kąta klatki, albo wszystkie zbiegały się do jednego, kładły się na ziemię, skakały jeden przez drugiego, a w końcu gdy dyrektor strzeliwszy z rewolweru cofnął się pospiesznie do kurytarzyka, wszystkie trzy z rykiem rzuciły się do drzwi, jak gdyby chciały go rozszarpać.

Nie ochłonęliśmy jeszcze z wrażenia, gdy oczom publiczności ukazała się panienka, jaskrawo ubrana, i weszła do następnej klatki w której były cztery młode lwy, jeszcze bez grzyw, wielkości dużych psów. Panienka kazała im najpierw biegać w kółko, potem głaskała każdego po kolei, kładła im nawet rękę aż po łokieć do paszczy, a wreszcie podała im na widelcu cztery kotlety z surowego miesa, które lewki stojąc na tylnych łapach delikatnie chwytały.

Na tem skończyły się popisy zwane „tresurą“ dzikich zwierząt, a wkrótce miało nastąpić ich karmienie którego także byliśmy ciekawi; tymczasem oglądaliśmy inne zwierzęta. Długo przypatrywaliśmy się lwicy z dwoma lwiątkami, urodzonemi już w niewoli. Zwinne były jak koty i podobnie się bawiły; miałam nawet wielką ochotę pogłaskać jedno lwiątko przez żelazne

sztaby, ale dozorca uprzedził, że to niebezpiecznie, bo lwica boi się o swoje małe.

Były jeszcze w menażeryi dwa niedźwiedzie: brunatny i czarny; dwie hyeny: pręgowana i centkowana, pantera trochę mniejsza od tygrysa, pręgowana żebra, wielkości i kształtu małego kucyka, mrówkojad z długim pyszczkiem, z którego wysuwa jeszcze dłuższy, rozdwojony język i wyjada nim mrówki z mrowiska — a wreszcie, różne inne mniejsze zwierzęta, których już sobie dokładnie nie przypominam.

Nagle powstał niepokój pomiędzy zwierzętami mięsożernemi, poczuły bowiem zapach krwi, i spostrzegły, że wniesiono dla nich pożywienie. Dozorcy brali żelaznemi widłami wielkie kawały surowego mięsa końskiego i podawali do wnętrza klatek, rozdzielając sprawiedliwie. Do klatki z tygrysami rzucono więc trzy kawałki mięsa, które tygrysy wnet pochwyciły, i przytrzymując przedniemi łapami żarłocznie zajadały, warcząc przytem jeden na drugiego. Spieszyły się bardzo, jednakże chociaż porcye były równe, dwa tygrysy skończyły trochę prędzej, a wtedy rzuciły się na trzeciego, chcąc mu mięso wydrzeć. Wszczęła się zażarta walka: trzy ciała czarno-żółte kłębiły się razem, tak że ich rozróżnić nie było można, a klatka trzęsła się cała. Publiczność przestraszona zaczęła uciekać z menażeryi, lecz dozorcy pochwyciwszy żelazne drągi rozłączyli niemi zapaśników.

— A czy były bardzo pokaleczone? — zapytały dzieci.

— Nie bardzo, gdyż walka ta trwała bardzo krótko, za to moje opowiadanie dzisiejsze przeciągnęło się dłużej niż zwykle — rzekła Ciocia patrząc na zegarek — muszę już odejść, a wy możecie wziąć wasz „Świat zwierzęcy“ i przypatrzyć się uważnie zwierzętom o których była mowa. *M. U.*

Wdzięcznuś.

Powiastka z prawdziwego zdarzenia.

Stefuś i Lutek wrócili ze szkoły, a złożywszy książki i zeszyty na właściwem miejscu, poszli do jadalnego pokoju, przywitali Mamę i poczęli pytać o obiad.

— Niedługo będzie, moje dzieci, powiedziała Mama.

— Ja taki jestem okropnie głodny! rzekł Stefanek.

— O! ja zjadłbym wołu z rogami, konia z podkowami...! zawołał Lutek.

— Kota z pazurami! dokończyła ze śmiechem Helenka, odrabiająca przy Mamie zadanie arytmetyczne.

— Kot, to w sam raz dla ciebie przysmak, ja już ci z niego moją porcyę ustąpię; za to pieczeń cielęcą zjem całą i nie zostanie dla ciebie ani kawałeczka.

— Wy sobie żartujecie, a ja rzeczywiście umieram z głodu, rzekł Stefanek chodząc dokoła stołu nakrytego białym obrusem i przygotowanego do obiadu. Nie! doprawdy Mamusiu, ta Anna staje się nie do zniesienia; już trzecia dochodzi.

— Nie rozumiem czemu jej Mamusia nie odprawi, — rzekł Lutek.

— Bo to coraz niedołężniejsza, zawsze na nią czekać trzeba...

— A jaka zła! Helence powiedziała kiedyś, aby sobie poszła z kuchni.

— A mnie żebym książek pilnował.

— Taka nudna, gderliwa, czyż podobna ją trzymać?

Tak mówili obaj chłopcy naprzemiany, chodząc koło stołu, a młodsza siostra potakiwała im kiwając główką.

— Moje dzieci, odezwała się Mama, właśnie dlatego że Anna zestarzała się w usługach naszej rodziny, czyżby się godziło odprawiać ją dziś?

— Mogłaby Mamusia wziąść inną, zdatniejszą kucharkę, a Anna niechby jej pomagała.

— Nie stać mię na trzymanie tylu sług. Zresztą Annie przykro byłoby schodzić na pomocnicę, gdy przez lat trzydzieści cztery była kucharką. Nie może już pracować równie zręcznie i pospiesznie jak za młodu, to też pomagam jej zwykle; ale dziś musiałam wyjść na miasto i dlatego obiad się spóźnił.

— Nie wiem czemu Mamusia ma się trudzić sama, rzekł Lutek. Lepiej byłoby pożegnać Annę, niech sobie szuka innej służby.

— Mówisz tak, jakbyś miał bardzo złe serce Lutku. Jeślibym ja nie chciała trzymać Anny dlatego, że nie jest już tak zręczna i żwawa jak młoda służąca, to jakże chcesz, aby ją w innym domu do służby przyjęto? Tam nie mieliby powodu do okazywania jej szczególnych względów, gdy tymczasem my mamy obowiązki wdzięczności dla tej poczciwej sługi.

— Czy za to, że pielęgnowała wuja Stefana w chorobie? spytała Helenka. (Dok. nast.).

Łamigłówka.

Ko — ra — kan — ar — das — me — [illegible] — [illegible] — ga — nia — clerz — me — i — nia — za — ła — ra — mię — im — ta — bryk — za — eu — ry — ży — dz — ka — ptus — li — to.

1. Imię męskie. 2. Góry w Afryce. 3. Rzeka w Ameryce. 4. Dawny urząd w Polsce. 5. Kraj w Azyi. 6. Choroba. 7. Przyrząd do szycia. 8. Roślina. 9. Naczynie. 10. Drzewo w Australii. 11. Grzyb. 12. Gatunek zboża.

Pierwsze litery tych wyrazów, czytane z góry na dół dadzą imię króla polskiego. *Norman M.*

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 21. We Lwowie, dnia 1. Listopada 1900. Rok VIII.

Gwiazdka

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Za umarłych.

Za umarłych dzwonią dziś w kościele —
Uklęknijcie wszystkie polskie dzieci!
Mamy zmarłych swoich wiele, wiele...
Niech im światłość wiekuista świeci!

Naszym królom, i naszym hetmanom,
Naszym wieszczom, uczonym i świętym,
Rzeszom ludu od pługa i panom —
Wszystkim polskim zmarłym wniebowziętym!

Za nich wszystkich, dziś zmówcie pacierze:
Wszyscy oni bliscy wam i wasi!
A wszak w świętej uczycie się Wierze
Że modlitwa żary czyśćca gasi —

Oni wzajem, ciągle w każdej dobie
Naszą tarczą są skrzydły swojemi —
W każdej trwodze naszej i żałobie
Niosą Bogu jęki swojej ziemi.

Tak wzajemną usługą gorliwą
Złoty łańcuch związżem nieprzerwanie
W jedno wielkie miłości ogniwo
Jako każe „świętych obcowanie!“

Z. M.

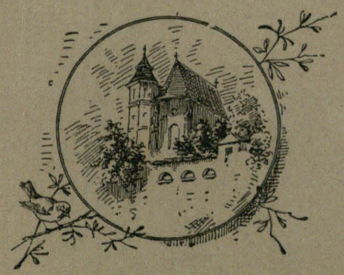

Wdzięcznuś.

Powiastka z prawdziwego zdarzenia.

(Ciąg dalszy).

— I za to także. Wszak opowiadałam wam nieraz, jak to wujcio zachorował śmiertelnie będąc w szkołach; matka nasza nie mogła jechać do niego, bo sama była wówczas chora na tyfus, ojciec już nie żył, więc Anna pojechała do Stefka i pielęgnowała go w chorobie, czuwając dzień i noc, dopóki nie wyzdrowiał. Oprócz tego, przez cały czas swej służby była zawsze wierną i przychylną dla nas i taką też jest dzisiaj. Czyż za to ma pójść żebrać, gdy się zestarzała? Tegobyście chcieli?

— Ależ nie, Mamusiu! ja nigdy nic podobnego nie myślałem, zawołał Lutek zarumieniony.

— Ja wiem, że Anna jest dobra, choć się nie spieszy i często na nas gderze, rzekł Stefuś.

— Jabym się bardzo martwiła, gdyby ona od nas odeszła, doprawdy — dodała Helenka.

— Bo ona też kocha was, choć się czasem zniecierpliwi — rzekła Mama — wierzcie mi.

W tej chwili Basia wniosła upragnioną wazę; Helenka pobiegła poprosić Ojczulka na obiad i wszyscy zasiedli do stołu.

W kilka dni, po tej rozmowie, przyszła wiadomość, że ciocia Józia siostra Mamy, niebezpiecznie we Lwowie zachorowała. Ciocia Józia mieszkała zupełnie sama, nie miał jej kto pielęgnować, więc Mama bardzo zmartwiona, pojechała zaraz do niej, zaleciwszy dzieciom aby były grzeczne i słuchały starej Anny, gdy Ojczulek zajęty w biurze.

Ale już w trzy dni po wyjeździe Mamy przyszła wiadomość, że cioci Józi polepszyło się nadspodziewanie szybko i Mama za kilka dni będzie mogła wrócić,

bo przyjeżdża przyjaciółka cioci, która z nią spędzi czas rekonwalescencyi.

Dzieci ucieszyły się niezmiernie tą wiadomością i z upragnieniem oczekiwały powrotu Mamy. Do miasta, które zamieszkiwali, nie dochodziła kolej żelazna, lecz dyliżanse pocztowe, odchodzące i przychodzące codziennie, łączyły je ze Lwowem. Dzieci miały ochotę biedz codziennie na pocztę, dosyć oddaloną od ich mieszkania, w nadziei, że Mama przyjedzie, ale Ojczulek utrzymywał, że tak prędko wrócić nie może.

Aż nareszcie pewnego dnia zapowiedział dzieciom, aby się nazajutrz wcześnie lekcyi wyuczyły, by po ukończeniu ich módz pójść na pocztę, bo już teraz na pewno można się spodziewać przyjazdu Mamusi.

— Przyjedzie Mamusia ! przyjedzie ! — wołał Stefek wyskakując na około stołu — żeby tylko z temi lekcyami wcześnie się uporać!

— Ja się pospieszę, to skończę jeszcze przed obiadem — rzekła Helenka.

— Wielka rzecz! — odrzucił Lutek — gdybym ja miał tylko tyle zadane co ty!

— Co prawda — i my moglibyśmy skończyć nasze lekcye przed nadejściem dyliżansu — rzekł Stefanek — gdybyśmy tak wstali z półtorej godziny wcześniej.

— Choćby i dwie! pójdźmy poprosić Anny żeby nas obudziła. — Poszli wszyscy troje, zadowolnieni ze swego pomysłu.

— Anno kochana, czy Anna obudzi nas jutro o wpół do siódmej? prosił Lutek, najśmielszy.

— A czy to mało jeszcze macie czasu na niepotrzebne figle? mruknęła stara sługa.

— Nie do figlów, ale do nauki wstać wcześnie chcemy, aby pójść potem na spotkanie Mamusi, tłómaczyła się Helenka.

— Albo wy to zechcecie wstać? — rzekła znów Anna.

— Niech nas tylko Anna obudzi, prosimy. Obudzi nas Anna?

— Cóż mam robić? obudzę kiedy wam się zachciało — odrzekła.

Dzieci wyszły z kuchni zrażone nieco oburkliwością starej Anny, która jednak patrzyła na nie wzrokiem, pełnym tkliwości przywiązania. Gderała widocznie z nawyknienia.

— Jaka ta Anna niemiła! powiedział Stefanek gdy wyszli.

— Zawsze gderze i burczy! — dodał Lutek — a siostrzyczka potakiwała im słowami: A prawda!

Nazajutrz jednak Anna obudziła ich punkt o wpół do siódmej, a że ubrali się prędko i pracowali gorliwie, niewiele lekcyj zostało chłopcom na później i te odrobili zaraz po obiedzie. To też około godziny czwartej poszli wszyscy na stacyę dyliżansów.

Z jakąż niecierpliwością oczekiwali przybycia karetki! Nareszcie rozległ się dźwięk trąbki pocztowej i w chwilę potem zatoczył się ciężki pojazd. Czy też Mamusia w nim jest? myślały dzieci z bijącem sercem, usiłując dojrzeć ukochaną twarz przez szyby. Podróżni poczęli wysiadać, otóż i Mama! Rzuciły się do niej dzieci z powitaniem, potem Ojczulek najął dorożkę, na której wszyscy mieli jechać do domu. Kładziono rzeczy.

— Cóż to za pies Mamusiu? spytał Stefuś dostrzegłszy niewielkiego pieska obok Mamy. Czy go Mamusia ze Lwowa przywiozła? ciągle się kręci koło Mamy.

— Czy Mamusia dostała go od kogo? — spytała Helenka.

— O! to cała historya, odrzekła Mama. Opowiem wam ją w domu; teraz nadmienię tylko, że to poczciwe stworzenie samo przylgnęło do mnie, przez wdzięczność.

— Doprawdy? jakiż to miły piesek!

— A jak rozumnie patrzy na Mamusię!

— Jak się łasi i kręci ogonkiem!

— Weźmy go do dorożki! mówiły dzieci naprzemiany, wsiadając.

Ojczulek obawiał się, że piesek się nie zmieści, ale na prośby ogólne, wsadził go do dorożki. Jednak zmyślne stworzenie, jakby widząc iż sprawia niewygodę, wyskoczyło na ziemię i biegło za dorożką ku wielkiej radości dzieci, które znajdowały, że piesek jest prześliczny.

Po herbacie i rozpakowaniu podróżnych tłomoczków, Mama oznajmiła, że gotowa jest opowiedzieć jakim sposobem doszła do posiadania czworonożnego faworyta.

— Pójdźcie tu! Stefanku! Lutku! Mamusia opowie nam historyą pieska! — wołała Helenka na braci — którzy oglądali książki przywiezione ze Lwowa. Przybiegli natychmiast.

— Otóż moje dzieci, zaczęła Mama, gdy cioci Józi było już znacznie lepiej, wracałam raz od znajomych i spotkałam oprawcę goniącego po ulicy za tym właśnie pieskiem. Biedne zwierzę zdawało się przeczuwać niebezpieczeństwo, bo kryło się trwożliwie za przechodniów, skomląc żałośnie, wreszcie wpadło pod moje nogi i tu właśnie schwytał je oprawca i chciał je na sznurze zaciągnąć do swej budki. Żal mi się zrobiło biedactwa.

— Proszę puścić tego psa! ja zapłacę ile zażądacie, odezwałam się do tego człowieka, wyjęłam portmonetkę i dałam mu dwie korony. Oswobodzony piesek uciekł natychmiast, i znikł mi z oczu a ja poszłam w swoją drogę. Mieszkanie cioci Józi było niedaleko — niebawem więc doszłam do domu.

Nasza chora czuła się coraz lepiej i miała ochotę zjeść kawałek kurczęcia, zajęłam się przygotowaniem dla niej posiłku, gdy wtem weszła służąca z zapytaniem:

— Proszę pani, czy to pani nabyła gdzie tego psa? Wpadł do przedpokoju zaraz za panią — skulił się pod ścianą i nie da się wypędzić, choć mu grożę kijem. (Dok. nast.).

Potrzebny kotek.

Mała Karolcia dostała na imieniny od swej dawnej niani, ślicznego kotka, Minusia. Bardzo zgrabne i miłe było to stworzonko, a co najważniejsza, że tak był dobrze wychowany, że drapać wcale nie umiał. To też Karolcia wkrótce pokochała go ogromnie; po całych dniach, o ile tylko nie siedziała przy lekcyi, bawiła się z nim — karmiła go regularnie rano, w południe i wieczór i nawet chciała na noc brać go do swego łóżeczka ale mama stanowczo zabroniła jej tego..

Że Karolcia tak pokochała swego kotka i dbała o niego, było rzeczą bardzo naturalną i godną pochwały — ale jedno musimy jej zganić: oto, że była o niego tak zazdrosną, iż nikomu nie pozwalała tknąć go ani popieścić. Najwięcej ukolewał nad tem Staś, młodszy braciszek Karolci, który byłby również bardzo rad bawić się z Minusiem, dać mu czasem mleka lub kawałeczek mięsa z obiadu — cóż kiedy siostrzyczka zawsze sprzeciwiała się temu dowodząc, że kiedy to jest jej kot, to z nią tylko powinien się bawić i ją jedną kochać.



— Masz swoje koniki możesz je karmić — mówiła, a Staś odchodził z zasmuconą minką, bo drewniane koniki wcale jeść nie chciały, więc nie było tak przyjemnie je karmić jak żywego kotka.

Karolcia umiała już dosyć dobrze czytać i pisać; Mamusia nawet zaprenumerowała już dla niej „Wiek Młody“ i czytywała z nią razem wszystkie powiastki i wierszyki z „Dodatku dla młodszych“. Aż tu pewnego razu Redakcya pisemka ogłosiła swoim czytelnikom konkurs na kaligrafię. — Karolcia bardzo się tem ucieszyła i odrazu postanowiła, że do tego konkursu należeć będzie — zaczęła też bardzo pilnie przykładać się do pisania, ażeby się jeszcze lepiej wprawić nim nadejdzie ostateczna pora wysłania do Redakcyi próby pisma.

Nareszcie już tylko dwa dni brakowało do oznaczonego terminu — Karolcia dostała od Mamy ślicznie poliniowany arkusz papieru, odkalkowała na nim bukiet kwiatów i z bijącem sercem zasiadła do pisania kaligrafii. Długo namyślała się co napisać, aż nareszcie postanowiła, że przepisze ze swej czytanki, opowiadanie o kotku — niechaj Redakcya odrazu dowie się, co ona najlepiej lubi!

W tejże chwili Minuś przybiegł i zaczął mrucząc ocierać się o jej nogi. Spróbowała wziąść go na kolana ale, że tak pisać było jej niewygodnie, posadziła go naprzeciw siebie na stole i pogroziła mu palcem na nosie, żeby cicho siedział.

Minuś widocznie zrozumiał o co chodzi, bo usadowił się wygodnie i przybrał tak spokojną minkę, jakby do samego wieczora nie myślał ruszyć się z miejsca.

Ale za Minusiem nadbiegł Staś, zaczął kręcić się dokoła stolika, głaskać kotka, dotykać z lekka jego ogonka.

— Stasiu, przeszkadzasz mi! jeszcze się przez ciebie pomylę! wołała Karolcia.

— To mi pozwól wziąść Minusia i pobawić się z nim troszkę — prosił chłopczyk.

— Nie pozwalam — Minuś zmęczony — zostaw go w spokoju.

— Jabym mu zrobił z różowego papieru taką śliczną myszkę do zabawy — on bardzo lubi takie myszki — naprawdę!

— Nie potrzeba — Minuś się obejdzie bez twoich myszek; jak zechcę, to mu sama zrobię.

— Czemu Karolcia jest taka nieużyta — odezwała się z wymówką Mama, przerywając sobie szycie na maszynie, którem była zajęta. — Przecież Staś nic kotkowi złego nie zrobi; pozwól mu pobawić się.

— Ależ Mamo, kiedy Minuś teraz mnie jest potrzebny — ja przecie pisze o kotkach, to się muszę patrzeć na niego. On mi jest koniecznie potrzebny.

I Karolcia zaczerwieniła się — bo wiedziała, że do przepisywania z czytanki opisu kotka, Minuś nie był jej wcale potrzebny.

Mama nic już na to nie odpowiedziała; Staś odszedł zasmucony i zaczął karmić w kącie drewnianego konika, a Karolcia gorliwie zabrała się do pisania.

Szło jej doskonale; pióro było jakieś wyjątkowo dobre, atrament tak samo — i po upływie godziny cały arkusz został zapisany równiuteńko i czysto. Już tylko podpisu brakuje. Karolcia uradowana, że taką śliczną próbę pisma przeszle Redakcyi, postanowiła podpisać się z ogromnym zakrętasem, tak jak Tatko zwykł był się podpisywać na listach do Mamusi. Umaczała więc pióro, wykaligrafowała podpis i zakręciła na końcu takiego zawijasa, jakiegoby się najdoroślejszy

urzędnik nie powstydził. — Wtem... Minuś, który dotąd bardzo spokojnie przypatrywał się robocie swojej pani — widząc ją tak żywo poruszającą piórem, wziął to za osobistą zaczepkę i zachętę do zabawy — w jednej chwili skoczył na papier, chwytając pióro w swoje łapki a po drodze przewracając książkę i kałamarz, którego zawartość wylała się czarną strugą na śliczną próbę pisma.

Przepadł konkurs kaligrafii! — Karolcia tak się zmartwiła tą przygodą, że już nawet nie miała ochoty zabierać się powtórnie do pisania.

Z płaczem pobiegła do Mamy, poskarżyć się — ale Mama, zamiast ją pocieszać rzekła tylko:

— A co Karolciu — czy i teraz myślisz, że Minuś był ci tak koniecznie potrzebny przy pisaniu, iż nie mogłaś się bez niego obejść?

Od tej pory Karolcia nigdy już nie broniła braciszkowi, bawić się swoim kotkiem. *I. M.*

Małym dzieciom o wielkich wynalazkach.

II.

Telegraf.

— Mamusiu, Mamusiu! — wołała Lola, wbiegając do pokoju — jest telegram od Cioci — Tatko już przeczytał i powiedział, że jutro trzeba konie wysłać po Ciocię na kolej!

— Mama uściskała córeczkę za nowinę i poszła zająć się przygotowaniami na przyjęcie miłego gościa. Gdy za godzinkę zarządziwszy wszystko, wróciła do swego pokoju, zastała tam oboje swoich dzieci, sprzeczających się o coś głośno.

— Kiedy ci mówię, że Ciocia pisała telegram, to Ciocia! — dowodziła sześcioletnia Lola — sam Tatuś powiedział, że to od Cioci.

— Od Cioci, ale Ciocia sama nie pisała, tylko ten pan co tam na stacyi kolejowej tak stuka maszynką — dowodził o rok starszy Staś. — Jak jeździłem z Tatusiem do Lwowa, pytałem się co ten pan tam robi w tym małym pokoiku, a Tatuś mi powiedział, że telegrafuje!

— Telegrafuje Stasiu, ale nie pisze — poprawiła Mama, która wchodząc usłyszała o co idzie. — Pisała ten telegram sama maszynka czyli przyrząd, tak dowcipnie urządzony, że tu u nas na stacyi pisał to, co mu kazano o sześć mil stąd, to jest, w Przemyślu, gdzie mieszka Ciocia.

— Mamusiu, jakaż to mądra maszynka! i jak to jej tak można kazać o sześć mil?

— To przecież nie sama maszynka mądra tylko ludzie ją tak mądrze wymyślili — a jak to być może żeby nie tylko o sześć ale i o dziesięć i o sto a choćby o tysiące mil pisała co jej każą, spróbuję wam wytłómaczyć. Powiedz mi Stasiu, cobyś zrobił gdybyś musiał w tej chwili powiedzieć coś Tatusiowi, który jest na gumnie a sam byś pójść nie mógł:

— Chybabym posłał kogoś — odpowiedział chłopczyk z namysłem.

— Doskonale! a więc i Ciocia chcąc nam dać znać kiedy przyjedzie, wyprawiła do nas posłańca, który choć niema ani nóg, ani skrzydeł, przebył tych sześć mil tak szybko jak błyskawica — tym posłańcem Cioci była elektryczność.

— A co to takiego, ta elektryczność?

— Zaraz wam pokażę: podaj mi Stasiu tę laskę laku, co leży na mojem bióreczku, a ty, Lolu, naskub drobniuchnych kawałeczków papieru. Teraz patrzcie: oto pocieram mocno lak kawałkiem sukna a następnie przybliżam go do drobnych kawałeczków papieru — cóż się dzieje?

— Podskakują kawałeczki, Mamusiu! Jak to zabawnie! przyskakują same i przyczepiają się do laku a po chwili odpadają i znów podskakują — całkiem jakby tańczyły!

— Nie, teraz już ustały — żeby to powtórzyć musiałabym dopiero lak potrzeć suknem na nowo. Wolę pokazać wam to samo na czem innem. Patrzcie, mam tutaj szklaną łyżkę od kompotu: pocieram ją tak samo jak przedtem: lak i kawałeczki papieru tak samo do niej przyskakują. A tutaj oto Tatkowa bursztynowa papierośnica: z tą, jeszcze lepiej próba się nam udaje, bo potarłszy ją, trzymam ją wyżej nad papierkami, a ona tak samo je przyciąga. — Pokruszcie teraz ten kawałek korka na małe kawałeczki: potarty suknem bursztyn, szkło lub lak, będą przyciągać te okruchy korka, tak jak przyciągały kawałeczki papieru! Dźwignęłyby tak samo w górę słomki lub piórka — a czego to potrzeba, Stasiu, aby coś dźwignąć lub pociągnąć?

— Potrzeba siły Mamusiu.

— A więc widocznie ten kawałek bursztynu, szkła, czy laku, mocno potarty, objawia pewną siłę, której w nim przedtem nie można się było domyśleć, a która mu wystarcza do przyciągania i dźwigania drobniuchnych przedmiotów. Już bardzo dawno bo jeszcze przed Narodzeniem Pana Jezusa zauważyli tę szczególność w bursztynie, najpierw starożytni Grecy, a że w ich języku bursztyn nazywa się elektron, więc tę jego siłę nazwali elektrycznością i ta nazwa po dziś dzień została.

(Dok. nast.).

Łamigłówka zgłoskowa.

Zy — rep — ni — inns — le — na — nar — ha — leś — bruk — cze — cy — ki.

1. Część stłuczonego naczynia. 2. Łąki w Tatrach. 3. Stolica Tyrolu. 4. Legumina dość znana. 5. Kwiaty wiosenne, (*czyt. odwrotnie*).

Początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwę kraju w Azyi, w którym obecnie panują rozruchy, a końcowe litery, tworzą nazwę stolicy tego kraju.

Marylka Zwolska.

Wydawczynie i redaktorki: Irena i Zofia Mrozowickie.

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr 22. We Lwowie, dnia 15. Listopada 1900. Rok VIII.

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Ojczyzna.

Czyli wiesz dziecino moja
Co to jest Ojczyzna twoja
Kraj przez ciebie ukochany?
Tam gdzie zboża bujne łany
W dal się ciągną, hen, bez końca,
Złocą się w promieniach słońca,
Szumią bujnym kłosem w lecie:
To Ojczyzna twoja, dziecię!

Te zielenią barwne łąki,
Ponad które wciąż, skowronki
I ptaszęta różnopióre
Z dźwięczną piosnką lecą w górę;
Gdzie na wiosnę, w skwarnem lecie,
Różnobarwne lśni się kwiecie,
Co je Boża moc posiała:
To Ojczyzna dziatwo mała!

Gdzie cieniste bory, lasy,
Lepsze ongiś pomną czasy,
Gdzie odwieczne szumią drzewa,
Na nich ptaszę tęsknie śpiewa
I drapieżny zwierz się chowa;
Kędy ludzka nie brzmi mowa,
Tylko władza sięga Boga:
To Ojczyzna twoja droga!

Nagie skały, wzniosłe góry,
Co wspinają się pod chmury,
Źródła, rzeki i potoki;
Co w świat wielki i szeroki
Coraz dalej i wciąż dalej
Toczą czyste, modre fale
I do morza hen gdzieś płyną:
To Ojczyzna twa dziecino!

I z krzyżami te świątynie,
Skąd modlitwa szczera płynie,
Wraz pobożne lecą głosy
I błagalna pieśń w niebiosy,
Aby lepszą zesłał dolę,
Płacz ukoił, łzy i bole
Stwórca świata Wiekuisty:
To Ojczyzna, kraj ojczysty!

Kryte słomą niskie chatki;
Kędy pacierz szepcą dziatki,
Gdzie pod krzyżem dziadek siwy
Opowiada ludziom dziwy
O tej sławie, którą brzmiała,
Niegdyś Polska nasza cała
Gdy gromiła mieczem wroga:
To Ojczyzna, dziatwo droga!

Starych zamków dawne szczątki,
A w nich drogie nam pamiątki;
Te mogiły i kurhany,
Gdzie waleczne śpią hetmany,
Co w śmiertelnym z wrogiem boju
Kraj bronili piersią swoją,
Ziemia krwią ich przesiąknięta:
To Ojczyzna, wielka, święta!

Całą duszą swą niewinną
Kochaj ziemię tę rodzinną.
Ucz się, pracuj życie całe,
Na pożytek Jej i chwałę.
Gdy twym celem będzie cnota,
Zechcesz każdy ślad żywota
Znaczyć szczytnym serca czynem:
Będziesz dobrym Polski synem!

Ignacy Nowicki.

Przejażdżka do Cioci.

Co za szczęście! Mama przyszła z listem w ręku do Wandzi, siedzącej nad książką — a co w tym liście było? Wandzia z Mamą zostały zaproszone na niedzielę do cioci Zosi, która mieszkała na wsi, o pół mili za Lwowem i miała dwie córeczki nie wiele starsze od Wandzi i serdecznie z nią zaprzyjaźnione. W niedzielę właśnie wypadały imieniny jednej z nich — miano tańczyć, bawić się w gry, zajadać przysmaki, słowem używać mnóstwa przyjemności — a już sama przejażdżka sankami stanowiła rozkosz prawdziwą. W wilią tego szczęśliwego dnia, Wandzia do północy zasnąć nie mogła z radości. To też nazajutrz zbudziła się aż o pół do dziewiątej; przestraszona, że już tak późno, zerwała się czemprędzej i pobiegła do Mamy.

Jakież było jej zdziwienie, gdy zastała ją jeszcze leżącą w łóżku, a okok niej na stoliczku zobaczyła flaszkę z lekarstwem i filiżankę herbaty z cytryną.

— Głowa mnie bardzo boli — rzekła matka — nawet nie wiem czy będę mogła wstać i pojechać do cioci.

— Ach Mamo! czyż by to być mogło, żebyśmy nie pojechały! wykrzyknęła Wandzia i w jednej chwili buzia jej skrzywiła się do płaczu.

— Zobaczę, może jeszcze zrobi mi się lepiej — w każdym razie nie płacz naprzód, bo łzy nic nie pomogą. Mnie samej żal bardzo tego projektu i jeżeli tylko będę mogła, nie pozbawię ciebie i siebie tej przyjemności.

— Z pewnością ci się zrobi lepiej Mateczko, przecież ból głowy to tak prędko mija, — napij się tylko herbaty z cytryną.

Mama już nic nie odpowiedziała, a Wandzia odeszła na śniadanie z sercem ciężkiem i minką skwaszoną.

— To dopiero nieszczęście, że Mamę właśnie dzisiaj głowa boli! — Lola i Cesia okropnie się zmartwią, jak ja nie przyjadę; gdzież im można w imieniny robić taką przykrość.

Po upływie godziny, zajechały przed dom sanki, które ciocia obiecała przysłać po swoich gości. — Wandzia pobiegła z tą nowiną do Mamy. — Już są konie! prawda mateczko, że ci już lepiej, i że będziemy mogły pojechać?

— Trochę mnie mniej głowa boli, czuję się tylko bardzo osłabioną, ale będę próbowała wstać.

Rzeczywiście Mama podniosła się i zebrała. Wandzia dopomagała jej w tem, zachęcając ciągle, żeby zjadła kawałeczek szynki, to jej się zaraz lepiej zrobi.

Namowy te nie poskutkowały, bo Mama nie miała wcale apetytu i była tak blada, że chwilami aż Wandzię zdejmował o nią niepokój, czy naprawdę bardzo chorą nie jest.

— Ej, to migrena, to minie na świeżem powietrzu — uspokajała się w duchu i podała Mamie kapelusz, bo były już obie gotowe do drogi.

— Jaka szkoda, że ten projekt na dziś właśnie wypada, tak chętnie pozostałabym w domu i odpoczęła sobie, ale mi ciebie żal — szepnęła Mama, rzucając w stronę Wandzi jakieś szczególne, pytające spojrzenie.

Dziewczynka zaczerwieniła się jak wiśnia — czuła, że należało jej w tej chwili uściskać Matkę i powiedzieć: Zostańmy Mamo w domu, kiedy jesteś cierpiącą, ja nie będę bardzo żałować — ale cóż kiedy nie mogła zdobyć się na odwagę wypowiedzenia tych słów, bo taką straszną miała ochotę pojechać do cioci...

Po chwilowem wahaniu, zaczęła nakładać filcowe buciki, jak gdyby powiedzenia Mamy wcale nie słyszała.

Ubrały się i zeszły na dół — konie cioci parskały wesoło, potrząsając przywiązanemi do szyi dzwonkami, śnieg iskrzył się w promieniach słońca, a na koźle obok furmana stał ogromny kosz, wyładowany zdaje się, bo złote pomarańcze wyglądały z pod jego pokrywy. — Rzecz dziwna, że to wszystko przez wpół tylko cieszyło Wandzię. Zaledwie znalazła się na sankach ogarnął ją jakiś smutek, niepokój, który daremnie starała się przytłumić, myśląc o radości z jaką Lola i Cesia wybiegną na jej spotkanie.

— Nie zimno Mamusi? — zapytywała z trwogą, ile razy owiał je ostrzejszy podmuch wiatru — nie zaziębi się mateczka?

Mama przecząco wstrząsnęła głową, ale Wandzia nie czuła się uspokojoną, bo już samo milczenie i bladość Matki napełniały jej serduszko obawą, którą wyrzuty sumienia potęgowały z każdą chwilą.

Ach cóżby za to dała, żeby już najprędzej znaleść się w ciepłym pokoju cioci, tak się jej dłużyła ta droga. — Jak to, to dopiero dojeżdżają do kamiennej figury? jeszcze taki kawał mają przed sobą.

— Ach, mój Boże — w tej chwili Wandzia zaczęła naprawdę żałować, że się wybrała na tę wycieczkę, czemuż jednem słowem nie przeważyła szali na drugą stronę i nie pozostała w domu ze swoją drogą Mateczką — gdyby jej przeziębienie miało zaszkodzić, cóżby ona wtedy zrobiła....

Nareszcie stanęły u celu podróży — cała rodzina cioci wybiegła naprzeciw nich z okrzykami radości na ganek. Lola już w sieni zaczęła opowiadać o prześlicznych książkach i olbrzymiem pudle cukierków, które dostała od rodziców i wujcia. W jadalnym pokoju długi stół, nakryty, oczekiwał na gości, którzy też zaraz zjeżdżać się zaczęli — słowem wszystko odbyło się właśnie tak jak marzyła Wandzia, wszystko, oprócz tego, że w godzinę jakoś po przyjeździe Mama jej dostała dreszczów, gorączki i była zmuszoną położyć się do łóżka.

Nie piszę wam co się działo w sercu Wandzi, kiedy zobaczyła swoją Mamę słabą i dowiedziała się, że ciocia zaniepokojona, posłała po doktora; każde dziecko kochające rodziców domyśli się tego z łatwością. Cały ten dzień, na który się tak cieszyła, zeszedł jej we łzach i trwodze przy łóżku Matki.

— Wandeczko, idź się bawić z dziećmi, mnie nic nie jest, to tak tylko, lekkie przeziębienie — powtarzała co chwila Mama, pragnąc ją uspokoić, ale dziewczynka za całą odpowiedź tuliła tylko do ust jej rękę i nie dała się odwołać z pokoju chorej ani nawet na obiad.

Nieustannie powtarzała sobie w duszy, że to ona winną była wszystkiemu, że gdyby Mama nie wyjeżdżała z domu, nie byłaby zasłabła tak mocno. Och, już nigdy w życiu nie chciała mieć żadnej przyjemności, byleby tylko Mama nie chorowała..

Pan Bóg ulitował się nad szczerym żalem Wandzi i choroba Mamy okazała się rzeczywiście tylko lekką gorączką, która przeszła do kilku dni, ale wspomnienie doznanej trwogi i wyrzutów sumienia, pozostało w pamięci dziewczynki na całe życie. — Nigdy już nie domagała się gwałtem żadnej przyjemności i nigdy nie zapominała o drugich, ażeby swemu upodobaniu dogodzić, bo wiedziała już, że przyjemność, okupiona cudzą ofiarą, zamienia się w gorycz, przykrzejszą niż największe zmartwienie.

Irena Mrozowicka.

Kocia gospodarka.

Były kotki swywolniki —
Gdzie? nie powiem ja nikomu.
Co za wrzaski — co za krzyki —
Co za harce w całym domu!

Jak łasują tam łakotki,
Gdzie się tylko schwycić uda —
Jednem słowem — owe kotki
Wyprawiały istne cuda.

Wszystkim rzecz się uprzykrzyła,
Gdy przebrały kotki miarkę
I rózeczka zakończyła
Ową kocią gospodarkę.

Gdzie to było — ja nie zdradzę.
Co za kotki — rzec nie mogę —
Tylko wszystkim kotkom radzę
Wziąść ten dramat za przestrogę.

Z. M.



Wdzięcznuś.

Powiastka z prawdziwego zdarzenia.

(Dokończenie).

Przypatrzywszy się leżącemu spokojnie pieskowi, poznałam, że to ten sam któremu okupiłam wolność. Ciocia dowiedziawszy się o całej przygodzie, kazała mu dać jeść i była bardzo wzruszona jego wdzięcznością. Przez kilka pozostałych dni mojego pobytu we Lwowie, piesek to odbiegał gdzieś, to znowu powracał, nie miałam czasu zajmować się nim wiele! W dzień wyjazdu nie widziałam go wcale.

Siedząc w karetce pocztowej, myślałam właśnie z radością, że za kilka godzin ujrzę moje dzieciaki ukochane, gdy jeden z podróżujących razem panów odezwał się:

— Ciekawy jestem co to za pies biegnie za karetką? Zauważyłem, że od samego Lwowa biegnie ciągle, zapewne do kogo z państwa należy?

Przysunęliśmy się do okien, spojrzałam, aż tu mój ocalony piesek biegnie w małej odległości za dyliżansem! Opowiedziałam towarzyszom podróży historyą poczciwego zwierzęcia, którem tak się wszyscy zajęli, że gdy stanęliśmy na pierwszej stacyi dla zmiany koni, zaczęli go głaskać i karmić przysmakami. Ale pies przybiegł do mnie i liżąc mi ręce patrzył, jakby chciał powiedzieć: — Za panią tu przyszedłem, nie odpędzisz mię, nieprawdaż? Zabraliśmy go do dyliżansu i jechał z nami do następnej stacyi, na której konduktor pocztowy wystąpił z grzeczną, ale stanowczą uwagą, że psów niewolno wozić w karecie i prosił o usunięcie tego. Musiałam wysadzić biedaka, który biegł za dyliżansem przez ostatnie dwie stacye aż tutaj.

— Cóż to za rozumne stworzenie! jak umie być wdzięcznem za ocalenie! zawołał Ojciec, gdy Mama skończyła opowiadanie.

— Dobry, kochany piesek! Jak on się nazywa Mamusiu? spytała Helenka.

— Nie może nam powiedzieć jak go zwali u poprzednich chlebodawców, więc nadajcie mu imię jakie wam się podoba, a przywyknie do niego.

— Najwłaściwiej należałaby mu się nazwa: Wdzięczny albo Wdzięcznuś — rzekł Lutek.

— Dobrze — niech będzie Wdzięcznuś, zgodziła się Mama.

— Wdzięcznuś! dobry, kochany! mówiła pieszczotliwie Helenka — jak on potrafił odnaleźć Mamusię w mieszkaniu cioci Józi, a potem trafić do dyliżansu?

— Istotnie jestto zadziwiający dowód psiego instynktu. Nie wszystkie psy nawet są nim jednakowo obdarzone, rzekł Ojczulek.

— A te, które go mniej mają, nie mogą go nabyć, bo zwierzęta niezdolne są doskonalić się tak jak ludzie obdarzeni rozumem i wolą — dodała Mama.

— Ludzie są o tyle wyżsi od zwierząt, a jednak... pies umie być wdzięczny, a ludzie... — rzekł Stefanek.

— A ludzie? co chciałeś powiedzieć Stefanku?

— Ludzie zapominają często o wdzięczności — dokończył rumieniąc się chłopczyk.

— I my za tyle lat wiernej służby narzekamy nieraz na Annę i mówimy, że wolelibyśmy inną, młodszą służącę — zawołał Lutek ukrywając twarz na kolanach Mamy.

— Oh Mamusiu! ja już nigdy nie będę się niecierpliwić, że Anna gdera! nigdy! Ja wiem, że ona jest dobra i kocham ją! wykrzyknęła Helenka.

— Więc nie chcecie już abym wyprawiła Annę z domu?

— O nie Mamusiu! nie będziemy już niewdzięczni. Ja będę cierpliwie czekał na obiad, choćby się spóźnił o całą godzinę zapewnił Stefanek.

— Wiecie co? — rzekł żywy Lutek — mamy po kilka koron, złóżmy się i kupmy książkę do nabożeństwa dla Anny. Ofiarujemy ją jej z naszemi podpisami, na dowód, że jesteśmy do niej przywiązani i wdzięczni, pomimo że się na nią niecierpliwimy i sprzeciwiamy jej się czasem.

— Ten kochany Lutek zawsze coś dobrego wymyśli! zawołała Helenka, a Stefanek także z zapałem przyjął pomysł brata.

— Jakże mię to cieszy moje drogie dzieci, że uznałyście swą winę i pragniecie ją naprawić! Bardzo mię bolała wasza niewdzięczność, kochani moi — powiedziała Mama.

— Zaraz jutro kupimy i ofiarujemy książkę Annie, — rzekł Stefanek — a Wdzięcznusia tem więcej będziemy lubić, że nam dał dobry przykład.

Można sobie wystawić, z jaką radością i rozrzewnieniem przyjęła stara Anna podarunek dzieci. Przekonawszy się, że ją tak kochają, stała się dla nich mniej gderliwą, a one ze swej strony znosiły cierpliwie jej przywary i najlepsza zgoda zapanowała między dziećmi i starą sługą, z niezmierną radością rodziców.

Helena Prendowska.

Małym dzieciom o wielkich wynalazkach.

(Ciąg dalszy).

— I jakże to Mamusiu, Ciocia taką elektryczność posłała z wiadomością? tego to jeszcze wcale nie rozumiem.

— Poczekaj, żebyś łatwiej zrozumiał jeszcze ci coś przedtem pokażę: To już teraz szara godzinka, spuść firankę a będzie ciemno w pokoju: oto znowu suknem pocieram mocno bursztyn i przybliżam go do okruszków na stole, czy co widzicie choć ciemno?

— Ach widzimy, widzimy Mamusiu! jakież to ciekawe: malutkie iskiereczki wyskakują z bursztynu do tych papierków i okruszków.

— A czy nic przy tem nie słyszycie?

— Coś jakby ledziutko trzeszczało...

— To właśnie trzeszczą te iskierki elektryczne. Przez długie wieki ludzie, tak jak my w tej chwili, bawili się tylko elektrycznością bursztynu a nie przyszło im nawet na myśl, że to siła którąby można użyć do czegoś. Z czasem już nawet zauważyli, że nie tylko w szkle i w każdej, jak bursztyn i lak żywicy, ale i w wielu innych rzeczach zjawia się elektryczność. I my się zaraz o tem przekonamy: przynieś mi Lolu cukierniczkę z cukrem i talerz z jadalnego pokoju.

Uważajcie: przesypuję cukier z cukierniczki na talerz i znów do cukierniczki — cóż się dzieje?

— Między kawałkami cukru pokazują się malutkie błękitnawe światełka! jakie śliczne!

— To są także iskierki elektryczne: przy przesypywaniu, kawałki cukru trą się jeden o drugi i powstaje w nich elektryczność. Gdybym tu w tej chwili miała kotka Loli, pokazałabym wam, że gładząc go pod włos, w ciemnym pokoju, można i z jego sierci wywołać także słabiutkie iskierki elektryczne.

— Mój kotek elektryczny! przerwała z uciechą Lola.

— Kotka w tej chwili niemam, ale oto biorę ćwiartkę papieru i jedną stroną przykładam do ogrzanego pieca a drugą raz po raz pocieram wełnianą chusteczką: papier tak przylgnął jakby się przylepił do pieca. Spróbuj Stasiu ostrożnie odrywać go za rożek i patrz w szparę pomiędzy piec a papier.

— Znowu widzę przeskakujące takie same małe błękitne światełka, jakby malutkie błyskawice i słyszę lekki trzask.

— Otóż widzisz, już i ty sam trafnie zauważyłeś podobieństwo tych światełek do błyskawicy — tylko do bardzo malutkiej błyskawiczki — to podobieństwo musiało zatem przychodzić na myśl ludziom, gdy się przypatrywali takim iskierkom i uważali ze zdziwieniem, że nietylko z bursztynu ale z tylu innych, najzwyklejszych rzeczy wkoło nas wywoływać je można.

(Dok. nast.).

Żartobliwe pytanie: Czy to człowiek czy zwierzę, co ma włosy i pierze?

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego", pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr 23. We Lwowie, dnia 1. Grudnia 1900. Rok VIII.



STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZIATWY.

Błogosławieństwo św. Mikołaja.

Z wyżyn niebieskich, z wiecznego raju,
Schodzę na ziemię dziś po zwyczaju —
Błogosławieństwo niosąc dla dziatek
Co są pociechą ojców i matek.

Błogosławieństwo tym niosę boże,
Co codzień rano, w wieczornej porze,
Czczą imię Boga modlitwą tkliwą,
I w sercach kryją miłość dlań żywą.

Błogosławieństwo — ten dar niebieski
Niosę tym dziatkom, co z oczu łezki
Ścierają biednym, jałmużnę dają,
Co litość dla nich w serduszkach mają.

I błogosławię też z bożej woli
Dziateczki, które nie znają doli
Jasnej, promiennej — co żyją łzami:
Znak czynię święty nad sierotami!

Niech miłosierdzie sprzyja im boże
W życia rozkwitu wiośnianej porze;
Niech z niemi będzie wciąż łaska Boga,
Bo smutna bardzo ich życia droga.

Witam was wszystkie, dziateczki małe!
Rośnijcie tutaj przez życie całe
W szczęściu, pokoju zdrowo i hożo,
A zawsze w cnotach na chwałę bożą!

Ignacy Nowicki.

Porządna robota.

Mróz był silny i śnieg grubą warstwą pokrywał dachy domów i ulice Lwowa. Światło latarni i jasnych wystaw sklepowych odbijało jaskrawo od białego kobierca, po którym sanki mknęły w różnych kierunkach. Dźwięk dzwonków rozlegał się w powietrzu, mięszając się z przenikliwym odgłosem sygnału elektrycznych tramwajów, przed którymi wszyscy umykali żwawo na stronę. Po chodnikach skrzypiały szybkie kroki przechodniów; mimo dziesięciostopniowego mrozu ruch był wielki, jak zwykle przed dziesiątą, gdy wszyscy dążą do domu przed zamknięciem bramy.

W jednych z mknących żwawo saneczek, siedziała siedmioletnia Helcia przytulona do Mamy. Ubrana w ciepłe futerko i kapturek, nie czuła mrozu, i z zajęciem przypatrywała się wszystkiemu dokoła, rzadko bowiem o tej porze bywała na ulicy. Wkrótce sanki stanęły przed dużą kamienicą. W bramie siedział stróż, siwowłosy Mikołaj, w nowym, żółtym kożuchu.

Helcia znała go dobrze; przychodził bowiem często do jej Tatka, właściciela tej kamienicy z różnemi interesami, przynosił węgiel z piwnicy i sprawunki z targu, — gdy kosz był za ciężki dla kucharki.

— Czy Mikołajowi nie zimno tu siedzieć? — spytała — podczas gdy Mama wyjmowała woreczek dla zapłacenia dorożkarza.

— Mam ciepły kożuch, Bogu dzięki, to mi nie bardzo zimno, panienko, — odrzekł — wyszedłem trochę na bramę, bo w stancyi nie słychać dobrze jak zegar bije na wieży.

— Ale spać to wam się chce pewno?

— To, to prawda, bo się człowiek nigdy porządnie nie wyspi. Jak ci panowie z oficyn zaczną wracać po jednemu i dzwonić, to z dziesięć razy trzeba wstawać i otwierać.

Helcia słuchała ostatnich słów stróża wchodząc już na schody i z połowy tychże zawołała jeszcze:

— Dobranoc Mikołaju!

Lubiła starego, który uśmiechał się zawsze dobrotliwie do niej i witał ją serdecznie, ujęty zapewne jej uprzejmem i grzecznem zachowaniem.

Gdy weszły z Mamą do mieszkania, Tatko czytał gazety przy stole w jadalni, w dziecinnym pokoju Wacio i Mania spali smacznie w swych białych łóżeczkach, a bona szyła, czuwając nad niemi. Wszędzie było tak ciepło, przytulnie; lampy oświecały jasno wygodne mieszkanie; Helcia myślała sobie zdejmując szubkę i kamasze, że to daleko przyjemniej być w domu w taki mroźny, późny wieczór, niż siedzieć przed bramą, jak Mikołaj.

Nazajutrz, po odbytej lekcyi siedziała Helcia przy Mamie i robiła robotę, ale kładła ją co chwila na kolanach i bawiła się kłębkiem bawełny, to fartuszkiem, to ziewając spoglądała przez okno.

— Jak też ty opieszale robisz tę robotę! rzekła Mama. Siedzisz już prawie pół godziny i nie obrobiłaś jeszcze dziesięć razy szydełkiem tak wąskiego pasa.

— Jestem pewna, że już obrobiłam. Zaraz porachuję Mamusiu.

Poczęła liczyć, rada z pozoru do przerwania roboty:

— Cóż to znaczy ta dziura? spytała nagle zakłopotana.

— To znaczy, że opuściłaś dwa oczka i trzeba pruć wszystko co zrobiłaś. Wstydź się Helciu! taka duża z ciebie dziewczynka i żadnej roboty nie umiesz; ani szycia, ani haczkowania ani pończoszki.

— Bo... bo... wszystko takie nudne!

— Nudne dlatego, że nie bierzesz się do robót z ochotą i staraniem. Trzeba to przełamać koniecznie, bo znajomość robót ręcznych jest nieodzownie potrzebna każdej kobiecie.

Helcia wzięła szydełko wzdychając i z miną bardzo nieszczęśliwą odrobiła jako tako zadaną robotę, poczem bawiła się piłką z braciszkiem. Jakieś sanki z głośnemi dzwonkami stanęły przed domem, więc dzieci zbliżyły się do okna, aby zobaczyć kto przyjechał. Woźnica zsiadł z kozła i tupał nogami, bo mróz był jeszcze większy niż wczoraj. Na chodniku widać było zgarbioną postać starego Mikołaja, który skrobał rydlem przymarznięty śnieg i zmiatał go długą miotłą.

— Jakie Mikołaj ma czerwone uszy! zauważył Wacio.

— To od mrozu, objaśniła Helcia.

— Czemu on nie idzie do domu, kiedy takie zimno? pytał mały chłopczyk.

— Bo musi zamiatać chodnik. Powiedział raz w kuchni Józefie, że stójkowy podałby go na karę albo do kozy wsadził, żeby tego nie robił — tłómaczyła rozsądna, starsza siostrzyczka i sama zaczęła myśleć o Mikołaju.

— Tatko mówił, że każdy człowiek pracować musi i powinien — zastanawiała się. Tatko sam pracuje w biurze, Mamusia cały dzień zajęta dziećmi i gospodarstwem; nawet ona, Helcia, uczy się codzień i robi tę nieznośną robotę. Więc to nie żadna krzywda, że Mikołaj pracuje, i nic dziwnego. Tylko, żeby on nie marzł tak, i w nocy nie wstawał do otwierania bramy.... Jeszcze może się zaziębić i dostać bólu gardła... jak Helcia zeszłej zimy...

— Helciu, patrz! ten pan już odjeżdża! przerwał jej myśli Wacio. A Mikołaj trze uszy rękami, będzie miał jeszcze czerwieńsze. Czemu on tak robi?

— Żeby je rozgrzać, bo pewno bardzo mu zmarzły.

— A czemu nie obwiąże ich chusteczką?

— To prawda, trzeba mu to poradzić. A może on niema chusteczki? Żeby tak miał szalik ciepły, wełniany, toby mógł obwiązywać nim uszy albo szyję. Tak, tak; Mikołajowi koniecznie potrzebny szalik czerwony, taki, jak to miał ten ślusarz, co przychodził wczoraj naprawić drzwiczki u pieca.

— Helciu, bawmy się w koniki! — woła Wacio — i przynosi biczyk i lejce czerwone z dzwoneczkami... Helcia zakłada je na siebie i już ma ruszyć z miejsca jako konik, gdy przychodzi jej pewien pomysł do głowy. Ale jako dobra siostrzyczka, nie przerywa zabawy, mówi tylko:

— Pojedziemy do Mamusi i zatrzymamy się przy niej, jak ten pan przed naszym domem; dobrze?

Mama siedzi w drugim pokoju.

— Mamusiu! — Woła Helcia — czy jabym nie mogła zrobić szalika dla Mikołaja? Czerwonego, ciepłego, któryby kładł na szyję i uszy, aby mu nie marzły?

— Czemu nie? moje dziecko! Właśnie takim ściegiem jakiego uczysz się teraz, mogłabyś zrobić doskonały szalik; tylko, że gdy się weźmiesz do roboty po swojemu, to Mikołaj nie będzie miał szalika nawet na przyszłą zimę.

— O Mamusiu! gdy ja będę mieć prawdziwą, porządną robotę, zobaczy Mama jak się będę do niej przykładać! Chodźmy tylko zaraz do sklepu po czerwoną włóczkę, ja mam na nią własne pieniądze!

— Dziś jest zbyt mroźno na ciebie, ale panna Ludwika, wychodzi właśnie na miasto, to może załatwić twój sprawunek.

Tego wieczoru jeszcze, włóczka kupiona przez p. Ludwikę, została zwinięta w duży kłębek, a nazajutrz Helcia zabrała się do roboty. Pracowała gorliwie i uważnie; gdy czasem zaczynało jej brakować wytrwałości, myśl o tem, jak ciepło będzie staremu Mikołajowi, pobudzała ją na nowo, i w dwa tygodnie, Mikołaj otrzymał długi, wyborny szalik. A jaki był rad poczciwy stróż! jaki wdzięczny! Zaczął zaraz używać dzieła rąk swojej kochanej panienki.

Po tej „porządnej, prawdziwej robocie“ jak mówiła Helcia, przyszła kolej na chusteczkę dla córeczki praczki, potem na sukienkę dla małego wnuka Mikołaja; i tak dziewczynka wprawiła się wkrótce w roboty i polubiła je nawet bardzo.

Po niejakim czasie, Mikołaj przyniósł jej w podarunku ładną klatkę, którą sam wyrobił delikatnie, w wolnych od zajęcia chwilach, a Tatko kupił do klatki parę ślicznych, żółciutkich kanarków, któremi Helcia cieszyła się niezmiernie i opiekowała troskliwie.

Helena Prendowska.

Małym dzieciom o wielkich wynalazkach.

II.

Telegraf.

(Dokończenie).

— Łatwo sobie wyobrazicie, że tą siłą która tu podnosiła papierki, możnaby więcej zrobić, gdybyśmy jej więcej mieli, niż przez tarcie możemy obudzić w tym kawałku szkła lub bursztynu.

— Z pewnością Mamuńciu! Jan ogrodnik przecież więcej dźwignie niż ja, bo ma więcej siły! — rozśmiał się Staś.

— Otóż ludzie zauważyli wreszcie, że wielka ilość tej siły elektrycznej podczas gorąca powstaje w chmurach.

Około 150 lat temu, znakomity uczony i bardzo zacny a dzielny człowiek, Benjamin Franklin, obywatel Ameryki północnej, uderzony tem samem — które my dopiero co zauważyliśmy — podobieństwem iskierek elektrycznych, wywoływanych z bursztynu, do malutkich błyskawic — zaczął robić różne ciekawe próby i doświadczenia, aż się sam przekonał i wszystkim dowiódł, że pioruny nie są niczem innem, jak tylko dużemi iskrami elektrycznemi. Błyskawice, powstają gdy iskra elektryczna przeskakuje z chmury na chmurę i oświeca w niej kłęby mgły. Grzmot, jest to powiększony i powtórzony echem huk, który powstaje wskutek szybkiego przebiegania tych iskier przez powietrze i rozbijanie go przez nie. — Podobnie powstaje odgłos, gdy n. p. furman palnie z bicza, przeżynając śmignięciem powietrze. Ledziutki trzask słyszałeś przecie, Stasiu, już nawet przy tych malutkich iskierkach: ogromne iskry w chmurach wywołują huk wielki. — Gdy zaś iskra elektryczna przeskoczy z chmury na ziemię, nazywamy to piorunem. Wielką jest siła piorunu, który n. p. w jednj sekundzie całe olbrzymie drzewo rozszczepić może na dwoje — gdy więc już raz ludzie zrozumieli, że piorun, to tylko iskra elektryczna, z łatwością przyszło im na myśl, że ta siła możeby się dała zużytkować nie na szkodę, ale na pożytek, gdyby ją jakoś można owładnąć i pokierować. Już tenże sam Franklin, przez swoje ciekawe próby doszedł tego, że elektryczność wtedy iskrą przeskakuje z przedmiotu na przedmiot, jeżeli nie ma po czem przejść z łatwością, spokojnie i cicho — ale gdy jej podsunąć jakąś drogę dla niej wygodną, to pójdzie po niej tak szybko jak błysk, choć bez światła i bez hałasu; a da się tak przeprowadzić wszędzie gdzie zechcemy.

— Aha! już jesteśmy przy „d r o d z e“: zaraz będzie jak to ciocia wyprawiła tę elektryczność w drogę do nas, z prośbą o konie! Ogromnie jestem ciekawy, jak ona idzie i po jakiej drodze?

— Żebyś to mógł lepiej zrozumieć, chyba zrobimy takie porównanie, że elektryczność idzie n. p. jak ciepło.

— Nie rozumiem wcale.

— Poczekaj: weź ten stalowy drut z mojej roboty i włóż jeden jego koniec w płomień świecy, a trzymaj za drugi. Cóż teraz czujesz?

— Czuję Mamusiu, że drut coraz cieplejszy! Aj! już mnie parzy: nie mogę utrzymać!

— A przecież ten koniec w twoich palcach nie dotykał płomienia! Widocznie więc ciepło przeszło po drucie z jednego końca w drugi. A teraz weź tę starą obsadkę drewnianą i tak samo jak poprzednio drut, włóż jednym końcem w płomień.

— Obsadka się pali, Mamusiu!

— Na jednym końcu się aż pali, to pewnie musi cię bardzo parzyć na drugim?

— Nie, Mamusiu! nawet nie czuję żeby była ciepła!

— Więc widzisz, Stasiu, że ciepło rozeszło się bardzo prędko po drucie żelaznym, a po drzewie przejść nie chce: drzewo się tak łatwo nie rozgrzewa, dla tego nazywamy żelazo dobrym, a drzewo złym „p r z e w o d n i k i e m“ ciepła. Otóż, Franklin już zauważył, że i siła elektryczna da się przeprowadzić po jakimś dobrym dla siebie p r z e w o d n i k u, a po złym wcale nie pójdzie.

Dobrym przewodnikiem jest dla elektryczności — podobnie jak dla ciepła — drut metalowy. Przewodzi ją także doskonale lniany sznurek, zwłaszcza wilgotny — zaś po jedwabiu, po szkle wcale rozchodzić się nie chce. Franklin puszczał wysoko pod chmury w czasie burzy papierowego latawca — takiego samego jak Tatuś tobie ukleił do zabawy — tylko opatrzonego w metalowe końce. Po lnianym sznurku, wiszącym od latawca, schodziła elektryczność z chmur aż do ziemi, a raczej do klucza albo jakiegobądź metalowego ciężarka, przyczepionego nad ziemią na końcu sznurka. Przekonawszy się, że wtedy mógł wywołać olbrzymią iskrę elektryczną, równającą się wypadnięciu piorunu z tego ciężarka — Franklin zastosował swoje odkrycie do urządzenia p i o r u n o c h r o n ó w nad domami: nauczył ludzi stawiać na dachach wysokie szpice metalowe, które ściągają elektryczność z chmur i po drucie żelaznym sprowadzają ją bezpiecznie w głąb ziemi, nie dopuszczając aby sama przeskakiwała iskrą piorunową:

— To bardzo ciekawe, wszystko co mi Mamuńcia opowiada, ale jeszcze nie wiem jak elektryczność pisze telegramy?

— Nie odrazu też potrafili ludzie zaprządz ją do tej roboty. Jeszcze w długi czas po Franklinie, nie umieli pożytecznie zużytkowywać siły elektrycznej — ale robiąc z nią wciąż różne próby i doświadczenia, doszli przedewszystkiem do sposobu przygotowania jej sobie i gromadzenia w większej ilości, za pomocą umyślnych przyrządów, zwanych baterya mi elektrycznemi, albo za pomocą maszyn, w których ją wywołują przez pocieranie szkła lub żywicy, tylko nie tak słabe i krótkie jak to my przed chwilą robiliśmy ręcznie, dla próby. Nareszcie uczony nazwiskiem Morse, wynalazł przyrząd umożliwiający porozumiewanie się ludzi za pomocą elektryczności, choćby z końca świata: wiesz już, że metale dobrze przewodzą elektryczność, otóż rozpina się druty w powietrzu na słupach wkopanych w ziemię od stacyi do stacyi — albo, gdzie potrzeba, przeprowadza się je dobrze zabezpieczone od zamoknięcia popod wodę, i wysyła się po nich elektryczność za pomocą przyrządu dozwalającego w każdej chwili puścić ją lub zatrzymać. Na każdej stacyi jest dowcipnie urządzona maszynka do pisania: elektryczność, dobiegłszy do niej, sprawia poruszenie tak umieszczonego ołóweczka, że każdo jego drgnięcie robi zaraz znaczek na podsuwającym się wciąż pasku papieru. — I oto masz całą tajemnicę telegrafu! Znaczki, które ołówek robi na papierze są różne, zależnie od tego czy na stacyi z której wysyłają telegram, urzędnik dłużej lub krócej naciśnie przyrząd wysyłający elektryczność — ze znaczków składają się wyrazy. Tym to sposobem można dziś z błyskawiczną szybkością posyłać sobie nawzajem wiadomości z najodleglejszych krańców ziemi.

— Zdaje mi się, że trochę rozumiem, Mamusiu!

— Lepiej i dokładniej zrozumiesz to jeszcze później, gdy będziesz się uczył nauki zwanej fizyką — tymczasem zapamiętaj sobie jeszcze, że dziś ludzie umieją już zużytkowywać rozmaicie siłę elektryczną: porusza ona tysiące maszyn, prowadzi po szynach wagony tramwajów, służy do oświetlania ulic i wnętrza gmachów, wydając światło bardzo jasne i przyjemne. Jednem słowem, jest ona już dziś wielkiem dobrodziejstwem ludzkości — i prawdziwie niewyczerpanym skarbem w przyrodzie. Pamiętaj także, mój synku, że to nauka i praca zdobyły ludziom ten skarb, za pomocą którego tylu cudów można dokonywać!

— Mamusiu, ja się zawsze będę dobrze uczył! zapewnił uroczyście Staś, który od dwóch miesięcy ma do czynienia z elementarzem.

— I ja, i ja będę się uczyć! dodaje Lola podnosząc główkę z nad łóżeczka swej lalki, którą tymczasem spać ułożyła. *Z. M.*

Łamigłówka.

He — ak — i — le — cza — gia — eu — el — za — gipt — gła — ma — zra — ra — sła — sy el — ro — jąc — nor — so — i — ca — pa — wni — ku — za — le — po — nu — xa — on — wi — e — na — we — york — i — sna — e — ro — na — ry — kor — ka.

1. Imię żeńskie. 2. Kraj w Afryce. 3. Kraj w południowej Europie. 4. Królowa polska. 5. Miasto w Angli. 6. Wyspa na morzu śródziemnem. 7. Drzewo szpilkowe. 8. Służy do szycia. 9. Część świata. 10. Jeden z najdzielniejszy wodzów. 11. Ptak domowy. 12. Imię z historyi świętej. 13. Imię męskie. 14. Królowa rzek polskich. 15. Inaczej lud żydowski. 16. Zła wróżka. 17. Zwierzę leśne.

Pierwsze litery tych wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko jednego z najsławniejszych ludzi współczesnych. *Sarenka z Bojanowa.*

Szarada.

Pierwsze cicho, drugie taniec.
A całość piekła mieszkaniec.

Milka Winiarzówna.

Obrazkowe zagadnienie z historyi polskiej.



„Najlepsze trzy wypracowania na temat wskazany obrazkiem, zostaną nagrodzone. — Termin konkursu do dnia 15-go stycznia 1901 r.“

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Nr. 24. We Lwowie, dnia 15. Grudnia 1900. Rok VIII.

WIEK MŁODY

STAŁY DODATEK DLA MŁODSZEJ DZATWY.

W suterenie.

Światło dzienne skąpo wpadało do izby szewca Antoniego, przez okno tuż nad brukiem dziedzińca położone; a że to było w późnej jesieni, zaraz popołudniu zmrok zapanował zupełny.

Antoniowa wystawiła balję na środek, bo dostała dużo bielizny do prania, więc rada była zarobić cośkolwiek. Wilgotna para napełniała izbę, osiadając na sprzętach i ścianach, z których kroplami ściekała na podłogę. Pod oknem, na zydelku, siedział majster i stukając młotkiem, przybijał podeszwę.

— Nic już nie widzę, trzeba światło zapalić, odezwał się, a Antoniowa zawołała od balji:

— Maryniu, zapalno lampę!

Dziewczynka, ustawiająca pomyte po obiedzie talerze, wypełniła rozkaz matki w milczeniu.

Przy świetle lampy dopiero dostrzedz można było resztę mieszkańców sutereny: w kołysce spała spora dziewczynka, chuda i wynędzniała; niemniej blady, sześcioletni chłopczyk strugał patyczki na ziemi w pobliżu pieca, a drugi starszy chłopak pocierał woskiem nici do szycia obuwia, ale często przerywał tę robotę i zamyślał się.

— Spieszno się, Michałek — zawołał na niego ojciec; cóżeś się tak zadumał?

— O, tak myślę, czy my w tym roku będziemy mieli choinkę? — odrzekł chłopiec i westchnął, a zawtórowało mu cięższe westchnienie matki.

— Oj choinka! Gwiazdka! — szepnęła z żalem. Świąt tylko patrzeć, a tu ani obuwia, ani odzienia ciepłego! ledwie na kawałek chleba i na kartofle starczy! Tyle czasu nic zarobić nie mogłam, ojciec mało co, a co to pieniędzy poszło na lekarstwa i na doktora!

— Nie narzekaj matko! dziękujmy Bogu, że te biedactwa nie poszły za tamtemi na mogiłki. Bóg ma więcej niż rozdał, On i o naszym drobiazgu nie zapomni — rzekł łagodnie poczciwy Antoni.

— Toć prawda, ale jak sobie wspomnę, że te biedne robaki leżały w gorączczce tyle dni i nocy, to żałość zdejmuje, że teraz niema dla nich żadnej wygody.

Otarła oczy rękawem, szewc milczał, tylko młotkiem stukał z podwójną szybkością.

— Matusiu, ja wam prać pomogę, odezwała się najstarsza Marynia, zawijając rękawy od kaftanika.

Dziecko w kołysce poruszyło się.

— Michałek, pokołyszno Stasię! — nakazała matka.

Ale dziewczynka poczęła wołać: — Stasia nie chce spać! Stasia chce jeść i bawić się!

Szczebiotała wyraźnie, bo miała już trzy lata, ta wątła, wychudła dziecina, ale kołysano ją dotąd jak niemowlę, bo to wygodniej dla biedaków; trochę starszy malec poruszy kołyskę i uspokoi dziecko. Marynia wyjęła małą z kołyski i nakładając jej trzewiczki, mówiła półgłosem:

— Onaby się dopiero cieszyła z choinki!

— Żeby choć była tyciunia choineczka, dla Stasi! pokazał na swoim palcu Michałek całując siostrzyczkę.

— Choinka? kiedy będzie choinka? — zapytał posłyszawszy to sześcioletni Ludwiś i porzuciwszy struganie patyczków podszedł do ojca: — Tatusiu, czy tatuś ubierze nam choinkę tak ładnie jak wtedy, kiedyśmy to kolędy śpiewali?

Szewc nie odpowiedział, pochylił tylko niżej głowę nad robotą.

— My będziemy bardzo grzeczni tatusiu, żeby zasłużyć na choinkę, zapewniał malec, opierając wychudłą rączynę na kolanie ojca.

Antoniowa odwróciła się od balii ocierając oczy i nos fartuchem: Ten Ludwiś był pieszczochem matki, bo taki był podobny do Jasia! zupełnie żywy portret Jasia, którego zabrała szkarlatyna wraz z Antosiem i Józią, gdy zawitała do nich poraz pierwszy przed kilku laty. Jedna Marynia, maleńka wówczas, ocalała. Gdy teraz przyszła znowu ta straszna choroba, strwożeni rodzice nie żałowali niczego, aby ratować dzieci. Poszły lepsze sprzęty, nawet suknie odświętne na koszta choroby i taka bieda była teraz u nich jak nigdy. A biedna matka takby pragnęła choć najuboższą choinką ucieszyć ten drobiazg, który Pan Bóg jej w miłosierdziu Swojem zachował!

Słysząc płacz matki, mała Stasia i Ludwiś zawtórowali jej zaraz.

— No, no! cicho dzieciny! — głaskała je, ocierając oczy. Biedniśmy, to prawda, ale proście Pana Jezusa maleńkiego, a może wam ześle choinkę, a nam pomoc.

— Tak, tak. Módlcie się dzieci, a Pan Bóg nam dopomoże, rzekł ojciec.

— Ja już nigdy nie pójdę spać bez pacierza! rzekł Ludwiś, a mała Stasia dodała od siebie: — Pa, Bozi! słysząc, że mowa o pacierzu i Bogu.

Antoniowa zamydlonemi rękami objęła dzieci przyciskając je do siebie,

— A czy masz tam dosyć nafty, matko — spytał Antoni. Ja dłużej w nocy posiedzę, to może zrobię buty dla Ludwisia; wczoraj kupiłem kawałek skóry.

— A obstalunek? spytała żona.

— Będę robił do dziewiątej, a potem dla dzieci.

— To i ja będę prała choć do północy, może skończę to pranie jutro; Michaś pójdziesz do sklepiku po naftę; weź moje trzewiki.

— Zrobię i tobie buty, jak tylko skończę dla Ludwisia. Jak mi za tę robotę zapłacą, będzie za co kupić skóry. Stasia już ma trzewiczki, tak będzie po młodszemu; na Marynię na ostatku kolej przyjdzie.

Michałek naciągnął matczyne trzewiki i poszedł. Spadały mu one z nóg i stukały tak mocno o kamienie, aż się przechodnie oglądali. Ale sklepik był blisko, w trzecim domu i chłopiec wrócił wkrótce z butelką nafty. Z dziesięciu centów, które matka na nią dała wydano mu dwa, miał wielką pokusę kupić za nie dwa karmelki. Jeden byłby dla niego, drugi przełamalby dla Ludwisia i Stasi. Maryni niewarto dawać, bo ona by swój zaraz oddała małej siostrzyczce. Rodzice nie gniewaliby się niezawodnie — oni o nic prawie nie gniewają się teraz po tej ciężkiej chorobie. Michaś tak lubił karmelki! Ale przypomniał sobie, jak to ojciec i matka pracować będą dla nich w nocy... — Szkoda i dwóch centów, myślał wracając; już lepiej byłoby kupić te dwa karmelki w Wigilją i na choince zawiesić. Żeby tylko była choinka i trochę świeczek! bez łakoci prędzej byśmy się obeszli. Ale cóż, pieniędzy niema wcale!

Oddał resztę pieniędzy, naftę postawił i zabrał się czynnie do pomagania matce przy praniu. Począł mydlić bieliznę razem z Marynią, ale mydło wyślizgiwało mu się wciąż z ręki, a gdy podniósłszy je pocierał znów, brudził bieliznę. Matka kazała mu więc odejść. Usiadł przy młodszem rodzeństwie bawiącem się patyczkami i myślał, myślał, co on by mógł robić aby rodzicom dopomódz, Marynia to nietylko mydlić potrafi i talerze pomyje, zamiecie, guzik przyszyje, a on!.. wprawdzie woskuje czasem ojcu nici do szycia obuwia, ale na tem i koniec. Żeby tak mógł pomagać stróżowi w zamiataniu trotuaru przed bramą, toby zarobił codzień parę centów; tylko znów ojciec nie pozwoliłby, że to po tej szkarlatynie może się zaziębić.

Wtem usłyszał wołanie za oknem:

— Jacenty! Jacenty! przynieście mi tam węgla z piwnicy, a prędko!

To kucharka z pierwszego piętra woła na stróża. Ona mu płaci za noszenie węgla, bo państwa ma dużo i nie może sobie dać rady z robotą. Michaś zna dobrze tę Maryannę; przychodzi ona nawet niekiedy do nich, bo to dawna znajoma ciotki Józefy, która z niemi mieszkała w zeszłym roku. A żeby on jej węgiel nosił codzień?... może do Bożego Narodzenia zarobiłby tyle co kosztuje malutka choinka?... a stróż nie dba wcale o ten zarobek, wyrzeka, że czasu na to nie ma.

Zerwał się chłopiec, Maryanna zawołała drugi raz, na co stróżowa odpowiedziała, że męża niema w domu, a ona dziecka odejść nie może. Michałek w jednej chwili był już w sieni. Uchylił nieśmiało drzwi od kuchni na pierwszem piętrze.

— Proszę panny Maryanny — rzekł nieśmiało, mnąc w ręku starą czapeczkę — może jabym przyniósł węgla z piwnicy?

— Ty? ty nie udźwigniesz kosza.

— Przyniósłbym dwa razy potrochu, albo i trzy... Jabym codzień nosił! takbym chciał coś zarobić, a Jacenty powiada, że niema czasu.

— To prawda, nigdy się go doprosić nie można, ale ty nie dasz rady po tej chorobie.

— Dam, dam! ja już jestem zdrowy i mocny. Niech mi Maryanna da klucz od piwnicy i koszyk.

— No, zobaczymy jak ci to pójdzie. Masz tu klucz, latarkę i mały koszyk. Jak przyniesiesz dwa, będzie dosyć. Ja tam zejdę zamknąć piwnicę.

Michałek wyszedł uradowany, a że się spieszył, zawadził o schody obcasem od matczynego trzewika i upadł. Szczęściem nie stłukł latarki, bo rękę podniósł w górę. I z węglem wejść napowrót nie było mu łatwo, bo koszyk choć nieduży, ciężył mu i to obuwie okropnie zawadzało. Dokazał nareszcie swego i kucharka, która zeszła za nim, pochwaliła że węgiel brał z brzegu i nie porozrzucał po piwnicy.

— A będę codzień nosił? zapytał.

— No dobrze, kiedy tak chcesz koniecznie; ale musisz codzień, regularnie przychodzić. Za miesiąc dostaniesz 60 centów, tyle pani daje.

— A czy jest jeszcze miesiąc do świąt? zapytał z niepokojem.

— Pewnie; dziś mamy 20-ty listopada, to jeszcze miesiąc i cztery dni do Wilji. A jutro przyjdź wcześniej.

— Dobrze, dobranoc pannie Maryannie.

Pocałował ją w rękę z wielkiej radości i uśmiechnięty, szczęśliwy, wrócił do sutereny. Rodzice złajali go za wyjście bez opowiedzenia, ale się wytłómaczył i opowiedział o przyjętym obowiązku. — Zarobię na choinkę! mówił z radością.

— Żebym to i ja mogła co zarobić!... choć na świeczki do drzewka! westchnęła Marynia.

— Może ci się trafi jaka robota — pocieszał ją brat i wesoło zabrał się do usypiania Stasi, która wcześnie szła do kołyski.

Jakoż nazajutrz dostała Marynia zajęcie zupełnie niespodziewane. Stróżka, zaproponowała jej usługę na trzeciem piątrze u pani, która za lekcyami chodzi.

— Zapłata tam niewielka, ale i roboty mało, mówiła; ona obiad jada na mieście, więc tylko mały samowarek nastawić, przynieść wody i bułek, sprzątnąć — ot i wszystko.

To było w sam raz dla Marysi i zaraz też poszła ze stróżką do nauczycielki, w tych samych matczynych trzewikach, w których Michałek nosił węgiel wieczorem. Ale w kilka dni miał on już własne buty śliczne, wygodne, które skrzypiały głośno, a nie spadały z nóg i nie zawadzały się o schody.

Tak mijały dnie za dniami. Antoni ciągle stukał młotkiem, bo mu się trafiła dość korzystna robota do warsztatu, Antoniowa nie odchodziła prawie od balji.

Przed świętami najwięcej prania oddają, a choć nieraz przez sen stękała, tak ją bolały ręce i nogi, nie narzekała; te zarobione korony takie były w domu potrzebne!

Zbliżyła się uroczystość Narodzenia Pańskiego. Michałek miał trochę niepokoju: a nuż Maryanna nie odda mu pieniędzy za noszenie węgla, aż po Świętach? Pani nauczycielka płaci podobno regularnie i to całe dwie korony. I rzeczywiście: tego dnia, gdy miesiąc się skończył, wypłaciła je Maryni zaraz z rana, pogładziła ją po główce i zapytała na co użyje tych pieniędzy? Dziewczynka taka była szczęśliwa! Opowiedziała szczegółowo — jak to ona z bratem chcą sprawić choinkę za zapracowane pieniądze, bo rodziców nie stać na to w tym roku. Pani pochwaliła ją i dała kilka karmelków dla młodszych dzieci, a ona schowała je starannie na choinkę. Już tylko trzy dni do Wigilji — tylko dwa! Michałek niepokoi się okropnie, aż tu wpada Maryanna do sutereny i oddaje mu sama zarobione pieniądze. Co to było radości!

W samą Wilję raniutko, poszli z tatusiem na miasto i kupili choinkę, małą ale śliczną i świeczek sporo i aniołka z tektury, z gwiazdą u czoła, na wierzchołek. A matka siedziała długo w nocy i robiła gwiazdki, koszyczki i łańcuszki z kolorowego papieru, jakie widziała u tych państwa, gdzie była pokojową, zanim wyszła zamąż. Nie, doprawdy, dzieci nie marzyły nigdy o tak pięknem drzewku! bo to i tatuś odłożył ciężko zapracowaną koronę i kupił jabłek, trochę orzechów i tanich pierników.

Marynia i Michaś ochoczo pomagali matce w uporządkowaniu izby, a potem, podczas gdy ona przyrządzała skromną wieczerzę wigilijną, ustroili choinkę z tatusiem.

Jakże im pilno było zapalić ją! nie mogli doczekać wieczora. W mieszkaniu było już wprawdzie ciemno zupełnie, ale to nie wystarcza, trzeba czekać pierwszej gwiazdki. Przysunęli się wszyscy czworo do okna i patrzyli, patrzyli na ten kawałeczek nieba widoczny przez szyby! Ludwiś dostrzegł pierwszy błyszczący punkcik.

— Jest! jest gwiazdeczka! zawołał pokazując paluszkiem. O! a tam druga!

— Ach, jak błyszczą! to jakby oczki maleńkiego Jezusa patrzące na nas, powiedziała Marynia.

— Ja będę grzeczny! zapewnił Ludwiś przekonany, że Pan Jezus patrzy na niego temi gwiazdami.

— Dziękuję Ci dobry Jezu, że nam dałeś choinkę, mówi Michałek ze złożonemi rękami.

Stasia patrząc w niebo dodaje swoje: — „Pa, Bozi!“ Marynia, najstarsza, modli się cicho w skupieniu.

— Caca! Caca! woła naraz mała dziecina obejrzawszy się za siebie.

Dzieci odwracają się i stają olśnione. Tatuś zapalił świeczki i choinka błyszczy i oczy raduje.

Ale cóż to leży pod nią? zkąd się wzięła ta laleczka dla Stasi, żołnierze ołowiani dla Ludwisia — choć już trochę poturbowani, ale cóż to szkodzi! — ciepła chusteczka i koszyczek dla Maryni, piłka dla Michasia, i dla wszystkich takie ładne obrazki, z Bożem Dzieciątkiem w żłobie położonem?

A któż tam stoi za choinką? To pani nauczycielka. To ona wyprosiła u swoich zamożniejszych uczniów te drobne dary dla dzieci szewca Antoniego, a teraz patrzy na ich radość z uśmiechem na ustach i ze łzą w oku.

A tam wyżej, na pierwszem piętrze, błyszczy także w oknie światłami choinka, i na drugiem... i na trzeciem... i na facyatce... wszędzie radość i chwała Panu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Helena Prendowska.

SKRZYDLATY LISTONOSZ.

(Ciąg dalszy — patrz bież. numer główny).

Biała Różyczka i Branka Litewska. Stary Przyjaciel „Wiek Młody“ nie może przyrzec nagrody, bo rozwiązania zagadek nagradza tylko przypadek! Na „Żabkę zieloną“ zgoda — jeżeli to taka moda! — Dziunio H. we Lwowie. Z pewnością, że kto pilnie nadsyła rozwiązania, musi kiedyś wylosować nagrodę! — Fela S. we Lwowie. „Drzewko“ „Wieku Młodego“ odbędzie się dnia 22-go b. m. t. j. w sobotę, w sali szkoły lud. im. Konarskiego; ucieszyła nas Twoja obietnica, że jeszcze przyszlesz jakieś rzeczy dla biednych dzieci i sama przyjdziesz pomagać nam w rozdawaniu. — Zofia K. w Wadowicach. Prawda, że dawno już nie pisałaś do nas, ale nas to nie dziwi, bo prawda, że w VII. klasie musisz się bardzo dużo uczyć, więc Ci o czas trudno. — Karolina W. w Nowym Sączu. Twoja pilność i dobre serduszko złożyły się na zrobienie uciechy biednym dzieciom — a zarazem, swojem wzięciem udziału w Konkursie, zrobiłaś wielką przyjemność Redakcyi. — Jadzia Kr. w Zakopanem. I Tobie odpowiadamy to samo: Twoja ślicznie uszyta sukienka uszczęśliwi na gwiazdkę jakąś biedną dziewczynkę! Ciocię Milę, która łaskawie poświadczyła, że to Twoja własnoręczna robota, uściskaj od nas serdecznie! Na wyrażone nam, wyraźne życzenie Twojej Szanownej Babuni, wysyłamy Ci niniejszy numer za pocztowem pobraniem należytości.

Lisia, Marylka i Milka W. we Lwowie. Wiele bardzo z naszych Czytelniczek dziwi się temu, że Wy układacie zawsze tyle i tak dobrych zagadnień i łamigłówek — i nas cieszy Wasza skwapliwość w tej mierze — ale nie da się to porównać z uciechą z jaką witamy Wasze prace konkursowe! Rozkładając te grube, ciepłe i ślicznych kolorów barchany, widzimy już naprzód jak się do nich śmiać będą oczy uszczęśliwionych kolędą biedactw, przychodzących często w trzaskący mróz, do drzewka, w perkalikowych sukienczynach! Radebyśmy bardzo uściskać Waszą małą Lolę i tę milutką czteroletnią Jańcię, której drobne paluszki już pracowały „dla biednych dzieci“, mordując się dla nich nad pierwszą w życiu robotą: włóczkowemi podwiązkami szydełkiem!.. Wszystkie Wasze włóczkowe szaliki i mitenki bardzo będą pożądane. Uściśnienie Wasze dla Wandzi z Tonkinu przeszlemy tejże za pośrednictwem „Cioci Toli“ — „Ojcuszek“ Wandzi w samej rzeczy

już nie jest w Tonkinie, a obrazki zostały przysłane z Nangassaki. — Józia D. w Krakowie. Masz słuszność, uważna Czytelniczko! ale czemu tak rzadko przysyłasz rozwiązania zagadek? Donieś nam czy Cię zajmuje „Dzienniczek Wandzi“? — „Pierwiosnek Wielkopolski“ w Zakopanem, willa „Oksza“. Adres zmieniliśmy, a 20 ct. zapisujemy na „Gimnazyum Cieszyńskie. Należysz do liczby tych kochanych Czytelniczek, które najgorliwiej pamiętają o biednych dzieciach i najpilniej zasilają nasze konkursa szycia! „Bóg zapłać“ Ci od dzieci — a od siebie Redakcya w tym roku znów Ci przyznaje nagrodę!

„Gwiazdka z nad Skawy“ w Wadowicach. Przez „Roztrzepańca“ z Podhajec dowiedzieliśmy się, że pragniesz wybrać sobie ten pseudonim, więc Ci już pod nim odpowiadamy: chociaż łaskawa Mamusia dopomogła trochę w wykończeniu sukienki, nie przynosi to ujmy Twojej pilności ani dobremu serduszku, skoro pamiętałaś o konkursie i pracowałaś podczas wakacyi, a tylko wyjazd do klasztoru przeszkodził wykończeniu własnoręcznie całej sukienki. Szanownej Mamie serdeczne dzięki za pomoc i poświadczenie. O jaką Marynię T. zapytujesz? — Józef Ch. w Poznaniu. Czy współczułeś z troską Bogusia w „Złotym posiewie“ — i czy ucieszyło Cię zakończenie, jakie dzisiejszy numer przynosi? — Wincenty S. w Stanisławowie. Należytość za arkusik dodatku książkowego wynosi tylko 5 ct. więc nie przysyłaj jej osobno, tylko dopisz do prenumeraty. — Marylka Krz. we Lwowie. Wiemy jak dużo czasu zabiera Ci praca nad muzyką, której się oddajesz z poważniejszem już zamiłowaniem — to też oceniamy bardzo, że pomimo tego, po dawnej przyjaźni, chciałaś przecież zasilić „gwiazdkę“ „Wieku Młodego“ i znalazłaś sobie chwilę na tak staranną robotę konkursową! Jeżeli tylko będziesz mogła, przyjdź koniecznie na „drzewko“ — może się Was zejdzie więcej koleżanek i przypomnimy sobie z przyjemnością przeszłoroczną VIII. B.! Cieszy nas, że wybierasz się i nadal należeć do naszych Czytelniczek.

„Polka“ w Sannikach“. Ale przecież nie zerwie się całkiem nić łączna między nami? Liczymy na to, że choć od czasu do czasu, doniesiesz nam w kilku słowach czyś zdrowa i co porabiasz? — bo tak przywykliśmy do serdecznych listownych pogawędek z tobą, że myślą nieraz do Ciebie wybiegać będziemy. Żegnamy Cię słowem: „Szczęść Boże“ we wszystkiem! — Zosia G. w Suczawie. Oj, ucieszyła się też „cała Redakcya“, serduszkiem swojej Zosieńki! Takie śliczne jak nowe, własne zabawki, nie mogły przecież być odstąpione bez własnej ofiary — bo pomimo iż piszesz, że cieszyłaś się niemi „gdy byłaś maleńką“, my widzimy istotnie po ślicznej sukience, na Twoją miarę łaskawie uszytej przez kochaną Mamusię, że i dziś jeszcze nie jesteś bardzo duża! Materyał sukienki, kupiony za Twoje własne oszczędności, należy do najładniejszych między tegorocznemi — a o wzorowem wykończeniu to się już nawet i nie mówi, skoro to zasługa kochanej Mamusi! Dziękujemy za załączenie kawałków na naprawki i przerobienie.

Zosia E. w pensyonacie Wnej Pani Zagórskiej, we Lwowie. Żałujemy, że nie mogłyśmy być na Waszym, tak udanym, „poranku muzykalno-deklamacyjnym“. — Staś i Marynia M. w Krakowie. Nagroda za śliczne szycie konkursowe, a serdeczne uściśnienie za inne datki! — Lula S. w Gorlicach. Nie omyliłaś się wróżąc, że drugi konkurs tegoroczny wypadnie pomyślniej niż pierwszy — i miałaś prawo zapowiadać to na pewnej podstawie, skoro sama przygotowywałaś do niego taką milutką sukienkę: w istocie gdyby tak wszystkie nasze Czytelniczki pamiętały o „biednych dzieciach“, zaraz by zmalała liczba tych biednych, którym brak na zimę cieplejszego okrycia! — Józia F. w Wadowicach. Ty o tem zawsze pamiętasz, kochana! równie jak i Marynia, Leoś, Franio i Jasio! a Mamusia Wasza, ze swej strony tak łaskawie zawsze zasila naszą „gwiazdkę“, że suma radości, jaką Wasze datki wywołują u biednej dziatwy, może być jasnym, wigilijnym promieniem dla całej Waszej serdecznej gromadki! Książeczki, ołówki, notesy, śliczne arkusze do klejenia, stanowić będą główny dział w gwiazdce chłopczyków, dla których zawsze trudniej o podarki! „Bóg zapłać za wszystko!..“

Łamigłówka zgłoskowa.

Te — dro — la — mur — cy — me — sa — fre — li — rat — e — niem — na — lub — mo — e — a — bo.

1. Człowiek ogólnie nie lubiany. 2. Postać z „Pana Tadeusza. 3. Inaczej wypracowanie. 4. Komedyopisarz polski. 5. Rzeka w północnej Azyi. 6. Naród europejski.

Litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko jednego z najznakomitszych królów polskich.

Szarada.

Drugie spaja, pierwsze płynie,
Trzecie wiezie, całość słynie.

Maryla Winiarzówna.

Łamigłówka.

„Co na Lido wojska!“

Z tych słów złóżcie miejscowość uroczą,
Gdzie się Prądnika czyste fale toczą.
I gdzie dolina między skałami
Starego zamku świeci ruinami,
Przy ruinach leży jaskinia blizko,
Gdzie król-wygnaniec znalazł schronisko.

Marylka Winiarzówna.

Zagadka.

Ma lat „setkę“, „młody“ przecie...
Że żartuję myślisz dziecię?
Nie! gra to słów żartobliwa,
Jak w zagadkach często bywa
Ty z zapałem go czytujesz,
I z radością wyczekujesz. *M. W.*

Wydawczynie i redaktorki: **Irena i Zofia Mrozowickie.** Z Drukarni „Słowa Polskiego“, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА АН УРСР № П-

88
IV